



SZALENSTWO
ANIOŁÓW

KATE GRIFFIN

KATE GRIFFIN

SZALEŃSTWO ANIOŁÓW

A Madness of Angels

Przełożył Michał Januszewski

Wydawnictwo MAG

Warszawa 2011



Spis treści

Wstęp - Kłopoty z telefonami

*w którym przywołanie jest prawie (ale nie do końca) idealne,
zdobywa się nowych przyjaciół i przypominają się dawni wrogowie / 4*

Część 1 - Polowanie na San Khana

*w której pojawiają się początki planu, knuje się zemstę,
a mnóstwo szczurów decyduje się zgromadzić / 82*

Część 2 - Sojusznicy z Kingsway Tunnels

*w której znajduje się sojuszników, demaskuje wrogów,
wsiada późną nocą do pociągów i sugeruje niezwykle sposób wykorzystania farby / 145*

Pierwsze interludium - Cień czarnoksiężnika

w którym wspomina się pewne chwile, o których lepiej byłoby zapomnieć / 171

Część 3 - Szaleństwo aniołów

w której pewne rzeczy muszą się skończyć / 285

Drugie interludium - Uczennica czarnoksiężnika

w którym wspomina się koszty czarów przy rybie z frytkami na wynos / 369

Epilog - Krótki akt życia

*w którym, choć wszystko się skończyło,
wszystko nadal trwa w zasadzie niezmienione,
wbrew zasadom prawdopodobieństwa / 437*

Magia to życie. Tam gdzie jest magia, znajdziemy również życie. Nie można ich od siebie oddzielić. Stanowią wzajemne cienie własnej natury, odbicia własnych twarzy, ośrodków i nastrojów. Echa wykrzyzanego w gniewie słowa, ciepło pozostałe po dotyku skóry, ślady oddechu, wszystko to są elementy zjawiska, które można w przybliżeniu nazwać „magią”. A w dzisiejszych czasach magia nie kryje się już w pnączach i drzewach. Skupia się tam, gdzie można znaleźć większą część życia, jarzącą się obecnie neonowym blaskiem.

R. J. Bakker „Zmieniające się pojęcie magii” -
Urban Magic, vol. 3 marzec 1994

*Myśmy są światło, myśmy są życie, myśmy są ogień!
Wyśpiewujemy elektryczny płomień, dudnimy z podziemnym wiatrem, tańczymy niebo!
Stań się nami i bądź wolny!
Myśmy są błękitne elektryczne anioły.*

Anonimowy spam, źródło nieznane

Wstęp

Kłopoty z telefonami

w którym

przywołanie jest prawie (ale nie do końca) idealne,

zdobywa się nowych przyjaciół

i przypominają się dawni wrogowie

Nie tak to miało wyglądać.

Przebudzenie trwało za długo. Ciepła podłoga pod moimi palcami, gruby, gryzący dywan, mrowienie na skórze, szybko przeradzające się w gwałtowne pieczenie, jakby mrówki wgrzyzały się w ciało. Zbyt długo nic nie czułem. Kończyny miałem słabe jak u niemowlęcia. Powiedziałem „poruszcie się” i palce moich stóp mnie posłuchały. Reszta ciała zadrżała z wysiłku. Rzekłem „mrugnijcie” i moje oczy upodobniły się do dwóch częściowo przeżutych cukierków toffi, szorstkich, lepkich i nieustępliwych. Moje powieki walczyły z ich oporem, jakbym próbował łączyć podnoszenie ciężarów z biegiem maratońskim.

Odnosiłem jednak wrażenie, że to wszystko minie. Błękitny szok towarzyszący mojemu przebudzeniu, jeśli to jest właściwe słowo, odszedł, maleńkie elektryczne robaki wryły się w podłogę albo odpełzły na sufit, wracając do linii telefonicznych. Gorący koc ich osłony opadł z mojego ciała. Zimno wżarło się niczym wielka, głodna bestia we wszystkie stawy i w każdy cal skóry. Moje kości stały się za długie dla ciała, a mięśnie nagle rozluźniły się tak bardzo, jakby nigdy już nie miały się napiąć. Wszystkie części ciała zaczęły drżeć, gdy wróciło czucie.

Leżałem na podłodze nagi jak wąż, który zrzucił skórę. Rozważyliśmy swoją sytuację.

UciekajuciekajuciekajuciekajuciekajUCIEKAJUCIEKAJUCIE-KAJUCIEKAJ! -

wyszczał spanikowany głos w moim wnętrzu, ten sam, który postrzegał odległe o cal od nosa nogi łóżka jako stopy olbrzyma, w szumie ruchu ulicznego przebijającym się niekiedy przez

szelest deszczu słyszał odgłos jadu ściekającego po rozwidlonym języku, a słabe neonowe światło sączące się przez znajome brudne okno uważał za gorące jak blask słońca w południe, padający na ziemię przez dziurę w warstwie ozonowej.

Spróbowałem poruszyć nogą, co spowodowało dziwne zawroty głowy, jakby było to najwyższe osiągnięcie, do którego przygotowywałem się przez całe życie, spełnienie wszelkich moich ambicji. A może chodziło po prostu o to, że w nasze ciało wbijały się igły oraz szpilki i, nie bardzo wiedząc, jak sobie poradzić z bólem, uciekliśmy się do śmiechu. Odwróciłem głowę, wtykając nos w zakurzony dywan, by stłumić obłąkańczy chichot, a jednocześnie podciągnąłem kolana pod brodę. Do kącików ust spływały mi łzy. Spróbowaliśmy ich z zaciekawieniem. Słony smak wydał się nam przyjemny, jak pierwszy, przywołujący do ust ślinę kęs gorącego, kruchego boczku. Odnalezienie talerza takiego boczku stało się nagle główną motywacją w moim życiu, pragnieniem, które przesłoniło wszystko inne. Dlatego, mając światło za przewodnika, szarpnąłem się ze wszystkich sił, wlałem na łóżko i przeczolgałem się na drugą stronę. Oparłem się o szafkę, czekając, aż świat zdecyduje, gdzie jest dół.

Miejsce, w którym się znalazłem, nie do końca było moim pokojem, niezgodności były jednak niewielkie i powierzchowne. To były moje ściany, sam je pomalowałem na nieszkodliwy bladożółty kolor. I moje okno, z widokiem na niewielki korowód łatwych do rozpoznania sklepów po drugiej stronie ulicy: kiosk z gazetami, sklep monopolowy, sklep z drobiazgami, w którym sprzedawano również sprzęt gospodarstwa domowego, pralnia samoobsługowa oraz sławny sklepik pani Lee Po, oferujący chińszczyznę na wynos. W jego oknie nadal radośnie świeciła czerwona lampa. Moje okno, mój widok, ale nie mój pokój. Łóżko było nowe: brzydki mebel na wysoki połysk, udający sprzęt ze średniowiecznej sypialni dla nowożeńców, przeznaczony dla księżniczki w spiczastym kapeluszu. Materac, na którym usiadłem, okazał się tak twardy, że po niespełna minucie poczułem ból. Na ścianie wisiało wielkie lustro w złoczonej ramie - wyobrażałem sobie, że Maria Antonina mogłaby się w nim przeglądać, poprawiając fryzurę - w kącie zaś stały dwie szafy, nie jedna. Połazłem do nich i oparłem się o bliższą, by odzyskać dech w piersi po tej epickiej wędrówce. Po otwarciu pierwszej szafy sączące się spod drzwi światło i wpadający przez okno blask neonów pozwoliły mi zobaczyć tweedowe żakiety, długie jedwabne suknie, białe i kremowe koszule o charakterystycznym kroju, czarne skórzane buty o ostrych szpicach, sandały na wysokich obcasach, składające się wyłącznie z rzemieni bez żadnej osłony, oraz torebkę wielkości puchowej poduszki, wiszącą na grubym złotym łańcuchu. Otworzyłem ją i przeszukałem zawartość. Znalazłem portfel z pięćdziesięciofuntowym banknotem, który sobie

wziąłem, dwie karty kredytowe, kartę biblioteczną z miejscowej biblioteki i mały pliczek grubych, białych wizytówek. Wyciągnąłem jedną i przeczytałem w słabym świetle: „Laura Linbard, współpracownik KSP”. Położyłem ją na łóżku i uchyliłem drzwi drugiej szafy.

Znalazłem tam spodnie, koszule, marynarki, a także - ku swemu zaskoczeniu - wielką parę grubych żółtych spodni rybackich oraz żeglarskie buty. Na dnie stała mała skrzynka, wyglądająca na ważną. Otworzyłem ją. W środku był stetoskop, mała apteczka, termometr oraz kilka specjalistycznych, groźnie wyglądających narzędzi z metalu. Wolałem nie snuć domysłów na temat ich przeznaczenia. Zdjąłem z wieszaka białą bawełnianą koszulę oraz szare spodnie. W szufladzie znalazłem majtki, które nie pasowały na mnie zbyt dobrze, oraz grube czarne skarpetki. Ubierając się, ostrożnie dotykałem lewego barku i klatki piersiowej w poszukiwaniu uszkodzeń. Okazało się jednak, że wszystkie kości się pozrastały, a skóra zagoiła. Nie wyczułem nawet blizny ani śladów zakrzepłej krwi.

Rękaw koszuli sięgał mniej więcej do nasady mojego kciuka, a nogawki do połowy długości stóp. Za to skarpetki jak zwykle pasowały świetnie. Buty natomiast były o kilka numerów za małe. To mnie zdziwiło. Jak to możliwe, by ktoś miał tak długie kończyny, ale nosił buty maleńkie, jakby w dzieciństwie wiązano mu stopy? Postanowiłem je zostawić, choć obawiałem się, że mogę potem tego żałować.

Włożyłem wizytówkę i banknot do kieszeni spodni, a potem ruszyłem ku drzwiom. Po drodze zobaczyliśmy swe odbicie w wielkim lustrze i zatrzymaliśmy się, gapiąc się na nie z fascynacją. Czy tak teraz wyglądaliśmy? Ciemnokasztanowe, rozczochrane włosy sugerowały, że nie dbamy o takie sprawy - były za krótkie, by można je uznać za artystowską demonstrację, i za długie, by były modne. Błądą twarz pokrywały piegi od słońca, a nos był za duży w porównaniu z drobnymi rysami twarzy. Głowa sprawiała wrażenie przypadkowo nasadzonej na ciało, któremu niedorzecznie duże ubranie nadawało jeszcze bardziej patykowaty wygląd. Nie było to ciało, jakie byśmy dla siebie wybrali, ale dawno już wyrzekłem się marzeń o upodobnieniu się do któregoś z gwiazdorów filmowych, z typowym dla przeciętniaków pragmatyzmem uświadomiwszy sobie, że taki już jestem i wcale mi to nie przeszkadza.

I to ja patrzyłem na siebie z lustra.

Ale nie do końca ja.

Podszedłem bliżej. Przekrzywiałem głowę, przesuwając palcami po brudnych, przetłuszczonych włosach w poszukiwaniu siniaków albo blizn. Przebudzenie wyglądało na w pełni udane, nadal jednak odnosiłem wrażenie, że coś tu nie gra.

Zbliżyłem się jeszcze bardziej, aż szkło pokryło się szarą parą mojego oddechu, i

spojrzałem sobie w oczy. We wczesnej młodości gryzłem się tym, że są takie okrągłe, z jakiegoś powodu wyobrażając sobie, że małe oczy równają się wysokiej inteligencji, aż wreszcie któregoś dnia, w szkole, trzynastoletni Max Borton wytłumaczył mi, że wielkie, ciemne oczy zapewniają powodzenie u dziewczyn. Zamrugałem i odbicie odpowiedziało tym samym. Tęczówki lśniły w pomarańczowym blasku ulicznych latarni jak ślepie kota. Kiedy ostatnio miałem okazję przyjrzeć się swym oczom, były czarne. Teraz zrobiły się intensywnie jasnoniebieskie niczym niebo w bezchmurny zimowy dzień. Wyglądały jak oczy albinosa i nie byłem już jedyną istotą spoglądającą nimi na mnie.

*UciekajuciekajuciekajuciekajuciekajuciekajUCIEKAJUCIEKAJUCIEKAJUCIEKAJU
CIEKAJUCIEKAJUCIEKAJUCIEKAJ!*

Dotknąłem głową zimnego szkła, walcząc z nagłym przerażeniem, grożącym nam upadkiem na podłogę. Musiałem cały czas oddychać, cały czas pozostawać w ruchu. Nic innego nie miało znaczenia. Jeśli będę uciekał wystarczająco długo i szybko, może uda mi się stworzyć jakiś plan. Ale jeśli człowiek i tak już nie żyje, nic innego nie ma znaczenia.

Moje nogi działały sprawniej od mózgu. Wyprowadziły mnie z pokoju. Palce otworzyły drzwi. Zamrugałem, porażony oślepiającym blaskiem stuwatowej żarówki palącej się na korytarzu. Położono tu nowy dywan i wypolerowano poręczę, ale na ścianie wisiał obraz, reprodukcja Picassa, przed zbyt wielu już laty kupiona przeze mnie za piątaka - same kolory i dziwne, porozrzucane proporcje. Obraz całkowicie pochłonął naszą uwagę. Wisiał dokładnie tam, gdzie go umieściłem. Uznałem to niemal za zniewagę. Byliśmy zafascynowani: eksplozja wizualnych cudów nabyta za cenę taniego tajskiego posiłku wisiała przed nami w całej swej chwale. Czy wszystko było takie? Spróbowałem to sobie przypomnieć. Oblizalem wargi i poczułem smak starej zakrzepłej krwi. Myśli i wspomnienia wciąż pozostawały zbyt splątane, bym mógł się z nich czegoś dowiedzieć. Najważniejsze, by pozostawać w ruchu, przeżyć wystarczająco długo, by stworzyć jakiś plan i poznać odpowiedzi.

Z dołu dobiegły mnie śmiechy, brzęk szkła i dźwięk otwieranych drzwi. Usłyszałem kroki zmierzające z salonu do kuchni, stukot luźnej, białej płytki pośrodku romboidalnego wzoru, brzęk talerzy i warczenie wentylatora pieca, usuwającego gorące powietrze.

Ruszyłem na dół. Coraz wyraźniej słyszałem uprzejmą, towarzyską rozmowę. Dominowała w niej kobieta o przenikliwym głosie i śmiechu, który zaczynał się gdzieś w głębi nosa, nim zszedł do płuc, a potem wydostał się na zewnątrz. Poczułem do niej instynktowną antypatię. Zerknąłem w stronę kuchni i zobaczyłem odwróconego do mnie plecami mężczyznę. Pochylał się nad czymś, co parowało, i buchała od tego woń ciasta.

Minąłem kuchnię jak oszołomiony duch, który nie potrafi pojąć, że umarł, i pchnąłem uchylone drzwi salonu.

Siedziało tam troje ludzi. Czwarte, wolne krzesło czekało na nieobecnego kucharza. Pili wino, a na stole o blacie z matowego szkła stały resztki sałatki. Nikt nie zauważył, że wszedłem do środka. Skupiali uwagę na kobiecie wyglądającej i brzmiącej, jakby była w samym środku dowcipnego monologu. Nagle jednak spojrzała w moją stronę.

- George, ciasto...

Nim jeszcze skończyła mówić, kieliszek wypadł z jej rąk i rozbił się o blat. Brzęk przyciągnął uwagę pozostałej dwójki.

Gapili się na mnie, a ja na nich. Zapadło pełne zażenowania milczenie, jakie tylko Anglicy potrafią odgrywać tak doskonale. Chwila zapewne trwała krócej niż sekundę, ale odniosłem wrażenie, że minęło kilkanaście tyknień zegara. Potem stało się to, co zapewne musiało się stać. Jedna z kobiet krzyknęła.

Wzdłuż mojego kręgosłupa przebiegło drżenie. Jej głos przebił się przez warstwę grozy i niezrozumienia otulającą mój mózg. Wreszcie zrozumiałem, w końcu sobie uświadomiłem, że to już nie jest mój dom, że zbyt długo mnie tu nie było, że ci ludzie to prawowici właściciele, a ja jestem w ich oczach intruzem. Krzyk uderzył w mój umysł z siłą buforów pociągu, utorował w mojej świadomości ścieżkę, po której do środka wlała się cała reszta. Zrozumiałem, że jeśli mój dom nie należy już do mnie, straciłem również dawne życie, dobytek, pieniądze, długi, ubrania, buty, filmy i muzykę.

Wszystko to zniknęło w mgnieniu oka - rzeczy, które posiadałem jeszcze jako chuderlawy nastolatek; elektryczna szczoteczka do zębów, którą podarował mi ojciec w przypływie nagłej troski o moje zdrowie; zdjęcia kolegów i miejsc, w których byłem; egzemplarz *Calvina i Hobbesa*, otrzymany od mojej pierwszej dziewczyny na znak wiecznej przyjaźni na Gwiazdkę po naszym zerwaniu; ulubione pantofle; wakacje, które planowałem spędzić w górach północnej Hiszpanii; wszystko, na co pracowałem, co posiadałem i co pragnąłem osiągnąć, ulotniło się z tym jednym krzykiem.

Rzuciłem się do ucieczki. Nie uciekaliśmy przed dźwiękiem, nie on nas przestraszył. Chciałem się zagubić. Żałowałem, że w ogóle się przebudziłem, zamiast nadal unosić się w błękicie.

* * *

Pewnego razu, nie tak dawno temu, usiadłem ze swą szaloną babcią na ławce obok zaśmieconego niedopałkami trawnika przezwanego przez miejscową radę „zielnią

osiedlową”. Patrzyliśmy na przelatujące wysoko samoloty i na podświetlone pomarańczowym blaskiem chmury przesłaniające żółty, posepny księżyc. Miała na sobie ciepły płaszcz z kapturem, wyblakłą niebieską koszulę nocną i wielkie, różowe kapcie. Ja włożyłem szkolny mundurek i duży granatowy płaszcz po ojcu. Matka znalazła go któregoś dnia w kartonowym pudle. Zamierzała go spalić, ale zalałem się łzami. Miałem dopiero jedenaście lat i nie byłem pewny, dlaczego mi na nim zależy, matka zgodziła się jednak zachować go dla mnie.

Siedzieliśmy tam we dwoje. Gołębie obsiadały rynsztoki i mury, skakały wokół pantofli babci, kuśtykały na naderwanej nóżce, łopotały połamanymi, wystrzępionymi skrzydłami, gapiły się na nas okrągłymi, pomarańczowymi, niemrugającymi oczami osadzonymi w maleńkich główkach niczym szklane soczewki. Nie okazywały strachu. Powinienem odrobić lekcje z matematyki, ale nie miałem zamiaru się tym zajmować. Brzuch wypełniał mi mrożony groszek z keczupem. Zbliżała się zima, ale pogoda była ładna. Panował rześki chłód, a powietrze było zupełnie przezrocyste. We wszystkich domach na osiedlu zapalono już światła. Byłem tajnym agentem, chłopcem, który siedział w mroku na ławce i obserwował, jak pan Paswalah spod dwudziestego siódmego prasuje koszule, Jessica i Al spod trzydziestego drugiego kłóć się, kto ma posprzątać, a stara pani Gregory spod dwudziestego pierwszego przerzuca trzysta kanałów telewizyjnych w poszukiwaniu czegoś głośnego i pełnego przemocy. Dopóki żył jej mąż, wstydziła się oglądać takie rzeczy. Damie wychowywanej w latach czterdziestych ubiegłego stulecia nie wypadało zachwycać się filmami takimi jak *Szklana pułapka*.

Siedziałem obok babci, jak podczas wielu poprzednich nocy. Tylko nas dwoje, gołębie i nasz skradziony świat obserwowanych ukradkiem okien.

Babcia milczała przez długi czas. Sprawiała wrażenie szczęśliwej właściwie tylko wtedy, gdy siedziała na tej ławce wśród gołębi. Nagle zwróciła się ku mnie i spojrzała mi prosto w oczy.

- Chłopcze?

- Słucham, babciu? - wymamrotałem.

Wciągnęła usta, osłaniając jasnorożowe dziąsła. Sztuczną szczękę zostawiła w domu, obok małego łóżka. Przeżuwała wargi przez dłuższą chwilę, spoglądając na niebo, a potem na ziemię. Wreszcie skierowała wzrok z powrotem na mnie.

- Ładnie śpiewasz w chórze, prawda?

- Tak, babciu - skłamałem. Może i płakałem, by uratować płaszcz ojca, ale uważałem się już za nastolatka i nigdy w życiu nie zgodziłbym się śpiewać w szkolnym chórze.

- Chłopcze?

- Słucham, babciu?

- Ściągasz na sprawdzianach?

- Tak, babciu.

- Mówiłam im, mówiłam, ale wszystkie starsze panie powtarzały... Angelina ma kłopoty z lewym uchem, wiedziałeś o tym? Ściągasz na sprawdzianach, chłopcze?

- Nie, babciu.

- Pamiętasz, by naostrzyć ołówki, zanim wyschnie atrament?

- Tak, babciu.

Zapadła bardzo długa cisza. Pamiętam, że gapiłem się na nogi staruszki, wystające spod nocnej koszuli. Były szare, pokryte sinymi żyłami, wielkie i obrzękłe. Wyglądały jak spłaszczony bryłty cuchnącego, pleśniowego sera, wyrastające z pantofli.

- Chłopcze? - odezwała się wreszcie.

- Słucham, babciu.

- Nadchodzi cień, chłopcze - westchnęła. Wyciągnęła serwetkę z kieszeni płaszcza, by wytrzeć ciekący nos. - Nadchodzi cień. Jeszcze go tu nie ma. Nie przyjdzie tak szybko. Ale nadchodzi. Zje cię, chłopcze.

- Tak, babciu.

Uniosła szybko rękę i zdzieliła mnie w ucho. To było tak, jakby walnęła mnie cienkim płatem surowego mięsa.

- Słuchaj! - warknęła. - Gołębie go widziały! Widziały wszystko! Nadchodzi cień. Młodzi nigdy nie słuchają. Idzie po ciebie, chłopcze. Jeszcze nie, jeszcze nie... będziesz musiał śpiewać jak anioły, żeby go powstrzymać.

- Tak, babciu.

Spojrzałem w wyblakłe, pokryte zaćmą oczy i ku swemu zaskoczeniu zauważyłem, że zaszczyły łzami. Ująłem jej rękę, nagle zatroskany.

- Babciu? Dobrze się czujesz?

- Nie jestem szalona - oznajmiła, wycierając nos i oczy zasmarkanym rękawem. - Nie jestem wariatką. Widziały go. Gołębie wiedzą najlepiej. Widziały go. - Uśmiechnęła się, odsłaniając dziąsła pełne maleńkich strzępków ciała, zwisających luźno w miejscach, gdzie kiedyś były zęby.

Wstała, chwiejąc się przez chwilę. Ptaki rozpierzchły się na wszystkie strony. Potem ujęła mnie za rękę, pociągnęła ku sobie i zaczęła tańczyć, pchając mnie w przód i w tył z gracją i swobodą pijanego wielbłąda. Tańczyliśmy walca w blasku miejskich latarni.

- „Myśmy są światło, myśmy są życie, myśmy są ogień, ta-dam, ta-dam!” - nuciła cały czas niemelodyjnym, piskliwym głosem. - „Wyśpiewujemy elektryczny płomień, ta-dam, dudnimy z podziemnym wiatrem, ta-dam, tańczymy niebo! Stań się nami i bądź wolny...”.

Zatrzymała się tak gwałtownie, że wpadłem na nią, tonąc w tłustych, skulonych ramionach.

- Za wcześnie, by śpiewać. - Westchnęła, patrząc mi prosto w oczy. - Nie jesteś gotowy, chłopcze. Jeszcze nie. Trzeba poczekać. Potem zaśpiewasz jak anioł. Gołębice mają za małe mózgi, by kłamać.

Znowu zaczęła tańczyć, jak zgarbiony, śpiewający nocny duszek, aż po chwili mama kazała nam iść spać.

Spoglądając wstecz, zdaję sobie sprawę, że problem nie polegał na tym, że babcia wiedziała więcej niż mi mówiła. Prawda wyglądała tak, że szczerze powiedziała mi wszystko, ale miałem za mało rozumu, by to pojąć.

* * *

Zatrzymałem się, gdy stopy zaczęły mi krwawić. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję ani jaką drogą tu dotarłem. Wiedziałem tylko, że jestem na skraju błoni albo małego publicznego parku, jest ciemna noc, a pogoda sugeruje wczesną wiosnę albo późną jesień. Z wielkich platanów otaczających porośnięty trawą obszar opadały liście. Zatem jesień. Padła osobliwa londyńska mżawka, zimna i wilgotna, lecz zarazem jakby niedostrzegalna w różowopomarańczowym blasku latarni. Przypominała raczej gęstą mgłę unoszącą się w powietrzu niż prawdziwy deszcz. Nie potrafiłem zebrać myśli, było na to za wcześnie. Gdy dotarło do mnie, że wszystko straciłem, panika ogarnęła mój umysł na podobieństwo gorącego prysznic, nie pozwalając mi się zastanowić, co powinienem zrobić albo dokąd pójść.

Znalazłem mroczny, oświetlony tylko blaskiem neonów tunel przebiegający pod torami kolejowymi. Tej nocy nie zagarnął go dla siebie żaden żebrak ani bezdomny włóczęga. Osunąłem się na zimny, suchy chodnik, podciągając kolana pod brodę. Przez długą chwilę dygotałem tylko i kuliłem się z zimna, próbując uporządkować myśli. Smak krwi w ustach doprowadzał mnie do szaleństwa. Przypominał gorzki, niemożliwy do wypłukania posmak lekarstwa na kaszel. Znowu pomyślałem o intensywnie niebieskich oczach nieznanego widocznych w moim odbiciu. Spróbowałem umieścić te oczy we własnej twarzy. Wspomnienia nie powodowały fizycznego bólu. Umysł świetnie sobie radzi z zapominaniem o tym, o czym, nie chce pamiętać. Niemniej każda myśl przynosiła ze sobą strach przed

bólem, przywoływała na nowo to, co było kiedyś. Byłem gotowy czmychnąć na jakąś niezamieszkaną skałę, daleko od ludzi i latarni, by tylko przed tym uciec.

Rozważałem ów pomysł przez krótką chwilę, powtarzając sobie, że utrata wszystkiego jest w rzeczywistości zamaskowanym wyzwoleniem. Jak postąpiłby w takiej sytuacji Budda? Zapewne powędrowałby na bosaka przez błotniste, niezaorane pole, radując się ponownymi narodzinami. Wyobraziłem sobie robaki między palcami swych stóp, tłuste, wijące się, różowoszare ciała, zimne jak deszcz, którym się karmiły. Zmieniliśmy zdanie. Uciekniemy, ale nie tak daleko.

Jak zawsze, kiedy się bałem, pozwoliłem swym zmysłom dryfować bezwładnie. To był odruch, wpojony mi niemal na początku szkolenia, gdy mój nauczyciel po raz pierwszy...

...gdy mój nauczyciel...

Daj mi życie!

...nadchodzi cień...

*uciekajuciekajuciekajuciekajuciekajUCIEKAJUCIEKAJUCIEKAJUCIEKAJUCIEKAJ
UCIEKAJUCIEKAJUCIEKAJUCIEKAJ.*

Oddychanie było siłą, mur zapewniał bezpieczeństwo. Wcisnąłem w niego plecy, wspierając głowę o cegły. Z muru nie wyłonią się palce, z cieni nie wyrosną pazury. Im większa część mojego ciała pozostawała w kontakcie z czymś materialnym, im mniej było miejsc, w które mogłaby zakraść się ciemność, tym lepiej dla mnie. Wyobraziłem sobie wielkiego, szczekającego psa, otwierającego zaślinioną, pełną zębów paszczę, wiernego towarzysza, który przysiadł u mego boku, gotowy pełnić straż, gdy ogarnie mnie znużenie. Mógłbym też wykombinować inne rzeczy, niemal równie dobre jak stróżujący pies, ale nie byłem pewien, czy nie przyciągną zbytnej uwagi.

Znowu zacząłem oddychać wolniej, uruchamiając zmysły w poszukiwaniu informacji. Z góry dobiegała woń elektryczności, splukiwanego przez deszcz moczu, rozlanego piwa i suchej zaprawy murarskiej. Odległy stukot nocnego pociągu podmiejskiego, wiozącego nielicznych, sennych pasażerów na przedmieścia i dalej. Autobus przejeżdżający z pluskiem przez kałużę powstałą nad zatkanym odpływem. Zatraskujące się drzwi. Dobiegające z oddali zawrozczenie policyjnego sygnału. Gdy byłem chłopcem, dźwięk policyjnych syren dodawał mi otuchy. Świadczył o obecności strażników w niebieskich strojach, chroniących nas przed nocą. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że świadczy to o istnieniu czegoś, przed czym trzeba nas chronić. Teraz syreny zabrzmiały znowu i zastanawiałem się, czy śpiewają dla mnie.

Byłem ubrany za cienko na taką noc. Ubranie nasiąknęło deszczem, zrobiło się zimne

i lepkie, przylegało do skóry, powodując swędzenie. Czulem, że ramiona pokrywa mi gęsia skórka. Poczuliśmy się nią zafascynowani. Odwinęliśmy rękaw, by przyjrzeć się owemu zniekształceniu naszego ciała oraz maleńkim włoskom, stojącym na baczność jak naelektryzowane. Nawet zimno nas interesowało. Nasze zmysły robiły się od niego nieadekwatne, stopy nie mieściły się w przestrzeni, którą zamieszkiwały, a odrętwiałe palce dłoni wydawały się wielkimi kawałkami dyni. Nasunęła się nam myśl, że ludzkie ciało jest bardzo zawodnym narzędziem.

Chrupiący boczek.

Zapach ciasta.

Smak krwi.

Wspomnienie o...

...o...

Przymknij oczy, a wszystko wróci. Pożółkłe zęby i niebieskie oczy spoglądające na ciebie z góry. Zaciśnij mocno powieki, a krew znowu popłynie po twoim ciele, pokrywając plecy i boki, ścieknie po podeszwie stopy, zakrzepnie w tkaninie skarpetek.

Naprawdę chcesz przypomnieć sobie to wszystko?

Nie? Tak też sądziłem.

Nie zamykaj oczu.

Zsunąłem rękaw, wcisnąłem podbródek głębiej między kolana, oplotłem się rękami i skrzyżowałem nogi.

Na odebranie czekały meldunki innych zmysłów.

Zerknij na chwilę, spojrzysz ulotnie, co to szkodzi? Nikt nic nie zauważy. Wciągnij to do płuc i może wszystko będzie w porządku, pomimo cieni?

Zaczerpnąłem tchu, pozwalając, by miejscowe powietrze wniknęło mi głęboko w płuca, wypełniając moją krew i mój mózg swoimi objawieniami. Gotowy?

Aura miejsca, w którym kuliłem się jak dziecko, miała ostry, gryzący posmak. Tuż nad ziemią była rzadka, znacznie rzadsza niż tam, gdzie życie pojawia się częściej i w większej obfitości. Niemniej wyczułem też ślady innych miejsc, przyniesione tu przez powietrze, pochwycone w całym mieście przez przejeżdżające górą pociągi. Moc i struktura, jakie zdołałem wyczuć, miały silny zapach, ale były śliskie w dotyku, cofały się przed zbyt stanowczym rozkazem, jak spłoszony ptak. Mimo to dały mi pocieszenie i odrobinę ciepła.

Podniosłem się i spojrzałem na białe ściany, odczytując pokrywające je graffiti. Większość wyglądała zwyczajnie: „**J to gej!**” albo „**P&N na wieki**”, ale na jednej ze ścian wypatrzyłem pomarańczową smugę farby, pełną pętli i nagłych zakrętasów. Poznawałem ją.

Dotknąwszy jej palcami, poczułem ciepło i lekkie mrowienie, jakbym dotykał poruszającego się powoli piasku. To był znak żebraków, znaczący granicę klanowego terytorium. Ucieszyłem się, że moje zmysły nadal pozostają wrażliwe na takie rzeczy. Niewykluczone, że mogły nawet stać się jeszcze wrażliwsze. Rozumieliśmy ewentualne korzyści, ale ta myśl mnie nie pocieszyła.

Włókłem się przez tunel, przyglądając się z uwagą wszystkim plamom farby i zadrapaniom na białych ścianach. Przekazy mówiące:

NIE POZWÓL, BY SYSTEM CIĘ ZNISZCZYŁ

albo:

xxULTRASxx

albo:

Nie liźcie pędzli

zlewały się ze sobą na pokrytej cementem, pomalowanej na biało powierzchni.

Moją uwagę przyciągnęła plama farby u końca tunelu. Nie miała typowych cech ochrony, jakimi posługują się ci, którzy znają się na takich sprawach, by bronić swojego terytorium. Napis namalowano czarnym sprayem, prostymi, drukowanymi literami. Głosił: „ZROBIŁEM Z SIEBIE CIEŃ NA ŚCIANIE”.

Zaniepokoił mnie ten widok, lecz inne wydarzenia owego wieczoru były ważniejsze, zignorowałem więc napis. Nie miałem farby, ale zanurzyłem palce w ostrym posmaku tego miejsca i w samym środku tunelu zacząłem rysować na ścianie własny znak. Poczułem, że nawet ta drobna czynność dodaje mi otuchy. Nakreśliłem długi symbol ochronny, mój własny znak chroniący przed złem i szkodą. Nie był to pies stróżujący, ale zawsze coś.

Kiedy skończyłem, rozboleła mnie głowa, a palce zaczęły mi drżeć. Nawet coś tak małego kosztowało mnie bardzo wiele. Z moich kończyn odpłynęły resztki sił. Wypełniające mnie ciepło sugerowało istnienie pustki, którą czas być może zdoła wypełnić. Słabość brała się nie tyle z wyczerpania, ile z niedoświadczenia, jakby palce wyrosły mi dopiero przed chwilą, a mięśnie były niewypróbowane, jeszcze nieprzyzwyczajone do użytku, jaki zwykłem z nich robić. Osunąłem się na ziemię pod przeciwległą ścianą i czekałem.

Minęło zaledwie kilka sekund, nim rysunek nakreślony przeze mnie na ścianie zapłonął z sykiem. Tworzące go linie ujawniły się jako wąskie czarne zakrętasy. Przywarłem do chodnika i z drzeniem podciągnąłem kolana pod brodę. Białe jarzeniówki na suficie buczały cicho. Czulem dobiegający od nich zapach elektryczności. To jej właśnie dotyczyła pierwsza lekcja zawsze udzielana każdemu, kto uczył się mojego zawodu.

Podjąłem ryzyko, zgarniając koniuszkami palców odrobinę ciepła i światła z jednej z nich. Lampa zgasła, gdy wciągnąłem w siebie jej energię. Maleńka jak ziarnko grochu kulka żarzącego się blasku, którą w ten sposób uzyskałem, paliła się między dwoma moimi palcami na podobieństwo zapalki. Była szokująco gorąca w dotyku, ale nie wystarczała, by podtrzymać życie. Nie wiedząc, co sprawi mi więcej bólu, zimno czy brak sił, odważyłem się przyciągnąć jeszcze nieco więcej światła oraz kilka dodatkowych stopni ciepła. Uformowałem je w kulkę pieczotliwymi ruchami palców. Niemal wszystkie światła w tunelu zgasły, zostało tylko po jednym na obu końcach. Od wysiłku zalał mnie zimny pot, straciłem dech w piersiach i zaczęło mi paskudnie szumieć w uszach, ale za to trzymałem teraz w rękach niematerialną kulę białego blasku dorównującą niemal wielkością piłce nożnej. Położyłem się, zwinięty wokół niej, jakby była torbą wypełnioną szczerym złotem. Ciepło wypełniło moje ciało, przeganiając z ubrania część wilgoci. Zamknąłem oczy.

Nie chcieliśmy zasnąć. Nasze myśli gnały opętańczo, nasze zmysły sięgały tak daleko, jak tylko to było możliwe, wnikając w stukot pazurków biegnącego kanałem szczura i węszący nos miejskiego lisa o wystrzępionym ogonie. Próbowaliśmy wykryć kształt i posmak wszystkiego, co żyło wokół nas. Byłem już jednak zmęczony - zanadto zmęczony - i bez względu na to, czego mogliśmy pragnąć, musiałem się przespać. Poczułem, że moje powieki opadają z impetem katowskiego miecza.

* * *

Smak krwi.

Pożółkłe zęby i załzawione, niebieskawe oczy.

Daj mi życie daj mi życie daj mi życie daj mi życie DAJ MI...

To nie do końca był sen.

Dobiegający z oddali dźwięk syreny, odgłos jadących samochodów. Ktoś wędrował przez noc, tropiąc kogoś innego. Człogał się po rynsztokach, rozmawiał z gołębiami, kradł nos rudemu lisowi szukającemu hamburgera na kolację.

* * *

Sen nie był dla nas przyjemny. Nasze sny mieszały się z naszą rzeczywistością,

światem oglądanym przez niebieską mgiełkę. Zawsze uwielbiałem takie noce, gdy rynsztokami spływała deszczówka. Wszystko stawało się wtedy czystsze i wyraźniejsze. Umysł z łatwością mógł zawędrować daleko, nie przeszkadzały mu opary tłoczącego się gęsto życia, gorączkowa ruchliwość tak często przeszkadzająca wędrownemu wzrokowi. Myśli bez słów.

Spałem najwyżej kilka godzin. Kiedy się obudziłem, ciepło odpłynęło już z moich rąk z powrotem do lamp, jarzących się teraz intensywnym, białym blaskiem, tak samo jak przedtem. Moją uwagę przyciągnęło słabe *kap, kap, kap*, słyszalne na samej granicy zmysłów.

Pomarańczowy znak żebraków umieszczony na jednym z końców tunelu spływał na ziemię jak krew sącząca się z nosa. Farba zatrzymała się na wyniosłości muru, utworzyła jeziorzko, a potem przelała się, skapując z cichym, regularnym rytmem do smętnej kałuży powstałej na ziemi. Zerknąłem na swój własny znak ochronny, spiralę wypalanej farby na drugim końcu tunelu. On również tracił już spoistość, linie jego mocy migotały, jakby przesłaniała je mgiełka, a u podstawy zaczął się zamieniać w płyn.

Wstałem na nogi, które natychmiast zameldowały mi, że nie chcą mieć nic wspólnego z resztą ciała, podkreślając swą opinię tępy, pulsującym bólem. Krew i ziemia zmieszały się ze sobą, tworząc ciemnobrązową plamę. Pokuśtykałem do wyjścia z tunelu i wyjrzałem na zewnątrz. Była jeszcze noc, a przynajmniej poprzedzająca świt pora, nim jeszcze horyzont zacznie jaśnieć. Deszcz dawał z siebie wszystko, pokrywając grunt małymi, srebrzystymi kraterami. Chodnik zamienił się w czarną jak heban taflę. Odbijające się w niej światło różowo-pomarańczowego neonu rozjaśniało kałuże swym blaskiem.

Poczułem, że moje zmysły się oddalają. Ogarnął mnie niepokój, zadrzałem z powodów wykraczających poza zwykłe zimno. Przez deszcz przebijała się jakaś woń, atakująca gwałtownie nozdrza, nie tylko odór, lecz również smak. Wnikała w głąb nosa, drażniąc jednocześnie wszystkie receptory, wskutek czego zalany potopem informacji mózg nie był w stanie zidentyfikować nawet części składowych zapachu, stwierdzić, że to są skórki pomarańczy, a tamto mokra tekstura. To był odór ciepłych, wilgotnych śmieci, które gniły i pleśniały na interesujące sposoby w ciasnej, ciemnej, zamkniętej przestrzeni, nim wydostały się na świeże powietrze. Smród nasilał się z każdą chwilą.

Wyteżyłem słuch, nasłuchując śmieciarek, zbieraczy odpadków albo złodziei.

Nic.

Tylko cichy syk topiącej się farby i szum deszczu.

Nie mam skłonności do paranoi, ale niedawne doświadczenia zmieniły moją

perspektywę. Nie wydawało się prawdopodobne, by farba się topiła, a w powietrzu unosił się zapach śmieci - a nawet czegoś więcej niż śmieci, wrażenie było nieco ostrzejsze od zwykłego niesmaku - i między jednym a drugim nie było jakiegoś nieprzyjemnego związku. Odwróciłem się od smrodu i ruszyłem w drugą stronę tak szybko, jak tylko pozwalały mi obolałe stopy. Wyszedłem w deszcz, pozwalając by woda mnie obmyła. Szok sprawił mi przyjemność. Deszczówka wypłukała senność z moich oczu. W tej samej chwili inne zmysły odzyskały pełną czułość i zameldowały...

...smród śmieci...

...smak pleśni...

...dotknięcie deszczu...

...bezludna ulica pełna dziwnych cieni...

...odgłos kroków...

...nuta gorącego, suchego ozonu, coraz bliższa i silniejsza...

Ruszyłem przed siebie truchtem. To nie było miłe wrażenie. Każde zetknięcie podeszew stóp z ziemią przypominało mi, że ludzkie ciało waży bardzo dużo i cały ten ciężar opiera się na stosunkowo małej powierzchni. Doszliśmy do wniosku, że przybrana przez nas postać jest śmieszna. To absurd, że taki gatunek zdołał podbić świat.

Usłyszałem za sobą dźwięk przywodzący na myśl gazetę niesioną po piasku przez wiatr. Zerwałem się do biegu. Nagle przestałem się przejmować bólem. Zawładnęło mną pragnienie, by jak najszybciej znaleźć się gdzieś daleko. Odgłos nasilał się z każdą chwilą, podobnie jak smród. Towarzyszyło mu teraz dziwne, niskie dudnienie, przypominające warkot bardzo starego silnika wysokoprężnego na chwilę przed tym, nim się rozleci, buchając obłokami pary.

Zauważyłem zaułek przebiegający między dwoma domami. Było w nim pełno brudnych toreb ze śmieciami oraz oleistych kałuż. Skręciłem w uliczkę, kierując się ku murowi na jej końcu. W zamkniętej przestrzeni poczułem się bezpieczniej. Nie miałem dokąd uciekać, ale to, co mnie ścigało, miało tylko jedną drogę wejścia i mogłem stawić mu czoło, wiedząc, że moim plecami nie zagrażą pazury i pożółkłe zęby. Dobiegłem do muru i odwróciłem się, opierając się o wysoką, drewnianą bramę, zapewne prowadzącą do ogródka na zapleczu czyjegoś domu. Rozpostarłem dłonie na twardej powierzchni po obu stronach i zacząłem wciągać w siebie moc. Trwało to długo, bardzo długo. Minęło zbyt wiele czasu, odkąd ostatnio tego próbowałem. Od wielu lat nie musiałem tego robić. Nie dawałem jednak za wygraną. Moc wypełniała powietrze, aż wreszcie ściany otaczających mnie budynków przesłoniła mgiełka zrodzona z narastającego we mnie ciśnienia. Otoczyłem się ochronnym

kokonem mocy, gotów cisnąć ją przeciwko każdemu, kto mógłby mnie szukać. Nie mogło być mowy o przypadku. Nie dzisiejszej nocy.

W wylocie zaułka nic się jednak nie pokazało. Wyteżyłem słuch i usłyszałem ciche *brzęk, brzęk*, a potem odgłos przywodzący na myśl siorbanie gęstego surowego ciasta zbierającego się na dnie wazy. Potem to również ucichło i słyszałem tylko własny oddech. Mimo to nie opuszczała mnie typowa dla szaleńców pewność, że ktoś mnie obserwuje.

Nie ruszałem się z miejsca. Jeśli miało dojść do pojedynku na siłę woli między mną a tym, co czekało na zewnątrz, byłem gotów stać pod tym murem aż do świtu albo zmierzchu, zamiast narażać się na nieznane niebezpieczeństwo.

Uniosłem nagle głowę, gdy z pobliskiej rynny wypadła para gołębi. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie pożyczyć ich oczu, by spojrzeć na świat z góry, postanowiłem jednak tego nie robić. Wystarczająco wiele wysiłku kosztowało mnie utrzymanie się na nogach. Wielozadaniowość nie wchodziła w grę.

Czekałem.

Może minęła minuta, a może dziesięć. Nie wiedziałem tego i było mi to obojętne. Wypełniająca organizm adrenalina nie pozwalała na ocenę upływu czasu.

Wtem usłyszałem stuk toczącej się po chodniku puszki. Spojrzałem na oparte o mur torby ze śmieciami. Jedna z nich pękła i jej zawartość wysypała się do nieruchomej kałuży, przez którą musiałem przejść, by dotrzeć do końca zaułka. Na wodzie unosiły się podarte torby po frytkach, skórki bananów, zużyte serwetki, rolki po papierze toaletowym, kartonowe pudełka po gotowych daniach do odgrzania, brudne ścierki kuchenne, odłamana od kubka rączka, podarta folia, zmięta taśma klejąca, zmiażdżone opakowania po soku pomarańczowym i półtłustym mleku. Wszystko to wysypało się z torby, a teraz - bardzo, bardzo delikatnie, bez widocznego powodu - zaczęło podskakiwać jak prażona kukurydza na patelni.

Strach skierował na mnie mały blady palec. Zrozumiałem, co się dzieje. Do tej pory szło mi zbyt łatwo.

Stare plastikowe torby, podarte reklamy i połamane pudełka na kompakty wysypywały się z torby, powiększając rozdarcie. Na chodnik wysypały się kolejne śmieci. Nagle zaczęły drzeć, a potem - najpierw najlżejsze, uniesione wiatrem reklamówki, resztki opakowań po szynce, folia, w której został kawałek sera - uniosły się, jakby grawitacja była tylko przemijającą modą. Następnie cięższe śmieci - firmowe kartonowe pudełko na nowe przenośne radio, szczątki na wpół wyciśniętej cytryny, sterta skórek pomarańczy - wzbily się jednym ciągiem ku górze niczym wijący się wąż. Oddalały się nieśpiesznie od rozdartej

torby. Kawałki zmiętej taśmy klejącej prostowały się i rozciągały w locie, worki na chleb nadymały się niczym wypełnione gorącym powietrzem balony, unosząc się dnem ku dołowi. Nie było w tym nic gwałtownego, nic dramatycznego. Słyszałem tylko cichy szum i szelest starych śmieci.

Wszystkie leciały w jedno miejsce, ku cieniowi widocznemu u końca jednego z budynków. Skupiły się przy jego narożniku, gdzie mur spotyka się z rynną, i połączyły w jedną całość z owym cieniem. Srebrzysta torba po frytkach pokrywała coś, co mogło być ramieniem, kawałek tektury osłaniał coś, co można by opisać jako brzuch. Pokraczne stworzenie wyglądało jak organiczny gargulec, z jednej z jego kończyn skapywał dziwny, gęsty płyn. Czekowało cierpliwie bez ruchu.

Nagle skierowało głowę ku mnie. W jego oczach paliły się dwa węgielki dogasających niedopałków. Gdy wydychało, z nosa, stworzonego z ułamanego kawałka rury wydechowej, buchał dym. Kiedy oderwało łapę od muru, o który się opierało, rozległo się mlaśnięcie dobrze przeżutej gumy. Błyszczące pazury były zrobione z ostrych jak brzytwa fragmentów starych puszek po coli albo zupie. Uda powstały z grubych gumowych węży, porzuconych na ulicy przez robotników po remoncie wodociągów, dolną część tułowia pokrywały kawałki blachy i tektury, wgniecione znaki drogowe oraz wyrzucone pudełka, tworzące razem osłaniający masywne podbrzusze pancerz. Czulem zapach jego gnijącego wnętrza, a przez szczeliny w powłoce mogłem je również zobaczyć. Składały się na nie zbutwiałe owoce, skórki od jabłek, frytki, niedojedzone hamburgery i porzucona chińszczyzna na wynos, wszystko to połączone w brązową masę kryjącą się pod zbroją niczym brzuch, z którego zdarto skórę. Stwór otworzył paszczę, błyskając zielenią zębów z butelkowego szkła. Twarz pokrywały mu stare gazety i czasopisma, ręce błyszcząca folia, skrzydła zaś powstały z dwóch półprzezroczystych pasm taśmy klejącej, unoszących się za nim z ostrym łopotem. Stawy łączył w całość drut bezpiecznikowy, wnikaający w ciało niczym ścięgna. Istota czepiała się gumiastymi łapami ściany domu nade mną. Śmieci z rozprutej torby opadały na ciało, pokrywały zgarbiony grzbiet, owijały się wokół zginających się do tyłu kolan. Gdyby to było żywe stworzenie, powiedziałbym, że przypomina olbrzymią hienę, większą niż człowiek, garbatą i złowieszczą, o skulonej sylwetce sugerującej gotowość do ataku. Ponieważ jednak nie było żywe, a oddech miało gorący od utrzymującej je w całości mocy, widziałem, co to jest: śmieciuch.

Do tej pory szło mi stanowczo za łatwo.

Powinienem był przewidzieć, że prędzej czy później wydarzy się coś podobnego. Po prostu - nieco zbyt optymistycznie - stawiałem na później.

Stwór rozchylił szczęki lśniące od zielonego szkła, odsłaniając język z butwiejącego papieru ściernego. Syknął i z jego paszczy buchnęły czarne opary. Ostatnie połamane plastikowe słomki i przepalone żarówki uniosły się nad ziemię i opadły na ciało śmieciucha, czyniąc go większym i silniejszym. Wygiął grzbiet. Skrzydła z taśmy klejącej lśniły od spływającej po nich deszczówki. Z jego gardła wyrwał się syk przypominający odgłos odmawiającego posłuszeństwa gaźnika. Śmieciuch sięgnął ku mojej twarzy blaszanymi pazurami, z jego otwartej paszczy buchnęła kolejna chmura oparów. Potem odbił się tylnymi nogami od chodnika i spróbował odgryźć mi głowę.

Życie uratował mi raczej instynkt niż świadoma decyzja.

Uwolniłem ścianę mocy, którą wzniosłem. Fala trafiła śmieciucha w locie, odrzucając go do tyłu. Stwór walnął o ścianę. Z jego ciała eksplodowały brudne gazety i gnijące substancje organiczne. Runął na ziemię w stercie podartej folii i taśmy klejącej. Nie miałem zamiaru czekać, by się przekonać, czy to go powstrzyma. Byłem przekonany, że tak się nie stanie, więc bez dalszej zwłoki zacząłem raz po raz uderzać barkiem w wysoką drewnianą bramę, aż wreszcie zamek ustąpił i mogłem uciec do ogrodu. Śmieciuch dźwignął się już na tylne nogi, podarte resztki jego skóry napływały z powrotem na miejsce. Ruszył za mną, prychając głośno przez zardzewiały nos.

Przebiegłem po mokrym trawniku i wdrapałem się na przeciwległy mur, nie oglądając się za siebie. Potem zeskoczyłem ze znacznej wysokości na tory kolejowe, lądując na tyłku, który do tej pory nie ucierpiał zbyt wiele, przynajmniej w porównaniu ze stopami. Rozerwałem sobie skórę oraz ubranie o paprocie i połamane wózki z supermarketów, które w jakiś sposób zawsze lądowały przy torach. Rodzina szczurów uciekła w panice. Uderzyłem z łoskotem o twardą podsypkę torów i runąłem na nią, łapiąc się jednej z szyn, na szczycie gładkiej i srebrzystej, ale na bokach pokrytej grubą warstwą rdzy. Podniesienie się było zapewne jeszcze bardziej bolesne niż upadek na skarpe. Wszystkie mięśnie protestowały głośno, każdy cal skóry pokrywały skaleczenia, siniaki albo pęcherze. Pokuśtykałem wzdłuż toru błotnistym pasem, na którym podsypka stykała się z nasypem. Było mi wszystko jedno, dokąd idę, chciałem tylko jak najszybciej się oddalić. Śmieciuchy raczej nie krążą po ulicach Dulwich, atakując przypadkowo wybrane ofiary. Mają cel, kieruje nimi czyjaś wola. Nietrudno było się domyślić, że dzisiaj stwór ścigał nas. Słyszałem za sobą przeciągłe zawodzenie polującego śmieciucha, dźwięk przypominający pisk hamulców starego autobusu. Zabrakło mi odwagi, by się obejrzeć. Wlokłem się cały czas przed siebie.

* * *

Trudno mi było określić, jak długą drogę pokonałem. Zatrzymałem się dopiero wtedy, gdy doszedłem do stacji North Dulwich. Budynek był zamknięty, w blasku latarni na ściany z żółtej cegły padały dziwne cienie. Wdrapałem się na peron nieopodal masywnych, zapewniających bezpieczeństwo drzwi i położyłem się na plecach, nie dbając o to, że zarejestruje mnie kamera. Drżałem z bólu, litując się nad samym sobą.

Gdy już uspokoiłem oddech i ogień trawiący mi skórę przeszedł w tępy ból, zapuściliśmy swą świadomość w każdy cal naszego ciała, wyczuwając kształt skaleczeń i siniaków oraz wywierany przez nie nacisk. Dziwnie nas fascynowała realność tego wszystkiego, choć zaskoczyła nas i przeraziła zniewaga, jaką był ból. Leżeliśmy na plecach, czując pod sobą szorstki beton. Zimna deszczówka pokrywająca nam twarz wysychała już na dmącym nad torami wietrze. Na moment zalał nas strumień wrażeń płynących z każdego cala naszego ciała - chłód deszczu, gorąco wypełniające mięśnie, suchość języka, wilgoć we włosach, lekkie krwawienie z zadrapań, tępy ucisk w siniakach, wszystko to było fascynujące, realne, żywe. Przez chwilę zachciało się nam śmiać, choć nie miałem pewności, czy nie rozsądniej byłoby płakać.

Potem poczułem smród śmieci.

Wstanie z peronu stanowiło triumf woli, a gdy powlokłem się do zamkniętych drzwi, z przerażeniem uświadomiłem sobie własną słabość. Musiałem oprzeć się o nie na chwilę, by odpocząć. Szeptalem do zamka błagalne słowa, głaszcząc go czule koniuszkami palców, aż wreszcie ustąpił z cichym trzaskiem. Otworzyłem ciężkie drzwi i w tej samej chwili zobaczyłem za kręgiem oświetlającego peron blasku czerwonawe węgielki oczu śmieciucha. Stwór wynurzył się z mroku. Był jeszcze większy niż przedtem, jego skóra błyszczała teraz od kawałków potłuczonego szkła zebranych przy torach. Pokrywały go mozaiką niczym królewskie klejnoty.

Opuściłem stację. Śmieciuch podążył za mną. Dzięki chwili wytchnienia mogłem się zastanowić. Wiedziałem już, czego potrzebuję. Biegając pod górę wąskimi uliczkami, szybko wszystko znalazłem. Najpierw pokrywę czarnej puszkii na śmieci, na której żółtymi literami napisano „Mieszkanie 5”. Potem szereg zielonych pojemników na śmieci na kółkach, ustawionych przez miejscową radę przed drogerią w małym pasażu handlowym. Dzięki wszystkim niebiańskim mocom, nie były przepełnione. Śmieciuch był już niedaleko, ale wielkie rozmiary nie pozwalały mu biec tak szybko, jak my, gdy gnał nas strach. Z pewnością jednak nie da za wygraną z tak błahego powodu.

Otworzyłem pokrywy pojemników, sprawdzając, czy nie ma w nich rozprutych worków ze śmieciami. Szczęście mi sprzyjało: wszystkie puszki były w środku czyste.

Uniosłem czarną pokrywę przypisaną do mieszkania numer 5, osłaniając się nią jak tarczą, a potem wsunąłem dłoń w uchwyt aż poza nadgarstek, wspierając pokrywę o przedramię. Nim zdążyłem zakończyć przygotowania, stwór już się pojawił. Lazł środkiem jezdni, brodząc w spływającej w dół deszczówce. Zbliżał się do mnie powoli i nieubłaganie, jak grzechotnik przemierzający pustynię.

Deszcz spływał mi po twarzy i wsiąkał w ubranie. Miałem nadzieję, że splucze też choć część smrodu. Odwróciłem się, spoglądając na potwora.

Obserwowaliśmy go z zaciekawieniem. Zauważyliśmy ostrożność, z jaką się zbliżał, a także jego nieubłaganą determinację. Było nam niemal żal go zniszczyć, ponieważ zapewne moglibyśmy się wiele nauczyć, badając jego budowę i postać życia. Przetrawanie było jednak ważniejsze.

Był coraz bliżej. Nie cofnąłem się i tylko uniosłem przed sobą pokrywę. Posuwał się naprzód ostrożniej niż się spodziewałem. Zatrzymał się w niewielkiej odległości, uniósł pysk i wydał z siebie dziwny wrzask przypominający odgłos starych opon ślizgających się na mokrej jezdni. Powtórzył go jeszcze dwa razy, a potem opadł na cztery kończyny i zmierzył mnie od stóp do głów spojrzeniem czerwonych węgielków. Przemknęło mi przez głowę, że jeśli tylko mrugnę, zaraz rzuci się do ataku, i nagle uświadomiłem sobie z całą siłą pragnienia mrugnięcia, jakby sama myśl o nim sprawiła, że nieświadoma część mojej osobowości kierująca takimi procesami utraciła zdolność funkcjonowania, pozostawiając kontrolę nad mruganiem czy oddychaniem świadomym procesom myślowym. Potwór nadal nie atakował. Minał długi - zawstydzająco długi - czas, nim uświadomiłem sobie dlaczego. Przenikliwy zew nie był wyzwaniem ani nie wyrażał bólu. Śmieciuch wzywał posiłki.

Nie było na co czekać.

Rozejrzałem się po ulicy w poszukiwaniu źródła ciepła. Znalazłem fragment przylegający do mokrej, powierzchni zielono-białego neonu drogerii. Uniosłem lewą dłoń i wciągnąłem żar w koniuszki palców, ściskając je w kształt przypominający małą monetę. Światło, nagle pozbawione całej energii, zamrugalo i jęknęło z oburzenia. Spojrzałem na śmieciucha. Wyczuł moje zamiary i przemieścił się niespokojnie, a potem wyprostował nieco, zginając metalowe pazury jednej łapy i wypuszczając z paszczy obłoczek dymu. Ścisnąłem pieniążek gorąca między kciukiem a palcem wskazującym, gasząc go. Przez chwilę nic się nie działo. Potem niedopałki tworzące oczy śmieciucha zapłonęły jaśniej. Ich blask stał się żółty, a następnie buchnęły z nich płomienie. Ogień przeniósł się na pokrywające głowę gazety i wniknął w wilgotną masę. Iskry zagłębiły się w czaszkę, docierając do suchego popiołu i papieru, tworzących większą część długiej głowy.

Z paszczy potwora wyrwał się wrzask brzmiący jak pisk tysiąca hamulców. Ogień przedostał się przez siatkę z drutu i starych sznurków do prania, tworzącą szkielet głowy. Płomienie buchnęły z nosa, paszczy, oczu i uszu, szybko ogarniając suchy sznur grzbietu. Cienkie przewody bezpiecznikowe skrzydeł stopiły się szybko, a taśma klejąca poczerniała. Na ziemię spadły krople gorącego plastiku. Ogień wytrysnął spomiędzy metalowych płyt brzucha, stawy łokci i kolan rozżarzyły się do czerwoności, między pazurzaste palce posypały się gniewne skry, ze zrobionych z gumy do zucia podeszew łap buchnął dym o budzącym mdłości zapachu, z całej powierzchni wzbily się obłoczki pary...

Ale to nie zabiło stwora. Ryknął wściekle, wstał na tylne łapy, naprężył płonący grzbiet i skoczył.

Opadłem na jedno kolano, osłaniając głowę pokrywą puszką, i napiąłem mięśnie, przygotowując się na wstrząs. Cielsko śmieciucha zasłoniło światło, od jego smrodu popłynęły mi z oczu łzy. Poczulem nagły ucisk w żołądku. Przez moje trzewia przebiegło drżenie. Gdy stwór uderzył, to było, jakby trzęsienie ziemi spuściło na mnie lawinę cegieł. Zgarbiłem się, wciskając podbródek w pierś, i osłoniłem głowę rękami podtrzymującymi pokrywę. Wokół mnie śmieci sypały się na ziemię. W mrok popłynęła cienka smużka dymu. Usłyszałem cichy jęk i wyjrzałem zza prowizorycznej tarczy. Śmieciuch leżał na boku. Brakowało mu połowy przedniej kończyny, a z boku piersi miał małą dziurę. Uwolnione przez wstrząs odpadki unosiły się na wietrze wokół. Podniosłem się chwiejnie, w głowie kręciło mi się od uderzenia. Ponownie osłoniłem się pokrywą. Stwór przetoczył się i wstał. Poruszał się teraz niezgrabnie, jego masa utraciła równowagę. Beknął dymem i popiołem, a potem znowu skoczył na mnie. Tym razem uniosłem tarczę wysoko nad głowę, kierując do niej wszystko, co zostało z mojej siły, aż wreszcie plastik zaczął parzyć mi skórę. Gdy śmieciuch wyprostował się na pełną wysokość, uderzyłem go pokrywą.

Ryknął głośno jak tysiąc klaksonów. Walnął łapą w tarczę z impetem stalowej kuli używanej do rozbiórki domów. Wstrząs omal nie zwałił mnie z nóg. Jaskrawopomarańczowe skry posypały się z tarczy na wszystkie strony, tworząc coś na kształt parasola. Na ziemię spadł deszcz odpadków. Stwór ryknął przeraźliwie, ściskając resztki zmiażdżonej łapy. Wykorzystując chwilę, gdy wrażenie pełniące u tego typu istoty funkcję bólu odwróciło uwagę śmieciucha, odrzuciłem tarczę i skoczyłem na przeciwnika. Przebiłem pięścią tekturę osłaniającą podbrzusze i wetknąłem rękę w lepka, gorąca, gnijącą masę. Stwór okładał mnie kikutami przednich kończyn. Ogień szarpał mi rękaw, ale wsadziłem rękę aż po bark. Ostre metalowe części, które unosiły się w butwiejących resztkach jedzenia i innych śmieciach, kaleczyły mi skórę. Zacisnąłem palce na czymś małym, co wydawało się zimne jak lód. W tej

samej chwili śmieciuch, chwiejąc się niebezpiecznie, stanął na jednej nodze, a drugą wymierzył mi potężnego kopniaka. Runąłem na chodnik. Posypały się na mnie śmieci oraz kawałki wilgotnej tektury.

Śmieciuch stał bez ruchu. Jego wnętrzości kapwały na ziemię, a padająca mu na głowę deszczówka zmieniała się w parę, rywalizując z gorejącym w oczach ogniem. Wyglądał na zbitego z tropu. Zatrzymał spojrzenie na moich dłoniach. Trzymałem w nich zgniecioną w kulkę lodowatą kartkę papieru. Ściekała z niej gęsta czarna maź. Rozwinałem ją i ujrzałem symbole, wezwania i zaklęcia, wypisane czarnym mazakiem. Przeczytałem słowa.

...miejscowa inicjatywa osiedlowa...

...zapewniamy opakowania recyklingowe...

*...zbieramy w **poniedziałki i czwartki***

...szkło, blachę, papier i wszelkie odpadki...

*...o **CZYSTSZE** środowisko...*

...dla mieszkańców...

Tusz zaczął się rozmywać w deszczu. Śmieciuch wrzeszczał metalicznym, mechanicznym głosem. Podniosłem się z wysiłkiem. Moje spojrzenie padło na otwarte, czekające pojemniki na kółkach. Potwór również je zauważył i zerwał się do biegu, gotowy przeciąć mi drogę. Ja również biegłem, wyciągając ręce ku pojemnikom. Lodowata kartka nasiąkała wodą w moich palcach. W chwili gdy dotarłem do najbliższego pojemnika, śmieciuch wyciągnął rękę, by zatrzaskać pokrywę. Nagle znalazłem się między potworem a puszką na kółkach. Zamknąłem instynktownie oczy, przekonany, że stwór zaraz mnie zmiążdży, i wrzuciłem kartkę do pojemnika.

Rozległ się brzęk. Nagle otoczyło mnie ciepło. Usłyszałem szum deszczu i szelest spadającego papieru, poczułem, że lepka, gnijąca maź spływa powoli po moich nogach, a kawałki gazet i plastikowych opakowań zlatują na ziemię wokół mnie. Śmieciuch rozsypał się bezgłośnie. Tekturowa skóra spadła z gnijącego ciała z głośnym wilgotnym młaśnięciem, skrzydła posypały się na chodnik niczym pierze, kawałki gumowego węża wyleciały z wnętrza jak jelita z czyszczonej ryby. Węgielki oczu zgasły, niedopałki spadły ze smętnym pluskiem na mokrą ziemię.

Opierałem się o pojemniki, zapominając o oddychaniu, gdy wokół mnie na ziemię padały odpadki. Wiatr uniósł ze sobą kilka pustych plastikowych toreb. Kula ściśniętych gazet potoczyła się do rynsztoka i ugrzęzła w kratce odpływu. W kałuży żarzyło się jeszcze kilka węgielków, zgniecioną puszką po coli odbiła się z głośnym brzękiem od muru. Uchyliłem nieco wieko pojemnika i zajrzałem do środka. Znaki na kartce, symbole

przywołania i rozkazu, będące sercem wszelkich konstruktów, życiem śmieciucha, płonęły powoli wewnątrz, zamknięte i bezsilne.

Zamknąłem puszkę i odwróciłem się. Otaczała mnie sterta sięgających mi kolan śmieci. Na dole, kilkaset jardów ode mnie, pośrodku ulicy parkował samochód. Przedtem go tam nie było. Drzwiami dla pasażera wysiadł jakiś mężczyzna. Z tylnych siedzeń wyszło dwóch następnych, a za nimi kierowca, prawdopodobnie kobieta, trudno to było określić z tej odległości. Ruszyli ku mnie. To zapewne były posiłki. Usłyszeli wrzask śmieciucha.

Oparłem się o pojemnik i przymknąłem oczy, próbując odzyskać siły. Byliśmy zmęczeni, źli i cierpieliśmy ból. Nie przybyliśmy tu w poszukiwaniu czegoś takiego, nie tak to miało wyglądać. To był niewłaściwy rodzaj życia. Uświadomiliśmy sobie, że wszystko, naprawdę wszystko, poszło nie tak.

Byłem zbyt zmęczony, by się tym przejmować.

Otworzyłem oczy. Świat, który ujrzałem, wypełniał jaskrawo-niebieski elektryczny ogień.

Ruszyliśmy naprzód przez unoszące się na wietrze resztki potwora. Rozpostarliśmy ramiona, pozwalając, by między naszymi palcami zapłonął błękitny ogień. To było takie łatwe, takie przyjemne! Radowaliśmy się tym wrażeniem.

- Chcecie z nami walczyć?! - zawołaliśmy do zbliżających się ludzi. - Naprawdę wierzycie, że pożyjecie tak długo?

Zatrzymali się, zawahali, cofnęli nieco. Mógłbym usiąść na zasłanej śmieciami jezdni, zatrzymać się, mógłbym to zrobić, ale w moich oczach zapłonął ogień - piękny, gorący i błękitny.

- Niemile wam życie, które macie? - zawołaliśmy, pozwalając, by naszą skórę ogarnęły płomienie. - Czy nie radujecie się każdym oddechem, nie tańczycie nieustannie w rytm własnego serca? Nie widzieliście ognia płonącego we wszystkim, co ujrzycie?

Zacisnęliśmy palce, tworząc z nich pięść. Uliczne latarnie eksplodowały, alarmy przeciwwłamaniowe po obu stronach sklepu rozpekły się, sypiąc odłamkami metalu, woda w rynsztoku zabulgotała, tworząc wir, jakby wciągała ją niewidoczna otchłań.

- Jeśli widzicie w życiu tylko jego koniec, przyłączcie się do nas! - zawołaliśmy.

Teraz, gdy byliśmy gotowi spróbować, to stało się bardzo łatwe. Moc wydawała się czymś wspaniałym, owo cudowne, święte słowo, którego nie wazyliśmy się wyszeptać od chwili, gdy znowu otworzyłem oczy, magia ulic, moich ulic, nasza magia.

W domach zapalały się światła, dobiegały stamtąd głosy. Zawyły samochodowe alarmy. Nie chciałem, by mnie złapano, bardzo nie chciałem radzić sobie jeszcze i z tym.

Dręczyła mnie senność. Pragnęliśmy, by sobie poszli.

Najwyraźniej nie mieli ochoty tu zostawać. Cofnęli się, a potem odwrócili, uciekli do samochodu i włączyli silnik. Pozwoliliśmy, by moc odpłynęła nam z palców, choć wiedziałem, że z wielką łatwością, zwyczajną myślą, mógłbym zniszczyć hamulce pojazdu, wybić szyby, powyginać rury albo spalić paliwo. Wiedzieliśmy, że nadal mamy w sobie tę moc, że bez trudu, tak po prostu, moglibyśmy...

Pozwoliłem, by moc się rozproszyła, magia, którą zgromadziłem między palcami, odpłynęła. To było nieprzyjemne. Mocy było tak wiele, że uwolnienie jej bez przywołania płomieni przyprawiło mnie o ból głowy. W głębi duszy wiedziałem, że kochaliśmy ten ogień w naszych palcach, kochaliśmy zwycięstwo nad potworem, deszcz, śmieci, noc i hałas. Nigdy nie wyrzekniemy się tego całkowicie.

- Co to, kurwa...! - zawołał jeden z mieszkańców, wyglądając przez okno.

Odróciłem się i odszedłem w mrok.

* * *

To była pierwsza noc.

Nim cała sprawa się skończyła, zatęskniłem za owymi spokojnymi godzinami w Dulwich.

* * *

Miałem w kieszeni pięćdziesiąt ukradzionych funtów. Siedziałem na ławce aż do świtu, gdy w wilgotną, monochromatyczną szarość od wschodu zakradły się kolory. Nie musiałem czekać długo. Sen nie wchodził w grę. Nie mogliśmy pozwolić, by nasz umysł przerwał funkcjonowanie, nie chcieliśmy zamknąć oczu, mimo że bardzo chciało mi się spać.

Po świcie wsiałem do pierwszego autobusu i pojechałem do najbliższej stacji metra. Mężczyzna sprzedający bilety nie widział moich bosych stóp, nie zadawał więc pytań, wiedziałem jednak, że śmierdzą i wyglądam jak szaleniec, ponieważ cofnął się, gdy podszedłem do kasy, choć dzieliła nas plastikowa szyba.

Dopiero później uświadomiłem sobie, że był pierwszą osobą, z którą rozmawiałem od dwóch i pół roku. W stojaku na gazety na stacji znalazłem niedawno dostarczone „Metro”, dzięki czemu poznałem dzisiejszą datę, a kasjer zamienił ze mną kilka słów.

Data powinna była mnie przerazić, ale zapewne nocą miałem czas się zastanowić, przygotować na najgorszą ewentualność, gdy więc zobaczyłem, który mamy rok, poczułem nieomal ulgę, że nie minęło więcej czasu, odkąd ostatnio trzymałem w rękach gazetę.

- Słucham pana? - odezwał się kasjer.

- Proszę kartę Oyster.
- Dobrze się pan czuje?
- Słucham?
- Hmm, dobrze się pan czuje?
- Miałem ciężką noc.
- Kartę Oyster, tak?
- Z biletem travelcard. Miesięczną, na strefy od pierwszej do szóstej.

Podał cenę. Tym razem się przeraziłem. W ciągu dwóch minionych lat inflacja nieźle dała się we znaki. Nie mieliśmy jednak zamiaru przejmować się kosztem biletów, nie w tej chwili.

- A co dostanę za to, co mam? - zapytałem, podając mu pięćdziesięciofuntowy banknot włożony do miedzianej miseczki pod szybą.

Sprzedził mi tygodniowy bilet travelcard i wydał niewiele reszty. Miałem nadzieję, że tydzień mi wystarczy.

Do otwarcia sklepów zostały jeszcze dwie godziny. Skierowałem się na peron. Schody ruchome ogrzały mi nogi, ich dotyk pod bosymi stopami był niezwykłym wrażeniem. Jadąc w dół, zaginałem palce na krawędzi stopnia, a potem, ponieważ uczucie było tak osobliwe, wjechaliśmy z powrotem na górę i znowu zjechaliśmy w dół, dotykając palcami gładkiej metalowej powierzchni między biegnącymi w przeciwnych kierunkach schodami albo opierając się o czarne, gumowe poręcze. Poruszały się nieco szybciej niż same schody, ciągnąc nasze ciało lekko do przodu.

Złapałem pierwszy poranny pociąg. Był prawie pusty, jechał na północ pod rzeką. Wsiadłem na stacji Great Portland Street i wyszedłem na Marylebone Road. Nawet o tak wczesnej porze, gdy mokre chodniki lśniły szarosrebrnozłoto w blasku słońca, na ulicy panował intensywny ruch. Samochody zatrzymywały się co jakieś sto jardów, by poczekać na nieuchwytnie zielone światło, przepływające falą z jednego końca systemu na drugi. Domy przy Marylebone High Street są duże, zbudowane z jasnego kamienia albo z czerwonej cegły, a na parterze mają wysokie okna i wielkie oszklone drzwi bądź witryny sklepowe. Ulica budziła się powoli, ciężarówki oddalały się nieśpiesznie od małych supermarketów, w których zostawiły towary, ruch jednokierunkowy prowadził już pierwsze samochody na południe, w stronę West Endu. Ludzie omijali mnie szerokim łukiem. Wyglądałem paskudnie, ale nie wystarczająco groźnie, by ktoś wezwał policję. Emanowała ode mnie aura niegroźnej pokory, sympatycznego szaleństwa. Dlatego nikt mnie nie niepokoił.

Usiadłem jak żebrak na chodniku przed sklepem, do którego zmierzałem, czekając, aż

go otworzą. Gdy wszedłem do środka, młody sprzedawca - gdy byłem tu ostatnio, jeszcze nie pracował w tym miejscu - popatrzył na mnie dziwnie.

To był sklep z używanymi rzeczami, jeden z największych tego rodzaju. Ominąłem antykwaryczne książki, stare budziki i świeżo wyprane suknie w najdziwniejszych rozmiarach, kierując się w stronę działu obuwniczego. Nigdzie nie widziałem bardziej sfatygowanych i rozdeptanych butów. Takich właśnie szukałem.

Przymierzyłem parę adidasów. Kiedyś były jaskrawoniebieskie i białe, a teraz zrobiły się bladoniebieskie i brudnoszare. Wkładki nadal trzymały się dobrze, ale podeszwy były tak wytarte, że będę czuł teksturę powierzchni pod stopami. Sznurowadła były nie do pary, a zapiętek jednego buta był rozerwany. Nadadzą się świetnie. Na adidasy i śniadanie wydałem resztę drobnych.

Zjadłem pływające w tłuszczu jajko sadzone z chrupiącym boczkiem i gofry ziemniaczane, składające się głównie z białego proszku o smaku tektury, podejrzenie wyglądającą kielbasę oraz rozgotowaną fasolę, popijając to wszystko herbatą. Posiłek smakował jak ambrozja, wzbudził w nas zachwyty przerastające wszystko, czego do tej pory doświadczyliśmy. Przez chwilę poczułem się tak, jakby nic się nie zmieniło, byłem skłonny uwierzyć, że wszystko będzie dobrze.

Gdy już się najadłem i wreszcie obulem, pojawiło się pytanie, co robić dalej. Rozpaczliwie pragnęliśmy pójść na spacer po mieście, by się przekonać, co z nim zrobiły minione dwa lata, przekonać się, czy za dnia wygląda inaczej, spróbować jedzenia i napojów, cieszyć się widokiem każdej ulicy, jak turysta, zobaczyć to wszystko poza całunem mgiełki przesłaniającej moje wspomnienia. Bolały nas jednak stopy, nie zapewniliśmy sobie bezpieczeństwa, nasze ubranie śmierdziało śmieciami i miejskim deszczem o brudnej beżowobrazowej barwie. Miałem też długą listę pytań, które musiałem zadać. Nie będę bezpieczny, dopóki nie poznam odpowiedzi.

* * *

Ze względu na wymogi przyzwoitości i bezpieczeństwa potrzebowałem nowego ubrania. W obecnym stroju przyciągałem zbyt wiele uwagi, a śmieciuch z pewnością dowiódł, że pewni ludzie mnie szukają.

Potrzebowałem pieniędzy.

Jedną z możliwości stanowiło zebranie, ale nie byłem pewien, czy mam na to czas. Z pewnością brakowało nam cierpliwości, zwłaszcza że istniały bardziej... ekscytujące rozwiązania tego problemu.

Szedłem Marylebone High Street, ciesząc się nowymi butami, aż wreszcie znalazłem jaskrawoczerwoną budkę telefoniczną, zabytek z czasów sprzed upowszechnienia się komórek, zachowany przez miejscową administrację w imię turystyki i ochrony dziedzictwa. W środku śmierdziało moczem i piwem, co również było zgodne z londyńską tradycją, najdoskonalszy wyraz historycznego dziedzictwa stanowił jednak fakt, że tylną ścianę budki pokrywały maleńkie karteczki.

„CHCESZ SIĘ ZABAWIĆ?” - pytała najmniej oryginalna i biologicznie jednoznaczna z notatek. Niemniej, podobnie jak na pozostałych, pod literami umieszczono na niej zdjęcie kobiety wyposażonej w monumentalne ozdoby, które medycyna zapewne nadal uznałaby za piersi.

„!!!NAPALONA NAPALONA NAPALONA!!!” - głosiła jej sąsiadka. Liczne kartki umieszczone poniżej oferowały usługi pozostające w zakresie od egzotycznych do wręcz niewiarygodnych. Na wszystkich umieszczono numery telefonów, ułatwiające umówienie się na spotkanie o szczególnym charakterze. Przymknąłem powieki i wybrałem na oślep jedną z nich, przyklepioną kawałkami starej gumy do żucia. W takiej sytuacji wszelkie oznaki dobrego gustu lub wybredności sprawiały, że czułem się jeszcze bardziej zbrukany. Napis głosił „**SEKSOWNA AZJATYCKA LALECZKA**”. Schowałem karteczkę do kieszeni. Rozejrzeliśmy się na wszystkie strony, by się upewnić, że nikt nas nie zauważył w tym wstydliwym momencie. Poszedłem z kartką do najbliższego banku, który właśnie otwierano. Ochroniarz odprowadzał mnie spojrzeniem od samych drzwi, czekając z zasepioną miną, aż coś zrobię. Wziąłem jeden z leżących na półce długopisów, przymocowany łańcuszkiem z małych paciorków, i napisałem na odwrocie szesnaście cyfr w czterech grupach po cztery, ciesząc się, że pamiętam je po tak długim czasie. Niewykluczone, że jakiś specjalista od kart gapił się czujnie na ekrany komputerowe, wypatrując czarodziejskich numerów, zdolnych oszukać każdy bankomat na świecie, gotowy wytropić ich użytkownika, ale przecież o to właśnie chodziło. Owych cyfr, tak bardzo przypominających numer karty, można było użyć w każdym miejscu i czasie. Znikną, jak czarna mrówka w ciemną noc, w strumieniu danych tak gęstym, że nie przeniknie go wzrok nawet najbystrzejszego maga.

Taką przynajmniej miałem nadzieję, pisząc numer na kartce, choć zdawałem sobie sprawę, jakie podejmuję ryzyko.

* * *

Opuściłem budynek, nim strażnik zdążył mnie zatrzymać pod jakimkolwiek pretekstem, jaki by mu się nasunął. Trzy przecznice dalej znajdował się następny bank. Na

betonowym murze przy wejściu umieszczono bankomat. Podeszedłem do niego, zerkając za siebie, by sprawdzić, czy nikt mnie nie podgląda, wyjąłem z kieszeni kartkę seksownej azjatyckiej laleczki i włożyłem ją do otworu, uważając, by nie zagiąć tektury.

Ekran zrobił się ciemny.

Czekałem.

W górnym prawym rogu pojawiła się cyfra 1, szybko przechodząc w szalony maraton przebiegających przez ekran numerów. Zalśnił symbol ostrzegawczy. Moje obawy zrealizowały się na krótką chwilę. Ktoś rzeczywiście obserwował banki w poszukiwaniu czarodziejskich numerów zapewniających dostęp do każdego rachunku. Potem znak zniknął i rozbłysnął napis: WYBIERZ USŁUGĘ.

Wybrałem wypłatę gotówki.

Maszyna odpowiedziała:

£10

£shadowrun100

£30 spalspalspalspal

£potępionaduszaspredażsprzedażsprzedaż?

£50

£200

£80

£ Inna Suma

Wybrałem inną sumę i wypłaciłem pięćset funtów.

Banknoty wysunęły się opornie i bankomat zwrócił mi kartkę.

Potem maszyna ze smętnym chłupotem wydrukowała rachunek. Był cały czarny i lepił się od tuszu. Rozpadł mi się w palcach pod ciężarem płynu wylanego na cieniutki papier.

Zabrałem pieniądze i uciekłem.

* * *

O dziesiątej rano na Chapel Street Market pachniało już serem, rybami, chińskim zarcie i McDonalodem. To był targ pełen kontrastów. Na jednym końcu słyszało się dźwięki punk rocka dobiegające ze straganu z pirackimi płytami DVD, z budki z francuskim jedzeniem (czy raczej furgonetki z włączonym silnikiem) dobiegał głos mężczyzny śpiewającego nosowo tren o miłości i deszczowym Paryżu, natomiast na stoisku z marychą (bo trudno było inaczej podsumować oferowane tam na sprzedaż fajki, T-shirty, plakaty, a także miny sprzedawców. Wszystko poza samym zielskiem było wyraźnie widoczne); Bob Marley głośno oznajmiał przechodzącym obok zakapturzonym młodzieńcom z osiedla na Kings Cross, że jest głęboko zakochany. Pod smażalnią, w której facet z szerokimi na cal

dziurami w płatkach uszu sprzedawał dorsza z frytkami ochroniarzom z pobliskiej galerii handlowej, przechodziła grupka dziewcząt z miejscowej szkoły średniej, kołyszac się niepewnie na wysokich obcasach w rytm *szak-szak-szak-szak* słyszalnego w ich słuchawkach. Wszystkie pozdrawiały mijających je kolegów, wykrzykując ich przydomki wysokimi, nieoszczędzającymi bębneków głosami. Handlarki ryb rozmawiały ze sprzedawcami podejrzanie wyglądających gnijących owoców, a kramarze oferujący podróbki firmowych ubrań plotkowali z mężczyzną, który nie sprzedawał nic poza butami numer czterdzieści. Szafki z chłodzonymi napojami albo zapachy dobiegające z budki z pieczywem, wciśniętej między sklep telewizyjny a salon tatuażu, wabiły kupujących, odciągając ich od blaszanych półek supermarketu Iceland.

Wędrowałem środkiem targowiska, omijając niesione wiatrem papiery, puste plastikowe torby, warzywa i owoce rozgniecione na nawierzchni, młode, pucułowate matki pchające wózki oraz handlarzy, zachwalających swe towary z niecierpliwą ekspresją. Krążyłem między straganami z papierem pakowym, serem, grzybami, bateriami, pirackimi filmami, pirackimi płytami, starymi książkami (były wśród nich niezliczone tytuły z wydawnictwa Mills&Boon po pięćdziesiąt pensów sztuka), ciastkami, chlebem, wachlarzami, przenośnymi radiami, miniaturowymi telewizorami, szalikami, sukniami, butami, dżinsami, koszulami oraz jakimiś cienkimi jak pajęczyna ciuszkami, wyglądającymi na zbyt lekkie, by choć się wydeły na wietrze. Tutaj moje ubranie nie stanowiło problemu. Różnorodnych zapachów i widoków było tak wiele, że ludzie w ogóle nie zwracali na mnie uwagi.

Odwiędziłem sklep z artykułami z demobilu, gdzie było pełno ciężkich wojskowych butów, siatek maskujących oraz mężczyzn lubiących podobne rzeczy. Potem przyszła kolej na dyskont odzieżowy, sklep z drobiazgami, piekarnię, sklep dla artystów, a na koniec sklep z kostiumami, strzeżony przez tłustego czarno-białego kota siedzącego na wiklinowym krześle ustawionym przed drzwiami. Pod sufitem wisiało tak wiele strojów, że trzeba się było schylić, by wejść do środka, a potem lawirować wśród półek wypełnionych skarpetkami, butami, porożami, starymi grammi planszowymi oraz plakatami imprez sportowych z lat trzydziestych minionego wieku, spiczastymi kapeluszami czarodziejów, a także wszystkimi cudami świata w miniaturowej, przecenionej wersji, ukrywającymi się gdzieś w kurzu.

W sklepie wojskowym kupiłem dwie pary skarpetek, ciemnogrnatowy pulower z tylko kilkoma dziurami, wyglądający na ciepły, oraz scyzoryk z większą liczbą gadżetów, niż ktokolwiek zdołałby to wykorzystać. Były wśród nich takie klasyczne pozycje, jak nóż do czyszczenia ryb, nienadający się do użytku otwieracz do puszek, a także dziwny kolec z otworem na końcu. Nigdy nie potrafiłem odgadnąć, do czego mógłby służyć. W dyskoncie

odzieżowym kupiłem prosty tornister. Podejrzewam, że wrzeszczące pod smażalną dziewczyny zareagowałyby na jego widok pogardą, wyglądał jednak na bardzo solidny. W sklepie z drobiazgami po długotrwałych perswazjach udało mi się nabyć dziesięć surowych kluczy o rozmiarach pasujących do najczęściej spotykanych w mieście zamków, kółko, na którym mogłem je zawiesić, a także mały elektroniczny zegarek, również nadający się do zawieszenia na kółku. W sklepie z artykułami malarskimi zdobyłem trzy puszkowce zbytnie drogą farbą w sprayu. W sklepie z kostiumami znalazłem płaszcz.

Był znakomity - długi, szary i upstrzony podejrzanymi plamami. Pachniał lekko kurzem i starymi przyprawami. Sięgał mi do kolan, a rękawy osłaniały nadgarstki, nawet gdy unosiłem ręce. Miał wielkie, cuchnące, pełne okruchów kieszenie, tu i ówdzie zachowały się resztki impregnacji. Brakowało mu kilku guzików, a jego kolor był ongiś beżowy. Takie właśnie płaszcze wkładali na przestrzeni wieków detektywi, gdy wybierali się śledzić piękną, niebezpieczną i zapewne jasnowłosą podejrzaną. Nie przyciągał niczyjej uwagi. Był bezkształtny, szary i pozbawiony znaków szczególnych. Znakomicie odpowiadał moim celom.

Zapłaciłem i wdziałem płaszcz. Po wyjściu na Chapel Market postawiłem kołnierza, przerzuciłem sobie przez ramię wypełniony zakupami tornister i wmieszałem się w tłum. Nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Podszedłem do stoiska z marychą i nabyłem wielką plastikową fajkę ozdobioną portretem papieża oraz trzema liśćmi trawy na tle flagi Jamajki. Otworzyłem nieśpiesznie tornister i schowałem zakup do środka. Kiedy oddalałem się od stoiska, nikt nawet na mnie nie spojrział. Czując narastające podniecenie, poszedłem do dyskontu z kosmetykami, położyłem fajkę na ladzie i pochyliłem się ku sprzedawcy, Chińczykowi o znużonym wyglądzie.

- Buu! - powiedziałem głośno.

Poderwał się nagle, unosząc odruchowo ręce.

- He? - zapytał, spoglądając na mnie ze strachem w oczach.

Omal nie zatańczyłem w miejscu. Pragnęliśmy bawić się elektrycznością, mieliśmy ochotę ciskać ogniem i krzyczeć z radości, zachwyceni świadomością, że moc nadal działa, że nie zniknęła instynktowna umiejętność władania magią, że wplotła się ona w moje ubranie i skórę, uzupełniając mnie jak za dawnych czasów, czyniąc, jeśli nie niewidzialnym, to przynajmniej całkowicie anonimowym. Mogłem stać się całkowicie niegodny zauważenia, gdy tylko tego zapragnę.

- Prezent - oznajmiłem, wskazując na leżącą na blacie fajkę.

Odróciłem się i wyszedłem, nim zdążył zadać mi kłopotliwe pytania. Chciało się

nam gwizdać z radości.

* * *

O jedenastej dotarliśmy na pływalnię przy Caledonian Road. Nie potrafiłem pojąć, co sobie myślała lokalna administracja, podejmując decyzję o umieszczeniu basenu w rdzewiejącym blaszanym baraku w połowie drogi między dworcem kolejowym a więzieniem. Ważne było tylko to, że w ciemnobrązowym budynku poza basenem pełnym narzekających bachorów, zmuszanych do cotygodniowych lekcji pływania przez łysiego instruktora o haczykowatym nosie znajdę gorący prysznic, kosztujący najwyżej 4,99 funta.

Myśleliśmy dotąd, że niebo to tylko ckliwa bajeczka, stworzona przez ciemnych ludzi.

Stojąc pod prysznicem, gdy woda splukiwała smród śmieciucha z naszej skóry i włosów, z naszych kości, uświadomiliśmy sobie, że byliśmy w błędzie. Niebo znajdowało się na Caledonian Road, pachniało lekko chlorem, miało temperaturę czterdziestu czterech stopni i wypływało pod wysokim ciśnieniem z brudnawego kranu. Moglibyśmy tam zostać przez całą dobę, zwracając głowę pod strumień wody, ale jak zwykle uporczywy strach przed zatrzymaniem się zbyt długo w jednym miejscu, wspomnienie o tym, co może się stać, jeśli znajdą mnie, nim będę gotowy, kazały mi ruszać w drogę.

* * *

Poczułem się gotowy w porze obiadowej. Mokre włosy przylegały mi do twarzy, a nowe ubranie muskało skórę niczym złotogłów.

Poszedłem poszukać kilku starych znajomych.

* * *

Ale okazało się, że nigdzie nie można ich znaleźć.

Próbowałem dzwonić do nich z budek telefonicznych, wyszukując numery w mgiełce pamięci. Najpierw zadzwoniłem do Awana, porządnego, solidnego staruszka, który zawsze był dla mnie miły, okazując typową dla niego oschłą tolerancję. Dowiedziałem się, że nie ma takiego numeru. Potem przyszła kolej na Akute, z którą całowałem się kiedyś po pijanemu pod Waterloo Bridge. To nie była poważna sprawa, zresztą potem dowiedziałem się, że woli blondynów. Staruszka, która odebrała telefon, poinformowała mnie, że przykro jej, ale nigdy nie słyszała o takiej osobie. Gdy zadzwoniłem pod numer, który powinien należeć do Patela, jakiś facet obrzucił mnie obelgami, a ponieważ biuro Pensleya znajdowało się zaledwie kilka minut drogi od Caledonian Road, za York Way, wybrałem się tam na piechotę. Okazało się, że budynek przerobiono na magazyn artykułów kąpielowych.

Zawładnęła mną niepewność przeradzająca się w desperację. Spróbowałem zadzwonić do mieszkania Dany Mikedy.

Telefon odebrał mężczyzna. To był zły znak.

- Słucham?

- Szukam Dany Mikedy.

- Kto mówi?

- Hmm... stary znajomy.

- Jak się pan nazywa?

- Muszę porozmawiać z Daną Mikedą.

- Jakie nazwisko mam jej podać?

- Hmm... - Mało brakowało, bym się przedstawił, ale to nie było bezpieczne. Musieliśmy się upewnić. - Proszę. - To naprawdę ważne.

- Skąd pan dzwoni? - zapytał tamten z wytwornym akcentem. W jego głosie pobrzmiwała determinacja, świadcząca, że upór i agresywność pozwalają mu przewycięzać wszelkie przeszkody. - Kto mówi?

Odłożyłem słuchawkę. Ręka mi drżała. Strach powrócił, straszliwa, gryząca pewność, że ktoś mnie obserwuje, nieznacznie tylko łagodzona przez radosny blask słońca. Został mi tylko jeden numer, pod który mogłem zadzwonić, ale na samą myśl o tym przewracało mi się w żołądku, a przerażenie przeciskało się przez moje żyły niczym drut kolczasty, hamując przepływ gorącej krwi.

Zostało mi tylko jedno miejsce, w które mogłem się udać.

* * *

W centrum Londynu, na obszarze położonym między Wigmore Street na północy a Oxford Street na południu, znajduje się sieć maleńkich krętych uliczek, oraz jeszcze drobniejszych zaułków, pozostałość po czasach, gdy prawie każda ulica w mieście tuliła się do sąsiadek jak pchła do skóry, wpychając mieszkających w tamtejszych murach ludzi do coraz mroczniejszych i ciasniejszych zakątków. Niektóre z tych ulic uzyskały z czasem wyższy status, sprzedaje się na nich lepszą herbatę i bardziej eleganckie buty niż w sklepach dyskontowych i wielkich supermarketach, górujących nad samą Oxford Street niby złowieszcze kurhany usypane nad rzeką bogactwa. Inne uliczki zachowały mroczniejsze tony przecenionej tandety, jaką cechuje się wiele towarów na Oxford Street. W cieniach między tymi ulicami można było znaleźć dziwaczne, używane komputery, pizzę o osobliwym smaku, na której czasem trafiała się sierść, a także niezwykle sklepy z bielizną dla kobiet znajdujących i

pracę, i zabawę, podejrzane przychodnie akupunktury oraz niezarejestrowane „szkoły angielskiego”.

Znajdowała się wśród nich „Jaskinia cudów, tajemnic i niezwykłości”. Z zadowoleniem zauważyłem, że nadal jest na miejscu. Nad otwartymi drzwiami kołysał się mały drewniany szyld. Płynąca ze środka przemożna woń kadzidła oraz zakurzonych dywanów uderzała w nos z taką siłą, jakby chciała sprowokować walkę na poduszki. Przybytek czał się między małą księgarnią a pubem o oknach z matowego szkła i murach pomalowanych ciemną farbą olejną. Budynek wyglądał tak, jakby się wstydził, że tu stoi. Ja również się wstydziłem, wchodząc do środka, powiedziałem sobie jednak, że to dla dobra sprawy, zaczerpnąłem głęboki haust świeżego powietrza i ruszyłem w dół.

Zejsście zaczynało się jako jasna klatka schodowa o białych ścianach, ale jego charakter zmieniał się szybko. Za gobelinem pokrytym pseudomistycznymi symbolami zaczynały się matowe czerwonobrazowe ściany i gładkie parkiety, a z maleńkich głośniczków umieszczonych wysoko na ścianach sączyło się niesamowite nosowe zawrozczenie. Panowała tutaj też zupełnie inna aura. Brzęczący gwar magii stawał się cichszy i spokojniejszy, przypominał raczej nieuchwytny dotyk czarnego jedwabiu muskającego zmysły, niż gwałtowne wrażenie, jakie zwykle kojarzy z „Jaskinią”. Ogarnęła mnie podejrzliwość.

Recepcja zawsze wyglądała tu byle jak - plastikowe ławy i wystrzępione, zeszlóroczne egzemplarze „Magic and Miracles” - „**DROGA KU PRAWDZIE!!!!** Wyłączny wywiad z *****Nieskończoną Mocą***** dotyczący zalet prawidłowych metod przywoływania!!!”.

Te raczej nieprzyjemne obiekty ustąpiły obecnie miejsca obitym czarną skórą sofom oraz srebrnym popielniczkom zawierającym kulki poskramiacze stresu. Podeszedłem do recepcjonisty, skwaszonego faceta ubranego w obcisłe skórzane spodnie i niewiele więcej.

- Chcę się zobaczyć z Khanem - oznajmiłem.

- He?

Nie odrywał spojrzenia od czasopisma, którego treść najwyraźniej ograniczała się do piersi i tego, co Brad zrobił później.

- Chcę się zobaczyć z Khanem - ponowiłem próbę. - Po co wam te kulki?

Na nagich, opalonych plecach miał wytatuowanego pegaza rozpościerającego skrzydła. Na jednym z ramion ktoś napisał czarnym i czerwonym atramentem CZARODZIEJ.

- Przepraszam? - zapytałem cierpliwie. - Po co wam te kulki?

- Oczyszczają aurę przed odczytem - odparł, nadal wlepiając spojrzenie w artykuł opisujący „Jak wyrwałem Cheryl!!”.

- Co oczyszczają?

- Aurę. Jest pan umówiony?

- Nie.

- Trzeba się umówić.

- Chcę tylko pogadać z Khanem. Co to znaczy „oczyszczają aurę”.

- Przed odczytem trzeba być w stanie zen. Oczyszczyć sobie głowę, by móc usłyszeć prawdę, jasne? - wymamrotał wzgardliwym tonem.

Zastanowiłem się nad jego słowami i doszedłem do jednego wniosku, jaki podsuwało mi całe życie doświadczeń z magią oraz wiele lat poświęconych ponadprogramowej mistycznej działalności.

- Przecież to... pic na wodę - stwierdziłem, licząc na to, że będzie skłonny się zgodzić.

- To nie mój problem. Chce się pan umówić?

- Nie. Chcę pogadać z Khanem.

- Nie ma tu nikogo o tym nazwisku.

- On jest właścicielem tego lokalu.

- Hmm. Przykro mi, kolego, na pewno chodzi o kogoś innego. Tu nie ma żadnego Khana.

Nadal nie zwracał na nas uwagi. Nie byliśmy skłonni tolerować braku szacunku. Pochyliliśmy się nad ladą, złapaliśmy go jedną ręką za gardło i przyciągnęliśmy jego twarz na odległość cała od naszej.

- Chcemy pogadać z tym, kto jest tu kierownikiem! - wysyczeliśmy. - Natychmiast!

Zacharczał, szarpiąc mój nadgarstek. Mieliśmy ochotę zobaczyć, jak oczy wyłażą mu z orbit jeszcze nieco bardziej, zwolniłem jednak uścisk i pchnąłem recepcjonistę na krzesło.

- Może lepiej po prostu tam pójść - zasugerowałem z uśmiechem. Miałem nadzieję, że wyrażał on przeprosiny połączone ze stanowczością.

Złapał się za szyję, krztusząc się głośno. Pokiwałem uprzejmie głową, ominąłem go i rozchyliłem zasłony, wchodząc w mrok za nimi.

* * *

Irytujące, nosowe zawrozenie było tu jeszcze głośniejsze, a woń taniego kadzidła przyprawiała niemal o zawroty głowy. Oczy szczypały mnie od gęstego dymu buchającego ze wszystkich kątów. Było tu tylko jedno źródło światła: jarząca się białym blaskiem kryształowa kula na ustawionym pośrodku stole. Nie tyle oświetlała pomieszczenie, ile odpychała nieco cienie, tworząc małą, otoczoną mrokiem plamę. Nie zwracałem sobie nią głowy. Kolor i widmo światła świadczyły, że kulę napędza prąd z sieci, a nie coś, co można

by uznać za magię. Zza drugiej zasłony z grubego czarnego aksamitu dobiegł głos, brzmiący jak szelest śniegu osuwającego się z górskiego stoku.

- Witam, skoro zdołałeś dotrzeć tak daleko.

Odsunąłem zasłonę.

Na ustawionym pod ścianą krześle obitym czerwonym jedwabiem siedziała kobieta. Kłęby kadzidlanoego dymu zasłaniały ją w znacznym stopniu. Splotła zgrabnie dłonie na kolanach, a na stoliku przed nią leżała talia kart. Na żadnej żywej istocie nie widziałem tak wielu złotych medalionów i tombakowych łańcuchów. Bizuteria zwisała ze stroika niepewnie spoczywającego na ufarbowanych na czarno włosach, kołysała się przed pokrytą grubą warstwą makijażu twarzą, spoczywała na barkach i ramionach, pobrzękiwała na palcach, spływała w dół wzdłuż ciała, otaczała kostki nóg i opadała na bose stopy o pomalowanych paznokciach. Każdemu z delikatnych ruchów kobiety towarzyszyły brzęki, blaski i odbicia.

- Czy nie zechcesz usiąść, skoro tak bardzo pragniesz, by przepowiedziano ci przyszłość? - zapytała, nie odrywając wzroku od kart.

- Co to ma znaczyć, do cholery? - warknąłem, rozkładając szeroko ręce w geście niedowierzania.

- Mistyka często nas zaskakuje...

- Nie, pytam poważnie, co tu jest grane, do licha? Gdzie się podział Khan? Po co ci te wszystkie błyskotki i świecąca w ciemności kryształowa kula? Kim jest ten facet w obcisłych portkach? O co chodzi z tym kadzidłem i tak dalej? Co to właściwie za lokal?

Przez bardzo krótką chwilę sprawiała wrażenie zaskoczonej. Potem na jej twarz powrócił wyraz na wpół religijnego transu. Uniosła dłonie przed twarz, mącąc obłoki dymu, i rozciągnęła szkarłatne wargi w błogim uśmiechu.

- Przepowiadam przyszłość - zaintonowała. - Jestem tu po to, by umożliwić ci...

- Gdzie jest Khan?

- By umożliwić ci wgląd...

- Wsadź sobie w dupę wgląd w tajemnicze mgły pierdolonego czegośkolwiek. Chcę pogadać z Khanem, i to natychmiast, do cholery!

Zawahała się. Na jej pogodnej twarzy pojawił się przelotnie wyraz czegoś autentycznego.

- Dlaczego go szukasz? - zapytała nieco rozsądniejszym tonem, w którym pobrzmiwała nuta akcentu z Peckham.

- Czy wiesz, kim jest Khan?

- To król, cesarz, władca...

- Nie mam czasu na takie wygłupy!

Znieruchomiała. Tym razem nie próbowała wracać do poprzedniej roli. Na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Łypnąłem ze złością na kobietę, ostrzegając ją przed mamrotaniem dalszych bzdur. Miałem wielką ochotę czymś w nią rzucić. Po chwili z jej ust wyrwało się westchnienie - w połowie śmiech, a w połowie wyraz zdziwienia.

- Po co tu przyszedłeś? - zapytała znacznie wyraźniejszym i dźwięczniejszym głosem.

- Co wiesz o Khanie?

- Cholerny Alfred Khan - warknąłem. - Jasnowidz. Potrafił przepowiadać pieprzoną przyszłość. Mógłbym też dodać, że ty tego nie potrafisz.

W jej oczach błysnął gniew. Wstała i podciągnęła spódnicę jednym wprawnym ruchem.

- Uważaj! - zawołała. - Nikt cię tu nie zapraszał.

Potem, ku naszemu zaskoczeniu, podeszła bliżej i spojrzała nam w oczy. Następnie zaczerpnęła głęboko tchu przez zaciśnięte zęby.

- No cóż, w takim razie... - wyszeptała.

Uniosła rękę ku mojej twarzy. Odruchowo złapałem ją za nadgarstek i poczułem nieprzyjemny dotyk zimnych bransolet.

- Powiedz mi, gdzie jest Khan? - zażądałem, z trudem panując nad głosem.

Zawahała się, po czym rozciągnęła usta w bladym, pozbawionym wesołości uśmiešku.

- Alfred Khan nie żyje od dwóch lat - oznajmiła. - Nie jesteś na bieżąco. Czy mogę zrobić dla ciebie coś jeszcze? Oczyszczenie aury, mistyczna wróżba, ujawnienie świętych tajemnic? Nie?

Puściłem jej rękę, nim zdążyłem zapomnieć, że ją trzymam. W zasadzie nie byliśmy zaskoczeni, ale nie wiedziałem, co teraz zrobić, co powiedzieć, jak właściwie powinienem się zachować. Dlatego nie zrobiliśmy nic. Czekaliśmy na nadejście jakiejś emocjonalnej reakcji, pragnąc się dowiedzieć, jak przyjmimy taką wiadomość: czy będziemy płakać, krzyczeć, czy się rozgniewamy, czy może nie poczujemy nic. Mieliśmy nadzieję na łzy, bo to byłaby najbardziej ludzka odpowiedź. Moje oczy pozostały jednak suche, a usta nie potrafiły odnaleźć słów.

Kobieta gapiała się na nas. Ona również chciała zobaczyć, jak to przyjmujemy. Usiedliśmy na wyściełanym jedwabiem taborecie. Patrzyła na nas z góry w ciasnym pomieszczeniu, unosząc dumnie głowę. Pomyślałem, że ma może ze trzydzieści pięć lat. Żółtawą barwę oczu zawdzięczała szkłom kontaktowym, a pod stroikiem z pewnością

skrywały się odrosty blond włosów. Czekala, aż wiadomość do nas dotrze, a spokojne wody niezrozumienia przerodzą się w bulgoczące morze żenującego uzalania się nad sobą.

- Dobrze znałeś Khana? - zapytała po chwili.

- Można by tak powiedzieć.

- Byłeś jego klientem?

- Kiedyś odczytał moją przyszłość z lotu plastikowej torby - odpowiedziałem ze wzruszeniem ramion. - Dostrzegał tajemnice czasu w śladach samolotów na niebie albo w rzęsie unoszącej się na powierzchni kanału. Wtedy to brzmiało dla mnie jak pretensjonalne bzdury, ale spoglądając wstecz...

- I co ci powiedział? - zapytała.

Uśmiechnąłem się mimo woli. Przyglądałem nerwowo schnące włosy.

- Powiedział: „Hej, stary, mówię ci, na sto procent kopniesz w kalendarz”.

- To do niego podobne - przyznała. - Takt nie wchodził w zakres jego usług.

- Miał rację. - Skrzywiłem się ze złością. - Miał cholerną rację.

Na chwilę zapadła cisza.

- Naprawdę nie wiedziałeś o jego śmierci? - zapytała wreszcie kobieta.

- Nie. Nie było mnie tutaj.

- Minęły już dwa lata - powtórzyła. - Teraz to mój lokal.

- Nie jesteś jasnowidząca - warknąłem. - Jak możesz wciągać w płuca tyle dymu?

Wzruszyła ramionami.

- Wiem, co ludzie chcą usłyszeć. Mam wystarczająco wiele rozumu, żeby ich przejrzeć, znakomite maniere i ochrypy, zmysłowy głos.

- I to w dzisiejszych czasach wystarczy?

- Wiem też wiele rzeczy - dodała bardziej stanowczym tonem.

- Użytecznych?

- Potrafię rozpoznać maga.

Uniosłem nagle wzrok i zobaczyłem, że kobieta gapi się na mnie.

- Ehe - zgodziłem się po chwili. - Pewnie potrafisz. Ale i tak nie zarabiasz za dużo, prawda?

- Przyszedłeś tu, żeby wysłuchać wróżby, maga, czy chodzi ci o coś innego?

Rozciągnąłem usta w wymuszonym uśmiechu.

- Nigdy nie wierzyłem we wróżby, nawet w wykonaniu Khana. Zbyt wiele w nich fatalizmu.

- Nawet najlepiej przepowiedzianej przyszłości można uniknąć. - Wzruszyła

ramionami z głośnym brzękiem. - Swoją drogą, nie lubię, gdy ktoś wdziera się tu nieproszony, nawet jeśli jest magiem. To nieuprzejme i nieprofesjonalne.

- Nie miałem dobrego dnia.
- To kiepskie usprawiedliwienie. Wstań. Chcę ci się przyjrzeć.
- A po co?
- Masz ciekawe oczy.
- Naprawdę?
- Bardzo niebieskie.

Zaskoczyło nas, że to zauważyła. A więc nie była zupełnie głupia. Być może dostrzegła w naszych oczach sygnał ujawniający naszą prawdziwą naturę każdemu, kto śmiał go ujrzeć.

- I to cię zaciekawiło? - zapytałem. Chciałem zyskać na czasie, a nie przychodziło mi do głowy nic bardziej inteligentnego.

- Interesuje mnie wszystko co niezwykle.

Złapała mnie za nadgarstki równie gwałtownie, jak przedtem ja złapałem ją. Byłem już zbyt odrętwiały, by się opierać. Odwróciła moje dłonie i przyjrzała się ich wewnętrznym powierzchniom, a także palcom, kłykciom, paznokciom i żyłom nadgarstka. Potem obróciła dłonie raz jeszcze i odrzuciła je jak zgniłe kartofle. Następnie objęła moją twarz. Jej dotyk był pozbawiony uczuć, jak dotyk lekarza badającego obrzęk. Obracała mi głowę w obie strony, sprawdzała kolor oczu, kształt uszu, a nawet stan zębów i woń oddechu.

Wtem jej palce dotarły do mojego gardła i wpiły się w nie, unosząc podbródek. Na skórze zostały półksiężycowate, krwawiące ślady. Zakrztusiliśmy się lekko, odruchowo sięgając po elektryczny ogień, zawsze płonący wewnątrz. Palce nie zapuściły się jednak głębiej. Powstrzymałem się, pełen niepewności.

- Czarnoksiężnik - wysyczała. Jej twarz dzielił od mojej tylko cal.
- Po czym to poznałaś? - zapytałem, choć wciskała palce w moją szyję.
- Już ci mówiłam, że wiem wiele rzeczy. Znam zapach magii. Ty nie tylko się nią bawisz. Pływasz w niej, oddychasz nią. Miejski czarnoksiężnik w moim zakładzie? Kim jesteś?

Nie odpowiedziałem. Wzmocniła uścisk. Do mojej głowy napłynęła fala gorąca. Czulem pulsowanie krwi w tętnicach.

- Nie jestem bezbronna - dodała. - Nie wątpię, że to rozumiesz.
- Absolutnie - wychrypiałem. - Czy tak samo traktujesz wszystkich gości?
- Jak się nazywasz?

- Swift - odparłem. Ucieszyłem się, że tak łatwo przypomniałem sobie własne nazwisko. - Nazywam się Matthew Swift.

Złagodziła na chwilę uścisk, z zaskoczenia, nie celowo.

- Matthew Swift - powtórzyła bez wyrazu.

- To ja. Ta-da!

- Chcesz mi powiedzieć, że nazywałeś się Matthew Swift?

- Czy to źle?

- Jesteś trupem, Matthew Swift.

- Z pewnością klienci walą tu tłumnie, by wysłuchać twoich wróżb.

- To nie wróżba tylko stwierdzenie faktu.

- Prorokom opłaca się przemawiać mętnie, zwłaszcza w dzisiejszych, pełnych pieniądza czasach.

- Źle mnie zrozumiałeś - oznajmiła. Jej oddech muskał mi skórę. - W tej chwili, gdy tu ze sobą rozmawiamy, jesteś gnijącym w ziemi trupem.

Wzruszyłem ramionami.

- Najwyraźniej się mylisz.

- Matthew Swift - rzekła powoli. - Czarnoksiężnik nazwiskiem Matthew Swift zginął przed dwoma laty.

- Mam pytanie! - zawołałem, unosząc nieśmiało rękę. - Czy widziałaś zwłoki na własne oczy?

Zawahała się.

- Sama widzisz.

- Nikt, kto stracił tak wiele krwi, nie może przeżyć.

Opletliśmy ostrożnie palce wokół jej palców i zaczęliśmy zdejmować je ze swego gardła.

- Zastanów się nad czymś. Jeśli, mówiąc hipotetycznie, jestem tym samym Matthew Swiftem, który dwa lata temu padł ofiarą ataku i konał, leżąc we własnej krwi, gdy napastnik oddalał się z zadowoleniem, przekonany, że żaden lekarz w żadnym szpitalu na świecie nie załata tak wielkiej dziury w sercu, jeśli, powiedzmy, jestem człowiekiem, który potrafi przeżyć coś takiego i stanąć teraz przed tobą, to czy nie powinnaś mieć więcej obaw przed grożeniem mi?

Zdjęliśmy ze swej szyi ostatni palec i ostrożnie odepchnęliśmy jej dłoń na bok. Wciągnęła oddech, pobrzękując lekko.

- Jak Swift zdołał przeżyć? - zapytała.

- Z trudem.

- To niemożliwe...

- Ehe - zgodziłem się stanowczo. - Niemożliwe. Czy teraz mi powiesz, co spotkało Khana?

Milczała.

Uśmiechnąłem się tak błogo, jak tylko potrafiłem. Ogarnęła mnie osobliwa pogoda ducha. Przez intensywną woń kadzidła i ciągle nosowe zawrodozenie przebijała się świadomość, że moja sytuacja jest tak zła, jak to tylko możliwe. W związku z tym rozum podpowiadał, że od tej pory może być jedynie lepiej. Wreszcie udało mi się osiągnąć stan bliski spokoju.

- Poderżnięto mu gardło - odpowiedziała po dłuższej chwili. - Wiedział, co go czeka, ale nie był w stanie tego powstrzymać. Oto prawdziwa moc. Zabić człowieka, nawet gdy zna wszystkie szczegóły własnego zgonu. To wyjątkowo okrutna śmierć. Jeśli rzeczywiście jesteś Swiftem, to gdzie się podziewałeś przez te dwa lata?

- Tu i ówdzie.

- Codziennie udzielam klientom wieloznacznych odpowiedzi, panie Swift. Nie próbuj, proszę, pokonać mnie moją własną bronią.

- Masz rację. Nie będę próbował cię zwodzić jakąś wymyśloną historyjką. Po prostu nie powiem ci, gdzie byłem ani jak tam trafiłem. Czy to cię satysfakcjonuje?

- Nie.

- To fatalnie.

- Potrafisz dowieść, że jesteś tym, za kogo się podajesz?

- Nie potrafię - przyznałem po chwili zastanowienia.

- Nie potrafisz - powtórzyła, wykrzywiając usta w paskudnym grymasie. - Pewnie, że nie potrafisz.

- Nie potrafię - warknąłem przez zaciśnięte zęby - ponieważ straciłem wszystko, co posiadałem. Wszystko, co uważałem za swoje, wszystkich ludzi, których znałem... nie, nie potrafię niczego dowieść. Jesteś beznadziejną prorokinią - dodałem.

- Moja opinia o tobie też raczej nie sięga szczytów - odparła. - Dlaczego chciałeś się spotkać z Khanem?

- To moja sprawa.

- Chciałeś go prosić o pomoc?

- Nieważne.

- W takim razie, czego chcesz?

Gdy jej odpowiedzieliśmy, w ogóle nie zauważyłem, że coś powiedziałem. Słowo wymknęło się z ust naturalnie jak oddech.

- Zemsty. - Gdy już słowo padło, zabrzmiało tak oczywiście, szczerze i pocieszająco, że nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego nie powiedziałem go wcześniej. - Chcę zemsty.

- Na kim?

- Na tym, kto mnie zaatakował. Kto mnie zostawił na śmierć. I... i na tym, kto przywołał nas z powrotem.

Zawahała się, przesuając spojrzenie przymrużonych oczu to w tę, to we w tę. Palce jej dłoni wystukiwały cichy werbel, a biżuteria dźwięczała jak dzwonki wiatrowe.

- Gdzie byłeś? - wyszeptała kobieta. Odnosiłem wrażenie, że pytanie nie było skierowane do mnie. - Masz jakiś plan? - zapytała wyraźniej.

- Jeszcze nie.

- Czy ktoś wie, że jesteś... że podajesz się za Swifta?

- Nie. Jeśli komuś powiesz...

- To co mi zrobisz? - warknęła ze złością.

- Zabijemy cię - odpowiedzieliśmy ze spokojem. - Wobec nas jesteś niczym. Możemy cię zmiażdżyć jak przypadkowy szum w przewodzie. Zabijemy cię. Przykro mi z tego powodu, ale tak to już jest.

Nie sprawiała wrażenia przestraszonej, okazywała raczej ciekawość.

- To ciekawe - wydyszała, przekrzywiając głowę.

- Naprawdę?

- Ciągłe mówisz o sobie „my”.

Wzruszyłem ramionami.

- Być może potrafię ci pomóc... Matthew Swift.

- Jak?

- Mam... znajomych. Ludzi, z którymi łączą mnie interesy.

- Dlaczego miałybyś mi pomagać?

- Możemy osiągnąć wzajemne korzyści.

- Właściwie nie jestem zainteresowany.

Odwrociłem się i sięgnąłem ku zasłonie. Kobieta złapała mnie za rękę, jej palce wpiły się w moją skórę. Spłoszyliśmy się odruchowo, poruszając palcami w poszukiwaniu mocy, gotowi uderzyć, wyczuła jednak nasz strach i cofnęła dłoń.

- Matthew Swift i Alfred Khan nie są jedynymi ludźmi, którzy zginęli w ostatnich latach. Wiesz o tym? Pytałeś o to? Jeśli chcesz się dowiedzieć, kto jeszcze stracił życie i

dlatego to się stało, przyjdź o dziewiątej wieczorem do Oka. Wiele się zmieniło. Być może o tym nie wiesz. Są nowe zasady, nowe... groźby.

- Połapię się w tym.

- Znasz Roberta Jamesa Bakкера? - Byłem już w połowie drogi do drzwi, ale usłyszawszy jej słowa, stanąłem jak wryty. - Myślę, że znasz.

- Dlaczego się nim interesujesz?

- Jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś więcej o Bakkerze, o tym, co uczynił i kim się stał, to właśnie z nami musisz pogadać. Możemy ci się bardzo przydać.

- I ja wam również, tak? - zapytałem z wymuszonym uśmiechem. Jej zimne spojrzenie było wystarczającą odpowiedzią. - Zastanowię się nad tym. Do widzenia, droga pani. Zapamiętaj, proszę, o czym mówiliśmy.

Wyszedłem.

* * *

Bez względu na to, czy byłem zainteresowany propozycją wróżki, kilka rzeczy, których się od niej dowiedziałem, skłoniło mnie do zastanowienia.

Skierowałem się ku rzece, nie wiedząc właściwie dlaczego. Przeszedłem przez Middle Temple Inn, gdzie było mnóstwo starych drzew, wysokich ceglanych budynków, otwieranych pionowo okien, brukowanych ulic, zamkniętych podwórek, prawników i aktorów filmowych w kostiumach z czasów od roku mniej więcej 1580 aż do współczesności, grających w jakichś historycznych filmach (najczęściej na podstawie Dickensa). Idąc w stronę Blackfriars Bridge, dotarłem do posępnej, betonowej strefy pełnej krętych, krytych zaułków, ruchliwych ulic, tuneli i nadziemnych przejść dla pieszych łączących ze sobą Blackfriars Bridge i London Bridge po północnej stronie rzeki. Szedłem w słabym, żółtym blasku latarni, obserwując swój cień padający na ściany. Słuchałem odległego łoskotu samochodów przejeżdżających przez labirynt jednokierunkowych ulic oraz tuneli, powstały po wojnie między tym, co ocalało z historycznej zabudowy, a nowymi, brzydkimi, kanciastymi budowlami, nadającymi krętym trasom miasta jeszcze bardziej nieprawdopodobne kształty. Chodnik pod moimi nogami drżał, gdy dołem przejeżdżały pociągi metra zmierzające do Monument Station, na górze zaś pociąg do Farringdon posuwał się korytarzem między ciasno upakowanymi przy torach budynkami.

Dotarłem do maleńkiego podwórka wyłożonego płaskimi kamiennymi płytami. Między ogromnym magazynem a biurowcem o szybach z czarnzielonego szkła ustawiono tam betonowe skrzynki z zapyziałymi krzaczkami. Usiadłem na ławce, spoglądając na płynącą za żelaznymi poręczami rzekę. Był odpływ i woda pluskała o szeroką plażę. Brązowy

piasek mieszał się na niej z kamykami, wałało się tam też mnóstwo pustych butelek i plastikowych opakowań. Za kilka godzin woda się podniesie, docierając do wysokiego kamiennego muru, na szczycie którego znajdowało się podwórko. Zielona linia wodorostów tworząca znak wody wysokiej znajdowała się około metra poniżej moich stóp.

Siedziałem spokojnie, patrząc na wzbierającą wodę i kontemplując własną sytuację. Ogarnęło mnie lekkie rozczarowanie na myśl, że tak niewiele się tu zmieniło. Nie było plakiety pamiątkowej, bukietu zwędzonych kwiatów przywiązanego do poręczy, czy choćby ciemnej plamy na kamieniach w miejscu, gdzie wylało się tak wiele mojej krwi. Nawet na budce telefonicznej, która się skryła w kącie, jakby wstydziła się pokazywać publicznie w epoce telefonów komórkowych, nie umieszczono karteczki z nabazgranymi dziecinnym pismem słowami „byłem tutaj”. Widziałem tylko zwyczajowe wizytówki reklamujące seks, a także - ponieważ byłem w chełpiącym się własnym herbem City - grupy wsparcia oferujące ćwiczenia jogi zestresowanym bankierom. Zapewne kosztowały nieco więcej niż bardziej prozaiczna alternatywa.

Ciekawość skłoniła mnie do podniesienia słuchawki. Nie było nawet sygnału, nie wspominając już o dźwiękach, jakie usłyszałem, gdy byłem tu poprzednio. W budce śmierdziało moczem i brudem. Czuję się rozczarowany, że moje paznokcie, którymi drapałem rozpaczliwie słuchawkę, próbując wykręcić numer, nie zostawiły żadnego śladu dla potomności. Kilkakrotnie kopnąłem telefon piętą, aż wreszcie z niechęcią wydał mi dwa czterdzieści drobnymi. Wróciłem na ławkę, by się zastanowić, co mogę za to kupić. W tym mieście zapewne niezbyt wiele.

Zbliżał się przypyływ. Cienie zwracały się teraz w przeciwnym kierunku. Wstałem i ruszyłem w dalszą drogę dopiero wtedy, gdy znowu zaczął siać deszcz. Od zimnej mżawki dostałem gęsiej skórki. Nie miałem pewności, czy odwiedzenie miejsca własnego zgonu było dobrym pomysłem, ale prędzej czy później zapewne i tak bym to zrobił, choćby tylko po to, by się przekonać na własne oczy, że to się wydarzyło naprawdę. Nikt nie pamiętał, że właśnie tutaj Matthew Swift czołgał się po mokrych kamiennych płytach do budki telefonicznej, wlokąc za sobą narządy wewnętrzne. Rano znaleziono tylko zakrwawione ubranie i kawałki skóry.

Doszliśmy do wniosku, że fakt, iż o moim poprzednim wcieleniu zapomniano, może mieć pewne zalety, nawet jeśli wyglądało na to, że nazwisko czarnoksiężnika, którym kiedyś byłem, nadal uważano za godne zapamiętania. Z pewnością widok miejsca mojego zgonu sprawił, że to, co zamierzaliśmy uczynić, wydało się nieco łatwiejsze.

Resztę dnia poświęciłem na czytanie gazet w miejscowej bibliotece. Świat przeobraził

się na różne sposoby, które bardzo trudno mi było pojąć: zmiana reżimów, upadki rządów, śmierć sław; nowe gwiazdy, nowe seriale, nowe porządki i idee. Telefony stały się mniejsze, komputery szybsze, życie bardziej przepełnione, a światy pomieszane ze sobą. Inne sprawy pozostały jednak bez zmian. Temperatura nadal się podnosiła i słyszało się takie same narzekania na podatki, służbę zdrowia, transport albo skandale.

O dziewiątej znalazłem się przy Londyńskim Oku.

Nie było jakiejś konkretnej chwili, w której podjąłem decyzję, że tam właśnie pragnę się udać. Być może po prostu nie miałem dokąd pójść.

Zapłaciłem za bilet i ustawiłem się w kolejce razem z turystami pragnącymi zobaczyć miasto nocą. Tłum był gęsty. Siąpiący cały dzień deszczyk oczyścił powietrze i po zapadnięciu zmierzchu, ze szczytu wielkiego, białosrebrnego koła można było ujrzeć widoki ciągnące się od wzgórz North Downs aż po Alexandra Palace.

Nie zawracałem sobie głowy wypatrywaniem tych, którzy chcieliby ze mną porozmawiać. Jeśli byli warci mojej uwagi, sami mnie znajdą. Poza tym, z pewnością bym tu nie przyszedł, gdyby nie tłum. W cizbie można znaleźć bezpieczeństwo, pod warunkiem, że przeciwnik przestrzega zasad.

Wybrałem kabinę z grupką japońskich turystów, którzy krzyczeli głośno, gdy pod nami znalazły się jasno oświetlone budynki Parlamentu, zachwycali się światłami na Victoria Embankment odbijającymi się w wodzie, robili zdjęcia płam światła ciągnących się na północ, aż po ciemny obszar Primrose Hill, gapili się na oświetlone na fioletowo i zielono ściany National Theatre, wskazywali palcami Tower Bridge i przepychali się, by zobaczyć BT Tower górującą nad West Endem. Towarzyszyła nam też rodzina pochodząca, sądząc po akcencie, z południowo-wschodniej Anglii. Najmłodsza córka dopiero teraz odkryła, że boi się wysokości.

Jeśli chodzi o nas, siedzieliśmy na ławce pośrodku kabiny, patrząc na rozpościerające się w dole miasto. Czuliśmy się jak Bóg. Nigdy dotąd nie widzieliśmy nic równie pięknego. Nie potrafiliśmy sobie wyobrazić większego bogactwa magii.

Gdy kabina ruszyła w dół, personel nie wpuszczał już nowych klientów, przygotowując się do zamknięcia Koła na noc. Kiedy dotarliśmy na miejsce, turyści wysiedli, ale ja zostałem na miejscu. Nikt mnie nie wyganiał.

Usłyszałem kroki i świst zamykających się drzwi kabiny. Rzeka znowu zaczęła się oddalać. Ruszyliśmy w górę.

- Piękna noc, nieprawdaż? - odezwał się ktoś za moimi plecami. - Jeśli ktoś jest sentymentalny, takie widoki mogą go skłonić do recytowania wierszy.

Wzruszyłem ramionami, otulając się szczelniej płaszczem. Ponownie wpatrzyłem się w rozpościerające się na dole morze światła. Sądząc po odgłosie kroków, nieznanym było dwóch. Ten, który się odezwał, miał gruby, zdyszany głos przywodzący na myśl parskanie morsa. Jego ton świadczył o dobrym wykształceniu, był wręcz przesadnie kulturalny. Sugerował wiedzę tak rozległą, że tłumiła głos zdrowego rozsądku. Mężczyźnie towarzyszył również zapach. Woń drażniła moje zmysły: intensywna, lecz subtelna nuta magii o tonie kremowych krakersów i barwie lśniącego oleju. Uświadomiłem sobie jednak, że ten zapach nie pochodzi od niego, lecz od jego towarzysza, którego odbicie widziałem w szybie kabiny na tle nocy: młody Azjata w eleganckim garniturze, splatający przed sobą dłonie, stał przy zamkniętych drzwiach, jakby były wrotami do skarbcza. Odbicie przyglądało mi się z równą uwagą, jak ja jemu.

Pierwszy mężczyzna usiadł na ławce obok mnie, doszedłem więc do wniosku, że młodszy, bez względu na zapach, jest tylko pomocnikiem.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nam za złe zwłoki - odezwał się.

- Nie mam.

- Umówić się z kimś, a potem kazać mu czekać, to skandaliczna nieuprzejmość. Obawiam się jednak, że nie żyjemy w tak kulturalnych czasach, panie Swift. To wszystko przez telefony komórkowe, oczywiście.

Odwrociłem się, by mu się przyjrzeć. Był gruby. Nie da się tego inaczej określić. Jego brzuszysko rozciągało błyszczącą kamizelkę na podobieństwo grodzi statku. W każdej chwili groziła eksplozja guzików. Miał na sobie garnitur w delikatne prążki - piękny krój pomagał zamaskować ogromne rozmiary właściciela. Twarz, widoczna nad tłustym słupem szyi, miała przyjazny wyraz, błyszczące oczy spoglądały spod krzaczastych brwi. Oprócz nich na wygolonej głowie nie było żadnych włosów. Mężczyzna miał na serdecznym palcu obrączkę, a na nogach czarne skórzane buty. Poza nimi nie zauważyłem przy nim nic godnego uwagi. Przyglądał się mnie tak samo, jak ja jemu.

- Ojej, tak, podobieństwo jest naprawdę nadzwyczajne, nieprawdaż? - odezwał się mniej więcej w tej samej chwili, gdy doszedłem do ostatecznych wniosków na jego temat.

- Podobieństwo?

- Do naszego drogiego, zmarłego czarnoksiężnika Matthew Swifta.

- Aha.

- Choć, o ile mi wiadomo, on nie miał braci.

- Nie mam ich.

- Oczywiście, oczywiście - zgodził się. - W gruncie rzeczy, o ile sobie przypominam,

nie ma pan żadnych żyjących krewnych?

- Mam babcię w domu opieki.

Przeszyło mnie nagle poczucie winy. Do tej pory w ogóle nie zastanawiałem się nad tym, czy babcia jeszcze żyje.

- Naprawdę?

- Była tam, kiedy ostatnio sprawdzałem.

- Często ją pan odwiedza?

- Ona lubi rozmawiać tylko z gołębiami - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- Rozumiem. Wielka szkoda.

- Pozwalają jej ze sobą latać. Przynoszą jej wszystkie wieści. To nie jest smutne.

Znowu się uśmiechnął, ale tym razem bardziej nerwowo, mniej przyjaźnie i zapewne z tego powodu szczerzej.

- Prawda, prawda - mruknął. - Niech mi pan wybaczy, zachowuję się okropnie nieuprzejmie. Powinniśmy się sobie przedstawić, nim przejdziemy do spraw osobistych.

- Wie pan, kim jestem.

- Wiem, za kogo się pan podaje. I wiem też, na kogo pan wygląda, a to coś całkiem innego. Ja się nazywam Dudley Sinclair i czuję się zaszczycony, że mogę pana poznać.

Wyciągnął rękę i uściśnął ją po krótkiej chwili wahania. Jego zimne, wilgotne palce zaciskały się na moich nieco dłużej, niż pozwalała na to uprzejmość. Wyrwaliśmy dłoń.

- Zna pan wróżkę?

- Mój drogi chłopcze, ja znam wszystkich. Na tym właśnie polega moje zajęcie.

Nie potrafiłem nic na to powiedzieć, wróciłem więc do kontemplacji odbić obu mężczyzn, widocznych na tle łuny miejskich świateł.

- Tak, tak - mruknął. - Oczywiście. - Na jego twarz powrócił uśmiech, który, choć sięgał od ucha do ucha, jakimś cudem nie odsłaniał ani jednego zęba. - No cóż, tak, to doprawdy fortunate spotkanie. W rzeczy samej. Czy możemy na razie dać sobie spokój z nudnymi pytaniami i przyjąć założenie, że rzeczywiście jest pan Matthew Swiftem, czarnoksiężnikiem we wszystkich swych postaciach, formach i przebraniach? Tak chyba będzie najlepiej, nie sądzi pan?

Wzruszyłem ramionami.

- Jest pan małym człowiekiem. Potrafię to uszanować, choć osobiście sądzę, że można się dowiedzieć bardzo wiele o bliźnich nawet z pozbawionych znaczenia zanieczyszczeń zaśmiecających ich mowę, będących być może objawem tego, kim rzeczywiście są poniżej poziomu świadomości. Pan jednak nie chce pokazywać kart. No cóż,

dobrze. Tak jest, bardzo dobrze.

- Słyszałem coś o wzajemnych korzyściach - poinformowałem go. - Wróżka napomknęła, że są ludzie, którzy mogliby mi pomóc.

- Podobno wspomniano też o zemście, tak?

- Potrafię sam sobie poradzić ze swoimi sprawami.

- Pewnie, że pan potrafi, tak! Z pewnością ma pan mnóstwo talentów. Jeśli jest pan Matthew Swiftem i przeżył, podczas gdy tak wielu zginęło... to sugeruje doprawdy nadzwyczajne zdolności!

- Kto zginął?

W jego oczach pojawił się błysk, kąciki ust poruszyły się lekko.

- Jak rozumiem, nie jest pan na bieżąco?

- Przeczytałem parę gazet.

- Mówię o wydarzeniach dziejących się w szczególnej sferze, którą obaj się bawimy.

- Pan się bawi, ale on... - Wskazałem głową na stojącego przy drzwiach młodzieńca. - On chyba robi coś więcej.

Zawahał się. Nie potrafiłem określić, czy nagły błysk w jego oczach wyraża zaskoczenie, zadowolenie, czy może oba te uczucia naraz. Azjata nie okazał po sobie nic. Zachowywał całkowitą obojętność, jakbyśmy rozmawiali o jakimś zmarłym nieznanym.

- Nie brak panu przenikliwości - mruknął po chwili Dudley Sinclair głosem cichszym i głębszym niż poprzednio. Rozumiem, dlaczego wzbudził pan jej ciekawość.

- Kto zginął? - zapytałem ponownie. - Próbowałem się dodzwonić do kilku... kto zginął?

- Pyta pan o listę? To trywialne, z pewnością trywialne, ale być może konieczne. Proszę bardzo. O ile mi wiadomo, pan, to znaczy Matthew Swift, był pierwszy, choć nie jesteśmy do końca pewni, czy pańska śmierć rzeczywiście jest jedną z serii, ponieważ, jak z pewnością pan wie, ciała nie odnaleziono. Alfreda Khana zabito wkrótce potem. Uważa się, że miał wizję pańskiej śmierci, a także własnej, i wiedział, co go czeka, ale nie potrafił tego powstrzymać. Proszę to sobie wyobrazić.

Milczałem.

- Patel zaginął, ale uznano go za zmarłego, po zidentyfikowaniu jego kciuka oraz kawałka dłoni na podstawie odcisków palców. Awana znaleziono częściowo obdartego ze skóry. Na szczęście, szok najwyraźniej zabił go przedtem. Koshdela uduszono jego własnymi jelitami. Głowa Akute leżała na podłodze jej łazienki. Nie jesteśmy pewni, gdzie się podziela reszta ciała. Pensleya podpalono. Aha, Dhawanowi udało się stawić opór. Niestety, w

rezultacie zawalił się cały budynek, w którym przebywał, co utrudniło identyfikację zwłok. W końcu rozpoznano go po zębach. Znał pan Foster? Była młodym czarnoksiężniczkiem, być może nie obracała się w pańskich kręgach, ale zginęła...

- Czy wszystkich zabił ten sam sprawca? - zapytałem zdyszczonym głosem. Słowa wydostawały się z moich ust jak piasek przesypany przez palce.

- Tak sądzimy.

- Dlaczego?

- Och, gwałtowny charakter zbrodni, ofiary praktykujące sztuki magiczne, rytualna natura śmierci, długotrwałe...

- Chciałem się dowiedzieć, dlaczego ich zabito.

- Nie wiemy. Ale mamy pewne teorie.

- Kto to są „my”?

Przeniósł spojrzenie na miasto. Jego prawa dłoń poruszyła się nerwowo.

- Zatroškani obywatele.

- Miejscy magowie?

- Niektórzy z nas nimi są.

- Jak uważacie, dlaczego ich zabito?

- Naprawdę trudno jest odpowiedzieć na to pytanie.

- Niech pan spróbuje.

W jego oczach znowu pojawił się błysk. To spoglądał na mnie, to odwracał wzrok. Jeśli był rozgniewany, świetnie to ukrywał.

- Z pewnością ma pan jakąś opinię. Był pan jednym z nich. Do dzisiaj.

- Podejrzewam, kto mógł mieć motyw.

- W takim razie wie pan, kto mógł dziś wysłać w pościg za panem śmieciucha.

Zaskoczyło mnie, że dowiedział się o tym tak szybko. Spróbowałem ukryć niepokój, ale jestem pewien, że wyczytał go z mojego zdawkowego chrząknięcia i nieruchomej twarzy.

- Znaleźliśmy jego spalone wnętrze - wyjaśnił niemal miłym głosem. - Miejscową administrację zasypano skargami na śmieci walające się na ulicy. Z pewnością rozumie pan, dlaczego wyciągnęliśmy akurat takie wnioski. Tylko niewielu profesjonalistów parających się naszym szczególnym zajęciem rozumie, jak przywołać tego rodzaju stworzenie, albo zna najskuteczniejsze sposoby na złamanie tak potężnego zaklęcia.

Nie odzywałem się ani słowem. Przesząpił z nogi na nogę.

- Czy mogę coś panu zasugerować? - podjął. - Nie chciałbym w żaden sposób wpływać na pańskie opinie ani nawet sugerować trybu postępowania. Pragnę tylko podsunąć

pewien pomysł, by się przekonać, czy uzna go pan za pomocny.

- Słucham?

Pochylił się tak blisko, że jego oddech niemal łaskotał moje ucho.

- Robert James Bakker - wyszeptał i wyprostował się z uśmiechem, czekając na moją reakcję.

Postukałem machinalnie podeszwą lewego buta w podłogę kabiny. Przebiegłem prawym palcem wskazującym po kostkach lewej dłoni. Patrzyłem na miasto. Nie odezwałem się ani jednym słowem.

Najwyraźniej ani jedno słowo z nawiązką wystarczyło panu Sinclairowi.

- Znakomicie - mruknął. - Znakomicie. Nie chce pan zbyt głośno wyrażać swych opinii. Szanuję to. Godna podziwu cecha. Najpierw pragnie pan poznać wszystkie fakty. Tak jest, oczywiście, naturalnie. Być może zainteresuje pana wiadomość, że Patel był jednym z najbardziej zaufanych ludzi Khana i jeśli Khan powiedział komuś cokolwiek na temat swej nadchodzącej śmierci, to z pewnością właśnie temu młodemu dżentelmenowi? Awan oczywiście miał kontakty z panem Guyem Lee. Z pewnością pan o nim słyszał. To jeden z bliskich współpracowników pana Bakkera. Koshdel był człowiekiem o bardzo zdecydowanych, być może nawet zbyt zdecydowanych poglądach na temat zasad użycia mocy. Co więcej, lubił się we wszystko wtrącać. Pensley był jednym z moich najbliższych współpracowników. Tak, to prawdziwa tragedia, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że robił tylko to, o co go proszono. Dhawan był czarnoksiężnikiem, podobnie jak pan. Jestem pewien, że miał pan okazję go spotkać. Oczywiście, on również znał Bakkera. Akute... pozostaje dla nas tajemnicą, ale jestem pewien, że gdy tylko będziemy mieli czas na dokładniejsze zbadanie natury jej zgonu, odkryjemy związek łączący ją z tą sprawą. Rzecz jasna, nie znajdziemy żadnych dowodów, nic konkretnego. Naturalnie, nigdy nie było świadków, naturalnie! Trzeba czegoś więcej niż motywy. To tylko teorie, rozumie pan, zwyczajne domysły, a Bakker w końcu jest wzorowym obywatelem.

Uniosłem powoli głowę. Bałem się, że jeśli zrobię cokolwiek za szybko, utracę kontrolę.

- Ma pan nadzieję usłyszeć ode mnie, że to Bakker mnie zaatakował? - zapytałem, patrząc mu prosto w oczy.

- Nie, nie. Nie chcę panu podsuwać żadnych podejrzeń!

- Nie zrobił tego.

- Z pewnością. Nigdy nie sądziłem...

- Nie widziałem napastnika.

- Ale podejrzewa pan, kto to mógł być...

- Tak.

- Czy mogę być tak śmiały i zapytać...

- Może pan pytać, ale chyba na razie panu nie odpowiem. Za mało wiem. Nie znam pana.

Westchnął niczym znużony wujek zmuszony do opieki nad dziećmi.

- A więc nie interesują pana pozostałe zabójstwa?

- Bardzo mnie interesują. Znałem niektóre ofiary. Poza tym, sposób, w jaki zadano im śmierć, budzi niepokój.

Ponownie westchnął, tym razem z niecierpliwością.

- Wie pan, dlaczego wspomniałem o Robercie Jamesie Bakkerze?

- Jak rozumiem, podejrzewa pan, że coś go łączy z tymi zabójstwami.

- Wszyscy, którzy zginęli, mieli z nim jakieś kontakty. Tak, to w rzeczy samej prawda.

Pan również, jak sądzę? Pan i Robert Bakker... byliście ze sobą bardzo blisko, tak?

- Gdzie on obecnie przebywa?

- Nikt nie jest tego do końca pewien.

- Nie rozumiem.

- Ciągłe zmienia miejsce pobytu. Bardzo trudno go znaleźć. W ciągu kilku ostatnich lat... stał się czymś więcej niż tylko odludkiem. Nikt nie wie, gdzie mieszka ani gdzie się w danej chwili znajduje. To wiele sugeruje. Czy pan wie, gdzie może się ukrywać?

- Ja?

- Znał go pan.

- Pewnie tak.

- Doprawdy, po co ta skromność? Wiem, że w dzień własnej śmierci spotkał się pan z Robertem Bakkerem w szpitalu św. Tomasza. Wiem, że pokłócił się pan z nim, odszedł i oddalił się, ruszając wzdłuż rzeki. Wszystko to jest w aktach, proszę pana, wszystko to odkryła policja, mogę też dodać, że obywając się bez mojej pomocy. Wiem, że kilka godzin po rozstaniu z nim zaginął pan bez śladu, ale wkrótce potem znaleziono wielką kałużę pańskiej krwi. Co więcej, proszę pana, co więcej, wiem, że ludzie mieszkający obecnie w pańskim domu są pracownikami firmy będącej własnością korporacji należącej do Bakkerera, a także, że jego prawnicy naciskali bardzo usilnie, by całą pańską własność podzielić jak najszybciej po domniemanym zgonie. Jestem pewien, że rozumie pan przyczyny mojego niepokoju.

- Jeśli wie pan tak wiele, po co w ogóle ze mną rozmawiać? Powiedziałem już

wszystko, co mam do powiedzenia. Nie wiem, kim pan jest ani dlaczego interesuje się pan Bakkerem. Szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to obchodzi. Chcę tylko odnaleźć osobę, która mnie zaatakowała i...

Powstrzymałem się, ale było już za późno.

W oczach Sinclaira odbijał się blask miejskich świateł.

- Taaa - odezwał się, przeciągając samogłoskę. - I oczywiście również tę, która sprowadziła pana z powrotem. Tego właśnie sformułowania pan szukał, nieprawdaż, panie Swift? Miała rację. Pańskie oczy są naprawdę niezwykle.

- Czy to ma znaczenie?

- Musi pan zrozumieć, panie Swift, że poświęciłem wiele czasu na studiowanie okoliczności pańskiego zgonu, a także śmierci innych osób, między innymi tych, które wymieniałem. Można powiedzieć, że... wiele w to zainwestowałem. W związku z tym mam wrażenie, że udało mi się pana poznać. A przynajmniej tę część pańskiej osobowości, którą zostawił pan potomnym. Przyznaję, że może ona być niewielka. Wiem, jak pan wyglądał, znam każdy szczegół pańskiej twarzy. Znam pańskie nawyki i skłonności. Wiem, że kiedy wszedł pan na to podwórko nad Tamizą, pańskie oczy były czarne, teraz zaś widzę, że są intensywnie niebieskie. Dlatego zadaję sobie pytanie, czy to ten sam Matthew Swift, czy raczej jakiś oszust? A może... ani jedno, ani drugie? Może nie doświadczył pan takiego rodzaju śmierci, jaki sugerował stan odnalezionych ubrań, krew i tak dalej. No wie pan, medycyna sądowa to cudowna rzecz. Być może po podobnych doświadczeniach nikt nie wraca taki sam? Być może zmienił się pan, by przeżyć, tak?

Odwróciłem wzrok.

- W okolicznościach śmierci Matthew Swifta szczególnie uderzył mnie jeden szczegół - podjął po chwili.

- A mianowicie?

- Krwawe odciski jego palców znaleziono na słuchawce telefonicznej, w odległości zaledwie kilku metrów od pierwszej kałuży. Dowlóknął się do budki i podniósł słuchawkę, ale nie zadzwonił pod 999. Jego ciało zniknęło i zostało tylko zakrwawione ubranie, kilka kawałków oderwanej skóry oraz kałuże płynów ustrojowych.

- Sądzi pan, że to Bakker kazał mnie zaatakować?

- W rzeczy samej, proszę pana, w rzeczy samej. Podejrzewam, że pan również skłania się do tej opinii, a przynajmniej udało mi się pobudzić pańską ciekawość. Chyba że wie pan coś, o czym ja nie wiem, oczywiście. Jeśli tak, proszę pana serdecznie o podzielenie się ową wiedzą.

- Nie widziałem nikogo znajomego.

- Ale z pewnością coś pan zauważył? - Prawie się zdyszał. Po jego policzkach spływał pot. Czuliśmy woń zawartej w nim soli oraz buchające od twarzy ciepło. - Policja sądzi, że Swift umierał bardzo długo, tak? Musiał pan coś zauważyć!

Zastanowiłem się nad tym. Nie ufaliśmy temu człowiekowi, ale z drugiej strony wiedział już wystarczająco wiele, by wzbudzić nasze zainteresowanie.

- To był cień - odpowiedziałem. - Nic więcej.

- Proszę! Proszę! - zawołał. - Z pewnością zauważył pan coś poza tym.

Wstałem nagle.

- Panie Sinclair - zacząłem - zdobył pan sporo informacji. Tak, rozmawiałem z Bakkerem i pokłóciłem się z nim. Nie powiem panu jednak, czy to on stał za tym, co mnie spotkało. Nie zaufam panu, dopóki nie dowiem się więcej. Zbyt wiele się nauczyłem, by podejmować takie ryzyko. Ta gra wciąż jest dla nas nowością.

- „Nas”? - zapytał ostrym, ochrypłym głosem.

Zignorowałem to.

- Chce pan mojej pomocy. W jakiej sprawie?

On również wstał. Z jego twarzy zniknął przyjazny wyraz. Wpatrywał się we mnie, próbując dotrzeć do najgłębszych zakamarków mojego umysłu i serca.

- Matthew Swift - zaczął powoli i z namysłem - nie wiem, z jaką mocą zawarł pan pakt, by ocalić życie, gdy zginęło tak wielu innych, moim zdaniem potężniejszych od pana, posiadających większą wiedzę, a także ostrożniejszych i bardziej świadomych. Jeśli jednak to, co podtrzymuje obecnie pańskie życie, stanie się dla mnie zagrożeniem, wyeliminuję to. Rozumie pan?

Potrząsnęliśmy głową.

- Nie przybyliśmy tu dla pana - wyjaśniliśmy. Na moment w jego oczach pojawił się strach. Skrzyżowałem ręce na piersi. - Panie Sinclair, proszę mi powiedzieć, czego pan właściwie chce?

Zastanowił się nad moim pytaniem, prostując się na swą pełną, niezbyt imponującą wysokość.

- Bądźmy ze sobą szczerzy - zaproponował wreszcie. - Pragnę dowiedzieć się czegoś więcej o organizacji kierowanej przez pana Bakker, o jego przyjaciółach, zamiarach, talentach, a także przeszłości. Wraz z grupą... zaniepokojonych obywateli... podejrzewamy, że ów dżentelmen może wykorzystywać swe liczne zdolności do osiągania osobistych korzyści w stopniu, który może zagrozić innym osobom pragnącym tego samego, co ja.

- A czego pan pragnie, panie Sinclair?

- Życ. Chcę po prostu żyć.

- I sądzi pan, że Bakker jest groźbą dla innych?

- Szczerze mówiąc, tak. Mam niewiele dowodów poza pogłoskami oraz serią gwałtownych śmierci członków pewnej społeczności, jestem jednak przekonany, że plany pana Bakкера mogą się stać dla nas wielkim zagrożeniem.

- Co to za plany?

- O ile dobrze rozumiem, gromadzi pewne przedmioty, osoby, artefakty i zdolności, które w połączeniu mogą mu zapewnić nieproporcjonalnie wielkie wpływy, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

- Chyba rozumiem.

- W takim przypadku mam nadzieję, że nie obrazi się pan, jeśli zapytam o naturę pańskiej dysputy z panem Bakkerem?

- Nie obrażę się, ale obawiam się, że na to pytanie również nie odpowiem.

- A czy powie pan chociaż, czy mogła mieć ona jakiś związek z przedstawioną przeze mnie hipotezą?

- Jestem przekonany... szczerze przekonany, że Robert James Bakker już dawno temu stał się groźbą dla mnie i dla innych. Czy to właśnie chciał pan usłyszeć?

- W rzeczy samej, w rzeczy samej, to bardzo blisko. A czy to prawda?

- Wiedziałem, że Bakker jest niebezpieczny, nim jeszcze pana spotkałem. Pokiwał energicznie głową.

- Tak, tak, to prawda, oczywiście. Jak rozumiem, miał pan zamiar przyjrzeć się bliżej jego poczynaniom?

- Być może.

- Tak, naturalnie. Okoliczności pańskiego zgonu podsunęły mi myśl, że z pewnością istnieje pewien związek.

- Jak rozumiem, chce pan w jakiś sposób złagodzić tę groźbę.

Usłyszawszy to pytanie, wyraźnie się zmieszał.

- Bądźmy ze sobą szczerzy, panie Swift. Chcę, by go zabito.

- Rozumiem.

- Widzę, że nie aprobeje pan takiego rozwiązania?

- Nie aprobeje. Obawiamy się jednak, że to może się okazać konieczne. - Wypuściłem powietrze z płuc. Nawet nie zauważyłem, że wstrzymywałem oddech. - Panie Sinclair, przepraszam, jeśli w niczym panu nie pomogłem, ale otrzymałem surową nauczkę, kiedy...

ma pan rację, uważając, że takie sprawy zmieniają człowieka. Jeśli chodzi o naturę mojego przetrwania, nie chcemy niczyjej krzywdy. Pragnie pan zabić Bakkerą. Nie nacisnę spustu, ale też nie potępię takiego czynu. Pomogę też wam na inne możliwe sposoby, pod warunkiem, że zechcecie odwdziżyć się tym samym.

Z moich ust płynęły wzniosłe słowa. Odpowiedziałem pompatycznością na pompatyczność.

Tym razem jego uśmiech był szczery i z tego powodu wyglądał przerażająco.

- Znakomicie. Znakomicie, panie Swift. Znakomicie. Tak, w rzeczy samej. Jestem przekonany, że nasza znajomość okaże się nadzwyczaj korzystna. W gruncie rzeczy, jeśli będzie pan tak uprzejmy, chciałbym, żeby spotkał się pan z kilkoma moimi znajomymi.

* * *

Na jednej z małych, pełnych przysadzistych domków uliczek w pobliżu dworca Waterloo czekał na niego srebrny mercedes. Lustrzane szyby w oknach samochodu były wystarczająco grube, by zatrzymać kule. Młodzieniec o skórze barwy mlecznej czekolady zasiadł za kierownicą, my zaś zajęliśmy miejsca na obitym białą skórą siedzeniu z tyłu. Dudley Sinclair poczęstował mnie rachatłukum z pudełeczka o srebrnych okuciach. Czuliśmy pokusę, ale powiedziałem „nie”. Na tym rozmowa się urwała. Pojechaliśmy na drugi brzeg rzeki.

Zmierzaliśmy na północny zachód, mijając Hyde Park i Marble Arch. Wjechaliśmy na Edgware Road z jej witrynami z arabskimi napisami, barami oferującymi fajki wodne oraz oknami pełnymi drogich barwnych abażurów. Pięć razy dziennie ulica wypełnia się mężczyznami klęczącymi na matach wyciągniętych pośpiesznie z samochodów albo z restauracyjnych podłóg, by modlić się z twarzami zwróconymi w stronę Mekki. Samochody omijają powoli ten zator. Potem skręciliśmy w węższe uliczki, zmierzając ku Marylebone High Street. Stały tam segmenty z czerwonej cegły o ukwieconych balkonach, wysokich oknach, czarnych ogrodzeniach oraz szerokich schodach wiodących do gigantycznych drzwi wejściowych.

Zatrzymaliśmy się na jednej z takich uliczek i wysiedliśmy z samochodu. Sinclair pomaszerował, na ile pozwalała na to jego masa, do takich właśnie drzwi. Umieszczone przy dzwonek nazwiska świadczyły, że dom podzielono na pięć mieszkań. Zadzwonił trzy razy - dwa krótkie sygnały, a potem jeden długi - i drzwi otworzono bez pytania. Sień była szeroka, podłogę wyłożono czarnym i białym marmurem, a na biegnących po łuku schodach spoczywał gruby dywan. Sinclair skierował się ku zaskakująco prostej windzie o

grzechoczących metalowych drzwiach. Na ścianach wisiały wypaczone lustra. Nasze twarze wyglądały w nich niezdrowo. Weszliśmy do środka wszyscy trzej - ja, grubas i jego wierny, milczący towarzysz. Z uwagi na ciasnotę było to poufalością większą niż uścisk dłoni. Przykleiliśmy się do ściany, by zrobić miejsce dla Sinclaira, i wjechaliśmy przeciążonym ustrojstwem na najwyższe piętro. Drzwi nie otworzyły się we wspólnym korytarzu, czego się spodziewałem, lecz w mieszkaniu. Ściany pokrywały tu białe tapety w czerwonawe, spiralne, kwietne wzory, a czyste, jasnoniebieskie dywany niemalże pieściły nasze nogi. Grubas skinął dłonią, kierując nas w stronę drzwi, za którymi paliło się światło. Słyszałem dobiegające stamtąd głosy.

Kiedy otworzyłem drzwi, rozmowy urwały się raptownie. Zawsze skrycie marzyłem o wzbudzeniu takiej reakcji, ale nigdy dotąd mi się to nie udało.

Wokół stolika do kawy o szklanym blacie stało albo siedziało siedmioro ludzi. Na stoliku ustawiono miseczki z chipsami i kieliszki z winem. Poznałem wróżkę. Miała teraz na sobie wygodniejszy strój. W ciemnej, dość eleganckiej sukni prezentowała się bardzo korzystnie. Reszta towarzystwa była bardzo różnorodna, a bijące od tych osób zapachy naturalne i nienaturalne, tak heterogeniczne, że nie wiedziałem, od czego zacząć.

Wyřęczył mnie Sinclair.

- Świetnie, świetnie, znakomicie, cieszę się, że widzę tu was wszystkich, tak... - oznajmił, gdy tylko wpadł do pokoju. Nim skończył, wziął sobie kieliszek wina. - Wiecie, dlaczego się zebraliśmy, tak, naturalnie, i rzecz jasna chcecie jak najszybciej przejść do rzeczy.

Rozejrzałem się po pokoju i zauważyłem, że kotary zasunięto, a światła przygaszono. Potem zdałem sobie sprawę z napięcia towarzyszącemu jakiemuś blademu mężczyźnie o końskiej twarzy. Siedział zgarbiony, ściskając kolana i splatając dłonie przed sobą tak mocno, że zbiełały mu kostki. Wróżka również rozglądała się nerwowo, a gdy tylko ktoś na nią spojrzał, natychmiast odwracała wzrok.

Tylko jedna kobieta sprawiała wrażenie spokojnej. Siedziała w kącie, trzymając w ręce miseczkę fistaszków. Miała na sobie wyblakły różowy blezer z wełny, wyglądający na zrobiony na drutach, szarą, sięgającą kolan spódnice z jakiejś grubej tkaniny, wełniany kapelusz z pomponem oraz futrzane pantofelki. U jej stóp stało kilka wielkich, plastikowych toreb. Choć stałem na drugim końcu pokoju, czułem płynące od nich osobliwe wonie curry, tłuszczu, a także, ku mojej konsternacji, spalin. Pozostali trzymali się od niej z daleka. Skierowała na mnie spojrzenie oczu zapadniętych tak głęboko, że jej twarz przypominała mapę Pirenejów.

- Rodzynki na dnie torby! - zawołała przenikliwym głosem, odsłaniając szparę między przednimi zębami. Przymrużyła powieki. - Widzę, jak się ukrywacie w tej skórze - dodała znacznie ciszej. - Słyszałam to w przewodach. Słyszałam, jak z nich wychodziło.

Poruszyliśmy się niespokojnie pod jej spojrzeniem.

- Ha! - wrzasnęła. - Durne dupki!

- Dziękuję, madame Dorie - zaintonował Sinclair. - Jak zwykle, pani wkład jest elektryzujący.

- Całuj mnie w dupę, spasiony morsie!

Nikt nie sprawiał wrażenia zbytnio przejętego tymi słowami. Najwyraźniej wkład madame Dorie często przybierał podobną formę.

- Panie i panowie - ciągnął grubas - wszyscy wiecie, w jakim celu się tu zebraliśmy.

- Ja nie wiem - sprzeciwiłem się.

- Czy to czarnoksiężnik? - zapytał inny mężczyzna, który ubrał się w coś, co uznałem za afrykański strój plemienny, mimo że skórę miał białą jak śnieg w grudniu, a włosy ryże. Jego głos brzmiał jak zawodzenie milknącej syreny. - Nie wygląda na to.

- Ty wyglądasz jak pizda w sukni, a mimo to jesteś tylko czarownikiem - odgryzłem się.

Nigdy nie lubiłem czarowników. Nie mają intuicji czarnoksiężników ani cierpliwości i akademickich zdolności pracowitych czarodziejów. Chcą dotrzeć do celu na skrót i w tym celu sprzymierzają się ze starożytnymi mocami miasta, takimi jak Lady Neon, Siedem Sióstr, Król Żebraków, Tłusty Szczur i tak dalej. Spełniają ich wolę w zamian za szybką działkę magii. To niebezpieczne zajęcie i parają się nim tylko lenie.

Mężczyzna o końskiej twarzy wydał z siebie dźwięk przypominający pociągnięcie nosem. To mógł być pośpiesznie stłumiony śmiech. Wróżka poruszyła nerwowo wargami, Dorie zjadła garść orzeszków. Sinclair nie zareagował w ogóle. W pokoju było jeszcze dwoje innych ludzi. Kobieta o skórze barwy palonej kawy, ubrana w dżinsy i obcisłą czarną kurtkę z wypukłościami w dziwnych miejscach, sprawiała wrażenie gotowej coś podpalić. Drugi, potężnie zbudowany mężczyzna w szerokich spodniach i kurtce noszonej przez motocyklistów poważnie traktujących tę rozrywkę, roześmiał się tak głośno, że stojące na stole szklanki zadrżały.

Czarownik w plemiennym stroju łypnął na niego spođe łba. Motocyklista zaśmiał się jeszcze donośniej.

- Sinclair, wreszcie znalazłeś jakiś ciekawy temat do rozmów?

- Jeśli łaska... - przerwał mu grubas. - Pan Swift jest skłonny nam pomóc w sprawie,

która interesuje nas wszystkich. Pomyślałem, że rozsądek podpowiada, byśmy się wszyscy spotkali i dokładniej omówili, jak właściwie chcemy zaradzić swemu wspólnemu problemowi.

- Zabijemy skurwysyna - skwitował motocyklista. - Zgadzasz się na to, czarnoksiężniku?

- Czy wszyscy mówimy o Robercie Bakkerze? - zapytałem.

Odpowiedzieli mi serią chrząknięć i skinieć głowami. Uznałem to za potwierdzenie.

- Dokopiemy się do dna torby! - zawołała Dorie.

- A co wszyscy macie przeciwko niemu?

- A ty? - warknął czarownik.

- Moje motywy nie powinny obchodzić nikogo poza mną - odpowiedziałem pośpiesznie. - Chciałbym poznać wasze.

- My opowiemy ci o sobie, a ty nie powiesz nam nic?

Łypnąłem na czarownika.

- Ehe. Tak to wygląda.

- Panie i panowie! - zawołał Sinclair. - Tę sprawę możemy z łatwością rozstrzygnąć. Panie Swift, w zasadzie zna pan moje powody. Ta sprawa mnie interesuje, ponieważ podejrzewam, że pan Bakker stoi za wieloma śmierciami, w tym również za pańską. To mnie niepokoi, ponieważ również mogę być zagrożony, tak? Z pewnością pan to rozumie.

- Jest pan z policji? - zapytałem.

- Dobry Boże, nie, nie, nie, to w niczym by nam nie pomogło. Jestem, jakby to powiedzieć... powiązany z pewnymi sekcjami rządu, które są zainteresowane utrzymaniem porządku za wszelką cenę. Obawiam się, że nie mogę powiedzieć nic więcej na ten temat.

- To agent - dodał z przekąsem motocyklista. - Podwieczorek z Archiwum X.

- A wy? - Rozejrzałem się po pokoju. - Wszyscy jesteście wrogami Bakker?

- Musi pan zrozumieć, że sytuacja się zmieniła - uspokajał mnie Sinclair.

- Pod jakim względem?

- Wszystkim kieruje teraz Wieża.

Wzniosłem oczy ku niebu na znak niecierpliwości.

- Rewelacja. Co to jest Wieża, co się zmieniło i jaką rolę gra w tym Bakker?

- Wieża - wtrąciła wróżka - to organizacja skupiająca magów, czarodziejów, czarnoksiężników, czarowników i innych użytkowników sztuki. Bakker to ich przywódca.

- Związek zawodowy? To brzmi jak szopka.

- Och, jest jak najbardziej realny. - Pan Sinclair westchnął. - Mają nawet doroczne

walne zebrania.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że to się wam nie podoba?

- Dlatego że to, czego nie mogą dostać, biorą sobie siłą - warknęła wróżka. - A tych, którzy nie chcą im się podporządkować, zabijają.

- Wszyscy zabici magowie w taki czy inny sposób narazili się Wieży - wyjaśnił łagodnym tonem Sinclair. - Mam wrażenie, że pan również.

- Nigdy nie słyszałem o żadnej Wieży.

- Pojawiła się wkrótce po pańskiej śmierci. Gromadzi wiele różnych rzeczy: książki, wiedzę, zdolności, magów i artefakty. Zbiera moc. Sądzę, że wiedział pan, iż Bakker planował coś takiego... a być może również mieszał się w sprawy, których nie powinno się ruszać. Myślę, że właśnie dlatego doszło do kłótni między wami.

- Może pan sobie myśleć, co pan chce - odparłem. - W co dokładnie się mieszał?

- To tylko plotki - sprzeciwił się czarownik.

- Jest ich zbyt wiele, by wszystkie mogły być fałszywe - poprawił go Sinclair. - Zbyt wiele i pojawiły się w zbyt krótkim czasie. Chodzi o eksperymenty, panie Swift. Jesteśmy przekonani, że pan Bakker prowadzi doświadczenia na magach i na cywilach, poszukując czegoś potężnego i zapewne również niebezpiecznego, jako że utrzymuje naturę tego czegoś w tajemnicy przed swoimi pracownikami, służbą i całą społecznością.

- W takim razie, dlaczego nic nie robicie?

- Dlatego, że Bakker to pierdolony czarnoksiężnik i ma tyle forsy, że mógłby za nią kupić całe Mayfair - zaintonował czarownik.

- Miły z ciebie gość, co?

- Posłuchaj - odparł, tym razem naprawdę wkurzony, a nie tylko irytujący. - Równie dobrze moglibyśmy próbować się włamać do Fort Knox pierdolonym otwieraczem do konserw!

- Są jeszcze inni czarnoksiężnicy.

- Nie - przerwał mi ostrym tonem Sinclair. - Nie ma już żadnego.

- Niech pan nie gada głupstw.

- Wie pan, że Dhawan i Akute nie żyją. O pozostałych nie wspomniałem. DeMaurier, MacKinnon, Samuels, Zheng...

- Nie wierzę w to.

- ...ci, którzy nie zginęli, uciekli. Rozumie pan, Matthew Swift? Ukryli się albo zwiiali stąd. Ludzie, którzy sprzeciwiają się Bakkerowi, giną. Myśli pan, że śmieciuch przypadkiem znalazł się dziś rano w Dulwich? Z pewnością pana zauważono. Potrzeba wiele mocy, by

przywołać podobne stworzenie. Śmieciuch szukał pana. Jeśli zamierza się pan przeciwstawić Wieży, będzie pan musiał robić to dyskretnie. Tak samo jak my teraz. Jeśli chce pan zachować życie, nie może pan po prostu ruszyć do ataku.

Rozejrzałem się po pokoju. Wszyscy odwracali zawstydzone twarze. Nawet Dorie znieruchomiała na krześle, wpatrując się w swoją miseczkę z fistaszkami.

- W porządku - powiedziałem wreszcie. - Na razie przyjmijmy, że wam wierzę. Co właściwie zamierzacie zrobić?

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

- Robał, robił, robił, robił, robił, niebieski robił - wyszeptała siedząca w swym kącie Dorie.

- Mieliśmy plan... - zaczął niepewnie mężczyzna o końskiej twarzy.

- Kurewsko idiotyczny plan! - przerwał mu czarownik.

- Kretyn - warknęła wróżka.

- Kłóćcie się! - zawołał motocyklista z radosnym uśmiechem. - No, jazda!

Kobieta w dzinsach nie odzywała się, ale sprawiała wrażenie jeszcze bardziej rozniewanej niż przedtem.

- Panie i panowie - spróbował ich uspokoić Sinclair. - Charlie, co ty na to?

Charliem okazał się wierny cień grubasa, mężczyzna o ciemnych oczach i czarnych prostych włosach. Gdy padło jego imię, wyciągnął zza kanapy cienką czarną teczkę. Wpisał dwa kody i otworzył teczkę, naciskając mosiężny guzik. Potem wyjął jej zawartość na stół.

Zdjęcia, słowa, kolumny, cyfry, wykresy, mapy, oto co poruszało się błyskawicznie pod palcami Sinclaira, rozkładającego całość na blacie.

- To wszystko, co wiemy o Wieży - oznajmił, rozpościerając dłonie nad dokumentami, jakby były delikatną pajęczyną, mogącą umknąć z wiatrem. - Kto nią kieruje, w jaki sposób działa i dzięki czemu może przetrwać.

Czekałem, aż powie coś więcej.

- Każdy, kto spróbuje dotrzeć do Bakкера bezpośrednio, zakładając, że zdoła go odnaleźć, przegrywa. - Zatrzymał na moment spojrzenie na kobiecie w dzinsach. O dziwo, jej mina stała się jeszcze bardziej złowroga. - Musi pan zrozumieć, że on nie jest po prostu niebezpiecznym użytkownikiem magii. Posiada majątek, jego adwokaci mogą go bronić przed prawem, a gdyby im się nie udało, ma czekający w pogotowiu samolot i pieniądze w zagranicznych bankach. Jego wpływy sięgają do innych krajów, ma przyjaciół w najwyższych kręgach władzy i potrafi również działać na samym dnie rynsztoka.

- Zawsze posiadał moc.

- Tak, tak, oczywiście - wyszeptał grubas. - Ale dopiero od niedawna wykorzystuje ją tak jawnie. Proponujemy usunąć możliwie największą część źródła tej mocy, nim go zaatakujemy. Nie mówimy tylko o paru kłótwach rzuconych to tu, to tam. Chodzi nam o atak na jego majątek, reputację i wpływy, usunięcie jego stronników jednego po drugim, aż wreszcie zostanie sam. Wtedy może uda się nam go osiągnąć, o ile to w ogóle jest jeszcze realne.

- Macie plan?

- Całość jest tutaj - odparł, przesuwając dłońmi nad dokumentami. - Zniszczymy Wieżę kawałek po kawałku.

Przyjrzałem się papierom, które ułożył przede mną. Wszyscy w pokoju czekali.

- Uważam, że ten plan jest głównie wart - stwierdziłem wreszcie.

- Sinclair, czy musieliśmy tu zapraszać tego zasranego przygłupa? - warknął czarownik.

Poczuliśmy, że budzi się w nas gniew barwy szafirów.

- Panie Swift, potrafi pan przedstawić jakąś alternatywę? Sądzi pan, że zdoła odnaleźć Bakker na własną rękę, że uda się panu... odwrócić to, co się wydarzyło... bez naszej pomocy?

Grubas nadal się uśmiechał, ale jego głos brzmiał teraz jak mamrotanie znudzonego kapłana odprawiającego obrządek pogrzebowy.

Przestąpiłem niepewnie z nogi na nogę, spoglądając na leżące na stole papiery.

- Pomogę wam. Ale nie zabiję Bakker, chyba żeby nie było innego wyjścia.

- Ma pan do tego prawo.

- Co mogę dla was zrobić?

- Bakker ma kilku pomocników, ludzi kierujących dla niego Wieżą.

- Znam niektórych. Guy Lee, San Khay. O nich pan mówi?

- A także Harris Simmons i Dana Mikeda.

- Dana Mikeda?

- Zna ją pan? - zapytał ostrym tonem czarownik.

- Kiedyś znałem. Co ją łączy z Bakkerem?

- Myślę, że najlepiej będzie powiedzieć to brutalnie. To oszczędzi nam czasu. Jest jego protegowaną. Kochanką. Jedną albo drugą, choć być może żadne z tych określeń nie oddaje sprawiedliwości łączącemu ich związkowi.

- Jak długo już to trwa?

- Co?

- Od jak dawna jest jego protegowaną, kochanką, a także innymi rzeczami, o których pan nie wspomniał?

Uśmiechnął się, demonstrując rzadką u siebie wesołość.

- Od około dwóch lat. Zna ją pan.

To nie było pytanie, więc nie musiałem mu odpowiadać.

- Ich również zamierzacie zabić?

- Jeśli zaistnieje taka potrzeba.

- Widzicie jakąś alternatywę?

- Niewykluczone. Jeśli okażą się użyteczni.

- Rozumiem. Czy jest coś...

- Ropne pryszczki! - wrzasnęła siedząca w kącie Dorie.

- Niech cię chuj - jęknął czarownik.

- Masz gówno zamiast mózgu - odgryzła się.

Zawahaliśmy się. Oderwaliśmy wzrok od dokumentów, spoglądając na siedzącą w kącie kobietę. Ręce zaplotła na piersi.

- Swift? - zapytał cicho Sinclair, widząc naszą minę.

Rozejrzeliśmy się po pokoju, ogarnięci nagłym niepokojem.

- To nic - zapewniłem. - Nic.

- Kiedy nie jesteś nimi, robi się z ciebie bałwan, co? - mruknęła Dorie.

Odsunąłem się od stołu i postąpiłem kilka kroków ku niej. Zawahałem się, zatrzymując się przed oknem. Zauważyłem, że moja ręka drży.

- Znasz nas - stwierdziliśmy niepewnie.

- Słyszałam was w przewodach - odparła, odsłaniając w uśmiechu żółte zęby. - „Stań się nami i bądź wolny”. Czy to nie wasza piosenka, niebieskooki?

- Spotkałaś nas?

- Lubię wasz taniec - przyznała. - Ale nie chciałabym być teraz w tym miejscu, co wy.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Pierdolony cień na ścianie - odparła. - Padnij!

Posłuchałem jej ostrzeżenia. Szanuję potężny talent magiczny, kiedy go spotkam, a stara madame Dorie, siwowłosa bezdomna pachnąca curry i spalinami dysponowała takim właśnie talentem. Emanowała aurę zręcznej manipulacji pierwotnymi mocami, równie silną, jak woń stęchlizny bijąca od jej toreb. Wiedziała, co mówi. Podobnie jak moja babcia wyglądała na kobietę rozmawiającą z gołębiami, a w naszym mieście nikt nie wie więcej od tych ptaków. Padłem i dlatego kula ze snajperskiego karabinu rozbiła czaszkę mężczyzny o

końskiej twarzy, który właśnie wstawał, zamiast mojej.

- Banzai! - wrzasnęła Dorie.

Światła w pokoju zgasły. Co więcej, odcięto dopływ prądu. Poczulem nagłą nieobecność w ścianach i suficie. Ktoś wykręcił korki w całym domu. Ciemność była nieprzenikniona, ale zaledwie przez chwilę. Gdy tylko rozsunięto zasłony, do środka wpadł pomarańczowobiały blask ulicznych latarni. Poczłogałem się po podłodze ku ciału zabitego. W tej samej chwili Dorie wstała i klasnęła w dłonie.

- Ratatatatat! - zawołała.

Ktoś na drugiej stronie ulicy posłusznie przestawił mały mechanizm w potężnej broni i otworzył ogień. Kule przebiły resztki jednego okna i rozbiły drugie, a potem trafiły w ścianę pokoju. Pomieszczenie wypełniły obłoczki zaprawy murarskiej. Leżąc na podłodze, zauważyłem, że Dorie zmierza ku drzwiom, zupełnie nie przejmując się ostrzałem. Trup mężczyzny o końskiej twarzy podskakiwał i trząsł się przy uderzeniu każdego pocisku. Kule wypruwały wyściółkę z kanap, rozbiły kieliszki, wypełniając powietrze mgiełką czerwonego wina i okruchami szkła, strącały obrazy ze ścian, rozbiły drzwi w drzazgi, przeszywały zasłony i poduszki. Dostrzegłem w półmroku parę stóp w butach na wysokich obcasach, należących do czołgającej się ku drzwiom do korytarza wróżki. Tuż za nią podążał czarownik w swej absurdalnej szacie. Sinclair, motocyklista i ponura kobieta w dzinsach zapewne skryli się za kanapą. Z mebla został już tylko drewniany szkielet, z którego zwisały łachmany.

Ratatatat karabinu maszynowego ucichło. W nagłej ciszy usłyszałem zawodzenie alarmów samochodowych oraz przeciwwłamaniowych w sąsiednich mieszkaniach, krzyki ludzi, łopot skrzydeł przerażonych gołębi, tupot nóg. A także zgrzyt wjeżdżającej na górę windy.

- Jadą po nas! - zawołałem.

- Do sypialni! - krzyknął czarownik. - Tam jest wyjście ewakuacyjne!

- Jeśli mają choć trochę rozumu, je również obstawią - mruknęła wróżka.

- Wolisz na nich zaczekać?

- Czy ktoś nam pomoże? - zapytał motocyklista.

Poczłogałem się za sofę. Czułem pod palcami lepłą krew mieszającą się z winem. Pod łokciami chrzęściło mi stłuczone szkło.

Za kanapą rzeczywiście siedziała kobieta w dzinsach oraz motocyklista o twarzy zbryzganej krwią. Nie była to jednak jego krew. Sinclair charczał rozpaczliwie. Przyciskał do piersi i brzucha zakrwawione aktówki. Miał w ciele kilka dziur. Pomimo jego tuszy pociski

wniknęły głęboko. Dyszał ciężko, pocił się i krwawił. Śmierdział solą, moczem i śmiercią, jakby całe jego ciało rozkładało się jednocześnie, a ze wszystkich komórek wyciekały krew i inne płyny wraz z życiem. Motocyklista próbował go podnieść.

- Możesz coś zrobić? - wysyczał.

- Pośpiesz się! - krzyknęła wróżka. - Nadchodzą!

Czarownik obrzucił Sinclaira pełnym litości spojrzeniem, ale się nie zatrzymał.

- Cholera - mruknąłem. - Cholera.

Rozchyliłem jego marynarkę i zobaczyłem kolejne rany. Całe jego ciało się zniekształciło, jakby przez zrobione przez maleńkie meteoryty otwory wysypał się z niego piasek. Pełno na nim było dziwnych krzywizn i zagłębień.

- Zrób coś! - zażądał motocyklista.

- Nie mogę go tak po prostu naprawić! - odpowiedziałem gniewnie.

- Kurwa, jesteś czarnoksiężnikiem! - wrzasnął.

Usłyszałem dźwięk zatrzymującej się na górze windy.

- Ruszajmy - wysyczałem. - Zaniesiemy go do tylnego wyjścia.

- Będzie obstawione.

- To się przebijemy! - odparliśmy. - Musimy go stąd zabrać.

Nie tracili czasu na zadawanie pytań. Kobieta złapała rannego za zakrwawione kłapy i bezceremonialnie przywiązała je do tyłu swych spodni, tak że ich szczyty sterczały zza paska. Z potężnym stęknieniem pomogła motocykliście dźwignąć cielsko Sinclaira. Przerzucili sobie po jednej z rąk grubasa przez ramiona i powlekli go ku tylnemu wyjściu.

Przykucnąłem za kanapą, grzebiąc gorączkowo w tornistrze. Usłyszałem kroki na korytarzu. W chwili gdy moje palce zacisnęły się na pierwszej puszcze farby, ktoś otworzył kopniakiem resztki drzwi. Po pokoju przesunęły się snopy białego światła latarek, oślepiając nas, choć tylko na chwilę.

Wstaliśmy, pozwalając, by świat obrócił się powoli wokół nas. Wyciągnęliśmy lewą rękę i zgasililiśmy latarki, bez trudu tłukąc szkło ich żarówek. Drugą ręką cisnęliśmy w drzwi puszką farby. Gdy odbiła się od barku pierwszego z napastników, ją również zgnetliśmy i odwróciliśmy się.

Puszka eksplodowała z hukiem fajerwerku, sypiąc na wszystkie strony krwawoczerwoną farbą oraz odłamkami metalu. Biegając ku drzwiom, poczułem na karku dotyk sprayu. Ostry jak brzytwa fragment przemknął obok mojego ucha, omal go nie ucinając. Przy wejściu rozległy się krzyki.

- Strzelać, strzelać, do cholery! - usłyszałem znajomy głos. To był San Khay, kumpel

Bakker z czasów, gdy ja również się z nim przyjaźniłem. Nigdy dotąd go nie spotkałem, ale nawet wtedy, nim jeszcze wydarzyło się to wszystko, czego nie potrafiłem nazwać, jego gwiazda się wznosiła.

Jeden z mężczyzn zdołał usunąć z oczu wystarczająco wiele farby, by móc nacisnąć spust, nie wystarczyło to jednak do skutecznego celowania. Wpadłem do sypialni i zatrzasnąłem za sobą drzwi, sięgając jedną ręką do tornistra po kolejną puszkę. Nim napastnicy zdążyli odzyskać równowagę, narysowałem na drzwiach znak ochronny. Był przesadnie wielki, jego długie linie wychodziły na ściany, tworząc prosty kształt klucza. Ktoś kopnął drzwi. Zatrzęsły się, ale nie ustąpiły. Wyszepiałem do swego znaku kilka słów i odsunąłem się od drzwi. Któryś z napastników zaczął strzelać. Z tak bliska hałas był niemal bolesny, przyprowadził nas o szok. Drewno jednak nie pękło, drzwi się nie otworzyły, nawet nie drgnęły. Bariera nie wytrzyma długo, ale to wystarczy. Przeczółgałem się przez pokój, mijając równo zaścielone małżeńskie łóżko, i dotarłem do otwartego okna. Za nim były schody ewakuacyjne. Zeskoczyłem na zimny metal, nadal mokry po wieczornym deszczu, i zobaczyłem poniżej motocyklistę oraz kobietę, wlokących Sinclaira w dół.

Pobiegłem za nimi. Dogoniłem ich, gdy zdołali dociągnąć ledwie dyszącego grubasa do krótkiego korytarzyka na parterze.

- Gdzie tamci? - zapytał motocyklista, świetnie rozumiejąc, co jest najważniejsze.

- Z czasem się przebiją.

Twarz grubasa była blada i zlewał ją pot.

- Trzeba go odwieźć do szpitala - mruknąłem.

- Naprawdę? - warknął motocyklista.

- Masz samochód?

- Tylko motocykl.

- Dasz radę go nim przetransportować?

- Kurwa, myślisz, że to wytrzyma? Jesteś pierdolonym czarnoksiężnikiem, zrób coś!

- To nie takie proste! Żeby naprawić tak poważne uszkodzenia, potrzeba sprzętu, przygotowań...

- Czarnoksiężnicy nie potrafią uzdrawiać - odezwała się kobieta. Pierwszy raz usłyszałem jej głos. Był niski i zimny, niemal beznamiętny. - Ta zdolność nie wchodzi w skład ich magii.

- Kurwa, potrafię uzdrawiać, jeśli mam pierdolony sprzęt! - warknąłem. - Ale, tak, skoro o to pytasz, przywracanie do życia umarłych czy nawet ludzi stojących na progu śmierci to nie nasza specjalność.

- Rewelacja - wysyczał motocyklista. - Jesteś cholernie pomocny, co?

- Możemy mu pomóc - odparliśmy. - Nasza krew utrzyma go przy życiu przez pewien czas, jeśli zawieziecie go gdzieś, gdzie go uzdrowią.

Niewykluczone, że nawet motocyklista wyczuł nasze intencje. Z pewnością nie był na tyle głupi, by zadawać nam pytania. Wyciągnąłem scyzoryk z tornistra. Chłodny metal ślizgał się w moich zakrwawionych palcach. Ręka mi drżała. Nie wiedziałem, co chcę zrobić, i nie miałem pojęcia, czy to się uda. A jeśli nie, to...

Skupiliśmy się, powstrzymując drżenie dłoni. Zaczerpnęliśmy powoli tchu, starając się uspokoić tłukące gwałtownie serce. Po krótkich poszukiwaniach znaleźliśmy potrzebne ostrze i wysunęliśmy je. Potem, uważając, by nie zadać zbyt głębokiej rany, przesunęliśmy nim po wewnętrznej powierzchni lewej dłoni. Czuliśmy wstręt i grozę kobiety, choć jej twarz pozostała zimna. Zauważyliśmy też zaskoczenie motocyklisty. Gwałtowny ból sprawił nam chwilową ulgę, odwrócił naszą uwagę od dzwonienia w uszach, piekących oczu i drżących kończyn. Myśleliśmy wyłącznie o gromadzącej się w zagłębieniu dłoni krwi.

Początkowo nie była odpowiednia: ciemna, w słabym świetle niemal czarna. Zwyczajny ludzki płyn ustrojowy, brzydki i pozbawiony odpowiedniej temperatury. Czekaliśmy. Po kilku sekundach zaczęła się przemiana. Na powierzchnię spływającej nam między palcami krwi wypłynął jaskrawy robak z niebieskiego światła. Potem zanurzył się znowu niczym morskie zwierzę zaczerpujące powietrze. Po chwili pojawił się drugi błękitny ogienek, skaczący po powierzchni naszej krwi jak iskra między dwoma piorunochronami. A po nim trzeci. Stłumiłem z wysiłkiem mdłości. Błękit ogarnął kałużę krwi w mojej dłoni, wynurzając się z niej na podobieństwo czerwii. Świetliste iskry pojawiały się na powierzchni, lśniąc tak jasno, że na nasze twarze padły cienie. Elektryczna luna odepchnęła ciemność. Wijący się błękit nie ograniczał się tylko do przelanej krwi. Czułem, jak wypełnia moje żyły, widziałem, że moja skóra robi się białoniebieska, gdy odpływa z niej czerwień. Rękę od nadgarstka w górę ogarnęła błądź. Miałem wrażenie, że moja krew zamienia się w lód, przenika ciało zamrożonym prądem, aż kości zaczynają grzechotać, a głowę wypełnia szum słów...

...stań się...

...myśmy są...

Zamknąłem oczy, gdy błękit przesłonił moje pole widzenia, wypalając ciemność i spowijając świat szafirową luną. Ale niebieska pożoga gorzała nawet pod zamkniętymi powiekami i, niech mi Bóg pomoże, kochaliśmy ten ogień, napawaliśmy się nim, unosiliśmy palce, by czuć przepływającą między nimi energię, jakby w każdym nerwie płynął prąd o

napięciu stu woltów, a wszystkie narządy produkowały kwas pobudzający do działania świecą zapłonową w moim sercu, które z każdym uderzeniem szerzyło pożar na mojej skórze. Nigdy dotąd nie czułem się tak bardzo żywy, tak nieludzki.

Pomimo strachu, poruszaliśmy się automatycznie, pełniąc swoją funkcję. Zdjęliśmy z rannego marynarke, ściągnęliśmy resztki kamizelki z miejsc najpoważniejszych obrażeń i waliśmy weń odrobinę swej gorejącej niebieskim ogniem krwi. Tam, gdzie go dotknęła, ciało się przypiekało. Gdy spadały kolejne krople, grubas szarpał się gwałtownie, i jęczał, jak przypiekany szczypcami. Właliśmy po kilka kropli w każdą z jego ran, a potem rozpięliśmy mu koszulę nad sercem i zczekaliśmy, aż jego oddech się uspokoi.

- Będziecie musieli go przytrzymać - oznajmiliśmy.

- Co ty mu robisz? - zapytała kobieta.

- Utrzymamy go przy życiu tak długo, jak będziemy mogli, nie robiąc sobie krzywdy - wyjaśniliśmy. - Nasz ogień w jego ciele.

Wylaliśmy odrobinę krwi na serce Sinclaira. Grubas krzyknął, ale motocyklista wykonał nasze polecenie i unieruchomił rannego, gdy wcieraliśmy mu w pierś niebieski płyn, dzielący się na świetliste robaki, każdy z nich jaśniejszy niż diament w blasku słońca. Wiły się przez moment na jego skórze, a potem zaczynały w nią wnikać, zagrzebując się w ciele. Dwanaście, a potem więcej, naszych iskier wryło się w nie, przenikając do układu nerwowego. W miejscu gdzie zakopały się w ciele, pozostały maleńkie jasne ślady po oparzeniach. Nie byliśmy pewni, czy się zagoją. Tak czy inaczej, gdy ostatnia kropla naszej krwi zniknęła, Sinclair się uspokoił i jego oddech stał się bardziej naturalny. Plamy krwi, nadal widoczne na jego skórze i wewnętrznej powierzchni naszej dłoni, wyblakły powoli, odzyskując naturalną ciemnoczerwoną barwę. Oderwaliśmy koniec rękawa swej koszuli i zrobiliśmy z niego bandaż, by zahamować dalsze krwawienie.

- Będzie żył wystarczająco długo, by dotrzeć do szpitala - oznajmiłem zdyszonym głosem, starając się stłumić mdłości i zawroty głowy. - Dasz radę go tam dowieźć?

- Och, tak - odparł z uśmiechem motocyklista. - Myślę, że dam.

* * *

Zostawił motocykl na ulicy. Panował tam ogłuszający hałas. Alarmy samochodowe zawodziły, w większości mieszkań paliły się światła, a tam, gdzie było ciemno, wyły alarmy przeciwłamaniowe. Słyszałem syreny na okolicznych ulicach. Policyjne radiowozy były coraz bliżej. Parę odważniejszych osób, które przebywały w nieco dalej położonych domach i mogły nie rozpoznać odgłosu strzałów, otworzyło drzwi, wyglądając na dwór. Motocykl był

wielki, wyposażony w potężne srebrzyste rury i przekładnie, przywodzące na myśl piszczałki w jakichś obłąkanych organach kościelnych. Miał też wielkie, skórzane siedzenie i szeroką kierownicę. Przerzuciliśmy Sinclaira przez przód siedzenia. Motocyklista usiadł za nim, otaczając potężnymi ramionami szczęśliwie nieprzytomnego grubasa. Ledwie sięgał kierownicy.

- Będę w University College Hospital - oznajmił z szerokim uśmiechem. - Znajdź mnie tam, zanim oni to zrobią.

Złożył kopniakiem stopkę i zapalił silnik. Rura wydechowa pierdnęła gęstym cuchnącym dymem. Warczenie motoru brzmiało jak smętny ryk dinozaura.

- To było za łatwe - stwierdziła pozostawiona pośrodku drogi kobieta.

- No jasne, musiałas to powiedzieć - mruknąłem, poprawiając tornister.

- Gdyby byli zdeterminowani nas zabić, na pewno potrafiliby to zrobić skuteczniej - oznajmiła afektowanym tonem.

- Właśnie zadałaś pytanie numer dwa.

- A jak brzmi pytanie numer jeden?

- Jak udało im się nas znaleźć, do cholery?

Przesunęła pośpiesznie spojrzeniem wzdłuż ulicy.

- Gdzie się podziali czarownik i wróżka?

- Nie mam pojęcia. Lepiej stąd chodźmy.

Wyciągnąłem mniej zakrwawioną rękę i odwróciłem kobietę od domu. Wzdrygnęła się, jakby mój dotyk parzył.

- Musimy stąd zmiatać - wyszczałem.

Zawahała się, a potem skinęła głową i ruszyła. Podążyłem za nią, wpatrując się przed siebie. Oddychałem miarowo, a ręka płonęła mi z bólu. Zastanawiałem się, czy będę się musiał niedługo doszczepić przeciwko tężcowi. Nie byłem pewien, czy tężec w ogóle jeszcze mi grozi.

Nasze cienie owinęły się wokół nas.

Kobieta miała rację. Poszło nam za łatwo. Ogarniał mnie chłód, ogień w mojej krwi dogasał, nie pozostawiając po sobie nic poza wyczerpaniem i bólem. Czuliśmy skierowane na nas spojrzenie, wyczuwaliśmy w powietrzu to samo lodowate migotanie, co dwa lata temu, owego dnia, gdy nad rzeką wziąłem w zakrwawione dłonie słuchawkę telefoniczną. Tym razem jednak wrażenie było silniejsze. Czy dlatego, że już go półświadomie szukałem, czy jego moc wzrosła pod moją nieobecność? Czulem w powietrzu jego smak. To było tak, jakbym pił słabe, czarne światło księżycy. Spojrzałem w dół, wiedząc, co zobaczę. Poczulem

ucisk w żołądku. Dłonie zaczęły mi drżeć, a z oczu - nie mogliśmy tego powstrzymać - popłynęły łzy. Wróciły wspomnienia każdego draśnięcia, pchnięcia, rozdarcia, bólu, każdej chwili, każdej kropli krwi sączącej się z mojej skóry. Wszystko to było realne, pochłaniało mnie, zalewało moje zmysły. Choć staraliśmy się walczyć z owym uczuciem, na tę myśl przed naszymi oczami pojawiły się plamy, a z kości zaczęła odpływać siła. To zdumiewające, że zwykły stan ducha mógł uczynić naszą fizyczną postać słabszą niż mokry papier. Baliśmy się, tak bardzo się baliśmy, że wkrótce sami doświadczymy tego wszystkiego, doznamy wrażeń, które położą kres wszelkim wrażeniom...

- Co się stało?

Głos kobiety przyniósł nam ulgę, był jak nóż przebijający się przez wysokie brzęczenie wypełniające nasze uszy.

Wskazaliśmy drżącymi dłońmi na chodnik, gdzie - powoli i niepowstrzymanie - nasze cienie, otoczone pomarańczowym blaskiem latarni, wyginały się w stronę światła.

- Uciekaj - wyszeptalem.

- Słucham?

- Uciekaj.

Nie ruszała się z miejsca. Złapałem ją za rękę i - choć się opierała - pociągnęliśmy ją za sobą z całą siłą, jaką mieliśmy w kościach.

Rzuciliśmy się do ucieczki.

Nic nie wskazywało na to, by ktoś nas ścigał, nie słyszałem żadnych kroków, krzyków: „Hej, wy!”, nie słyszałem syren ani wrzasków, oddechów za naszymi plecami, żadnych oznak pościgu. Biegając, przyglądałem się jednak naszym cieniom. Z każdą chwilą stawały się cieńsze, nie skręcały zgodnie z kierunkiem padania światła, nie poruszały się, gdy się pochylaliśmy, nie kurczyły się i nie rozszerzały, jak dzieje się to zawsze, gdy ktoś biegnie przez miasto, przechodząc od obszarów cienia do plam blasku latarni. Cały czas pozostawały rozciągnięte i cienkie jak tyczki. Wlekliśmy je za sobą, aż mój cień wydał mi się niemal fizycznym ciężarem, ołowianym płaszczem ciągnącym mnie do tyłu za głowę. Szyja mnie rozboleła od wysiłku kierowania oczu do przodu, moje ramiona ugiwały się pod ciężarem, a nogi poruszały się ospale, jakby przywiązano do nich worki piasku. Kobieta z pewnością również to zauważyła. Wątpię, by biegła dalej, gdyby sobie nie uświadomiła, że jej własny cień podąża za nią, że staje się wypaczony, a jego granica migocze i topnieje.

Gnaliśmy przez noc, jakbyśmy uciekali przez całe życie, jakby to było wszystko, co znamy, wszystko, czego potrzebujemy, wszystko, co istnieje.

Pędziliśmy na południe. Przecieliśmy Wigmore Street i znowu się zagłębiliśmy w

zaułki. W tej okolicy po raz pierwszy spotkałem wróżkę pracującą obecnie w dawnej „Jaskini Cudów” Khana. Wybiegliśmy na Oxford Street. Nadal panował tam spory ruch, ale już nie tak wielki, jak o wcześniejszej porze. Żebracy, pijacy i skąpo odziane kobiety nie poświęcali nam zbyt wielkiej uwagi. Przebiegliśmy przez ulicę tuż przed zbliżającymi się z obu stron nocnymi autobusami i dotarliśmy do przymkniętych drzwi stacji Bond Street. Przemknęliśmy obok wielkiego znaku, na którym senny strażnik w ciemnoniebieskim uniformie pisał „Stacja zamknięta” i popędziliśmy schodami w dół.

- Chwileczkę! - zawołał strażnik.

Kobieta wykazała się zaskakującym pragmatyzmem.

- On ma pistolet, ty skurwielu! - zawołała, wskazując na mnie.

Strażnik miał tylko dwa wyjścia. Mógł sprawdzić prawdziwość jej słów albo tego nie zrobić. Wyglądało na to, że płacą mu za mało, by chciał podejmować takie ryzyko.

- Niech to chuj - warknął i zwiął na górę.

Na stacji Bond Street paliły się wszystkie światła. Szczerze mówiąc, wątpię, by w ogóle gaszono je na noc. Ekrany automatów biletowych były jednak czarne, a w kasach zasunięto żaluzje. W jaskrawym, sztucznym świetle sufitowych lamp nasze cienie w ogóle nie były widoczne.

- Czy to wszystko? - zapytała kobieta.

- Dobrze by było. Masz jakiś bilet?

- Metro już nie kursuje. Ostatni pociąg nam uciekł... - zaczęła.

- To nie pora na dyskusje - odparłem najmiłszym głosem, na jaki było mnie stać. -

Powiedz „tak”, do cholery!

- Tak - mruknęła.

- Świetnie. Przechodzimy przez barierkę.

- Ale pociąg...

- Ruszaj się, bo jeśli on cię nie zabije, my z pewnością to zrobimy!

Mój krzyk zaskoczył nas wszystkich. Kobieta skinęła głową z otepiałą miną, pogrzebała w kieszeni zakrwawionymi palcami, znalazła bilet i bez słowa wsunęła go w otwór przed barierką.

- Nie działa! - zawołała, podczas gdy ja szukałem karty Oyster. - Czy mam skakać?

- Ani mi się waż! - warknąłem. - Jeśli skoczysz, nic z tego nie wyjdzie.

- Z czego?

Podbiegłem do barierki i z całej siły wepchnąłem kartę Oyster do czytnika. Z mojej dłoni trysnęły iskry, wnikając do wnętrza maszyny. Nawet nie próbowałem świadomie rzucić

zakłęcia. Kierowała mną wyłącznie adrenalina. Bramka otworzyła się z uprzejmym *biip* i przeszedłem na drugą stronę.

- Spróbuj jeszcze raz!

Na szczycie schodów coś się poruszyło. Światła na suficie zamigotały, jasność i ciemność następowały szybko po sobie.

- Ale to...

- Szybko!

Wepchnęła bilet do czytnika. Tym razem urządzenie go zaakceptowało i bramka otworzyła się z głośnym *biip*. Kobieta przemknęła na drugą stronę. Bramka zamknęła się za nią.

Skierowałem uwagę na schody prowadzące na peron. Światła na ich szczycie zgasły z cichym jękiem, jakby po prostu wyzionęły ducha. Po nich następne. I następne, i następne. Ciemność spływała w dół z wejścia na schody na podobieństwo przyływu. Gdy przepełzła przez barierkę i zgasła lampy nad naszymi głowami, uniosłem rękę i pochwyciłem iskierkę białego światła z ostatniej lampy, ściskając ją między koniuszkami palców. Drugą dłoń zacisnąłem mocno na karcie Oyster.

Ciemność minęła nas, zbiegając w dół po schodach ruchomych. Została tylko maleńka plamka białego światła otoczona przez cienie.

- Co to jest? - wyszeptała kobieta, zaledwie cal ode mnie.

- Nie wypuszczaj biletu z ręki - odparłem.

W mroku po drugiej stronie barierki pojawiła się plama głębszej ciemności. Wyłoniła się z podłogi, zgęstniała, poruszyła się i otworzyła oczy barwy gwiazdzistej nocy. Potem rozwarła usta, przybierając postać mężczyzny. Poznałem go, choć wyglądał jak wyschnięty trup.

- Cześć, Matthew - wyszeptał głosem brzmącym jak szelest jedwabiu muskającego wypolerowaną kość.

- Cześć - mruknąłem. Nie przychodziło mi do głowy nic lepszego. - Jesteś głodny?

- Zawsze, zawsze mam pusty brzuch. I cześć, ogniu Matthew - dodał. - Cóż z ciebie za ogień!

Ruszył w stronę barierki, ciągnąc za sobą cień. Słabe, odbite światło kulki jasności, którą trzymałem w palcach, pozwalało mi dostrzec jego twarz. Była trupio blada i zapadnięta, kości sterczały z niej pod najróżniejszymi kątami, czaszkę pokrywała cienka warstewka skóry, zęby pochylały się we wszystkie strony, niebieskie, zażawione oczy były niemal tak jasne jak skóra, a włosy wyglądały jak rzadka biała szmata, zwisająca w strzępkach z

pryszczatej skóry, ledwie widocznej pod szerokim rondem czarnego kapelusza, który nosił, by osłaniać oczy. Szyja była tylko nieznacznie szersza od kręgosłupa, a palce u rąk nienaturalnie długie. Idąc, w ogóle nie unosił bosych stóp nad powierzchnię. Palce u nich przypominały rozciągnięte zapalki, a żyły między długimi ścięgnami nóg wyglądały jak małe węże. Odnosiłem wrażenie, że ślizga się po cieniach, otaczających go licznymi tłustymi falami. Miał na sobie cienkie wystrzępione spodnie, właściwie łachmany, upstrzone białawymi plamami, luźną białą koszulę zwisającą z chudego ciała jak zapadnięty balon, oraz płaszcz. Gdy poznałem ten ostatni, przeszył mnie szok. Był długi i beżowy, a w miejscu, gdzie w tkaninę wsiąkła moja krew, pozostała nie do końca sprana, brązowawa plama.

Zauważył moją minę.

- Zatrzymuję sobie pamiątki po wszystkich przyjaciółach - wyszeptał bliskim urazy tonem, odsłaniając sterczące poźółkłe zęby. - Chciałem sobie wziąć twoje serce, ale przekonałem się, że zachowałeś je dla innych.

Podszedł bliżej do barierki i zwolnił, przyglądając się jej ze wzgardą.

Kobieta zacisnęła palce na moim ramieniu.

Mężczyzna przykucnął w niemal zwierzęcej pozie, przechylając głowę, i - bez dostrzegalnego wysiłku - skoczył. Odnosiłem wrażenie, że ciemność ciągnie się za nim. Na krótką chwilę jego płaszcz - mój płaszcz, na jego ciele - przerodził się w krucze skrzydła, łapiące powietrzne prądy. Postać przekształcała się, i migotała, jakby była zrobiona z wypaczonej mgły. Wzbił się wysoko nad barierkę, dotarł do miejsca położonego dokładnie w połowie jej długości i odbił się z głośnym trzaskiem od niewidzialnej przeszkody. Runął na pogrążoną w mroku podłogę, ale natychmiast wstał. Nie był ranny i nic nie wskazywało na to, by cierpieć ból. Jego oczy lśniły srebrzystym blaskiem.

- Wydaje ci się, że zdołasz mnie powstrzymać? - wyszczał.

Uniosłem przed sobą kartę Oyster, jakby była policyjną odznaką, celując prosto w niego.

- Warunki przejazdu wyglądają następująco: „Ten, kto nie ma karty Oyster z ważnym biletom okresowym lub sumy potrzebnej do wyrównania różnicy, musi posiadać ważny drukowany bilet na całą długość planowanej trasy. By korzystać z drukowanego biletu, należy wypełnić niniejsze warunki. Wszystkie takie bilety...”.

Stwór rzucił się z rykiem na barierkę. Jego sylwetka rozciągnęła się, przesłaniając niemal całą stację. Przeszkoda ponownie odrzuciła go do tyłu z ostrym, elektrycznym trzaskiem.

- „...pozostają naszą własnością i możemy je w każdej chwili wycofać bądź

unieważnić. Robimy to wyłącznie z uzasadnionych powodów i zawsze wystawiamy rachunek”.

Otworzył szeroko usta i ryknął. Z jego gardła buchnął smród gnijącego mięsa. Towarzyszyła mu fala fizycznej ciemności, dzielącej się na przypominające ćmy kształty, które rzucały się na barierkę oraz na przestrzeń nad nią i pod nią. Gdy tylko dotarły do przeszkody, obracały się w maleńkie kupki popiołu, które znikwały, nim zdążyły opaść na podłogę.

Nie przestawałem mówić. Zakłęcie mnie ekscytowało, zatopiłem się w nim całkowicie. Powietrze wokół bariery gęstniało i twardniało z każdym słowem, aż wreszcie cień usiłującego sforsować barierę stworzenia zniekształcił się od gęstości dzielącej nas od niego magii.

- „Drukowane bilety można nabywać tylko w oficjalnych kasach” - krzychałem, napawając się towarzyszącym temu wrażeniem. - „Bilet kupiony od kogoś innego nie jest prawomocny i możemy go unieważnić oraz postawić zarzuty kupującemu i sprzedającemu....

Stwór wyhodował sobie czarne jak heban pazury i zaczął orać nimi barierki, ale te nawet się nie zachwiały.

- „Opłata, jaką należy uiścić w kasach metra londyńskiego, by podróżować jego trasami albo w miejsca obsługiwane przez innych operatorów, jest naliczana od stacji początkowej aż do stacji...” - wrzeszczałem, czując, że ogień zakłęcia wypełnia mnie od stóp do głów. Z ogłuszającym sykiem frustracji stwór rzucił się po raz ostatni na barierkę. Drapał niewidzialną ścianę mocy zagrządzającą mu drogę i okładał ją potężnymi ciosami, aż wreszcie osunął się na peron, skomląc jak ranne zwierzę. - „...zakończenia podróży”.

Uświadomiłem sobie, że jestem straszliwie zdyszany i dręczą mnie zawroty głowy. Moje ciało wydawało się tak lekkie, że bałem się, że jeśli się ruszę, uniosę się w powietrze.

Światła wokół nas zaczęły się zapalać. Fala światła wchodziła na górę po schodach i rozszerzała się na ściany, otaczając stojący pośrodku peronu czarny cień, który odzyskał teraz w przybliżeniu ludzką postać.

- Wróć po ciebie, Matthew - oznajmił zza dzielącej nas od siebie migoczącej ściany mocy. - Wróć po niebieski, elektryczny ogień, po twoich aniołów stróżów.

Potem roztopił się bezgłośnie, nawet bez westchnienia. Ciemność spłynęła w dół, pozostawiając jedynie widoczny na podłodze cień, który umknął po schodach i zniknął w nocy. Wszystkie światła zapaliły się na nowo.

* * *

Osunąłem się na podłogę. Siedziałem oszołomiony na brudnym peronie dworca Bond Street, a w moje kości powoli wnikała świadomość, że żyję.

Kobieta przykucnęła przede mną, trzymając się na dystans.

- Nic ci nie jest? - zapytała po chwili.

- He?

- Nic ci nie jest?

- Ehe. Wszystko w porządku.

- Dasz radę iść?

- Słucham?

- Musimy stąd znikać.

- Naprawdę?

- Powiedziałam strażnikowi, że masz pistolet.

- Ach, tak, prawda. Iść. Jasne. Nie ma sprawy. Podasz nam rękę?

Zawahała się, wykrzywiając twarz. Ta myśl wyraźnie się jej nie spodobała.

- Dobra - mruknąłem. Podniosłem się na ręce i kolana, a potem wstałem z wysiłkiem. Czuję się, jakbym nie jadł przez tydzień albo jakby zaczynał mi się potężny kac. - Dobra.

Podszedłem chwiejnie do barierki i otworzyłem ją za pomocą karty. Kobieta podążyła za moim przykładem. Barierka otwierała się i zamykała bez przeszkód, poruszając się niczym skrzydła motyla. Takich cudów potrafi dokonać ważny bilet metra londyńskiego.

- Czy on rzeczywiście wróci? - zapytała kobieta, gdy włączyliśmy na schody.

- Wiesz co? Nie mam pojęcia - odparłem szczerze. Czuję się straszliwie zmęczony. - Ale raczej w to wątpię. Nie dzisiaj.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Dlatego że nie jest przyzwyczajony przegrywać. A co dopiero dwa razy.

- Dwa razy?

- Chodź - westchnąłem. Wlepiłem spojrzenie w najbliższy przystanek autobusowy i poszedłem szukać drogi wyjścia.

Weszliśmy na piętro nocnego autobusu i położyłem się na dwóch siedzeniach z przodu.

- Dwa razy? - powtórzyła bardzo cicho siedząca za mną kobieta.

- Daj sobie z tym spokój.

- To... plugastwo... znało cię. Zwracało się do ciebie po imieniu.

- Ehe. Masz rację.

Mijaliśmy zielone, żółte, pomarańczowe i białe światła witryn sklepowych. Widoczne

w nich prezentujące najnowszą modę manekiny przyglądały się kontemplacyjnie cichej ulicy. Nawet żebracy kończyli już działalność i rozkładali swe tekturowe pudła przed drzwiami sklepów albo rozwijali śpiwory u stóp bankomatów. Podmuch przejeżdżającego autobusu unosił w powietrze pozostałe po dniu śmieci - kartonowe pudełka, opakowania z McDonalda, plastikowe torby z supermarketów, folie z kompaktów, paragony i niedopałki.

- Wiedziałeś, co to było. Wiedziałeś, że się zjawi.

- Już się kiedyś spotkaliśmy - odparłem. - Na pewno potrafisz się domyślić, w jakich okolicznościach.

- Co to było?

- Ciebie - wyjaśniłem. - Po prostu cień. Można go nazwać Głodem. To wszystko. Nie ma w nim nic więcej.

- A co to za zakłęcie go powstrzymało?

- Prosta osłona.

- Bilet do metra?

Jej ton wyrażał raczej wesołość niż zaskoczenie.

Usiadłem z jękiem, przekonany, że zawłóści teorii magii nie powinno się wyjaśniać, leżąc na dwóch siedzeniach autobusowych.

- Jaką właściwie rolę grasz w tym wszystkim? - zapytałem bez ogródek. - Mam wrażenie, że gównie wiesz o magii i nie czorta jej nie wyczuwasz. Nie masz... aury unoszącej się w powietrzu, twoje ruchy nie zostawiają po sobie barwy ani korzennej woni. Co, do licha, łączy cię z Sinclairem i jego bandą?

Uśmiechnęła się półgębkiem, spoglądając na splecione na kolanach dłonie.

- Moje zadanie polega na czymś innym.

- Jak się nazywasz?

- Oda. Możesz mi mówić Oda.

- Ja jestem Matthew - oznajmiłem. - Ale możesz mi mówić jak chcesz.

Znowu się uśmiechnęła. Jej różowe wargi tworzyły ostry kontrast z ciemną, kształtną twarzą. Czarne kręcone włosy splotła w warkoczyki tak blisko czaszki, że musiało jej to sprawiać ból. Szeroko otwarte oczy miały czujny wyraz.

- Dobra. A teraz wyjaśnij mi, o co chodziło z tym biletem.

Zacisnąłem dłonie w pięści i zasłoniłem nimi oczy, próbując wycisnąć z mózgu choć odrobinę zmęczenia. Chciałem odpowiedzieć najlepiej, jak tylko potrafię.

- Każdy przedmiot, osoba albo miejsce ma własną, niepowtarzalną magię. W przypadku metra tę magię definiują przesywające je rytmy. To jest jak bicie serca, jak tętno,

życiodajna krew, która przepływa przez żyły, opisując ze wszystkimi szczegółami kształt wypełniającej je mocy. Pasażer wchodzi do metra, kupuje bilet, przechodzi przez barierkę, wkracza do tuneli, wsiada do pociągu, korzysta z biletu i wychodzi przez barierkę. Ona jest częścią tego, co definiuje metro, nadaje jego magii inny smak. Ciężki i tłoczny, brudny i hałaśliwy, pełen życia i siły. Jeśli ktoś wie o istnieniu tej magii, zna kształtujące ją rytmy, z łatwością może ją spętać odpowiednim zaklęciem, w pełni wykorzystującym jej cechy charakterystyczne. W tym przypadku...

- Stworzyć barierę nieprzekraczalną dla kogoś, kto nie ma biletu.

- Można by tak to określić.

- Sprytne - przyznała. - Na swój odrażający sposób.

- To czarnoksiężstwo - odparłem ze wzruszeniem ramion. - Ono zawsze takie jest, z pewnego punktu widzenia.

Zerknęła na mnie z błyskiem w oczach. Przez krótką chwilę widziałem w nich ogień, który mnie wystraszył.

- Czarnoksiężstwo czyni z ludzi bogów, a ludziom nie jest przeznaczone stawać się takimi istotami - rzekła cicho.

- Raczej nie zaliczasz się do sympatycznych osób, prawda, Odo?

- Co innego być sympatycznym, a co innego sprawiedliwym - odparła z godnością.

Osunąłem się z jękiem na wystrzępione siedzenia. Autobus skręcił w Tottenham Court Road.

* * *

Szpital był nowy, czysty i jasno oświetlony. Panował w nim intensywny ruch, a w powietrzu unosił się zapach środków odkażających. Podłogi i ściany były tak białe, że ich widok sprawiał mi niemal ból, szyby we wszystkich oknach miały osobliwy odcień butelkowej zieleni, w doniczkach radośnie kwitły sztuczne rośliny, krzesła miały jasne obicia, a personel na nocnej zmianie nosił jaskrawoniebieskie uniformy. Pod wejściem do Oddziału Wypadkowego parkował ogromny, czarny motocykl.

Weszliśmy do środka, chwiejąc się na nogach. Nasze stroje były podarte i zbrukane krwią. Rejestratorka spojrzała tylko na mnie i zapewniła, że doktor zaraz się mną zajmie. Nie pytaliśmy o Sinclaira. Dwie zakrwawione osoby dopytujące się o ofiarę postrzału? To z pewnością nie byłby dobry pomysł. Podążyliśmy za strzałkami na ścianach przez bezkresne korytarze. Wszystkie wyglądały identycznie - białe ściany i jarzeniowe światła na sufitach. Sprawdziliśmy na intensywnej opiece, ale nikogo nie znaleźliśmy, i w końcu dotarliśmy do

sal operacyjnych.

Motocyklista siedział na ławce przed Salą Operacyjną numer 3, ściskając w mięsistym łapsku puszkę Red Bulla. Chrząknął na nasz widok.

- Nie śpieszyło się wam - zauważył.

- Ktoś cię śledził? - zapytała ostro Oda.

- Mnie nikt nie zdoła śledzić - odparł niedopuszczającym sprzeciwu tonem. Nagle uśmiechnął się radośnie. - Ale jeśli chcesz, możesz spróbować.

Oda wzniosła oczy ku niebu.

W sali operacyjnej nie było okien i nie mogliśmy zajrzeć do środka, usiadłem więc na ławce naprzeciwko motocyklisty. Wszystkie moje mięśnie ogarnęło wyczerpanie. Wzdłuż nerwów przebiegał pulsujący ból.

- I co powiedzieli? - zapytałem.

- Och, no wiesz. Trzeba zawiadomić policję, poważne uszkodzenia narządów wewnętrznych, może nie przeżyć nocy, to cud, że wytrzymał tak długo, nie rozumieją, co go utrzymywało przy życiu, zrobią, co będą mogli, i tak dalej, bla, bla, bla. Wiesz jak to jest. - W kącikach jego oczu pojawił się błysk niepokoju. - Mieliście kłopoty?

- Niewielkie.

- Ale poradziście sobie?

- Tak.

- To świetnie. Dobra, skoro już tu jesteście... nie wiem jak wy, ale ja uważam, że może powinniśmy stąd spieprzać.

- A co z Sinclairem? - zapytała pośpiesznie Oda.

Motocyklista czknął.

- Albo wyżyje, albo nie. Nie mamy na to wpływu. Niedługo zjawi się policja. Nie chcę mieć z nią nic do czynienia. A wy?

- Chcesz go zostawić na śmierć?

- Jezu, kobieto. Zarejestrowałem go pod fałszywym nazwiskiem. Jak już mówiłem, wkrótce zjawi się policja. Jeśli nie wylatuje, będzie bezpieczny.

Zerknęła na mnie, unosząc brwi.

- My tylko możemy ściągnąć na niego dodatkowe zagrożenie - oznajmiłem.

- Nie wierzę w to.

- W takim razie powiedzmy, że jeśli tu zostaniemy, narazimy się na dalsze niewygody - poprawiłem się. - Tak lepiej?

Prychnęła pogardliwie, ale nie spierała się ze mną. Motocyklista wstał jednym

szybkim ruchem, klepnął się radośnie po udach i rzucił pustą puszką po Red Bullu, trafiając bezbłędnie do kosza stojącego przy automacie z napojami.

- Tak jest! Spieprzamy stąd, nim zacznie się prawdziwy syf.

* * *

Motocyklista mieszkał - z braku lepszego określenia - w garażu na złomowisku. Jakby tego jeszcze było mało, złomowisko znajdowało się w Willesden.

Dla większości populacji Londynu Willesden jest okolicą, przez którą się przejeżdża po drodze w jakieś lepsze miejsce. To złożony twór, którego charakter definiują otaczające dzielnice - pełne zieleni ulice Hampstead na wschodzie, szerokie aleje Maida Vale na południu, przysadziste domy bliźniaki Wembley na północy oraz osobliwa, nieokreślona okolica ciągnąca się wzdłuż ulic - z ich młodymi drzewkami, mającymi nadzieję w przyszłości wyrosnąć na potężne dęby - od zachodniej granicy Willesden, gdzie miasto przechodzi w przedmieścia. Owa okolica zachowuje swój zasadniczy charakter na przestrzeni blisko piętnastu mil. W gruncie rzeczy, można by powiedzieć, że Londyn jest olbrzymim przedmieściem otaczającym stosunkowo niewielkie jądro, a w Willesden wszystkie aspekty tego przedmieścia łączą się ze sobą, tworząc miszmasz złożony ze złomowisk, węzłów kolejowych, małych segmentów, bungalów bliźniaków, wysokich segmentów, wielkich supermarketów, niezwykle etnicznych sklepów spożywczych, a także licznych synagog, meczetów i hinduskich świątyń - wszystko to ściśnięte razem, jakby nie wiedziało, skąd się właściwie tu wzięło.

Należący do motocyklisty barak - nie da się uprzejmiej określić skleconych razem płyt blachy falistej tworzących ściany jego domu - znajdował się nieopodal starego kanału, zabytku bardziej industrialnej przeszłości. Naprzeciwko ciągnęło się pole wypełnione wrakami samochodów oraz mechanicznych urządzeń do ich zgniatania. Na ścianach domu wisiały narzędzia, kurtki, części zapasowe do samochodów i motocykli, a także zdjęcia tych ostatnich. Wyglądało to jak skrzyżowanie garażu z sypialnią nastolatka. Nigdzie nie zauważyłem żadnych mistycznych symboli, gdy jednak właściciel napalił w żelaznym piecyku stojącym w kącie i kopał małą prądnicę tak długo, aż miganie żarówek przeszło w ciągły, choć słaby blask, wyczułem w powietrzu pewien szczególny posmak. Było to jak nagły impuls, który pobudził moje zmysły i zaraz zniknął. Mogłem się jedynie domyślać jego natury, bo gdy tylko próbowałem znowu pochwycić owo wrażenie, wymykało mi się jak kawałek mydła wyslizgujący się z palców.

Motocyklista wskazał na kanapę pokrytą starymi, brudnymi kocami.

- Chcecie kawy? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała Oda, najwyraźniej nie zamierzając usiąść.

- Tak - oznajmiłem i uwalilem się na kanapie z nagłą, niezachwianą pewnością, że wszystkie moje życiowe ambicje obracają się wokół tego napoju.

- Macie ochotę porozmawiać o tym, co się wydarzyło?

- Tak - potwierdziła Oda.

- Nie - zaprzeczyłem.

- Cholera. No dobra, ja będę gadał. - Postawił na piecyku stary żelazny czajnik. - Jak sądzicie, czy ktoś nas sprzedał?

- Tak - odparła Oda.

- Być może - jęknąłem, ściskając głowę dłońmi, by natychmiast nie zasnąć.

- Chcecie zgadywać, czy znowu po nas przyjdą? - dodał gospodarz, radośnie wsypując do poobtlukiwanego brązowego kubka wielką dawkę kawy rozpuszczalnej.

- Jeśli mają rozum - stwierdziła ze spokojem Oda.

- Być może - dodałem.

- Ten stwór, którego nazwałeś Głodem, powiedział, że przyjdzie po ciebie, Matthew Swift - oznajmiła bez śladu niepokoju.

- Musiałaś mi o tym przypominać? - poskarżyłem się.

- Co to za stwór? - zapytał od niechcienia motocyklista.

- Po prostu cień.

- Znał czarnoksiężnika - poprawiła mnie. - Zwracał się do niego po imieniu.

- Poradzę sobie z nim.

- Jesteś tego pewien?

- Po to tu przybyłem.

- Skoro tak mówisz - mruknął gospodarz. Z czajnika buchnęła para. - Co zamierzacie zrobić w sprawie tego syfu?

- Moim celem jest wyeliminowanie Bakkera - oznajmiła Oda, krzyżując ręce na piersi.

- Nic się w tej sprawie nie zmieniło.

- Na to z pewnością nie zamierzam się skarżyć. Pytanie brzmi, jak to zrobić? Do tej pory nie szło nam zbyt dobrze.

Oda wyciągnęła stertę zakrwawionych dokumentów i rozłożyła je na szorstkiej metalowej podłodze baraku.

- Mamy tu wszystko, czego potrzebujemy - zapewniła.

Przetoczyłem się na kanapie, by przyjrzeć się im dokładniej.

- Wszystko, czego potrzebujemy, by zniszczyć Wieżę i powstrzymać Bakkera. Pokrzyżować jego plany, okiełznać moc i unicestwić stworzone przez niego zło - uściśliła. Ton, jakim to powiedziała, wydawał się straszniejszy niż jakikolwiek cień. Wzdłuż moich nerwów przebiegł dreszcz niepokoju. - Ja również mam sojuszników i zasoby.

- Podobnie jak ja - wyszeptał motocyklista i podał mi kubek, nie spuszczać wzroku z dokumentów.

Uniosłem leżące na podłodze zdjęcie i przyjrzałem mu się uważnie. Znałem tę bladą twarz o delikatnych rysach. To był San Khay, prawa ręka Bakkera.

Złożyłem zdjęcie i bardzo ostrożnie schowałem je do tornistra.

Część 1

Polowanie na San Khana

w której

*pojawiają się początki planu, knuje się zemstę,
a mnóstwo szczurów decyduje się zgromadzić*

Pożegnaliśmy się o świcie. Oda sobie poszła - nie chciała powiedzieć dokąd - a od motocyklisty dowiedziałem się tylko tyle, że musi się trochę „pokręcić”. Ustaliliśmy, gdzie i kiedy się spotkamy, a potem załadowałem do tornistra wszystkie rezultaty dociekań Sinclaira w sprawie Wieży i poszedłem poszukać bezpiecznego miejsca, w którym mógłbym się przespać, przeczytać materiały, a potem je przemyśleć.

Gdy wpół do dziewiątej rano otworzono sklepy, kupiłem sobie wielkie pudełko z opatrunkami na ranę na lewej dłoni, nową koszulę, by zastąpić krwawe strzępy, jakie miałem na sobie, oraz aspirynę, na wszelki wypadek. Wpół do dziesiątej wynająłem pokój w małym, ale sympatycznym hoteliku nieopodal Cromwell Road, w tej dziwnej, mieszanej części miasta, gdzie rezydencje bogaczy sąsiadują z nędznymi noclegowniami o ciągle się zmieniającej populacji. Wykąpałem się w małej łazience bez okien. To było zachwycające doświadczenie. Zanurzenie się w nagłe ciepło i zadowolenie przekraczało wszystko, co uważaliśmy za możliwe. Nasze zmysły zaczęły się uspokajać i dręczące nas obawy zelżały, pozostałe po nocy napięcie odpłynęło. Dopiero wówczas uświadomiliśmy sobie, że wszystkie mięśnie mieliśmy naprężone do granicy zerwania. Zanurzyliśmy głowę pod wodę i trzymaliśmy ją tam tak długo, aż wydało się nam, że zaraz pęknie, a w naszych płucach zapłonął ogień. Potem się wynurzyliśmy, czując się bardziej żywi i potężniejsi niż kiedykolwiek dotąd. Naraziliśmy się na śmierć, ale powróciliśmy bez szkody, czysti i bezpieczni. Krew i ziemia nadawały różowawoszary odcień wodzie, która spływała z naszej skóry niczym mgła unosząca się z ziemi w porannych promieniach słońca.

Wyszedłem z wanny, wytarłem się i zabandażowałem dłoń, a potem przeczesalem włosy palcami, bo zapomniałem kupić grzebienia. Przejrzałem się w pękniętym lustrze wiszącym nad zlewem. W nowej koszuli i ukradzionych spodniach wyglądałem niemal godnie. To było prawie idealne zmartwychwstanie, jak myśleliśmy i na co liczyliśmy. Przynajmniej pod względem fizycznym.

Moje oczy nadal jednak były zbyt niebieskie. Przysunąłem twarz do lustra i zobaczyłem, że - jak w zwyczajnych ludzkich oczach - tęczęwki zawierają drobiny różnych barw, brązowe albo zielonkawe, a obwódka jest nieco ciemniejsza. Nad tym wszystkim dominował jednak kolor letniego nieba. Nie było mi z nim zbyt blisko do twarzy, niepokojąco przypominałem albinosa, ale doszedłem do wniosku, że przyzwyczaję się do tego, jak do nowej fryzury albo wygolonej twarzy po tygodniu zaniedbania, i zapomnę o dawnym wyglądzie. Rozważyłem możliwość poddania się panice, zwinięcia się w kłębek na łóżku, skomlenia ze strachu na myśl o możliwych konsekwencjach owej zmiany, nie byliśmy jednak w odpowiednim nastroju.

Nie byłem przekonany do pomysłu namalowania na drzwiach prawdziwego znaku ochronnego, zdecydowałem się więc na kompromis. Wziąłem długopis i pośpiesznie nakreśliłem symbol na pięciu kartkach hotelowego bloczka. Potem ułożyłem je w półokręgu wokół łóżka. To była najlepsza magiczna ochrona, jaką mogłem stworzyć, nie powodując nielegalnych szkód. Następnie położyłem się i zasnąłem. Tym razem nie próbowaliśmy tego powstrzymać. Nie pamiętamy, co się nam śniło.

* * *

Obudziłem się kilka godzin po południu. Usiadłem na podłodze obok łóżka i rozłożyłem przed sobą zakrwawione strzępki zgromadzonych przez Sinclaira dokumentów.

Nie obchodziło mnie, dlaczego grubas pragnął śmierci Bakkera. Nie dbałem też zbyt o to, z jakich powodów pozostali zaangażowali się w tę sprawę, choć podejrzewałem, że motywy Ody nie są czysto osobiste i wywodzą się z bardziej niebezpiecznego królestwa. Postanowiliśmy, że na razie nie będziemy się tym przejmować, chyba że dowiemy się, że jej plany zagrażają naszym interesom.

Czego chciałem?

Czego chcieliśmy?

Chciałem... chciałem...

...stań się nami...

...poznać i...

...myśmy są ogień, myśmy są światło...

...powstrzymać...

...tańczymy elektryczny płomień...

...cześć, ogniu Matthew...

...powstrzymać...

...chcemy...

...powstrzymać NATYCHMIAST

...

Gotowy?

...

Świetnie.

Chciałem zabić Głód.

Jeśli oznaczało to, że będzie trzeba utorować sobie drogę po trupach śmiertelnych istot, to niech i tak będzie.

Chciałem zabić cień.

Wydał się nam brzydki i niebezpieczny.

* * *

Wziąłem w rękę zdjęcie Bakкера i przyjrzałem się jego twarzy. W górnym rogu fotografii widniał krwawy odcisk palca, zapewne pozostawiony przez Sinclaira. Gdyby postarzyć to oblicze, poddać je wpływowi jakiejś tropikalnej choroby, odciąć jego właściciela od pożywienia i płynów, usunąć ogień z oczu i uśmiech z warg, gdyby przyjrzeć się zdjęciu, pamiętając o tych wszystkich modyfikacjach, zapewne można by sobie wyobrazić ową fizjonomię zdobiącą ciało innej istoty. Podejrzywałem, że już tylko z tego powodu Bakker będzie musiał umrzeć.

Łatwiej było jednak to powiedzieć niż zrobić. Doszliśmy do wniosku, że w zemście powinno chodzić o coś więcej niż śmierć.

Skierowałem swą uwagę na San Khaya.

* * *

Oto streszczenie typowego dnia z jego życia.

O szóstej trzydzięci w jego penthousie nieopodal rzeki odzywa się budzik. Jeśli spędził z kimś noc, nie budzi śpiącego kochanka, ale idzie się umyć, krocząc na bosaka po białym dywanie. Łazienka ma lustrzane ściany i srebrne krany, więc wszędzie widzi własne odbicia, spoglądające na niego. Mięśnie poruszające się pod migdałową skórą i pokrywające

całe ciało tatuaże wykonane intensywnie czarnym tuszem. Co pół roku wraca do Hong Kongu, by sławny specjalista przywrócił hebanową chwałę wyblakłym rysunkom na pośladkach czy na piersi, gdzie były najbardziej narażone na wytarcie. Spiralne linie owijają się wokół jego kostek i palców u nóg, przecinają tylne powierzchnie kolan, wspinają się na uda, otaczają czule pępek, wnikając weń jak jakiś niezwykły korzeń zagłębiający się w ziemi. Potem przecinają plecy i pierś, wijąc się pięknymi splotami wokół ramion, nadgarstków i szyi, i znikają stopniowo tuż poniżej linii kołnierzyka.

Mężczyźni, z którymi wraca do domu we wtorki i piątki (zawsze w te dni), często uważają owe przesadnie rozbudowane tatuaże za perwersyjne, ale całkiem atrakcyjne. Ostrożniejsi użytkownicy sztuki zdają sobie sprawę, że tego rodzaju utrwalenie magicznych symboli w skórze jest w równym stopniu niebezpieczne, jak korzystne. Z tego powodu San Khay z reguły ukrywa tatuaże, przyglądając się swemu ciału tylko rankiem, gdy jest sam w łazience.

U innych mężczyzn podobne codzienne oględziny należałoby uznać za przejaw próżności, ale w przypadku San Khaya przyglądanie się własnej nagiej postaci stanowi ocenę inwestycji: dziewięć miesięcy cierpienia dla jego matki, dwadzieścia trzy lata opłacania najlepszych szkół w Ameryce, Azji i Europie dla ojca, dla niego samego zaś około piętnastu lat ćwiczeń gimnastycznych, szkół sztuki walki, lekcji tańca, diet detoksykujących, organicznej żywności i raz na sześć miesięcy prawie czterdzieści osiem godzin straszliwego bólu zadawanego przez igłę do tatuażu. San Khay chce mieć pewność, że jego inwestycja jest w dobrym stanie, ponieważ zamierza do końca życia utrzymywać się z dywidend.

Myje się pod natryskiem wysokociśnieniowym, spryskującym go wodą ze wszystkich stron, zainstalowanym na jego specjalne życzenie przez hiszpańskiego hydraulika imieniem Enrico. Nastawia regulator na maksymalną temperaturę i stoi pod natryskiem, aż jego skóra zrobi się czerwona jak nos Rudolfa w Wigilię. Potem na kilka sekund przestawia temperaturę na najzimniejszą, wyciera się białym ręcznikiem, puszystym jak ogon króliczka, i idzie do kuchni zrobić śniadanie.

Choć zatrudnia troje służących - kierowcę, pokojówkę i osobistą sekretarkę - mieszkających w tym samym budynku, by być na zawołanie dwadzieścia cztery godziny na dobę - śniadanie robi sobie sam. Składa się na nie miseczka orzechów i owoców, tak nieprzyjemnie zdrowych, że przelatują przez przewód pokarmowy niemal bez śladu. Ubiera się w garderobie, również pełnej luster. Tym razem także nie chodzi o próżność. Ogląda swe powtarzające się w nieskończoność odbicia, by sprawdzić, jakie robi wrażenie. W pracy San Khay sprzedaje nie tylko swe towary, lecz również samego siebie. Wkłada czarny garnitur i

czarne wypastowane buty, zapina wszystkie guziki eleganckiej różowej koszuli - jedyne barwnego elementu stroju - by ukryć wszelkie ślady tatuażu. Zaczesa do tyłu ciemne włosy, ale goli się tylko w środy i w poniedziałki. Broda rośnie mu w ślimaczym tempie, a ma bardzo wrażliwą skórę.

Wszystko to zajmuje mu najwyżej pół godziny.

O siódmej wychodzi z penthouse'u. Kierowca czeka już na parkingu z samochodem - wielkim czarnym, ale poza tym nieprzyciągającym uwagi mercedesem. Chyba woli, gdy kochanek nie budzi się przed jego wyjściem. To oszczędza mu krępujących pożegnań. Zostawia pokojówce, Sally, polecenia, by się upewnić, że jego towarzysz otrzyma wszystko, o co poprosi, i będzie traktowany z pełną uprzejmością, nim opuści mieszkanie.

O siódmej trzydzieści San Khay siedzi już za swym biurkiem, zdążywszy przed porannym szczytem ruchu oraz wszystkimi pracownikami. Nowo zatrudnieni często próbują przychodzić przed nim, ale wkrótce się przekonują, że więcej niż kilka tygodni dodatkowej pracy od siódmej trzydzieści do ósmej trzydzieści tylko po to, by zrobić dobre wrażenie na szefie, wykracza poza ludzkie możliwości. Co odważniejsi pytają go, jak to robi, ale on tylko się uśmiecha i odpowiada, że pije mnóstwo wody.

Jego biuro znajduje się w samym sercu City, tuż za Bishopsgate, gdzie potężne szklane wieżowce megakorporacji górują nad starymi budynkami i unowocześnionymi rezydencjami korporacyjnych prawników oraz rozmaitych biurokratów. Pewne nazwy pojawiają się na każdym rogu równie regularnie jak słupki przy przejściach dla pieszych - Merrill Lynch, PricewaterhouseCoopers, Morgan Stanley, National Westminster, Saudi Arabia, Credit Suisse. Bankierzy City i ich prawnicy tłoczą się na przestrzeni o szerokości najwyżej mili, w każdej chwili mogąc dotrzeć do siebie nawzajem albo wyskoczyć na lunch do swych ulubionych barów kanapkowych.

Firma, w której pracuje San Khay, nazywa się Amiltech i ma siedzibę na dwudziestym czwartym piętrze wieżowca. To jednak nie jest budynek Wieży, jak zapewne pośpiesznie uściśliłby Sinclair, gdyby nie leżał w szpitalu w stanie krytycznym z trzema kulami w piersi, a jedynie siedziba zależnego przedsiębiorstwa, firmy ochroniarskiej, która wystawiła na sprzedaż swe bardzo szczególne zasoby i w rezultacie wchłonął ją wciąż się rozrastający konglomerat kierowany przez Roberta Jamesa Bakкера. San ma przeciętnie trzy spotkania dziennie w swoim biurze i być może drugie tyle na zewnątrz, w miejscach tak różnych, jak kawiarnia na rogu albo więzienie Pentonville, zależnie od tego, jaką sprawę chce załatwić. Na jego oficjalnej liście płac znajdują się sekretarki, prawnicy, administratorzy, księgowi, sekretarze prasowi, kierowcy, asystenci i kierownicy. Na nieoficjalnej figurują wróżki,

prorocy, jasnowidze, magowie, czarownice, czarodzieje, mistrzowie voodoo, mordercy, złodzieje, przestępcy, kilku sędziów, policjanci, politycy, a także - Sinclair dopisał w tym miejscu na marginesie „plotka” - członek rodziny królewskiej.

Gdy go zapytać, czym dokładnie się zajmuje, San Khay z reguły unika jasnej odpowiedzi, ale w końcu przyznaje, że bezpieczeństwem, dodając, że chodzi nie tylko o ubezpieczenia, lecz również o prawdziwą ochronę. Tłumaczy, że najłatwiej jest zarabiać na składkach ubezpieczeniowych, jeśli można w stu procentach zapewnić, że klientowi nic się nie stanie.

Nie trzeba dodawać, że na liście jego klientów znajdują się inne nazwiska, które mnie interesują.

Guy Lee, oficjalnie bezrobotny, czarodziej, mecenas sztuki, podejrzewany o niezdrowe zainteresowanie nekromancją, wampiryzmem i innymi, szeroko rozreklamowanymi, lecz słabo zdefiniowanymi „mrocznymi sztukami”. Służy Bakkerowi jako żołnierz wymuszający posłuch magicznej społeczności i jest drugi po San Khayu na mojej liście osób, z którymi muszę pogadać. Amiltech zapewniało panu Lee ochronę za niewygórowaną cenę.

Harris Simmons, główny doradca finansowy Bakkera. Marny i nieudolny mag, sądząc z tego, co mówiły o nim dane Sinclaira. Jego możliwości opierały się głównie na wielkiej kolekcji magicznych artefaktów i innych przedmiotów. W jej skład wchodziły jakoby popioły Nostradamusa (przeceniane), co najmniej trzech kandydatów do tytułu Excalibura oraz więcej niż siedemnaście domniemanych czaszek króla Artura (bezużytecznych), kilka fiolek magicznego pyłu i kubek smoczej krwi (wytoczonej z domowej jaszczurki). Zgromadził też liczne ochronne przedmioty oraz zaklęcia, których natura była dla mnie równie niejasna, jak dla Sinclaira. Grubas jednak najwyraźniej obawiał się, że wyeliminowanie Harrisa Simmonsa może się okazać trudne. Amiltech ochraniało jego osobisty skarbiec, a Simmons zaopatrywał w pieniądze całą Wieżę.

Dana Mikeda. W jej przypadku nie czułem się gotowy snuć żadnych spekulacji.

* * *

San Khay unika kontaktów z pozostałymi, pomijając krótkie spotkania z Guyem Lee w City oraz rzadkie rozmowy telefoniczne z Harrisem Simmonsem. Dana Mikeda po prostu dla niego nie istnieje, podobnie jak dla większości pracowników korporacji. Zapewne nie bez powodu.

Dokładnie o dwunastej trzydzieści San opuszcza biuro i idzie do sali gimnastycznej.

Ćwiczy tam równo godzinę, by pobudzić apetyt. Następnie zjada za biurkiem lunch złożony z sałatki, sushi oraz butelki jakiegoś zielonego paskudztwa. Sinclair przysięga, że to roślinny napój organiczny. Fascynuje nas to, w podobny sposób jak lśniące w blasku słońca pokrywa żuka gnojaka. Interesuje nas wszystko, czego nie wiemy.

O szóstej wieczorem spożywa w biurze godziną kolację z pracownikami. Przygotowuje go firma cateringowa mająca siedzibę trzy piętra niżej. Ponoć lubi orzeszki sosnowe, ale nie jestem pewien, czy do notatek Sinclaira nie wniknęła po prostu nuta szaleństwa. W poniedziałki zaprasza dział finansowy, we wtorki kadrę kierowniczą, w środy biuro prasowe, w czwartki administratorów, a w piątki prawników. Co tydzień wszyscy zjawiają się punktualnie, nie zadając żadnych pytań.

Między siódmą a ósmą trzydzieści wieczorem pracuje za biurkiem albo - jeśli zaistnieje taka potrzeba - jeździ po mieście, by załatwiać różne sprawy i upewnić się, czy wszystko idzie gładko. W skład tego mogą wchodzić czynności tak różne, jak sprawdzanie kodów w zamkach sejfów albo wynajęcie płatnego mordercy i wydanie mu instrukcji dotyczących celu. Między innymi z tego powodu jestem niemal w stu procentach pewien, że to San Khay podjął prewencyjne kroki, wysyłając śmieciucha w pościg za mną. Być może uważa, że jeśli chce się coś zrobić, powinno się działać szybko i stanowczo. Zapewne to jego arogancja sprawiła, że umieściliśmy go na pierwszym miejscu na naszej liście.

O ósmej trzydzieści kończy pracę, chyba że wydarzy się coś nadzwyczajnego. Jeśli nie ma w planie nic więcej, idzie do miasta, do jednego z ekskluzywnych, podziemnych klubów, gdzie ośmielają się zaglądać tylko bardzo bogaci. Kupuje szampana tylko dla siebie i uprzejmie rozmawia z wieloma młodymi mężczyznami i kobietami z City, pragnącymi wkupić się w jego łaski. Jeśli jest wtorek albo piątek, znajduje sobie mężczyznę o podobnych skłonnościach i zabiera go do siebie. Według Sinclaira woli muskularnych i ciemnoskórych, a zapewne również nieszczególnie inteligentnych.

O jedenastej trzydzieści jedzie do domu, a o pierwszej w nocy już śpi. Jeśli ma towarzysza, zajmuje się nim, a jeśli nie, czyta do chwili, gdy nadejdzie czas, by zgasić światło.

Po pięciu i pół godzinie zaczyna nowy dzień.

Byłem zdecydowany zakłócić tę rutynę.

* * *

Zacząłem od drobiazgów.

Londyńska centrala tokijskiego International Investment Bank mieści się za

Paternoster Street, w mrocznym podwórku o ironicznej nazwie Angel Court. W ubiegłym stuleciu najwyraźniej zrzucono tam kilka bomb, a zburzone budynki zastąpiono nowymi, niezbyt udanymi architektonicznie. Ruszyłem w drogę wpół do jedenastej wieczorem, zapiąwszy płaszcz na wszystkie ocalałe guziki i przerzuciwszy sobie tornister przez ramię. Najadłem się, wyspałem i byłem gotów do walki. Jadąc metrem do Moorgate, czułem, jak omywa mnie jego szczególna magia. Po powrocie na ulicę, drżałem za każdym razem, gdy mijaly mnie samochody, zakłócając unoszącą się w powietrzu pozostałość magii. Idąc przez Telegraph Passage, muskałem palcami ścianę starego, wąskiego domu wciśniętego między dwa nowoczesne biurowce, czując ospały strumień jego długiej historii, jej niepowtarzalną moc. Gdy dotarłem do Angel Court, niemalże kręciło mi się w głowie od przygotowanych zaklęć i magii, którą zgromadziłem. Odwróciłem od siebie spojrzenia kamer, poruszeniami palców nakazując im patrzeć w inną stronę. Potem przeszedłem niepostrzeżenie pod opuszczonym szlabanem, zmierzając ku majaczącym w półmroku budynkom.

Za biurkiem przy wejściu do budynku banku siedział samotny, senny strażnik. Otuliłem się szczelniej płaszczem i zaklęciami, a potem przeszedłem obok mężczyzny. Nawet nie uniósł wzroku. Wezwałem windę, wszedłem do jej pełnego polerowanego mosiądzu wnętrza i wjechałem na trzecie piętro. Korciło mnie, by gwizdać, ale jakoś się powstrzymałem.

Na górze uprzejmie poprosiłem kamerę, by spojrzała w drugą stronę, i przeszedłem ostrożnie nad fotokomórką, umieszczoną przy drzwiach na wysokości kostek. Następnie podszedłem do alarmu przeciwwłamaniowego przy pierwszych drzwiach z kuloodpornego szkła i przyjrzałem mu się z uwagą. Podejrzewałem, że wymagana kombinacja nie ogranicza się do dziesięciu cyfr. Włożyłem zbyt wiele wysiłku w przekonywanie kamer do odwrócenia wzroku i brakowało mi cierpliwości, by wysłać swe myśli do trzewi urządzenia i wyciągnąć stamtąd kod. Zresztą nie zależało nam na dyskrecji.

Tak podekscytowani, że aż bliscy śmiechu, rozpostarliśmy dłonie na szklanych drzwiach pierwszych drzwi, otworzyliśmy usta i zaczęliśmy nucić. Śpiew najpierw był cichy, ale stopniowo nasilał się w naszym gardle, wydostawał z płuc niczym zalewająca nas woda. Następnie wciągnęliśmy ów dźwięk z powrotem w siebie, pozwalając, by nas wypełnił. Jego moc spłynęła wzdłuż naszych rąk, drażniąc nerwy, aż skórę przeszły mrowienie potężnej energii. Moc narastała tuż za nadgarstkami, karmiąc się rozbrzmiewającym w naszym gardle dźwiękiem, aż wydało się nam, że zaraz pękniemy. Wreszcie zacisnęliśmy usta, by zahamować przepływ powietrza, i wypuściliśmy z dłoni nagromadzoną moc.

Szkló pękło pod dotykiem naszych palców, sypiąc się na nas jak diamentowe płatki

śniegu. Chciało się nam śmiać i tańczyć z radości. U sufitu zabrzmiał przenikliwy, pełen oburzenia alarm. Znowu się roześmialiśmy, pozwalając, by dźwięk w nas uderzał. Zachwyciła nas zmiana, która zaszła w powietrzu, gdy strażnik na dole wyrwał się z zamyślenia pod wpływem paniki, a ludzie na ulicach poderwali się nagle. Cała struktura otaczającego nas życia przeszła w wyższą tonację i dzięki tej zmianie magia, którą się karmiliśmy, nabrała ostrości, poczuliśmy ją wyraźniej, wydała się nam równie materialna jak sypiące się wokół odłamki szkła.

Stłumiłem z wysiłkiem euforię i, stąpając po stłuczonym szkłe, podszedłem do następnych drzwi. Były ciężkie i drewniane, a ich zamki miały bardziej typową konstrukcję. Wyciągnąłem z tornistra pęk surowych kluczy i pogłaskałem jeden z nich czubkiem palca wskazującego, aż stał się niemal płynny. Wykorzystując tę chwilę niepewności, wepchnąłem klucz do zamka, zaczekałem, aż dopasuje się do niego kształtem, i przekręciłem go. Powtórzyłem tę samą procedurę z dwoma kolejnymi surowymi kluczami i wszedłem do gabinetu.

Jego wnętrze wyglądało przygnębiająco, przygniatało moje zmysły swym ciężarem: matowe stoły ze sklejki, szare, masowo produkowane krzesła, pojemniki na ołówki, komputery z nierdzewnej stali o płaskoekranowych monitorach, jakie najwyraźniej stały się modne w ciągu dwóch lat mojej nieobecności, oraz jarzeniówki palące się przez całą dobę, w dni pracy i w święta, w tym również w Boże Narodzenie. Choć ów widok raził moje poczucie estetyki, nie czułem potrzeby puszczenia wszystkiego z dymem ani nawet przestawienia mebli. Spowodowanie alarmu wystarczało do moich celów. Wyjąłem pojemnik z czarną farbą w sprayu, potrząsałem nim energicznie i z wielką ostrożnością zacząłem malować.

W ostrym świetle jarzeniówek moje ciało rzucało na białą ścianę błądy cień. Wypełniłem jego zarysy, aż przerodziły się w gęstą, ociekającą farbą pustkę sięgającą niemal do sufitu. Nie była to szczególnie potężna klątwa, ale nim skończyłem, z rur w suficie zaczęła kapać woda, a według miejscowej gazety przez całe pół roku korki na dole przepalały się co drugi czwartek. Nasza moc nadal robiła wrażenie kapryśnej, musieliśmy na nowo przywyknąć do wypełniającej nam palce energii, jakbyśmy pierwszy raz poczuli jej słodki, uderzający do głowy smak.

Uciekłem wyjściem ewakuacyjnym i wyszedłem nieśpiesznie na Moorgate w tej samej chwili, gdy zjawily się pierwsze radiowozy.

* * *

Wiaty na londyńskich przystankach autobusowych są z reguły kiepsko

zaprojektowane. Dachy z cienkiego plastiku uginają się pod nawet niewielkim ciężarem, tworząc płytkie misy. Zbierająca się w nich deszczówka może się tam utrzymywać całymi dniami. Większość wiat jest usytuowana pod drzewami, więc w kałużach gromadzą się butwiejące liście. W niektórych błotnistych bajorach tworzą się grzybowe subkultury, których nie może usunąć nic poza upalną, sierpniową suszą.

Na płaskich daszkach można też znaleźć inne przedmioty. Częstym widokiem jest rozkładająca się skarpetka albo pozbawiona sznurowadeł lewa tenisówka. Kiedyś zaobserwowano też połowę sklepowego wózka, kierownicę od roweru, a także katalogi Ikei i plastikowe torby pełne zgniłych bananów. Niemniej najczęstszym znaleziskiem, spotykanym na niemal wszystkich wiatkach w Londynie, jest butwiejący egzemplarz katalogu firm.

Ludzie z reguły nie pytają, co on tam robi ani skąd się wziął. Zapewne tak jest lepiej. Być może źle świadczy to o dociekliwości naszego gatunku, ale za to bardzo pomaga czarnoksiężnikowi, który znalazł się w trudnej sytuacji, ponieważ w każdym katalogu firm pozostawionym na autobusowych wiatkach - i wyłącznie w tych egzemplarzach - można znaleźć zastrzeżone pozycje.

Odkryłem swój egzemplarz grubej książki o cienkich butwiejących kartkach na szczycie wiaty naprzeciwko stacji Liverpool Street, a potem usiadłem na ławce i zacząłem studiować jej niepowtarzalną treść. Zignorowałem czarownice do wynajęcia, alchemików, czarodziejów-specjalistów, jasnowidzów, proroków, wróży, dostarczycieli magii, łowców, poszukiwaczy przygód, krzyżowców, media, uczonych mistyków, i wszelkich innych członków magicznej społeczności oferujących na sprzedaż swe często podejrzone usługi za pośrednictwem znajdowanego na przystankach autobusowych katalogu. Wreszcie dotarłem do egzorcystów. Wybrałem największe ogłoszenie: „Zło atakuje? Otrzymujesz klątwy e-mailem? Straszą cię duchy zmarłych? Wezwij Egzorminatora. Gwarantowane sto procent sukcesu w oczyszczeniu twego magicznego środowiska!!!”. Zapisałem numer na wewnętrznej stronie dłoni, po czym wrzuciłem katalog z powrotem na wiatę, by mógł go tam znaleźć kolejny mag, i poszedłem poszukać budki telefonicznej.

Mężczyzna, który odebrał telefon, miał głos wyjątkowo radosny, jak na tak późną porę.

- Egzorminator, w czym mogę pomóc?
- Hej. Dzwonię w sprawie egzorcyzmu.
- Czy mogę zapytać o nazwisko?
- Wolałbym go nie podawać.
- Jasne, rozumiemy to. Na czym polega problem?

- Mamy kłopot z kłątą.

- Ehe, jasne. Nie ma sprawy. Czy mógłby pan opisać ją dokładniej?

- To cień na ścianie.

- Paskudna sprawa. Jest coś więcej?

- Kłątwa rzucona na kamienie budynku, na cegły jego murów, na osłaniającą go ziemię, karmiącą go wodę i strzegące go niebo.

- Kurde, to solidna kłątwa. Nie widzieliśmy takiego syfu już od dłuższego czasu. Jest pan tego pewien?

- Tak. W końcu sam ją napisałem.

- Pan ją napisał?

Mężczyzna mówił z lekkim australijskim akcentem i sprawiał wrażenie luzaka, który w ostatniej chwili umknął przed porażeniem słonecznym, uświadomiwszy sobie, że zawód egzorcysty to całkiem niezła alternatywa, o której nie uczono go w szkole.

- Tak.

- Aha... hmm... rzadko się zdarza, by ludzie, którzy napisali kłątwy, zwracali się do nas z prośbą o ich wyegzorcyzmowanie. Czyżby doszło do jakiegoś wypadku ze sprayem?

- Nie.

- Aha. Hmm... dobra. Jak rozumiem, chce pan, by ją usunięto.

- Nie, nie, bynajmniej - zaprzeczyłem pośpiesznie. - Dzwonię, by was zawiadomić, że zapewne jutro rano pan albo któryś z pańskich współpracowników otrzyma telefon od kogoś, kto będzie chciał usunięcia kłątwy. Proszę, byście tego nie robili.

- Rozumiem. Niech pan posłucha, mówię to z przykrością, ale tym właśnie się zajmujemy. No wie pan. „Egzorcinator. Żaden egzorcyzm nie jest dla nas za trudny”. Musimy jakoś zarabiać na czynsz.

- Tak, ale z tą kłątą będziecie mieli trudności.

- Hmm... naprawdę?

- Musicie zrozumieć, że to fundamentalna kłątwa napisana dla zemsty. Coś więcej niż tylko odrobina farby w sprayu. Kiedy ją rzucałem, myślałem o każdej sekundzie bólu i cierpienia, jaką przeżyłem, i o swym niewyczerpanym pragnieniu zemsty. To daleko wykracza poza czosnek i wodę świeconą. Przykro mi z tego powodu. Nie mam nic przeciwko wam, po prostu musiałem to zrobić.

- Niech pan posłucha, panie...

- Co więcej - dodałem cicho - jeśli zdejmiecie tę kłątwę, w następnej kolejności zajmę się wami.

Na drugim końcu linii zapadła cisza.

- Hmm... - odezwał się po chwili mężczyzna. - No wie pan, bardzo chciałbym panu pomóc, ale wygląda na to, że ma pan poważne problemy...

- Po prostu chciałem was ostrzec - przerwałem mu. - Takie klątwy pojawiają się w całym mieście i Amiltech zwróci się do egzorcystów z prośbą o ich usunięcie. Proszę was uprzejmie, żebyście tego nie robili.

- Bo...

- Amiltech legnie w gruzach - odpowiedzieliśmy serdecznym tonem. - Rozerwiemy całą firmę na strzępy, nie zostawiając nic poza cieniem na ścianie. Pomyślałem sobie... że szkoda by było, gdybyście przy tym ucierpieli.

- Mówi pan poważnie?

- Dobranoc, panie Egzorminatorze.

- Jezu, jak pan sobie życzy.

Odłożyłem słuchawkę i oddaliłem się, myśląc, że zważywszy wszystko razem, idzie mi całkiem nieźle.

* * *

Między piątkowym wieczorem a niedzielnym popołudniem włamałem się w sumie do sześciu biur, jednego penthouse'u i do małego banku. Przekląłem wszystkie. Rzuciłem klątwę na kamienie, na których je zbudowano, cegły w ich murach, farbę na sufitach i dywany na podłogach. Przekląłem plastikowe krzesła, każąc im razić lekko prądem wszystkich, którzy na nich usiądą. Przekląłem markery, żeby piszczwały na suchościernalnych tablicach, zawiasy, żeby rdzewiały, szklanki, żeby przeciekały, okna, żeby się nie domykały, wentylatory, żeby furczały, krzesła, żeby się łamały, komputery, żeby padały, papier, żeby się miał, długopisy, żeby mazały. Przekląłem rury, żeby ciekły, lodówkę, żeby kapała, obrazy, żeby wisiały krzywo, telefony, żeby trzeszczały, i przewody, żeby iskrzyły. Sprawiało nam to przyjemność. Radowaliśmy się wszystkimi postaciami magii, kształtując ją palcami - od najdrobniejszych zaklętek aż po poważne klątwy. Cieszyliśmy się niebezpieczeństwem. Dzięki niemu czuliśmy się żywi.

Nie chodziło przy tym o to, że w ten sposób wyrażałem ogólne niezadowolenie z życia, losu oraz wszystkiego, co mnie spotkało podczas ostatnich dni, miesięcy i lat. Bardzo starannie wybierałem swe cele ze skrzętnie sporządzonej przez Sinclaira i tylko nieco splamionej krwią listy najważniejszych klientów Amiltechu.

W poniedziałek zadzwoniłem do redakcji „Financial Times” z budki telefonicznej w

Blackwall Tunnel i uprzejmiem zasugerowałem, by polecili komuś zająć się najnowszą serią włamań, ze zwróceniem uwagi na związek z Amiltechem. To nie była subtelna informacja z rodzaju tych, które stają się początkiem dziennikarskich legend, niemniej okazała się użyteczna. We wtorek rano na trzeciej stronie gazety pojawił się artykuł o serii niszczyielskich ataków na biura i nieruchomości będące własnością rozmaitych działów Amiltech Securities bądź też ubezpieczone lub chronione przez tę firmę. Wieczorem ten sam artykuł w znacznie skróconej formie przedrukowały darmowe gazetki z City, a w środę rano temat podchwyciły wielkonakładowe dzienniki. Amiltech oznajmiło, że padło ofiarą systematycznej kampanii nienawiści i że zadba o to, by winni nie uniknęli kary. Firma nie miała nic do powiedzenia na temat niezwykłych, malowanych farbą symboli pozostawionych na wszystkich miejscach zbrodni.

W poniedziałek po południu wyprowadziłem się z pokoiku w hotelu przy Cromwell Road i zameldowałem pod nowym nazwiskiem w większym, droższym hotelu nieopodal Strand. Było tylko kwestią czasu, nim ruszą za mną w pościg. Niewykluczone, że już byli w drodze, a chciałem uniknąć poważniejszych konfrontacji, nim się upewnię, że odzyskałem pełnię możliwości, że jesteśmy gotowi. Nie byliśmy przekonani, czy zdołamy powstrzymać Głód, jeśli znowu po nas przyjdzie. Wiedzieliśmy, że pożąda naszej krwi. Głód nie tylko był brzydkim stworem i obrażał wszystkie nasze zmysły, ale mógł sprostać wszystkiemu, czym mogliśmy się stać.

Ta myśl nas przerażała.

W poniedziałek wieczorem, po telefonie do „Financial Times”, zaatakowałem dwie kolejne firmy oraz magazyn. W tym ostatnim znalazłem narzędzia w próżniowych opakowaniach. Niektóre pochodziły od ludzi, inne nie. W najciemniejszym kącie piwnicy, za fałszywą ścianą, którą odkryłem, szukając czegoś, co pozwoliłoby mi puścić cały magazyn z dymem, odkryłem kryptę ze stosunkowo świeżym ciałem mężczyzny. Brudne paznokcie, pokłute żyły i zaniedbana broda świadczyły o tym, że to bezdomny porwany z ulicy. Białą skórę pokrywały szare plamy. W ciele nie została ani kropla krwi. Ktoś rozszarpał klatkę piersiową i wyrwał z niej serce, a następnie spróbował je zastąpić repliką ulepioną z londyńskiej gliny. Ów nekromantyczny eksperyment zakończył się jednak niepowodzeniem.

Do podpalenia magazynu wykorzystałem stojący na górze kosz na śmieci, znalezioną w szufladzie zapalniczkę oraz stertę starych gazet. Minęły trzy godziny, nim ogień rozpałił się na dobre i z wybitych okien budynku buchnęły czarne kłęby dymu. Staliśmy w tłumie gapiów, obserwując gaszących pożar strażaków. Czuliśmy na twarzy gorące poddmuchy, a oczy łzawiły nam od żaru. To również było piękne.

W czwartek wieczorem na moje wysiłki zwrócił uwagę program „Watchdog” na BBC1. Przejęta swoją rolą, choć nieco zbyt wystrojona i przesadnie seksowna prezenterka ochryplym, uwodzicielskim głosem błagała nieznanego podpalacza, by zechciał się ujawnić. Mało brakowało, by dopadło mnie poczucie winy, zwłaszcza w chwili, gdy pełen najlepszych intencji sierżant w białej koszuli i służbowym krawacie, siedzący na niskim, niewygodnym stołku w studiu oznajmił: „Jesteśmy przekonani, że ten osobnik jest zagrożeniem dla społeczeństwa i dla samego siebie...”. Słyszając jego uspokajający głos, wyobrażałem sobie policyjnego psychologa, czekającego na mnie z filiżanką herbaty i jego cicho wypowiedziane słowa: „Niech mi pan opowie o tych swoich czarach...”.

W piątek, gdy jechałem przez City autobusem 23, znalazłem porzucony egzemplarz „City A. M.: przewodnika po wszystkim, co dzieje się w dzielnicy bankierów. Przerzuciłem kartki, by sprawdzić, jak sobie radzi Amiltech.

Okazało się, że zaskakująco dobrze. Zbyt wielu ludzi tak bogatych, że powinni wiedzieć lepiej, zastraszone do tego stopnia, że nie odważyli się podnieść rabanu, na jaki liczyłem.

Nocą udałem się do głównego biura Amiltechu. W holu służbę pełniło trzech strażników. W wielkim oszklonym pomieszczeniu było mnóstwo roślin doniczkowych, a nawet kilka prawdziwych drzew. Był tam też wodospad, spływający z platformy na pierwszym piętrze do basenu o wyłożonym kamykami dnie. Jeden z ochroniarzy wydzieliał lekki zapach magii, mimo że nosił taki sam czarny garnitur jak jego koledzy. Siedział z nonszalancką swobodą przed wejściem do wind, założywszy nogę na nogę. Wyglądał na faceta, który nie da się oszukać prostym zaklątkom zwykle wplatanych przeze mnie w płaszcz.

Ponieważ wyglądało na to, że używany przeze mnie czar anonimowości nie zadziałał, postanowiłem zastosować inne podejście. Wpół do dziesiątej wieczorem wkroczyłem do holu, podszedłem do biurka recepcjonisty i machnąłem mu przed oczyma kartą Oyster, tak szybko, że zauważył kartę, ale jego mózg nie zdążył zarejestrować nic poza najbardziej oficjalnym upoważnieniem, z jakim się kiedykolwiek zetknął.

Zamrugał, spoglądając na mnie niepewnie.

- Chcę się zobaczyć z Adamem Rieleyem - oznajmiłem pośpiesznie, nim czujność zdążyła rozplatać zwoje łagodnej, sennej magii otaczającej jego głowę.

- Z kim?

- Z Adamem Rieleyem z Amiltechu. Spodziewa się mnie. Powinien mieć pan zapisane moje nazwisko.

- Hmm... chwileczkę.

Zaczął stukać w klawiaturę. Ludzki umysł podczas pracy to coś naprawdę niezwykłego. Gdy bieżące zadanie pochłania całą uwagę, przeradza się on w bezosobową abstrakcję, funkcjonującą poza królestwem świadomości. Podczas pracy ludzie często stają się nieświadomi własnego ciała i zmysłów, dopiero po pewnym czasie ze zdziwieniem spostrzegają, że bolą ich nadgarstki albo plecy, czy że ich współpracownik opuścił budynek. Nie można się bardziej zbliżyć do doświadczenia opuszczenia ciała bez użycia prądu o napięciu pięćdziesięciu woltów, kręgu ochronnych czarów, gołębiej nóżki pochodzącej od samicy albinosa o nieskazitelnie białym upierzeniu albo mnóstwa grzybków. W podobnym stanie procesy myślowe nie tylko uwidaczniają się na twarzy, lecz uważny słuchacz może również odebrać ich echo. Na chwilę dłuższą niż mgnienie oka umysł - z reguły całkowicie niewrażliwy - otwiera się, odrywa od podłoża, podczas gdy jego świadomy aspekt, zawsze będący tylko maleńką częścią mózgowych procesów, skupia się na zadaniu.

Tak właśnie stało się z uderzającym w klawiaturę recepcjonistą. Niemalże słyszeliśmy odgłos jego myśli, ich najgłębiej ukryte nurty, widzieliśmy fioletowe żyły tłumionych pragnień, czuliśmy żar jego namiętności, ukrywający się pod maską profesjonalizmu, a także ostry smak zawiści, przypominający krople octu na naszym języku. Zazdrość i resentment, z których istnienia zapewne sam nie zdawał sobie sprawy, unosiły się w jego podświadomości, kształtując to, co mówił, choć nie wiedział, dlaczego wybrał akurat te słowa. Odsłonięty w ten sposób umysł wydał się nam fascynujący. Postrzegaliśmy grube, tęskne sznury jego myśli, oleistą powierzchnię pogardy dla wykonywanej pracy, a przez krótką chwilę również gorejące wizje marzeń.

Przesunąłem przed oczyma mężczyzny maleńki okruch magii, na chwilę mącąc mu wzrok, sprawiając, że całodzienne zmęczenie wniknęło w jego nerwy i na chwilę przestało go obchodzić to, że musi sprawdzać wszystkich, którzy wchodzą i wychodzą, że szefowi bardzo zależy na bezpieczeństwie i że w rzeczywistości wcale nie widział dokumentów tego faceta. Przez moment nie dbał o nic poza tym, że ma głównianą pracę i pragnie tylko tego, by wszyscy wreszcie dali mu spokój.

- Hmm... jasne - mruknął. - Skoro tak pan mówi. Zna pan drogę?

- Ehe. Dziękuję.

Dał mi plastikowy identyfikator z kartką w środku. Przyjąłem go z pełnym wdzięczności uśmiechem, przypiąłem sobie do płaszcza i ruszyłem w stronę windy.

Ochroniarz, którego słaba magiczna obecność wypaczała chłodną, spokojną, jasnyniebieską aurę tego miejsca, jak mały księżyc zakrzywia swym polem grawitacyjnym otaczającą go przestrzeń, zerknął przelotnie na mnie i na mój identyfikator. Jego świadomość

dotknęła mojej. Powstrzymałem go instynktownie, wznosząc mur na drodze jego umysłu. Skupiłem się na tym obrazie, aż wypełnił całą moją świadomość, co uniemożliwiło mu przeniknięcie moich intencji. Był słabo wyszkolonym magiem. Odnosiłem wrażenie, że mógłby się stać potężny, ale w przeciwieństwie do czarnoksiężników, tych, którzy czują smak miejskiej magii i radują się nim, jego moc opierała się na zaklęciach, inkantacjach i gestach, była czymś oswojonym, nie dzieckiem natury. Nie baliśmy się go. Pozdrowiliśmy go zimnym skinieniem głowy i wsiedliśmy do windy.

Wjechałem na dwudzieste czwarte piętro. Winda poruszała się na zewnątrz budynku i miała przezroczyście ściany, widziałem więc rozciągającą się w dole panoramę miasta. Podobnie jak podczas przejażdżki na Londyńskim Oku zdumiało mnie piękno wielobarwnego widma jego światła. Nie tylko sodowy oranż przedmieść, lecz również białe wnętrza biurowców, zielone światła uliczne, czerwone lotniskowe latarnie kierunkowe na wysokich wieżach, fioletowe światła reflektorów padające na wysokie mury, kałuże srebrnego blasku na zamkniętych podwórkach, migotliwy błękit fontann albo drzwi klubów, przesuwane się węże ruchu ulicznego definiowane jedynie przez reflektory, światła hamulcowe oraz migacze, mrugające niczym ciągnąca się bez końca kolumna oczu, a wreszcie różowawa poświata padająca na cały nieboskłon - poza miejscami, gdzie latarnie kierunkowe przesywały ją stożkiem jasności - pomimo czarnych, ciężkich od deszczu chmur płynących z wiatrem ku morzu.

Mógłbym niemal pić magię tego wszystkiego, unosić się w powietrzu, podtrzymywany jedynie mocą jej intensywności, jej wszechogarniającą obecnością. Wiedzieliśmy, że to wszystko, czym są czary. Być może wszystko, czym my jesteśmy. Świadomość, zrozumienie, punkt widzenia. Gdyby odebrać nam zachwyt miejską panoramą, stalibyśmy się równi owadom, przerodzilibyśmy się w szare postacie łąjące po równie szarym krajobrazie, niezdolne dostrzec codziennych niezwykłości. Byliśmy bliscy litości, choć wydawała się nam ona dziwnym uczuciem.

* * *

Drzwi do biura Amiltechu nie tylko były zamknięte, lecz również zabezpieczono je magiczną osłoną. Nie pierwszy raz natknąłem się na taką osłonę podczas swej nowej kariery włamywacza i podpalacza atakującego klientów Amiltechu, ta była jednak silniejsza od poprzednich. Surowe klucze nie zmieniają kształtu, by dopasować się do zamka, nie sądziłem też, by brutalna siła - bombardowanie elektrycznością z biegnących na górze przewodów albo dźwiękiem - zdała się na coś, dopóki nie pęknie sama osłona. Przez chwilę rozważałem

absurdalną myśl o odnalezieniu przewodów wentylacyjnych, przez które mógłbym się przeczołgać do środka, to jednak było prawdziwe życie, nie film. Drzwi były niemożliwe do otworzenia; by je wyważyć, musiałbym zaś poświęcić mnóstwo czasu i energii. Uświadomiwszy sobie ten fakt, przeszedłem na wyższe piętro, do biura firmy o nazwie Verity. Według leżącej pod drzwiami broszury specjalizowała się ona w dowodzeniu fałszywości roszczeń ubezpieczeniowych, nawet jeśli (co zasugerowano drobnym drukiem) były autentyczne. Najwyraźniej lubili trudne wyzwania. Drzwi nie były zaczarowane, a klucz, po zwyczajowych przygotowaniach, dopasował się do zamka.

Dotarłem do punktu położonego w samym środku biura, wyjąłem wielozadaniowy scyzoryk i zacząłem wycinać kwadratową dziurę w cienkiej wykładzinie z nylonu i linoleum pokrywającej podłogę. Otwór był wystarczająco duży, bym mógł przez niego przejść. Odstawiłem wycięty kwadrat na bok i poszedłem poszukać kuchni. Po chwili ją znalazłem, obok damskiej toalety. Nad małą klitką dominował ekspres do kawy. Pod zlewem znalazłem butelkę środka odkażającego. Kiedy woda się zagotowała, wylałem wrzątek na odsłonięty przeze mnie beton. Potem skapnąłem po kilka kropel żrącego płynu na wilgotną powierzchnię, w punktach odpowiadających czterem stronom świata i odsunąłem się, by poszukać odpowiedniego zaklęcia.

Transmutacja nigdy nie była moją mocną stroną. Nawet jeśli potrafię przekonać daną substancję, by stała się tym, czym pragnę ją uczynić, przemiana z reguły nie jest trwała (chyba że kończy się wybuchem). Potrzeba przy tym mnóstwa czasu i wysiłku, by wszystko wyszło jak trzeba.

Nie chodziło mi jednak o doskonałość. Miałem nadzieję, że po ogrzaniu wody do stanu wrzenia i zmieszaniu jej z najbardziej toksyczną substancją, jaką znalazłem w kuchni, rozlany na podłogę płyn będzie już w połowie drogi do zmiany stanu. Magowie z reguły używają w takich przypadkach przygotowanych z góry zaklęć i inkantacji, wzywają jakieś straszliwe, nieprawdopodobne moce (moim faworytem był Upney, Szary Lord Smoły. Słyszałem, jak wspominali o nim amatorzy, i wiedzieliśmy, że istnieje naprawdę), by zrealizować swe tymczasowe pragnienia. Czarnoksiężnicy z reguły polegają na sile woli i surowej magii. Użyłem teraz obu tych rzeczy, czerpiąc ciepło i moc z otaczającego mnie powietrza, aż mój oddech stężał od nagłego zimna, a jarzeniówki na suficie zamigotały z głośnym piskiem. Rozpostarłem ramiona, skierowałem palce ku podłodze i wysłałem w jej stronę całą moc, jakiej mogłem zaczerpnąć z tego pokoju: wszystkie ślady oddechów unoszące się w powietrzu, każdy ton elektryczności, pozostałości ciepła ludzkich ciał, woń potu, echa na wpół zapomnianych krzyków, pozostawione przez życie szczątki czyniące

magię tym, czym jest, albowiem życie jest magią, a magia życiem, porzuconymi przez nas śladami życia, których nawet nie zauważamy.

Płyn na podłodze zagotował się nagle. Potem buchnął z niego dym, cienka, biała smuzka o gryzącej woni przypominającej zapach gorącej cyny lutowniczej. Oczy zaszkliły mi łzami. Ciecz wrzała z sykiem. Na chwilę - krótką chwilę, ponieważ nie mogłem utrzymać tak silnego skupienia zbyt długo - rozlana na podłogę woda zmieniła się w kwas wystarczająco silny, by przeżarł się przez ołów.

Płyn poradził sobie z odsłoniętym fragmentem podłogi w jakieś sześćdziesiąt sekund, obracając jej substancję w coś przypominającego na wpół upieczone ciasto. Dziura zajmowała cały odsłonięty obszar, kwas wżarł się również w otaczającą go wykładzinę. Gdy uznałem, że otwór jest już wystarczająco duży, uwolniłem moc. Wzdrygnąłem się gwałtownie, czując, jak wycieka mi między palcami. Miałem teraz przed sobą mogące przepuścić człowieka zejście na dwudzieste czwarte piętro.

Poczekalem chwilę, aż kwas znowu stanie się zanieczyszczoną środkiem odkażającym wodą, a potem, na wszelki wypadek, wylałem jeszcze na niego resztę zawartości czajnika. Gdy płyn przestał skapywać, usiadłem na brzegu otworu i zsunąłem się na dół. Zmoczyłem sobie siedzenie spodni, a upadek nie był zbyt przyjemny, zdołałem jednak dotrzeć żywy - choć nieco odarty z godności - do londyńskiej siedziby Amiltechu.

* * *

Rzucając klątwę, namalowałem czarne cienie nie tylko na ścianach, lecz również na podłodze i drzwiach. Znaleźliśmy gabinet San Khaya, z dużymi oknami wychodzącymi na miasto, i wielkimi niebieskimi literami namazaliśmy na szybach w widocznym dla wszystkich miejscu:

Stań się mną i bądź wolny!

Następnie, ponieważ nie byłem do końca pewien, dlaczego to napisałem, dopisałem długopisem na jednej z równo ułożonych na stole konferencyjnym kartek:

Zrobiłem z siebie cień na ścianie.

Jak myślisz, kiedy po ciebie przyjdzie?

Uznawszy, że to ma więcej sensu, zacząłem krążyć po biurze, zaglądając do szuflad i pod sterty papieru. Nie miałem pojęcia, czego właściwie szukam, odnosiłem jednak wrażenie, że tak właśnie powinienem postąpić. Wszystko jednak było przygnębiająco przyziemne. Listy zakupionych materiałów piśmiennych, podatkowe dane dla księgowych, notatki mówiące, by przypomnieć X, że ma porozmawiać z Y o Z i jak to może wpłynąć na system emerytalny.

Nie tego rodzaju rzeczy spodziewałem się znaleźć w siedzibie organizacji parającej się mistycznymi mocami wykraczającymi poza ludzkie pojmowanie.

Najbardziej obiecujący przedmiot odkryłem w schowku na szczotki. Za stosem mopów znajdowała się mała kłódka, najwyraźniej wyposażona w zamek kodowy. Czerwonym trwałym atramentem wpisano na niej szereg zakłęt ochronnych, ale przyjrawszy się bliżej, zauważyłem, że pokrywają one tylko samą kłódkę. Dzięki scyzorykowi mogłem wykręcić śrubki i wyjąć zamek ze ściany. Z tyłu znajdował się gruby przewód, prowadzący do małej dziury w ścianie. Odłączyłem wtyczkę od przewodu, odłożyłem go na bok i przechwyciłem maleńką garść energii z najbliższego komputerowego ekranu śpiącego na biurku, wyginając ją między palcami jak sznurki. Jednocześnie zastanawiałem się, jak najskuteczniej to zrobić. Spróbowałem dotknąć kabla elektrycznymi palcami, a potem przesłać energię wzdłuż niego w krótkich impulsach. Po chwili - choć nie mam pojęcia, jak to się mogło stać - usłyszałem ciche *klik*.

Rozejrzałem się wokół w poszukiwaniu źródła dźwięku. Zobaczyłem małą tablicę wyposażoną w dźwignię, ukrytą za butelkami mleczka do czyszczenia. Zawsze zaliczałem się do tych, których ciekawość skłania do naciśnięcia guzika, pociągnąłem więc za dźwignię. Z udręczonym sykiem hydraulicznych urządzeń otworzyła się jedna ze ścian schowka na szczotki. To bardziej przypadło mi do gustu. Takich rzeczy się spodziewałem.

Ukryty za ścianą pokoił wypełniało słabe niebieskawobiałe światło. Wszedłszy do środka, przekonałem się, że niektóre ze znajdujących się tam przedmiotów są nad wyraz interesujące.

- Nie jesteś tutejszym skurwysynem, prawda? - przywitał mnie głos dobiegający z jednego z nich.

Podszedłem do niebieskiego słoja, sięgającego mi do podbródka.

- A kim ty jesteś? - zapytałem uwięzione wewnątrz stworzenie.

Istota beknęła. Z jej ust wydostał się obłoczek spalin, które szybko zniknęły w przewodzie wentylacyjnym zamontowanym u szczytu pojemnika o grubych ścianach.

- Cholera, mógłbym cię zapytać o to samo - odparła. Szkło nadawało jej głosowi dziwne, niemal mechaniczne brzmienie.

Stwór był niewysoki - około czterech stóp wzrostu - a skórę miał szarą i szorstką jak stary asfalt. Wielkie, okrągłe oczy o wielu fasetkach lśniły w niebieskawym blasku. Z nosa i ust kapał mu jasnobrażowy płyn, przypominający olej silnikowy. Szybko doszedłem do oczywistego wniosku.

- Jesteś trollem - skwitowałem.

- Hej, dajcie mu nagrodę.

- Czemu siedzisz w słoju?

- Kurwa, a jak ci się zdaje?! - zawyło stworzenie. - Bo mnie złapali, niech to szlag.

Przyjrzałem mu się pod wszystkimi możliwymi kątami. W odległych ciemnych wiekach jego przodkowie zapewne pożerali kości ludzi zabitych w walce i kąpali się w okolicznych bagnach. Ewolucja jednak nie spała i trolle, jak wszystkie magiczne istoty, przystosowały się z biegiem czasu. Mały stworek zapewne najbardziej lubił niedojedzone hamburgery i kąpał się w ropie naftowej. Przykucnąłem i zdołałem spojrzeć mu prosto w oczy, choć w pierwszej chwili poczułem wstręt na widok cienkiej warstewki wydzielanego przez gruczoły łzowe etanolu, utrzymującego w czystości czarną powierzchnię oczu.

- Jak się nazywasz? - zapytałem.

- Potężny Raaaarrgghh! - oznajmiło stworzenie.

- Wołałbym coś krótszego i mniej gardłowego.

Troll wzruszył ramionami.

- Jeremy - odparł z zażenowaniem w głosie.

- Jeremy?

- Zniosłem już tyle pierdolonych zniewag, pryszczata gębo, że niech ci się nie zdaje, że wkurzysz mnie imieniem Jeremy.

- Troll Jeremy - powtórzyłem raz jeszcze, by się upewnić, czy dobrze go zrozumiałem.

- Potężny Raaaarrgghh! - dodał dla równowagi. - Kiedy się stąd wydostanę, wyszę ci gałki oczne!

- Dlaczego?

- Dlatego że jestem trollem, do chuja!

- Miałem wrażenie, że w dzisiejszych czasach trolle jedzą na kolację stare torebki po herbacie pokryte kilkudniową pleśnią.

- Dla ciebie zrobię wyjątek.

- Nie zrobiłem ci żadnej krzywdy. Z pewnością to do Amiltechu powinienes mieć pretensję.

- Masz paskudną gębę - odpowiedział z szyderczym uśmiechem, odsłaniającym zaostrome stalowe zęby. Nawet nie próbowałem zrozumieć, jak działa ewolucja w epoce miejskiej magii.

- Ujmijmy to tak - zacząłem cierpliwie. - Amiltech uwięziło cię w słoju, siedzisz tu nie wiem, jak długo, zapewne pragniesz się wydostać, ja jestem gotowy cię wypuścić, a ty w zamian chcesz zjeść moje oczy?

- Hmm... tak.
- Rozumiesz, co próbuję ci powiedzieć?
- Czekam na haczyk. Pierdoleni magowie zawsze ukrywają jakiś haczyk, prawda?
- Po prostu chcę wkurzyć Amiltech.
- I to wszystko?
- Tak.
- Dlaczego? Co masz przeciwko nim?
- W życiu tego nie zrozumiesz. - Westchnąłem. - Chcesz odzyskać wolność?
- Nie zaczarujesz mnie?
- Nie.
- Na pewno?
- Na pewno.
- Wiesz co? Trudno mi w to uwierzyć.
- Możesz tu sobie zostać.

Zamachał szarymi, patykowatymi rękami tak gwałtownie, jak tylko było to możliwe w słoju.

- Hej, tak tylko pytałem... możesz mnie uwolnić, człowieku!

Odkręciłem rozmaite śruby i nakrętki przytrzymujące pokrywę słoja. Zamknięte pod ciśnieniem powietrze wydostało się z głośnym dźwiękiem i stwór odzyskał wolność. Troll wyskoczył ze słoja i przysiadł na pokrywie, uśmiechając się szeroko. Z czubka jego nosa opadała ku ziemi smużka spalin.

- Człowieku? - odezwał się z uśmiechem sięgającym aż do małych, okrągłych uszu.
- Jestem nim, ale nie do końca.
- Płacą mi za siedzenie w słoju.

Skoczył na mnie, rozpościerając palce i odsłaniając błyszczące zęby. Trajektoria jego lotu wiodła prosto do mojego gardła. Zatoczyłem się do tyłu, unosząc instynktownie ręce. Złapałem w nie magię, czyniąc z otaczającego nas powietrza ścianę, wir, grube zasłony, które złapały stworzenie w locie i walnęły nim o ścianę. Potem, nim troll zdążył się podnieść, rozłożyliśmy szeroko ręce, szukając najbliższego dostępnego narzędzia. Poczuliśmy zimny, twardego dotyk żelaznych prętów przenikających ściany budynku aż do fundamentów. Poruszeniem palców kazaliśmy im rosnąć.

Troll zawył, ale szybko zaczął się krztusić, gdy ostry odłamek kutego żelaza wylazł ze ściany i owinał mu się wokół gardła. Stwór charczał, miotając się konwulsyjnie. Potem drugi pręt owinał się wokół jego wierzgających nóg, a trzeci wsunął się pod pachy, z jednej strony

unosząc go w górę, podczas gdy z drugiej ciężar ciała ciągnął trolla w dół. Stwór wyglądał pokracznie, jak przekrzywiona, jęcząca lalka.

Opuściłem ręce, drżąc z wysiłku. Czekałem, aż niebieski szal zniknie z mojego pola widzenia, i ucichnie wypełniający mi czaszkę szum. Byliśmy wściekli, tak bardzo wściekli, to była chwila wyboru, zaledwie mgnienie oka, gdy powstrzymaliśmy się przed poproszeniem wyrastającego ze ściany żelastwa o przebicie serca stworzenia.

Pokój wypełnił cichy, zwierzęcy jazgot uwięzionych potworów, przerywany jękami użalającego się nad sobą trolla.

- Jeśli chcesz żyć, zamknij się! - warknęliśmy, wskazując na niego oskarżycielsko palcem.

Troll rozsądnie przygryzł wargę, aż popłynęła z niej czarna oleista krew. Jęki ucichły.

Ponownie rozejrzeliśmy się po pomieszczeniu. W rozmaitych garnkach i słojach siedziały magiczne stworzenia najprzeróżniejszych rodzajów: duszki z delikatnymi aluminiowymi skrzydłami; maleńkie, uwięzione elfy o płonących włosach; neonowe świetliki, które sypały pomarańczowymi i różowymi iskrami, uderzając gniewnie o ścianę słoja; ćmy z najczystszeo księżycowego blasku przetrzymywane w ciemnym kącie, by łatwiej było podziwiać ich niezwykle piękno, widoczne tylko na krótką chwilę, gdy poruszały skrzydłami. W innych słojach pozostały zaledwie szczątki martwych stworzeń - betonowa czaszka shamblera, stalowa kość banshee, nadal bijące serce jakiegoś niezidentyfikowanego potwora, sypiące przy każdym uderzeniu elektrycznymi iskrami.

- Znacie nas wszyscy - oznajmiliśmy tym stworzeniom, które potrafiły nas zrozumieć.

- Znacie nasz taniec.

Usłyszeliśmy szelest, szum skrzydeł, ujrzeliśmy posepny blask oczu.

Najpierw podszedłem do klatki z trzema uwięzionymi duszkami. Ich delikatne skrzydła z folii lśniły lekko w słabym świetle. Stworzonka miały pociągłe, blade twarze i nosiły wieńce splecione z drutu bezpiecznikowego. Pochyliłem się, by moja twarz znalazła się na wysokości ich twarzy, a potem wskazałem na nie oskarżycielsko palcem.

- Będziecie grzecznymi duszkami, jasne?

Odpowiedziały mi cichym skrzeczeniem, przypominającym odgłos zardzewiałego koła starego wózka sklepowego. Otworzyłem drzwiczki i wszystkie wyfrunęły z westchnieniem, unosząc się niepewnie wokół mojej głowy. Rozważyłem stojące przede mną opcje.

- Amiltech was uwięził - oznajmiłem po chwili. - Jeśli chcecie zemsty, teraz jest odpowiednia chwila.

Na ich twarzyczkach pojawiły się maleńkie uśmiešky, nie szersze niż paznokiec na małym palcu u mojej nogi. Stworzonka poruszyły skrzydełkami i umknęły z pokoju.

Uwolniłem wszystkie uwięzione istoty, z zadowoleniem słuchając czynionego przez nie łośkotu. Każde mściło się na swój sposób. Niszczyły komputery, tłukły szkło, rzucały zaklęcia albo po prostu okładały piąstkami własność instytucji, która ich uwięziła.

W tym zamieszaniu omal nie przeoczyłem ostatniego więźnia, moją uwagę przyciągnął jednak cichy pisk pod nogami. Spojrzałem w dół i zobaczyłem tłustego czarnego szczura o brudnej sierści i paskudnie wyglądającym kikucie ogona. Stworzenie wlepiło we mnie spojrzenie ciemnych, paciorkowatych oczek.

- Cześć - powiedziałem, klękając obok klatki.

Zwierzę zerknęło na mnie obojętnie, nie okazując strachu. Otworzyłem drzwiczki i gryzoń wyskoczył z klatki, wbiegł po mojej wyciągniętej ręce i z zadowoleniem usiadł mi na ramieniu. Pogłaskałem go od niechcenia. Brud pokrył moje palce cienką, lepłą warstwą. Potem pozwoliłem zwierzątku zbiec na podłogę. Szczur spojrzał na mnie, pisnął jeden raz i polazł do gabinetu. Podążyłem za nim i przekonałem się, że na podłodze walają się potłuczone papiery, kawałki szkła, przewrócone meble i rozbite biurka. Ekran monitorów rozbito, twarde dyski sypały iskrami, elementy lamp również leżały na podłodze, a gdzieś wbito je w ściany. Wszędzie panował chaos. Uwięzione przez Amiltech stworzenia dały wyraz swemu gniewowi. Odchrząknąłem.

- Nikomu nic się nie może stać, jasne? - oznajmiłem.

Odpowiedziało mi westchnienie rozczarowania kilku uwolnionych potworów, świadczyło ono jednak o tym, że mnie posłuchają. Poszukałem wzrokiem szczura i zauważyłem, że biegnie do gabinetu San Khaya. Podążyłem za nim pod wpływem nagłej ciekawości. Szczury rzadko robią cokolwiek bez powodu.

Zwierzątko skierowało się wprost do biurka i stanęło na tylnych łapkach, dotykając przednimi dolnej szuflady. Uklęknałem obok niego i uchyliłem szufladę o kilka cali, ale w środku nie było nic, czego bym już przedtem nie widział. Zamknąłem szufladę i szczur powtórzył tę samą czynność. Spróbował wspiąć się na mebel, spadł, a potem znowu i znowu. Po chwili tak długiej, że wolałbym tego nie przyznawać, dotarło do mnie, że gryzoń nie próbuje otworzyć szuflady, ale przesunąć biurko. Popchnąłem mebel ciałem i po pewnym czasie udało mi się go przemieścić. W podłodze pod nim znajdowała się mała dziura, prowadząca do czegoś, co wyglądało jak seria rur. Szczur pisnął i zniknął w otworze. Zapewne nie miałem już go więcej zobaczyć.

Było tam jednak również coś więcej. W dziurze spoczywała owinięta w ochronną

plastikową torbę, niezaadresowana koperta. Podniosłem ją i otworzyłem.

W środku znajdowała się kartka papieru. Cienkim długopisem narysowano na niej sylwetkę anioła. Prymitywnie nakreślone trójkątne ciało, okrągła głowa i szeroko rozpostarte skrzydła. Obrazek pomalowano na niebiesko.

Wypuściliśmy z rąk kopertę i wyprostowaliśmy się, głęboko wstrząśnięci. Rzecz jasna, wiedzieliśmy, że Bakker interesuje się takimi sprawami, ale wiadomość, że San Khay również posiada obrazek anioła, i być może rozumie jego znaczenie, zaniepokoiła nas głęboko. Było już jednak za późno. Nasze palce dotknęły kartki, gdy wyjmowaliśmy ją z koperty i rysunek zamigotał na naszych oczach, jego blady błękit zgęstniał, nabierając konsystencji płynnej farby i nagle, całkowicie bezdźwięcznie, stanął w płomieniach. Jaskrawoniebieski ogień unosił się wysoko, zimny jak lód, aż wreszcie sylwetka zniknęła bez śladu. Podarliśmy kartkę i - zaniepokojeni myślą, że nasze tajemnice mogły już wyjść na jaw - opuściliśmy biuro tak szybko, jak tylko mogliśmy. Za naszymi plecami duszki nadal siały zniszczenie.

* * *

W sobotę, wczesnym rankiem, ktoś wysłał za mną sondę poszukiwawczą. Ktoś bardzo potężny.

Uświadomiłem sobie, że mnie szukają, gdy ochronne kartki, które ułożyłem na brzegu łóżka, stanęły w płomieniach. Obudził mnie alarm przeciwpożarowy. Już to samo w sobie stanowiło szok. Nie tylko wysłali sondę, lecz mieli siłę woli potrzebną, by stłumić działanie osłon, a także sparaliżować mój instynkt, bym się nie obudził, gdy próbowali mnie zlokalizować. Natychmiast po przebudzeniu wyczułem palący, miazdzący nacisk, niemal fizyczny ciężar przygniatający mi plecy. Straszliwa siła ich woli gniotła moje zmysły. Z pewnością był to czarnoksiężnik, a przychodziło mi na myśl tylko dwoje takich, którzy mogliby być choć w najmniejszym stopniu tym zainteresowani. Tylko w ich przypadku istniała szansa, że żyją. Zebrałem swój dobytek i uciekłem z pokoju w tej samej chwili, gdy do środka wpadli kierownik i portier z gaśnicą. Zbiegłem po schodach, wkładając po drodze buty, słysząc pierwszy alarm, a potem wyszedłem na ulicę, zdyszany i zlany zimnym potem. W tym momencie w hotelu zapaliła się połowa świateł i zabrzmiały gniewne głosy.

Wola się nie rozproszyła. Nadal skupiała się na mnie, próbując obalić mnie na ziemię, wnikać mi w oczy, by za ich pośrednictwem ustalić, co widzę. Tego typu poszukiwania wymagały czegoś, co było moją własnością. Nie ma mowy, by zdołali rzucić takie zaklęcie w inny sposób. Doszedłem jednak do wniosku, że mogli wykorzystać wiele różnych

przedmiotów. Wróciłem w myślach do starego płaszcza, spoczywającego na wychudzonych ramionach Głodu. Biegłem przez ciemność, dysząc ciężko. Szukałem stacji metra albo przynajmniej jakiegoś tłoczego, dobrze oświetlonego miejsca, gdzie mógłbym być bezpieczny. Gdy przechodziłem od jednej plamy światła do drugiej, przez cały ten czas mój cień kurczył się i rozszerzał niczym bijące serce. Działanie praw fizyki nie zostało zawieszona. Miarowe pulsowanie cienia trwało bez przerwy; nie czułem odoru śmieci ani innych magicznych woni, choć moja wyobraźnia pracowała intensywnie. Pragnęliśmy zaatakować śledzącą nas obecność, uderzyć na oślep w ciemność i przekonać się, w co trafimy, spalić świadomość, która odważyła się nas sprowokować. Ona jednak miała coś, co należało do nas, a my nie mieliśmy nic.

Poszukiwania zakończyły się około dwudziestu minut po tym, jak je zauważyłem. Dowodziło to, że siła woli mojego niewidzialnego wroga naprawdę jest nadzwyczajna. Biegłem szybko i byłem bardzo zdeterminowany uwolnić się od pościgu. Nie zatrzymywałem się jeszcze przez dziesięć minut, aż wreszcie znalazłem nocny autobus. Było mi wszystko jedno, dokąd jedzie. Na wszelki wypadek dotarłem aż do końcowego przystanku.

Incydent mnie przeraził. Niewykluczone też, że rzucił inne światło na moje niszczycielskie wygląpy w Amiltechu. Nie ulegało wątpliwości, że przyciągnąłem czyjąś uwagę i ten ktoś okazał się groźniejszy niż się spodziewałem. Nie byliśmy jeszcze gotowi do tego rodzaju walki i wstrząsnęła nami świadomość własnej słabości. Nie spałem przez resztę nocy. Jeździłem autobusami, rozważając w milczeniu wszystko, co się wydarzyło. I - być może po raz pierwszy - również wszystko, co mogło się wydarzyć.

* * *

Rankiem pojechałem do szpitala. Być może skłoniło mnie do tego poczucie winy.

Znalazłem Sinclaira po długiej wędrówce ciągnącymi się bez końca korytarzami rozmaitych oddziałów intensywnej opieki medycznej oraz zwykłych oddziałów szpitalnych. Zaglądałem do wszystkich sal w poszukiwaniu grubasów. Przyszło mi na myśl, że nawet nie wiem, czy Sinclair przeżył operację, podobnie jak nie wiedziałem, czy moja babcia nadal rozmawia z gołębiami albo czy ktokolwiek z moich dawnych przyjaciół - tych, którzy pozostali przy życiu - pamięta moje nazwisko. A nawet, czy choć jedno z nich jeszcze żyje. Niewykluczone, że wcale nie kierowało mną poczucie winy, ale samotność, choć trudno nam było zrozumieć, jak ktokolwiek w tym mieście mógł się uskarżać na brak towarzystwa.

Sinclair żył. Już ten fakt ukoił nieco moje sumienie, przyniósł mi chwilową ulgę, rozładował napięcie, z którego istnienia nawet nie zdawałem sobie sprawy. Znalazłem go

dzięki ubranemu po cywilnemu policjantowi, który siedział, przysypiając, pod drzwiami pokoju w srebrzystym blasku wstającego poranka. Drzwi były zamknięte, ale gliniarz nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, wyjąłem więc klucz i otworzyłem je z cichym szcękaniem.

Jak niemal we wszystkich szpitalach zasłony nadawały wpadającemu do środka światłu ciepłą pomarańczowobrazową barwę, od której natychmiast opadały powieki, jakby same ściany wywołały hipnotyczne działanie. Grubas nie był już taki otyły. W ciągu zaledwie kilku dni jego waga spadła gwałtownie i kołdra tylko lekko unosiła się na ciele. Niezdrową bladość skóry można było zauważyć nawet w słabym świetle wypełniającym pokój. Słyszałem piski i brzęczenie rozmaitych monitorujących urządzeń, których funkcji nie potrafiłem odgadnąć. W skórę rannego wnikały liczne rury i przewody. Po każdym wydechu na masce zakrywającej mu twarz skupiała się para, ale poza tym oraz dźwiękami produkowanymi przez aparaturę nic nie wskazywało, że żyje. Przeraziliśmy się, widząc go w tym stanie. Okazywał tylko śladowe oznaki życia, a mimo to żył, uwięziony w ciele, nieruchomy, nieświadomy. Wzdrygnęliśmy się trwożnie na tę myśl. Usiadłem na krześle przy łóżku, uważając, by nie można mnie było dostrzec przez drzwi.

- Cześć - powiedziałem. Czuję się głupio, ale z jakiegoś powodu uznałem, że muszę to zrobić.

Para na jego masce pojawiała się i znikła, pojawiała się i znikła.

- Zaczęło się na dobre - oznajmiłem, wpatrując się w jego oczy. Pod powiekami nie zauważyłem nawet najmniejszych śladów ruchu. Twarz również była całkowicie bezwładna. Nie miałem pojęcia, co właściwie chcę tu osiągnąć. Pragnęliśmy po prostu stąd uciec. Ten stan fałszywego życia przerażał nas, nie po to tu przybyliśmy.

Wstałem pośpiesznie.

- Przepraszam - rzekłem. To słowo wyrwało się nieświadomie z moich ust, nim sobie uświadomiłem, że mówię poważnie. - Zapewne liczyłeś na więcej.

Zwróciłem się ku drzwiom i nadziałem prosto na pięść Charliego.

* * *

Charlie. Wiedziałem, że tak ma na imię, ponieważ tak zwracał się do niego Sinclair, gdy prosił swój wierny cień o zrobienie czegoś. Na to właśnie imię reagował. Wiedziałem też, że ma ciemne oczy i czarne włosy, a także nosi czarny garnitur, który jakby się stapiał z jego sylwetką. Zauważyłem również, że, poruszając się, zostawia w powietrzu ślad przypominający gęstą melasę, mulistą poświatę wplatającą się w moje zmysły.

W małym szpitalnym pokoiku, w którym spoczywał nieruchomy Dudley Sinclair, dowiedziałem się o Charliem jeszcze dwóch rzeczy. Po pierwsze, że jego pięść składa się ze wzmocnionej stali wprawionej w bryłę betonu i zamaskowanej jako cztery wystające, pokryte stwardnieniami kostki, a po drugie, że jest niestabilnym zwierzołakiem. Ten fakt zauważyłem, padając na podłogę, gdy z czubków jego butów wyrwały się srebrzyste szczurze pazurki i różowawe wysuszone palce, wypaczone i rozciągnięte imitacje ich ludzkiej postaci.

Najwyraźniej Charlie znał najważniejszy fakt dotyczący czarnoksiężników - teoretycznie powinniśmy być w stanie podporządkować swej woli pierwotne moce magii, ale trudno jest skoncentrować się na przywołaniu porządnego, trzystuwoltowego impulsu, kiedy ktoś spuszcza ci łomot. Gdy pierwszy ból minął, uświadomiłem sobie, że to się nie skończy. Skuliliśmy się, odwróciliśmy plecami do naszych zmysłów i ukryliśmy głowę w dłoniach, licząc na to, że w ten sposób stłumimy wrażenia towarzyszące ciosowi, który obalił nas na podłogę, kopnięciu w brzuch i uderzeniu w plecy. Wszystkie miały siłę głazu zderzającego się ze ścianą, po każdym nasze ciało przeszywał dreszcz. Nie zdołaliśmy powstrzymać bólu. Baliśmy się, że lada moment nas zaleje, wpędzi w czarną pustkę. Pozostał mi tylko instynkt i to właśnie on podpowiedział, by złapać Charliego za nogę, gdy uniosł ją nad podłogę, gotowy wyprowadzić kolejne kopnięcie. Zacisnąłem palce na sterczących z butów szczurzych pazurach i pociągnąłem. Dla zwykłego człowieka nawet w najlepszej sytuacji skończyłoby się to złamaniem w kostce. Charlie jednak z pewnością nie był zwyczajny. Gdy obróciłem gwałtownie jego nogę, przeniósł ten ruch na całe ciało, podskoczył, obracając się w powietrzu o trzysta sześćdziesiąt stopni, i wylądował na czterech kończynach jak kot zeskakujący z drzewa. Następnie przykucnął, garbiąc ramiona. Jego oczy zaślniły żółtym blaskiem, a nad wysuniętymi jak u zwierzęcia ustami zaczęły się pojawiać wąsiki. Wydał z siebie warknięcie lisa osaczonego w norze. Jego paznokcie zmieniły się w pazury, a grzbiety dłoni porosły szarą, wystrzępioną sierścią. Siedząc oparty o ścianę, poszukałem rękami punktu oparcia. Pod jedną dłonią poczułem wtyczkę. Zalała mnie błogosławiona ulga. Wyciągnąłem z systemu pierwszy impuls prądu, którego zdołałem dosięgnąć, a gdy Charlie wstał na dziwnie ugięte nogi, gotowy ponowić atak, uniosłem rękę, demonstrując elektryczność tańczącą między moimi palcami.

- Pax! - zawołałem.

Zauważył iskry biegnące mi wzdłuż ramienia i to powstrzymało go skuteczniej niż mój głos. Cofnął się nieco, ciągle na czterech kończynach. Poruszał czujnie nosem i wykrzywił usta w zwierzęcym grymasie, ale w jego oczach wyczułem iskierkę ludzkiej świadomości, która patrzyła i słuchała.

Oblizalem wargi, zastanawiając się, jak najskuteczniej utrzymać jego uwagę, i poczułem smak krwi. Nos bolał mnie tak, jakby tuż pod jego chrząstkami wybuchła mała bomba. Krew płynęła strumieniem. Plecy miałem zupełnie zdrtwiałe, dręczyły mnie mdłości tak silne, że każdy ruch mógł spowodować wymioty, a każdy oddech odracał je tylko o chwilę.

- Wysłuchaj mnie. Po prostu wysłuchaj - odezwałem się głosem brzmiącym nienaturalnie z bólu i stresu.

Zza zaciśniętych zębów Charliego wyrwał się cichy, niartykułowany dźwięk. Zwierzolak nie spróbował jednak rozerwać mi gardła. Uznałem to za dobry znak.

- Próbowałem ochraniać Sinclaira - zacząłem.

Te słowa sprowokowały warknięcie. Wzdłuż ciała Charliego przebiegło drzenie. Z miękkiej ludzkiej skóry wyrastała lisa sierść oraz kępki szarych szcurzych włosów. Zwierzolaki nie były w mieście tak rzadkie, jakbym tego pragnął. Pod ludzką powierzchnością Charliego najwyraźniej ukrywał się poważny przypadek tej dolegliwości. W jego żyłach kipiała mieszanka szczura i lisa, być może z niewielką domieszką wrony. Choć ich leśni kuzyni, wilkołaki, nie służyli z wysokich standardów higieny osobistej, ta najnowsza odmiana zawsze niepokoiła mnie bardziej. Byli nieprzewidywalni, niestabilni, wysoce terytorialni i często bystrzy w niezdrowy sposób, jak dziecko wynajdujące wciąż nowe metody dręczenia much.

Spróbowałem się zastanowić, choć kości wypełniał mi uporczywy ból. Fakt, że znajdowałem się w szpitalu, pomagał mi nieco. Podobnie jak metro, posiadał on własną, niepowtarzalną magię, dostrzegalną na granicy moich zmysłów. Starłem się zapuścić w nią palce najgłębiej, jak tylko mogłem, nie zapominając jednocześnie o elektryczności, nadal uwięzionej w mojej prawej dłoni.

- Jeśli myślisz, że to ja go sprzedałem, to się mylisz - zacząłem. - Potrafię to udowodnić, jeśli tylko dasz mi szansę. A jeśli podejrzewasz, że chciałem go skrzywdzić, również się mylisz. Szczerze mówiąc, powinieneś sam się tego domyślić. Jeśli zaś uważasz, że go porzuciłem, w tym przypadku też nie masz racji i tego także potrafię dowieść. Natomiast jeśli ci się zdaje, że pozwolimy, byś znowu nas zaatakował albo uniósł przeciwko nam choć jeden palec, będziemy zmuszeni cię zabić. Tak więc... sugeruję, byś spróbował zapanować nad niezwykłą stroną swej natury. Przekonajmy się, czy potrafisz schować te pazury. Jeśli ci się uda, obiecuję, że postaram się ze wszystkich sił nie narzygać na resztki twoich butów. Co ty na to?

Zawahał się, przechylając głowę jak zaniepokojony gołąb. Być może miał w

naczyniach również trochę krwi tego gatunku. Wykrzywił usta, jakby przebiegła przez nie jakaś fala, ale nie warknął. Bardzo powoli prostował zgarbione barki i dziwnie wygięty grzbiet, ale pazury u rąk nie znikaly.

- Miałem go ochraniać - wysyczał w siedemdziesięciu procentach ludzkim głosem.

- Niewiele można działać przeciwko karabinowi maszynowemu w ciemności - zauważyłem. Zacząłem się powoli podnosić, opierając się o ścianę. Każdy cal był triumfem woli, każda chwila stanowiła sukces równy zdobyciu Everestu. Wreszcie udało mi się usiąść prosto.

- Wszystkich nas oszołomił bieg wydarzeń.

- Nie mam powodu ci ufać.

- Ja też nie jestem zbyt zachwycony sytuacją. Ujmijmy to tak: nie sądzisz, że gdybym był twoim wrogiem, już bym cię załatwił? Albo Sinclaira, jeśli o tym mowa?

- To kiepski argument w ustach kogoś, kto wygląda jak ty.

- To znaczy, że będziesz musiał podjąć samodzielną decyzję, tak?

* * *

Siedzieliśmy na schodach głównego budynku University College, dziwnego gmachu udającego grecką świątynię zamkniętą wysoką dwuskrzydłową bramą z kutego żelaza. Piliśmy tanią kawę kupioną w szpitalnym sklepiku. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Podarte buty zapewne były modne wśród studentów, a podbite oko członkowie uniwersyteckiego klubu sportowego mogli uważać za powód do dumy.

Pomyślałem, że powinien padać deszcz, nie zaszkodziłoby też parę chmur burzowych na niebie. To bardziej harmonizowałoby z moim nastrojem. Dzień był jednak pogodny i rześki, pomimo chłodu słońce świeciło jasno, a czystego błękitu nieba nie mąciły chmury. Oplotłem ramionami swe obolałe ciało tak dokładnie, jak tylko zdołałem. Starąłem się też nie dotykać językiem chwiejącego się zęba. Zapewne istniały jakieś zaklęcia zdolne naprawić te uszkodzenia, ale nie miałem ochoty próbować swych sił w mistycznej stomatologii. Z jakiegoś powodu uważałem, że to uwłacza mojej godności. James Bond nigdy nie musiał korzystać z pomocy dentysty; Jackie Chan nie demonstrował złotego uśmiechu; Bruce Lee nie ścisnął w ostatniej scenie swych filmów brzucha, jakby cierpiał z powodu zatrucia pokarmowego. W związku z tym ja również nie powinienem być do tego zmuszony. Zresztą, sądząc z tego, co o nich wiedzieliśmy i czego zdołaliśmy się domyślić, dentyści byli gatunkiem, którego lepiej unikać.

Charlie siedział obok, trzymając w rękach tekturowy kubek z kawą.

- Znalazł mnie na ulicy - opowiadał. - Kiedy byłem dzieckiem, fascynowały mnie miejskie zwierzęta. Żyją wokół nas: lisy, gołębie, szczury, wrony, mewy, koty, psy, myszy, a także inne, których w życiu byś się nie spodziewał tu ujrzeć. W Hyde Parku widziałem kiedyś wilka. Po prostu sobie siedział i gapił się na mnie. W ogóle się nie bał. Wszystkie te zwierzęta żywią się wyrzucanymi przez nas śmieciami. To dla nich prawdziwa uczta. Rozumiesz? Cały ich świat kręci się wokół nas, a my je po prostu ignorujemy. Nie chcemy ich zauważać. Ale to nie była tylko dziecinna ciekawość - kontynuował. - Jakaś część tego wniknęła do mojej krwi. Brat zawsze mówił, że kiedy byłem mały, ugryzł mnie szczur. Często wałęsałem się nocami, a gdy zacząłem dojrzywać, lekcje biologii okazały się niewystarczającym ostrzeżeniem.

- W tym przypadku nie jesteś wyjątkiem. - Westchnąłem. - Opowiedz mi o Sinclairze.

- On... obserwuje.

- Archiwum X?

- Nie. Zatroskani obywatele.

- Wymieniał już kiedyś tę nazwę. Wtedy zabrzmiała jak eufemizm i teraz nadal tak brzmi.

- Opowiem ci, jak to działa. Ktoś w rządzie uświadamia sobie, że jego żona rzuciła klątwę na ich małą córeczkę, bogaty biznesmen odkrywa, że jego zastępca modli się do neonu, mecenas sztuki zauważa, że iluzja budzi się do życia w namalowanym sprayem obrazie dziecka. Zatroskani obywatele połączeni wspólnymi interesami. Prędzej czy później nawiązują ze sobą kontakt. Dysponują wpływami i władzą. Nie chcą dopuścić, by sprawy wymknęły się spod kontroli. Sinclair im pomaga.

- A obecną przyczyną ich troski jest Bakker?

- Tak. Wieża zrobiła się zbyt potężna. Sinclair mówił, że nie chodzi o to, kim jest Bakker, mimo że uważał go za potwora, ale o to, czym jest Wieża. Jest wielka, niepowstrzymana i działa bardzo szybko. Jej wrogowie giną. Wszyscy, którzy ośmielą się jej przeciwstawić. To zaniepokoiło wiele różnych czynników. Sponsorzy Sinclaira chcą się upewnić, że magia nie wyrwie się na swobodę. Są też jednak tacy, którzy pragną zrobić użytek z jej mocy, a być może i tacy, którzy woleliby ją zniszczyć. Z pewnością to rozumiesz.

- Dziękuję. Tak, chyba rozumiem. W porządku. Opowiedz mi o pozostałych. O czarowniku, wróżce, motocykliście...

- Sinclair znał Khana. Khan mu pomagał. Widział różne rzeczy. Kiedy zginął...

- Sinclair przekonał wróżkę, żeby zajęła jego miejsce?

- Tak.

- Czy mogła nas zdradzić? Powiedzieć Bakkerowi o spotkaniu, by mógł zorganizować

zamach?

- Wątpię w to.

- Dlaczego?

- Dlatego że była kochanką Khana - odpowiedział tonem pełnej zaskoczenia prostoty.

- Pragnie śmierci Bakкера. Dlatego powiedziała Sinclairowi o tobie.

- A co dokładnie mu powiedziała?

- Że albo Matthew Swift żyje, albo podszywa się pod niego coś wystarczająco potężnego, by przybrać jego postać. Tak czy inaczej, Sinclair dostrzegł szansę.

- Doszedł do wniosku, że pragnę zemsty na Bakkerze?

- A nie jest tak? - zapytał ostro i pociągnął kolejny łyk kawy. W jego oczach pojawił się błysk. Nie odpowiedziałem. - Sinclair zastanawiał się, o co mogliście się pokłócić. Miał kilka teorii. Słyszałem, że potrzeba bardzo wiele, by czarnoksiężnik porzucił nauczyciela.

- Nic na ten temat nie wiesz - warknąłem. - Nie potrafiłbyś tego zrozumieć.

- Myślę, że bym potrafił - sprzeciwił się. - Sinclair nauczył mnie kontrolować to, kim jestem. Opiekował się mną. Czy nie to samo robią czarnoksiężnicy dla swoich uczniów? Jesteście czymś więcej niż inni magowie, zatracacie się w mieście, wasze umysły stają się jego częścią do tego stopnia, że w godzinach szczytu musicie spacerować, bo całe miasto jest w ruchu, a kiedy kończą się godziny pracy, nie potraficie powstrzymać westchnienia ulgi i pragnienia spojrzenia na niebo. Tak właśnie funkcjonuje miasto. Niektórzy czarnoksiężnicy dali się całkowicie pochłonąć jego mocy, ich umysły rozpuściły się na zawsze w miejskich rytmach, bez reszty zatracili tożsamość, zamieniając się w regularności ulicznego ruchu. Widzisz? Rozumiem, jak to wygląda. Dokądkolwiek bym poszedł, nieustannie słyszę żyjące tam zwierzęta, a nawet kiedy śnię, spoglądam oczyma gołębi i pragnę wtedy nigdy się nie obudzić, by móc latać z nimi na wieki. Kiedy opowiedziałem Sinclairowi ten sen, powiedział mi, że to czarnoksiężstwo.

- To jego część - przyznałem. - Ale tylko część. A co z pozostałymi? Z człowiekiem z końską twarzą?

- Z kim?

- Tym, którego zastrzelono w pokoju. Snajper go trafił, kiedy stanąłem przed oknem.

- Nazywał się Edward Seaward. Był czarodziejem, reprezentował Długi Klan z White City. To podziemna organizacja. Na ogół mówimy na nich po prostu Biali. Sprzeciwiają się Wieży.

- Dlaczego?

- Dlatego że ona chce zapanować nad wszystkimi, wykorzystywać ich do swoich

celów. Biali bronią swoich członków przed Wieżą i, w przeciwieństwie do niej, nie żądają żadnych usług w zamian za ochronę. Mówią, że są „dobrymi facetami”. Myślę, że to ich po prostu bawi. Nie lubią, gdy ktoś próbuje im rozkazywać. Wtedy upierają się dla zasady.

- Dlaczego nigdy o nich nie słyszałem?

- Nadal są słabi. Ich poprzedniego przywódcę zamordowano. Zdradził go któryś z towarzyszy. Starają się wpływać na społeczność na miarę swych możliwości. Znajdują osoby potrzebujące pomocy, takie jak ja. To pomaga zachować porządek w ich szeregach, nie pozwala, by pojawiło się zbyt wiele demonów, przywoływanych przez ludzi, którzy powinni wiedzieć lepiej. Zatruwają nieco życie Guyowi Lee, rozpraszając jego zaklęcia i zakłócając inne poczynania. Niemniej są słabi.

- Jakie to poczynania?

- Uroki, iluzje, oczarowania, oszołomienia. To sztuczki, których używa, by zapewnić Wieży środki. Ma w mieście burdele o ścianach pokrytych zaklęciami powodującymi u klientów uzależnienie i każe im płacić za każdą sekundę uroku. Przywołuje iluzje duchów umarłych, ma też salony wróżb, w których z umysłów klientów wydobywa się informacje, pomagające wyciągnąć z nich pieniądze. Biali uważają to za zniewagę i zagrożenie. Wielu innych jest tego samego zdania, ale boją się podpaść agentowi Wieży.

- A co z czarownikiem?

- Przysłano go do nas z Birmingham. Wieża ostatnio próbuje rozciągnąć swe wpływy na to miasto. Chyba pragnął prewencyjnego uderzenia. Chciał też skłonić do współpracy szkockich czarodziejów. Ambicje Bakker'a wkurzyły wiele osób w Edynburgu i Glasgow.

- A motocyklista?

- Jego klan nie lubi Wieży. Ona żąda od motocyklistów różnych usług. Przekazywania informacji, przewożenia towarów i osób. Nikt nie przemieszcza się z miejsca na miejsce szybciej od motocyklisty. Odległość, przestrzeń, to dla nich tylko kwestia percepcji. Kiedy jadą, przyciągają drogę do siebie.

- I co poszło nie tak?

- Nie płacili im zbyt wiele, a niektóre przedmioty, jakie musieli przewozić, były... niepokojące.

- Na przykład?

- Do kryzysu doszło, gdy kazali im nieustannie wozić po mieście kawałek ciała. Pochodził od mężczyzny, którego zwabili do jednego z burdeli Guya Lee. Kiedy zasnął, wycięli mu fragment skóry z podstawy czaszki, by móc w każdej chwili rzucić na niego kłutwę, osłepić jego zmysły bólem, sparaliżować go od szyi w dół albo wysłać sny do jego

oczcu. Ten facet był wrogiem Bakkera, księgowym, który w jakiś sposób naraził się Wieży. Motocyklistom kazano utrzymywać ten strzępek skóry w nieustannym ruchu, by nikt nie mógł go uwolnić spod wpływu Wieży. Odmówili i spalili skórę, by złamać czar. Ich szefa zabito. To nie była przyjemna śmierć. Od tej pory wszyscy nieustannie się przemieszczają, uciekając przed zemstą Bakkera.

- A ten, który był na spotkaniu?

- Używa ksywki Blackjack. Wysłano go jako emisariusza do Sinclaira. Miał zbadać możliwość zawarcia z nim sojuszu. Nie wolno go lekceważyć. Może ci się wydawać, że to tylko facet w czarnej kurtce, ale ja widziałem, czego potrafią dokonać motocykliści. Ich magia jest dzika i niebezpieczna. Nigdy się nie zatrzymuje. Umieją znaleźć wszystko i wszędzie, a także w każdej chwili zniknąć bez śladu. Nikt ich nie złapie.

- A co z Odą?

- Nic o niej nie wiem. Miałem wrażenie, że Sinclair się jej boi.

- Ale ona nie jest magiem.

- Być może... nie ona, ale ludzie, którzy za nią stoją... nie mam pojęcia.

Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się usłyszeć więcej.

- A Dorie?

- Jej chyba bał się najbardziej ze wszystkich. Jest stara, czarnoksiężniku. Sinclair mówi, że była już stara, kiedy ją poznał, dawno temu. Jest stara od bardzo długiego czasu.

- Czy mogła nas zdradzić? Dlaczego zaproszono ją na spotkanie?

- Nie wiem. Sinclair powiedział, że, by zrozumieć Dorie, trzeba poznać miasto. Nazywał ją Bezdomną, jakby to był komplement.

- Bezdomną? Z emfazą, jakby to było jej imię?

- Pewnie tak. Czy to ważne?

- Niewykluczone. - Spróbowałem się przeciągnąć i natychmiast tego pożałowałem. Dopadły mnie mdłości. Poczulem w ustach smak żółci. - I co teraz zrobisz? - zapytałem.

- Będę strzegł Sinclaira.

- Czy ktoś go odwiedzał?

- Policja. Schowałem się. Nie dowiedzą się zbyt wiele od nieprzytomnego pacjenta bez dokumentacji medycznej. Dlatego zostawili strażnika przed drzwiami. Kiedy nie śpi, ukrywam się jako szczur w rurach wodociągowych. Gdy zaśnie, krążę tam jako lis, by nie usłyszał moich kroków. Jeśli wróca po Sinclaira, dopilnuję, by im się nie udało. Czy zabijesz Bakkera?

Pytanie padło tak niespodziewanie, że ledwie je usłyszałem.

- Słucham?

- Czy go zabijesz? Czytałem, że Amiltech poważnie ucierpiało. Amiltech to San Khay, a on służy Bakkerowi. Pragniesz zaszkodzić Wieży, ale nie powiedziałeś, że go zabijesz. Chciałbym, żebyś to zrobił. Zabij go i zniszcz wszystko, co stworzył. Potrafisz tego dokonać?

- Możemy zabić Bakkera - odpowiedzieliśmy z namysłem - ale to nie jego się boimy.

- Jeśli nie jego, to kogo?

Nie odpowiedzieliśmy.

- Zabij go.

- Dlaczego?

- To potwór.

- Naprawdę? Nie zauważyłem, by miał pazury.

Wzdrygnął się na te słowa.

- Jeśli chcesz się dowiedzieć, co zrobił, pojedź do Carlisle - oznajmił.

- Do miasta?

- Nie. Do ośrodka opieki.

- Dlaczego? Co tam znajdę?

- Jeśli tam pojedziesz, będziesz chciał go zabić.

Wstałem. To było spore osiągnięcie.

- Gdzie cię znajdę, jeśli będziesz mi potrzebny?

- U boku Sinclaira - odparł stanowczo. - Zobaczę cię. Chociaż ty możesz mnie nie zauważyć - dodał, odsłaniając w uśmiechu żółte szczurze zęby. Do widzenia, czarnoksiężniku. Jak się zdecydujesz, przynieś mi odrobinę jego krwi na swoich rękach.

- Zabawny z ciebie facet - odparłem i się oddaliłem.

* * *

Nie mam pojęcia, dlaczego pozwalam się wrabiać w takie sprawy.

Pojechałem do Carlisle.

Dom opieki znajdował się na południowym skraju Craydon, w budynku z czerwonej cegły z wielkim podjazdem, usytuowanym w pobliżu parku opadającego stopniowo w stronę pasa zieleni. Już w tym miejscu powietrze miało inny smak, nie tak mocny i ostry jak w mieście. Krył się w nim cień innej magii, niezwyklej magii, którą tak niewielu obecnie rozumie. Magii miejsc leżących poza miastem, powolnej, spokojnej magii drzew i pól, w swoim czasie płonącej równie jasno, jak neonowa moc, przez którą obecnie wędrowałem. Zostało jeszcze trochę ludzi potrafiących ją okiełznać jak za dawnych czasów, druidów i

rzadko spotykanych wiejskich magów, przywołujących z ziemi pnącza zamiast drutu kolczastego, ale są oni bardzo nieliczni i z reguły nie rozmawiają ze swymi miejskimi odpowiednikami, uważając ich magię za produkt zepsucia, nie ewolucji naturalnego stanu rzeczy. W ten spór z pewnością nie zamierzałem się mieszać.

Nie wiedziałem, kogo mam zobaczyć w domu opieki Carlisle, szybko jednak otrzymałem odpowiedź na to pytanie, przejrzawszy w recepcji spis pensjonariuszy. Moją uwagę przyciągnęło nazwisko Elizabeth Jane Bakker.

Wpisałem się do książki jako Robert James Bakker i poszedłem z nią porozmawiać. Nikt nie kwestionował mojej tożsamości. Pielęgniarka poinformowała mnie, że jest zachwycona, że wreszcie się zjawiłem. Dodała, że Elizabeth jest już w nieco lepszym stanie, choć nie przestała krzyczeć na widok luster.

Elizabeth Jane Bakker siedziała na wózku inwalidzkim pod tylną ścianą pokoju pełnego beżowych mebli. Miała na twarzy białą zasłonę, a to, co zostało z jej dłoni, spowijał bandaż tego samego koloru. Ubrano ją też w obowiązkową haniebną niebieską piżamę, noszoną przez wszystkich pensjonariuszy. Na kolanach miała tacę z nietkniętym posiłkiem - puree z ziemniaków, marchewka i jakaś kiełbasa w podejrzanie błyszczącym sosie.

- Cześć, Elizabeth - powiedziałem, siadając na stołku naprzeciwko niej.

Zasłona zadrzała. Między jej obrąbkiem a kołnierzem piżamy widziałem szkarłatną, poparzoną skórę szyi. Gdy kobieta przemówiła, jej słowa zniekształcał wysiłek wkładany w wypowiedzenie słów za pomocą zdeformowanej pozostałości ust. Jej głos z początku był niemal niesłyszalny. Musiałem się pochylić, by ją zrozumieć.

- Widzę... bądź wolna... mówią... stań się mną... - wyszeptała.

- Jak się czujesz? - zapytałem i natychmiast poczułem się głupio.

- Kiedy próbuję zasnąć, szczury ciągle śpiewają. Cały czas śpiewają, śpiewają i śpiewają. Ale głos w telefonie umilkł.

- Nie jesteś głodna? - spróbowałem.

Zerknęła na talerz. Z głębi jej gardła wyrwało się niskie chrząknięcie. Złapała tacę resztkami dłoni i cisnęła ją na drugi koniec pokoju. Pielęgniarka wpadła do środka z korytarza, zobaczyła potłuczone szczątki i zatoczyła oczami, jakby to było typowe dla tej pensjonariuszki zachowanie. Potem sprzątnęła bałagan.

Elizabeth pograżyła się w posepnym milczeniu. Ja również, ponieważ nie przychodziły mi do głowy żadne słowa, które nie byłyby niebezpieczne albo szalone.

Siedzieliśmy w milczeniu przez prawie dziesięć minut. Wreszcie Elizabeth uniosła powoli wzrok.

- Czy tam, gdzie się znajdujesz, jesteś wolny? - zapytała.

- Jest całkiem nieźle - odparłem po chwili wahania, mając nadzieję, że to bezpieczna odpowiedź.

- Stań się mną - zanuciła słabym, odległym głosem, jak ktoś, kto przypomina sobie dziecinny wierszyk. - Stań się mną i bądź wolna!

Poczuliśmy dreszcz, przebiegający po całym naszym ciele od włosów na głowie aż po koniuszki palców u nóg.

- Gdzie słyszałaś te słowa? - zapytaliśmy.

- Kiedyś płonęły w telefonach. Tańczyłam z nimi, zanim odeszły. Czy kłamaliście?

- A czy twój brat również słyszał ich śpiew?

Potrząsnęła głową, powoli i niepewnie.

- Będziesz miała pudding i go zjesz - dodała radośniejszym głosem. - Tak mi powiedziały. Zachowaj najlepsze na sam koniec, mięso i dwie jarzyny, rozumiesz?

- Czy on cię skrzywdził? - zapytałem najdelikatniej, jak potrafiłem.

- Kazał tańczyć, kazał płonąć, a przecież zawsze kochaliśmy miasto...

- Czy on ci to zrobił?

- On tylko siedzi na krześle, nic więcej, nie robi nic złego, tylko siedzi i lubi jeść, patrzy, zajmuje się różnymi rzeczami, chociaż woda nie smakuje już tak dobrze jak kiedyś, wódka, wódka i lizanie słupa latarni...

Jej ramiona zaczęły się trząść. Przeżyłem szok, uświadomiwszy sobie, że to płacz.

Pochyliłem się niepewnie i objąłem ramiona kobiety, choć jej ciało było tak bezwładne, że trudno mi było określić, czy to w czymś pomogło. Zbliżyliśmy usta do jej ucha, tak bardzo, że widzieliśmy poparzone ciało pod zasłoną, zapadniętą skórę, szczątki nosa oraz nierówne, spalone wargi.

- Myśmy są ogień, myśmy są światło, myśmy są życie - wyszeptaliśmy cichutko jak matka nucają kołysankę. - Wyśpiewujemy elektryczny płomień, pełzamy z podziemnym wiatrem, tańczymy niebo! Stań się nami i bądź wolna. Stań się mną.

Drżenie uspokoiło się stopniowo. Kobieta odsunęła się i spojrzała nam prosto w oczy. Musnęła nasz policzek zabandażowanym kikutom dłoni, aż naszą skórę przeszył dreszcz.

- Taki błękit - wyszeptwała. - Nic dziwnego, że odszedłeś.

- Dlaczego Bakker ci to zrobił? - zapytałem. - Czemu miałby uczynić coś takiego?

- Chciał usłyszeć anioły - wyszeptwała. - Pragnął je odnaleźć, zobaczyć błękit, ale nie potrafił, nie potrafił. Próbował, ale one mu nie odpowiadały. Nie potrafił tego zrozumieć i powiedział... powiedział... - Bandaż przycisnął się do mojego policzka. - Poprosił cię -

wysyczała. - Poprosił cię, żebyś je odnalazł. A ty się nie zgodziłeś. Dlaczego się nie zgodziłeś? Pocałowałabym cię, ale ty powiedziałeś „nie”. Dlatego potrzebował innego czarnoksiężnika, potrzebował kogoś, kto da swoje zmysły i swoją krew, ale ty odmówiłeś, więc zwrócił się do mnie. Próbował je przywołać, a kiedy się okazało, że nie potrafię tego dokonać, że nie potrafię, powiedział, że wszystko w porządku, że mu przykro, że mnie kocha, że mi wybacz, i... i...

Elizabeth Jane Bakker była czarnoksiężnikiem, podobnie jak jej brat. Jej skóra parzyła mój policzek, nawet przez bandaż. Światło trzeszczało i musowało wokół niej, a podłoga drżała, jakby pod nami przejeżdżał pociąg.

- Posłuchaj, posłuchaj... - wyszeptałem, łapiąc ją za ramię. - Czego chciał od ciebie brat?

- Jest taki głodny - wyszeptała. - Tak bardzo głodny.

- Czy to on sprowadził nas z powrotem? - zapytaliśmy. - Dlatego że nadal pożąda aniołów?

- Zrobił ze mnie cień na ścianie. - Jej głos przechodził w wycie. Uczepiła się mojej twarzy, jakby chciała jej nadać nowy, lepszy kształt. - Powiedziałam, że go przepraszam, że przepraszam, że już więcej nie odmówię, ale on ciągle mnie palił, ciągle powtarzał, że nic nie rozumiem, och, przepraszam, przepraszam, zrób ze mnie cień na ścianie...

- Bakker zrobił ci to, bo nie chciałaś mu pomóc?

- Przepraszam...

Znowu zaczęła drzeć. Przesunąłem dłonią po jej głowie, po białej tkaninie, czując ukryte pod nią nierówne kępki włosów. Szeptałem uspokajająco, gdy wciskała twarz w moje ramię. Dudnienie podłogi ustało stopniowo. Szczury w ścianach znowu mogły oddychać.

- Wszystko w porządku - wyszeptałem. - Wszystko w porządku. Jesteśmy tu.

- Nie chciał mnie zabić, nie chciał. Powiedział, że powinnam poczuć, jak to jest, zrozumieć...

- Wszystko w porządku - powtórzyliśmy, nie wiedząc, co jeszcze moglibyśmy powiedzieć. - Sza, wszystko będzie dobrze.

- Jestem głodna - wyszeptała. - Tak bardzo głodna. - Odsunęliśmy się powoli, wpatrując się w niewyraźny cień jej oczu. Gapiła się na nas. Jej wargi drżały pod zasłoną. - Powiedział, że wyżyję i że zawsze już będę głodna i spragniona, na zawsze pozostanę brzydka i będzie mnie dręczył ból, dlatego że mu nie pomogłam. Matthew?

- Jestem tu - wyszeptałem.

- Dlaczego nie spełniłeś jego prośby? Dlaczego mu nie pomogłeś?

- Dlatego że to plugawe - odparłem po chwili zastanowienia. - To, czego chciał, było plugawe.

- Tęskniłam za tobą - wyszeptała. - Jak w tej piosence. Zawsze mówił, że świat jest tak wielki, że żaden prąd go nie ogarnie, a nawet jeśli dotkniesz wszystkich zakątków, możesz odpłynąć do gwiazd. Czy to bolało? Twoja śmierć? Powiedział, że nie żyjesz. Nakrzyczałam na niego, obrzuciłam go obelgami. Krzyczałam i krzyczałam, aż wreszcie spalił mi język, zrobił ze mnie cień na ścianie, powiedziałam, żeby zrobił ze mnie cień... Pomogłabym ci, gdybyś żył. Nazwałam go mordercą. Powiedział, że nic nie rozumiałeś, że to nie było... że nie byłeś... ale one nie przestawały i powiedział... że zawsze tam były, a potem po prostu zniknęły!

- Sza, sza - szeptałem, głaszcząc ją po dziwnych, szorstkich kępkach włosów. - Jestem z tobą. Zadbamy o twoje bezpieczeństwo.

Wyprostowała się nagle, rozciągnęła poszarpane, okaleczone wargi i pocałowała mnie w usta przez zasłonę.

- Moje anioły - wyszeptała. - Moje elektryczne anioły.

Zostałem z nią do końca dnia. Nie powiedziała już nic więcej. Ja też nie. To również było czarnoksiężstwo.

Wkrótce po zmierzchu opuściliśmy śpiącą kobietę, szepcząc na pożegnanie w jej maleńkie, pozbawione małżowiny ucho. Potem poszliśmy załatwić San Khaya.

* * *

W gazetach pisano mniej więcej to, czego się spodziewałem. Ktoś niemal całkowicie zniszczył biuro Amiltechu, pracowników odesłano do domu. Ludzie mówili, że nie jest tam bezpiecznie. Ci, którzy zostali na miejscu zbyt długo, twierdzili, że widzieli w otworach wentylacyjnych blask aluminiowych skrzydełek i słyszeli głosy duszków.

Klienci, choć wyrażali współczucie z powodu kampanii nienawiści, której ofiarą ewidentnie padła firma Amiltech, wypytywali taktownie o możliwości przejścia do innych firm ochroniarskich, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że w obecnej sytuacji Amiltech nie jest w stanie wypełniać zobowiązań.

Mogłem zrobić więcej i wiedziałem o tym. Drobne podpalenia i akty wandalizmu nie wystarczą, by zniszczyć dużą firmę. Ubezpieczenie nadal mogło pokryć wszelkie straty. Mogłem zabrać się do roboty metodycznie, znaleźć wszystkie banki krwi i zapisy nielegalnych transakcji, zniszczyć je, ujawnić wszystko i doprowadzić Amiltech do ruiny.

W obecnej sytuacji nie mieliśmy jednak ochoty czekać. Pragnęliśmy dorwać San

Khaya, obalić króla tego domku z kart. Wiedzieliśmy, że gdy on upadnie, nawet Wieża odczuje ten cios.

Nie mieliśmy jednak pewności, czy pragniemy go zabić, czy też jest jedynie blotką, drobną przeszkodą na drodze do asa, którym był Bakker.

Jego chcieliśmy wykończyć z całą pewnością.

Pomyślałem o niebieskim rysunku płonącego anioła, który znalazłem pod biurkiem San Khaya.

Przypomniałem sobie smak krwi.

Przypomniałem sobie...

...daj mi życie...

...bądź wolny...

...moje elektryczne anioły...

Bakker musiał zginąć. A jeśli po drodze do niego musiałem załatwić San Khaya, niech i tak będzie.

Potrzebowałem sprzętu.

* * *

Całą noc i poranek spędziłem w łóżku, wracając do siebie po spotkaniu z Charliem. Popołudnie poświęciłem na zakupy w sklepach wielobranżowych, pasmanteryjnych i z artykułami malarskimi. Nabyłem tyle barwników najrozmaitszych kolorów, ile tylko zdołałem znaleźć. Butelki z tuszem i kapsułki barwników do tkanin we wszystkich wyobraźalnych kolorach. Kupiłem wszystko, co wpadło mi w ręce i co mogłem upchnąć do tornistra. Odwiedziłem też kilka sklepów ze starzyzną, aż wreszcie udało mi się znaleźć resztki wielkiego zegara szafkowego. Ukradłem wskazówki z jego tarczy i zdobyłem też mały dzwonek, zestaw sześciu kości do gry, koc oraz bardzo wielki marker niezmywalny. W supermarkecie kupiłem wystarczający na tydzień zapas kanapek z jajami i rzeżuchą, pęk bananów, dwa wiadra oraz sześć litrów butelkowanej wody mineralnej. Na koniec odwiedziłem antykwariaty przy Charing Cross Road, sprawdzając kolejno ich półki, aż wreszcie udało mi się znaleźć egzemplarz przewodnika kolejowego z roku 1934. Ciężki tom w zakurzonej czerwonej okładce pachniał martwymi owadami i zeschniętymi liśćmi.

Potem wynająłem furgonetkę. Za czterysta funtów właściciel był skłonny zignorować fakt, że nie mam prawa jazdy ani ważnych dokumentów. Śmierdzący kapustą pojazd zataczał się na zakrętach jak pijany słoń. Będzie w sam raz.

* * *

Następny dzień poświęciłem na poszukiwania odpowiedniego miejsca. W gazetach wyczytałem, że San Khay poprzysiągł zemstę na wrogu jego firmy i pracowników, obiecał, że odda go w ręce sprawiedliwości. Wartość akcji Amiltechu na londyńskiej giełdzie spadła o szesnaście pensów i wszyscy głęboko mu współczuli. Wiceprezes firmy postanowił wysłać rodzinę do Kornwalii, gdy ściany jego domu podrapały dziesiątki małych, aluminiowych paznokietków. Osobista sekretarka Sana skarżyła się, że nie może spać, ponieważ po ścianach jej mieszkania wędrują cienie, a pod jej czaszką rozbrzmiewają głosy. Oznajmiła, że musi jak najszybciej wyjechać na wakacje na Korfu, by dać firmie czas na powrót do normy.

W końcu znalazłem to, czego szukałem, na umieszczonym pod torami kolejowymi w Camden garażu do wynajęcia. Miał on solidne, metalowe drzwi, a wysoko na suficie umieszczono jedną żarówkę. Wyniosłem ze środka zepsutą lodówkę oraz połowę roweru, a potem zabrałem się do tworzenia magicznego kręgu.

Kręgi są bardzo tradycyjną postacią magii i mój nie był wyjątkiem. Niezmywalnym markerem (nie dajcie się nabrać tym, którzy wolą kredę, bo to zawodna substancja, dobra dla amatorów) nakreśliłem na podłodze wielkie, trochę krzywe koło. Ustawiłem w nim wiadra, a obok umieściłem stertę pełnych środków konserwujących kanapek, sześć litrów wody mineralnej, banany oraz równo złożony koc.

Tuż na zewnątrz kręgu ułożyłem sześć kostek, w równych odległościach od siebie. Liczba oczek na ich zwróconych ku górze ściankach rosła zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Na szczycie kręgu położyłem wskazówkę godzinową, wskazującą do środka, na dnie zaś, najbliższej drzwi, minutową, również skierowaną do wewnątrz, prosto ku jej północnemu odpowiednikowi.

Uporawszy się z tym wszystkim, zrobiłem coś, co robię bardzo rzadko. Osunąłem się na kolana obok dna kręgu i zacząłem się modlić.

Wychodzące z moich ust słowa były nie tylko modlitwą, lecz również przywołaniem, inwokacją. Klęczałem przez blisko godzinę, wyszeptując swe nadzieje i aspiracje do duchów tego miejsca. Podłoga była twarda i bolały mnie kolana, ale gdy już zaczęło się podobną inkantację, nie przerywa się jej z błahych powodów. Przywołałem wszelkie moce mogące czuwać nad małym garażem ukrytym pod torami kolejowymi, błagałem je, przekonywałem, próbowałem zwabić, używając całej swej siły woli i całej magii, jaką mogłem tu znaleźć. Byłem na wpół przekonany, że mimo to się nie zjawią, ale w końcu wibracja kolejnego przejeżdżającego mi nad głową pociągu zaczęła się przeciągać, nie milknąc przez długi czas. Przyszło mi na myśl, że może to wcale nie jeden pociąg, ale całe stado, wracające na noc do domu tym samym torem.

Mineła chwila, nim skojarzyłem łoskot, regularne *kabongkabongkabong* kół podskakujących na złączach srebrzystych szyn z lodowatym wiatrem owiewającym mi kark oraz faktem, że mój oddech zamieniał się w parę, mimo że na dworze wcale nie było tak zimno. Gdy duch tego miejsca zaczynał się objawiać, czynił to stopniowo, jako granatowy błysk, który to się pojawiał, to znikał, przynosząc ze sobą odległy, żalobny gwizd pociągu słyszany nocą przez zamknięte okno sypialni. Nie przerywałem przywoływania, sięgając ręką po przewodnik kolejowy, żeby się uspokoić. To był jedyny tu ciepły przedmiot. Czekałem, aż duch nadejdzie w pełni.

Pojawiał się po drugiej stronie kręgu, to jeden kawałek, to drugi, jak kot z Cheshire. Trudno było określić, czy przybywa, czy odchodzi. Gdy już był całkowicie na miejscu - nawet te fragmenty, które zamazywały się co chwila z cichym stukiem składających się na nie kół - zimny wiatr raptownie porwał jego lewą rękę. Po chwili zastąpiła ją nowa. Twarz ducha się wykrzywiała, przechodząc w blednącą plamę ciemnobrązowej mgły, a potem pojawiała się znowu. Raz miał czapkę, a raz jej nie miał. Nakrycie głowy zmieniało też wygląd. W jednej chwili było wielkie i granatowe, w drugiej ciasne i czarne, w jeszcze następnej przeradzało się w staromodną czapkę ze srebrną odznaką z przodu. Na szyi miał zawieszoną małą szarą maszynę z plastiku, z otworem na kartę kredytową, w ręce trzymał książeczkę z papierowymi różowawymi biletami, w kieszeni na piersi nosił mnóstwo długopisów i ołówków, na nogach zaś miał czarne, skórzane mokasyny - jedyny stały element jego wyglądu.

Krótko mówiąc, był obrazem kolejowego konduktora, strażnikiem i odbiciem tego miejsca. Spoglądał na mnie bez zbytej sympatii. Kiedy przemówił, jego głos brzmiał jak wiatr dmący w czarnym tunelu.

- Bilety, bilety do sprawdzenia!

- Mam dla pana prezent - oznajmiłem z szacunkiem, unosząc przewodnik kolejowy.

Książka otworzyła się w moich rękach. Przewracające się stronicę szeleściły jak liście, zamazując słowa i obrazki. Potem zaczęła się zmieniać, oddalać, zanikać, równie eteryczna, jak stojąca przede mną istota. Po chwili trzymałem w palcach tylko zimny wiatr.

- Nie jesteśmy już tym, czym kiedyś - wyszeptał ze smutkiem duch. - Wszystko się zmienia. Rozmienia się na drobne. Proszę drobnymi.

- Martin Mill, Hither Green, Three Bridges, Woolwich Arsenal, Madchute, Bounds Green, Gospel Oak... - recytowałem w odpowiedzi nazwy wszystkich stacji kolejowych, które przychodziły mi na myśl.

Postać znowu się zmieniała. Pojawił się i zniknął cień szerokiego skózanego pasa, a

wraz z nim błysk mosiężnych guzików i odznaki prywatnej firmy. Duch się uśmiechnął.

- Wolą odjeżdżać i przyjeżdżać, odjeżdżać i przyjeżdżać, zamiast podróżować. To miejsce zaniknie razem z łoskotem pociągów.

- W imię Thameslink, First Capital Connect, Southern Railway, South Western, GNER, National Express, Chiltern Railways...

Istota uniosła głowę.

- To miło, że ktoś o nas pamięta, choćby tylko mali czarnoksiężnicy, którzy woleliby latać. Dokąd chce pan dzisiaj dotrzeć?

- Muszę tu kogoś zatrzymać. Chcę, by nic mu nie zagroziło, ale żeby nie mógł stąd odejść i nikt inny nie potrafił go znaleźć. Pomożecie mi?

- Miło, że ktoś o nas pamięta - powtórzyła zjawą. - Zachowamy pański magiczny krąg i będziemy o panu pamiętać, przejeżdżając tędy.

Duch zaczął zanikać, zabierając ze sobą zimny podmuch mijającego stację pociągu oraz mechaniczny posmak pary.

Zaczekałem jeszcze chwilę, aż nade mną przejechał następny skład. Potem wstałem. Moje miejsce było bezpieczne, mój magiczny krąg otrzymał gwarancję. Mogłem ruszyć na poszukiwania San Khaya.

* * *

Cokolwiek by mówić o San Khayu, to nawet podczas kryzysu ściśle przestrzegał codziennej rutyny. Znalazłem go na dachu budynku na samej granicy między City of London a City of Westminster. Sączył szampana. Dach składał się z szerokiego balkonu ogrzewanego przez wysokie piecyki o cylindrycznych szczytach, produkujące ciepło z intensywnością kuchenek gazowych, oraz wielkiej szklarni. Wszystko to dodano po ukończeniu wysokiego budynku w stylu art deco, pochodzącego z lat trzydziestych ubiegłego wieku. Pod ekskluzywnym dachowym ogrodem znajdowały się bogato urządzone biura, otoczone srebrzystymi murami o lekko łukowatych zarysach. W szklarni było pełno fontann, ozdobnych drzew, świateł reflektorów, a dziś wieczorem także ubzdryngolonych kobiet w skąpych, czarnych sukniach, rozmawiających z ożywieniem. Patrzyłem na to wszystko przez oczy krążącego nad dachem gołębia, obserwując regularność ruchów przechodzących od jednej do drugiej grupki gości. Ważniejsi i bogatsi członkowie klubu siedzieli za stołami, gdzie przynoszono im drinki wraz z miseczkami oliwek, młodszy członkowie i kandydaci na członków krążyli zaś od stołu do stołu, próbując nawiązać kontakty.

San siedział za własnym stołem w towarzystwie dwóch ochroniarzy. Jak zwykle

uprzejmie rozmawiał ze wszystkimi, był spokojny i opanowany. Był też jednak bystry i z upływem czasu coraz częściej zerkał na moje gołębie, krążące nad jego stołem. Wpół do dwunastej, gdy plotki zaczynały się robić naprawdę gorące, a szampan lał się jeszcze swobodniej, spojrział w górę, prosto na stworzenia, w mózgach których się kryłem, i uniósł rękę w geście zaproszenia bądź toastu. Potem pochylił się do jednego ze swoich ochroniarzy, który skinął głową i wyszedł.

Wycofałem swój umysł z gołębi i porzuciłem ławkę na rogu ulicy, na której siedziałem, gdy byłem zatopiony w ich myślach. Odłożyłem garść znalezionych na ulicy piór, zapewniających mi więź z ptakami, i zwróciłem się w stronę drzwi budynku, w którym czekał San.

Po chwili pojawił się w nich ochroniarz. Podeszedłem prosto do niego. Nie wyciągnął pistoletu, który miał w kaburze pod prawą pachą, i nie emitował zbyt wiele magii, zapytałem więc wprost:

- Mnie pan szuka?

- Pan Khay pyta, czy zechce pan z nim porozmawiać - odparł uprzejmie.

- Pistolety takie jak pański budzą we mnie niepokój.

- Oznajmił mi bardzo stanowczo, żebym go nie wyciągał, choć oczywiście władam bronią bardzo biegle - odparł ochroniarz, uśmiechając się olśniewająco.

- Naprawdę tak powiedział?

- Oczywiście. Stwierdził, że gdybym spróbował panu zagrozić, zapewne wyrwałby mi pan serce z piersi, nim zdążyłbym odbezpieczyć broń. Dlatego postanowił rozmówić się z panem osobiście, jeśli jest pan skłonny się zgodzić.

Zastanowiłem się nad tym, przesuważąc na ramieniu ciężki tornister.

- Niezły pomysł. Pójdę wypić drinka z panem Khayem - stwierdziłem wreszcie.

* * *

San Khay robił wrażenie wyższego niż się spodziewałem, ale winien mógł być fakt, że siedział sztywno wyprostowany, mimo że zbliżała się dwunasta w nocy. Niska ławka nie wyglądała na wygodną, ale zapewne była dziełem sztuki. Spocząłem naprzeciwko niego, a on przywitał mnie uprzejmym skinieniem głowy.

- Napije się pan?

- Dziękuję, niczego mi nie trzeba.

- Mam nadzieję, że mój asystent był uprzejmy.

- Bardzo. Nie zaczął strzelać ani nic w tym rodzaju.

- Wytłumaczyłem mu, czym to grozi. W końcu włada pan wielką mocą, czyż nie tak?

Zawahałem się. To pytanie mnie zaskoczyło. Nie chodziło o to, że polechtał moją próżność, bo kwestia „mocy” pozostawała dyskusyjna od chwili mojego nieoczekiwanego powrotu do realnego świata, co wydarzyło się przed tygodniem. Sugerowało, że Khay nie wie, czego potrafię dokonać, pomijając dowody, które znalazł na swoich ścianach.

- Widział pan, na co mnie stać - odpowiedziałem.

- Oczywiście. Zastanawiam się, co pana do tego skłoniło i jaki jest pana cel. Z chęcią wysłucham, co ma pan do powiedzenia w tych kwestiach.

Mówił wyraźnie i zwięźle, z lekkim amerykańskim akcentem. Zapewne był to efekt zbyt wielu lat spędzonych w drogich szkołach. Siedział zupełnie nieruchomo, pomijając tylko mały palec, którym stukał w podstawę kieliszka.

- Obawiam się, że to skomplikowana sprawa - odparłem.

- Jest pan może czarownikiem?

- Nie bardzo.

- Z pewnością jest pan zamożnym człowiekiem.

Roześmiałem się mimo woli.

- Nie, to również się nie zgadza.

- A czy w takim razie możemy powiedzieć, że zdolnym?

- „Zdolny” może być odpowiednim określeniem.

- Z pewnością rozumie pan, że nie mogę pozwolić na kontynuowanie kampanii przeciwko mojej firmie. Choć sama w sobie nie ma większego znaczenia, zakłóca funkcjonowanie Amiltechu, a co gorsza, szkodzi mojej reputacji. Widzi pan, w działalności takiej jak moja, w znacznej części prowadzonej poza uregulowaniami prawnymi, reputacja jest warta więcej niż stu prawników i wszystkie ich złote zegarki.

- Rozumiem.

- Z tego powodu muszę panu przedstawić prostą alternatywę.

- A mianowicie?

- Albo pana zatrudnię, albo zabiję.

Zaskoczenie byłoby stanowczo zbyt łagodnym określeniem moich uczuć.

- Słucham?

- Człowiek o pańskich zdolnościach byłby znacznie bardziej użyteczny, pracując dla mnie niż przeciwko mnie. Szkoda by było pochować takie talenty w ziemi. Jeśli ma pan jakieś pragnienia, to właśnie jest odpowiednia chwila, by je wymienić.

- Pragnienia?

- Mogę panu oferować bogactwo, posiadłości i pieniądze, to jednak tylko proste nagrody za pracę dla korporacji. Mogę też dać coś więcej. Magię. Tajemnice. Zemstę. Czy pragnął pan kiedyś mieć miejsce nad rzeką, widzieć światła unoszące się nocą na wodzie, albo przeżywać sny dziecka, czuć dotyk skóry innej płci, słyszeć uszami nietoperza, widzieć oczami jastrzębia, czuć zapachy nosem psa, nadać swym myślom niewyobrażalnie piękne kolory, zaznać wizji zaćpanego heroinisty na progu śmierci, zobaczyć to, co widzi, gdy przejdzie na drugą stronę, ujrzeć przez chwilę coś więcej? Możemy panu dać szansę ujrzenia Boga. Mam do zaoferowania wizje, cuda, wygodę i bezpieczeństwo. Wszystko, czego pan zapragnie.

- Czy to standardowy pakiet socjalny? - zapytałem.

- W Amiltechu jesteśmy hojni dla pracowników.

- A co z ubezpieczeniem zdrowotnym?

- Nie widzę przeszkód.

- I kto za to wszystko płaci?

- Firma.

- Pytałem, kto płaci za te inne rzeczy. Czyje zmysły muszę ukraść, czyj umysł pogwałcić, w czyim domu zamieszkam, czyje bogactwo będzie mnie utrzymywać, w czyje sny się zagłębię, czyje pomysły będę kradł, kogo będę musiał zabić, a nad kim zapanować?

- Czy to ma dla pana znaczenie?

Zastanawiałem się przez chwilę.

- Tak - odpowiedziałem wreszcie. - Ma.

- Czy to jest powód, dla którego pan tu dziś przybył?

- Jeden z powodów.

Westchnął z niecierpliwością, przesuając wypielęgnowanym palcem po brzegu kieliszka z szampanem. Towarzyszył temu dźwięk przypominający jęki duszącego się nietoperza.

- Jak rozumiem, nie jest pan zainteresowany pokojowym rozwiązaniem, tak?

- Właściwie nie jestem - przyznałem. - Ale dziękuję za propozycję.

- W takim razie zaoferuję inną alternatywę. Proszę uciec, magu, Ukryć się gdzieś. Widziałem pańską twarz i poznam pana wszędzie. Dokądkolwiek pan pójdzie i cokolwiek zrobi, moi ludzie pana znajdą, wytropią dzięki odciskom palców i zabiją. Wykończymy pana, a potem pokażemy trupa klientom i powiemy: „Oto są kości tego, kogo się baliście. Spójrzcie, w jaki sposób zginął. To samo zrobimy z waszymi wrogami, jeśli tylko wymienicie ich nazwiska”. Położę sobie pańską czaszkę na biurku jako przycisk do papierów, i będę żałował,

że nie ma już pan oczu i nie widzi mojego zwycięstwa.

Czekałem przez chwilę, ale nie powiedział już nic więcej.

- Wie pan co? - rzekłem. - Może znajdzie mnie pan dziś w nocy i sami rozstrzygniemy tę sprawę. Brzmi rozsądnie?

Pociągnął łyk szampana.

- Bardzo rozsądnie.

- Świetnie! - Wstałem, uśmiechnąłem się i skinąłem głową do dwóch ochroniarzy. - W takim razie uciekam. Do zobaczenia, panie Khay.

- Do zobaczenia, magu - odparł i wypił kolejny łyk, nie ruszając się z miejsca.

Uśmiechnął się po raz ostatni, a ja odwróciłem i wmieszałem w tłum. Serce biło mi mocno, ale nie ze strachu. Tłum zapewniał mi ochronę. Nawet San nie zaryzykuje próby zastrzelenia mnie wśród takich ludzi. Czuję się podekscytowany. Zbliżała się walka i, co ważniejsze, wiedzieliśmy, że możemy w niej zwyciężyć. Wezwałem windę, zjechałem na dół, przytrzymałem drzwi nogą i wcisnąłem wszystkie guziki od dołu do góry. Albo zaczekają na windę, albo będą musieli zejść po schodach. Tak czy inaczej, to da mi potrzebny czas.

Uciekłem w noc. Gołębie podążały za mną.

* * *

Postanowiłem, że stojące dziś przede mną zadanie wykonam na Paternoster Square. To było niezwykle miejsce: nowe budynki o czystych ścianach i wielkich oknach z barwionego szkła pasowałyby do utopijnego filmu science fiction, ale ta okolica - jak w najlepszych z takich filmów - miała również mroczniejsze aspekty. Na wszystkich budynkach zamontowano kamery, zawsze też - przynajmniej za dnia - widziało się tu ochroniarzy. Ich obecność budziła we mnie podejrzenie, że w którymś z pobliskich biurowców można spotkać szpiegów albo gangsterów. W przeciwnym razie, po cóż mieliby patrolować zwyczajny londyński plac?

Wrażenie futurystycznej fantazji zabijała jednak sąsiadująca z placem katedra św. Pawła. Świeżo oczyszczona połowa gmachu lśniła bielą, druga zaś była szara od sadzy. Rada miejska usiłowała czyścić go szybciej niż gromadził się brud. Świątynia górowała nad wielokątnym Paternoster Square niczym ostatni śmiech przeszłości, drwina z potomków, nadal niepotrafiących wybudować nic wspanialszego od katedry z jej kopułą oraz dachowymi figurami o zerodowanych twarzach zwróconych ku Ludgate Hill. W tym osobliwym punkcie przeszłość stykała się z teraźniejszością. Tak późno w nocy nie było tu prawie nikogo. Moje kroki brzmiały za głośno, gołębie zbyt cicho, światła zaś były przesadnie jasne - potężne,

białe reflektory oświetlające ściany katedry oraz wszystkie zakątki Paternoster Square, łącznie z gładką marmurową kolumną pośrodku, miniaturową wersją Monumentu, również zwieńczoną złotą kulą płomieni. Pomnik zbudowano dla uczczenia pamięci bombardowań miasta.

W tym niezwykłym miejscu, gdzie ostry aromat rozpędzonej magii zderza się z ociężałymi kamieniami katedry i ich ospałą historią, każdy cień zawiera ducha, a owej nocy, gdy nie było tu nikogo, a niebo przesłoniły chmury, owe duchy nas obserwowały. Uderzyliśmy się w palec u nogi o najniższy stopień schodów katedry po zachodniej stronie. Przechodząc tamtędy, słyszeliśmy ciche głosy modlących się kapłanów, falset noszących czerwono-białe stroje chłopców śpiewających w chórze, ciężkie kroki na marmurowej podłodze, szepty niezliczonych tysięcy, milionów, ludzi zgromadzonych w galerii pod kopułą, czuliśmy gorąco pożaru, który doprowadził do odbudowy gmachu, czuliśmy smak pyłu wzbijanego przez układane kamienie, wstrząsy towarzyszące upadkowi bomb, słyszeliśmy klekot wozów ustępujący miejsca hukowi samochodowych silników, głosy turystycznych przewodników, energiczne tony japońskiego, jedwabisty włoski, wszystkie języki na Ziemi, widzieliśmy cienie niezliczonych ludzi, którzy tędy przechodzili. Nikt, kto jest magiem, choćby nawet zidiociałym od wstrząśnienia mózgu, nie mógłby nie zauważyć, że te kamienie wypełniają echa czasu i magia. Nie zauważyliśmy na tym świecie żadnych oznak istnienia Boga, ale rozumieliśmy, dlaczego ludzie przychodzą w to miejsce, by się modlić, choćby tylko po to, by uczcić tak wspaniałą przeszłość.

Wzywały nas interesy.

Bez większego wysiłku przepaliłem bezpieczniki we wszystkich kamerach, które widziałem. Potem okrążyłem plac, rozmieszczając zabezpieczenia. Otworzyłem wszystkie buteleczki z atramentem i ustawiłem je na chodniku w równych odstępach. Potem przyszła kolej na pojemniki z barwnikami do tkanin. Uważałem, by nie dotknąć palcami ich zawartości, którą rozpyliłem na płytach chodnikowych, tworząc długie pasy szkarłatu, czerni, zieleni i błękitu. Uporawszy się z tym, musiałem tylko chodzić w kółko, by się rozgrzać. Zapiąłem szczelnie płaszcz, schowałem ręce w kieszeniach i czekałem.

Dzwony katedry obwieściły nadejście godziny dwunastej. Potem kwadransa i pół godziny po północy. San Khay wcale nie był taki skuteczny, za jakiego pragnął uchodzić. Nerwowo podnieśliśmy gołębie pióro, leżące u podstawy pomnika królowej Anny. W ostrym blasku reflektorów wyglądało groźnie, wydawało się stanowczo za wielkie. Pożyczyliśmy na kilka minut wzrok ptaka, by mknąć nad dachami, zaglądać do otaczających plac ulic i zaułków, by się upewnić, czy San już nas nie znalazł i nie rozmieszcza wokół placu

snajperów, podczas gdy czekamy tu jak głupi. Postąpiłby rozsądnie, gdyby tak właśnie zrobił, odnosiliśmy jednak wrażenie, że nie tego pragnie. I rzeczywiście, gdy unosiliśmy się na powietrznych prądach, radując się ciężarem skrzydeł i solidnością kości, opadając i znowu wzbijając się w górę siłą rozpędu, w pewnej chwili go zauważyliśmy.

Wróciliśmy na ziemię, by na niego zaczekać.

Dmuchałem w ręce, próbując je rozgrzać, podczas gdy moje myśli wędrowały znieczulonym szlakiem nieobecnej świadomości, co dziesięć minut przebudzanej nagłym wnioskiem, którego nie potrafiłem zrozumieć ani uzasadnić, i który zniknął z pamięci niemal natychmiast po jego wyciągnięciu. Gdy dzwon wybił za kwadrans pierwszą, wnioskiem, który zdominował mój ospały umysł, była ochota na rybę z frytkami, tak silna, że niemal czuliśmy zapach, czuliśmy nutę octu wypełniającą nos, ciepło przenikające przez tłusty papier, rybę kruszącą się na końcach drewnianych widelczyków.

San Khay w jednej chwili był całkowicie nieobecny, a w następnej stał się w pełni obecny. Dzieliło go ode mnie około trzydziestu stóp. Wyszedł z małej bramy w pseudostuartowskim stylu, ułożonej na południowym końcu placu. Zmierzał prosto ku mnie. Był bosy. Widziałem spirale z tuszu, owijające się wokół palców jego stóp na podobieństwo korzeni jakiegoś bezlistnego drzewa. Zdjął również koszulę, odsłaniając lśniące czarne wiry na piersi, poruszające się w rytm jego kroków, przybierające czerwona barwę razem z uderzeniami serca, ale nigdy nie oddalające się zbyt od odcienia hebanu, nie tracące nuty magii. Stopy powinny mu krwawić, serce tłuc gwałtownie, a oddech przyspieszać z każdą chwilą. Nic takiego jednak się nie działo. Poruszał się szybko, stanowczo za szybko, jak sprinter pochylający się na zakręcie bieżni. Mknął ku mnie po łuku, który zakłócał moje postrzeganie, utrudniając mi ocenę, w której chwili może zaatakować.

W obu rękach trzymał noże, niewątpliwie zaprojektowane przez kogoś z nadpobudliwą wyobraźnią, kto lubił ogrodnictwo zen i czyste zabójstwa. Były zakrzywione, długie, błyszczące i tak ostre, że słyszałem, jak przecinają powietrze. Ów dźwięk brzmiał głośniejsz niż szokująco i nienaturalnie ciche i szybkie kroki San Khaya. Nie spodziewałem się ujrzeć podobnej broni. Noże komplikowały sprawę. Nie mogłem liczyć na to, że go prześcignę albo zwyciężę w walce w zwarciu, zrobiłem więc jedyne, co przychodziło mi w tej sytuacji do głowy. Wyłączyłem światła.

Te na szczycie stojącej pośrodku placu kolumny, w restauracjach i butikach, w wysokich biurowcach o ścianach ze szkła, latarnie uliczne, reflektory na katedrze, światła na sklepowych witrynach, w budkach telefonicznych, a nawet reflektory kilku przejeżdżających tędy samochodów. Zgniotłem wszystkie ruchem przeszywającej powietrze dłoni,

pochwyciłem nadmiar światła i ciepła, który pozostał, wciągnąłem go w siebie, otoczyłem się nim, nawet pomarańczowa luna miejskich świateł na niebie nieco przygasła. Ścisnąłem w garści maleńką iskrę tego blasku, ukrytą przed spojrzeniem San Khaya, ściśniętą w przestrzeń nie większą od nasienia banana.

Nadal jednak był szybki i zdeterminowany, wciąż pędził na mnie, choć jego oczy musiały mieć trudności z przywyknięciem do nagłego mroku. Poczulem pęd jego ruchu, gdy odbił się od chodnika w odległości kilku stóp, i skoczył na mnie, wyciągając przed siebie noże.

Padłem w bok. Spadł na nogi zgrabnie jak kot, w miejscu gdzie przed chwilą stałem. Podniosłem się niezgrabnie i cisnąłem mu prosto w twarz odrobinę ukradzionego z lamp ciepła. Moc rozdarła ciemność, odrzucając go do tyłu. Zasłonił twarz dłońmi. Kogoś innego w najlepszym razie oślepiłoby to na moment, w najgorszym zaś spopielilo. San miał jednak w skórze magię i tylko zachwiał się. Tatuaze na jego przedramionach, gdzie uderzyła fala gorąca, rozjarzyły się jasno. Uciekłem tam, gdzie ciemność była najgęstsza, do kolumnady po drugiej stronie placu, zdając sobie sprawę, jak głośne są moje kroki oraz oddech w porównaniu ze swobodnym, szybkim krokiem Sana. Znalazłem w mroku najbliższą kolumnę, kierując się dotykiem oraz pamięcią, a potem wcisnąłem się w nią plecami, znajdując pocieszenie w solidnym dotyku kamienia. Czekałem.

Po chwili usłyszeliśmy ciche kroki Sana. Skradał się jak drapieżnie zwierzę, szukał, wymacywał przed sobą drogę, nasłuchiwał najcichszych dźwięków, które mogły mu zdradzić, gdzie się ukrywam - skrzypienia butów, szelestu oddechów. Czuliśmy jego smak, tłumiący wszystkie inne, ostry, bolesny aromat magii, ciarki przebiegające po skórze, mroczny powiew wypełniający nasze zmysły. Wciskaliśmy palce w zimny kamień, przymknęliśmy oczy i usłyszeliśmy szept...

...wozu stukającego na bruku...

warkotu dieslowskiego silnika wielkiego, czerwonego autobusu

dzwonów o zachodzie słońca...

poczuliśmy zapach

...dymu z palonego drewna

kawy

rzeki podczas odpływu

i przyptywu

przynoszącej do miasta słoną wodę

...i unoszącej nieczystości...

i smak

chleba świeżo upieczonego w glinianym piecu...

iskier na pokrytej sianem podłodze

środków wybuchowych na niebie

płonącej skóry

sproszkowanej zaprawy murarskiej.

- Magu? - usłyszeliśmy głos Sana. - Nie zdołasz ukrywać się w ciemności zbyt długo.

Otworzyliśmy oczy i cienie spojrzały na nas. Pozbawione twarzy resztki przeszłości, unoszące się w powietrzu fragmenty wspomnień i minionego czasu, uwięzione w kamieniach, pomnikach, drzewach i ulicach. Wypływały z mroku na cichy plac, wypełzały z ziemi i ze ścian. Cienie zrodzone jeszcze przed wielkim pożarem, przed wybudowaniem katedry, niektóre z nich tak stare, że były zaledwie szarymi obłoczkami przesłaniającymi kamienie, inne zaś nowe i ciemne. Zasłoniłem twarz płaszczem i wyszedłem zza kolumny, nadal ukrywając w dłoni światło lamp. Widoczne jedynie w pomarańczowym blasku odbijającym się od chmur cienie były wszędzie, wypełniały każdy cal przestrzeni zamazaną, szarą masą, niekiedy pojawiały się w nich fragmenty twarzy albo ubrań, ale najczęściej były tylko migotliwymi kształtami, jakby zrobiono je z jasnej wody. Poruszałem się wraz z nimi, krążyłem jak one. Zwieńczony złotym płomieniem słup pośrodku placu był jedynym obiektem odbijającym wystarczająco wiele pozostałego tu światła, by rzucać cienie.

Pośród tych duchów stał San Khay. Przedzierał się wśród nich, odpychał je na bok jak pajęczyny rozpadające się pod jego dotykiem, znikające, gdy się poruszał. Mrużył powieki, przyglądając się masie anonimowych cieni ze straszliwą intensywnością. Podejrzewałem, że proste zaklęcia wplecione w mój płaszcz nie osłonią mnie przed tym spojrzeniem. Przyśpieszyłem kroku, również przedzierając się przez cienie. Przy każdym dotknięciu przeszywał mnie chłód przywodzący na myśl wiatr dmący na chwilę przed deszczem. Starąłem się maksymalnie oddalić od obracającego się powoli San Khaya. Jego skóra lśniła przerażająco jasno pośród ruchomych cieni. Czekałem, aż spojrzy prosto na mnie.

Gdy wreszcie to zrobił, okazał się wystarczająco silny i bystry, by zauważyć mnie natychmiast. A może po prostu usłyszał mój oddech. Skoczył na mnie, ignorując stojące mu na drodze cienie. Wszystkie zniknęły bez śladu, gdy ich dotknął. Nie czekałem, aż się zbliży, i natychmiast uwolniłem uwięziony w dłoni fragment światła.

I zamknąłem oczy.

Wszystkie lampy, latarnie, żarówki, samochodowe reflektory, sklepowe witryny i reflektory zapaliły się jednocześnie, wypełniając ciemny plac eksplozją jasności. Cienie

roztopiły się natychmiast jak masło w promieniach słońca. San Khay zachwiał się na nogach, ale zyskałem tylko sekundę. Potem znowu ruszył prosto na mnie.

Uniosłem ręce, zwracając dłonie wewnętrznymi powierzchniami ku niebu. Woda pod moimi stopami wezbrała.

Zareagowała szybko. Było tu mnóstwo mocy. Okrągłe pokrywy studzienek kanalizacyjnych i prostokątne klapy przeciwpożarowych hydrantów odskoczyły w górę. Trysnęły z nich gejzery zimnej cieczy. Fontanna przelała się obfitym strumieniem, wypełniając wodą nieckę u podstawy kolumny. Wokół niej między kamiennymi płytami chodnika pojawiły się ciemne, wilgotne linie. Wkrótce z nich również popłynęła woda. Tam, gdzie spotkała się z pozostawionymi przeze mnie barwnikami, mieszała się z nimi i zaczynała zmieniać.

Nic z tego nie zrobiło zbytniego wrażenia na San Khayu, skinąłem więc dłonią, kierując na niego najbliższy gejzer. Strumień wody obalił go na bok. San przetoczył się, wychodząc poza jego zasięg. Wpadł jednak na buteleczkę czarnego atramentu, rozlewając jej zawartość na kamienie. Jego lewe ramię upstrzyły czarne kropki.

To był jakiś początek, ale potrzebowałem czegoś więcej. San Khay nadal posuwał się ku mnie, a teraz na jego twarzy pojawił się gniew. Odsunąłem się pośpiesznie i zacząłem ściągać moc z powietrza, kształtując ją palcami i kierując ku niebu wiązką tak szeroką i niekontrolowaną, że buczała niemal jak przelatujący na niebie samolot. Woda wznosiła się razem z nią. Z rur biły gejzery, między płytami chodnikowymi tworzyły się kałuże, nawet fontanna znowu trysnęła ku górze. I nie była to tylko woda. Tam, gdzie zmieszała się z barwnikami, nabrała niebieskiego, czerwonego, czarnego albo zielonego koloru. Jaskrawe barwy wznosiły się ku niebu razem ze strugami przezroczystej cieczy niczym padający w górę deszcz, eksplodująca chmura czystości i intensywnych barw.

Ten wysiłek sprawił, że na moment zaparło mi dech w piersi. Wystarczyło to, by San Khay, ociekający bijącą ku niebu wokół nas wodą, zdołał do mnie dotrzeć. Nawet nie zauważyłem, że się zbliża. Wyczuliśmy jednak ruch jego ręki przecinającej powietrze i pochyliliśmy się odruchowo, unikając ciosu, który rozprułby nam gardło, gdyby sięgnął do celu. San Khay uderzył prawą ręką, celując w serce. Nie mieliśmy innego wyboru, jak się cofnąć. Wdepnęliśmy w kałużę rozpuszczonego barwnika i nasze buty zaczęły nasiąkać wodą, przybierając czarny kolor. San Khay nie zaprzestawał ataków, ponawiając je z obu stron w nieustępliwym rytmie. Poruszał się tak szybko, że musieliśmy nieustannie się cofać i uchylać, nie mając czasu rzucić zaklęcia. Nie posuwał się naprzód w linii prostej, lecz nieustannie wirował wokół osi, jaką był jego bark, tak że w każdej chwili śmierć mogła

nadejść z dowolnego kierunku. Nigdy dotąd nie byliśmy tak bardzo niepewni własnych umiejętności, jak wtedy, gdy tańczyliśmy przed jego nożami, nigdy też nie byliśmy bardziej nimi podekscytowani niż z każdą sekundą ocalonego życia. Cofaliśmy się przez padający do góry deszcz, czując, że woda wpełza nam po podbródku, zostawiając na twarzy czarne i czerwone smugi, a potem wsiąka we włosy. Czuliśmy, że omywa koniuszki palców i przepływa między kostkami dłoni, pozostawiając na skórze sine plamy.

San Khay zaczął stopniowo słabnąć.

Z upływem czasu barwnik rozpuszczony w bijącej ku górze wodzie wypełniał puste miejsca między jego tatuażami. Zamazywał ich granice, zniekształcał spirale brzydkimi czarno-sinymi plamami, wypaczał eleganckie spirale namalowane tuszem na skórze. Magia wyciekała powoli z jego ciała. Widziałem ją, czułem jej zapach. Zaklęcia zamknięte w skórze rozpuszczały się w wodzie, przeradzały w czarne plamki umykające ku górze z deszczem, a potem stopniowo znikaly. Wzorce definiujące czar utraciły regularność. Nadal potrafił walczyć lepiej ode mnie, ale tak bardzo się przyzwyczaił do mocy zawartej w jego skórze, że gdy go opuściła, zaczął popełniać błędy, nie potrafiąc ocenić granic swych możliwości. Jedną ręką zamachnął się zbyt mocno i przeleciał obok mnie, z palców drugiej zaś, błyszczących od zalewającej nas obu wody, omal nie wypadł mu nóż, jakby nagle stał się za ciężki, by go utrzymać. Od lat nie robił użytku z pozbawionych magicznego wsparcia mięśni i czuł się teraz jak astronauta po powrocie na Ziemię. Jego nogi stały się nagle zbyt słabe, trudno mu było oddychać, a skóra wyglądała, jakby padła ofiarą przemysłowej katastrofy.

Cofnąłem się. Podążył za mną, ale nagle się zachwiał, ledwie utrzymując równowagę. Uderzył nożem i złapałem go za nadgarstek. Nagle poczułem, że jestem w stanie się oprzeć sile jego ramion, a ruchy nie były już tak szybkie i mogłem za nimi nadążyć wzrokiem. Wykręciliśmy mu rękę i rozluźnił odruchowo palce, wypuszczając nóż. Popchnęliśmy go mocno. Jego bose stopy pośliznęły się na kamiennych płytach. Palce u nich miał prawie czarne od barwnych kałuż, w których obaj brodziliśmy. Zamrugaliśmy, by usunąć z oczu zielone krople, podnieśliśmy szybkim ruchem nóż i ruszyliśmy w stronę przeciwnika. Zachowaliśmy ostrożność, wiedząc, że może jeszcze mieć w zanadru jakieś sztuczki, ale czuliśmy się coraz pewniej. W jego ruchach nie wykrywaliśmy już nic poza zwyczajnym ciepłem towarzyszącym ludzkiej aktywności. Skoczył na nas, uderzając niezgrabnie drugim nożem, ale jego rękę pokrywała płatanina robakowatych barwnych nitek docierających do barku i ulatujących ku niebu. Uchyliliśmy się bez trudu, a potem obaliliśmy go na ziemię kopnięciem wymierzonym w kolano. Machnął ręką do tyłu, ale okrążyliśmy ją, złapaliśmy za łokieć i wykręciliśmy z całej siły, bardziej niż chciała się zgiąć. Z jego ust wyrwał się

spazmatyczny dźwięk, jakby język blokował mu oddech. Gdy przystawiliśmy mu nóż do gardła, pokryta barwnymi plamami twarz nie wyrażała niczego oprócz bólu.

Zakłęcie utraciło moc i wokół nas woda zaczęła spadać na ziemię barwnymi kroplami, tworząc zielone, czerwone, niebieskie i czarne wiry. Skapywała ze złotego płomienia na szczycie kolumny, spływała po oknach, wracając z wyraźnie słyszalnym *kap, kap, kap* do wypaczonych, metalowych rur ukrytych pod ziemią. Przeszył nas dreszcz, gdy poczuliśmy zimny dotyk deszczu.

Skóra San Khaya przybrała barwę zakażonego siniaka. Zarysy tatuaży straciły regularność.

- Jeśli masz choć odrobinę rozsądku, wypuścisz mnie - wysyczał.

Pochyliliśmy się nagle, wciskając czubek noża w zagłębienie u podstawy gardła mężczyzny.

- Gdybyś miał choć odrobinę rozsądku, nie próbowałbyś nas odnaleźć - syknęliśmy w odpowiedzi. - Czy naprawdę nie widziałeś, z czym masz do czynienia? Nie czułeś smaku, miałeś za mało rozumu, by to pojąć?

- Służę Wieży - warknął. - Będą mnie szukać i rozszarpią cię na strzępy!

- Już próbowali to zrobić, ale nadal żyjemy. Nasza skóra i krew, tak bardzo żywe, nie rozumiesz!

Odwrócił nieco głowę, by na nas spojrzeć. Z jego ust wyrwał się wymuszony śmiech.

- On pożre twoje serce - wyszeptał. - Lubi sobie zostawiać pamiątki po przyjaciółach.

W naszych oczach zapłonął błękitny gniew. Unieśliśmy nóż, gotowi go zabić, wykończyć aroganckiego zbira. Powstrzymałem się jednak w ostatniej chwili, zapanowałem nad drżeniem palców i zacisnąłem mocniej dłoń na rękojeści. Oddychałem powoli i miarowo, czekając, aż opadnie fala wściekłości na to stworzenie, za małe, by zrozumieć swe miejsce w mieście, za małe, by uświadomić sobie własną małość. Opadłem na jedno kolano za plecami San Khaya, naciskając czubkiem noża, by zmusić go do odchylenia głowy.

- Powiedz mi, co wiesz o cieniu - wyszeptałem.

- On pożre twoje serce - powtórzył głosem dźwięczącym triumfem, strachem, gniewem, nie potrafiłem określić czym właściwie. San Khay nie był człowiekiem przyzwyczajonym do przegrywania.

- Jak długo już żyje? Odkąd tu jest?

- Co cię to obchodzi?

- Powiedz mi, co wiesz.

- Nie. Widziałem, co robi z wrogami.

- Czyimi? Głodu? To znaczy cienia? Czy Bakker?

Jego twarz zmieniła na moment wyraz. Być może zaczynał rozumieć.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Nazywam się Matthew Swift.

- To nazwisko... brzmi znajomo.

- Jestem pewien, że tak. Gdyby sprawy ułożyły się inaczej, to tobie mogliby kazać ukryć ciało.

- Jakie ciało?

- Nad tym pytaniem naprawdę powinni się byli zastanowić - odparłem. - Czy Bakker potrafi zapanować nad cieniem?

- On zabija jego wrogów. Ciebie też w końcu dorwie.

- To jeszcze nie znaczy, że Bakker jest szefem. Jak mogę zabić cień?

Nie odpowiedział. Wcisnęliśmy mocniej nóż w jego gardło, aż popłynęła strużka krwi.

- Jak możemy go zabić?

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

- To cień. Cienia nie da się zabić.

- W takim razie, jak Bakker nad nim panuje?

- Sam powiedziałaś, że może wcale nie panuje.

- A jak zapanował nad Daną Mikedą?

- Co o niej wiesz?

Wcisnęliśmy nóż jeszcze mocniej, aż oddech San Khaya przerodził się w charczenie.

- Możemy wyrwać ci myśli z głowy - wyszczyliśmy - tak samo jak ty potrafisz przeniknąć umysł umierającego. Potrafimy zatańczyć w twoich zmysłach, podobnie jak ty postępujesz z innymi, wprowadzić do twojej krwi czerwiec z niebieskiego płomienia i patrzeć przez ich oczy, jak wędrują po twoich naczyniach, docierając do serca, a potem wnikają w myśli i w duszę. Jesteśmy gotowi to zrobić, to i znacznie więcej, by ocalić życie, zdobyć wolność w tym świecie, uniknąć pościgu, nie błąkać się, zagubieni, przerażeni perspektywą wolności. Powiedz nam. Jak panuje nad Daną Mikedą?

- Nie robi tego. Ona sama nad sobą panuje.

- Nie pomagałaby mu z własnej woli.

Wydał z siebie dźwięk pośredni między śmiechem a jękiem bólu.

- Zrobiłaby to, ale nie potrafi.

- Dlaczego?

- Nie jesteś magiem, prawda? - wyszczał. - Nie tylko magiem. Myślę, że jesteś kimś więcej.

- Gdzie jest Dana Mikeda?

- Myślę, że jesteś taki sam jak oni - ciągnął, mrużąc powieki. - Że twoje serce przyśpiesza w godzinie szczytu, w dzień wolny od pracy ledwie masz siłę unieść głowę, że będąc w mieście poruszasz się zgodnie z jego rytmem, a tylko gdy je opuścisz, przypominasz sobie własny krok, że pamiętasz, kim jesteś, tylko wtedy, gdy zamkniesz oczy, by odgrodzić się od tych wszystkich światła. Myślę, że jesteś jednym z nich, jak Bakker, jak Mikeda. Czarnoksiężnikiem.

- Ja jestem czarnoksiężnikiem - potwierdziłem, mówiąc mu do ucha. - Ale my jesteśmy aniołami - dodaliśmy cichszym głosem.

Splunął. Znowu poczuliśmy ochotę, by poderżnąć mu gardło, raz na zawsze położyć kres jego arogancji i głupocie. Nie był już jednak dla nas groźny, a gdy w naszych oczach przestał gorzeć błękitny gniew, myśl o zabójstwie wydała się nam odrażająca. Wyobraziliśmy sobie, że jego skóra rozstępuje się pod naszym naciskiem, a po rękach spływa nam ciepła krew. Było nam zimno, woda już nie odświeżała, lecz sprawiała, że na nocnym wietrze naszą skórę pokrywała barwna gęsia skórka. Pozbawienie go życia wydało się nam nagle morderstwem. To było w porządku. Przygotowałem się na taką sytuację. W magicznym kręgu w Camden czekało wystarczająco wiele kanapek i wody, by utrzymać go przy życiu przez cały tydzień. To wystarczy, by wydobyć z niego odpowiedzi. Mogę go z czasem zamordować, ale jeszcze nie teraz.

Zacisnąłem dłoń na karku San Khaya i wypełniłem jego myśli ciemnością, aż wreszcie oklapł w moim uścisku i osunął się na ziemię jak martwy łosoś w zabarwionej na zielono kałuży.

Zostawiłem go tam i poszedłem po furgonetkę.

* * *

Kiedy wróciłem, po jakichś trzydziestu sekundach, serce San Khaya zniknęło. Fragment klatki piersiowej również, choć odłamki kości leżące w szkarłatnej kałuży krwi sugerowały, że żeber nie zabrano, a jedynie usunięto, by dostać się do środka. Rozpruto mu również brzuch, a tętnice i żyły po obu stronach szyi przecięto wzdłuż, od ucha aż po obojczyk. Widywałem już śmierć, ale nigdy z tak bliska. Nigdy też nie byłem tak bardzo jej winien.

Osunęliśmy się na kolana, nawet tego nie zauważając, i zwymiotowaliśmy. Czując sól

w oczach i kwas na języku, opróżniliśmy całą zawartość żołądka w otaczające nas kałuże. Rzygaliśmy tak długo, że baliśmy się, że zwrócimy własne kości. Potem usiedliśmy w niebieskiej kałuży i drżeliśmy, oplatając rękoma kolana.

Widziałem poruszające się cienie, ale nie mogliśmy zrobić nic poza siedzeniem i dygotaniem. Zauważyłem, że cienie owijają się wokół świateł, wciskają między kamienne płyty, a długa strzała rzucona przez kolumnę obraca się jak na zegarze słonecznym, w połowie długości nieco węższa i odrobinę wygięta, jakby rzucało ją coś wklęsłego. Kiedy zaczął wyłaniać się z ziemi, ciągnąc za sobą ciemność jak koc, mogliśmy jedynie gapić się nań z drżeniem. W porównaniu z nim czuliśmy się maleńcy.

Materializował się kawałek po kawałku. Proces zaczął się od stóp i posuwał coraz wyżej. Jego dłonie białeły, twarz promieniała coraz jaśniej i intensywniej, jej rysy wyłaniały się z ciemności, przyjmując kształt oczu, nosa, a na koniec wykrzywionych w uśmiechu warg oraz pożółkłych zębów. Rozpostarł ręce w geście przywitania, czy może przeproszającego wzruszenia ramionami.

- Cześć, ogniu Matthew - powiedział.

Zdołałem się jakoś podnieść, najpierw wspierając się na rękach i kolanach, a potem prostując powoli. Czuliśmy się puści w środku, jakbyśmy w każdej chwili mogli się zapaść w siebie.

- On był po twojej stronie! - zawołałem. - To był twój człowiek.

- Wziąłbym sobie jego skórę, ale nie jest już taka piękna - wyszeptał, unosząc się nad moką powierzchnią. Woda skapywała z jego stóp jak olej. - To twoja wina.

Cofnąłem się. Moje myśli pędziły jak szalone, choć nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy. Były tylko słyszalnym w tle krzykiem. Nie mogłem się skupić, głowę wypełniały mi gniew, strach, wstyd, wstręt, poczucie winy, nienawiść.

- Jak mnie znalazłeś? - zapytałem.

- Usłyszałem twój taniec - odparł głosem odbijającym się od jego zębów z dźwiękiem przywodzącym na myśl krople oleju skapujące na patelnię. - Poczulem elektryczny ogień. Smak twojej zabawy z cieniami. Wiedziałem, że to ty, mimo że byłem daleko. Popędziłem przez ciemność, by tu dotrzeć. Przemknąłem przez rzekę w cieniu fal wywołanych przez wiatr. Bałem się, że przybędę za późno.

- Nie chciałem go zabić! - zawołałem i ku własnemu zdziwieniu uświadomiłem sobie, że to prawda. Fala ulgi omal nie obaliła mnie na ziemię, minęła jednak szybko jak ostatnie tchnienie burzy. Po niej nadeszło coś innego. Ostry, gorący gniew.

- To prawda - wyszeptał Głód. - Musiałem to zrobić za ciebie, bo byłeś zbyt wielkim

tchórzem.

- Jesteś plugastwem! - warknęliśmy.

- Cóż za ogień! Jak mam cię nazwać, najintensywniejszy błękanie?

- Wiesz, dlaczego nazwałem cię Głodem? - zapytałem, przygryzając wargę.

- Tak - odparł, niemal z dumą. Wyprostował kończyny na całą nienaturalną długość i wyciągnął palce, by podziwiać czarne, zakrzywione paznokcie. - Tym właśnie jestem.

- Pamiętasz, co powiedziałaś, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy?

- Nie.

- „Daj mi życie”. Chciałaś zobaczyć, czy całe życie naprawdę przemknie przed moimi oczyma, gdy będę umierał. Drapałaś mnie po twarzy, powtarzając: „Czy już widzisz? Czy widzisz?”. Pamiętasz to?

- Tak.

- Czy nauczyłaś się czegoś od tego czasu?

Cień zastanowił się nad tym pytaniem.

- Nadal jestem głodny - odparł.

- Tak też sądziliśmy. - Pochyliliśmy się, nie odrywając od niego spojrzenia, i podnieśliśmy z ziemi dwa noże o krzywych, stalowych klingach, przyniesione tu przez Sana. Ręce mi drżały. - Moglibyśmy zabić za rybę z frytkami. - Podrzuciliśmy noże kilka razy, by sprawdzić ich wyważenie. - Rybę z frytkami i keczupem.

- Ja jestem głodny życia! - zawołał ze zdziwioną miną stwór. - Cóż znaczą twoje pragnienia wobec moich?

- My mamy życie - odpowiedzieliśmy stanowczo.

Jego twarz pomroczyła. Wokół oczu i ust uformowały się cienie.

- Oddaj mi je - zażądał.

- Nie - odparliśmy.

Rozpostarł ramiona jeszcze szerzej, owijając się ciemnością.

- Oddaj mi je!

- Całuj mnie - odparłem. Te słowa dodały nam pewności siebie. - W dupę! - zawołał z śmiałością, od której niemal zakręciło się nam w głowie.

Czuliśmy się jak dziecko przyłapano na kradzieży słodyczy. Chciało się nam śmiać na myśl o niewiarygodnych, przerażających konsekwencjach, jakie nam groziły. Gniew ogrzewał mi skórę, choć przemokłem do suchej nitki, ale należał wyłącznie do mnie. Nie widziałem przed oczyma nawet najdrobniejszej plamki błękitu. Wzniosłem ku niemu noże, wypełniając ich ostrze żarem własnego serca, aż trysnęły z nich iskry.

Głód uśmiechnął się, poruszając palcami. Byłem przekonany, że potrafiłby mnie zabić, ale w tej przyprawiającej o zawrót głowy chwili nie dbaliśmy o to.

Nagle rozległ się grzechot.

Dźwięk brzmiał jak sto wybitych zębów podrzucanych w blaszanej puszcze.

Minęła chwila, nim sobie uświadomiłem, że to nie ma nic wspólnego z cieniem. Na jego twarzy malowała się podejrzliwość, na mojej zaś zapewne zaskoczenie.

Urywane brzęczenie podskakującego metalu zbliżało się z każdą chwilą. Towarzyszyła mu specyficzna woń, mieszanina zapachów proszku curry, kurzu, spalin, benzyny, naftaliny, wełny i starych torebek herbaty. Wydała mi się znajoma. Twarz Głodu była żywym obrazem dezorientacji, powietrze wokół niego nadal wypełniała ciemność. Stał nieruchomo, gotowy rzucić się do ataku. Grzechot był coraz bliżej, zapach nasilał się z każdą chwilą, towarzyszył mu też nowy dźwięk.

Brzmiał następująco:

- Chuj, chuj, chuj w dupę dzisiejszej młodzieży! W dupę dupkom kiedy byłem młoda, ale nie, nie, nie, nie, nie chcą mnie słuchać, chodzą z telefonami, jazz, bling, ting, zing! Jebane gołębie! Kurwa, gdzie moje pomarańcze? Pomarańcze, pomarańcze, pomarańcze, pistoletowe pomarańcze, dwie pary nylonowych pomarańczy...

- Czarnoksiężstwo - wyszeptał Głód.

- Nawet nie masz pojęcia jakie - odparłem.

- Okaż szacunek, ty imbecylny, przygłupie, gnido, pchło, owadopodobna brodawko! - odpowiedział głos. Przed kobietą toczył się trójkołowy wózek wyładowany starymi, plastikowymi torbami. Madame Dorie wyjechała z nim na Paternoster Square.

* * *

Oto historia Bezdomej.

Nie jest zwyczajną bezdomną, kobietą chodzącą wszędzie z plastikowymi torbami pełnymi najdziwniejszych przedmiotów, jakie wpadną jej w ręce. Jest Bezdomej, królową wszystkich kobiet, które chodzą nocą po ulicach, bełkocząc coś do siebie i do głosów niesłyszalnych dla nikogo poza nimi. Jest panią starych wariatek w kapciach, jeżdżących autobusami z jednego na drugi koniec trasy, patronką dziewczynek ze złomowisk bawiących się ze szczurami, damą wszystkich brudnych kałuż. Mieszka w mieście, odkąd pierwsza staruszka zostawiona sama po ciemku postanowiła opowiedzieć mrokowi, dlaczego płacze. Rzecz jasna, jest mitem i nikt - w tym również ja - nie wierzy w ani jedno słowo tych opowieści.

Ale to do Bezdomnej zawsze modliła się moja babcia, gdy gołębie już poszły spać.

* * *

Dorie popatrzyła na mnie, na cień, a potem znowu na mnie.

- No dobra, ty głupi skurczybyku, zmiataj stąd! - zażądała.

- Co tu robisz, do licha? - zdumiałem się.

- Kurwa, śledzę cię, ty skurwysynu! - wrzasnęła piskliwie. - Rzeczywiście jesteś taki tępy, jak mówią dzieciaki?

- Nie widzieliśmy cię - poskarżyliśmy się.

- Dlatego że masz tyle rozumu co dorsz po wstrząsie mózgu! - rozdarła się, wymachując wściekle różowymi wełnianymi rękawiczkami bez palców. - Kurwa, i ty masz być naszym zbawcą?

- Nie pachniesz niczym - wysyczał Głód, obracając głowę. Dorie odwróciła na moment jego uwagę. - Nie smakujesz niczym.

- Chcesz wąchać gówno w kanałach? - zapytała, spoglądając ze spokojem prosto w puste oczy Głodu. - Tak, czarnoksiężniku?

- Kto? Ja?

- A chcesz być kimś innym?

- To skomplikowane.

- Kurwa, zwiewaj stąd, baranie!

Zwróciłem się w stronę Głodu.

- Zły stworze, esencjo ciemności i niezaspokojonego głodu... - zacząłem słabym głosem, szybko wytracając impet.

Dorie w mgnieniu oka przeniosła uwagę na mnie. Jej oczy przybrały barwę oczu gołębi: żółtopomarańczowe, skupione, błyszczące, czujne.

- Zrobiłam to dla ciebie tylko ten jeden raz, niebieski, elektryczny czarnoksiężniku - oznajmiła tym samym głosem, który zawsze słyszałem z jej ust. - Następnym razem spłoniesz.

Pochyliła się nad wózkiem i otworzyła plastikowe torby.

Z pierwszej wysunął się ruchliwy nosek szczura. Zwierzątko wdrapało się na skraj wózka, a potem wylądowało z łoskotem na kamiennej nawierzchni i rozejrzało się wokół, mrugając niepewnie. Za nim podążył drugi szczur, a potem trzeci, czwarty, piąty, szósty, dziesiąty, dwudziesty. Ze zmiętej reklamówki wysypała się masa czarnych ciał, schodząca na dół po bokach wózka i tworząca na ziemi skłębioną, ruchliwą plamę rozszerzającą się niczym

kałuża czarnej krwi. Gryzonie rozlażyły się na wszystkie strony, ale wciąż nadchodziły nowe, sto, dwieście, więcej niż potrafiłem zliczyć. Rozbiegały się po placu, pędziły wzdłuż murów, wlażyły na nogi Dorie, a potem na jej tułów, aż wreszcie pokryły całe ciało i nie było już ciała, tylko wieża ciemności. W torbie siedziało więcej szczurów, niż mogło się z niej wydostać, całe wzgórze gryzoni, tworzące się wokół na wpół przesłoniętego przez nie wózka i rozszerzające się ku mnie i ku Głodowi.

To była pierwsza torba.

Z drugiej Dorie uwolniła gołębie. Ptaki eksplodowały pod niebo fontanną piór, jeden, dziesięć, dwadzieścia, równie liczne i szybkie jak szczury, krążyły nad moją głową, a także niżej, jakby niebo było dla nich za małe, przelatywały przed moją twarzą, chwilami zasłaniając Dorie. Z góry sypał się deszcz piór, oslepiających mnie dotykiem, zapachem, smakiem brudnych ptaków, ich skrzydła mnie uderzały, pazurki drapały ramiona, pióra łaskotały nos, a pod moimi nogami biegały szczury, opływające mnie, jakbym był wyspą w ich czarnym morzu.

Z ostatniej torby wyłoniły się inne stworzenia. Rój wielkich czarnych much plujek, poruszające się ukradkiem młode, rude lisy, kontyngent myszy biegających po grzbietach szczurów, jak kamyki o płynnych, wijących się ruchach, pozbawione ogonów albo kawałków uszu, o odsłoniętych groźnie zębach i kosmatej sierści, czarnopióre wrony, brązowe wróble, jaskrawożółte piersi stada sikor bogatek, a nawet kręte szyje pary czapli, skaczące, cętkowane żaby, przesywające powietrze sylwetki jaskółek, lśniące zwoje węży, błyszczące pokrywy rojących się karaluchów, długi, łukowaty grzbiet jelenia. Zwierzęta wylażyły, wylatywały, wypelzały, wyczołgiwały się, wyskakiwały, wykradały się albo czmychały z toreb Dorie, a następnie z wózka, aż wreszcie cały świat przesłoniły ruchliwe stworzenia, jakby niebo przerodziło się w jednolitą masę albo uwięziło nas tornado, przyprawiający o zawrót głowy rój piór, ciał i sierści.

Już po kilku sekundach straciłem z oczu Dorie oraz Głód. Uchylałem się odruchowo przed skłębioną masą ptaków, pełzałem na czworakach, podczas gdy szczury wlażyły mi na plecy i głowę, spadając z niej na ziemię jak tłuste krople żywego potu. Cieszyłem się, że już przedtem zwymiotowałem i w żołądku nie zostało mi nic, czym mógłbym odpowiedzieć na tę nową, większą groźbę. Nie mogliśmy...

nie mogliśmy...

nie mogliśmy...

...ale ja mogłem. Zamknąłem oczy i poczułem otaczające mnie stworzenia, podążając na rękach i kolanach za wirem ich życia, który - niech wszystkie moce się zmiłują -

rozstępował się przede mną. Gdy dotykałem rękami ziemi, zwierzęta odsuwały się na boki, schodziły mi pośpiesznie z drogi, więc nie złamałem żadnych mysich kosteczek, wlokąc się naprzód, ani nie rozgniotłem węzowych ogonów. Otworzyła się przede mną droga. Jej koniec przesłaniał huragan żywych stworzeń, ale nie ulegało wątpliwości, że to ścieżka. Poczłogałem się nią, lecz w pewnej chwili cofnąłem się nagle, zrzucając z ramion węza. Ujrzałem przed sobą cień, z ciemności kamiennych płyt wyłoniła się na moment trupio blada ręka, jej palce wyciągnęły się w górę i stały się ciałem; zaraz zalała je masa zwierząt, gryzących i drapiących rękę, nim jeszcze zmaterializowała się do końca, aż wreszcie rozpadła się, znikając w gęstwinie żywych ciał. Zaryzykowałem wstanie i uświadomiłem sobie, że jeśli nie będę się wzdrygał przed przelatującymi obok mojej głowy ptakami, żaden z nich mnie nie uderzy. Wyprostowałem się i rzuciłem do ucieczki, zrzucając z siebie ostatnie wczepione w ubranie myszy i ociekając atramentową wodą.

* * *

Nie wiedziałem, dokąd mnie prowadzą ani jak długą drogę pokonałem, nim wreszcie dotarłem na miejsce: Ludgate Circus, miejsce, gdzie Fleet Street, Blackfriars Bridge i Farringdon Road łączą się, tworząc wir ludzi, świateł, samochodów osobowych, taksówek i autobusów. Uwolniwszy się z objęć zwierząt, zamrugalem, oślepiony nagłym blaskiem ulicznych świateł. Ptaki umknęły ku niebu, jakby dopiero teraz odkryły, że można latać nie tylko na boki, lecz również w górę i w dół, natomiast naziemne zwierzęta czmychnęły ku puszkom na śmieci, studzienkom kanalizacyjnym, rynsztokom, oraz wąskim szparom między budynkami albo pod drzwiami. Ledwie zdążyłem się zorientować, że moja eskorta zniknęła.

Zostałem sam, zdezorientowany i ociekający atramentową wodą. Wyglądałem jak skrzyżowanie wojownika o urzędowych tatuażach z klaunem. Do głowy przylepiły mi się gołębie pióra, a do płaszcza kosmyki sierści. Zacząłem usuwać najgorsze zanieczyszczenia, gdy nagle w kieszeni mojego płaszcza coś się poruszyło. Ku własnemu zawstydzeniu, podskoczyłem z wrażenia. Wsadziłem rękę do kieszeni, wyobrażając sobie czekającą tam zębatą paszczę, ale znalazłem tylko białą myszkę. Zwierzątko z zadowoleniem przycupnęło na mojej otwartej dłoni. Pomijając mój wygląd i smród, było jedynym śladem pozostałym po fali żywych stworzeń, która zapewne uratowała mnie przed przedwczesnym zgonem zaplanowanym dla mnie przez Głód.

Po Dorie nie pozostał żaden ślad. Mój cień wyglądał normalnie. Opadłem na jedno kolano i postawiłem myszkę na chodniku. Umknęła wzdłuż ulicy, kierując się ku przystankowi, na który właśnie podjeżdżał nocny autobus. Nic nie mogłoby ucieszyć mnie

bardziej niż ten prozaiczny widok.

* * *

- Chyba pan żartuje - sprzeciwił się kierowca.

- Płacę za przejazd, tak?

- Śmierdzi pan jak zoo - obruszył się. - I jest pan cały w piórach. Nie mogę pana wpuścić do autobusu.

Pochylił się, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- Wieczór nie był dla nas szczególnie udany - oznajmił mi. - Chce go pan pogorszyć?

Zgodził się nas wpuścić. Zajęliśmy ostatni rząd na piętrze i - ciesząc się bezpieczeństwem - pozwoliliśmy, by autobus zawiózł nas, dokąd zechce. Zwinęliśmy się na siedzeniach w mokrym ubraniu, ale nie mogliśmy zasnąć.

* * *

Trasa autobusu kończyła się w Streatham, na przedmieściu położonym między całkowitym zadupiem a nikomu nieznaną pipidówką.

Szedłem pogrążonymi w mroku ulicami o szerokich chodnikach, mijając wciąż takie same, duże i zadbane, segmenty, aż wreszcie dotarłem do małego biurowca, przy którym umieszczono czerwony hydrant przeciwpożarowy. Za pomocą odrobiny magii i mnóstwa ciosów pięścią uwolniłem końcówkę węża i spowodowałem, że popłynęła z niego woda. Następnie zdjąłem płaszcz oraz koszulę i uklękłem pod strumieniem tryskającym z taką siłą, że miałem wrażenie, że skóra zaraz zamieni mi się w kamień.

Nadal wyglądałem jak ofiara przemysłowego wypadku. Cieszyłem się, że mam ciemne włosy i nie widać w nich barwnych plam, ale twarz ciągle pokrywało mi coś, co wyglądało jak nieudany tatuaż.

Znalazłem niewielki, zdeптany trawnik. Za wielkim, przypominającym barak sklepem sieci Homepage rosły tam dwa potężne platany. Z pobliskiego domu ukradłem metalową puszkę na śmieci, opróżniłem wielkie czarne torby, wrzuciłem tyle starych gazet, ile zdołałem przynieść z miejscowego kosza recyklingowego, dodałem trochę zebranych pod platanami gałęzi i rozpałem ognisko. Siedziałem przy nim, aż przed świtem wypaliło się niemal do końca. Ubranie wyschło mi od ciepła i przemarznięte ciało również nieco się rozgrzało. Być może zasnęliśmy, nie byliśmy pewni.

Zawiedliśmy San Khaya i wcale się nie zbliżyliśmy do zabicia cienia.

Być może jednak byliśmy bliżej uśmiercenia Bakker'a, a mogło się okazać, że to jedno i to samo.

Gdy nad południowym Londynem wzeszło słońce, moje myśli zwróciły się ku panu Guyowi Lee.

Część 2

Sojusznicy z Kingsway Tunnels

*w której znajduje się sojuszników, demaskuje wrogów,
wsiada późną nocą do pociągów
i sugeruje niezwykle sposób wykorzystania farby*

Rankiem, za pomocą słodkich słówek i sporej sumy pieniędzy udało mi się wynająć pokój w małym hoteliku w Merton`. Zawsze uważałem, że to miejsce to tylko wymysł rozpowszechniany przez wrogów Londynu, i ze zdziwieniem przekonałem się, że istnieje naprawdę, a do tego jest całkiem duże.

Znowu wszedłem pod prysznic i szorowałem się tak długo, dopóki skóra nie zrobiła się czerwona i nie zniknęły z niej wszelkie ślady tuszu oraz barwnika. Głowę również myłem wytrwale, aż w spływającym mi po twarzy szamponie przestałem dostrzegać ślady błękitu.

Wreszcie poczułem się mniej brudny. Wyszedłem na miasto i kupiłem sobie nowe ubranie. Stare wyrzuciłem do kosza. Nawet podczas krótkiej drogi do sklepu z używaną odzieżą znowu poczułem się w nim brudny. Śmierdziało szczurami tak mocno, że nienagannie uprzejma dziewczyna za ladą skrzywiła się ze wstrętem.

Płaszcz oddałem do pralni chemicznej. Stwierdzili, że lepiej go wyrzucić, ale po krótkiej rozmowie zgodzili się szybko doprowadzić go do porządku za dwanaście i pół funta. Po oczyszczeniu kolor wyblakł, a na barkach i rękawach nadal pozostały plamy - kierownik powiedział, że nie da się ich usunąć - ale gdy go włożyłem, był ciepły i pachniał czystością. Po raz pierwszy tego ranka poczułem się choć odrobinę jak człowiek.

Poranne gazety oskarżały tajemniczego wroga Amiltechu o brutalne zamordowanie San Khaya, żaden z artykułów nie mówił jednak, w jaki sposób zginął ani nie wspominał o pokrywających jego ciało barwnikach. Nie wiedziałem, czy to policja jest tak ostrożna, czy raczej Wieża zaciera ślady. Być może podobna obojętność świadczyła o arogancji, ale w owej

chwili nie chcieliśmy o tym myśleć.

Postanowiliśmy, że weźmiemy sobie wolny dzień.

Zjedliśmy śniadanie złożone z croissantów, gorącej czekolady, kawy, dżemu, bułek i sałatki owocowej, a potem poszliśmy do kina. Nigdy jeszcze nie byliśmy w kinie. To była historia o genialnym handlarzu bronią, który zapragnął odkupienia, o chorobach serca oraz interesującym, potencjalnie zabójczym sposobie wykorzystania zapasowych części do rakiet, ukrytych w jaskini. Nie przepadałem za tego typu filmami. Byliśmy oczarowani i po dwóch i pół godzinie wyszliśmy z kina na chwiejnych nogach. Oczy bolały nas od oślepiającej jasności, a umysł wypełniały echa ogłuszającego hałasu. Postanowiliśmy, że będziemy oglądać tyle filmów, ile tylko się da. W godzinach szkolnych zakradliśmy się na pusty plac zabaw, by pobujać się na huśtawce, unosząc się tak wysoko, że baliśmy się spaść. Potem jeździliśmy na karuzeli, aż świat wokół zamienił się w zamazaną plamę, zjeździliśmy ze srebrzystej zjeżdżalni, starając się nie krzyczeć z radości, pozwalaliśmy, by piasek w piaskownicy przesypywał się nam przez palce, a na koniec usiedliśmy na szczycie sznurowej drabinki, by chwilę odpocząć. Widzieliśmy stamtąd rozległe błonia porośnięte krótko przyciętą trawą, wysokie drzewa i ludzi wyprowadzających psy. Widok ciągnął się aż po wysokie, stare domy po drugiej stronie linii kolejowej. Miałem nadzieję, że nikt mnie nie zauważył.

Następnie poszliśmy do księgarni poczytać powieści graficzne. Fascynował nas styl, niezwykle, nieludzkie twarze o łatwych do odczytania wyrazach, światy złożone z niezwykle, wypaczonych elementów, nieproporcjonalne budynki, przesadnie jaskrawe kolory, plamy zbyt głębokiego cienia. Pomimo wszystkich tych fantastycznych cech obrazki były łatwe do rozpoznania i wywoływały w nas uczucia adekwatne do przedstawionych sytuacji.

Gdy nas stamtąd przegnano, pojechaliśmy metrem do śródmieścia, znaleźliśmy kasę biletową i ustawiliśmy się w kolejce. Kupiliśmy bilet na najbliższy dostępny film. Okazało się, że to musical. Tego gatunku również zbytnio nie lubiłem, byliśmy jednak zdecydowani go spróbować, podobnie jak wszystkiego po kolei. Czekać na rozpoczęcie seansu, zawędrowaliśmy do chińskiej dzielnicy i zjedliśmy chrupiącą kaczkę z naleśnikami, popijając ją zieloną herbatą i słuchając rozmawiających w kantońskim dialekcie kelnerów. Przekonaliśmy się, że rozumiemy ich słowa, choć nie tłumaczymy ich świadomie. To był niespodziewany skutek uboczny naszego zmartwychwstania.

Obejrzeliśmy musical i choć teksty piosenek były idiotyczne, opuściliśmy kino naładowani jego energią. Nie zatraciliśmy się w magii filmu, ale podobnie jak wielu

zachwyconych widzów pozwoliliśmy naszym myślom zatopić się w iluzji. Ekscytowała nas intensywność wypełniających krew uczuć, blask widoczny w oczach wszystkich, którzy opuszczali wraz z nami budynek. Na krótką chwilę zapomnieliśmy, że przywdzialiśmy śmiertelne ciało, nosimy śmiertelną skórę i grożą nam śmiertelne urazy. Znowu staliśmy się bogami, podziwającymi świat pełen opowieści. By uczcić zakończenie pierwszego dnia naszego prawdziwego życia, kupiliśmy sobie rybę z frytkami i keczupem. Zjedliśmy ją w autobusie po drodze do hotelu. Na chwilę mogliśmy zapomnieć o zemście, gniewie, bólu, pożądaniu, głodzie, niedostatku, strachu, przerażeniu i nadziei. Słyszeliśmy jedynie łagodny puls miasta, a idąc, kroczyliśmy w zgodzie z jego rytmem.

* * *

Następnego dnia znowu zabrałem się do roboty. Wymeldowałem się z hoteliku w Merton i poszedłem do najbliższego supermarketu. Na jednym z wysypisk znalazłem wielką tekturową płytę. Kupiłem też sobie niebieski, wystrzępiony sweter, czarne rękawiczki bez palców, wełniany kapelusz, zupę w białym polistyrenowym kubku oraz małe pudełko kolorowej kredy dla dzieci. Wyposażony w to wszystko wsiałem do autobusu jadącego na północ.

Mój dylemat wyglądał prosto. Nie wiedziałem, gdzie się ukrywa Bakker. Zresztą nawet gdybym to wiedział, niewiele by mi to pomogło, ponieważ - jeśli dokumenty zgromadzone przez Sinclaira mówiły prawdę - Amiltech było tylko jedną z wielu kontrolowanych przez Wieżę organizacji odpowiedzialnych za jego ochronę. Choć nie czułem zbyt wielu obaw przed atakowaniem drobnych zbirów pracujących dla owych instytucji, byłaby to czysta arogancja, gdybym uznał, że poradzę sobie z kilkoma zadaniami jednocześnie. San Khay zginął, zanim zdążył mi powiedzieć cokolwiek na temat Wieży i Bakker. Znaczyło to, że będę musiał zapytać kogoś innego. Wybrałem Amiltech na pierwszy cel, ponieważ firma była stosunkowo dobrze znana i w związku z tym uznałem, że będę się mógł na niej skupić, nie narażając się na odwet innych powiązanych z Wieżą organizacji. Teraz jednak byłem zmuszony skierować uwagę na zupełnie inne, groźniejsze źródło informacji. Na Guya Lee, władcę podziemnej siatki... wymieńcie dowolne zajęcie od astrologów do fanatyków oddających cześć Lady Neon i innym duchom miasta, z pewnością znajdziecie tam wszystkich. San Khay w swej arogancji sądził, że poradzi sobie z nami sam. Nie było prawdopodobne, by Guy Lee popełnił podobny błąd, zwłaszcza że San zginął. Będzie się miał na baczności, co zmuszało mnie do zmiany taktyki. Potrzebowałem pomocy.

Mniej więcej wiedziałem od czego zacząć.

Miejsce, w którym postanowiłem wykonać dzisiejsze zadanie, znajdowało się nieopodal dworca Paddington. Spotykało się tam kilka różnych światów. Arabska dzielnica przy Edgware Road przechodziła w wielkie, białe segmenty i ciche, przerobione z dawnych stajni budynki zamieszkałe przez bogaczy, które z kolei graniczyły z komunalnymi mieszkaniami i studenckimi kwaterami przy torach prowadzących do dworca. Biegły one w głębokim wykopie, jakby się wstydziły, że zajmują tak wiele miejsca, i miały nadzieję, że dzięki temu nikt ich nie zauważy.

Jak wszystkie stacje końcowe, dworzec Paddington przyciągał tłumy turystów, podróżnych, nielegalnych lokatorów, prostytutek, rabusiów, rekieterów, przemytników i żebraków. Interesowali mnie ci ostatni, ponieważ poza gołębiami i szczurami to żebracy z reguły widzą najwięcej.

* * *

Dlatego właśnie owego chłodnego, pogodnego poranka, gdy zima dawała już o sobie znać jesieni, a jesień spoglądała nieśmiało na drzwi, mówiąc, że musi iść umyć włosy, rozłożyłem swoją tekturę w wejściu służbowym restauracji nieopodal St. Mary's Hospital, by zapewnić sobie osłonę przed zimnym, twardym chodnikiem. Włożyłem kapelusz i rękawiczki, otuliłem się szczelnie płaszczem aż pod szyję, wypełniwszy jego kieszenie kolorową kredą. Człowiek siedzący całymi godzinami na chodniku musi się odpowiednio ubrać, bo w przeciwnym razie chłód wnuknie mu w kości i owinie się wokół kręgosłupa, zakorzeniając się w nim jak bluszcz. Wiedziałem to z doświadczenia. Robert James Bakker kazał mi między innymi poświęcić jeden dzień na żebranie. Wtedy słuchałem go bez zastrzeżeń i wtedy miał rację.

Umyłem polistyrenowy kubek po zupie w małej fontannie przy dworcu i postawiłem go przed sobą. Obok napisałem wielkimi literami: GŁODNY PROSI O POMOC, a potem zacząłem rysować kredą na chodniku. Nie śpieszyłem się, ignorując przechodniów. Prostokątna płyta chodnikowa stała się ramą mojego obrazu. Uwzględniałem na nim wszystkie szczegóły, nie tylko twarz i ubranie, lecz również tło, przechodzące z czerwieni w błękit. Tam, gdzie mocne kolory spotykały się ze sobą, zamazywałem je, tworząc falistą, fioletową linię. Oblicze narysowałem z profilu: blond broda w kształcie odwróconego rogu, ostry trójkątny nos, błyszczące niebieskie oko i charakterystyczny pełen samozadowolenia uśmiezek. Na niebieskim kołnierzu mężczyzny narysowałem maleńkie czarne diamenty, a ramiona pokryłem czerwonym cieniem sugerującym bogaty strój. Na koniec dodałem spiczastą koronę. Obraz wyglądał jak król z talii kart z jego osobliwymi kątami, zarysami i

kolorami. Nie wiedziałem, ile godzin mi to zajęło, ale gdy skończyłem, miałem w kubku pięćdziesiąt siedem pensów, a w mięśniach łapały mnie kurcze od zbyt długiego wspierania się na łokciach.

Położyłem się na progu za swym obrazem i czekałem.

* * *

W Londynie działa kilka różnych rodzajów żebraków. Są wśród nich samotni i agresywni, z reguły mający krzaczaste brody i obszerne płaszcze z kapturem, którzy podchodzą do przechodniów, mówiąc: „Proszę, potrzebuję osiemdziesięciu pensów, proszę”. Czasami to skutkuje. Być może takie podejście jest uczciwsze, ale przeciętny przechodzień boi się bezpośrednich zaczepek, zbyt często zdarza się też, że po odmowie następują przekleństwa, co tylko potwierdza opinię, że żebrak jest niebezpieczny.

Zapewne najsilniejszy strach budzi podklasa tej kategorii żebraków - ci, którzy proszą o pieniądze w towarzystwie dwóch koleżków zagradzających przechodniowi drogę. To nie jest właściwie zebranie, nie ma w nim bowiem prośby o wsparcie lub zrozumienie, a jedynie próba zastraszenia.

Większość żebraków siedzi jednak bez słowa w pobliżu bankomatów, w drzwiach zamkniętych sklepów, pod drogimi sklepami jubilerskimi, skąd przegania ich policja, albo przy dworcach bądź kawiarniach. Liczą na to, że zbiorą pieniądze na kanapkę czy kubek kawy, albo nieznajomi prędzej uwierzą w napis na kawałku tektury, głoszący: „Nie jestem naćpany, tylko biedny i głodny. Proszę o pomoc”, czy może na to, że zamykający sklep personel da im coś, co właśnie przekroczyło datę ważności, lub pozwoli skorzystać z łazienki. Przechodnie nie tylko nie widzą tych ludzi, ale zadają sobie specjalny trud, by ich zignorować, a potem o tym zapomnieć, wypchnąć z zawstydzonej pamięci sylwetkę skulonej dziewczyny w podartych butach i towarzyszącego jej psa, bądź też staruszka o zaniedbanej brodzie, do którego nawet się nie uśmiechnęli, nie chcąc przyznać, że nie czują litości. Jeśli ich zapytać, dlaczego nie dają jałmużny, typowa odpowiedź brzmi: „Przecież wydadzą wszystko na prochy”. Te okrutne słowa i tak są lepsze od tego, co mówią prawdziwe sukinsyny: „To ich wina, że znaleźli się w takiej sytuacji. Dlaczego miałbym marnować pieniądze na kogoś, komu nie można pomóc?”.

Tak oto całą populację starych, młodych, czarnych, białych, zastraszonych, agresywnych, przygnębionych, przerażonych, zmarzniętych, chorych, głodnych, spragnionych, brudnych albo uzależnionych uznaje się za ofiary samych siebie, wszystkim zignorowanym twarzom, wypchniętym z pamięci ceniom nieznajomych widzianych na ulicy

nadaje się wspólną etykietkę nieudaczników.

Być może warto ich uratować, szepcze współczucie. Ludzie zawsze zasługują na ratunek.

A może, szepcze czający się tuż pod powierzchnią głos cynizmu, żebraków nie da się uratować. Co gorsza, może wcale nie chcą ratunku.

Litość i współczucie kroczą ręką w rękę, ale jedno z tych uczuć zawsze będzie milej widzianym gościem niż drugie.

Z początku nie rozumiałem, dlaczego Robert James Bakker kazał mi poświęcić cały dzień nauki na zebranie. Pod wieczór jednak pojąłem to znakomicie.

Przyglądałem się twarzom nielicznych ludzi, którzy na mnie patrzyli, a potem przyspieszali kroku. Żebak musi być pokorny, wpatrywać się w ziemię, by nie przestraszyć lękliwych. Mijało mnie mnóstwo osób w wygodnych ubraniach i błyszczących butach, niosących wielkie torby i spowitych w grube płaszcze, zaprzątniętych myślami o tym, ile setek funtów wydadzą w tym miesiącu na spłatę hipoteki, nie o tym, ile pensów złoży się na kolejny kubek herbaty. Moje uczucia przechodziły stopniowo od uzalania się nad sobą z powodu zimna do gniewu na tych, którzy już w odległości czterystu jardów przygotowywali się do tego, by nie spojrzeć mi w oczy.

Przed złapaniem najbliższego przechodnia za kostkę i obaleniem go na ziemię powstrzymała nas dopiero miła kobieta nosząca koloratkę. Zatrzymała się i przykucnęła obok, spoglądając na mój rysunek na chodniku.

- Jeszcze cię tu nie widziałam - oznajmiła.

Dała mi dwa i pół funta i zapytała, czy znalazłem Boga. Odpowiedziałem, że nie, ale i tak dała mi ulotkę informującą, że siła jest wiarą, i zapraszającą na darmową supę we wtorek wieczorem. Treść ulotki nas zafascynowała. Dlaczego siła była wiarą i czy miało znaczenie to, w co uwierzymy? Ów pomysł wydał się nam wyjątkowo dziwaczny, lecz mimo to złożyliśmy ulotkę i schowaliśmy ją do kieszeni płaszcza, by później rozważyć kwestię dokładniej.

Potem gniew osłabł, ustępując miejsca odrętwiałej wdzięczności za każdą pięciopensówkę. Nie paliło mnie już pragnienie nienawiści do ignorującej mnie większości, lecz znajdowałem pocieszenie we wdzięczności wobec tych, którym chciało się okazać współczucie.

* * *

Na cały dzień padał niecny cień nudy.

Totalnej, miażdżącej nudy, od której chłód wnikał w kości a palce świerzbiły.

Użalać się nad sobą można tylko przez krótki czas. Stanowczo zbyt szybko dają o sobie znać potrzeby ciała: niewygodna, bóle, pragnienie i głód. Wszelkie ambicje osiągnięcia stanu wyższej duchowej świadomości przez siedzenie cały dzień na chodniku szybko przegrywają w starciu z marzeniem o miękkiej poduszce.

Pięć minut przeszło w piętnaście.

Godzina w trzy godziny.

Przerażająca, niezauważana, traktowana z obojętnością, nieunikniona nuda.

* * *

O zachodzie słońca miałem trzynaście funtów i czterdzieści osiem centów w najróżniejszych monetach. Opuściłem na kilka minut posterunek, by kupić sobie bułkę, paczkę cieniutkich plasterków indyka, jabłko oraz wielki kubek gorącej kawy. Kiedy wróciłem, narysowany przeze mnie obraz zamazał już but jakiegoś bezmyślnego przechodnia. Zdołałem przełknąć rodzącą się na języku klątwę, nim zdążyłem skrzywdzić winowajcę za jego nieostrożność. Kiedy skończyłem naprawiać uszkodzenia, zapalały się już latarnie. Zmierzch przyniósł ze sobą chłód. Gdy wokół plam padającego na ulicę neonowego światła zapanowała ciemność, poczuliśmy się odsłonięci na swym kawałku tektury. Nie mając osłony czterech ścian, nie mogliśmy być pewni, czy następny zbliżający się przechodzień nie ukradnie nam kubka ze zdobytymi z takim wysiłkiem monetami, nie zamaze obrazka albo nie okaże się potworem pragnącym naszej krwi.

Nie mieliśmy zamiaru spać. Kości miałem zbyt obolałe, by instynkt mógł przeważać nad wolą. Każde drgnięcie powodowało niewygodę, każda powierzchnia była nie tylko twardym betonem, lecz również celowo utwardzonym betonem, którego jedynym zadaniem było naciskać coraz mocniej na wszystkie kości naszego ciała, jakby miejsce pod drzwiami, które zamieszkiwałem, próbowało wcisnąć mnie w ciasną szparę chodnika.

Na ulicach robiło się coraz ciszej, a ręce marzły mi coraz bardziej.

- Hej, koleś! - zawołał na mój widok przyjaznym tonem mężczyzna, który wylazł chwiejnym krokiem z pubu na rogu po drugiej stronie ulicy. Potem zwymiotował do rynsztoka, uśmiechnął się i oznajmił zamkniętym oknom, że czuje się już znacznie lepiej.

Małe dziecko ciągnięte do łóżka popatrzyło na mnie ciekawie, a potem pomachało rączką. Odpowiedzieliśmy mu takim samym gestem, nie będąc do końca pewni, jak należy traktować takie drobne stworzenia. Przy krawężniku zatrzymała się czarna taksówka. Wysypała się z niej grupka kobiet ubranych z myślą o komercyjnej walce. Ich kostiumy były

tak ciasne, że szwy puszczały pod naciskiem. Samochód odjechał, a one ruszyły z chichotem wzdłuż ulicy.

Pozwoliłem swym myślom wędrować swobodnie. Wsłuchaliśmy się w mózgi mew, które leciały ku rzece, wabione wonią śmieci i soli, przez chwilę balansowaliśmy na murku dzielącym od siebie dwa ogródki pełne roślin w donicach z terakoty, w umyśle ulicznego kota o jednym oku, żółtym i paciorkowatym; wylegiwaliśmy się w zmysłach znudzonego lisa, obserwującego puszkę na śmieci za barem sprzedającym hamburgery hałał. To jednak własnymi uszami usłyszeliśmy regularne, nieśpieszne kroki zbliżające się ulicą.

Rozchyliłem powieki, wyętzając ludzki, niemagiczny słuch. Po chwili znowu usłyszałem ostry stukot wzmocnionych gwoździ podszew. Rytm był powolny, jakby idącemu nie śpieszyło się zbytnio, bo wiedział, że i tak dojdzie, dokąd chce. Ten dźwięk dodawał mi otuchy.

Właściciel kroków zatrzymał się przed moim rysunkiem przedstawiającym króla w koronie i zakołysał się w przód i w tył, stając na palcach w wystrzępionych mokasynach, które kiedyś były wygodne, ale obecnie nie rozlatywały się tylko dzięki niciom i gwoździom. Palce u moich stóp podkuły się odruchowo na ten widok.

- Mogło być gorzej - stwierdził nosowym głosem posiadacz butów.

Uniosłem brwi, czekając na wyjaśnienie.

- Mogło padać. Chcesz czegoś?

Obrzuciłem go spojrzeniem od stóp do głów. Miał na sobie niezdarnie połatane sztruksowe spodnie, obszerną kurtkę z wyściółką wyłazłą z niechlujnie zaszytego rozdarcia na boku, w której wyglądał jak ofiara obrzęku zapalnego, koszulę śmierdzącą potem i starymi hamburgerami, parę zrobionych na drutach rękawiczek, niebieski szalik oraz wielki wełniany kapelusz z czerwono-białym napisem *Arsenal FC* na przodzie. Twarz miał pociągłą i kościstą, rozciągniętą nie tylko z góry na dół, lecz również w innych, osobliwych kierunkach, tak że czubek porośniętej siwą brodą zuchwy wysuwał się do przodu niemal tak samo daleko, jak koniec nosa, a uszy wystawały spod kapelusza, jakby miał po obu stronach głowy połówki cytryn. Podrapał się po brodzie długimi, brudnymi, brązowymi paznokciami przypominającymi stare drewno, kierując na mnie spojrzenie szarych oczu o inteligentnym wyrazie.

Przekonałem się, że po całym dniu milczenia nie mogę wykrztusić ani słowa.

- Jesteś w tym nowy? - zapytał.

- W pewnym sensie.

- To znaczy, że nie jesteś jednym z nas?

- Ehe. Właściwie nie jestem.
- Ale wiesz parę rzeczy, mam rację?
- Czy coś wiem? Tak.

- Tylko zgaduję - ciągnął, wznosząc oczy ku niebu z melodramatyczną emfazą - ale coś mi się zdaje, że masz jakiś plan. - To ostatnie słowo wypłuł ze złością między krzywymi przednimi zębami. - Kurwa, w dzisiejszych czasach wszyscy mają plany. To by było za łatwe po prostu rozdawać pieniądze na ulicach. Nie, trzeba brać pod uwagę zasoby społeczne i pierdolonego ducha społeczności. No dobra. Odsiedziałeś tu swoje i narysowałeś pierdolony obrazek. Czego chcesz, czarnoksiężniku?

Ostatnie słowo wypowiedział z wyraźną niechęcią.

To było w porządku. Zaczynałem rozumieć, dlaczego moja profesja może nie budzić zbytnej sympatii.

- Proszę bardzo - zacząłem, wstając na zeszywniałe nogi i pocierając odrętwiałe ramiona. - Docelowo chcę zniszczyć Wieżę, za całe zło, które uczyniła, w tym również za samolubne postęпки na szkodę magicznej społeczności miasta. Pragnę, by cienie jej podstaw spłonęły, nie pozostawiając nawet plam na murach. W tej chwili jednak zadowolę się filiżanką herbaty, wygodnym krzesłem i audiencją u Króla Żebraków.

* * *

Zaprowadził mnie na złomowisko ulokowane pod Westway, wielką obwodnicą pozwalającą w pięć minut dotrzeć z dworca Paddington do Shepherds Bush. Biegnie ona nad torami, równoległe do nich. W szarym, śmierdzącym mroku pod autostradą tłoczyła się część jego trzódki - mężczyźni w podartych kurtkach palący ogień w starych metalowych kanistrach, kobiety o bladej, martwej cerze i grubych, sinych żyłach na grzbietach dłoni, jedzące frytki i dzielące się jednym smętnym papierosem.

Mieszkał w porzuconym samochodzie technicznym, będącym kiedyś własnością londyńskiego przedsiębiorstwa komunikacji. Jego ściany zabezpieczono licznymi wariantami zapchlonych koców. Na jednym końcu umieszczono wielki metalowy sejf, w którym schował dwa wyjęte z kieszeni pudełka hotelowych zapalek - zapewne zwędzone w holu jakiegoś drogiego hotelu, zanim go stamtąd wyrzucili - zardzewiały otwieracz do puszek, oraz garść drobnych, wartą w sumie około dwudziestu siedmiu funtów. Nie poświęcał mi zbyt wiele uwagi.

- Przyjmuję datki - oznajmił.

Wręczyłem mu wszystko, co zdołałem dzisiaj zebrać. Wszędzie obowiązują jakieś

zasady, zawsze trzeba zapłacić określoną cenę. Dzień siedzenia na zimnie, danina złożona z pensów i błyszczących pięciopensówek. Te reguły są tak oczywiste, że nie ma potrzeby ich spisywać. Król Żebraków nigdy niczego nie spisuje.

- Widziałem gorsze - oznajmił z chrząknięciem, a potem zapalił mały parafinowy grzejnik i postawił na nim puszkę zupy pomidorowej. Gdy zaczęła się gotować, usiadł po turecku na stercie grubych, gryzących tartanowych koców oraz starych, brudnych spodni i podrapał się po podbródku.

- No więc, myślę, że masz trudności, jeśli chcesz pogadać z tym starym skapiradłem. Tak się teraz mówi, tak? Nie wolno już powiedzieć, że ktoś ma problemy.

- Mogą być „trudności” - zgodziłem się. - Myślę, że król może mieć kilka tych samych co ja.

- Na przykład?

- Wieża.

- Cholera, co to ma do rzeczy? Wieża zbytnio nam nie przeszkadza.

- A co to znaczy „zbytnio”?

- Nie możemy bronić wszystkich - odparł mężczyzna z błyskiem w oczach.

- Z tego, co słyszałem, wynika, że Wieża porywa żebraków z ulic. San Khay proponował mi odlot w zmysły ćpuna stojącego na progu śmierci. Jak łatwiej zdobyć coś takiego, niż od żebraka, który umiera sam w ciemności, niezauważony przez nikogo.

- Czasami dochodzi do starć. Takie rzeczy się zdarzają.

- Odwiedziłem pewien magazyn - zacząłem ostrożnie. - Należał do Amiltechu, ale zapewne firma prowadziła go dla Guya Lee. W piwnicy znalazłem ciało żebraka. Robiono z nim różne rzeczy. Wszyscy wiedzą, że Guy Lee interesuje się nekromancją. Do tego potrzeba narzędzi. Czy będziesz spokojnie czekał, aż złapie nieprzyjemną chorobę od któregoś z niemytych ciał, jakie wykorzystuje, zanim powiesz „dość tego”?

- Widziałeś, co się dzieje z wrogami Wieży? - zapytał, wyskrobując od niechcenia grubą warstwę brudu spod paznokcia kciuka.

- Tak.

- A mimo to pragniesz walki. A niech cię.

- Myślę, że Król Żebraków powinien to zrozumieć.

- Dlaczego?

Nie patrzył na mnie, ten mężczyzna o krzaczastej brodzie. Otaczała go aura kogoś, komu jest wszystko jedno, sprawiał wrażenie zafascynowanego widokiem brudu pod swymi paznokciami. Być może wcale nie udawał. Niewykluczone, że takie sprawy rzeczywiście

znaczyły dla niego równie mało jak pył na ulicach.

Przesunąłem się, oblizując nerwowo wargi.

- Dlatego że to nie jest po prostu tytuł, podobnie jak w przypadku Bezdomnej i Przewoźnika, mam rację? - Wlepiłem w niego wzrok, próbując go sprowokować do odezwania się. - Pewnie, było bardzo wielu królów żebraków, mnóstwo ciał pochowanych w nieoznaczonych grobach albo wrzuconych do rzeki. Ale Król Żebraków, prawdziwy Król Żebraków, który przychodzi, gdy narysuje się jego koronę na chodniku i złoży w ofierze całodzienne zyski, żyje dalej, z pokolenia na pokolenie. Jest tam, gdzie ćpun umiera w samotności, brudny od rzygów i gówna po ostatniej działce, trzyma go za bezkrwistą dłoń, aż nadejdzie ostatnie tchnienie. Król Żebraków jest padającym na ulicę cieniem, który uśmiecha się do okna azylu, gdy bezdomna dziewczyna dostaje własny pokój, i mówi jej, że wszystko jest w porządku, nie trzeba bać się ścian. Król Żebraków... prawdziwy Król Żebraków... jest tym, do którego wnosimy modły, gdy mamy za cienką kurtkę, chodnik jest za twardy a wszystkie zebrane grosiki zabrali nam ludzie, którzy nic nie rozumieją. On nie jest tylko człowiekiem z krwi i kości, tak?

- Ty powinienesz wiedzieć najlepiej - odparł cicho. - Opowiadali mi, jak wyszedłeś z przewodów telefonicznych.

Przeszył nas chłód. Nie mogłem poruszyć szczęką.

- Jaskrawoniebieskie oczy - wyszeptał, uśmiechając się do nas. - Nie pasują do ciebie.

- Je... jes... jesteś... jesteśmy...

- Zatkano cię?

- Pomożesz mi? - wyjąkaliśmy wreszcie.

- Tylko tobie? Tylko jednemu, małemu śmiertelnikowi odzianemu w ciało umarłego?

A może chcesz czegoś więcej? Czego, musisz siebie o to zapytać, pragną anioły?

- Jesteśmy... my... chcemy zemsty.

Zachichotał.

- To ustawcie się w kolejce. Na ulicach trzeba się do tego przyzwyczaić. Musisz być uprzejmy. Musisz przestrzegać zasad. Nie możesz wywoływać kłopotów, bo gdy tylko w nie wpadniesz... - strzelił palcami - ...nikt nawet nie spróbuje ci pomóc. Co dokładnie zamierzasz zrobić? - dodał.

- Muszę odnaleźć Białych.

- Po co?

- Bakker jest sercem Wieży, ale ochraniają go inni. Guy Lee, Harris Simmons, Dana Mikeda.

- San Khay?

To było nie tylko pytanie, lecz również oskarżenie.

- Ja go nie zabiłem.

- Ja bym to zrobił.

- Nie zabiłem go.

- To była paskudna śmierć. To, co słyszałem, sugeruje, że sprawca ma lekkiego świra.

Szczerze mówiąc...

- Nie zabiliśmy go!

Uśmiechnął się z wyrazem pozbawionego wesołości zainteresowania.

- No cóż, przynajmniej część ciebie jest szczerą. Ale która część?

- Guy Lee dowodzi podziemną armią - stwierdziliśmy. - Jego słudzy żerują na niewinnych i nieświadomych, włada klanami żelazną pięścią, jego wrogowie...

- Wszyscy wrogowie Wieży znikają, mały czarnoksiężniku! - warknął. - Wiesz o tym, tak? Być może ktoś powinien się zająć takimi ludźmi, do chuja? Na przykład zatroskani obywatele, pilnujący, by ci, którzy znają podobne tajemnice, nie zdradzali ich zbyt łatwo masom? Pierdolonym, głupim jak but, zwyczajnym ludziom?

- Bakker robi to tylko dla własnych celów, dla nikogo innego.

- A co to są za cele? Czy ktoś to wie?

- Potrafię się tego domyślić - mruknąłem.

- Naprawdę? - Pochylił się ku mnie z wyraźnym zainteresowaniem. - Zamieniam się w słuch.

Spojrzeliliśmy mu prosto w oczy.

- Chce stać się kimś takim jak ty, Wasza Wysokość. Pragnie się zamienić w ideę. Przeżyć własne ciało.

Odsunął się. Twarz mu pociemniała.

- To niemożliwe - burknął. - Pierdolisz.

- Wiesz, że tak nie jest. Król Żebraków czy Bezdonna nie istnieli zawsze. Podobne istoty muszą z czegoś wyrosnąć, muszą mieć naczynie, początek, a z czasem również zakończenie. Stanie się taki jak ty.

- Wiesz to na pewno?

- Tak.

- Ale skąd? - W jego głosie pobrzmiwała niecierpliwość, intensywny głód. - Nie ty, mały czarnoksiężniku. Skąd wy to wiecie?

Wzdrygnęliśmy się, zaskoczeni siłą jego spojrzenia.

- Nie jesteśmy... - wyjąkaliśmy. - Ten świat nadal jest dla nas dziwny.

- Jesteś tylko pierdolonym dzieckiem, co? - zapytał ze śmiechem.

- Nie jestem.

- Jasne, jasne, skoro tak mówisz. - Machnął od niechcienia brudną, zaciśniętą pięścią. - Żyłeś wystarczająco długo, by umrzeć. Ale z drugiej strony, one, te z niebieskimi oczami... to pierdolone dzieciaki! Nic nigdy nie widziały! Nic nigdy nie czuły! Chryste, i ty chcesz mojej pomocy.

- Tak - potwierdziliśmy. - Chcemy.

Odchylił się powoli do tyłu z niezadowoleniem na twarzy.

- Jeśli zrobię coś dla ciebie, narażę wszystkich swoich ludzi - rzekł po chwili. - Jestem za nich odpowiedzialny.

- Wieża jest niebezpieczna - powtórzyłem.

- A ty potrafisz ją powstrzymać?

- Tak.

- Ale dlaczego chcesz to zrobić? Dlatego że cień Bakker'a poderżnął ci gardło i w ostatnim tchnieniu zdołałeś się wymknąć w błękit, którego tak bardzo pożąda?

Poczułem zastarzały ból w kilkunastu różnych miejscach. Dla mnie minęły tygodnie, dla świata całe życie. Płonąca skóra, smak krwi w ustach. Sądziłem, że zniknie, gdy zbiorę wystarczająco wiele nowych wspomnień ryby z frytkami, gorącej herbaty i chrupiącego boczku. On jednak ciągle wracał, wypełniając mi usta posmakiem żelaza.

Potrzebowałem pomocy.

Opadłem więc na jedno kolano i pochyliłem głowę w geście hołdu dla Króla Żebraków.

- Jeśli mi pomożesz - zacząłem - jeśli okażesz nam szacunek - dodaliśmy - powstrzymamy cień.

W jego oczach pojawił się błysk zainteresowania.

- Cień? - zapytał pośpiesznie.

- On wyrasta z nicości. Ma żółte zęby, martwą skórę i zażawione oczy - wyjaśniłem, starając się nie przyglądać zbyt wyraźnie obrazowi, który uformował się w mojej głowie. - Na pewno o nim słyszałeś. On mówi: „Daj mi życie”. Pomóż nam w walce z Wieżą.

Myślał przez pewien czas, aż wreszcie położył dłoń na moim ramieniu. Poczułem jej ciepło przez ubranie.

- Chciałbym, żebyś się nad czymś zastanowił, mały czarnoksiężniku. Jeśli Bakker wierzy, że może pokonać własną śmierć, czy nie przyszło ci do głowy, że teraz, gdy już

wyszedłeś z przewodów, to twoja niebieska krew może mu w tym pomóc?

Unieśliśmy głowę, powoli i niepewnie. Odpowiedziało nam niemal ojcowskie westchnienie. Poklepał nas po głowie, jakbyśmy byli małym dzieckiem wygłaszającym niewinne uwagi, dla starszych i mądrzejszych pełne ukrytych znaczeń.

- Sugeruję to na wypadek, gdybyś się zastanawiał, kto mógł cię przywołać z powrotem.

Otworzyliśmy usta, ale nie dał nam dojść do słowa.

- Dobra, a teraz zmiataj! Nie mogę pozwolić, żebyś się tu wałęsał.

Chwila minęła. Nasz umysł nadal wypełniała ta interesująca, przerażająca możliwość. Kto nas przywołał z powrotem? I po co? Podniosłem się niepewnie.

- Czy...? - zacząłem, przerywając milczenie.

- Możliwe. Zastanowię się nad tym.

- Ale jeśli...

- Chcesz prosić Białych o pomoc, prawda?

- Tak.

- Zgodzą się.

- Nie wiem, gdzie ich znaleźć.

- A niech cię! - zawołał ze śmiechem. - Musisz tylko podążać za napisami na murach!

* * *

Zostawiliśmy Króla Żebraków z jego dworem pełnym łachmanów i pcheł.

Pogrążyłem się w myślach. Wyszukiwaliśmy drogę przez noc, zatrzymując spojrzenie na każdej donicy, latarni, płocie i nazwie ulicy, dziwiąc się, że choć zdawało nam się, że znamy je tak dobrze, nadal możemy znaleźć na nich coś nowego. Myślałem o Elizabeth Bakker, która siedziała sama w domu opieki, mając za towarzystwo jedynie gołębie. Myślałem o Królu Żebraków, Bezdomnej i o babci. Lubiła śpiewane nocą przez szczury piosenki, przenikające w górę przez dziurę w kącie jej pokoju, i zawsze karmiła wiewiórki. Na tę myśl ogarnęło mnie zmęczenie, zrobiło mi się zimno. Płonąca ogniem gniewu pewność przeszła w beznamiętne zrozumienie tego co musiałem - choć już niekoniecznie pragnąłem - zrobić.

Niemniej, przed zabraniem się do roboty musieliśmy udać się w pewne miejsce.

Jeśli potrzebowałem pomocy, nie mogłem być wybredny.

* * * *

Tunele metra pod obwodnicami i ruchliwymi ulicami są z reguły dość przerażające.

To nie to samo, co typowe odcinki kolei podziemnej z przyjaznymi tablicami, na których wielkimi literami napisano: „TEREN PATROLOWANY PRZEZ POLICJĘ”, by uspokoić zalekzionych podróżnych. Nie chodzi o niezwykle, półprzezroczyste stalaktyty wyrastające z sufitu jak ciepłe, słone sople, ani nawet o przypominające kałuże plamy zielonej pleśni pojawiające się tu i ówdzie na podłodze i nieostrożnym podróżnym grożące potknięciem. Rzecz w samej naturze owych zamkniętych, ukrytych pomieszczeń, sprawiającej, że zaniepokojeni ludzie podkulają instynktownie palce na myśl o nadchodzącej katastrofie, całkowitej pewności, że cokolwiek by się wydarzyło, nie ma dokąd uciekać.

Przybyłem na miejsce wcześniej, o drugiej w nocy. Labirynt tuneli ciągnie się pod obwodnicami, jednokierunkowymi trasami i szerokimi rondami na skraju Aldgate, gdzie City przechodzi w resztę miasta, a drogowskazy wskazują na Północ, nie tylko Bow lub Whitechapel. W Londynie okolice położone poza granicami miasta nazywa się po prostu Północą albo Zachodem. Są zbyt rozległe i nieokreślone, zanadto nielondyńskie, by zasłużyć na bardziej szczegółowe nazwy.

Usiadłem przy umówionym wyjściu, otulając się szczelnie płaszczem, i pozwoliłem, by szum ruchu ulicznego - ciężarówek pełnych towarów na jutro, biustonoszy, skarpetek, butów i kilkunastu różnych odmian jabłek - wypełnił koniuszki moich palców.

Przysypiałem już, gdy motocyklista klapnął obok mnie.

- Uff! - sapnął głośno, prostując nogi na wąskiej betonowej podłodze w przejściu. U swego boku postawił wielką sportową torbę czarnego koloru.

- Paskudnie wyglądasz - stwierdził. - Nie jesteś rannym ptaszkiem?

- Nie zauważyłem cię.

- Dziwi cię to?

- Nie do końca. Nie spotkał cię straszliwy odwet?

Roześmiał się chrząkliwie.

- Naprawdę cię to dziwi? - powtórzył. - Jestem za szybki, żeby jakiś popierdolony skurwiel mnie dorwał.

- Ani trochę - westchnęliśmy.

- Słyszałem, że miałeś dużo zajęć.

- Naprawdę?

- San Khay.

- Ja go nie zabiłem. Proszę, nie idźmy tą drogą.

- To nie byłeś ty?

- Nie.

- Jezu. Chociaż muszę przyznać, że nie zrobiłeś na mnie wrażenia typa, który lubi chleptać krew i wrywać serca.

- Wzruszyłeś mnie. Pewnie nie masz ochoty posłużyć mi wsparciem?

- Po to przylazłem do tego zasranego tunelu - odparł, wzruszając ramionami. - Chodzi ci o coś konkretnego?

- Planuję konfrontację z Guyem Lee i szukam pomocy. Jesteś zainteresowany?

- Dlaczego akurat z nim?

- Może coś wiedzieć o Bakkerze. A nawet jeśli nie wie, ma na swoje rozkazy małą armię. Miło by było wiedzieć, że nie jest już na jego rozkazy, nim zaatakujemy szczyt Wieży.

- A po co ci pomoc? Z Amiltechem świetnie sobie poradziłeś sam. Sprowadziłeś na nich sądny dzień, a potem odpłynąłeś bez śladu, jak w pierdolonym filmie z Clintem Eastwoodem.

- Na tym właśnie polega problem - odparłem, myśląc o cieniu, wyłaniającym się nagle z mroku na Paternoster Square. - Tym razem będą się mnie spodziewali. Guy Lee nie popełni takiego błędu jak San.

- Jak wiele tej pomocy potrzebujesz? - zapytał ostrożnie. - Nie mogę przemawiać w imieniu pozostałych.

- Wszystko jest na razie w fazie planów, ale myślę o żebrakach, Białych, motocyklistach, malarzach, włóczęgach...

- Wszystko to pierdolone męty społeczne, tak?

- Guy Lee również nie jest zbyt wybredny, gdy chodzi o dobór współpracowników.

- Wierzysz, że potrafisz go pokonać?

- Tak.

- To nie będzie takie proste, jak te wygłupy z San Khayem. Jeśli Lee wie, że chcesz go załatwić, nie będzie spokojnie czekał, aż podpalisz jego biuro i przeklniesz personel.

- Tak - zgodziliśmy się. - Tak właśnie myśleliśmy.

- Musisz być nieźle na nich wkurzony.

- To za mało powiedziane.

- Jak właściwie zamierzasz skłonić tę bandę do współpracy? Kurde, nic dziwnego, że przeżywalność w zawodzie czarnoksiężnika jest krótka. Musisz mieć w głowie niezły kawał arogancji poza całą tą różową galareta.

- Myślę, że sami będą chcieli mi pomóc.

- A to dlaczego?

- Dlatego że Wieża najpewniej zdecyduje za nich.

- Lubisz zgrywać tajemniczego skurczybyka, co? - zapytał z uśmiechem. - Bomba.

- Otrzymałem kilka nieprzyjemnych nauczek.

- Od Bakкера w przerwach między lekcjami? - zapytał przesadnie obojętnym tonem, na co uniosłem wzrok. - Kurwa, ja też potrafię zbierać informacje.

Złączyłem palce w piramidkę, zaczerpnąłem w płuca długi haust cuchnącego szczykami powietrza podziemnych tuneli i przymknąłem powieki.

- A ty jesteś znany jako Blackjack, jeden Jezus wie dlaczego, należysz do klanu motocyklistów, mężczyzn i kobiet, którzy żyją dla szybkości, przebywają wszędzie i nigdzie, kochają wolność, a gdy ruszają w drogę, jest dla nich krótsza niż dla kogokolwiek innego. Waszego przywódcę, o ile można powiedzieć, że go mieliście, zamordowano, a klan zaatakowano. Lubicie być nieprzewidywalni, zaskakujący, przebywać wszędzie i nigdzie, zgrywać krnąbrnych skurczybyków tylko po to, by zobaczyć, jak ludzie na was patrzają, uważacie, że normalność to powód do wstydu... mamy to ciągnąć, żeby się przekonać, komu najpierw wyczerpią się szczegóły?

Ku naszemu zaskoczeniu, uśmiechnął się.

- Chcesz poznać sekret?

- Zawsze.

- Naprawdę nazywam się Dave.

- Rozumiem.

- Widzę, że to cię nie bawi.

- Parę dni temu poznałem trolla imieniem Jeremy.

- Poważnie?

- Ehe. Jest również znany jako Potężny Raaaarrgghh! Chociaż... właściwie rozumiem, dlaczego zmieniłeś imię. „Dave” jest raczej pozbawione tajemniczej, seksownej mistyki.

- A co z tobą?

- A co ma być?

- Czarnoksiężnik Matthew? Nie korciło cię, by zmienić imię na coś, co... bo ja wiem... miałoby więcej samogłosek?

- Szczerze mówiąc, nic takiego nie przyszło mi do głowy.

Z końca tunelu dobiegł odgłos kroków, niosący się echem po wilgotnych schodach.

- Jak już mówiłem, dowiedziałem się sporo na twój temat.

- He? - zapytałem nieobecny głosem, wbijając spojrzenie w wylot schodów.

- Ehe. Ale ta laska... Oda... na jej temat trudno cokolwiek znaleźć.

Na próżno próbowaliśmy odcyfrować kolejne warstwy obrazu. Otworzyliśmy usta, by

zadać pytanie, gdy na końcu tunelu pojawiła się Oda. Nie była sama.

Czasami trzeba zapomnieć o godności pod naciskiem czystego, karmionego adrenaliną instynktu. Instynkt wzywał mnie do walki lub ucieczki, ale w długim, mrocznym tunelu o wyłożonych płytkami ścianach, biegnącym pod obwodnicą, nie było dokąd uciekać. Wstaliśmy pośpiesznie, zatrzymując w koniuszkach palców łoskot ruchu drogowego, by móc go w każdej chwili uwolnić.

- Mieliśmy się spotkać w cztery oczy - powiedzieliśmy bardzo ostrożnie.

Blackjack również wstał, spoglądając na dwóch mężczyzn stojących po obu bokach Ody. Jego twarz przybrała zimny, nerwowy wyraz. Poruszał palcami luźno zwisających rąk.

- Ktoś chce z tobą pomówić - oznajmiła kobieta.

Obaj towarzyszący jej mężczyźni sięgnęli do kieszeni. Nie zdążyli nawet wyjąć z nich rąk, gdy Blackjack sięgnął do torby i wokół pięści owinął mu się kawałek łańcucha, który rósł pod jego dotykiem, zmieniając się w przeszywającego powietrze węża złożonego z ogniwi. Obaj mężczyźni wyciągnęli pistolety. Odruchowo zgasilem światła, sięgając do jarzeniówek dudniącym ciepłem nadal wypełniającym mi palce. Wszystkie eksplodowały z głośnym trzaskiem. Na ziemię posypały się odłamki szkła. Skryłem głowę w dłoniach, osłaniając ją przed szklanym deszczem, a potem odwróciłem się i rzuciłem do ucieczki.

Usłyszałem w mroku głośny grzechot łańcucha uderzającego o ścianę, chrzęst płytek wrywanych z niej przez metalowe ogniwa. Słyszałem też tupot nóg, stukot zamków i przekładni. Być może w innej sytuacji stanęlibyśmy do walki, spalilibyśmy ich za to, że odważyli się rzucić nam wyzwanie, ale bałem się pistoletów. Nie miałem ochoty próbować powstrzymywać kul w ciemności. To było zbyt nieprzewidywalne. Wyciągnąłem rękę, by dotknąć ściany, i ruszyłem niepewnie ku złotemu światłu u drugiego końca tunelu, jak najdalej od Ody, Blackjacka i facetów w czerni. Usłyszałem strzał. Nie brzmiał tak, jak się spodziewałem - raczej jak odgłos wiatrówki niż chemiczna eksplozja - ale tak czy inaczej potem rozległ się krzyk. Głos mógł należeć do Blackjacka. Przez chwilę zastanawiałem się, czy po niego nie wrócić, nie podnieść wszystkich kawałków szkła leżących na ziemi i nie cisnąć ich w głąb tunelu jak falę gniewnych much, ale dotarłem już do klatki schodowej i za chwilę znajdę się na otwartej przestrzeni, gdzie będę wszystko widział, co pozwoli mi użyć do walki skuteczniejszych narzędzi i...

- Hej, czarnoksiężniku?

Głos dobiegał z chodnika nad wylotem klatki schodowej, poza zasięgiem mojego wzroku. Stamtąd zapewne nadleciała też strzałka, która wbiła mi się w plecy niczym nos rozgniewanego miecznika. Mój świat zacieśnił się szybko do maleńkiej plamki złotego

światła, która wciąż się kurczyła, aż wreszcie zgasła z westchnieniem, zabierając mnie ze sobą.

* * *

Ocknęliśmy się, nie wiedząc, gdzie jesteśmy. Zdezorientowani i przerażeni, uderzyliśmy w najbliższy obiekt w zasięgu, tłukąc przednią szybę przed miejscem dla pasażera. Odłamki kuloodpornego szkła posypały się na wszystkie strony. Nagle jednak poczuliśmy na karku bolesne, elektryczne dotknięcie. Nadeszła ciemność, z której nie mogły nas przebudzić nawet najgwałtowniejsze sny.

* * *

Gdy ponownie odzyskaliśmy przytomność, czuliśmy ucisk w piersi i straszliwy ból w barkach. Ręce mieliśmy obolałe, a w krzyżu, gdzie uderzyła strzałka wypuszczona przez kogoś, kogo nie obchodziło, jak głęboko wbije się pocisk, utworzyła się gorąca plamka krwi. W chwili przebudzenia szarpnęliśmy się gwałtownie pod wpływem strachu, ale tym razem świadomość szybciej przejęła kontrolę. Zaciskałem powieki, oddychałem miarowo i starałem się, by moja twarz nic nie wyrażała, wkładając w to wszystkie swe siły.

Zdradził nas jednak ów pierwszy, mimowolny ruch. Usłyszeliśmy głos Ody, przebijający się przez hałas ruchu, regularny puls neonów i zimny oddech wiatru wpadającego do środka przez rozbitą szybę.

- Znowu się ocknął - powiedziała i ktoś wysłał nas z powrotem w ciemność.

* * *

Ostatnie przebudzenie podczas podróży trwało najdłużej. Nie słyszałem już wokół hałasów ruchu drogowego, ale ból stawów wzmógł się dziesięciokrotnie. Odzyskałem przytomność, stopniowo uświadamiając sobie, że szarość na granicy mojego pola widzenia to zapowiedź wschodu słońca, wilgoć pokrywająca mi twarz pochodzi od rosy na trawie, zimna ciecz wsiąkająca w ubranie od błota, na które mnie rzucono, a ból w barkach bierze się stąd, że wykręcono mi ręce i unieruchomiono je z tyłu. Leżałem na nich, skutecznie odcinając dopływ krwi do palców. Byłem ledwie żywy i dręczyły mnie mdłości, ale nie czułem strachu. Być może kolejne przebudzenia i utraty przytomności uodporniły mnie na to uczucie, a może po prostu cieszyłem się, że żyję. Nie wiedziałem tego i nic mnie to nie obchodziło. Spokój wypełniający mój umysł sam w sobie przynosił ulgę.

Świat nas fascynował. Teraz, gdy nasza głowa leżała na trawie, widziałem go pod innym kątem niż zwykle. Nad szczytem kredowego wzgórza pojawiły się pierwsze, blade

promienie słońca. Poczuliśmy zapach błota, zwierząt, zeschniętych liści, pleśni, deszczu, rosy, krowiego nawozu i świeżej wody, a także lekką nutę odoru palonych opon. Słyszeliśmy głosy strzyżyków, wróbli, szpaków, srok, kosów, sikor modrych i dzięciołów, widzieliśmy, zaledwie cal od naszego nosa, maleńkie muszki i inne owady łączące po błocie, niektóre z nich równie delikatne jak leciutka mżawka, widziana nocą w świetle latarni. Nigdy nie widzieliśmy tak wiele otwartej pustki, nie wyobrażaliśmy też sobie, że nicość może być tak pełna życia w bladym świetle. Szukaliśmy mocy, którą moglibyśmy przyciągnąć do naszych rąk, by uwolnić je z ciasnych plastikowych kajdanek. Palce szybko nam drętwiały, a choć moc gdzieś tam była, wyczuwaliśmy jakiś rodzaj magii, esencję zalegającą w zimnym powietrzu, była ona dla nas obca, jak echo słyszanej w oddali piosenki.

Byliśmy na wsi.

Cholernej wsi, pełnej pyłków, trawy i rosy.

W promieniu pół mili nie było ani jednego neonu, ani jednego kabla elektrycznego, rury wodociągowej czy przewodu gazowego. Nie miałem nic, w co mógłbym się uzbroić, poza odrobiną ciepła, zachowaną w naszej krwi.

- Jak rozumiem, nie lubi pan wsi - usłyszałem czyjś głos.

- Ma swoje uroki - wychrypiałem, czując w ustach smak żółci.

- Ale jest pan miejskim magiem, panie Swift. Skłonności kierują pana gdzie indziej, znajduje pan moc w miastach, a nie na polach, prawda?

- To tylko punkt widzenia - wyszeptałem. - Nic więcej.

Złapał mnie za łokcie i barki. Świat odzyskał naturalną pozycję. Przełknąłem ślinę, próbując stłumić smak kwasu w gardle, i przymknąłem powieki, by opanować zawroty głowy. Otworzywszy oczy, zobaczyłem czarne, skórzane buty, eleganckie, czarne spodnie, marynarkę tego samego koloru oraz - to były złe wieści - koloratkę i fioletowy ornat. Nie wolno nie doceniać absurdalnych rzeczy, jakie robiono w imię semantycznych niejasności o charakterze religijnym.

Twarz odzianego w ten strój mężczyzny była okrągła i uśmiechnięta. Wyglądała przyjaźnie, jak wszystkie aligatory, które chcą tylko z tobą porozmawiać. Była barwy ciemnej czekolady, ale kędzierzawe włosy nieznajomego miały srebrnosiwą kolor. Z tyłu powiązał je sobie w dredy tak ciasne, że podejrzewałem, iż nigdy nie da się ich rozsupłać.

- Czy mogę coś panu zasugerować, panie Swift? - zapytał posiadacz owego wyglądu cichym głosem o łagodnym, lirycznym tonie.

- Gdzie motocyklista? - zapytałem. - Co zrobiliście z Blackjackiem?

- Ma się świetnie.

- To znaczy? Zrobiliście z niego świetny kotlet mielony?

- Biorąc pod uwagę pańską sytuację, chyba będzie pan musiał mi uwierzyć na słowo, panie Swift.

Rozejrzałem się ostrożnie. Pole, na którym mnie wyrzucono, z dwóch stron ograniczały szpalery wysokich drzew. W dwóch pozostałych kierunkach błotnisty teren ciągnął się bez końca. Ten widok w niczym mi nie pomógł. Wokół zgromadziła się grupka mężczyzn i kobiet, w najrozmaitszym wieku i o różnych kolorach skóry, stojących w pozach wyrażających groźbę bądź nieufność. Mężczyzn było więcej. Niektórzy z obecnych trzymali broń. Z bliskim niesmaku uczuciem zauważyliśmy, że paru ma nawet miecze albo toporki strażackie. Wyglądali na ludzi, którzy nie tylko potrafią się nimi posługiwać, lecz również sprawia im to przyjemność. Była wśród nich Oda. W jednej ręce trzymała schowany w zdobnej pochwie zakrzywiony miecz, przypominający samurajską kataną, na drugim ramieniu zaś zwisał bardziej pasujący do sytuacji karabin maszynowy. Miał solidną, drewnianą kolbę i wyglądał na dobrze utrzymany.

Gapiała się na mnie, a w jej wzroku nie było śladu litości.

- Czegoś ode mnie chcecie - wyjąkałem, starając się nie odrywać wzroku od srebrnowłosego mężczyzny.

- Pragnę panu zadać pewne pytanie. Czy raczej inni prosili, bym je panu zadał. Osobiście raczej wątpię, by przeżył pan sąd, ale próby są konieczne, nawet w obecnych czasach i w przypadku kogoś tak zredukowanego jak pan.

- Przyciągnął pan moją uwagę.

- Czy potrafi pan nad nimi zapanować?

- Słucham?

- To bardzo proste, panie Swift. Czy potrafi pan nad nimi zapanować?

- Nie rozumiem.

- Proszę, niech pan nie zgrywa niewiniątka. Od tej odpowiedzi zależy pańskie życie. Jeśli dojdę do wniosku, że nie jest pan w stanie utrzymać w ryzach istot, które obecnie w panu mieszkają, uznam pana za zagrożenie równie wielkie lub większe od tego, które próbuje pan aktualnie powstrzymać, każę ściąć panu głowę, odstrzelić twarz, spalić odciski palców, a pozostałe szczątki wrzucić do kilku różnych rzek wpadających do pełnych ryb mórz. Proszę więc, by potraktował pan to pytanie poważnie. Tak czy inaczej, otrzymam na nie odpowiedź. Czy potrafi pan nad nimi zapanować?

Obliziałem wargi, czując drżenie w kościach.

- Jestem czarnoksiężnikiem. Uczono mnie...

- Nie chodzi o pańskie czary! - warknął. - Niech mi pan opowie o nich!

- O kim?

Uderzył nas grzbietem dłoni w twarz. Jego kłykcie wbiły się w naszą szczękę. Przeszył nas porażający ból. Zdumienie przerodziło się w gniew. Kilku obecnych mnie podniosło.

- Potrafi pan nad nimi zapanować? - zapytał po raz drugi.

- Kim jesteście?

Walnął nas z drugiej strony, a gdy spróbowaliśmy się podnieść o własnych siłach, zrobił to po raz trzeci, obalając nas z powrotem na ziemię. Stłumiłem gniew, gasząc srebrne strugi elektrycznego błękitu w oczach. Czekaliśmy, aż znowu nas podniosą.

- Z pewnością jest pan wściekły, panie Swift - rzekł mężczyzna, gdy to zrobili. - Z pewnością się pan boi. Raz już pan umarł, a tacy jak pan mogą zobaczyć tylko piekielny ogień, kiedy ich serce się zatrzyma, więc musi się pan bać. Czy potrafi pan nad nimi zapanować, gdy myślą o śmierci, zastanawiają się nad perspektywą utraty świeżo zdobytej egzystencji, czy potrafi pan powstrzymać je przed atakiem, zatrzymać pod powierzchnią spokojnych wód rozsądku, przekonać je, żeby nie walczyły, nie kopały, nie wrzeszczały gniewnie? Czy potrafi pan pozostać człowiekiem? Zapanować nad nimi?

Zbyt długo zastanawiałem się nad odpowiedzią, czując w ustach smak krwi. Uderzył nas po raz kolejny, a potem nadepnął nam na kark, wciskając twarz w błoto.

- Czy pańska krew już płonie? - wysyczał, pochylając się nad nami. - Czy potrafi pan zgasić ten ogień?

Warknęliśmy na niego, próbując się wysliznąć spod jego nogi, ale on tylko się uśmiechnął i przewrócił nas kopniakiem na bok. Teraz naprawdę się wściekliśmy. Byliśmy gotowi wyrwać mu serce i zmiażdżyć je w dłoniach, zagotować krew w jego żyłach, a potem...

Zacisnąłem powieki ze wszystkich sił, by powstrzymać błękit. Wcisnąłem twarz głębiej w ziemię, czując na skórze jej chłód. Oddychałem szybko, starając się uwolnić mięśnie od bólu, wygnać żar z krwi. Znowu mnie podnieśli. Srebrnowłosego mężczyznę podszedł bliżej i uniósł moją głowę, aż krew spłynęła z nosa do ust. Pochylił się ku mnie. Poczulem jego oddech, pachnący kawą i zbyt długim czasem minionym od ostatniego mycia zębów.

- Co ci teraz mówią, czarnoksiężniku? - wysyczał. - Czy kulą się ze strachu jak dzieci, którymi przecież są, czy może mają mroczniejsze zamiary, bardziej agresywne cele? Jak to jest, panie Swift?

- Będzie pan musiał sam to rozstrzygnąć - wyszczałem przez pełne krwi usta.

Pociągnął boleśnie moją głowę ku górze, wpatrując się w nasze niebieskie oczy. Potem chrząknął, odepchnął mnie do tyłu i się odsunął.

Próbowałem uspokoić stopniowo nasz gniew, udobruchać go rozsądnie brzmiącymi argumentami, ukoić strach myślą, że gdyby chodziło mu tylko o zabicie nas, nawet nie zdążylibyśmy nic zauważyć. Jednocześnie zacząłem pocierać delikatnie palcami wewnętrzną powierzchnię dłoni, czując pod nimi żyzną, ciemną glebę. Kryła się w niej nuta potężnej, aktywnej magii, delikatna i trudno wykrywalna dla moich przyzwyczajonych do miasta zmysłów. Nie byłem druidem i nie rozumiałem procesów natury, ale kto wie, być może zdołam stąd zaczerpnąć odrobinę mocy, jeśli tylko spojrzę na to pod odpowiednim kątem. Nawet w tym miejscu, dziwnym dla nas i niezwykłym, było piękno, które w naszych oczach równało się magii.

- Chcę z nimi porozmawiać - oznajmił nagle srebrnowłoso.

- Z kim? - wymamrotałem, dotykając zębów językiem, by sprawdzić, czy się nie chwieją.

- Nie traćmy czasu na definicje. Chcę z nimi porozmawiać.

- Jest pan idiotą - stwierdziłem. - Tu nie ma nikogo oprócz mnie. Myśli pan, że mam w brzuchu obcego albo noszę na ramieniu syjamskiego bliźniaka, który nie miał szansy dorosnąć? Rozmawia pan ze mną.

Spodziewałem się, że znowu mnie uderzy. Niemalże cieszyliśmy się na tę myśl, gotowi na furię eksplodującą wraz z bólem. Kto wie, być może to wystarczy, by dać nam siłę i pasję, potrzebne, by przyciągnąć maleńki fragment nieuchwytnej mocy, jaką można było tu znaleźć, i za jej pomocą rozsadzić pierś srebrnowłosego. Ku mojemu zaskoczeniu nie uderzył mnie jednak, a tylko przykucnął obok.

- Pozwoli pan, że powiem, co myślę.

Skinałem głową, zahipnotyzowany jego spojrzeniem i smakiem krwi w ustach.

- Jestem człowiekiem, który żyje słowami, rozumie pan? Czytam, oddaję się studiom i myślę. Nauczyłem się myśleć wyłącznie w słowach, logicznych, liniowych strukturach, zdaniach o poprawnej interpunkcji, mogącej zdefiniować tok myślenia i doprowadzić do zrozumienia. Nic nie zostawiam przypadkowi. Jestem też człowiekiem wiary. Jeśli na końcu łańcucha logicznego rozumowania, gdy już uwzględnię całą zgromadzoną przez siebie wiedzę, a jest ona znaczna, trafiam na niekończący się szereg pytań i wątpliwości, wiem, że odpowiedź istnieje. Może pan oponować, gdy nazywam ją Bogiem, zapewne sądzi pan, że to zbyt niejasny termin. W porządku, rozumiem to. Wyobraża pan sobie ogromnego mężczyznę

z brodą, ale ja myślę o mocy. Bóg jest mocą. Jest siłą, pewnością, ruchem, zmianą, kierunkiem. Siedzi na końcu wszechrzeczy i potępi cię, czarnoksiężniku. Nie za to, że jesteś heretykiem, choć to prawda, nie za to, że twoja dusza jest nieodwracalnie czarna i skażona, ani nie za to, że zabijałeś, kradłeś albo walczyłeś. Wszystkie te grzechy można zmazać w ogniu. Potępi cię, ponieważ pragniesz stać się mu równy i w swej arogancji nawet nie myślisz o konsekwencjach.

- Macie zamiar mnie spalić? - wykrztusiłem, ponieważ najwyraźniej oczekiwał jakiejś odpowiedzi. - Możecie spróbować - dodaliśmy. Natychmiast ugryzłem się w język tak mocno, że ból wypełnił mi uszy.

Nie mogłem się zorientować, czy zauważył nasze potknięcie. Zachichotał tylko bez śladu wesołości.

- Czasy się zmieniły. Dobro musi być miłosierne, nawet jeśli miłosierdziem dla potępionych może być jedynie szybka śmierć.

- To nie brzmi zbyt pocieszająco.

- Problem w tym, że życie nie jest już takie proste, jak w czasach Księgi. Utylitaryzm zmusza nas do wyboru mniejszego zła. Kiedy rozważam myśl, że twoja niegodziwość przetrwa, znajduję pocieszenie w świadomości, że, gdy nadejdzie dzień sądu i wszyscy staniemy nago przed obliczem Pana, ty będziesz potępiony, a ja nie. Tymczasem jednak może uda mi się ulżyć nieco doli niewinnych w tym życiu, wysyłając cię do walki przeciwko drugiemu, który jest jeszcze bardziej plugawy od ciebie.

- Przeciwko Bakkerowi - domyśliłem się bez trudu.

- Przeciwko Robertowi Jamesowi Bakkerowi - potwierdził. Poklepał się po udach i wstał z nagle dobroduszną miną. - Oczywiście, gdyby nie był pan w takim stanie, jak obecnie, po prostu pozwoliłbym, żebyście rozerwali się nawzajem na strzępy. Czarnoksiężnik przeciwko czarnoksiężnikowi. Sądzę jednak, że on jest potężniejszy, niż pan kiedykolwiek był, nawet jeśli wybrał pana na swego ucznia, Matthew Swift. Mogłaby mnie pocieszyć myśl, że osłabiłby go pan na jakiś czas swym atakiem, on zaś, zabijając pana, uwolnił świat od jednego czarnoksiężnika. To jednak nie rozwiązuje naszego początkowego problemu, nieprawdaż? Jak można pokonać człowieka takiego jak Robert Bakker? Człowieka otoczonego najróżniejszymi osłonami i mnóstwem sojuszników, człowieka, który ma potężnych przyjaciół i dysponuje własnymi mocami, którego wrogowie giną, nawet jeśli przed upadkiem wydawali się potężni? Przekonałem się, że w takiej sytuacji jestem zmuszony zawrzeć pakt z lepszymi diabłami, by pokonać gorszego. Czy to ma sens?

Skinąłem głową.

- To prowadzi do jedyne go poważnego problemu, jaki mam. Jestem w pełni skłonny pozwolić panu na razie żyć, panie Swift, w nadziei że pan i Bakker zniszczycie się nawzajem. Nim jednak pana wypuszczę, muszę się upewnić, że nie jest pan większym zagrożeniem. Że istoty utrzymujące pana przy życiu nie zniszczyły jeszcze wszelkich hamulców. A zatem, Matthew Swift... - Strzepnął z czarnych spodni niewidzialny kurz. - Porozmawiajmy o niebieskich elektrycznych aniołach.

Spojrzeliliśmy mu prosto w oczy i nie odwróciliśmy wzroku. Z zadowoleniem zauważyłem na jego twarzy cień zwątpienia.

- Trudno nas zabić, jeśli zamierza pan podjąć taką próbę - oznajmiliśmy. - Przetrywamy, nawet jeśli nie w tym miejscu.

Z satysfakcją wypuścił powietrze z płuc.

- Cieszę się, że w końcu was spotkałem - wyszeptał.

- Nigdzie nie odchodziłem - odparłem. - Nawet jeśli nas zabijecie, przetrwamy i znajdziemy drogę powrotu. Taka jest nasza natura, nawet jeśli nie będę z tego zadowolony.

- To zdumiewające!

- Co?

- Jak pan przechodzi od jednego do drugiego, nawet nie mrugając. W jednej chwili potwór spoza królestwa krwi i kości, a w następnej mały gniewny człowieczek, nagle odcięty od całej mocy, którą zwykł się popisywać. Przejście jest absolutnie gładkie, nawet nie widać szwów. To nie jest zwyczajne opętanie, ale coś subtelniejszego, tak?

- Jesteśmy jednym i tym samym - zapewniliśmy.

- Tym samym czym? Ciałem? To nic nie znaczy. Nie oglądał pan starych horrorów z lat siedemdziesiątych?

- Jesteśmy Matthew Swiftem.

- Jakkolwiek pretensjonalny mógł być za życia, wątpię, by zwykł mówić o sobie w liczbie mnogiej.

- Jestem niebieskimi elektrycznymi aniołami - wyjaśniłem, zlizując smak soli i żelaza z kącików ust. - To naprawdę bardzo proste. My to ja, a ja to my.

- Dla mnie to wcale nie brzmi prosto.

- Ma pan ograniczoną wyobraźnię. Spodziewałem się tego.

Zacisnął zęby.

- Interesuje mnie, w jaki sposób znalazł się pan w tej sytuacji, panie Niebieskooki Swift.

- Przypuszczam, że jeden z waszych ludzi mnie postrzelił. Nie pamiętam tego zbyt

dokładnie.

- Chodziło mi raczej o to, jak to się stało, że znalazł się pan pod władzą...

- Nie ma w tym żadnej władzy! - warknęliśmy.

- Pod władzą - powtórzył stanowczo - istot tak dziwnych, jak niebieskie elektryczne anioły.

- Wątpię, by potrafił pan to zrozumieć.

- Moim zadaniem nie jest zrozumienie, lecz osąd.

- To nie brzmi zbyt pocieszająco.

- Nie chce pan zyskać na czasie? Przekonać się, czy zdoła pan przystosować swe zmysły do miejscowej magii, namówić mózg do szukania jej w liściach i świetle słońca, nie w betonie i w neonach? Z pewnością pan chce. Proszę mi o wszystkim opowiedzieć.

Z drżeniem wypuściłem z płuc powietrze. Nawet nie zauważyłem, że je wstrzymywałem. Pustka w piersi odebrała mi wolę walki. Potrząsnąłem głową.

- W porządku - mruknąłem. - W porządku. To było mniej więcej tak.

Pierwsze interludium

Cień czarnoksiężnika

w którym

*wspomina się pewne chwile,
o których lepiej byłoby zapomnieć*

Kiedy miałem czternaście lat, zaczęły do mnie mówić telefony. Pewnego dnia pomyliłem numer. Chciałem się dodzwonić do miejscowej biblioteki, ale połączyłem się z bankową infolinią. Oto, co usłyszałem:

- Witamy w bankowej infolinii! Żeby zmienić dane karty kredytowej, naciśnij jeden. Żeby sprawdzić stan konta, naciśnij dwa. Żeby tańczyć w ogniu aż po kres swych dni, proszę, naciśnij trzy. Hej, mówi Mara. Przepraszam, wyszłam na chwilę. Jeśli zostawisz wiadomość po sygnale, z pewnością wrócę do ciebie, gdy ścianę ogarną cienie. Dziękuję! Jakiej usługi potrzebujesz? Policji, straży pożarnej, pogotowia czy egzorcysty? Żeby odwołać stałe zlecenie płatnicze, naciśnij gwiazdkę. Żeby wysłać duszę w nieskończoną pustkę szybciej niż mgnienie oka umysłu śniącego w blasku księżyca, naciśnij krzyżyk.

I tak dalej.

Czekałem na przystankach autobusowych, aż szczury przyjdą mi się przyjrzeć. Nocami biegałem po ulicach i radość płynąca z wolności omal mnie nie zabiła. Zapominałem o jedzeniu, piciu i spaniu, upijałem się wrażeniem wypełniającym mi kości pięknem otaczających mnie światła, zmysłami innych istot.

Kiedy mnie znalazł, ważyłem nieco ponad pięćdziesiąt kilogramów, właśnie oblałem egzamin GCSE, brałem środki uspokajające i chcieli mnie zamknąć w domu opieki. Traktował mnie dobrze, zabrał z domu, gdzie matka próbowała się opiekować mną i babcią. Nie sprzeciwiła się, gdy ten bogaty, sympatyczny mężczyzna zaproponował, że się mną zajmie. Dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, że nie tylko jego uśmiech skłonił ją do

tego. Babcia powtarzała, żebym zawsze ufał gołębiom, a gdy mu powiedziałem, że nie wiem, o co jej chodziło, uśmiechnął się tylko, pogłaskał mnie po ramieniu i zapewnił, że wszystko będzie dobrze, pewnego dnia wszystko zrozumie. Magia to nie genetyka, nie jest zaprogramowana w naszym DNA, ale dziedziczy się ją w rodzinach. To tak, jak w jednej rodzinie wszyscy są ponurzy, w drugiej weseli, a w trzeciej mają swój szczególny sposób mówienia. Na przykład, mama nie lubiła miasta, ale gdy tylko wyjechaliśmy na wieś, wyglądała zupełnie jak ja, kiedy po raz pierwszy zakosztowałem miejskiej magii. Promieniała od niej, a gdy wszystkie formy owej magii wypełniały jej krew, wzmacniały ją samą swą obecnością. To nie było zaklęcie, ale coś więcej - więź, świadomość, że dotknęła czegoś szczególnego, nieopisanego, nieskończenie bogatego. Nauczyłem się od niej cieszyć się życiem, ale ja owo wrażenie znajdowałem w mieście i właśnie to, nic więcej, czyni mnie czarnoksiężnikiem.

Powiedział, że nazywa się Robert James Bakker, ale mam mu mówić Bobby. Ja jednak nazywałem go panem Bakkerem, jak kazała mama. Zapłacił za powtórkę egzaminu, wynajął dla mnie nauczyciela i zdałem. Nie najlepiej, ale to wystarczyło. Powiedział, że trzeba zrozumieć umysły innych, ich naukę i idee, by móc ich przerosnąć. Żeby być dobrym czarnoksiężnikiem, najpierw trzeba stać się dobrym człowiekiem. Po zaliczeniu egzaminu poszedł ze mną na miasto i udzielił mi pierwszej lekcji. Szliśmy pustym pasażem handlowym na Leadenhall Market, późną nocą. Wiał wiatr od rzeki. Bakker nauczył mnie czuć światło na skórze, jakby było jedwabiem, ujmować je w palce i otulać się nim jak płaszczem, przyciągać je do siebie ze ścian i sufitów, aż zaczynałem płonąć od jasności, a wszystko wokół spowijała ciemność. Nauczył mnie chować je w swoim wnętrzu jako gorejący pożar serca, a także nosić na sobie. Dowiedziałem się, jak wzywać Króla Żebraków, poznałem legendy miasta - Nocny Burmistrz, Tłusty Szczur, Siedem Sióstr, smok strzegący starego Muru Londyńskiego, *Domine dirige nos* - stare zasady i nową magię. Dowiedziałem się od niego wszystkiego, co wiem. Przez blisko dziesięć lat był dla mnie nauczycielem, sponsorem, ojcem i przyjacielem. Bogatym, dobrym i potężnym. W dzieciństwie nawet sobie nie wyobrażałem czegoś podobnego.

Czarnoksiężnicy nie używają podręczników, nie stosują formalnych lekcji ani rytualnych zaklęć czy inkantacji jak magowie. Oni posiłkują się mądrością innych, gestami mocy, słowami rozkazu. Ich magia jest skupiona i precyzyjna. Ta, którą uprawiają czarnoksiężnicy, ma inny charakter. Naszym talentem jest dostrzeżenie mocy w najzwyczajniejszych rzeczach i naginanie jej do swej woli. Nasza magia jest dzika, wolna, piękna i niebezpieczna. Przede wszystkim musimy się nauczyć panować nad mocą i każdy z

nas osiąga ten cel z różną prędkością. Niektórzy czarnoksiężnicy całkowicie podporządkowują swą naturę rytmom miasta, zapominają, że nie mają skrzydeł albo że właśnie stoją na Knightsbridge, ponieważ ich umysł jest zbyt zajęty śledzeniem autobusu numer dziewięć, jadącego przez Piccadilly, a wzrok w tej samej chwili zagubił się w zmysłach szczura przebywającego gdzieś w Enfield. Inni bezlitośnie ustanawiają swą dominację, minimalizują swe poczynania, wszystko robią ściśle i precyzyjnie, radując się tym, co potrafią zrobić tylko dla siebie. Wybierają ściśle określone cele zamiast bogactwa czarów znanego innym.

Bakker powiedział, że mogę się stać kimkolwiek zechcę, że każdy czarnoksiężnik ma własną, niepowtarzalną naturę. Pozostałem jego uczniem aż do dwudziestego czwartego roku życia, ale nie zdołałem osiągnąć takiej kontroli jak on. Był już wówczas mężczyzną w średnim wieku, ale sprawiał wrażenie znacznie młodszego. Jego osobowość - tętniąca życiem, potężna i namiętna - odciskała się na uprawianej przezeń magii, pełnej ekstrawaganckich pokazów mocy z pozoru niemożliwej do opanowania. A jednak zawsze udawało mu się zachować kontrolę, w najsubtelniejszy możliwy sposób. Nigdy nie spotkałem potężniejszego ani bardziej utalentowanego czarnoksiężnika. Wystarczyło, by zaczerpnął haust nadrzecznego powietrza, a jego zapach dostarczał mu energii, by przebiec milę. Materia życia wypełniała go tak bardzo, że w końcu musiał pęknąć.

Kiedy miałem dwadzieścia cztery lata, oznajmił mi, że jestem gotowy, że moje życie należy do mnie i mogę robić, co zechcę. Posłuchałem go. Podróżowałem: do Bangkoku, Pekinu, Berlina, Paryża, Rzymu, Madrytu, Nowego Jorku. Wszędzie zarabiałem na życie nauką angielskiego albo pracowałem przez kilka miesięcy jako sprzątacznik czy na zmywaku. Chciałem doświadczyć różnorodnej magii tych wszystkich miast. W Nowym Jorku powietrze jest tak naelektryzowane, że gdy człowiek chodzi, niemal że sypie iskrami. W Madrycie na każdym rogu czyhają cienie, szepczące do ucha swe historie tym, którzy nocą chodzą po ulicach. W Berlinie moc jest czysta i gładka jak jedwab, jakby ktoś przechodził przez niewidzialny wodospad o temperaturze ciała, ukryty w mrocznej jaskini. W Pekinie była jak gorące ciarki na skórze, jak wiatr rozbity na tysiąc fragmentów, a każdy z nich przynosił odprysk ciepła z innego miejsca, muskający skórę jak kosmaty kot, który próbuje przyciągnąć uwagę.

Może się panu wydawać, że to niewiele warte życie. Podróżowałem, nie miałem domu ani stałych przyjaciół. Dla mnie jednak było to nieustannym objawieniem, a Bakker nauczył mnie, że tym właśnie powinno być życie czarnoksiężnika, nawet takiego, który nigdzie nie wędruje. Mówił, że nawet jeśli któryś z nas przez całe życie chodzi dwa razy dziennie tą samą

ulicą, powinien być w stanie za każdym razem zauważyć na niej coś nowego. Raduj się tym, co widzisz, tym, co masz: dźwiękami, widokami, dotykami, zapachami. To właśnie czyni cię czarnoksiężnikiem, umożliwia zrozumienie, czym naprawdę jest magia. Potrzebowałem trochę czasu, by pojąć, co chciał mi powiedzieć. Miał rację. Cokolwiek stało się z nim później, zawsze będę pamiętał, że wtedy miał rację.

Oszczędzę panu szczegółów moich poczynań. Jak sam pan zauważył, nie zaliczałem się do szczególnie interesujących czarnoksiężników. Nie próbowałem zmieniać świata, nie gorzał we mnie ogień żadnej krucjaty. Przeskoczę kawałek do przodu.

Wróciłem do Londynu. Trochę pracowałem i trochę żyłem, nic nadzwyczajnego. Potem, jakieś dwa lata temu, zadzwoniono do mnie z biura Roberta Bakkerera. Miał udar i leżał w szpitalu. Chciał się ze mną zobaczyć. W pierwszej chwili nie potrafiłem pojąć, jak to możliwe, że ten silny, pełen życia człowiek okazał się śmiertelnikiem. Niemniej wszyscy się starzeją, choćby tylko cieleśnie. Oczywiście poszedłem go odwiedzić. Każdy by tak postąpił. Z ulgą się przekonałem, że jego umysł zachował sprawność. Poznał mnie i rozmawiał ze mną sensownie, nie zauważyłem też, by miał trudności z codziennymi, automatycznymi czynnościami, jakie udary niekiedy upośledzają, na przykład podniesieniem widelca do ust czy wkładaniem koszuli. Wszystko to dobrze pamiętał. Wystąpiły jednak komplikacje, lekarze nie byli pewni, jak bardzo poważne. Sprowadzono najlepszych konsultantów, by uspokoić pacjenta.

Z upływem tygodni stało się jednak jasne, że sprawa jest poważna. Był sparaliżowany od pasa w dół i stwierdzono, że nigdy już nie będzie chodził.

Z początku próbował zbyć to żartem. Mówił, że wreszcie będzie miał pretekst, by oddawać się lenistwu, czego zawsze pragnął. Niemniej paraliż to nie tylko niezdolność poruszania się, lecz również utrata godności. Nie potrafił już bez pomocy wciągnąć spodni, pójść do toalety, wejść pod prysznic albo na schody, wyjść z wanny, sięgnąć po stojącą na półce książkę albo po garnek, by ugotować sobie obiad. Myślę, że to właśnie poczucie poniżenia zapoczątkowało zmianę, jaka w nim zaszła. W ciągu następnych tygodni, gdy poddawano go fizjoterapii, podczas kolejnych wizyt wyczuwałem w nim narastający gniew na niesprawiedliwą zniewagę, jaka go spotkała. Przecież nigdy nie palił, nie pił zbyt wiele, nie podróżował do niebezpiecznych miejsc ani nawet nie angażował się w szczególnie ryzykowne kontakty seksualne. A mimo to musiał jeździć na wózku. Mówił, że się starzeje, że życie przecieka mu przez palce, i pierwszy raz słyszałem w jego głosie gniew.

Pewnego wieczoru zadzwoniono do mnie z jego biura i poproszono, bym natychmiast przybył do szpitala. Myślałem, że stało mu się coś strasznego, ale gdy tam przyszedłem,

siedział spokojnie na łóżku, trzymając w ręce telefon.

- Matthew, chcę wezwać anioły - oznajmił.

Powiedział to tak spokojnym, pozbawionym wyrazu tonem, że ledwie mogłem uwierzyć własnym uszom. Z początku nie mogłem dobyć głosu. Dopiero po chwili zdołałem powiedzieć „Po co?”, „To niebezpieczne” i kilka innych pozbawionych znaczenia rzeczy.

- Lekarze mówią mi, że umieram - odparł. - To nie był tylko jeden udar. Grożą mi następne. Za kilka dni, tygodni, miesięcy albo lat, nie są pewni kiedy, nadejdą kolejne małe udary, być może tak niewielkie, że nawet ich nie zauważę, albo wystarczająco silne, by pozbawić mnie czucia w palcach. Tak czy inaczej, z czasem pochłoną mój mózg, umysł, wspomnienia i uczucia, aż stanę się bełkoczącym wrakiem. Chcę wezwać anioły.

- I w czym one panu pomogą? - zapytałem.

- Słyszałeś je - odparł. - Zastanów się.

Nie miał w zwyczaju udzielać bezpośrednich odpowiedzi, zawsze chciał, by rozmówca sam wyciągnął wnioski. Mówił mi, że jeśli potrafię samodzielnie zrozumieć, dlaczego coś jest prawdą, uwierzę w to łatwiej, niż gdybym usłyszał to od nauczyciela.

- Ale po co jestem panu potrzebny? Z pewnością nadal są w sygnale telefonicznym?

- Nie słyszę ich. - Podał mi słuchawkę i po raz pierwszy spojrział mi prosto w oczy - Chcę, żebyś posłuchał i powiedział mi, czy tam są.

Wzięłem od niego słuchawkę. Byłem nauczony go słuchać. Gdy człowiek uczy się czarów, nieposłuszeństwo może być niebezpieczne. Wyteżyłem słuch.

Nie wykręcił żadnego numeru, ale w przypadku aniołów to nie jest konieczne. Zawsze najbardziej lubiły otwarte linie. W końcu usłyszałem ich głos, przebijający się przez sygnał.

Zaczęło się od *biiiiip* sygnału. Potem, gdy się wsłuchałem, usłyszałem coś więcej. Głos o dokładnie tym samym tonie co sygnał, niemniej jednak głos.

Po chwili zrozumiałem słowa:

- Staaaaaań sięęęęę mnaaaaa...

Po chwili powiedziały coś jeszcze:

- Staaań sięęęęę mnaaaaa iiii baaaaądz wooolnyyyyy...

Anioły schodziły się stopniowo, uświadamiając sobie, że mają słuchacza.

Myśmy są...

...zobacz...

uwolnij...

Myśmy są światło, myśmy są życie, myśmy są ogień!

Wyśpiewujemy elektryczny płomień, dudnimy z podziemnym wiatrem, tańczymy niebo!

Stań się mną...

...i bądź wolny...

...myśmy są niebieskie elektryczne anioły...

- Słyszysz je? - zapytał Bakker.

Odpowiedziałem, że tak.

- I co mówią?

- To samo co zawsze.

- Powtórz mi to!

Posłuchałem go. Zahipnotyzowało mnie ich brzmienie. Kiedy anioły mówią, to jest coś więcej niż głos. To obecność, która wciska się w mózg, wypełniając zmysły gorejącym błękitem. Szeptały, że są istotami żyjącymi w przewodach, że cały świat jest ich placem zabaw, że tańczą z prędkością światła i rozprzestrzeniają się szybciej niż dźwięk, a cień ich skrzydeł pada na wszystkie kable, głosy, umysły, wrażenia i widoki na świecie. Że skaczą od Arktyki po Antarktykę i z powrotem na wszystkich liniach telefonicznych, połączeniach komputerowych i stacjach radiowych na świecie. Że potrafią wzbic się na falach radiowych ku niebu, odskoczyć w kosmos, okrążyć księżyc, a potem polecieć dalej, by się przekonać, jakie widoki tam znajdują. Prosiły, bym stał się nimi i był wolny. Bym porzucił dawne życie i na wieki przyłączył się do ich tańca w przewodach.

To niebezpieczna pieśń. Wszyscy czarnoksiężnicy wiedzą o istnieniu aniołów. Towarzyszy im reputacja młodej, lekkomyślnej mocy, wędrującej przez system jako zakłócenia, niewyjaśnione szumy. Poruszającej się za szybko, by można ją było złapać, powstrzymać, czy choćby spróbować pojąć. Pojawiły się w przewodach dopiero w ostatnich latach. To naprawdę nie powinno nas zaskakiwać. Tam, gdzie jest życie, zawsze rodzi się magia, a z upływem lat przelaliśmy w linie telefoniczne bardzo wiele z siebie. Z naszego życia. Z naszych serc, marzeń, pragnień, nadziei, przyjaciół i wrogów, nienawiści i miłości. Anioły z początku były tylko fragmentami zakłóceń, które zdobyły niezależność, ale z biegiem lat karmiły się życiem, jakie im przesyłaliśmy. Rozmowami telefonicznymi, audycjami radiowymi, Internetem, e-mailami. Owa jedyna w swoim rodzaju magia zmieniła je, nadała im postać zwaną przez was obecnie niebieskimi elektrycznymi aniołami.

Kochają życie, radują się nim. Ich istnienie jest nauką, próbami zrozumienia, połączeniem w całość fragmentów naszych bytów. Pomysł zaczerpnięty od Jane zlewa się w jedno ze słowem wypowiedzianym przez Boba i z westchnieniem Joego. Z przypadkowych strzępów rozmów, jakie pozostawiamy w przewodach telefonicznych, może się zrodzić kompletna osobowość. Są z tego wyjątkowo dumne! Tak bardzo jasne i radosne. Cała wiedza

świata leży w zasięgu ich rąk, cała ludzkość napęła ich duszę treścią. Są tak piękne i jasne. Zachwycają się wszystkim co nowe, karmią się tym chciwie, gdyż tak właśnie się zrodziły. Są dzieckiem, a zarazem bogiem. Wszyscy czarnoksiężnicy je kochają, lecz jednocześnie się ich boją, albowiem są do nich bardzo podobne. Pochłaniają wszystko, co widzą. Życie to magia. A jak już wspominałem, zbyt wiele życia... zbyt wiele to zbyt wiele... śmiertelnicy nie są w stanie tego pomieścić.

Są w każdym miejscu jednocześnie, pokrywają cienką warstwą cały świat niczym płatki śniegu. Czasem jednak, gdy przyświeca im jakiś szczególny cel, potrafią się skupić w jednym punkcie. Wtedy w szpitalu, owej niezwyklej nocy, która wyglądała jak wszystkie inne noce, Bakker pragnął sprowokować właśnie takie wydarzenie. Zwołać anioły w jedno miejsce i zmusić do wyjścia z telefonu.

Zapytałem go, po co.

Nie uśmiechnął się, nie westchnął ani nie okazał żadnych emocji.

- Ponieważ są żywe i nigdy nie umrą - odpowiedział po prostu.

Chciałem się dowiedzieć, jak zamierza je wyciągnąć z przewodów telefonicznych, w których się zrodziły.

Roześmiał się tylko i rzekł, że jest pewien, że jeśli prawidłowo ocenił ich charakter, przybędą z wielką radością, o ile zachęci je w odpowiedni sposób. Wiedział, w jakich okolicznościach po raz pierwszy zetknąłem się ze światem czarów. Wiedział, że jako dziecko uwielbiałem słuchać telefonów, a one z radością do mnie mówiły.

- I co dalej? - zapytałem. - Co pan zrobi po wyciągnięciu aniołów z linii telefonicznych, ich naturalnego miejsca bytowania?

- Będę żył - odparł. - Po prostu żył.

Zrozumiałem to dopiero po pewnym czasie. Nawet gdy wszystko mi wytłumaczył, nie chciałem tego pojąć. Zamierzał wywabić anioły z ich naturalnego terytorium, za pomocą zaklęć zmusić je do przyjęcia fizycznej, ludzkiej postaci, a gdy już osiągną ów stan, ukraść to, co dawało im życie.

Musi pan zrozumieć, że anioły powstają z życia pozostawionego przez innych w liniach telefonicznych. Słów rzuconych w ciemność, niewypowiedzianych do końca myśli. Na ich byt składają się szybkość, wolność, nieokiełznana elektryczna moc, magia i życie. Karmią się zapomnianymi przez ludzkość myślami.

- Ich krew to życie, Matthew - oznajmił mi. - Ich dusze to ogień.

W końcu - zbyt wolno - zrozumiałem. Bakker nie zamierzał się ograniczać do wezwania aniołów. Chciał się nimi stać, być taki jak one, uwolnić się od więzów kalekiego

ciała. Pragnął nasycić się ich gorejącą jasnym ogniem krwią, stać się czystą elektrycznością i płomieniem w ludzkiej postaci. Wędrować po całej planecie jako ludzka świadomość w postaci samych aniołów. Ale potrzebował do tego mojej pomocy.

Zapytałem, dlaczego.

- Nie słyszę ich - wyjaśnił. - Wszystko się zmieniło. Nie słyszę ich. Potrzebuję czarnoksiężnika, który namówi je do wyjścia z przewodów. Potrzebuję ciebie.

Odmówiłem. Nawet nie wiedziałem dlaczego. Byłem przerażony i kierował mną instynkt. Powiedziałem, że to pozbawiłoby go człowieczeństwa, że stałby się bóstwem utkanym z niebieskiego światła, nie czarnoksiężnikiem. Zapewniłem, że rozumiem jego strach i ból, ale to, co proponował, równałoby się podpisaniu paktu z elektrycznym diabłem.

Chciał się dowiedzieć, dlaczego się nie zgadzam.

Nie przychodziła mi do głowy żadna odpowiedź. Nie potrafiłem ująć w słowa tego, co naprawdę myślałem - że z samej swej natury anioły są dzikie i lekkomyślne, a gdy przybiorą jego postać, te cechy jeszcze się nasilą; że nie ufam mu na tyle, by mu powierzyć taką moc.

Pokłóciliśmy się. Mam wrażenie, że po mojej śmierci ten fakt stał się powszechnie znany. Wyszedłem tak wściekły, że nie mogłem nic powiedzieć. Czułem się zdradzony. W młodości bez zastrzeżeń wierzyłem w pana Bakkera, który przyszedł do mojej mamy i uratował mnie przed zamknięciem w wariatkowie. W owej chwili ta dziecienna wiara nagle zniknęła.

Poszedłem się przejść. Gdy jestem zły, często to robię, żeby się uspokoić. Patrzę na rzekę i pozwalam, by jej nurt wypełnił mój umysł, wypłukał mi z głowy brud oraz furję. Szedłem wzdłuż brzegu, ale nie pamiętam jaką trasą. Nie zmierzałem do żadnego określonego celu.

Atak był tak szybki i gwałtowny, że nawet nie zauważyłem, kiedy nadszedł. Cień wyłonił się z chodnika u moich stóp. Najpierw ręce, pazury, które rozszarpały mi kostki, wyrastając z otaczającej mnie ciemności. Był wtedy chudszy i bledszy, wyglądał prawie jak zjawa. Pewnie z upływem lat czegoś się nauczył. Nie miałem czasu się bronić. Szpony natychmiast sięgnęły mojej piersi, pleców i twarzy. Stwór pluł i syczał, jego oddech cuchnął zepsutymi zębami, a ślina parzyła mi skórę. Ciemność maskowała jego ruchy.

Nie będę szczegółowo opisywał tego, co się wydarzyło. Sam chyba nie wiem tego za dobrze. Ból i strach były zbyt silne. Umysł nie pamięta bólu. Ciało nie jest w stanie go znieść. Ale pamiętamy strach. Pamiętamy pamięć o cierpieniu.

Wiedziałem, że umrę, że z każdym uderzeniem szybko słabnącego serca wypływa ze mnie kolejna porcja krwi. Napastnik - mówię o nim w rodzaju męskim, choć magiczne istoty

raczej nie mają płci w zwyczajowym, nudnym sensie typowym dla ludzi, to znaczy, jakie kto ma narządy i tak dalej, ponieważ twarz cienia była wypaczoną imitacją ludzkiego oblicza, łatwą do rozpoznania, choć zniekształcał ją straszliwy grymas.

- Jestem głodny, tak bardzo głodny - wyszeptał, okrążając mnie. Jego przymilny głos brzmiał jak syk wyposzczonego węża.

Stwór zanurzył palce w mojej krwi i westchnął z zadowoleniem, poczuwszy jej smak. Potem zaczerpnął w garści większą ilość i zaczął ją chleptać jak kot mleko. Próbowałem się od niego odczołgać, płacząc ze strachu i bólu. Byłem bezradny. Uniósł moją twarz i spojrzał mi w oczy.

- Daj mi życie! - zażądał.

Nie rozumiałem, czego chciał. Dopiero później uświadomiłem sobie, że próbował zobaczyć, co będzie we mnie w chwili śmierci, sięgnąć do mojego umysłu, wejść w zmysły, ujrzeć myśli i wspomnienia.

Kres jednak nie chciał nadejść szybko. Stwór wypuścił mnie z gniewnym sykiem, wiedząc, że nie odpelnę daleko i z pewnością nie ujdę śmierci. Potem zaczął krążyć po wybetonowanym placyku, gapiąc się na wszystko jak zdziwione dziecko w galerii sztuki, próbujące określić, dlaczego wiszące na ścianach obrazy zasługują na jego uwagę. Przez ten czas zdołałem się doczołgać do budki telefonicznej. Nie wiem, do kogo właściwie chciałem zadzwonić. O dziwo, najpierw przyszedł mi do głowy numer Bakkera, nie wykręciłem go jednak.

Uniosłem słuchawkę. Cień to zauważył, ale uśmiechnął się tylko, nawet nie próbując mnie powstrzymać. W ustach miał pełno mojej krwi.

Leżąc na ziemi, ze słuchawką przy uchu, usłyszałem sygnał. Potem zjawiły się one.

I powiedzieliśmy: Stań się mną...

Tak łatwo jest umrzeć...

I powiedzieliśmy: Myśmy są ogień, myśmy są światło, myśmy są życie! Tańczymy elektryczny płomień, muskamy zmysły, myśmy są ocean i pożar i wschód słońca i jego zachód na krawędzi świata, ścigamy blask księżyca i słońca, nie zatrzymujemy się, nie można nas oswoić, myśmy są wolność!

I powiedzieliśmy: Myśmy są śpiew w przewodach, szept przyjaciela, szum w słuchawce, nasz taniec nie ma początku ani końca, nasze głosy zawsze się słyszy niby niewidzialny jedwab w uchu, nigdy się nie boimy, nie znamy samotności, mieszkamy w każdym umyśle i w każdej duszy, a każdy umysł i każda dusza mogą się stać nami! Stań się nami i bądź wolny...

Zamknąłem oczy, przycisnąłem słuchawkę do ust i - mając w uszach anioły, pozwoliłem śmierci nadejść.

Złapaliśmy moje śmiertelne technienie w chwili, gdy wchodziło do słuchawki, i z całej siły zatrzymaliśmy przy sobie. Z jego początku wyciągnęliśmy wypełniające płuca ciepło, potem przyszła kolej na elektryczność w nerwach, energię w mięśniach, ruch we krwi, wodę w skórze, kolor we włosach i siłę w kościach. Wydobyliśmy dogasające węgielki moich myśli i zanikający rytm serca. Biorąc ostatni oddech, rozpuściliśmy czarnoksięznika, przeobraziliśmy mnie w elektryczność. Z mojej oryginalnej postaci zostały jedynie błękitne iskierki wnikające w ziemię. Zawsze kochaliśmy życie.

W przewodach nie potrzebowaliśmy czasu. Byliśmy wszędzie, byliśmy wszystkim i każdym. Wiedzieliśmy wszystko, czego pragnęliśmy się dowiedzieć, z każdą chwilą poznawaliśmy coś nowego i niczego nigdy nie zapominaliśmy. Rozsiewacie swe myśli i idee, swe uczucia oraz wiedzę, tak szybko, że w każdej, nieskończenie krótkiej chwili odkrywaliśmy coś nowego, nieustannie rosnący świat pierwszych rozmów i ostatnich pożegnań, nowych prac na nowe tematy opublikowanych na nowych stronach, nowych uczuć do nowych miłości szeptanych do starych słuchawek, nowych połączeń między Nowym Jorkiem a Londynem, Paryżem a Berlinem, nowych ścieżek do zbadania, nowych widoków, nowych światów, w których mogliśmy się kąpać. W przewodach zmiany zachodzą nieustannie. Tańczyliśmy razem w owym świecie, radując się życiem pozostawionym tam przez innych. Może pan powiedzieć, że minęły dwa lata od chwili, gdy tańczyliśmy razem w przewodach, rozsiewając swe myśli po całej Ziemi, gdy byliśmy czystą energią, czystym ogniem. My nie zwracamy sobie głowy takimi rachunkami. Mizerne ludzkie języki nie zdołają opisać naszej chwały.

Gdy nadeszło zakłęcie, nie byliśmy przygotowani. W jednej chwili śledziliśmy w Szwajcarii drogę miliarda dolarów i buszowaliśmy w radiach gotowego do startu wahadłowca NASA. W następnej zaczęliśmy się zbiegać w jedno miejsce, nasze myśli stawały się jednym i zmysły też. Pojawiłem się ja, rozproszona, bezkształtna substancja mojej natury, siłą połączona w jedną całość z aniołami. Uświadomiłem sobie, że to nie jest po prostu jakiś koszmar, straszliwy powrót do rzeczywistości. To było przywołanie. Ktoś nas wzywał i nie byłem w stanie się temu oprzeć.

Moja obecność zakłóciła działanie zakłęcia. Ten, kto nas wzywał, pragnął przywołać wyłącznie anioły, nie mnie. Mój wpływ sprawił, że nie pojawiliśmy się w przewidywanym punkcie. Mój umysł zaprowadził nas w miejsce, które uważałem za swój dom. Wypadaliśmy powoli z telefonu jak woda skapująca z liścia. Niebieskie iskierki naszego bytu uformowały

kształt, świadomość. Ludzką postać, i ta postać była mną. Nie tak powinno się to odbyć. Powinni nas przywołać jako bogów. A ja powinienem umrzeć. Ale widzi pan nas teraz przed sobą. Jesteśmy połowiczną istotą. Człowiek i anioł na zawsze spleceni w jedną duszę, nierozdzieloną, śmiertelną i wieczną. My i ja.

A wasz świat jest nie tylko piękny, lecz również straszny. Cieszymy się, że możemy być mną, mieć moje wspomnienia, myśli, serce i umysł. To broni nas przed szaleństwem. Jak możecie żyć w takim świecie? Jak ludzie potrafią to znieść? Tu jest tak jasno i głośno. Zmysły cały czas są przeciążone: kolory, hałas, dotyk powietrza opływającego nasze palce, zapachy ludzi, ulic, samochodów, przewodów powietrznych, wentylatorów, zwierząt, wody i pogody. Jak to możliwe, że nie zalewa was potop wrażeń, płynących z nieskończonej, ciągle się zmieniającej rzeczywistości, która was otacza? Myśleliśmy, że rozumiemy życie, zdawało się nam, że widzieliśmy wszystko, co można poznać, że nasz taniec po powierzchni Ziemi obejmuje sobą całość ludzkiego bytowania. Ale są jeszcze wzrok i słuch, prosty fakt wyczuwania akcji własnego serca, świadomość, że we wnętrzu ciała kryje się gruby czerwony mięsień, wciąż powtarzający *lup-hip, lup-lup, lup-lup*; albo smak pokarmu, palącego w usta bądź drażniącego język. Ten wasz świat, świat ciała, jest najniezwyklejszą, najstraszliwszą rzeczą, z jaką się kiedykolwiek zetknęliśmy. Zachwycamy się nim! Radość płynąca ze wszystkiego, z wrażeń... gdybyśmy tylko mieli na to czas i pieniądze, jedlibyśmy bez przerwy, by radować się smakami, bawili się nieustannie na placu zabaw dla dzieci, bez końca słuchali opowieści przedstawianych na scenie albo na ekranie, pochłonęli wszystkie książki w bibliotece, wączali wszystkie kwiaty i kosze na śmieci. Widziałem już przedtem ten świat... a teraz oglądamy go znowu.

Jak możecie znieść świadomość, że się zestarzejecie i utracicie te wszystkie wrażenia, że zwiędniecie i umrzecie, a potem nie spotkacie nic poza ciemnością? Jak to znosicie? Odkąd tu przybyliśmy, odkąd wyrwano nas z miłego, bezpiecznego rozproszenia, cały czas dręczy nas strach. Mimo to za żadną cenę nie zgodzilibyśmy się umrzeć i opuścić tego zdumiewającego miejsca. Nigdy nie widzieliśmy niczego, co byłoby bliższe świętości.

I tak to wygląda. Wskrzeszono nas jako jedną osobę, przywołano z powrotem do życia w jednej postaci. Tego węzła nie da się rozwiązać. To prawda, mógłby mnie pan zastrzelić. Wtedy bym umarł. Ale moja świadomość jest teraz powiązana z naszą i wystarczy, by miał pan telefon albo gdzieś nad nami przebiegały fale radiowe, byśmy mogli wpełznąć z powrotem w przewody, nadal być mną i nadal być niebieskimi, elektrycznymi aniołami. Taki stan rzeczy bardzo nam odpowiada.

* * *

Skończyłem mówić.

Mężczyzna podrapał się po podbródku. Jego paznokcie tarły o skórę z twardym odgłosem przypominającym trzask otwieranego rzepa.

- Niezupełnie to spodziewałem się usłyszeć - stwierdził po chwili.

- A podobno jest pan uczonym człowiekiem.

- Nie wiem, czy to zmienia moją opinię o panu. A raczej, czy powinno ją zmienić.

- A czego pan oczekiwał?

- Och. - Machnął rękami. - Pokłócił się pan z Bakkerem, z pewnością z powodu kolejnego z jego szatańskich planów, rozstał się z nim, upozorował własną śmierć, wyjechał gdzieś, posiadał jakąś piekielną tajemną wiedzę, sprzedał duszę diabłu w zamian za moc, chwałę i tak dalej, a potem wrócił, by tu rozrabiać... no wie pan?

- Nie ma pan zbyt twórczej wyobraźni.

Rozciągnął zaciśnięte usta w bladym uśmiešku.

- Nie jestem pewien, czy pańska opowieść jest lepsza od tego, czego się spodziewałem.

- Czy niewinność nie pomoże w zbawieniu mojej duszy?

- Formalnie rzecz biorąc, nie ma pan duszy. Jest pan bytem złożonym z innych bytów, fragmentów ludzkich losów połączonych w jedną całość.

- A pan jest tylko ciałem, które zamieszkuje, i kierującymi nim wspomnieniami - odcięliśmy się ostro. - Czyż nie jest pan tym, kim uczyniły pana zebrane doświadczenia? Jaka jest między nami różnica?

- Moja krew nie jest niebieska.

- To tylko wiązanie tlenu - odparł mężczyzna, zerkając na Odę. Kobieta uniosła wyzywająco podbródek. - Poza tym ocaliliśmy życie Sinclairowi.

- Był panu potrzebny - odparł mężczyzna. - Zresztą on jest użyteczny, ale obmierzły.

- To prawda, że lubi dużo gadać, ale nie rozumiem, co w tym obmierzłego. Widzieliśmy jego dokumenty, informacje, które zebrał. Naprawdę pan myśli, że zrobiliśmy to, bo go potrzebowaliśmy? Nie zabijam przypadkowych ludzi na ulicach i z pewnością nie lubię też biernie przyglądać się, jak giną.

Wciągnął powietrze przez zęby.

- Powiedzcie mi szczerze - zaczął. - Czy gdybyście doszli do wniosku, że coś wyglądałoby ładniej w płomieniach, naprawdę byście tego nie podpalili?

- Pewnie, że nie - obruszyłem się.
- Nie pytałem pana.
- Och, odrobinę rozsądku, do cholery.

Znowu mnie uderzył. Myślałem, że idzie nam całkiem nieźle, więc szok i zaskoczenie były gorsze od bólu. Poczulem się zraniony, schowałem się z powrotem w swej skorupie. Po chwili leżenia i napawania się własnym cierpieniem podniosłem się i łypnąłem na niego spode łba.

- Wy... niebieskie elektryczne anioły... jesteście dziećmi posiadającymi moc zabijania, niszczenia i palenia - oznajmił. - Nic nie wiecie o życiu, jego zasadach, normach, prawach i interpretacjach. Zapewne też nic was to wszystko nie obchodzi. Dlaczego nie mielibyście podpalić pola, żeby zobaczyć ładny pożar, zabijać, kogo zechcecie, tylko dlatego że możecie to zrobić, dlaczego mielibyście rozumieć cokolwiek z tego, co rozumieją ludzie?

- Dlatego że ja tu jestem - warknąłem.
- Jest pan tylko jeden - odparł. - A anioły to suma milionów, miliardów, a nawet więcej, chociaż przyznaję, że wasz związek jest skomplikowany.
- Nie pragniemy... niczego zmieniać. To wasze życie jest wystarczająco piękne i nie potrzebujemy go podpalać.

Uśmiechnął się, poruszając nerwowo ramionami, jakby powstrzymywał śmiech.

- Naprawdę jesteście dzieckiem, tak? Biedną, małą, niezgrabną mocą, która wypełzła z bezpiecznych przewodów telefonicznych. Nic nie wiecie i jesteście totalnie zbici z tropu. Z pewnością jesteście bliscy obłądu w tym swoim bezbłędnym przebraniu. Ale może, gdy rzeczywistość w końcu was dopadnie, nie będziecie mogli zrobić nic poza ślinieniem się i bełkotaniem.

Przerwał, biorąc głęboki wdech. Pomyślałem, że zrobił to z przesadnym dramatyзмом. Być może nieco za bardzo cieszył się z posiadanej władzy. Czulem delikatne ciepło brudu pod paznokciami. To za mało na spektakularną magię, ale może wystarczyć, by spalić coś o życiowym znaczeniu pod jego skórą, zanim umrzemy.

- Będę się musiał nad tym zastanowić - skonkludował wreszcie z nieprzyjaznym wyrazem twarzy i skinął głową do jednego ze swych ludzi. - Dobranoc, anioły, dobranoc!

Ścisaliśmy fragmencik magii między palcami, gotowi wprowadzić go do krwi każdego, kto ośmieliłby się nas tknąć.

- Będiesz cieniem na ścianie - warknęliśmy. - Pozostałością nocy. Zanikniesz, a twoja ciemność zleje się ze wspomnieniami miasta i zostanie zapomniana, rozpuści się w lepszych rzeczach, które cię otaczają.

Oda podeszła bliżej. Wsunęła rękę do kieszeni kurtki, patrząc nam prosto w oczy. Zawahałem się. Siwowłosy mężczyzna pochylił się, aż jego twarz znalazła się prawie na tym samym poziomie co moja.

- Nie wie pan, z kim ma do czynienia - wyszeptał.

Uśmiechnąłem się i pochyliłem gwałtownie naprzód, uderzając czołem o jego czoło. Niezbyt mocno, ale to był kontakt, którego potrzebowałem. Krótka chwila zetknięcia wystarczyła. Pozwoliłem, by kąsek mocy wśliznął się w jego skórę. Niebieski czerw zagłębił się w niej w jednej chwili. Zdażyłem go zobaczyć kącikiem oka, zanim zniknął. W miejscu, gdzie nasze głowy się zderzyły, krew z mojej posiniaczonej skóry spłynęła na jego twarz cienką czerwoną strużką. Niektóre postacie magii nigdy się nie zmieniają. Jedną z nich jest magia krwi.

Zamrugął i cofnął się trwożnie, a potem walnął mnie w twarz otwartą dłonią. Tym razem nawet nie próbowałem wstawać. Leżałem zwinięty na ziemi, nie odzywając się ani słowem. Moja krew na jego rękach. Jeszcze lepiej.

- Jesteśmy Zakonem! - warknął. - Obserwujemy was nieustannie, jesteśmy wszędzie! Nawet pan sobie nie wyobraża naszej mocy.

Roześmiałem się mimo woli.

- Jesteście tacy potężni, a nawet nie potraficie sami zabić Bakkera - wykrztusiłem, dysząc histerycznie. - Potrzebujecie do tego nas. Znamy was Słyszemy wasz głos w naszym umyśle, gdy szepczecie do telefonu. Jesteście infekcją na naszej skórze, robakiem w naszym ciele. Jesteście częścią nas. Zastanówcie się nad tym, nim znowu spróbujecie do nas strzelać!

Potał nerwowo czoło. Czyżby wyczuwał naszą magię, maleńką klątwę posuwającą się przez jego ciało? Wątpliwe. Sprawa wymknęła się nam z rąk.

- Może i to zrobię - zapowiedział.

Skinął głową do Ody. Kobieta podeszła do mnie, szybkim ruchem odciągnęła mi głowę do tyłu i wbiła w szyję coś, co wypełniło moje gardło olejem i nakryło głowę niezdrowym całunem ciemności.

* * *

Ocknąłem się. Nigdy dotąd nie przywitałem dręczących mnie dolegliwości z taką radością. Wszędzie czułem ból, ucisk albo swędzenie i czułem się z tego powodu bardzo szczęśliwy, ponieważ tego wszystkiego było za dużo, bym mógł to uznać za sen. Nie podejrzewałem też, by mogła to być jakaś postać życia pozagrobowego. Leżałem na drewnianej podłodze w małym, pozbawionym ozdób pokoiku. Jego ściany kiedyś

pomalowano na niebiesko, ale teraz były wyblakłe i poobtlukiwane. Na plastikowej tablicy przedstawiono głowę Jezusa, kierującego na mnie błogosławiące spojrzenie. Okrążające ją zielone światła wyglądały jak choinkowe lampki. Były tu jedne drzwi i jedno okno. Pomieszczenie wypełniał zapach kurzu. Nie ulegało wątpliwości, że przebywam w mieście. Natychmiast poczułem odór spalin, usłyszałem łoskot ruchu drogowego i pisk autobusowych hamulców. Wróciłem do domu żywy.

Zaryzykowałem podniesienie się na cztery kończyny i rozejrzałem się po pokoiku. Pod drzwiami stała Oda, trzymając w rękach karabin ze swobodą kogoś przyzwyczajonego do broni.

- Cześć - przywitała mnie.

- Cześć - odparłem.

Usiadłem i dotknąłem zębów językiem, by sprawdzić, czy się nie chwieją. Na koszuli i na twarzy miałem krew. Nie zastanawiałem się dotąd nad tym, jak szybko wendeta i przeciągająca się magiczna konfrontacja mogą zniszczyć moją garderobę.

- Dlaczego tu jesteś? - zapytaliśmy, tak spokojnie, jak tylko zdołaliśmy.

- Muszę mieć cię na oku - odparła. - Ja też się z tego nie cieszę, jeśli chcesz wiedzieć.

- Nie boisz się?

- Czemu miałabym się bać? - zapytała, unosząc brew.

- Powiedzieć, że jestem wkurzony, to byłoby za mało - poinformowałem ją. - Mamy ochotę cię zabić za to, co zrobiłaś. Swoją drogą, chciałbym, żebyś okazała podziw faktowi, że nie eksplodowałem płomieniem, bo zapewniam, że dzielą mnie od tego tylko dwa zakończenia nerwowe i jedno ostre słowo.

- Niebieskie elektryczne anioły są znacznie bardziej skore do zabijania niż mały czarnoksiężnik, co? A przynajmniej do mówienia o zabijaniu - dodała, nawet na mnie nie spoglądając. - Jeśli chce ci się rzygać, tam jest toaleta.

- Dlaczego miałbym rzygać?

- To standardowa reakcja na podane ci środki.

- Co nam zrobiłaś? - warknęliśmy.

Być może to gniew słyszalny w naszym głosie wyrwał ją z samozadowolenia.

- To tylko po to, żebyś przespał drogę - wyjaśniła z zażenowaniem. - Chcemy cię zachować przy życiu. Przynajmniej na razie.

- Nie jestem zadowolony z tej sytuacji.

- Rozkazano mi też zastrzelić cię przy pierwszej oznace otwarcie szatańskich skłonności.

- A na czym one polegają? - zapytałem. Szczera ciekawość na moment stłumiła naszą furie.

- Pozwolono mi samodzielnie podjąć decyzję, czy szkody, jakie możesz wyrządzić, przekraczają korzyści płynące z koniecznego zła, jakim jest wykorzystanie cię w walce z groźniejszym niebezpieczeństwem. Albo, by powtórzyć rozkaz dosłownie, jeśli zaczniesz wyglądać na to, że stajesz się gorszym sukinsynem niż Bakker, mam ci strzelić dwa razy w głowę i trzy razy w pierś, upewniwszy się przedtem, że telefony są wyłączone.

- Nie starasz się zbytnio, żebym cię polubił - poskarżyłem się, poruszając palcami, by poczuć znajomy dreszcz elektryczności. Było jej tu trochę. Biegła przez ściany zaledwie kilka stóp ode mnie i kryła się w gniazdku nieopodal nóg Ody. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będę mógł zaczerpnąć odrobinę mocy.

- No wiesz, być może powinieneś rozważyć kilka spraw - odparła, głaszcząc kolbę karabinu w geście raczej matczynym niż groźnym. - Na początek, mogę bardzo ci się przydać.

- Do czego?

- Mogę zabić każdego, kto stanie ci na drodze - wyjaśniła, uśmiechając się z nadzieją.

- Oczywiście, pod warunkiem, że uznam, iż zasługuje na śmierć. Znam też bardzo dobrego dentystę.

- Dochodzę do wniosku, że jesteście jakąś odpryskową sektą.

- Sektą?

- Wzmianki o Bogu, potępieniu, dentystach i szatanie, połączone z tendencjami do przemocy oraz samurajskimi mieczami.

- Przyjmujemy najróżniejszych ludzi. Rzecz jasna, ci, którzy wierzą, najlepiej się nadają do naszej misji.

- A na czym właściwie polega ta misja?

Wzruszyła ramionami.

- Ostatecznym celem jest oczyszczenie Ziemi ze wszystkich postaci magii, ale musimy się liczyć z realiami i na razie zadowolili nas zniszczenie jej najgroźniejszych, czyniących aktywne zło postaci, zaczynając od Bakkerera.

- A potem przyjdzie kolej na mnie? - zapytałem, domyślając się odpowiedzi.

W jej oczach pojawił się błysk. Przez krótką chwilę wpatrywała się w moje, po czym odwróciła wzrok.

- Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, będziemy musieli ponownie rozważyć priorytety.

- Religie posługują się korporacyjnym żargonem?

Uśmiechnęła się przelotnie.

- Łatwiej nam przychodzi dyskutować o „problemach” niż o nadciągającej hordzie złych mas.

- Powiedz mi, dlaczego właściwie nie kopnąłem cię jeszcze dwustu czterdziestoma woltami z sieci?

- Po pierwsze, jesteś z natury dociekliwy - zaczęła, wyliczając powody na palcach. - Po drugie, wiesz, że potrzebujesz sojuszników, a my... - uśmiechnęła się - ...jesteśmy bardzo dobrzy w tym, co robimy. Po trzecie, zaraz zaczniesz się zastanawiać, gdzie się podział twój kumpel motocyklista i czy nic mu się nie stało, a ja udzielę ci odpowiedzi, która z twojego punktu widzenia nie będzie w pełni satysfakcjonująca, choć jest w stu procentach przewidywalna. Po czwarte, Matthew Swift, myślę, że jakaś część twojej osobowości zachowała jeszcze choć tyle człowieczeństwa, że nie podoba ci się myśl o zabijaniu. W końcu nie załatwiłeś San Khaya.

- Skąd ta pewność?

- Nie miałbyś odwagi - odpowiedziała. - Niebieskie elektryczne anioły mogłyby ją mieć, ale zważywszy wszystko razem, nadal pozostajesz tchórzem. Czy o czymś zapomniałam?

Potrząsnąłem głową, czując się mały.

- Chyba nie - mruknąłem z westchnieniem. - To gdzie jest Blackjack?

- Tak się nazywa?

- Naprawdę ma na imię Dave.

- Rozumiem, dlaczego chciał je zmienić.

- Naprawdę? Ja nie.

- Gdybyś grał w sieciowe gry fantasy, Matthew Swift, wiedziałbyś, że Bob Mistrz Sztuk Tajemnych i Mistycznych to rzadko spotykana osoba, a Gary Święty Wojownik Wiecznej Mocy ma trudności z nabyciem eliksirów siły ciosu, gdy odwiedza sklep z bronią. Ty nie masz poczucia stylu, ale twój przyjaciel je ma.

- Przetrzymujecie go? - zapytałem. - I to właściwie nie jest mój przyjaciel.

- Tak.

- Wyrządziliście mu krzywdę?

- Nie.

- A zrobicie to?

- Być może. Obchodzi cię to?

Zastanowiliśmy się nad tym. Znałem odpowiedź, choć nie potrafiłem przeniknąć

własnych motywów.

- Tak - przyznałem z westchnieniem. - Czego ode mnie chcecie?

- Ja chcę, żebyś zabił Bakkera - odparła z radosnym, sacharynowym uśmiechem. - I nie odstąpię cię ani na chwilę, dopóki tego nie zrobisz.

- A kiedy już to zrobisz? Co będzie potem?

Przeciągnęła się, zawieszając niedbale karabin na ramieniu.

- Z pewnością coś wymyślimy.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego zadajesz sobie trud? Co tobą kieruje?

- Chcesz usłyszeć deklarację programową?

- Chyba rozumiem, co jest grane z Zakonem. Jesteście czymś w rodzaju połączenia Archiwum X, jezuitów i Special Air Service, tak?

Wzruszyła ramionami.

- Ale co z tobą, Odo? Dlaczego zjawiasz się na spotkaniach z wielkim mieczem i groźnie wyglądającą giwerą?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę. Wreszcie spojrzała mi prosto w oczy.

- Mój brat jest mordercą - wyjaśniła. - Zabija za pomocą magii. Czy to wystarczy, czy muszę ci opowiadać o świetle Boga i Prawdzie Bożego Słowa?

Pokręciłem głową.

- Dziękuję. Chyba już rozumiem.

- Znakomicie! - zawołała. - Czy miałeś jakiś plan?

* * *

Ze ścian w łazience zlaźła brązowa farba, a z pęknięć w płytkach sypał się stary kruszący się cement. Wypaczona podłoga skrzypiała boleśnie pod moimi stopami, zlew był za mały, a kran umieszczono zbyt nisko. Umyłem się najlepiej, jak to możliwe w tych warunkach, a potem poszedłem do kuchni. W lodówce, poza tacką z lodem znalazłem tylko paluszki rybne i kilka miseczek podejrzanie wyglądającego smalcu domowej roboty. Owinałem kostki lodu w ścierkę pobrudzoną sosem tabasco, a potem usiadłem na podłodze, by spróbować się uspokoić.

Oda załadowała mały arsenał do sportowej torby, nie zwracając najmniejszej uwagi na żalną minę, z jaką dotykałem lodem kolejnych, paskudnie obrzękłych siniaków na twarzy. Nie oberwałem tak mocno od czasu, gdy miałem piętnaście lat i wdałem się w bójkę w

szkole. Zakończyła się ona tym, że przypadkowo poraziłem pięć przeciwnika prądem o napięciu pięćdziesięciu woltów. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, dlaczego zimną wiewiórki przynoszą mi orzechy, a miejscowy lis nie uciekł, kiedy go przyłapałem na grzebaniu w śmietniku.

- Plan jest prosty - oznajmiłem.

- Tak?

- Mam zamiar zniszczyć Wieżę.

- W tej sprawie możesz liczyć na nasze poparcie. Jest coś więcej?

- Sinclair wymienił cztery osoby ważne dla funkcjonowania Wieży. San Khaya, Guya Lee, Harrisa Simmonsa i...

- Danę Mikedę, tak, wiem.

- Był przekonany, że wyeliminowanie tych czterech osób zachwieje fundamentami samej Wieży. San Khay... Amiltech legło w gruzach. Nie będą już w stanie zapewnić nikomu ochrony. Teraz przyszła kolej na Guya Lee.

- Jeden z głowy, zostało jeszcze troje. Jasne, rozumiem.

- Odo? - Przygryzłem wargę. - Muszę ci coś powiedzieć jasno. Jeśli Zakon choć spróbuje tknąć Danę Mikedę, pokażę wam, jak bardzo szatańskie mogą być moje skłonności.

- Spodziewałam się, że powiesz coś w tym rodzaju. - Wzruszyła ramionami. - Niczego nie obiecuję. Zresztą, przysięgi i tak nic dla ciebie nie znaczą. Zobaczymy, jak się rozwinie sytuacja.

Skrzywiłem się, starając się nie myśleć o potężnej dawce elektryczności.

- Porozmawiajmy o Guyu Lee - dodała, uśmiechając się blado.

* * *

Dokumenty Sinclaira zawierały sporo informacji, ale nie okazały się nawet w przybliżeniu tak użyteczne, jak w przypadku San Khaya. Przede wszystkim, Guy Lee nie był człowiekiem o przewidywalnych przyzwyczajeniach. Nie miał stałego adresu, rodziny, prawdziwych przyjaciół ani regularnych kochanek. Nawet kierowcę wożącego go nocami po mieście zmieniał często, w nieregularnych odstępach czasu. San Khay zaproponował, że zapewni mu ochronę, ale ponoć Lee roześmiał się tylko i odparł, że sam sobie poradzi. Z pewnością miał wielu sługusów, a jego wpływy rozciągały się od Enfield aż po Craydon - burdele w Soho, żebracy w Holborn, zamiatacze ulic w Moorgate, zbiry w Dagenham i rekieterzy w Acton.

Kroczył po cienkiej linii między nagradzaniem a karaniem. Tych, którzy sprzeciwiali

mu się otwarcie, często znajdowano przybitych do drzewa w parku Hampstead Heath albo woda wyrzucała resztki ich ciał pod zaporą przeciwpowodziową na Tamizie, natomiast ci, którzy służyli mu wiernie, mogli w nagrodę otrzymać apartament w penthousie z widokiem na rzekę w Putney albo dom w Knightsbridge. Wożono ich samochodami o przyciemnionych, kuloodpornych szybach i drzwiach zamykających się tak głośno, jakby obciążono je złotem. Nie można jednak było zbyt wierzyc jego łaskawości. Wycofywał ją równie szybko, jak jej udzielał. Sporo podkomendnych Guya Lee powieszono głową w dół za rozmaite narządy wewnętrzne za to, że sprzeciwili się jego woli.

Sinclair był skrupulatnym człowiekiem i wyraźnie nie lubił podawać jako faktów tego, co było jedynie przypuszczeniem. Napisał jednak na marginesie: „Według naszych najlepszych ocen, Lee jest w stanie w każdej chwili wezwać co najmniej 143 osoby spośród swych podwładnych”.

Nieco poniżej dodał drugą notatkę: „Amiltech może służyć mu wsparciem”.

A na koniec nabazgrał ołówkiem, maleńkimi literkami: „Przywołuje potwory”.

Pomyślałem o śmieciuchu, którego spotkałem zaraz po powrocie do życia, o umiejętnościach i mocy potrzebnych do stworzenia go.

O trybie życia Guya Lee Sinclair mógł z całkowitą pewnością powiedzieć jedynie tyle, że jego dzień zaczyna się o zachodzie słońca, a kończy mniej więcej o wschodzie. Przez całą noc Guy Lee nigdzie nie zatrzymywał się dłużej niż na godzinę. Sprawdzał swe inwestycje, pilnował, by rzucono odpowiednie zaklęcia, mające zwabić w pułapkę posłów do Parlamentu czy dyrektorów wielkich firm, karał tych, którzy lekceważyli jego moc, i składał wizyty rodzinom, zaszczycając je swą łaskawością, niczym księżę krwi ściskający dłonie cudzoziemskim dygnitarzom, nim poleci na następne negocjacje. Sinclair nienawidził faktu, że Lee przekracza granicę, jako jeden z nielicznych w mieście ma czelność wykorzystywać magię do celów politycznych, a jego ludzie kręcą się wokół dziesiątek komisji rządowych i rad nadzorczych korporacji. Magia nie zmieniała celów ludzkiej ambicji, jedynie środki wykorzystywane do ich osiągnięcia.

Najwyraźniej nic poza pracą nie interesowało go szczególnie. Czasami mógł sobie zażyczyć wykwintnego posiłku, kobiety do łóżka albo jakiegoś narkotyku, ale spełnienie podobnej prośby zawsze stanowiło test zdolności bądź lojalności. Krążyły pogłoski, że celowo jadał w domach ludzi, którym nie ufał, i - nie bojąc się trucizny - pochłaniał każdy kęs, podczas gdy gospodarz drżał ze strachu przed jego niezadowoleniem.

Ostatnia pogłoska - nieudowodniona, lecz interesująca - dotyczyła jego magicznych zainteresowań. Krótko mówiąc, był magiem, z pewnością kompetentnym, ale kształującym

moce, nad którymi zapanował, za pomocą wyuczonych gestów i słów, będących tradycyjnymi elementami rzucania zaklęć, a nie mniej ortodoksyjnych sztuk, takich jak czarnoksięstwo. Jego magia była czysta, precyzyjna i wysoce skuteczna. Pozostawało jednak pytanie, od kogo nauczył się tego wszystkiego, ponieważ formy wielu rzucanych przezeń zaklęć były zdecydowanie chorobliwe. Przeklętym przez Guya Lee wrogom moc wyżerała wnętrzności, a ci, którzy lekkomyślnie go zaatakowali, często dławili się własną krwią. Istniały nawet relacje, mówiące, że niektórzy z jego bardziej niezwykłych sług mieli temperaturę ciała zawsze równą temperaturze otoczenia.

Nie lubiłem używać słowa „nekromancja”. To nieprzyjemna sztuka. Czasami może być użyteczna, ale nie nadaje się dla tych, którzy są zbyt wybredni albo dbają o higienę osobistą. Potrafiłem sobie wyobrazić, że Lee się nią para.

* * *

- Zatem twój plan przewiduje...

Obawiałem się, że Oda szybko stanie się jeszcze bardziej uciążliwa.

- Potrzebuję sojuszników. Z Khayem wyglądało to inaczej, bo on działał w sferze publicznej. Lee całkowicie ukrywa się pod powierzchnią, a poza tym będzie wiedział, że chcę go załatwić. Potrzebna mi pomoc.

- Masz Zakon.

- Was właściwie nie uważam za sojuszników.

- Lepiej się przyzwyczaj do tej myśli.

- Biali.

- Kto to są Biali?

- Długi Klan z White City.

- Nie znam ich.

Przeciągnąłem się z uśmiechem i wyrzuciłem resztki lodu do zlewu.

- To malarze.

* * *

Kiedy zapytałem Króla Żebraków, jak odnaleźć Białych, jego odpowiedź była krótka i rzeczowa: „Musisz tylko podążać za napisami na murach”.

- A co to właściwie znaczy? - warknęła Oda.

- Przyszło ci kiedyś do głowy, że w dawnych, dobrych czasach damy o paskudnej cerze i długich włosach rysowały na murach pentagramy i inne mistyczne symbole, używając kawałków starej kredy, a wynalazek farby w sprayu tylko nasilił te tendencje?

Wieczorem odnaleźliśmy pierwszy obraz na zasuniętych żaluzjach miejscowej pralni. Kontrastową czernią i bielą namalowano tam żabę o wielkiej paszczy i długich, cebulowatych palcach. Jedną ręką głaskała się po brodzie, drugą zaś wskazywała na przystanek autobusowy. Na głowie miała wielki cylinder z nieoderwaną ceną, \$1,41, a w ustach grube, dymiące cygaro.

Poszliśmy tam, gdzie wskazywał zakrzywiony palec. W sportowej torbie Ody pobrzękiwała ciężka broń. Wsiedliśmy do autobusu 141 i pojechaliśmy aż do prostokątnego, ogrodzonego obszaru porośniętego trawą i wielkimi platanami. Na placu padały jaskrawe światła neonów, zielone, niebieskie i fioletowe.

- Tam! - warknęła kobieta i zerwaliśmy się do biegu.

Zobaczyła wizerunek dziewczynki z anielskimi skrzydłami. Namalowano ją na ścianie unitariańskiej kaplicy, pod szeregiem mniej artystycznych graffiti głoszących, że **DaN tO gEj!** albo **CiD na wieki**. Dziewczynka unosiła wzrok, spoglądając na wielki czerwony balon, płynący ku górze, w stronę błyszczących aluminiowych wlotów przewodów wentylacyjnych sąsiedniego sklepu z pieczywem. Wyciągała białą rączkę, usiłując złapać za sznurek.

- Co to ma znaczyć? - zapytała Oda.

- Stacja Angel - odpowiedziałem, starając się, by w moim głosie zabrzmiała pewność, której wcale nie czułem.

Pojechaliśmy pierwszym autobusem na stację. Zatrzymaliśmy się przed zejściem pod ziemię i przez kilka minut rozglądaliśmy się wkoło, aż wreszcie wypatrzyłem małego czarno-białego szczura namalowanego pod bankomatem na budynku Bank of Scotland. Nosił długi szalik, w rękach trzymał walizkę i wiązkę rozmarynu owiniętą w papier jak bukiet róż, a długi czarny nos kierował na południe.

Poszliśmy w kierunku wskazanym przez nos gryzonia, docierając do Rosebery Avenue, gdzie znaleźliśmy podobiznę bankomatu namalowaną na zamurowanym oknie. Z wylotu wyłaziła potężna, mechaniczna ręka, ściskająca w szponach dziewczynkę. Dziecko, wyglądające niemal tak samo jak to, które zgubiło balon, unosiło rączki do ust w geście zaskoczenia.

Łapa wskazywała w stronę Farringdon Road, ruszyliśmy więc szeroką, nudną ulicą, aż wreszcie ujrzeliśmy mur z żółtej cegły, biegnący wzdłuż torów kolejowych.

- Swift! - zawołała mnie Oda.

Wyciągnęła rękę, wskazując na tablicę ogłoszeniową oblepioną plakatami reklamującymi grupy rockowe, płyty, niskobudżetowe filmy i rozpaczliwie usiłujące utrzymać się przy życiu czasopisma. W rogu umieszczono mały, zrobiony na szablonie

wizerunek pociągu, który wiecznie jeździł wkoło, aż wreszcie połknął własny ogon. Zarysy wagonów łączyły się ze sobą.

- Dokąd nas to prowadzi? - zapytała Oda, która przez cały wieczór prawie wcale się nie odzywała.

- Na Circle Line - odparłem z jękiem.

- Ale w które miejsce?

- To nieważne.

- Nie rozumiem.

- Chodź - odparłem. - Musimy kupić parę rzeczy.

* * *

Nabyłem książeczkę z sudoku, długopis, paczkę gumy do żucia i tani romans w małym formacie. Wszystko to zapakowałem starannie do plastikowej reklamówki i poszedłem do miejscowego pubu, gdzie wytrwale starałem się przekonać dziewczynę za kontuarem, że powinna mi podać kawę, nie piwo. Wreszcie Oda straciła cierpliwość.

- Co to ma być? - warknęła, wskazując na reklamówkę.

- Ofiary - odpowiedziałem, ciesząc się w duchu, że zapytała, nim poczułem się zmuszony to jej powiedzieć. Postanowiłem, że powinna trochę pocierpieć za okazaną ciekawość.

- Ofiary dla kogo? Dlaczego nie wsiądziemy do metra i nie pojedziemy Circle Line poszukać Białych?

- Musimy zaczekać - odparłem.

- Na co?

- Na ostatni pociąg.

- Dlaczego?

- Dlatego że to właśnie oznaczał tamten symbol. Nie tylko nazwę linii, lecz również pociąg, który połyka sam siebie i bez końca jeździ w kółko, nie zatrzymując się na żadnej stacji. Znak nie mówi po prostu: „Pojedźcie Circle Line”. To znacznie bardziej skomplikowane. Dlatego potrzebujemy ofiar.

Machnąłem torbą zawierającą książeczkę z sudoku.

- Celowo zaciemniasz sprawę - poskarżyła się. - Dlaczego?

- Dlatego że cię nie lubię.

- Ode mnie zależy życie twojego przyjaciela. I twoje też - dodała, mrużąc powieki.

- Tak nam mówisz - stwierdziliśmy. - Na pewno boisz się tego, że nigdy do końca nie

wiesz, co zaraz zrobimy.

- Nie boję się ciebie - odrzekła zimnym, spokojnym głosem. - Jesteś martwy i nic nie znaczysz, bez względu na to, z jakimi mocami zawarłeś pakt.

- Nie o to chodzi - odparłem tonem tak łagodnym i uspokajającym, jak tylko potrafiłem. - Boisz się niepewności.

- Nieprawda.

- Skoro tak mówisz.

- Nic nie wiesz - dodała z pasją.

- Wiem, że chcę się napić kawy, a piwo nie byłoby za dobrym pomysłem.

- Dlaczego? Czemu koniecznie musimy zdążyć na ostatni pociąg?

- Wolałbym, żebyś sama do tego doszła - odparłem i wróciłem do prób zamówienia kawy.

* * *

Piętnaście minut przed północą ruszyliśmy z Odą w stronę stacji Farringdon. Na tablicy wypisano niebieskim markerem, że ostatni pociąg odchodzi sześć minut po północy. Na peronie nie było zbyt wielu ludzi. Garstka wracających z teatru osób, z ich perłami i eleganckimi garniturami, trzymała się na dystans od grupki dziewczyn o nogach obolałych od błądzenia po okolicy w nieodpowiednich butach. Na drugim końcu dwóch zwabionych namiętnością do ceglanej niszy mężczyzn, zlanych potem i hormonami, oddawało się najdłuższemu i najgłośniejszemu pocałunkowi, jaki w życiu widziałem. Starłem się na nich nie gapić. Byliśmy zafascynowani.

Nadjechał pociąg jadący linią Metropolitan w stronę Baker Street, gdzie samolubnie postanowił kończyć bieg. Dziewczyny i tak do niego wsiadły, podobnie jak teatromani w jedwabnych apaszkach. Pociągi z linii Hammersmith i City nie spisały się wiele lepiej. Oba zamierzały wyzionąć ducha na Edgware Road. To jednak najwyraźniej wystarczało obu mężczyznom, którzy ku zdumieniu uprzejmej pary o arabskim wyglądzie, siedzącej samotnie w wagonie pośród rozrzuconych na podłodze darmowych gazet, po zajęciu miejsca natychmiast wznowili przerwane czynności.

Z tablicy świetlnej zniknęły wszystkie pociągi poza jednym, jadącym na zachód Circle Line. Pojawiła się nazwa stacji końcowej, złożona z jaskrawopomarańczowych kropek. Na peron wybiegła grupka młodzieży, chichoczącej pod wpływem adrenaliny zrodzonej z pośpiechu. Nagle jedna z dziewczyn, odziana w skąpy strój odsłaniający różowe ciało, zaczęła wymiotować za ławką. Oda odwróciła z niesmakiem wzrok. Koledzy otoczyli

dziewczyne, dotykali jej, uspokajali ją, głaskali po włosach i próbowali usunąć resztki żółci z jej ust. Zwymiotowała po raz ostatni, a potem usiadła na ławce i się rozpląkała. Nasza twarz zapłonęła nagle na ten widok. Nie rozumieliśmy tego uczucia i nie potrafiliśmy nad nim zapanować. Tylko chłodna mina Ody powstrzymała nas przed dzieleniem z dziewczyną jej cierpienia.

Dokładnie o godzinie 0:09 pociąg wjechał ze stukotem na stację. Oda wstała pośpiesznie i przerzuciła torbę przez ramię. Złapałem ją za ramię.

- Przecież... - zaprotestowała.

- Nie. Nie ten. Ostatni pociąg.

- To jest...

- Zaufaj mi.

Zawahała się, a potem usiadła z wyraźną niechęcią. Młodzi ludzie weszli chwiejnym krokiem do pociągu, drzwi zamknęły się ze stukiem i dźwiękiem alarmów, silnik zabrzmiał głośniej i pociąg opuścił stację, mijając graffiti na przeciwległej ścianie: długie, niezrozumiałe nazwy złożone wyłącznie z kątów i wyciągniętych nitek namalowanych zieloną farbą. Przy tablicy wskazującej kierunek do pociągu odjeżdżającego do Luton, ktoś narysował parę zamkniętych czarno-białych oczu. Każda rzęsa kończyła się długim egipskim zakrętasem.

- Masz jakiś plan, czarnoksiężniku? - zapytała po chwili Oda.

Skinąłem głową. Z tablicy świetlnej zniknęło wszystko poza samotną pomarańczową gwiazdką. Wstałem i ruszyłem wzdłuż peronu, mijając reklamy, wołające:

Sensacja!!!

Bollywoodzki romans - Miłosna opowieść na nasze czasy!

„Najniezwyklejsza rzecz, jaką w życiu widziałem!!!” - News of the World

„Zdumiewające” - Time Out.

A nieco dalej:

Nowy głos chwili obecnej - Love and Lost - wzruszający album, inspiracja dla pokolenia.

Dotarłem do końca peronu, popchnąłem kołyszący się szyld z napisem

„Niebezpieczeństwo! Wstęp wzbroniony!” i przeszedłem pod zestawem lusterek pokazujących peron maszyniście stojącego na stacji pociągu. Dalej była zwężająca się brudna betonowa rampa prowadząca do podsypki oraz pikantnych linii elektrycznych. Czułem na czubku języka smak gęstego, przesyconego dymem kurzu unoszącego się w tunelu, jego wypełniającą powietrze suchość. Wyczuwałem mrowienie tysięcy woltów biegnących nieopodal, zimny powiew pozostały po przejeździe ostatniego pociągu, wciąż jeszcze przechodzący przez tunel, nim zniknie w ciężkim gorącu nieruchomego podłoża. Posuwając się po wąskiej pozostałości peronu, wsparty plecami o szorstką czarną ścianę, pełną przewodów, których wibrację wyczuwałem nawet przez ongiś barwne plastikowe izolacje, wkroczyłem w mrok tunelu.

Oda, stojąca na oświetlonym peronie, przypatrywała mi się z nieskrywanym zaskoczeniem i niesmakiem.

- Co ty wyprawiasz?

- Odo - zacząłem - czy naprawdę myślisz, że Głód darowałby ci życie na stacji Bond Street? Czy szczerze wierzysz, że nie wypiłby również i twojej krwi, by się przekonać, czy smakuje tak samo, jak pot na twojej skórze w chwili śmierci? Zaufaj mi, proszę.

Wyciągnąłem ku niej rękę. Skrzywiła się i przeszła obok tablicy z napisem „Niebezpieczeństwo”, a potem zeszła na dół i przykucnęła obok mnie. Zauważyłem, że stara się nie dotykać biegnących po ścianie przewodów, a jej spojrzenie wciąż wędruje nerwowo ku będącej pod prądem szynie. Było nam tam ciasno, czuliśmy jej bliskie ciepło na skórze, niezwykle, żywe wrażenie w stęchłym półmroku na początku tunelu. Gapiliśmy się na nią, zaciekawieni i wolni od wstydu, aż wreszcie zauważyła nasze spojrzenie i odwróciła pośpiesznie wzrok.

- Jezu, ratuj nas - wyszeptała.

- O co chodzi?

- Widzę je w ciemności.

- Co widzisz?

- Twoje oczy. Lśnią jak u kota. Niebieskim blaskiem.

- To było prawie doskonale zmartwychwstanie - zauważyliśmy.

Splunęła. Jej ślina Zaskwierczała na szynie.

- Nie mogę pomóc... to nie jest... przepraszam - wyjąkałem.

Uniosła wzrok, ale odwróciła się szybko, nim zdążyłem wyczytać z jej twarzy cokolwiek poza pytaniem.

- Co tu właściwie robimy? - zapytała.

- Czekamy, aż strażnik sprawdzi peron.

Chrząknęła tylko w odpowiedzi. Ciepło jej oddechu raz jeszcze musnęło naszą skórę niczym dogasające skry.

Nie musieliśmy czekać długo. Strażnik zjawiał się, mamrocząc coś do swojego radia, kilka minut po odjeździe ostatniego pociągu. Przeszedł dziarskim krokiem wzdłuż peronu, zbierając walające się na nim śmieci plastikową tyczką zakończoną szpikulcem, otworzył automat z napojami, wyjął dzienny utarg, a potem wypełnił maszynę na jutro puszkami oraz starą, niedorzecznie drogą czekoladą. Trwało to prawie dziesięć minut i cały ten czas musieliśmy siedzieć skuleni w ciemności, starając się oddychać jak najciszej.

Gdy wreszcie skończył, przygasił światła. Całą stację wypełniła różowawo-pomarańczowa poświata płynąca zza ławek i odbijająca się dziwnie w szklanych płytach tablic reklamowych. Usłyszałem szcęk zamykanej bramy wejściowej.

- To wystarczy? - wyszeptała Oda.

Skinąłem głową.

Wróciła na peron, oddalając się pośpiesznie ode mnie, i ostentacyjnie strzepnęła brud z ubrania.

- Teraz musimy tylko czekać - stwierdziłem, spoglądając na zgaszoną tablicę świetlną.

- Na co? - jęknęła.

- Chciałaś w tym uczestniczyć tak bardzo, że musiałaś mnie zaatakować i porwać mojego towarzysza - oznajmiłem, zdziwiony własnym spokojem. - Teraz po prostu patrz i się ucz.

Usiadłem na ławce i spowiłem się brudnym płaszczem dla osłony przed zimnem i dziwną ciszą, jaka tu zapanowała. Czekałem. Oda spacerowała w kółko, zaciskając gniewnie zęby. Próbowałem oceniać upływ czasu, obserwując jej trasę. Cztery przejścia w tę i we w tę trwały mniej więcej minutę. Powieki mi opadały, było mi gorąco ze zmęczenia, włosy miałem brudne, a żołądek ciężki jak ołów. Pozwoliłem, by głowa mi opadła, ale nadal byliśmy czujni. Gdy powieki się przymknęły, wyteżyliśmy słuch jeszcze bardziej. Słyszeliśmy wodę skapującą z rury oraz odległy warkot autobusu gdzieś na górze. Nie myśląc o tym, wprowadziliśmy nasze zmysły do myszy wężącej wzdłuż elektrycznej szyny w poszukiwaniu wyrzuconej żywności. Cieszyliśmy się wrażliwością nosa zwierzątka, poruszaliśmy nim i czuliśmy, jak kształt pyska zmienia się nieco razem z tym ruchem, napawaliśmy się czułością wąsików, odbierających wibrację kroków Ody, jakby każdy z nich był ostatnich echem uderzenia w dzwon, unoszącym się w powietrzu.

- Czarnoksiężniku!

Głos kobiety spłoszył myszkę, opuściłem więc umysł gryzonia i pośpiesznie uniosłem wzrok. Twarz Ody lśniła jaskrawym, różowo-pomarańczowym blaskiem. Oda patrzyła na tablicę świetlną. Wielkimi, pomarańczowymi literami napisano na niej:

1) Circle Line przez KingsX - 2 min.

I nic więcej.

Przez chwilę oboje gapiliśmy się na tablicę.

- Czy to twoje zakłęcie? - zapytała wreszcie Oda.

- Nie.

- W takim razie co to jest?

- Ostatni pociąg - wyjaśniłem spokojnie. - Prawdziwy ostatni pociąg. To... coś takiego jak Król Żebraków albo Bezdomna.

- To nic nie znaczy - warknęła.

Jej gniew sugerował, że czuje również strach - przed magią jako taką albo przed samym pociągiem. Nie byłem pewien przed czym.

- Niektóre wyobrażenia są czymś więcej niż tylko wizjami zrodzonymi z przypadkowych chwil pełnych inspiracji - zacząłem, starając się odnaleźć odpowiednie słowa.

- Niektóre wyobrażenia stają się prawdą, czy tego chcesz, czy nie.

- I to... wyobrażenie zjawi się tu za dwie minuty?

- Pociąg, który nigdy się nie zatrzymuje - wyjaśniłem. - Który wiecznie jeździ po Circle Line.

Poczułem na twarzy zimny powiew dobiegający z wylotu tunelu. Niósł ze sobą smród głębokich, brudnych podziemi. Oboje wciągnęliśmy go głęboko w płuca.

- To absurd.

- Jak na kogoś, kto poświęcił życie unicestwieniu tajemnych mocy, wiesz bardzo niewiele o tym, z czym masz do czynienia.

Odległe *ba-bach, ba-bach, ba-bach* nasilało się z każdą chwilą. Włosami na mojej głowie poruszył zimny powiew, łaskoczący mi skórę. Tory zaskrzypiały pod nagłym naciskiem. Wstałem i podniosłem małą reklamówkę z sudoku, długopisem oraz gumą do żucia.

- I ten pociąg... - zaczęła Oda, starając się nie okazywać strachu - zawiezie nas do Białych?

- Powinni już wiedzieć, że do nich jedziemy.

- Skąd?

Wskazałem na drugi koniec peronu. Dwoje czarno-białych egipskich oczu przy tablicy

wskazującej drogę do pociągu odjeżdżającego do Luton, z ich długimi, mocno stylizowanymi zakrętami, otworzyło się. Czarne źrenice i szare tęczęwki kierowały się prosto na nas.

Oda spojrzała w tamtą stronę.

- To nie jest tylko sztuczka umysłu - wyjąkała.

- Nie jest.

- Czy to, co robisz, zawsze tak wygląda, czarnoksiężniku?

- Nie. Gdyby tak było, życie byłoby doskonałe - odparliśmy. Podeszliśmy do brzegu peronu, wysuwając palce u nóg za żółtą linię z napisem „Nie przekraczać”. W tunelu na drugim końcu stacji pojawiła się para matowych, białych świateł przypominających ślepia polującego kota. Z każdą chwilą gorzały coraz jaśniej, wyłaniając się z ciemności. Za nimi pojawiła się słabo oświetlona kabina maszynisty. Nie było w niej nikogo poza czarnym cieniem o nieokreślonych rysach twarzy. Słyszałem coraz głośniejszy stukot, syk i zgrzyt kół, sypiących niebieskimi iskrami na podsypkę, a potem pisk hamulców, brzmiący jak śmiertelny krzyk konającego banshee. Ostatni pociąg zatrzymał się na stacji Farringdon. Drzwi się otworzyły.

* * *

Ostatni pociąg był kiedyś biały, ale upływ czasu i zaniedbanie nadały farbie szarawy odcień. Jej powierzchnię pokryły też rysy oraz pęcherzyki brązowej rdzy. Okna były niemal nieprzezroczyste od zadrapań i wypisanych na nich słów. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem przypominającym dźwięk paznokci drapiących szkolną tablicę. Rdza tarła o rdzę. W wagonach paliło się żółtawe światło. Nie zauważyłem żadnych pasażerów. Podłogę z listew pokrywały czarne plamy rozdeptanej gumy do żucia oraz stare gazety unoszące się w przeciągu jak pióra. Obicie foteli było tak cienkie, że czuło się pod nim wyściółkę, przynajmniej tam, gdzie nie wysypała się na zewnątrz. Szybka alarmu przeciwpożarowego była popękana i robiła wrażenie, że w każdej chwili może wypaść, a zwisające z sufitu uchwyty z tkaniny kołysały się lekko, mimo że pociąg stał. Okna na obu końcach wagonu były szeroko otwarte. Wnętrze wypełniało buczenie wentylatorów, ulokowanych za sfatygowanymi siedzeniami.

- Chyba to właśnie są te szatańskie skłonności - odezwała się Oda.

- Nawet jeszcze nie spróbowałaś - zauważyłem. - Pomyśl, jak mała byłaby ludzkość, gdyby nie dawano takim skłonnościom szansy.

Wszedłem ostrożnie do wagonu. Nic się nie wydarzyło. Odwróciłem się i spojrzałem na kobietę, nadal stojącą niepewnie na peronie.

- Na Bond Street mi zaufałaś - przypomniałem jej, wyciągając rękę. - Teraz zrób to samo.

- Czy to... konieczne? - zapytała.

- Tak.

Ujęła moją rękę i weszła do środka. Niemal natychmiast drzwi poruszyły się z wysokim, przenikliwym, stanowczo zbyt głośnym hałasem. Skrzywiłem się, usłyszawszy ten dźwięk. Potem zamknęły się z głuchym, ostatecznym łoskotem. Pociąg ruszył z gwałtownym szarpnięciem.

- Muszę ci coś wyznać - oznajmiłem, łapiąc za zwisający z sufitu uchwyty.

- Co takiego? - zapytała Oda. Pociąg przyśpieszał z cichym jękiem.

- Nigdy jeszcze nie jechałem ostatnim pociągiem.

- Dlaczego?

- Zbyt łatwo można zablądzić.

Chrząknęła, a potem omal się nie przewróciła, gdy nastąpiło kolejne szarpnięcie. Pociąg przyśpieszył gwałtownie i zniknął w tunelu, zostawiając za sobą ciepły blask stacji. Oda postawiła torbę na podłodze i pośpiesznie objęła dłońmi słupek pośrodku wagonu, opierając się o niego. Pociąg ciągle przyśpieszał. Gdy mknęliśmy przez ciemność, wiatr wpadający przez otwarte okno na końcu wagonu szarpał naszymi ubraniami oraz włosami. Po chwili mój płaszcz zaczął łopotać jak flaga podczas gwałtownej wichury. Widziałem bladoczerwone oraz żółte cienie przewodów za oknem, coraz mniej wyraźne w miarę, jak pociąg oddalał się od ścian. Po chwili zniknęły i światło padające z wagonu nie oświetlało już absolutnie niczego. O ile potrafiłem to określić, za oknami była całkowita pustka. Nie widziałem nawet czarnej krzywizny ścian, jedynie ciemność. Lampy na suficie zaczęły migotać. W krótkich chwilach rozbłysków dostrzegałem, że wagon nie jest pusty. Wokół mnie tłoczyła się setka szarych sylwetek o pozbawionych rysów twarzach. Tu i ówdzie mogłem co najwyżej zauważyć zarys kapelusza albo sugestię wózka dla dzieci. Postacie blokowały wyjście, stłoczone tak bardzo, że przez chwilę ledwie mogłem oddychać. Bijące od nich ciepło wnikało mi w kości. Potem światło wróciło do normy. Wagon znowu stał się zimny i pusty, wiatr smagał nasze twarze, jakby każda cząsteczka powietrza była mikroskopijnym nożem, przepełnionym złością wobec nas.

- Czy masz pojęcie, co właściwie robisz?! - zawołała Oda, przekrzykując hałas.

- Zaczekaj minutkę! - odkrzyknąłem.

Na zewnątrz rozbłysło światło i przez krótką chwilę widziałem ściany stacji Kings Cross St. Pancras. Trwało to jednak tylko mgnienie oka i nie próbowaliśmy się zatrzymać.

Cały peron przemknął za oknami w chwili potrzebnej do zaczerpnięcia tchu. Gdy pociąg przyspieszył jeszcze bardziej, stare gazety uniosły się wokół moich kolan, a zgniecione puszki po napojach i opakowania po hamburgerach potoczyły się po podłodze. Spróbowałem unieść nogę, ale guma do żucia przyklepiona do podeszwy pociągnęła moją stopę w dół. Musiałem szarpnąć z całej siły, by się uwolnić.

Kiedy pociąg wreszcie się zatrzymał, stało się to tak szybko i nagle, że przewróciłem się na podłogę, a Oda uderzyła o pękniętą szybę, dzielącą siedzenia od przestrzeni przy drzwiach. Dźwignąłem się na kolanach. Stara, czarna guma lepiała mi się do dłoni. Rozejrzałem się wkoło i uświadomiłem sobie, że nadal jedziemy. Podłogę wypełniała wibracja silników, słyszałem też wysoki pisk wentylatorów oraz elektrycznych trzewi pociągu przekazujących moc do kół. Nie pędziliśmy już z tak oszalamiającą szybkością jak przedtem. Światła paliły się słabo, a w wagonie nie było już pusto.

Wszystkie siedzenia i kąty pomieszczenia wypełniały cienie, półprzezroczyste postacie. Szara kobieta bez twarzy kołysała szare, śpiące niemowlę. Szary mężczyzna bez twarzy kołysał się w rytm niesłyszalnej muzyki. Wokół jego głowy poruszały się szare cienkie przewody odtwarzacza. Mężczyzna w meloniku ustąpił drogi starszej kobiecie z laską. Rodzina w wielkich turystycznymi torbami przepychała się w głąb wagonu, a jakaś kobieta próbowała oprzeć o ścianę wiolonczelę. To nie były duchy. Duchy mają twarze, miny, dźwięki i motywy. To były milczące, anonimowe, niezapadające w pamięć postacie. Wszystkie popadły w zapomnienie, ich rysy zlały się ze sobą, nie pozostawiając niczego poza jednolitymi cieniami. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem tylko błyszczące proste linie torów. Po obu stronach były ich dziesiątki, setki. Wszystkie biegły równoległe, na górze lśniąca stal, po bokach zaś czarny skorodowany metal. Ciągnęły się w dal jak pasy na autostradzie, nim wreszcie zniknęły w nieuniknionej ciemności.

Oda podniosła się z wysiłkiem. Gdy wyciągnąłem do niej rękę, potrzęsła głową.

- Co się dzieje? - wyszeptała.

- Pociąg musi mieć pasażerów - wyjaśniłem, odwracając się, by przepuścić mężczyznę z krzaczastą brodą, odzianego w zbyt obszerną kurtkę.

Dotarł do drzwi i złapał za klamkę cienkimi jak mgła palcami, które kołysały się miarowo w rytm ruchu pociągu. *Ba-bach. Babach. Ba-bach.*

- Czy oni... żyją?

- W pewnym sensie. Jeżdżą wszystkimi liniami metra. Są jego częścią, czymś w rodzaju pamięci.

- To mi nie wygląda na życie.

- Są podobni do nas - odparłem. - To właśnie się dzieje, gdy wypełni się jakieś miejsce zbyt wielką ilością życia. Są wszędzie i nigdzie. Powstali, gdy pierwsi ludzie westchnęli ze zdumienia na widok tego nowego sposobu podróżowania, zachwycili się nim. Nie umrą, dopóki ostatni pociąg nie zamknie swych drzwi. Nim wszyscy zapomną, że kiedyś istniało coś takiego jak metro. A to znaczy, że czeka ich bardzo długie życie. My jesteśmy tacy sami.

- Rewelacja - wysyczała przez zaciśnięte zęby.

- Nie boisz się ani trochę? - zapytałem z uśmiechem.

Łypnęła na mnie ze złością.

Sięgnąłem do torby i wyciągnąłem książeczkę z sudoku. Wszyscy w wagonie odwrócili głowy, zwróciły się ku nam dziesiątki pustych oczu. Zaczekałem chwilę, by się upewnić, że przyciągnąłem ich uwagę, a potem, nadal klęcząc, rzuciłem książeczkę na podłogę wagonu. Długopis położyłem na niej, a romans obok. Na koniec otworzyłem paczuszkę gumy do żucia, odsłaniając białą końcówkę, i odsunąłem się. Cienie podpląnęły bliżej. Sylwetka grubej kobiety w długiej sukni podniosła się z siedzenia, zjawa dziewczyny z ciężkim plecakiem ruszyła w naszą stronę, razem ze zgarbionym staruszkiem, niewyraźnym jak duch. Tłoczyli się wokół moich ofiar, wyciągając ku nim ręce. Delikatnie popchnąłem Odę do tyłu, aż oboje wcisnęliśmy się w wyjście. Cienie skupiały się coraz gęściej wokół pozostawionych na podłodze przedmiotów. Z każdą chwilą napływały nowe, aż wreszcie na mały skrawek podłogi o boku długości jednej stopy wcisnęło się ich ponad dwadzieścia. Wszystkie zlewały się ze sobą, tworząc ciemną, nieprzejrzystą masę. Moje ofiary przesłonił kłębiący się tłum niemalże materialnych sylwetek. Od czasu do czasu wyłaniała się z niego czyjaś głowa albo ręka, ale wir szybko wciągał ją z powrotem.

Po chwili cienie się rozproszyły, wróciły na miejsce, nie oglądając się za siebie. Tam, gdzie się zebrały, nie pozostało nic poza podartym opakowaniem gumy do żucia oraz kartką wydartą z książeczki z sudoku. Wszystkie cyfry wpisano w kratki niebieskim długopisem.

Oda otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale nagle pociąg szarpnął znowu, omal nas nie przewracając. Złapała się uchwytu.

- Co tu się stało?! - zawołała, przekrzykując dźwięk zwiększającego obroty silnika.

- To ofiara - odkrzyknąłem. Zaczęliśmy się kołysać w rytm podskakującego na szynach pociągu. - Trzeba im dać coś, czego najbardziej pragną!

- Sudoku?

- Coś anonimowego, co dostarczy im zajęcia, żeby nie musiały patrzeć na wnętrze pociągu. Tak jest, sudoku i kiczowata powieść! Tym właśnie ludzie zajmują się podczas jazdy metrem!

Pociąg przyśpieszył z kolejnym szarpnięciem. Przez chwilę, gdy zakręcaliśmy, widziałem pozostałe wagony, tworzące niks w mroku łuk. Potem tor się wyprostował i straciłem je z oczu. Spod kół sypały się skry. Światła w wagonie przygasły, parę jarzeniówek pękło z trzaskiem, produkując obłoczki dymu. Ciemność wzmogła się na chwilę, przeganiając cienie. W jednej sekundzie w wagonie było pełno, w następnej znowu robiło się pusto. Z przeciwnej strony nadjechał drugi pociąg. Gdy mijał nas z łoskotem i świstem powietrza przeszywanego przez wielką masę metalu, ujrzałem mężczyznę czytającego gazetę i kobietą robiącą na drutach. Potem pociąg zniknął i znowu widzieliśmy jedynie ciemność oraz własne twarze, odbijające się w porysowanych szybach. Roześmialiśmy się w głos, gdy skry spod kół przemknęły za oknami niczym oślepiający, spadający do tyłu wodospad, wypełniający ciemność blaskiem, od którego wagon wypełniła biała jasność, a powietrze zagrało od elektryczności. Wodospad wypełnił całe pole widzenia, tak wysoki i jasny, że musieliśmy odwrócić się i zacisnąć powieki, by osłonić oczy przed światłem.

Skry zaczęły przygasać wraz ze zmniejszeniem obrotów silnika. Znowu zaczęliśmy szybko zwalniać. Wstrząs cisnął mną w bok. Wpadłem na Ode, kobieta wypuściła uchwyt z ręki i zatoczyła się na drugą stronę wagonu. Złapałem ją instynktownie i przytrzymałem mocno za ramię. Kaskada iskier zgasła. Światła odzyskały zwykły matowy odcień, cienie zniknęły bez śladu. Na zewnątrz znowu ujrzałem brudne kable.

Potem pojawił się słabo oświetlony peron: zaniedbany beton i stare, beżowe płytki. Pociąg stanął i drzwi otworzyły się z głośnym stukiem. Wyszedłem na zewnątrz, czując chłodny powiew. Oda wzięła sportową torbę i podążyła za mną chwiejnym krokiem. Drzwi zamknęły się za nami i pociąg odjechał.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu szyldu i znalazłem go. Aldwych.

Roześmiałem się.

- Fajnie, że to cię bawi - odezwała się Oda.

- Więcej luzu - odparłem. - Witaj na stacji Aldwych.

- Nigdy o takiej nie słyszałem.

- Zamknęli ją. Kiedyś była na linii Piccadilly.

- To jak tu trafiliśmy?

- Musisz ciągle zadawać takie bezsensowne pytania? To cholerne tajemne siły! Naucz się je akceptować!

Na drugim końcu peronu ktoś odkaszlnął. Dłoń Ody powędrowała ku torbie.

- Cześć - odezwałem się.

Było ich troje, mężczyzna i dwie kobiety. Stali w wejściu, pod staromodnym znakiem

w postaci czarnej, metalowej dłoni z wyciągniętym palcem, pod którym umieszczono napis „Wyjście”. Mieli broń. Nie uśmiechali się.

- Dobry wieczór - odezwała się jedna z kobiet, podchodząc bliżej. - Chcieliście się z nami spotkać?

* * *

Zabrali Odzie torbę. Była wściekła, ale przynajmniej powstrzymała się od krzyków. Mój tornister również zabrali. Nie powiedziałem nic, żałując, że nie mam głębszych kieszeni.

Potem założyli nam opaski na oczy i poprowadzili naprzód, wspierając dłonie na naszych ramionach. Sądząc po delikatnym łoskocie, który czułem pod nogami, oraz gorącej, dusznej atmosferze, nie wychodziliśmy na powierzchnię. Co więcej, nasze zmysły wypełniało znajome, słabe brzęczenie, a dotyk powietrza pod naszymi palcami sprawiał... kuszące wrażenie, nasilające się z każdą chwilą.

Według mojej oceny szliśmy przez prawie dziesięć minut. W pewnej chwili moje zmysły zaatakował smród kanałów - skrzepły tłuszcz i rozcieńczone nieczystości - w innej zaś towarzyszyły mi szczury. Podążyły dziesięć kroków za nami, obserwując nas uważnie z mroku, aż wreszcie jeden z eskortujących nas ludzi usłyszał stukot pazurków i przegonił zwierzątko głośnym krzykiem. W tej samej chwili zdzielił mnie w tył głowy. Cios nie był bolesny ani szczególnie groźny, po prostu ostrzegał mnie, że domyślają się, co tak zainteresowało gryzonie. Zamkniętą przestrzeń wypełniały echa naszych kroków. Robiło się coraz duszniej. Nasilał się też posmak unoszącej się w powietrzu magii. To było tak, jakby powietrze opływające mi palce było cieczą, nie gazem, a podłogę pokrywała lepka maź klejąca mi się do stóp.

Po drodze słyszałem dźwięk towarzyszący otwieraniu i zamykaniu się kilku metalowych drzwi albo bram, a także szcęk licznych zamków. Przez cały czas pozostawaliśmy na w przybliżeniu tym samym poziomie. Gdy tylko zesliśmy kilka stopni w dół, zaraz to nadrabialiśmy podobną liczbą schodów prowadzących w górę. Doszedłem do wniosku, że nie możemy być znacząco wyżej niż linia Piccadilly. Po dotarciu na miejsce, natychmiast zorientowaliśmy się, gdzie jesteśmy. Poznawaliśmy tę konstrukcję, nawet z zewnątrz. Z trudem powstrzymałem śmiech.

Sala, w której zdjęli nam przepaski, była ciasna i mroczna. Jej betonowe ściany, podłoga i sufit miały ongiś jednolity, jasnobezowy kolor, obecnie przechodzący w szarość. Pełno w niej było potężnych, milczących maszyn. Ustawiono je w liczne szeregi. Z monolitycznych korpusów zwisały przewody, żarówki powypadały, w odsłonięte obwody

zakradała się rdza. Mimo to łatwo było zidentyfikować pozostałości centrali telefonicznej. Nadal wyczuwaliśmy wypełniające salę brzęczenie, stukot podziemnych urządzeń, choć z pewnością minęło już wiele lat, odkąd centrali ostatnio używano zgodnie z oryginalnym przeznaczeniem.

Nadal jednak korzystano z jej podłóg, ścian oraz fragmentów sufitu. Pokrywała je jaskrawa farba, barwne spirale, przekazy wypisane pomarańczowymi, niebieskimi, fioletowymi albo różowymi literami, obrazy otwartych oczu, uciekających szczurów, elfów w wymyślnych strojach, istot rzeczywistych, fikcyjnych, a także tych z pogranicza, karykatury polityków, parodie sławnych obrazów namalowane w stylu graffiti - tu Rembrandt, który siedział z postaciami grającymi w pokera, zamiast obserwować gotujące się ziemniaki, ówdzie Monet o wszystkich twarzach zastąpionych pyskami fretek o paciorkowatych oczkach, odzianych w suknie z falbanami. Całą wolną przestrzeń wypełniono farbą, pokrywającą podłogę, skapującą z sufitu, ściekającą po ścianach. Sala wyglądała jak psychodeliczny koszmar, nieudany odlot po LSD, ukryty w ruinach centrali telefonicznej Kingsway.

* * *

Zaprowadzili nas do pokoju o ścianach pokrytych wariacjami na temat fioletu. Fioletowe wieżowce przechodziły w liliowe kwiaty, owijające się wokół kasztanowych gaśienic łączących po lawendowych krzakach, które przeradzały się z powrotem w wieżowce. Ciężkie żelazne drzwi, na których napisano staromodnymi literami „Pokój Komitetu”, zamknęły się za nami z trzaskiem. W zamku przekręcił się klucz. Na drugim końcu pokoju ktoś zostawił stary materac z podejrzaną brązową plamą oraz wiadro.

- Czy to też element twojego planu, czarnoksiężniku? - zapytała Oda.

Usiadłem - nie na materacu - i ziewnąłem.

- Na razie wszystko idzie dobrze - odparłem.

- Pod jakim względem?

- Nie zginęłaś, ja nie zginąłem, nie zabili nas, my nie zabiliśmy ich. To znaczy, że jest dobrze - wyjaśniłem. - Ja również nie ufałbym obcym, gdybym był Białym ściganym przez Wieżę za nonkonformizm i niespokojne zachowanie. Sugeruję, żebyś się trochę przespała, zamiast się przejmować.

- Nie będę spała w tym pokoju - oznajmiła, spacerując w kółko ze złowrogą miną.

- A to dlaczego?

- Jest okropny.

- Czemu? - zapytałem, gapiąc się na nią ze zdumioną miną.

- Namalowali na ścianach zaklęcia, czarnoksiężniku! Jak możesz spać, wiedząc o tym?

Rozejrzałem się wokół, spoglądając na płynne pejzaże.

- Naszym zdaniem to piękne - odparliśmy. - Męcz się, jeśli musisz. Ja się prześpię.

Nakryłem się płaszczem, podciągnąłem kolana pod brodę, położyłem się na boku, zamknąłem oczy i natychmiast zasnąłem. Wszystkie moje sny miały fioletową barwę.

* * *

Obudzili nas - nie sposób było określić, czy jest dzień, czy noc, nie mieliśmy żadnych wskazówek - a potem wyprowadzili na korytarz. Za wzmocnionymi, żelaznymi drzwiami czekał pokój z wielkim, okrągłym stołem ustawionym pośrodku. Z sufitu zwisała pojedyncza lampa. Siedząca na krześle kobieta przyglądała się swym paznokciom, trzymając na stole nogi w czerwonych butach z cholewami. Włosy miała czarne, a intensywny makijaż sprawiał, że rzęsy były superdługie. Kąciki oczu podkreśliła długimi, falującymi liniami, zupełnie jak na obrazie w egipskim stylu, który widziałem na stacji Farringdon. Usta miała czarne, skórę bladą, a paznokcie pomalowane jaskrawoniebieskim lakierem. Jej strój składał się wyłącznie ze skóry, ćwieków i łańcuchów.

- Nie mam zbyt wiele czasu, więc załatwmy to szybko - odezwała się, nie podnosząc wzroku.

Torba z bronią należąca do Ody stała w kącie. Łatwo było zauważyć, że ktoś w niej grzebał. Twarz mojej towarzyszki pociemniała na widok podobnej pogardy dla jej sprzętu.

- Dobra - zgodziłem się, siadając na krześle wskazanym przez jednego z ludzi, którzy nas tu przyprowadzili. - Mówiąc krótko, jestem czarnoksiężnikiem, a towarzysząca mi dama reprezentuje naprawdę odrażającą grupę pozbawionych wyobraźni idiotów, którzy mogą się okazać użyteczni. Toczę wojnę z Wieżą. To ja jestem odpowiedzialny za kampanię przeciwko Amiltechowi, chociaż nie zabiłem Khaya. Dudley Sinclair zwerbował mnie do grupy ludzi wspólnie stawiających opór Wieży. Są wśród nich motocykliści, czarownicy, wróżki i bezdomne kobiety. Tego, jak was znaleźć, dowiedziałem się od Króla Żebraków. Słyszałem, że toczycie zawziętą, ale skazaną na porażkę walkę z Guyem Lee. Czy pragniecie mojej pomocy i czy zgodzicie się mi pomóc?

Kobieta pstryknęła końcem paznokcia.

- Zastanowię się nad tym - odparła, nadal na mnie nie patrząc. - Dziękuję, że mnie zapytałeś.

Wskazała niedbałym gestem na ścianę. Strażnicy złapali nas za łokcie i zaprowadzili z powrotem do fioletowego więzienia.

Gdy drzwi znowu się zamknęły, Oda wlepiła we mnie przerażone spojrzenie.

- Co to miało znaczyć? - zapytała głosem brzmiącym stanowczo zbyt spokojnie, biorąc pod uwagę, jak najwyraźniej się czuła.

Z powrotem usiadłem w kącie.

- Uważam, że rozmowa poszła całkiem nieźle.

* * *

Mijały kolejne puste godziny.

Nikt mi nie powiedział, że zemsta będzie taka nudna.

Dali nam kanapki - czerstwy chleb z konserwową mielonką wieprzową - oraz herbatę w poobtlukiwanych kubkach. Zjedliśmy kanapki, by się przekonać, czy to rzeczywiście takie paskudztwo, jak pamiętałem, i z satysfakcją przekonaliśmy się, że tak. Oda nie chciała jeść, więc, by się upewnić, pożarliśmy również jej porcję.

Kobieta zaczęła robić pompki.

- Kurde, co ty wyprawiasz?

- Muszę dbać o kondycję - odparła.

- A po co?

Łypnęła na mnie ze złością. Po pięćdziesięciu pompkach zmieniła pozycję i wykonała pięćdziesiąt przysiadów. Zmęczyłem się od samego patrzenia na nią.

* * *

- Wiesz co? - odezwała się po długim czasie (miałem wrażenie, że minęła cała, pozbawiona dnia i nocy doba). - Jeśli nie będę do nich regularnie dzwonić, zaczną ucinać Blackjackowi kawałki ciała.

Podniosłem się z jękiem z podłogi.

- No dobra! - warknąłem. - I tak wszyscy się tego spodziewają, więc równie dobrze mogę się brać do roboty, niech to szlag.

- Znudziłeś się? - zapytała, unosząc z ironią brew.

Łypnąłem na nią, podszedłem do drzwi i zacząłem w nie walić.

- Chodźcie ze mną porozmawiać! - zawołałem. - Bo dam słowo, że usmażę wszystko, co zobaczę, i do tego kupę innych rzeczy!

Nikt mi nie odpowiedział. Policzyłem do trzydziestu, a potem odsunąłem się nieco.

- Dobra - mruknąłem.

Przyłożyłem ucho do drzwi, przymknąłem powieki i zacząłem szeptać wprowadzające, nieartykułowane dźwięki otwierającego zakłęcia. Błagałem żelazo, pieściłem je swym oddechem, przenikającym aż do samego zamka, głaskałem koniuszkami palców, jakby było wystraszonym kotkiem. Szkoda, że nie miałem zestawu surowych kluczy, zostawionego w tornistrze. To znacznie ułatwiłoby zadanie. Fioletowa farba na ścianach Zaskwierczała. Pojawiły się na niej bąble. Wieżowce się zachwiały, lawendowe krzaki zaszumiały na wietrze, lampy zamrugały nerwowo, i wreszcie zamek otworzył się z trzaskiem.

Popchnąłem drzwi. W długim, mrocznym korytarzu nie było nikogo. Nie widziałem też szurów, które mógłbym wykorzystać jako zwiadowców. Wyczuwałem jednak mnóstwo elektryczności.

- Jeśli poproszę cię, żebyś zeszała mi z drogi, odpowiedz mi tylko cichym śmieszkiem, dobra? - rzekłem do Ody.

- Przeceniasz moje poczucie humoru - odparła.

To mnie raczej nie zaskoczyło.

Uniosłem palce i zacząłem przyciągać elektryczność ze ścian. Owijałem ją sobie wokół dłoni, nadgarstków, ramion, pach i szyi niczym chustę. Spływała mi po plecach jak masa wściekłych, świetlistych robaków, czułem, jak pełza po mojej piersi, aż rosnące tam włosy stawały dęba. Gdy pochwyciłem jej już tak wiele, że krew wypełnił mi bolesny nacisk, a oczy zaszczypały od bliskości żaru, ruszyłem przed siebie. Oda podążała za mną, trzymając się na bezpieczny dystans. Wizerunki na ścianach przesuwwały się leciutko, śledząc nas wzrokiem.

Zachichotałem.

- Co cię tak śmieszy?

- Obserwują nas.

- Kto?

- Biali.

- Dlaczego?

- Nie jestem do końca pewien. Chodźmy. Tędy.

- Skąd wiesz?

- Pamiętamy to miejsce. W dawnych czasach znaliśmy je od środka.

- Nie rozumiem.

- To kiedyś była centrala telefoniczna. Przychodziliśmy tu się bawić, kiedy linie nie były zbyt przeciążone. Pamiętaj, musisz mi zaufać!

- Może któregoś dnia - odparła.

Uśmiechnąłem się i ruszyłem w dalszą drogę.

Po chwili spotkaliśmy pierwszego strażnika, uzbrojonego w strażacki toporek. Mężczyzna zerknął w naszą stronę i natychmiast pobiegł prosto na nas. Odruchowo cisnąłem w niego garścią elektryczności. To odrzuciło go do tyłu, ale ku naszemu zdumieniu nie zrobiło nic więcej. Znowu rzucił się do ataku, otwierając szeroko usta i wykrzywiając twarz w wyrazie furii. Pomyślałem, że jak na rozwścieczonego napastnika porusza się nieprawdopodobnie cicho. Opuściłem dłonie i czekałem. Elektryczność strzelała gniewnie między moimi palcami. Oda skoczyła naprzód, gotowa odepchnąć mnie na bok, ale w ostatniej chwili, gdy toporek był tylko cal ode mnie, mężczyzna zatrzymał się, zachwiał i rozpadł na tysiąc fragmentów farby, szybko zagłębiających się w beton.

- Iluzja - wyjaśniłem.

- Widzę, że świetnie się bawisz - odparła kobieta, starannie strzepując z grzbietu dłoni krople farby.

- Chyba już kapuję, co tu jest grane - oznajmiłem.

- Może zechciałbyś mi to wyjaśnić?

- To cholerny, głupi test.

- Test?

- Żeby sprawdzić, czy się do czegoś nadajemy.

- Nadajemy? - powtórzyła ze wzgardą.

- Czy nadal masz zamiar papugować wybrane fragmenty moich odpowiedzi?

- Pragnę rozproszyć aurę tajemnicy, jaką próbujesz się otaczać.

- W dawnych dobrych czasach mówiło się: „Hej, jestem czarnoksiężnikiem i oto, czego od was chcę”, a ludzie słuchali - odparłem z westchnieniem. - Ale teraz... podejrzewam, że Bakker wyrobił nam złą reputację...

Uspokoilem się, zwróciłem palce ku podłodze i wypuściłem całą elektryczność do ziemi. Czulem, jak spływa mi po nogach, wsiąkając w beton.

- Czy to na pewno rozsądne? - zapytała Oda, patrząc, jak ostatnie iskierki dogasają.

- Niech to szlag, nie zamierzam grać w ich gierki - odrzekłem. - Mamy na głowie ważniejsze sprawy. - Uniosłem głowę. - No dobra, już się zabawiliście - zawołałem w głąb korytarza. - Zobaczyliście, na co nas stać. A teraz przestańcie się wygłupiać albo zwałę wam na głowy cholerną ulicę. Niech wam się nie zdaje, że nie mam na to ochoty.

- Potrafiłbyś to zrobić? - zapytała moja towarzyszka.

- Odo - odparłem, ścisząc głos. - Nawet gdybym był skłonny zdradzić ci, jak daleko

sięgają moje możliwości, to czy rzeczywiście sądzisz, że to odpowiednia chwila na akademickie rozważania na ten temat?

- Tak mówisz? - zapytała, unosząc brwi i rozciągając usta w nieprzyjemnym uśmiechu.

- Och, z pewnością. Mówię poważnie! - zawołałem, znowu podnosząc głos. - Albo zaraz porozmawiamy, albo wydarzenia przybiorą mityczną skalę. Natychmiast, do chuja!

- W porządku, czarnoksiężniku - dobiegł z końca korytarza urażony głos. - Jasno wyraziłeś swe stanowisko. Jezu, nie prosiliśmy o pierdolone kazanie na gorze.

- I co? - zapytałem Ode, uśmiechając się do niej. - Wcale nie było tak trudno, prawda?

* * *

Wróciliśmy do pokoju z okrągłym stołem. Kobieta oznajmiła, że ma na imię Vera, a potem poinformowała nas zimnym tonem, że została mniej więcej prawomocnie wybrana wodzem Długiego Klanu z White City i jest z tego dumna.

- Co to znaczy „mniej więcej prawomocnie”? - zapytałem.

- Wszyscy się zgadzają, że gdyby przeprowadzono wybory, ja bym je wygrała - odparła z olśniewającym uśmiechem. - Dlatego doszłam do wniosku, że szkoda zachodu. - Usiadła, wyciągając przed siebie nogi w skórzanych spodniach tak obcisłych, że trudno mi było zrozumieć, jak znosi to jej krążenie. - A więc rzeczywiście jesteś czarnoksiężnikiem - zauważyła od niechcienia. - Nie byłam tego pewna.

- Cholera, mogłaś zapytać - poskarżyłem się. - W dzisiejszych czasach nikt nie zwraca sobie tym głowy.

- Pomyślałam sobie, że lepiej będzie sprawdzić, co zrobisz z własnej inicjatywy - wyjaśniła. - Doszłam też do wniosku, że gdybyś chciał nas załatwić, zabrałbyś się do tego szybciej. Przepraszam za te kanapki. Chcecie coś lepszego?

- Nie jestem głodna - odparła Oda głosem zimnym jak trzask gór lodowych cielących się na wzburzonym morzu.

- Ja bym coś zjadł - odezwałem się. - Ale najpierw chciałbym się dowiedzieć, po co ten teatr?

- Musimy być ostrożni. Klan jest w stanie oblężenia. Guy Lee zapowiedział, że zniszczy po nas wszelki ślad. Wydaje na to mnóstwo forsy i rzuca wiele grózb.

- Dlatego zamykacie wszystkich, którzy przyjdą powiedzieć „cześć”?

- Do chwili, gdy czegoś się o nich dowiemy. Na przykład, przez półtorej doby, które tu spędziliście...

- Półtorej doby? - powtórzyła z niedowierzaniem Oda.

- Tak. - Powiedziała nam to rzeczowym tonem. Nie była kobietą przyzwyczajoną okazywać wyrzuty sumienia czy choćby uprzejme zażenowanie. - Dowiedziałam się, że ty... - wyciągnęła ku mnie długi, wypielęgnowany palec - ...niemal na pewno jesteś Matthew Swiftem, czarnoksiężnikiem, byłym trupem, dawnym sprzątaczem z Lambeth...

- Byłeś sprzątaczem w Lambeth?

- Potrzebowałem pieniędzy.

- Naprawdę?

Oda nie mogłaby być bardziej zdumiona, gdybym jej powiedział, że w wolnych chwilach zajmuję się budową piramid.

- A także wybranym, ulubionym uczniem Roberta Jamesa Bakкера - dokończyła Vera, sapiąc lekko z irytacji, że zepsuto jej zachowaną na koniec niespodziankę.

- Wszystko to prawda - przyznałem. - Aczkolwiek powtarzam, że wystarczyło mnie zapytać.

- Nigdy nie zaszkodzi się upewnić.

- Skąd się tego dowiedzieliście?

- To nie było zbyt trudne. Czarnoksiężnik, żywy i niezamknięty w psychiatryku, podobno nie pracuje dla Wieży, wróg Bakкера. Amiltech leży w gruzach, Khay nie żyje, winnych nie ustalono, krążą pogłoski, że uczeń Bakкера wrócił i chce się zemścić na mistrzu. Wystarczyło tylko porównać kilka zdjęć i uśmiechnąć się do paru urzędników, by zdobyć ostateczne dowody.

Wzruszyłem ramionami. Nie było sensu niczemu zaprzeczać.

- Słyszeliśmy, że nie żyjesz.

Ponownie wzruszyłem ramionami.

- Ale widzę, że twój stan się poprawił - dodała, przyglądając mi się, by sprawdzić, jak zareaguję.

- Dziękuję.

Nie miałem ochoty mówić jej nic więcej.

Odczekała chwilę, ale nadal nie odzywałem się ani słowem.

- Jeśli zaś chodzi o ciebie... - Podjęła, wskazując drugim palcem na Odę. - Nie mam pojęcia, kim jesteś ani czego chcesz, i to mnie niepokoi.

- Jeśli staniesz nam na drodze, zginiesz - oznajmiła Oda, dumnie unosząc brodę.

- Ona nie ma poczucia humoru - wtrąciłem pośpiesznie. - Naprawdę w to wszystko wierzy.

- To bardzo osobliwe. Kim jesteś?

Oda zerknęła na mnie.

- Powiedz jej złą wiadomość - poradziłem.

- Należę do Zakonu.

- Nigdy o was nie słyszałam.

- To dowód na to, jacy dobrzy jesteście - odparła Oda, uśmiechając się półgębkiem.

Vera się zawahała. Po chwili na jej ustach pojawił się złośliwy uśmiezek.

- Rozumiem.

- Możemy wam pomóc wykończyć Bakкера.

- To czarujące. A na czym polega haczyk?

- Muszę zadzwonić - oznajmiła bez ogródek Oda.

- To masz pecha - odparła Vera z błyskiem w oczach.

- Proszę, pozwólcie jej na to - odezwałem się znużonym głosem. - W przeciwnym razie zrobi się nie do zniesienia.

- A dlaczego miałabym jej pozwolić?

- Dlatego że jest członkiem Zakonu, czyli organizacji złożonej ze złych, pozbawionych wyobraźni ludzi, którzy wzięli mojego znajomego jako zakładnika, by się upewnić, że będę grzeczny. Chciałbym, żeby pożył wystarczająco długo, by pomóc nam w doprowadzeniu do upadku Bakкера i wszystkich jego dzieł. Co ty na to?

- Jaki z ciebie czarnoksiężnik?

Vera zachichotała, starając się nie okazywać, że jej zaimponowałem.

- Rozsądny. Wiem, że sam nie zdołałem pokonać Guya Lee. Nie teraz, bo już wie, że chcę go załatwić. Dlatego potrzebuję waszej pomocy. Zgodzicie się nam pomóc?

Ku mojemu zaskoczeniu Vera uśmiechnęła się szeroko.

- Jeśli tak to ująłeś, czarnoksiężniku, mamy podstawy do rozmów.

* * *

Pozwolili Odzie zadzwonić, a mnie zaprowadzili na wycieczkę po centrali telefonicznej Kingsway.

- Te podziemia zbudowano po to, by mogły przetrwać atak jądrowy - wyjaśniła Vera, gdy chodziliśmy ciasnymi monotonnymi korytarzami. - Ale atak nie nastąpił, więc umieszczono tu centralę telefoniczną. Gdy człowiek przyjdzie tu o siódmej rano i wyjdzie po dziewięciu godzinach, zimą przekona się, że znowu jest ciemno. Cały dzień mija nie wiadomo kiedy. Tam, gdzie nie dociera słońce, czas traci znaczenie.

- Dlaczego wybraliście to miejsce? - zapytałem, wędrując przez kolejny korytarz o ścianach pomalowanych na psychodeliczne kolory.

- Kiedyś mieszkaliśmy w White City. Stąd wzięła się nasza nazwa. Ale potem wyburzyli nasz dom, by wybudować nową galerię handlową. Guy Lee doszedł wówczas do wniosku, że mu przeszkadzamy. Harris Simmons zainwestował w tę galerię piętnaście milionów. Mówi ci to coś? Zajmuje się wszystkim po trochu. Klan przyciąga zagubionych magów, dzieciaki, nierozumiejące, że wszystko, co narysują, ożywa, artystów voodoo opętanych przez duchy, zaklinaczy niezdolnych zapanować nad tym, co stworzyli. Opiekujemy się swymi braćmi, pilnujemy, by wieści o naszych poczynaniach nie wyciekły na zewnątrz, staramy się nie przyciągać uwagi władz.

- Czy to znaczy, że jesteście lepsi niż Lee? - zapytałem.

- W ostatecznym rozrachunku zapewne niewiele. Nasi ludzie kradną, rzucają czary i uroki, dla zysku albo po to, by przetrwać. Opiekujemy się całą masą bezdomnych szczeniąt i trudno się dziwić, że niektóre z nich gryzą. prostytutkami niebojącymi się zaklętek dających tymczasową urodę, złodziejami, którym czasem opłaca się stać cieniami nie tylko w przenośni. Takie rzeczy się zdarzają i musimy z nimi żyć. Ale nie przybijamy ludzi gwoździami do drzew, jeśli złamią nasze zasady. I nie gwałcimy kobiet, które nas nie słuchają, gdy każemy im rzucić zaklęcie. I nie torturujemy wróżek, które nie chcą nam płacić haraczu, nie eksperymentujemy z wyniszczonymi gałkami ocznymi jasnowidzów, by sprawdzić, czy możemy ukraść choć część ich wzroku, nie zatruwamy żebraków heroiną, żeby załapać się na ich odlot bez wprowadzania narkotyku do krwi, nie składamy ofiar z ludzi duchom miejsc, by wkupić się w ich łaski, nie rzucamy nieprzeniknionych uroków, wzbogaconych krwią dzieci, żeby nasze kurwy wydawały się piękniejsze, nawet te brzydkie jak świnie. I nie lubimy rozmawiać z umarłymi. Oni mówią rzeczy, których czasami lepiej nie słyszeć. Czy to cię satysfakcjonuje, czarnoksiężniku?

- Miałem nadzieję spotkać kogoś w lśniącej zbroi, ale dziękuję za zwięzłą odpowiedź.

- Nie ma za co. Krótko mówiąc, Lee nas nie lubi. Uważa, że stoimy mu na drodze. Żąda od nas różnych rzeczy.

- Na przykład?

- Pieniądzy. Usług. Kapowania. Mamy mnóstwo kontaktów, a on nie lubi rywali. To twardziel. Ma na swoje usługi całą armię, a w Wieży czeka jeszcze więcej ludzi gotowych spełniać jego rozkazy. Lubi władzę, a Biali nie chcą mieć nikogo nad sobą. Sytuacja może się tylko pogarszać, chociaż po rozpiardoleniu Amiltechu...

- Firma stanie na nogi - przerwałem jej z westchnieniem. - Pewnie, że na razie sprawy

mają się kiepsko, ale Amiltech przetrwa, dopóki będzie miało poparcie Wieży.

- Pomimo śmierci San Khaya? - zapytała natychmiast.

- Ja go nie zabiłem. Powiedzmy to sobie wyraźnie. Nie zrobiłem tego.

- Szkoda - westchnęła. - A dlaczego? Ja bym to zrobiła.

- Ktoś inny załatwił go pierwszy.

Czekała, aż powiem coś więcej, ale zachowałem milczenie. Wzruszyła ramionami.

- W porządku. Amiltech na razie ma przesrane. To dobrze. Co możesz dla mnie zrobić?

- Pomóc ci w walce z Guyem Lee.

- W jaki sposób?

- Znajdę ci sojuszników.

- Czarowników, motocyklistów i religijne maniaczki? Dziękuję, wolę radzić sobie sama.

- A także Króla Żebraków.

- Siebie również uwzględniasz, oczywiście? - zapytała z jadowitym tonem drwiącego zwątpienia. - Nasz oswojony czarnoksiężnik, wyszkolony przez człowieka siedzącego na samym szczycie Wieży.

- Bakker jest również moim wrogiem.

- Ehe, słyszałam, że może tak być. Jak znajdziesz mi całą tę pomoc, skoro do tej pory wszyscy mieli to w dupie?

Zastanowiłem się nad możliwymi powodami i zacząłem je wyliczać na palcach.

- Po pierwsze, jestem czarnoksiężnikiem, a słyszałem, że w obecnych czasach to rzadkość. Po drugie, Sinclair już przygotował podstawy, ja tylko zakończę sprawę. Po trzecie, byłem uczniem Bakкера. Jego ulubionym uczniem, przybranym dzieckiem, pierdolonym, rozpieszczanym adoptowanym synem. Boicie się go? W takim razie mnie również powinniście się bać. Po czwarte...

Zawahaliśmy się.

- Po czwarte?

Pomyślałem o centrali telefonicznej, spojrzałem w jasne i bezlitosne oczy Very, a potem przelknąłem słowa.

- Mniejsza z tym. To na razie nieważne.

Odchrząknęła, kręcąc głową.

- Dobra. Jak sobie życzysz. Muszę cię jednak zapytać o coś jeszcze.

- No to pytaj.

- Słyszałeś, ilu czarnoksiężników zginęło? Awan, Akute, Patel...

Skinąłem głową.

- Dobra. W takim razie znasz sytuację. Stwórz, którego nie można zabić, który uwielbia zadawać śmierć i atakuje wrogów Bakкера. Nie można go powstrzymać i...

- Ja go powstrzymałem. Zapytaj Odę.

- Jak?

- Tylko na chwilę. To było zaklęcie. Ścigał nas, ale nie zdołał dopaść. Nie tym razem.

- Wiesz o tym stworze? Potrafisz go załatwić? - zapytała pośpiesznie, z wyraźnym lękiem. - Jeśli tak, możemy się dogadać.

Wiedziała o Głodzie. Co ważniejsze, wiedziała wystarczająco dużo, żeby się go bać.

To budziło mój szacunek.

- Chyba potrafię go zabić - oznajmiłem. - Ale najpierw muszę się spotkać z Bakkerem.

- Z tym będzie problem, bo podejrzewam, że w tej chwili nie darzy cię zbyt dużą sympatią, a jest trudny do odnalezienia jak cholerne El Dorado.

- Źle mnie zrozumiałaś. Chodzi mi o to, że jeśli chcę zabić cień, muszę najpierw załatwić Bakкера.

- A dlaczego?

- Potrafisz dochować tajemnicy? - zapytałem ściszym głosem.

- Nie. Chyba że to naprawdę kurewsko ważne.

- Niewykluczone, że tak właśnie jest. To może być klucz do całej sprawy. Odpowiedź na pytanie, która ci się nie nasunęła.

Wzruszyła ramionami.

- Gadaj, ale nic nie obiecuję.

- Ciebie i Bakker?

- Tak?

- Myślę, że mogą być jednym i tym samym.

Otworzyła usta, najwyraźniej chcąc się sprzeciwić, ale się zawahała. Jej twarz nagle straciła wyraz.

- Ha - wydyszała po chwili. - Niech to szlag. Masz jakieś dowody?

- Mam... mnóstwo poszlak.

- Kto jeszcze o tym wie? Albo podejrzewa?

- O nikim nie słyszałem, ale przypuszczam, że Król Żebraków wszystkiego się domyślił. Jeśli zostali jeszcze jacyś żywi czarnoksiężnicy, którzy się nie ukrywają ani nie oszaleli, oni też powinni odgadnąć prawdę. Ale się boją.

- Skąd ta pewność?

Zastanowiłem się nad tym pytaniem, oblizując wargi, by przypomnieć sobie smak krwi.

- Chodzi o tych, których zaatakowano. O naturę ataków i samego stwora. Jest głodny, pragnie życia, którego jako cień nie może zdobyć. Siostra Bakker wspominała, że kazał jej przywołać pewne stworzenia, głosy w przewodach telefonicznych. Sądził, że mogą go utrzymać przy życiu. Cień ją zaatakował, ale jej nie zabił. Dlaczego? A niedawno...

- Niedawno? - powtórzyła ostrym tonem, gdy się zawahałem.

- Widziałem twarz stwora. To oblicze Bakker, pobladłe i pomarszczone, ale nadal rozpoznawalne. Cień jest powiązany z Bakkerem. Nie wiem w jaki sposób, ale to prawie pewne. Myślę, że, by powstrzymać Cień, trzeba najpierw wyeliminować Bakker. Kura i jajo.

Zaczerpnęła głęboko tchu.

- Dobra. W porządku. Załóżmy na razie, że to kupuję. Ale, żeby zabić Bakker, będziesz musiał wyeliminować jego ochronę. Guya Lee i może też garstkę innych. W tym niemal na pewno Danę Mikedę. A to z kolei grozi przyciągnięciem uwagi cienia. Będziesz też miał problem z Mikedą.

Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że wpatruje się w moją twarz z błyskiem inteligencji w oczach.

- Dam sobie radę - zapewniłem.

- Była twoją uczennicą - przypomniała łagodnym tonem. - Słyszałam, że czarnoksiężnicy bardzo się przywiązują do swoich uczniów.

- To skomplikowane.

- Idę o zakład, że tak.

- Poradzę sobie z tym - odparłem, ostrzejszym tonem niż zamierzałem.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Tak czy inaczej, będziesz musiał to zrobić. Czy ty i Elizabeth Bakker...?

Nie odpowiedziałem.

- To zapewne nieważne - dodała.

- Dla ciebie z pewnością - warknąłem.

Na jej twarzy pojawił się na moment okrutny uśmiezek, grożący przejściem w śmiech.

- W porządku, Matthew Swift - odezwała się po chwili. - Chyba można powiedzieć, że przyciągnąłeś naszą uwagę. Co dokładnie zamierzasz zrobić?

Okląłem, nie mogąc ukryć nagłej ulgi.

- To bardzo proste. Muszę wyeliminować Guya Lee i jego podziemną armię, a do tego potrzebuję pomocy.

- Nie ufam tej dziewczynie, która jest z tobą.

- Ja też nie. Powinnaś wiedzieć, że gdy już będzie po wszystkim, zapewne nie stanie się waszą przyjaciółką.

- Czyżbyś ściągnął na mnie kłopoty? - zapytała, unosząc brwi.

- Przykro mi. Nie miałem wyboru.

- Nie miałeś wyboru? W jakim sensie?

- Potrzebuję pomocników do walki z Guyem Lee i jestem gotowy zapłacić każdą cenę. Zacisnęła zęby.

- Rozumiem. Czarnoksiężnicy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Moc z reguły uderza wam do głowy tak bardzo, że zapominacie o biednych skurczybykach, którzy stoją wam na drodze. Powtarzacie takie sformułowania jak „niezbędne ofiary” i „nieuniknione straty”, bo musicie być pierdolonymi bohaterami. - Wzniosła oczy ku niebu w geście irytacji. - Cholerni czarnoksiężnicy.

- To bezpodstawne uogólnienie - sprzeciwiłem się łagodnym tonem.

- Od tego właśnie zaczynał Bakker - odparła z błyskiem w oczach. - Mówił, że pewne rzeczy są nieuniknione.

Milczałem.

- Czy znasz jakiś sposób, który pozwoli nam pokonać Guya Lee bez ofiar wśród moich ludzi? - zapytała.

- A czy on wie, że tu jesteście? - Wskazałem na pomalowane ściany. - Tutaj, w dawnej centrali?

- Nie. Chyba nie.

- Przypuszczam, że pilnie strzeżecie tej tajemnicy.

- Bardzo pilnie. Dlaczego pytasz?

Rozejrzałem się po długim korytarzu o barwnych ścianach.

- Schron atomowy? - zapytałem.

Skinęła głową.

- To może się przydać.

* * *

Pomalowane na zielono drzwi były grube i wykonane z żelaza. Wyposażono je też w

solidne zamki. Ściany między pokojami miały pół stopy grubości, regulaminy przeciwpożarowe pochodziły sprzed trzydziestu lat, a system wentylacyjny zatykał gęsty pył, który z czasem opada na wszystko w mieście, pokrywając nawet białe marmury cienką, czarną warstewką. Widziałem tu mnóstwo drzwi. One przynajmniej były dobrze utrzymane. Kręty tunel o ociekającym wodą suficie ciągnął się całymi milami. Jego poziom podnosił się powoli, niemal niedostrzegalnie. Gdzieniedzie na ścianie namalowano znaki, wskazujące strzałkami drogę do kolejnych punktów: Chancery Lane, High Holborn, Lincolns Inn, Aldwych. Czulem dobiegające zza ścian dudnienie pociągów metra jadących Piccadilly Line.

- Kiedyś jeździły tu też inne pociągi - oznajmiła Vera.

- Jakie?

- Pocztove. Kursowały między magazynami. Rząd ciągle coś tamtędy transportował. Były też podziemne ciężarówki, dowozące mięso na targowiska. Niektóre linie nigdy nie wychodziły na powierzchnię. W mieście nie ma zbyt wielu pociągów, o których można to powiedzieć. Ale teraz wszystko wygląda inaczej. Ludzie zapominają o tym, co się kryje pod ziemią.

Pomyślałem o duchu, z którym rozmawiałem w Camden, strażniku starej linii kolejowej, i o pustym magicznym kręgu przeznaczonym dla Khaya. Może mi się jeszcze przydać.

Wszedłem na górę po zardzewiałej, zakrzywionej drabinie wbitej w betonową ścianę i znalazłem się z boku Lincoln's Inn, w szybie wypełnionym świstem wiatru i hałasem ciężkiej maszynierii. Przez chwilę pomyślałem, że wstaje świt, ale zegar na stacji metra Holborn nie pozostawiał miejsca na wątpliwości. Pod ziemią czas biegnie inaczej. Był pochmurny, deszczowy wieczór. Siąpiła słaba, londyńska mżawka, a gęste londyńskie chmury jak zwykle nie w pełni wykonywały swą groźbę.

Vera zostawiła mnie tam. Powiedziała, że nie lubi się pokazywać na powierzchni, i nie uścisnęła mi ręki na pożegnanie.

Oda czekała pod stacją Holborn. Torbę z bronią przewiesiła sobie przez ramię, a w jednej ręce trzymała komórkę. Między wielkimi, kamiennymi blokami Kingsway a biurowcami High Holborn o ścianach wyłożonych gładkimi płytami ciągnął się pas pełen świateł ulicznych, jaskrawych reklam oraz przepychających się pieszych. Środkiem ulicy jechały długie autobusy.

- I co? - zapytałem, mrugając. Po jaskrawym blasku żarówek moje oczy miały trudności z przywyknięciem do szarego, monochromatycznego światła wieczoru.

- Ucięli motocykliście dwa palce - oznajmiła radośnie, chowając telefon do kieszeni.

- Co zrobili?

- Nigdy już nie mów, że nie mam poczucia humoru - odparła z uśmiechem wyglądającym równie sympatycznie jak otwarta paszcza krzyżącego nietoperza. - Czy Biali zgodzą się nam pomóc?

- Tak.

- A co właściwie mogą zrobić?

- Mogą zostać tam, gdzie są teraz - odpowiedziałem z wymuszoną wesołością. - Jeśli będziemy mieli szczęście, to powinno wystarczyć. A teraz chcę, żebyś mi wyświadczyła przysługę.

- Przysługę?

W jej ustach zabrzmiało to jak nieprzyzwoite słowo.

- Tak. Zadzwoń do tych swoich zasranych kumpli i każ im wypuścić Blackjacka.

- A dlaczego?

Zacząłem wyliczać powody na palcach, podobnie jak robiła to Oda.

- Po pierwsze, to by było miłe. Po drugie, nie musicie brać zakładników, by skłonić mnie do walki z Wieżą. I tak to robię. Po trzecie, potrzebujemy pomocy motocyklistów, a Blackjack jest jedynym znanym nam ich człowiekiem, który potrafi ich szybko odnaleźć i być może też przekazać wiadomość czarownikom z Birmingham. Po czwarte, przekląłem przywódcę waszego Zakonu. W tej chwili myśli, że to grypa, ale szybko się przekona, że się mylił, a ja nie zdejmę tej klątwy, dopóki nie przestaniecie się zachowywać jak głupie kutasy. Co ty na to?

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

- Gdy tylko oddalimy się od tego miejsca i tych ludzi, zabiję cię, czarnoksiężniku - odpowiedziała wreszcie.

- To byłoby, jak mówią konsultanci pracujący dla korporacji, „nieefektywne”. Zadzwoń do nich. Jestem pewien, że mamy mnóstwo spraw do omówienia.

Wreszcie poczułem się lepiej.

* * *

Czekałem w kawiarni na Kingsway, pijąc absurdalnie drogą kawę z jakimś obrzydliwym syropem. Oda krążyła przed wejściem, rozmawiając przez komórkę. Wyglądało na to, że wdała się w poważną kłótnię. Po półgodzinie tej rozmowy, postanowiłem dyskretnie oddalić się od okien, na wypadek, gdyby rzeczywiście spróbowała mnie zastrzelić.

Zastanawiałem się, jaką postać przybrała pod moją nieobecność klątwa rzucona na

przywódcę Zakonu. Jak mocno zagłębiła się w ciało, do jakiego stopnia magia niebieskich czerwi nasyciła się ciepłem jego krwi. Kiedy skończyliśmy rozmowę, miał na rękach naszą krew. Mieliśmy nadzieję, że jej bliskość przyśpieszy działanie zaklęcia.

Oda wreszcie skończyła rozmawiać i wpadła do kawiarni z twarzą zaczerwienioną z gniewu. Usiadła na kanapie naprzeciwko mnie, rzuciła torbę na ziemię, sięgnęła za pazuchę i wyjęła pistolet. Schowała rękę z bronią pod stołem. Lufa zwracała się tylko w przybliżeniu w moim kierunku, ale przy tak niewielkiej odległości celność nie stanowiła problemu. Choć serce zabiło nam szybciej na widok pistoletu, starałem się zachować spokój, przeciwstawić uśmiech groźbie nadchodzącej katastrofy.

- Co zrobiłeś? - warknęła przez zaciśnięte zęby.

- Masz zamiar tego użyć? - zapytałem, wskazując głową na ukryty pod stołem przedmiot.

- Rozkazano mi zastrzelić cię, gdy tylko odwołasz zaklęcie.

- Dziękuję za szczerść, ale w ten sposób raczej mnie nie przekonasz.

- Co zrobiłeś naszemu przywódcy?

- Miał na rękę naszą krew - warknęliśmy. - Powinniście byli wiedzieć, że jest potężna.

Wasz szef zgodzi się ze mną pogadać czy nie?

- Wiedziała, że nie można ci ufać.

- Pewnie, że wiedziałaś, ale prawda wygląda tak, że porwaliście mnie i mojego przyjaciela, a kiedy przebywałem u was, bito mnie i krzyczano na mnie. W gruncie rzeczy chcę tylko... - zastanowiłem się nad wyborem słów - ...wyrównać rachunki.

Jej twarz przybrała na chwilę smutny, zbolały, niemal dziecinny wyraz. Zaraz jednak wróciła maska.

- Porozmawia z tobą przez telefon.

- Spotka się ze mną osobiście, do cholery. I to bez tych opancerzonych ochroniarzy, jeśli łaska.

- To wykluczone. Zabijesz go.

- Odo - zacząłem, starając się nie okazywać gniewu - nie zrobiłem wam nic złego. Powiedziałem wam prawdę. Nie musieliście robić mi krzywdy, by przyciągnąć moją uwagę. Byłem gotowy wam pomóc. Nadal jestem.

Milczała.

- Masz zamiar mnie zastrzelić? - zapytałem, zmuszając się do uśmiechu. - Właściwie to raczej próba wiary. Zabić kogoś i dać się złapać, zamiast ginąć w jakiejś heroicznej krwawej jatce. Jeśli zapłacisz za to życiem, zaliczą cię w poczet męczenników. Nie zyskasz

nic oprócz chwały, a w najgorszym razie nierozstrzygniętych pytań. Kierujące tobą motywy pozostaną jedynie twoją sprawą. Jeśli jednak złapią cię żywcem, będziesz musiała wziąć na siebie odpowiedzialność, odpowiedzieć na wszystkie pytania na świecie. Idę o zakład, że Zakon nie zechce ci pomóc, gdy policja zapyta: „Odo, dlaczego jesteś uzbrojona po zęby i dlaczego zastrzeliłaś nieszkodliwego pana Swifta?”. Uznają cię za obłąkaną i zamkną w domu wariatów. Nigdy nie zdobędziesz chwały, wdzięczności czy usprawiedliwienia, jakie mogłaby ci, w pewien wypaczony sposób, dać śmierć podczas próby zabójstwa.

- Czarnoksiężniku?

- He?

- Zabiję cię. Może nie w tej chwili, może nie na oczach ludzi, ale zapewniam, że to zrobię.

- Świetnie - odparłem radosnym tonem. - Nie mogę się doczekać naszego spotkania. Jestem pewien, że coś wymyślisz.

* * *

Zostawiłem ją w kawiarni. To było ryzykowne, ale konieczne.

Zadałem sobie pytanie, jak bym się czuł, mając na rękach krew Blackjacka. Ledwie go znałem, nie miałem powodu mu ufać, nie łączyło nas nic poza wspólnym wrogiem. Nie chciałem być odpowiedzialny za jego los, ale to zobowiązanie i tak na mnie spadło. Jeśli zginie, to ja będę winny.

A gdyby tak się stało, wiedzieliśmy z całą pewnością, że nie spoczniemy, dopóki nie zniszczymy Zakonu, nie zmyjemy swej winy krwią jego członków. Kolejny wróg na naszej liście, i to taki, którym zajmiemy się z ochotą.

Ale ja chcę...

...czujemy...

stań się mną

i bądź wolny

ale ja

i my

ale JA

...myśmy są... myśmy są...

Przygryzłem wargę tak mocno, że popłynęła mi krew. Nie puszczałem jej, dopóki moich myśli nie wypełniła całkowicie szarość wczesnowieczornej ulicy oraz cichy szelest deszczu.

* * *

To ja wybrałem miejsce i czas spotkania. 10:30 rano na lotnisku Stansted. Miałem wiele powodów. Na początek, Stansted jest tym z licznych londyńskich lotnisk, którego najmniej nie lubię. Nie jest tak tłoczne i dezorientujące jak Gatwick, klinicznie bezpowietrzne jak Heathrow, izolowane i podupadłe jak Luton, ani tak małe jak City, które przysiadło pośrodku od dawna nieużywanego nabrzeża, otoczone domami mieszkalnymi i placami zaniedbanego betonu, a do tego nawet nie raczyło być ostatnią stacją linii kolejowej. Lubiłem Stansted ponieważ jego wysoki, przezroczysty dach wpuszczał do środka blask porannego słońca, bo pociągi odjeżdżały z Liverpool Street zgodnie z planem, były szybkie, czyste i względnie tanie jak na ekspresy, przede wszystkim jednak lubiłem je dlatego, że we wszystkich kątach, na każdej ścianie, w każdej kawiarni i za każdymi drzwiami zamontowano kamery, a policja była wszędzie i zawsze okazywała podejrzliwość. Mimo że, formalnie rzecz biorąc, lotnisko znajdowało się za miastem, tutejsze powietrze wypełniała szybka, gładka moc lśniąca srebrzystym blaskiem.

Spotkaliśmy się przy punkcie kontrolnym prowadzącym na międzynarodowy teren. Znudzeni pasażerowie ustawiali się w kolejkach, czekając na kontrolę bagażu oraz paszportów. Był sam, a przynajmniej podszedł do mnie bez towarzystwa, choć w okolicy kręciło się sporo podejrzanych osobników. Byliśmy wstrząśnięci, ujrawszy, jak kiepsko wygląda. Na jego dłoniach i twarzy uwydatniały się grube, sine żyły, widoczne nawet pod ciemną skórą, oczy miał zapadnięte, a włosy skłębione. Jego twarz nie wyrażała już triumfu, lecz zimną, zapiekłą nienawiść. Kroczył niepewnie, a dłonie mu drżały. Palcami targały krótkie serie konwulsji, jakby nerwy próbowały działać bez pozwolenia mózgu. Podszedł do mnie, zatrzymał się w odległości metra i spojrzał mi prosto w oczy.

- Już stał się pan dla nas obciążeniem, panie Swift - oznajmił.

- To proszę mnie zastrzelić!

- Niech pan nie kusi losu.

- Nie kuszę losu. Kuszę pana. Jestem pewien, że wszyscy ci sympatyczni, uzbrojeni dżentelmeni... - Zatoczyłem krąg ręką, wskazując na strażników sprawdzających pasażerów przechodzących przez niekończące się szeregi metalowych detektorów. - Z chęcią zgodzą się zeznawać przeciwko panu.

- Chce pan, byśmy uwolnili motocyklistę. Możemy to zrobić.

- Nie chodzi tylko o to, że jestem wkurzony - odparłem. - Potrzebuję Blackjacksa.

- Do czego?

- Żeby przekonał swoją bandę do poparcia Białych i pomógł mi znaleźć innych sojuszników przeciwko Guyowi Lee.

- Biali... Oda opowiedziała mi o pańskim planie.

- I jestem pewien, że gdy już skończycie z Wieżą, zwróćcie uwagę na nich. - Westchnąłem. - Ale na razie ich potrzebujecie. Podobnie jak mnie, i to, sądząc z tego, co widzę, bardziej niż kiedykolwiek.

- Pan mi to zrobił - warknął. W jego ukrytych w fałdach chorej skóry oczach pojawił się słaby błysk.

- Tak. Gdybyście porozmawiali ze mną uprzejmie, można by było uniknąć całej tej sytuacji.

- Jestem gotowy umrzeć za wiarę - oznajmił, zbliżając się o krok. - Dlaczego pan sądzi, że pańska klątwa skłoni mnie do zmiany opinii?

- Wcale tak nie sądzę - odparłem. - Pan nienawidzi mnie, a ja pana. Nic się na to nie poradzi. Niemniej jestem panu potrzebny i może się okazać, że ja również potrzebuję pana i tych cholernych, debilnych kultystów, którymi pan dowodzi. Dlatego zdejmę klątwę, gdy tylko się dowiem, że Blackjack jest wolny. Pan i tak mi pomoże, mimo straty zakładnika, bo potrzebuje pan sojusznika w walce z Bakkerem. A ja nie wystąpię przeciwko wam, bo również mogę potrzebować waszej pomocy. Kiedy już będzie po wszystkim, policzymy, kto kogo skrzywdził bardziej, i jeśli rachunek się nie wyrówna, będziemy mogli walczyć aż do dnia sądu. Co pan na to?

- Jakiego rodzaju pomocy... - to słowo zabrzmiało jak gniewne warknięcie - ...pan potrzebuje?

- Uzbrojonych ludzi - odparłem. - Wszystkich, jakimi dysponujecie. Niech się zbiorą pod centralą telefoniczną Kingsway jutro o północy, gotowi do walki z Guyem Lee.

- Dlaczego akurat tam?

- Dlatego że tam właśnie nastąpi atak. - Jest pan tego pewien?

- Jeszcze nie. Ale niech mi pan da kilka godzin.

- Chce pan... zwabić go w pułapkę? - zasugerował słabym głosem. - Jak? Dlaczego miałby zaatakować?

- Dlatego że wydadzą mu taki rozkaz. Naprawdę muszę wyliczać wszystkie szczegóły czy zgodzi się pan mi pomóc bez tego?

- Niech pan cofnie to, co pan zrobił - zażądał.

- Najpierw proszę uprzejmie o pańskie słowo.

- Pomogę panu w tej sprawie.

- Proszę uprzejmie o przysięgę na Biblię.

W jego oczach pojawił się przelotny błysk gniewu. Po chwili jednak uniósł drżącą rękę i oznajmił wyraźnym, donośnym głosem:

- Przysięgam na Boga, że dopóki Wieża nie zostanie pokonana i Bakker nie zginie, nie będziemy w żaden sposób szkodzić panu i pańskim ludziom, pod warunkiem, że pan również nie będzie szkodził naszym. Będziemy się nawzajem wspierać w walce z tym... większym... złem. Przysięgam na Boga.

- Świetnie - oznajmiłem z uśmiechem. - Cieszę się, że rozstrzygnęliśmy tę kwestię.

* * *

Przed zdjęciem klątwy porozmawiałem z Blackjackem przez telefon, by się upewnić. Robił wrażenie zmęczonego, ale żył. Zapewnił też, że palce ma nietknięte. Poprosiłem go, żeby poszukał dla nas sojuszników. Gdy zapoznałem go ze wszystkimi szczegółami, zgodził się i natychmiast przerwał połączenie.

W męskiej toalecie położyłem dłoń na czole księdza i powoli, drżąc, gdy obca dla mnie energia wnikała z powrotem w moją skórę, zdjąłem klątwę z jego ciała. Błękitna magia spływała mi po palcach i wracała do środka.

- I to wszystko? - zapytał.

- Tak. Szybko wróci pan do zdrowia, ale radzę trochę poleżeć w łóżku.

- Nie rozumiem, jak zdołał pan mi zaszkodzić. Był pan bezbronny.

- Modlitwa - odpowiedziałem radośnie, myjąc ręce w zlewie. - Modlitwa i dusza naładowana pozytywną karmą. - Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem w jego twarzy nie tyle gniew, ile ciekawość. - Jestem też czarnoksiężnikiem. Magia to tylko... punkt widzenia. Nie wiemy, jak się pan nazywa.

Spojrzał mi w oczy w lustrze, a potem odwrócił wzrok.

- W imionach jest moc.

- Pan wie, że ja się nazywam Matthew Swift. Zakładam, że ma pan zastrzeżony numer. To typowe dla wyznawców tajnych kultów. Równie dobrze może mi pan powiedzieć.

- Anton Chaigneau.

- Jest pan Francuzem?

- Matka pochodziła z Konga. Ojciec z jakiegoś zakamarka piekła, gdzie lęgną się podobne stworzenia.

Pocierał czoło w miejscu, gdzie wyciągnąłem klątwę, przechylając głowę z wyrazem niezadowolenia na twarzy.

- Pokonał pan długą drogę - zauważyłem, starając się nie okazywać zainteresowania.

- Zakon przyzwoicie traktuje tych, którzy są mu wierni - zapewnił. - Jest dobry dla swoich członków.

- To znaczy, że nie jest pan szefem?

- Jestem sługą Zakonu. Spełniam jego wolę...

- A kto nim kieruje?

Potrząsnął głową.

- Czy interesuje cię coś jeszcze, czarnoksiężniku?

- Kogo zabił brat Ody?

Jego twarz na moment skamieniała. Potem wykrzywił ją w nerwowym grymasie.

- Powiedziała panu o tym?

- Tak.

- A czy wie pan, że jej brat był czarownikiem?

- Zasugerowała to.

- Czy mówiła, że gdy odkrył swą magię, z początku próbował pomagać rodzinie, uzdrawiać innych i wykorzystywać swą sztukę w dobrych celach? Czy wspomniała, że moc go skaziła, zepsuła, jak zawsze się dzieje, aż wreszcie poprzysiągł, że może czynić dobro jedynie przez uczynki tak złe, że będą się jej śniły po kres życia?

- Wszystko to również zasugerowała.

Spojrzał mi prosto w oczy.

- Zabił jej dwie młodsze siostry i próbował to samo zrobić z nią - oznajmił. - Powiedział, że musi złożyć ofiarę, by wezwać duchy posiadające wiedzę. Mówił, że konieczna jest krew najbliższych. Płakał i przepraszał, ale powiedział, że to konieczne. Oda miała wtedy czternaście lat. Jej siostry miały dziewięć i jedenaście. Udało się jej uciec, ale przez trzy lata nie mogła mówić. Jej brata zabiła miejscowa policja, gdy nie chciał się poddać, ale przedtem jego sztuka spaliła cały dom ze wszystkim, co posiadała Oda. Zakon ją kocha. Jesteśmy dla niej lepszą rodziną niż prawdziwa rodzina. Co pana zdaniem jest „konieczne”, panie Swift?

- Konieczne? - Wypróbowaliśmy to słowo kilka razy, czując je na języku i wargach. - Współpracujemy z panem, panie Chaigneau. Tylko dlatego, że to konieczne. Mam nadzieję jutro o północy zobaczyć pańskich ludzi, uzbrojonych i gotowych do walki. Tymczasem życzę szybkiego i udanego powrotu do zdrowia. Do widzenia, panie Chaigneau.

Odwróciłem się i poszedłem sobie. Ku mojej uldze nikt nie próbował mnie zatrzymać. Gdy wsiadłem do pociągu, ręce mi drżały. Nigdy przedtem nie próbowałem

takich gierek. Żadne magiczne talenty nie dają znajomości psychologii potrzebnej do tego typu zakulisowych działań. Nigdy dotąd, nawet w najtrudniejszych sytuacjach, nie miałem wrażenia, że narażam życie. Przynajmniej nie w czasach, gdy nadal byłem żywy w pełnym tego słowa znaczeniu.

* * *

Po obiedzie wróciłem do University College Hospital.

Sinclair nadal był pogrążony we śnie stanowczo zbyt podobnym do śmierci, jak na nasz gust. Charlie wciąż czuwał przy drzwiach.

- Byłeś u niej? - zapytał, wchodząc ukradkiem do pokoju, gdy przyglądałem się leżącemu Sinclairowi, słuchając dźwięku utrzymujących go przy życiu maszyn.

- U kogo?

- U Elizabeth Bakker.

- Tak. - Zmusiłem się do oderwania wzroku od Sinclaira i spojrzenia w nieco zwierzęce oczy Charliego. - Widziałem się z nią.

- Zabiłeś Khaya?

- Nie.

- Ale... on nie żyje - zauważył Charlie nerwowym tonem inteligentnego człowieka próbującego zrozumieć jakiś oczywisty fakt.

- To nie ja go zabiłem. Muszę ci zadać pewne pytanie.

- Dobra. Czego chcesz się dowiedzieć?

- Dwóch rzeczy. Po pierwsze, gromadzę sojuszników w starej centrali telefonicznej w Kingsway. Ruszamy do walki z Guyem Lee.

Roześmiał się.

- Może Harris Simmons będzie mógł dziś zainwestować w produkcję trumien. Jutro zarobi kupę forsy.

- Mówię poważnie.

Z jego twarzy zniknęła wesołość.

- Lee ma na swoje usługi armię płatnych żołnierzy. A to są jedynie ci, których oddech nadal zamienia się w parę w zimowym powietrzu.

- Nie dostanie wsparcia Amiltechu.

- Nie potrzebuje go.

- Zbieram sojuszników przeciwko niemu. Nie mogę zaatakować go solo, nie teraz. Zastanawiam się, czy masz jakichś przyjaciół, którzy zechcieliby się przyłączyć?

- Przyjaciół? - Przez chwilę nie mógł zrozumieć, o co mi chodzi. Potem odetchnął głęboko i rozprostował ramiona. - Kapuję.

- To dla nas najlepsza szansa na złamanie jego władzy nad podziemiem - wyszeptalem, przyglądając się pilnie jego twarzy w poszukiwaniu jakiegokolwiek reakcji. - Biali są gotowi nam pomóc, motocykliści również, być może żebracy...

- Chcesz się dowiedzieć, czy ktoś z naszych się przyłączy?

- To by się przydało.

- Lee nam nie przeszkadza. Nawet zatrudnia większość z nas. Inni z reguły tylko plują na tę myśl, uważają nas za nieczystych.

- Każe wam szpiegować, oszukiwać, kraść, zabijać...

- Musimy jakoś żyć.

- Tego właśnie chciałby Sinclair - rzekłem łagodnym tonem. - To pragnął osiągnąć. Ja tylko kończę jego dzieło.

Przez chwilę miał niepewną minę. Potem się uspokoił i skinął z namysłem głową, rozprostowując palce.

- Jest jeszcze jedno - dodałem. - Byłeś najbliższy Sinclairowi...

- Jestem mu najbliższy - przerwał. - On nie umarł.

- Przepraszam. Jesteś mu najbliższy. To stawia cię w szczególnej pozycji, gdy chodzi o to pytanie.

- Słucham?

- Sinclair zwołał najróżniejszych ludzi do walki przeciwko Wieży. Czarowników, motocyklistów, wróżki, religijnych maniaków, szalone staruszki i mnie. Jak sądzisz, kto spośród nich najprędzej mógłby zdradzić nas Bakkerowi? Kto mógł mu powiedzieć, gdzie się spotykamy, tamtej nocy, gdy postrzelono Sinclaira?

Spojrzał odruchowo na śpiącego grubasa.

- Ta kobieta. Oda.

- Dlaczego?

- Nic w ogóle o niej nie wiem. To może znaczyć, że ma coś do ukrycia.

- A jeśli to nie ona?

- Wiesz coś? - zapytał pośpiesznie.

- Wiem więcej niż przedtem - przyznałem. - Chociaż zbyt szybko się z tego nie ucieszyłem. Kto byłby następny na twojej liście?

Zastanawiał się nad tym długo i intensywnie.

- Motocyklista - odparł wreszcie. - Blackjack.

- Dlaczego on? - zapytałem, starając się ukryć zaskoczenie.

- Chodzi o to, jak pachniał podczas ataku.

- Jak pachniał?

Charlie spojrzał na mnie z błyskiem w oczach, próbując mnie sprowokować do wyrażenia sprzeciwu. Uniosłem ręce i potrząsałem głową. Rozciągnął usta w triumfalnym grymasie.

- No dobra - ustąpiłem. - Czym pachniał?

- Niczym.

- Niczym?

- Kiedy padły pierwsze wystrzały - zaczął Charlie - poczułem twój strach, pot czarownika, przerażenie wróżki, krew rannych, ale motocyklista nie pachniał niczym. Jego skóra w ogóle się nie poci.

- Rozumiem.

- Nie wierzysz mi - oburzył się, zaciskając pięści.

- Wierzę - zapewniłem pośpiesznie. - Po prostu nie wiem, co o tym sądzić.

- Dlaczego pytasz o to akurat teraz?

- Zbieram sojuszników przeciwko Guyowi Lee, tak jak Sinclair próbował ich zebrać przeciwko Wieży...

Pokiwał głową.

- Boisz się, że ktoś z nich może cię zdradzić.

- To możliwe.

- A co zrobisz, jeśli tak się stanie?

- Nic - odpowiedziałem z uśmiechem po chwili zastanowienia. - Przynajmniej na razie. Absolutnie nic.

* * *

Minęło prawie trzydzieści sześć godzin, nim zjawili się pierwsi emisariusze. Motocykliści przekazywali wiadomości do Birmingham, Manchesteru, Edynburga, Glasgow, wszystkich miast obawiających się, że mogą się stać następnym celem ataku Wieży. Biali rozpuszczali szept po wszystkich tunelach miasta, Zakon czyścił broń, zebracy się czaili, a słońce kontynuowało swą wędrówkę po niebie. Tak wielu ludzi, takie mnóstwo przygotowań. Prędzej czy później ktoś powie coś głupiego. Prędzej czy później Guy Lee dowie się o planach Sinclaira. Nie miałem nic przeciwko temu.

To było konieczne.

Zebrali się w porze kolacji w naleśnikami My Old Dutch. Zamówiliśmy stół dla ośmiu osób, choć nie byliśmy pewni, ile ich się zjawi.

Podawano tam wielkie talerze z naleśnikowym ciastem pokrytym wszystkim, co tylko można było sobie wyobrazić. Kurczakiem, szynką, boczkiem, jajami, serem, pomidorami, sałatką, czekoladą, wiórkami kokosowymi, bitą śmietaną, plasterkami cytryny, cukrem, miodem, syropem, melasą. Można było zamówić cokolwiek. Usiadłem obok Very, zwrócony plecami do ściany, a bokiem do okna, i zamówiłem najśłodsza, najbardziej egzotyczną pozycję w menu. Vera zadowolila się wodą z kranu i sałatką cesarską, wzdrygnawszy się na widok cen. Nie była przyzwyczajona do światła dnia, a już zwłaszcza do tego, że można ją było zobaczyć przez okno.

Oda i Anton Chaigneau przybyli razem. Za nimi szli ochroniarze udający zakochaną parę. Na dworze dwóch kiepsko zamaskowanych parkingowych próbowało ukryć broń pod obszernymi czarnymi kurtkami i odblaskowymi kamizelkami. Oda i Anton nie wyglądali na zbyt zadowolonych. Oboje zamówili nudne, wegetariańskie kanapki. Na twarzy Antona nie uwydatniały się żyły, jak na lotnisku Stansted, a ręce przestały mu drżeć. Mimo to nie raczył nawet skinąć do mnie głową. Kiedy nie jadł, siedział bez ruchu, ze splecionymi dłońmi i twarzą bez wyrazu.

Nie prowadziliśmy jakiegś specjalnej konwersacji. Bywałem na seansach spirytystycznych, gdzie toczono bardziej ożywione rozmowy. Oda łypała podejrzliwie na Verę, a Vera na Odę. Ja zająłem się naleśnikami.

- Nie lubię, kiedy uzbrojeni ludzie jedzą w tym samym lokalu co ja - odezwała się wreszcie Vera.

- A ja nie lubię pani ubrania, duszy ani dwulicowości - odparł Chaigneau. - Ale to nie ma nic do rzeczy.

Prychnęła z oburzeniem.

- Naszego przyjaciela, religijnego fanatyka - zacząłem z ustami pełnymi wiórków kokosowych, bitej śmietany oraz gorącego sosu czekoladowego - niepokoi obecność dwóch facetów siedzących pod ścianą. Każdy cal ich skóry pokrywają tatuaże, a z ciała emanuje fioletowa aura ukrytej wewnątrz mocy. O ironio, zdołał ich zauważyć, choć zupełnie brak mu wrażliwości. Będziemy się zachowywać uprzejmie, czy mam was zderzyć głowami?

Vera chrząknęła tylko i zamówiła kolejną szklanę wody.

Gdy zabrałem się do drugiego naleśnika, pojawiło się dwoje zmiennokształtnych. Rozpoznałem ich po emanacji śliskiej, niestabilnej, ciemnobrązowej magii spływającej po skórze jak warstewka oleju pokrywająca kałużę, po żółtym błysku w oczach, z jakim

rozejrzeli się po restauracji, a przede wszystkim po starych sandałach włożonych na skarpetki. Wyglądało to bardzo niegustownie, ale za to pozwalało palcom u nóg zmieniać postać. Skinąłem na nich i podeszli do stołu, wężąc ostrożnie.

- Szukamy pana Swifta - oznajmiła kobieta.

- A czym się zajmujecie? - zapytała Vera. - Pisanie wróżb na pudełkach papierosów?

- Gryzieniem - odparła zimno nieznajoma. - Między innymi.

- Zamówcie sobie naleśniki. - Machnąłem widelcem, witając ich bez śladu entuzjazmu. - Jak sądzę, przysłał was miły młodzieniec o stylowych wąsikach, zwany Charliem?

Usiedli ostrożnie, przyglądając się stołowi.

- Są tacy... którzy nie lubią... niczego - odpowiedziała po chwili kobieta, udając, że przegląda menu. - Nie składamy żadnych zobowiązań.

- Jasne. - Wzruszyłem ramionami. - Witajcie w stadzie.

* * *

Ostatni zjawił się motocyklista i on z pewnością nie przyszedł sam. Towarzyszyło mu dwóch ludzi, a jeden z nich ważył tyle co trzech. Ledwie zdołał przecisnąć się bokiem przez drzwi, a kiedy usiadł, krzesło zatrzeszczało przeraźliwie, ledwie wytrzymując jego ciężar. Nie chodzi o to, że był gruby - nie w tradycyjnym sensie kogoś, kto ma obwisłe brzuszysko i opadający podbródek. Był po prostu potężny. Jego uda ledwie się mieściły w czarnych skórzanych nogawkach, ramiona rozpychały czarną kurtkę największego rozmiaru, pierś groziła rozsadzeniem czarnego T-shirta, broda wylaniała się z twarzy jak kłęby dymu buchające z wulkanu, dłonie były wielkie jak talerz, na którym Vera jadła sałatkę, palce grube i czerwone, oddech brzmiał jak praca szklarskiego miecha, a po szerokiej twarzy ozdobionej wydatnym, rzymskim nosem przebiegały co chwila inne emocje. Nigdy w życiu nie widziałem kogoś podobnego. Co więcej, miał w sobie nieuchwytną moc, płynącą nie tylko z potężnych rozmiarów. Kącikiem oka postrzegalem błyski złocistego i pomarańczowego ognia, niemożliwe do zlokalizowania. Pachniał ziemią i olejem silnikowym, drogą i niebezpieczną, niekontrolowaną mocą.

- Niech to chuj - mruknął, spoglądając na nas. - Kto stłukł was pierdoloną kijanką i rozwiesił na sznurku?

- Nie sądzę, by chodziło im o miłość - odezwał się stojący za nim Blackjack.

- Cześć, Dave - wyszeptalem do niego.

- Cześć, czarnoksiężniku. Cześć, pierdolony, świński kapłanie. Cześć, jego wredna,

sprzedajna kochanico - odparł Blackjack, kiwając głową do Chaigneau i Ody. Potem usiadł na krześle obok mnie z uprzejmą miną. - Słyszałem, że miałaś kłopoty? - rzekł do mnie.

- Czuję się świetnie.

- Naprawdę? Jak bardzo świetnie?

- Jak naleśnik z czekoladą i bitą śmietaną - odparłem. - To nie będzie uprzejma rozmowa, ale udało się nam zebrać paru ludzi, tak?

- Jak zwykle spierdolimy sprawę - wyszeptał trzeci z przybyłych. Uniosłem wzrok i poznałem go.

- A więc uszedłeś z życiem? - zapytałem.

Czarownik nadal był wystrojony w coś, co uprzejmie mogłem nazwać jedynie „egzotycznym ubiorem”, choć sam w Anglii wyglądał równie egzotycznie jak przegotowany groch. Odchrząknął.

- Zwołujemy starą bandę? Trochę sobie pogadamy, a potem snajper zastrzeli nas przez okno? - zapytał. Wsadził palec do dzbanuszka z gorącym sosem czekoladowym, a następnie oblizwał go z głośnym mlaśnięciem.

- Wiesz co? Miałem nadzieję, że to ciebie zajebią u Sinclaira.

- Jak udało ci się uciec? - zapytała z niedowierzaniem Oda. - Dlaczego ty? - dodała ciszej.

- Ty psychopatyczna suko - odparł z szyderczym uśmiechem czarownik - czuwają nade mną bogowie starsi niż pierdolone mamuty.

- Ale będą jaja - westchnął Blackjack.

- I to wszystko? - zapytała z niedowierzaniem Vera, siorbiąc gęsty, różowy koktajl mleczny. - Sinclair i Swift nie zdołali znaleźć nikogo poza bandą kłótliwych, cudacznie przebranych darmozjadów?

- Kurwa, jestem czarownikiem! Mistrzem pierdolonej sztuki tajemnej!

- A on jest czarnoksiężnikiem - odparła, wskazując na mnie. - Słyszałam, że to znaczy, że mógłby jedną myślą wyrwać ci oczy z czaszki. Ale i tak wygląda jak wygłodniały gołąb.

- Serdecznie dziękuję - wyszeptałem, usuwając dzbanuszek z zasięgu ociekających czekoladą palców czarownika. - Cieszę się, że potrafimy się ze sobą dogadać. Siadaj, czarowniku. Nikt tu nie będzie do nas strzelał.

- Jesteś pewien? - zapytał.

- To publiczne miejsce. Poza tym, niektórzy przyprowadzili ze sobą stanowczo zbyt silne wsparcie. To byłaby krwawa jatka. Jeśli ktoś tu zamierza do kogoś strzelać... - przesunąłem spojrzeniem wokół stołu - ...z pewnością nie ujdzie z życiem.

- Są jeszcze bomby w samochodach - zauważył Chaigneau, odsłaniając białe zęby w radosnym uśmiechu. - Guy Lee słynie z tego, że potrafi się zaadaptować do każdej sytuacji.

- Myślisz, że mógłby tu zaparkować coś takiego niepostrzeżenie? - zapytał potężnie zbudowany motocyklista. - Parkingowi wykryliby go przed upływem pół minuty. Poza tym, Guy Lee nie zabije nas w naleśnikami, bo, mówiąc szczerze, to pierdolone spotkanie to jeden wielki żart. Czy ktoś nas sobie przedstawi?

- Jestem Matthew - oznajmiłem.

- Halfburn - odwzajemnił się motocyklista. Jego gruba szyja poruszyła się w geście, który mógł być skinieniem głową. - Chociaż jeśli mamy zostać przyjaciółmi, możesz mi mówić Leslie.

- Leslie?

Spojrzał mi w oczy. Jego tęczyówki miały kolor spalonej smoły rozlanej nocą na drodze.

- Ehe - potwierdził. - Masz coś do dodania?

- Nie.

- Świetnie. To jest Blackjack. - Wskazał brodą na Dave'a. - A ten facet w spodniczce - dodał, wskazując czarownika - używa na czacie nicka Potężny Mag 1572, ale naprawdę ma na imię Martin.

- Cześć, Martin - odezwałem się, kiwając głową.

Czarownik odchrząknął.

Halfburn uśmiechnął się szeroko i pochylił nad stołem, wspierając się ciężko na blacie wielkimi jak talerze pięściami. Potem rozejrzał się wkoło, aż wszyscy popatrzyli na niego.

- Czy w tej knajpie dają coś do żarcia poza pierdolonymi naleśnikami? - zapytał.

* * *

W magicznej społeczności zawierano już przedtem sojusze. Magowie i ich wszelkie odmiany mogą przybierać najróżniejszą postać. Różnią się od siebie wiarą, płcią, barwą skóry, poglądami politycznymi i tak dalej. To w naturalny sposób prowadzi do tworzenia się ugrupowań, klanów zbliżonych do siebie indywidualności o podobnych upodobaniach. Nawet te uparte, kłótlive grupki potrafią niekiedy uzgodnić cele. W ciemnych wiekach zgodziły się stanąć do wspólnej walki z paroma hordami elfów, ale doniesienia z tamtych czasów mieszają się z mitami. W czasach renesansu krążyły pogłoski o epickich bitwach z pomiotem demonów wypełzającym z jaskiń, oraz o tym, że sojusze miejskich alchemików wymieniają z ostatnimi ukrywającymi się na wsi druidami informacje o tym, gdzie nekromanci polują na

umarłych. W dziewiętnastym wieku pojawiły się opowieści mówiące, że jeden z najwcześniejszych miejskich magów, tych, którzy jako pierwsi poczuli smak mocy w maszynach, w dymie i ceglach miasta, zamiast szukać jej w dawniejszych źródłach, stworzył sojusz żebraków z arystokratami, mający podjąć wspólne badania nad tym nowym cudem. Opowiadano też, że ów mag zginął przeszyty zaczarowanym rapierem przez jednego z dawnych sojuszników, ale w tym przypadku również doniesienia mieszają się z mitami.

Ostatni podobny sojusz, o którym wiem, zawarto w roku 1973, gdy czarnoksiężnik nazwiskiem Terry Woods stracił panowanie nad swą magią i zaczął miotać nią po ulicach z delikatnością rozwścieczonego goryla ciskającego orzechami kokosowymi w mniejsze małpy. Powstrzymanie go kosztowało życie siedmiu czarodziejów oraz czarnoksiężnika o imieniu Lucinda. Sojusz przetrwał aż do śmierci ostatniego z jego członków w końcowych latach ubiegłego stulecia. Ona również nastąpiła w nieprzyjemnych okolicznościach. Jeśli ktoś zbyt się zaangażuje w tego typu starcia, okoliczności prędzej czy później stają się nieprzyjemne.

Nasz sojusz, zawarty w naleśnikami na High Holborn, opierał się na bardzo prostych zasadach. Pod wieloma względami czerpał z tradycji przeszłości. Na początek, nie przepadaliśmy za sobą zbyt. Nikt nikomu nie ufał. To jednak było w porządku. Z radością pozwalałem im na swary. Im więcej będą się kłócić, tym większa szansa, że Guy Lee o wszystkim się dowie. I spróbuje to powstrzymać z całą subtelną granatową wybuchającą w rafinerii ropy naftowej. I - jak we wszystkich dobrych opowieściach, których głównym tematem jest strach - to powinno wystarczyć do scementowania sojuszu.

Robiłem to co konieczne.

Pomagał mi fakt, że ja również ich nie lubiłem.

Wpół do ósmej wieczorem oderwałem wzrok od dna trzeciej szklanki koktajlu mlecznego i zawołałem:

- Czy słyszeliście o cieniu?!

Przy stole zapadła cisza.

- Nazywam go Głodem - wyjaśniłem. - To trafnie go określa. Jest nienasyconym apetytem, żądzą pozbawioną kontroli i hamulców. Przypomina człowieka. Zęby ma żółte, a oczy niebieskie i zażawione. Jego skóra ma kolor mokrego tofu. Nosi płaszcz splamiony krwią. Moją krwią, ale nie wchodźmy w szczegóły. Jego włosy są rzadką kępą nicości, a kiedy skacze, ciemność odkształca się wokół niego. Gdy kogoś śledzi nocą, śledzony nic nie widzi, niczego nie czuje, ale może się zorientować, bo rzucane przez niego cienie zaczynają się wyginać. Głód zabija wrogów Bakker. Jego palce są pazurami zdolnymi przebić ciało i

kość jak jedwabną zasłonę. Wylizuje zbrukane krwią ręce, wacha pot na skórze ofiary i zagłada jej w oczy, z tak bliska, że ta czuje tylko smród jego oddechu. A potem mówi: „Daj mi życie”. Nie jest Bakkerem. Niszczy wszystko, czego zagłady pragnie Bakker, ale nie chciał zabić jego siostry. Poparzył ją jednak, wpędził w obłąd i przeklął za to, że nie chciała dać bratu tego, czego on pragnął. Czarnoksiężnicy nie żyją. Jasnowidze nie żyją. Prorok, który przewidział własny koniec, spróbował uciekać, ale nic mu to nie dało. Głód nie jest Bakkerem. Nie jest człowiekiem. Ile czasu minie, nim przyjdzie po was?

Kwadrans przed ósmą Vera zaproponowała ostateczną ugodę i wszyscy się zgodzili.

Zasugerowała przysięgę krwi.

Niektóre postacie magii nigdy się nie zmieniają.

Byłem przeciwny tej propozycji, ale w owej sytuacji nie mogłem sobie pozwolić na to, by powiedzieć to głośno. Wszelkie sprzeciwy po tak długich sporach zmarnowałyby cały dzień pracy. Tak więc, stało się.

Czarownik, motocykliści, Zakon, Biali, zwierzołaki i ja - wszyscy przysięgliśmy przy naleśnikach, koktajlach mlecznych i piwie, że będziemy sobie nawzajem pomagać, dopóki nie zniszczymy Wieży. Ponieważ niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, wyjąłem z torby scyzoryk, zdjąłem serwetkę ze stosu przyciśniętego butelkami keczupu, bardzo ostrożnie naciąłem sobie kciuk i złożyłem przysięgę na własną krew.

Cała reszta zrobiła to samo. Wszyscy upuszczali na serwetkę po kilka kropli. Czerwony płyn skapywał na biel i mieszał się z krwią pozostałych, tworząc powiększającą się szkarłatną plamę. Kiedy skończyliśmy, spaliłem serwetkę w płomieniu zapalniczki i zostawiłem popiół w pustej filiżance po kawie. Potem, kiedy nikt nie patrzył, przesypałem go, razem z kilkoma niedopałkami, do kieszeni kurtki, żeby się zabezpieczyć.

* * *

Tamtej nocy nie wróciłem do tuneli. Poszedłem na spacer i Oda nie upierała się, że chce mi towarzyszyć. Być może ostrzeżono ją przed tym, a może nauczyła się taktu. Było mi wszystko jedno. Cieszyłem się, że mogę zostać sam.

Chodziliśmy bez celu po Covent Garden, karmiąc się iskierkami magii. Czuliśmy, jak tańczy na naszej skórze niczym fizyczna iluminacja. Wędrowaliśmy po Leicester Square, dotarliśmy do Piccadilly Circus, pogapiliśmy się chwilę na poruszające się bez końca światła i usiedliśmy na schodach pomnika Erosa, aż wreszcie poczuliśmy, że jeśli wchłonimy w siebie jeszcze trochę energii, nasza skóra zacznie świecić. Doszliśmy do St James Park, mijając wspaniałe boczne uliczki, imponujące biurowce, stare gmachy z czerwonej cegły,

królewskie pałace otoczone wysokimi murami, ukryte za gęstymi drzewami budynki przerobione ze stajni, a tu i ówdzie kręte, brukowane zaułki. Sklepy oferowały na sprzedaż skórzane getry oraz cygara. Widzieliśmy późnonocnych turystów nabijających się ze strażników pod Buckingham Palace, słuchaliśmy ruchu ulicznego wokół pałacu, kryliśmy się w labiryncie spalin, podziemnych tuneli, świateł i luksusowych hoteli w Victorii, kręciliśmy się po dworcu, nasłuchując ostatnich pociągów odjeżdżających do mało znanych stacji o nieprawdopodobnych nazwach - Tattenham Corner, St Martins Heron, Epsom, Sutton, Carshalton Beeches.

Gdy wreszcie się uspokoiliśmy, gdy nasz umysł ukoło dotknięcie srebrzystych szyn, śpiących pasażerów i sennych świateł pociągów, gdy ukołysał go ich regularny rytm, opuściliśmy dworzec Victoria i wróciliśmy na ulice. Pod katolicką katedrą o kopulastym dachu, wyglądającą, jakby przeniesiono ją z Rzymu, na placu między pralnią a sklepem z drobiazgami, znaleźliśmy budkę telefoniczną.

Wykręciłem numer z pamięci i czekałem.

Okazało się, że jest nieaktualny.

Zakląłem i spróbowałem kilku innych. Dwa następne również zlikwidowano, a trzeci połączył mnie ze sklepem z filmami dla dorosłych w Soho. Sprzedawczyni o aksamitnym głosie przywitała mnie słowami:

- Cześć, kochanie. Szukasz czegoś specjalnego?

W desperacji wykręciłem ostatni numer. Połączyłem się.

- Recepcja KSP - powiedział ktoś. - W czym mogę pomóc?

- Chciałbym porozmawiać z Robertem Bakkerem.

- Przykro mi, ale nie ma tu nikogo o tym nazwisku.

- Ale wie pan, gdzie można go znaleźć. Proszę. To bardzo ważne.

- Przykro mi, ale...

- Nazywam się Matthew Swift.

Na chwilę zapadła cisza.

- Niech pan zaczeka - usłyszałem wreszcie.

W telefonie rozległy się zmasakrowane tony trzeciej symfonii Beethovena granej na ksylofonie. Zniosłem jakoś ten ból, czekając cierpliwie. Zużywszy pięćdziesiąt pensów, usłyszałem znudzony, kobiecy głos:

- Cześć, dodzwonił się pan do recepcji. W czym mogę pomóc?

Serce zabiło mi z szybkością pociągu, umysł pomknął po biegnących bez końca srebrzystych szynach, ale mój głos, wzmocniony wibrującym tu życiem, brzmiał pewnie. Tak

jak on mnie uczył: „Zapomnij, że się boisz. W takim miejscu, jeśli wyjdiesz na jezdnię, mogą cię przejechać, jeśli ominiesz róg, mogą cię zadźgać, jeśli wrócisz do domu, może cię zabić krótkie śpięcie albo możesz zjeść niedogotowane kocie mięso z curry. W tak wielkim i ruchliwym otoczeniu nawet nie zauważysz, co cię załatwiło. Zapomnij, że się boisz. W życiu jest zbyt wiele wartościowych rzeczy, by cały czas ukrywać się za niepewnością”.

- Cześć - odpowiedziałem. - Chciałem się dodzwonić do pana Roberta Bakкера.

- Pan Bakker jest w tej chwili zajęty...

- Na pewno zechce ze mną porozmawiać. Proszę, to bardzo ważne.

- Czy mogę zapytać, kto mówi?

- Nazywam się Matthew Swift. Proszę, niech mu pani powie.

- Jeśli pan zaczeka...

- Zaczekam.

Kosztowało mnie to kolejne siedemdziesiąt pensów i długi fragment ksylofonowego Beethovena. Zaczynałem rozumieć moc zawartą w telefonicznej muzyce o blaszanym brzmieniu. Dzięki niej miałem na co się wściekać i czym się zdumiewać. Nie musiałem skupiać myśli na tym, co robiłem.

- Panie Swift? - odezwała się wreszcie kobieta.

- Słucham?

- Pan Bakker chciałby się dowiedzieć, czy jest jakiś numer, na który mógłby do pana oddzwonić.

- Proszę pani? - odrzekłem swym najśłodszym, najłagodniejszym głosem.

- Panie Swift.

- Proszę, niech pani zadzwoni jeszcze raz do pana Bakкера i powtórzy mu, że, jak dobrze wie, mojego ciała nigdy nie odnaleziono. To powinno mu uświadomić, jak pilny jest mój telefon. Proszę mu to powtórzyć.

- Hmm, panie Swift...

- Bardzo proszę - rzekłem uprzejmym tonem. - Jeśli to go nie skłoni do zmiany zdania, dam pani spokój. Obiecuję.

- Za chwilę wrócę, panie Swift.

Następną ofiarą wśród kompozytorów był Vivaldi. Tym razem mordował go ktoś grający na harmonijce. Po kolejnych trzydziestu pensach kobieta odezwała się znowu.

- Panie Swift?

- Jeszcze tu jestem.

- Zaraz pana przełączę.

- Dziękuję.

Po sygnale zapadła długa cisza. Po chwili usłyszałem dźwięk odległego oddechu. Przez dziesięć drżących uderzeń serca nie mogłem wydobyć z siebie ani słowa.

- Matthew? - rozległ się wreszcie znajomy, dźwięczny głos.

- Panie Bakker - wykrztusiłem. Język mi się plątał, mimo że odruchowo wypowiadałem znajome słowa. Znowu poczułem się jak piętnastolatek, któremu mieli przepisać środki uspokajające.

- Matthew! Mój Boże! - W jego głosie nie było gniewu ani strachu, tylko zaskoczenie, zdumienie mieszające się z dziwną, bliską śmiechu nutą. Może to był zachwyt. - Słyszałem, że... wyprawili ci pogrzeb!

- Tak. Ale beze mnie.

- Oczywiście, oczywiście. Mój Boże. Boże. Gdzie jesteś? Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć!

Na skórę wystąpił mi ogień paniki. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale z pewnością nie tego.

- Nie sądzę, by to był dobry pomysł.

- Matthew! Dobrze się czujesz?

- Całkiem nieźle.

- Muszę się z tobą zobaczyć! Musisz mi wszystko opowiedzieć. Mówili, że nie żyjesz!

- I w zasadzie mieli rację.

- Co ci się stało? Mój Boże...

- Wszystko w porządku - zapewniłem. - Naprawdę. Mieszkam z paroma znajomymi.

- Przyjdź do mnie natychmiast! Musimy porozmawiać!

- Dziękuję, ale nie skorzystam.

- Dlaczego? - W jego głosie znowu pojawił się niemal ojcowski ton bólu.

Z pewnością nie spodziewałem się niczego w tym rodzaju. Przez chwilę, króciutką chwilę, mało brakowało, bym się zgodził. Potem zadrżeliśmy ze strachu i odsunęliśmy twarz od słuchawki.

- Matthew? Jesteś tam? Matthew?

Mój nauczyciel, pan Bakker, który zapukał do drzwi mamy, gdy byłem dzieckiem. Jego głos był zatroskany i pełen niepokoju.

Ale cień poprzednio zażądał, żebym dał mu życie.

A gdybym zaraził Bakkera jakąś tropikalną chorobą i głodził go przez miesiąc, karmiąc go wyłącznie ciemnością i strachem, jego twarz stałaby się obliczem Głodu.

Znowu poczułem w ustach smak krwi.

- Zrób ze mnie cień na ścianie - powiedziałem, opierając głowę o zimne szkło. - Panie Bakker? Cień na ścianie.

- Co się stało? Powiedz mi, co się stało? Matthew...

Odłożyłem słuchawkę, odwróciłem się i uciekłem z budki w ciemność, wprowadzając umysł do gołębih skrzydeł, szcurzych pazurów, samochodowych klaksonów, kręcących się kół i unoszącego się w powietrzu kurzu, aż wreszcie nie wiedziałem już, że biegnę, i nie pamiętałem, przed czym uciekam.

* * *

Nie zauważyłem, kiedy zasnąłem. Moje sny płynęły jak rzeka.

Ocknąłem się skulony w kącie pod Battersea Bridge. Obudził mnie pies, obwąchujący obrąbek mojego płaszcza. Zwierzę wyprowadził na wczesnoporanny spacer lubiący ćwiczenia fizyczne właściciel. Śmierdziałem mułem rzeczonym i cementowym pyłem, a gdy spróbowałem wstać, nogi płonęły mi z bólu. Nie miałem pojęcia, dokąd poszedłem, co wiedziałem czy zrobiłem. Chociaż, gdybyśmy zechcieli, może...

...widzimy...

...tak bardzo wolni...

Nie pamiętałem. Nie chciałem pamiętać.

Zebrałem swój skromny dobytek i poszedłem poszukać prysznicza.

* * *

W południe znalazłem Odę. Siedziała na ławce nad rzeką, obok potężnego, jasnego gmachu Somerset House, niezwykłego budynku o imponujących oknach złożonych z wielu szyb, o grubych murach i ozdobionych frontonami dachach. Jego licznych dziedzińców strzegły pełne godności pomniki. W środku znajdowało się muzeum, uniwersytet, część urzędu skarbowego, a także wiele innych instytucji. Tworzyło ono labirynt równie skomplikowany jak otaczające gmach uliczki.

- Gdzie byłeś? - zapytała, gdy usiadłem obok.

- Kręciłem się po mieście.

- W takiej chwili jak ta?

- Musiałem przemyśleć parę spraw. - Chrząknęła w odpowiedzi. Spojrzałem na nią, unosząc brwi. - Martwisz się?

- Zebrałeś nas wszystkich razem, przynajmniej na chwilę. Czy zamierzasz się teraz wycofać?

- Zostanę - zapewniłem.

- Zawarłeś sojusz, wsparty przysięgą na krew. Nieźle to rozegrałeś. Gratuluję. Cieszę się z twojego sukcesu. I co teraz? Walna bitwa z Guyem Lee, krew na ulicach i tak dalej?

- Nie.

- Masz plan - jęknęła. - No jasne.

- Nieźle by było po prostu policzyć się z samym Guyem Lee.

- To niemożliwe - oznajmiła ostrym tonem. - Nie po śmierci San Khaya.

- Bitwy już się zdarzały, ale trzeba je toczyć po cichu.

- Cicha magiczna bitwa. - Skrzywiła się. - To brzmi interesująco. Jak to zrobicie?

Będziecie się dźgać spiczastymi kapeluszami?

- Mamy już doskonale miejsce.

Spojrzała na mnie z nagłym zrozumieniem. Wyraz trwogi na jej twarzy pogłębił się jeszcze.

- Centrala telefoniczna? - wyszeptwała.

- Tak.

- Naprawdę zamierzasz zwabić go na dół?

- Tak.

- A dlaczego uważasz, że zechce pójść ci na rękę?

- Dlatego że ktoś nas zdradzi. Ktoś zostawi tylne drzwi otwarte, załatwi kilku strażników, wyłączy kilka alarmów i kiedy nie będziemy patrzeć, Lee zakradnie się do środka, by przeprowadzić bezbłędną, ograniczoną do jednego miejsca masakrę.

Wstała gwałtownie.

- Chcesz, żeby ludzie w tunelach zginęli?

- Tego nie powiedziałem - uspokoiłem ją. - Powiedziałem, że spodziewam się zdrady.

- Dlaczego?

- Dlatego że byliśmy w domu Sinclaira. Dlatego że, podobnie jak ja, wiesz, że Wieża wszędzie ma kontakty. Dlatego że nawet jeśli sojusz taki jak nasz wydaje się bardzo ważny i potężny, stwarza on niepowtarzalną szansę wykończenia przywódców wszystkich stawiających opór grupom, z którymi Guy Lee użera się od lat. Ktoś mu powie, gdzie jesteśmy i co jest grane. To możesz nawet być ty.

- Ja? - zapytała z niedowierzaniem.

- Tak.

- Naprawdę myślisz, że mogłabym...

- Bardzo jasno dałaś do zrozumienia, co sądzisz o mnie i takich jak ja - przerwałem jej

ostro. - Jestem pewien, że pomysł załatwienia nas wszystkich za jednym zamachem nie wydaje ci się szczególnie odrażający.

- Ja po prostu... to nie...

Na moment, króciutki moment, w jej oczach i twarzy coś rozbłysło, ale maska zaraz wróciła, bardziej nieprzenikniona niż kiedykolwiek. Oda podniosła torbę i odeszła bez słowa, nie oglądając się za siebie. Przez chwilę było mi jej prawie żal.

* * *

Z Verą spotkałem się po południu pod miejscową biblioteką. Kiedy podszedłem do niej, z wyraźnym zadowoleniem paliła papierosa.

- Chcesz zajarać? - zapytała, wydmuchując chmurę dymu w moim kierunku.

Zakasaliśmy i wzdrygnęliśmy się przed smrodem, przed jego ideą, przed czarną smołą unoszącą się w naszym oddechu.

- Nie. Dziękuję - wymamrotałem.

- Czujesz się zadowolony z siebie?

- A powinienem?

- Stworzyłeś sojusz, tak?

- To nie było takie trudne.

- Ale zakończy się przelewem krwi.

- Wiem.

- A mimo to uważasz, że nie było tak trudno? Kurwa, nawet się jeszcze nie zaczęło.

- Podstawy stworzył Sinclair - stwierdziłem. - Mnie chodzi tylko o Guya Lee, a potem o Bakkera.

- Ale znalazłeś motocyklistę, czarownika i ludzi z Zakonu, a nie można też zapominać, że...

- Tak?

- ...byłeś uczniem Bakkera.

- Czy o to chodzi?

- Tak.

- Uważasz, że to ważne?

Zaciągnęła się dymem, a potem wypuściła go między zębami.

- Tak - odparła, obracając papierosa w palcach. - Ludzie chcą się przekonać, czy dla czarnoksiężników możliwe jest odkupienie. Interesują się tobą. Można powiedzieć, że coś w ciebie zainwestowali.

- Naprawdę?

- Nie pragniesz odkupienia? - zapytała pośpiesznie.

- Nie zrobiłem nic, co by go wymagało.

- Tak, ale Wieża stanowi straszliwe wypaczenie wszystkiego, czym jesteście ty i twoi koledzy lubiący igrać ze sztucznymi siłami natury, mam rację?

- To jest zemsta - warknęliśmy. - Nie ma w tym nic więcej.

- Proszę bardzo - zgodziła się ze zbyt wielką swobodą. - Skoro tak mówisz. To o czym chciałeś ze mną pogadać?

- Szukam zdrajcy.

- Jest jakiś zdrajca? - zapytała z błyskiem w oczach.

- Prawie na pewno.

- Zakon?

- Niewykluczone.

- Skąd wiesz? Wszyscy przysięgli na krew...

- Nie w tym rzecz - przerwałem jej. - Poza tym, przysięga krwi wcale nie uniemożliwia zdrady, tylko zatruwa życie temu, kto ją popełni. Zresztą, nawet takie zaklęcia można złamać. Odkupić, jak ty byś powiedziała.

- I kto jest tym zdrajcą?

- Nie mam pojęcia.

- Nie masz pojęcia, kto jest zdrajcą, ale jesteś pewien, że on istnieje?

- Musi istnieć - zapewniłem radośnie. - Mnóstwo nieprawdopodobnie różnorodnych grup zgodziło się podjąć współpracę, bardzo wielu małym ludziom o wielkich uszach nagle rozkazano ukryć się w tunelach i przygotować do bitwy. Z pewnością jest wśród nich ktoś, kto nas zdradzi. Sinclaira postrzelono w jego własnym pokoju, uciekliśmy w noc i cień podążył za nami. Znaczy, że ktoś zdradził.

- Już rozważałeś tę kwestię.

To nie było pytanie.

- Tak.

- I czego właściwie chcesz? Odczytać myśli wszystkich? Czy ci, którzy walczą po stronie dobra w heroicznej bitwie, nie powinni powstrzymywać się od takich metod?

- Wręcz przeciwnie - odparłem. - Potrzebujemy kogoś, kto nas zdradzi. Musimy się tylko dowiedzieć, jakie informacje przekaże. Chodzi o to, żeby oni przyszli do nas. Chcę przekonać Guya Lee, że to naprawdę ważne, i w ten sposób skłonić go do głupiego ruchu. Podjęcia ryzyka. Wyjścia z ukrycia.

- A myślałam, że masz plan - mruknęła. - W dupę z tym.

- Wiesz, że prędzej czy później będziecie musieli z nim walczyć. Dlaczego nie teraz, kiedy wszyscy nadal są po waszej stronie? Przynajmniej w pewnym stopniu.

- Jest z ciebie prawdziwy skurwysyn, czarnoksiężniku. Pozwolisz, by mnóstwo ludzi zginęło, po to, by móc się zemścić?

Zawahałem się, oblizując nagle wyschnięte wargi.

- To konieczne - odpowiedziałem po chwili. - Jeśli... istnieje większe zło niż... istnieje... Bakker nie... to nigdy się nie skończy. Rozumiesz, Vero? To nigdy się nie skończy. Musimy to powstrzymać, i to natychmiast. Jeśli nie w ten sposób... to w jaki?

Wciągnęła długi haust dymu, a potem wypuściła go przez zaciśnięte usta prosto w moją twarz. Uśmiechnęła się, gdy zacząłem kasłać.

- W porządku - zaczęła. - Jakiś skurwysyn nas zdradzi. Skoro tak mówisz. Guy Lee dowie się, co robimy, i spróbuje nas powstrzymać, nim my zdołamy powstrzymać jego. Kapuję. Chcesz, żeby zrobił coś głupiego. Pytanie brzmi: jak bardzo głupiego?

Wzruszyłem ramionami, nie do końca rozumiejąc to pytanie.

Jej uśmiech poszerzył się, nabierając złośliwego charakteru.

- Matthew Swift, czy chciałbyś się spotkać z panem Guyem Lee?

To dziwne, ale pytała szczerze.

* * *

Poszliśmy do klubu w Soho. Mieścił się w piwnicy i wypełniała go woń gorących oddechów zamkniętych w ciasnej przestrzeni, potu, rozlanego alkoholu i testosteronu. Szare linoleum pokrywające podłogę lepilo się od rozlanego piwa, sufit był niski, a obracające się światła sprawiały, że wydawał się jeszcze niższy, drżące głośniki grały z rytmem i rezonansem szybko bijącego serca, a kiedy zobaczyliśmy taniec, nie wiedzieliśmy, czy się odczołgać ze łzami na myśl o czymś tak płytkim i pozbawionym wdzięku, czy raczej gapić się na to z chciwą ciekawością. Panujące w lokalu wonie były wilgotnym żarem na naszym języku, dźwięki zaś szeptały w naszym umyśle, wypełniając go pragnieniami i żądzami tak niepowstrzymanymi, że nawet nie musieliśmy słuchać. Czuliśmy, jak wciskają się do naszego mózgu, żądając, byśmy gapili się ze zdumieniem.

Vera czuła się tu całkiem jak w domu. Gdy przepychała się przez tłum, ciągnąc mnie za sobą, mężczyźni i czasem również kobiety wyciągali ku niej ręce. Niekiedy dotykała ich palcami, przysuwała biodra do pasa jakiegoś nieznajomego, a nawet, gdy bardzo wysoki mężczyzna o włosach pozlepianych spływającym żelem złapał ją wpół, całowała go przez

moment, aż wreszcie ją puścił i ruszył ku następnej kobiecie na swej drodze. Gapiliśmy się na to zafascynowani, aż wreszcie odwróciłem się i wlepiłem wzrok w podłogę, nie podnosząc go, aż rozboleła mnie głowa. Próbowałem wypełnić swe myśli szarością linoleum, by powstrzymać rytmiczny atak na zmysły.

Znaleźliśmy obite czarną skórą sofy stojące w rogu, oświetlone słabym czerwonym blaskiem lampy. Vera kupiła dziwne, niebieskawe koktajle w eleganckich wysokich szklankach. W całym lokalu nie można by znaleźć nic zimniejszego. Usiadła, przytulając się do nas bokiem.

- Nie przepadasz za takimi miejscami? - zapytała.

Ostrożnie popiliśmy mały łyżeczek. W pierwszej chwili wzdrygnęliśmy się, poczuwszy gorzki smak koktajlu, ale potem uspokoiliśmy się, gdy dziwnie przyjemny ogień spłynął do naszego gardła i brzucha.

- Jest niezwykle. Po co tu przyszliśmy?

- Chcę, żebyś kogoś spotkał.

- Kogo?

- Guya Lee.

- On tu jest? - zapytaliśmy, czując w żołądku nagły ucisk.

- Dziś wieczorem przyjdzie.

- To jego lokal?

- Nie. Należy do faceta nazwiskiem McGrangham. Właściciel płaci Guyowi Lee za ochronę, a Lee zostawia go w spokoju. Czasem tylko przysyła tu paru swoich ludzi, by sprawdzili, jak idzie interes. Ale nie w tym rzecz. McGrangham płaci również Neonowemu Dworowi.

Pokiwałem z namysłem głową, przebiegając palcami po brzegu wysokiej szklanki. Jeśli w porównaniu z Wieżą mafia mogła uchodzić za uprzejme towarzystwo, w porównaniu z Neonowym Dworem jej członkowie dożywotnio zamknięci w domu dla obłąkanych przypominali pluszowe misie. To nie była kwestia nagrody i kary. Ten, kto podpadł Neonowemu Dworowi, ginął, szybko i prosto. Jediną jego zaletę stanowił fakt, że zajmował się tylko kilkoma bardzo szczególnymi sprawami i nikogo nie zaczepiał, chyba że ktoś był na tyle głupi, by zrobić to pierwszy. Podobnie jak w najlepszych mafijnych rodzinach, ten, kogo raz przyjęto, nigdy już nie mógł odejść.

- Dobra - odezwałem się. - Kapuję. Neutralne terytorium. Nikt nic tu nie robi, żeby nie oberwać nożem w plecy. Jasne. Po co Lee tu przychodzi?

- Mają tu arenę.

- Arenę?

- Jestem pewna, że o nich słyszałeś.

- Znam je tylko z plotek i czasem z raportów koronera - odparłem, starając się powstrzymać narastający gniew.

- Świetnie - odparła ze spokojem. - Tu dzieje się mnóstwo różnych rzeczy - podjęła, zataczając ręką niedbały krąg. - Handel, sport, wiedza, gry, wiesz, jak to jest. Lee przysyła tu swoje psy, żeby się nauczyły walczyć. Sam też lubi to robić.

- Nie rozumiem, w czym to nam pomoże.

- Poznaj swego wroga. I... - Odetchnęła. - Jeśli spróbujesz zaszkodzić mnie i moim ludziom, zrobię to samo z twoimi.

- Tyle się domyśliłem. Pewnie nie masz ochoty powiedzieć nic więcej?

- Chcesz, żeby Lee nas zaatakował? I to teraz?

- Tak.

- A jak twoim zdaniem się poczuje, jeśli się dowie, że sprzymierzyliśmy się z pierdolonym uczniem Bakкера?

Pociągnąłem ostrożnie łyk koktajlu.

- To niebezpieczne - stwierdziłem po chwili.

Uśmiechnęła się i przeciągnęła jak kot, w czarnym skórzanym kostiumie.

- Jasne - zgodziła się. - To odpowiedni czas i miejsce. Przypuszczam, że Lee wie, że Matthew Swift żyje. Podejrzewam też, że pozna cię dzisiaj. Jeśli powie o tym szefowi, a będzie musiał tak postąpić, to myślę, że Bakker każe mu zrobić coś głupiego. Jak bardzo pragnie cię dorwać, panie Swift?

Wzruszyłem ramionami.

- Panie Swift? - powtórzyła tonem niedbałym jak mucha zakradająca się do spodka wypełnionego śmietaną.

- Vero, mniej więcej prawomocnie wybrana wodzem Białych? - odparłem, wpatrując się w głąb szklanki.

- Od jak dawna masz niebieskie oczy, panie Swift?

Uśmiechnąłem się. Nagle poczułem się stary i zmęczony, za duży na własną skórę.

- Bakker będzie chciał cię odzyskać. Prawda, Matthew Swift?

- Tak.

- Będzie chciał, żeby Guy Lee cię odnalazł i sprowadził do niego. Żywcem?

- Być może.

- Lee będzie wiedział, że współpracujesz z nami i że to zły pomysł. Ale ten, kto spiera

się z Robertem Bakkerem, nie żyje długo. Przypomnijmy mu o tym. Pokażmy mu, że żyjesz. Skłonmy go do zrobienia czegoś głupiego.

- To mi nie wygląda na rewelacyjny pomysł - poskarżyłem się.

- To konieczne - odparła.

* * *

To rzeczywiście była arena. Pozostawała w zgodzie z tradycyjną definicją tego słowa. Znajdowała się pod klubem. Schodziło się tam po krętych schodach, aż wreszcie *bumbubum* dyskotekowej muzyki cichło, stłumione szumem wentylatorów. Mijało się grube, metalowe drzwi i odźwiernych o metalowych twarzach, docierając do pomieszczenia zabezpieczonego zakłęciami namalowanymi na ścianach w czarnych spiralach, biegnącymi po podłodze jak grube żółte drogi, wypełniającymi powietrze aurą tak gęstą, że przygniatała wszelkie magiczne gesty, czyniąc rzucanie nawet najmniejszych czarów trudnym jak podnoszenie ciężarów albo oddychanie pod wodą.

To był pomost dla widzów.

Sama arena była usytuowana niżej. Otaczały ją wysokie betonowe ściany pomalowane na czarno. Z góry padało jaskrawe światło, a również czarną podłogę pokrywały trociny. Staliśmy w tłumie składającym się z kilkuset gapiów, wywodzących się z najróżniejszych miejsc i ubranych na wszelkie możliwe sposoby. Byli wśród nich mężczyźni i kobiety, czarodzieje i ludzie całkowicie pozbawieni magicznego zmysłu, ale potrafiący wyczuć zapach krwi, która wkrótce zostanie przelana na dole. Bili brawo, ryczeli i krzyczeli z zachwytem, gdy pojawił się chwiejący się na nogach demon zakuty w łańcuchy. Jego skórę tworzył ścięty tłuszcz z kanałów, a oczy żarzyły się niebieskim, parafinowym płomieniem. Bestia szarpała okowy, próbując atakować trzech mężczyzn zakutych w niezwykle zbroje. Tarcze zrobili z zespalanych drzwi samochodowych, a włócznie z oderwanych, zastrzonych anten. Tłum witał każde pchnięcie wrzaskiem zadowolenia. Rany w trzęsącej się skórze demona spływały krwią i środkiem odkażającym.

Wiedziałem, że takie stwory istnieją.

Ludzkość zawsze lubiła krwawe sporty, a magia daje nam niezliczone sposoby ekscytującego przelewu krwi.

Zapach i widok omal nas nie poraził. Staraliśmy się zachować panowanie nad sobą, odgrodzić się od tego wszystkiego. Wstrząsnęła nami chora nieprawość, czerń sącząca się z każdej ściany, zachwyty w przekrwionych oczach wszystkich widzów, ból cierpiących i ginących stworzeń, zepsute, wypaczone życie. Przerażało nas, że wszystkich tych ludzi

interesuje w życiu jedynie jego koniec, nie potrafiliśmy się pogodzić z myślą, że tak wspaniały dar można wypaczyć z równą łatwością, jakby znudzili się zwyczajnym życiem i musieli szukać dreszczyków, które pozwolą im znieść codzienną egzystencję. Spomiędzy krzyków, wrzasków i smrodu gnijącej magii powoli zaczęło się wyłaniać podniecenie. Baliśmy się, że zaleje nasze zmysły i sprawi, że zaczniemy wyć jak cała reszta.

- Nie możemy tu zostać - wyszeptaliśmy.

- Dlaczego? - zapytała Vera. - To... wciąga.

Przypatrywała się nam przez dłuższą chwilę.

- Cholera, czarnoksiężniku, tylko nie wpadnij w szal - mruknęła wreszcie. - Chodźmy.

Pociągnęła mnie za rękaw i ruszyła przez tłum, kierując się w miejsce, gdzie pod zamkniętymi, metalowymi drzwiami stało dwóch mężczyzn. Obaj zagrodzili jej drogę.

- Chcę się widzieć z McGranghamem - warknęła.

- Jest zajęty.

- Mam zamiar postawić na kogoś naprawdę wielką sumę i może mieć ochotę zrobić to samo.

* * *

Gabinet McGranghama był dźwiękoszczelny. Okna wychodziły na arenę. Szyba nie dawała jednak osłony przed mocą. Dotknęliśmy głową szkła, powstrzymując z drżeniem zalewającą nam zmysły magię.

McGrangham był niskim mężczyzną o ciemnych włosach i wielkich wąsach. Siedział za biurkiem i liczył zmięte banknoty.

- Nie pierdoł, że ten frajer - zaczął z akcentem cechującym się długimi, wypowiedzianymi z naciskiem samogłoskami i wibrującymi głoskami „r”, wskazując głową na mnie - to prawdziwy czarnoksiężnik.

- Prawdziwy - potwierdziła Vera.

- Wygląda jak menel! Jezu!

- Guy Lee - warknęła. - On przychodzi tu oglądać walki. Chcę, żebyś zaaranżował spotkanie na neutralnym gruncie, pod okiem Neonowego Dworu. Nic spektakularnego, po prostu postaraj się, żeby drogi pana Swifta i pana Lee się skrzyżowały. Zapłacimy ci za twój czas.

- Dziewczyno, ja płacę Guyowi Lee - warknął McGrangham. - Po cholere miałbym robić interesy z Białymi?

Vera potrafiła się zachowywać jak mniej więcej prawomocnie wybrany wódz Białych.

Jeśli tylko zechciała, ze wszystkich porów jej skóry wypływała gęsta, niebezpieczna charyzma, sugerująca, że pod powierzchnią ukrywa się coś więcej.

- Wkrótce wszystko się zmieni - zapowiedziała. - Bakker każe Guyowi Lee zrobić coś głupiego, a on go posłucha. I dlatego zginie razem ze wszystkim, co reprezentuje. Wiem, że ochronę zapewnia ci Neonowy Dwór, ale potrzebujesz też klientów. Potrzebujesz towarów, interesów, kontaktów i forsy. Lee straci to wszystko, a Biali to przejmą. Naprawdę chcesz zadzierać z tymi, którzy wkrótce będą na górze?

McGrangham wpatrywał się w nas przez dłuższą chwilę.

- Słyszałem, że Matthew Swift nie żyje - oznajmił wreszcie.

- Wyobraź sobie, jak się ludzie zdziwili - warknąłem.

- Lee wystawia dziś pitbula. Dziewczyne, której się wydaje, że perwersyjny wygląd oznacza pewność siebie, a pewność siebie oznacza siłę. Będzie ją obserwował. Ona dokona wielkich rzeczy. Nie będzie tracił czasu na rozmowy z trupami.

- I co z tego? - zapytała Vera.

- Jeśli ten gość rzeczywiście jest pierdolonym czarnoksiężnikiem... - wskazał na mnie grubym, czerwonym palcem - ...może z łatwością przyciągnąć jego uwagę.

Dwie pary oczu skierowały się na mnie.

- Nie mam na to czasu - mruknąłem przez zaciśnięte zęby.

- I kto tu mówi o perwersji? - zapytała Vera.

- Pragniesz przyciągnąć uwagę Guya Lee? Chcesz go uprzejmie zawiadomić, że twój sfatygowany czarnoksiężnik żyje? I przy okazji trochę zarobić na zakładach?

W jego oczach pojawił się błysk. McGrangham potrafił zwietrzyć zarobek na odległość mili. Już w tej chwili wyobrażał sobie radosną, triumfalną przyszłość pełną gorzały, krwi i bogactwa. Przyglądał się jej z uwagą, rozważał, jak najlepiej zarobić na naszym ciele.

W oczach Very pojawił się podobny błysk, chociaż z innych powodów.

- No dobra - ustąpiłem. - Słucham.

- Załatw pitbula Guya Lee - zaproponował McGrangham. - To go zainteresuje. Cholera, może nawet z tobą pogada, zanim zrobi z twojej skóry tapetę.

* * *

Musiałem czekać na swoją kolej prawie cztery godziny. Zbliżał się już ranek, ale tłum wciąż gęstniał. Marzliśmy na ulicy, ale uwrażliwiliśmy się już na to, co działo się na dole i czuliśmy ogień wypełniający każdy ryk, a wibracja każdego ciosu przeszywała nasze ciało niczym łoskot podziemnego pociągu.

Nigdy nie walczyłem na arenie.

Robili to tylko desperaci albo szaleńcy. Ci, którzy nie mieli nic do stracenia, albo ci, którzy nie wierzyli, że mogą przegrać. Przed chwilą pokonanego wyrzucono przez drzwi frontowe i kazano mu dowlec się na drugą ulicę, nim wezwie karetkę. Woleli nie przyciągać uwagi policji. Pokonał połowę drogi, nim zwałił się w kałuży krwi, żółci i strzępków skóry. Złapałem go pod pachami, zaciągnąłem na róg, zadzwoniłem na 999 z pobliskiego automatu i skryłem się w cieniu, obserwując ratowników medycznych, którzy zaglądali w mrok uliczki z ostrożnymi minami ludzi, którzy wiedzieli, że lepiej nie zadawać pytań, widzieli już wystarczająco wiele, by przestało ich to ruszać.

Gdy nadszedł czas, Vera przyszła po mnie.

„Perwersyjnym pitbulem” Guya Lee okazała się kobieta używająca ksywki Inferno. Nie można być Dave'em motocyklistą ani Bobem mistrzem sztuk tajemnych. To wina X-Menów. Gdy wyszła na arenę, przywitał ją przyjazny ryk tłumu. Zatrzymała się, wspierając ręce na biodrach i wysuwając brodę do przodu, odziana w wyjątkowo skąpy strój złożony z kawałków skóry i łańcuchów. Jej skóra lśniła, a wszystkie mięśnie uwydatniały się, jakby zaraz miały rozsadzić pasemka stroju z najwyższym wysiłkiem utrzymujące je na miejscu. Była uzbrojona w bicz, nosiła fioletowe szkła kontaktowe maskujące kolor oczu, a włosy ufarbowała na czarno. Doszedłem do wniosku, że nie ma w sobie nic zmysłowego, nic szczególnie seksownego. Kostium miał przypominać stroje noszone przez bohaterów fantasy, ale wyglądał śmiesznie i dziecinnie. Przycupnąłem przy drzwiach, przez które Vera wypchnęła mnie na arenę. Czułem się głupio, zawstydzony tym, co będę musiał zrobić.

Powyżej kręgu widzów, obok gabinetu McGranghama, ulokowano okno z czarnego szkła weneckiego.

Spróbowałem sobie wyobrazić stojącego za nim Guya Lee. Zastanawiałem się, czy pochylił się, by przyjrzeć się mojej twarzy, zrozumieć, dlaczego wydaje mu się znajoma.

Zaraz sobie przypomni.

Zabrzmiał sygnał oznajmiający początek walki. Kobieta kilka razy strzeliła z bicza na pokaz i uśmiechnęła się, odsłaniając białe zęby, gdy jego końcówka unosiła się nad ziemię, i popęzła ku mnie jak wąż, sprzeciwiając się przyciąganiu ziemskiemu. Rzemień co chwila przesywał powietrze między nami, szukając szansy ukąszenia. Uświadomiliśmy sobie, że wszystko to tylko popisy mające rozgrzać krew tłumu, zachwycić go jej umiejętnościami. Z punktu widzenia zasad magii bojowej było to bardzo głupie zachowanie. Nasz szacunek do niej sięgnął dna.

Na arenie nacisk zaklęć, tłumiących na górze wszelką magię, był zdecydowanie

słabszy. Kobieta warczała i syczała, jej bicz posuwał się to w tę, to we w tę, próbując nas dosięgnąć, wyciągał się u podstawy, wił ku nam. Rozważyliśmy dostępne narzędzia. Nie chciałem za wcześnie pokazywać, na co naprawdę mnie stać, nie miałem też szczególnej ochoty popisywać się przed tłumem. Czekałem więc cierpliwie, aż wreszcie kobieta z krzykiem cisnęła koniec bicza w moją stronę. Wydłużał się z każdą chwilą, posuwając się konwulsyjnie ku mojemu gardłu. Przyglądaliśmy mu się cierpliwie, a potem usunęliśmy się na bok z szybkością elektryczności wypełniającej naszą krew i złapaliśmy za rzemień tuż przed jego końcem, ściskając go jak ściska się gardło węża. Potrząsnęliśmy nim mocno, tylko jeden raz. Po napiętym rzemieniu przebiegła fala. Rączka wypadła z dłoni kobiety.

Gdy tylko bicz stracił kontakt z jej mocą, stał się w moich rękach martwym, bezwładnym przedmiotem. Upuściłem go na podłogę. Kobieta splunęła i syknęła jak dzikie zwierzę, a potem splotła dłonie w początkowych gestach zaklęcia, które znałem. Jej usta ukształtowały słowa tradycyjnej inwokacji. Nie byłem pewien, jak wiele ze swych możliwości pragnę zademonstrować gapiom, uniosłem więc ręce i zacząłem naśladować jej gesty, wyginając od niechcenia palce w znajomych, magicznych formach i poruszając bezgłośnie wargami. Dźwięki magii przychodziły mi instynktownie, wnikały do mojego języka - nie tylko słowa, lecz również szept opon w głębokiej kałuży na odludnej ulicy, łopot skrzydeł na pustym niebie, trzask drzwi zamykających się w ciemności, nowe odgłosy miejskiej magii.

Poruszałem nieśpiesznie rękami, czując, jak cząsteczki powietrza skupiają się wokół palców na mój rozkaz. Strzeliło mi w uszach, ciśnienie wokół mojej głowy spadło, ściana powietrza utworzona moimi dłońmi stała się tak gęsta, że prawie można ją było zobaczyć. Wilgoć mojego oddechu skupiała się wokół bariery, wydobywając się z jej serca, w miarę jak gromadziłem coraz więcej kontrolowanego wiatru.

Ledwie zauważyłem, że kobieta skończyła zaklęcie i wysłała je ku mnie z wrzaskiem, który w powietrzu między nami przerodził się w ryk pełen dźwięków ruchu ulicznego. Samochody, koła, spaliny, warkot silników, smród ropy, benzyny bezołowiowej, oleju silnikowego, smoły, spalonej gumy. Na moment ujrzałem zmierzający ku mnie cień stu samochodów, przynoszących ze sobą zgrzyt hamulców oraz podmuch powietrza. Wszystko to wydostało się z jej gardła. To nie było najgroźniejsze zaklęcie na świecie, ale wyglądało nieźle, a ja wystarczająco już ostatnio ucierpiałem, wybrałem więc staromodne rozwiązanie i uskoczyłem w bok. Tłum na pomoście ryknął, dając wyraz rozczarowaniu tak prozaiczną taktyką. Widzowie zaczęli tupać. Rytmiczne *bumbum* brzmiało jak bicie serca albo muzyka disco na górze. Wstałem i, głęboko wkurzony, uwolniłem swoje zaklęcie.

Ściana szybko się rozprężającego powietrza uderzyła w kobietę o pseudonimie Inferno, uniosła ją nad ziemię, cisnęła trzy stopy do tyłu i wgniotła w ścianę. Potarłem palcem wskazującym o kciuk, unieruchamiając tam przeciwniczkę. Inferno wiała się, waląc z wściekłością pięściami w czarny beton. Gęsta ściana wiatru wzmacniała wykrzykiwane przez nią obelgi.

Widownia nie przestawała hałasować. Czekałem. Byłem skłonny to kontynuować przez dziesięć albo i dwadzieścia sekund, by wszyscy, którzy byli wystarczająco bystrzy, by zrozumieć, co widzą, albo może niewystarczająco głupi, by traktować to obojętnie, uświadomili sobie, że nie mają do czynienia ze zwykłym, tanim zaklęciem.

Niech Guy Lee ujrzy naszą twarz, błękit naszych oczu.

Czekałem, unieruchamiając kobietę swoim czarem, przez prawie dwadzieścia sekund, nim wreszcie zabrzmiał sygnał kończący walkę. Wtedy opuściłem przeciwniczkę na ziemię. Czując się dziwnie zbrukany swym zwycięstwem, usiadłem na zimnej podłodze w kącie areny i podciągnąłem kolana pod brodę. Inferno, której twarz przybrała tymczasem kolor harmonizujący z przydomkiem, wywleczono na zewnątrz, nie zważając na jej krzyki protestu.

Z zaskoczeniem uświadomiliśmy sobie, że nie czujemy triumfu, a tylko lekkie mdłości, jakby nasz żołądek był zupełnie pusty, choć nie towarzyszył temu głód.

* * *

- Panie i panowie, pięć minut przerwy - oznajmił mistrz ceremonii przesadnie radosnym tonem. - Musimy się przygotować na kolejne wyzwanie. Na górze można kupić drinki, a jeśli jacyś odważni kandydaci...

Odgroziłem się od hałasu i otuliłem płaszczem, próbując ignorować wlepione we mnie spojrzenia i niezdrowe wiry oczekiwań, krążące wokół jak witki smogu w mroczny wieczór. Vera stała na końcu pomostu, ukryta w głębokim cieniu. Nie widziałem na jej twarzy nawet śladu uśmiechu.

- Hej, ty!

Głos pochodził od noszącego T-shirt członka personelu o mięśniach tak wyćwiczonych, że zdumiewałem się, że zostało jeszcze jakieś miejsce na kości. Mężczyzna wezwał mnie władcym gestem do ulokowanego za areną pokoju przygotowań o szarych, betonowych ścianach.

Na prostej, drewnianej ławie siedział Guy Lee, odziany w czarny, stylowy strój. W ręce trzymał butelkę wody mineralnej.

Chrząknął na mój widok.

- Chudy z ciebie skurwysyn, co?

Nie odpowiedziałem.

- Jesteś Swift, tak?

Skinąłem głową.

- W co ty pogrywasz, do chuja?

Przechyliłem głowę, przypatrując się jego twarzy. Wyglądał na mężczyznę w średnim wieku, ale to mógł być po prostu skutek licznych przeżyć, nie upływu czasu. Jego haczykowany nos naznaczyła stara blizna, skórę na twarzy miał suchą i opaloną, był też gładko wygolony. U podstawy włosów zaznaczała się siwizna, ale w czarnej, obcisłej koszuli oraz dżinsach sprawiał wrażenie świetnie zbudowanego dwudziestolatka. Wspierał łokcie na kolanach, pochylając się jak bokser w przerwie między rundami. Miał wielkie, mięsiste pięści, a na grzbiecie lewej dłoni pozostały kiepsko zagojone blizny. Rozstawiał szeroko nogi, napinając mocno ich mięśnie, jakby był w każdej chwili gotowy skoczyć do ataku.

W całym tym obrazie coś było bardzo nie w porządku.

Pochyliliśmy się, by przyrzeć mu się uważniej, ocenić, w czym rzecz.

- Kurwa, chcesz stracić te gały? - zapytał Lee, łypiąc na nas ze złością. - Powiedziałem Robertowi, że przyniosę mu je na talerzu.

- W tobie... nie ma magii - zauważyliśmy.

- Tylko zaczekaj - warknął. - Tutaj nie mogę cię załatwić, ale to jeszcze nie znaczy, że nie dorwę cię tam. - Wskazał podbródkiem w stronę ulicy. - Ty skurwysynu, myślisz, że się ciebie nie spodziewaliśmy po tym, jak wykończyłeś Khaya?

- Chyba rozumiemy - wyszeptaliśmy.

Sygnał zabrzmiał trzy razy, wzywając walczących na arenę. Lee wstał i klasnął radośnie w dłonie.

- Wiesz, ilu czarnoksiężników zabiłem? - zapytał.

- Jednego. Chociaż chwalisz się, że sześciu.

Uśmiechnął się, ale wyczułem w nim niepokój. Byłem wdzięczny Sinclairowi za jego bezcenne dane.

- Zamierzam wkrótce podwoić tę liczbę - oznajmił i wyszedł na arenę. Przywitał go bałwochwalczy ryk tłumu.

Podążyłem powoli za nim. Czułem się zaskoczony. Nie wiedziałem, co właściwie chce osiągnąć tym gestem. Neonowy Dwór czuwał tu nad wszystkim, a ściany pokrywała gruba warstwa zaklęć. Nie mógł mnie tu zabić, ja jego również nie. Nie w tym miejscu, na oczach widzów, wśród osłon wypisanych na ścianach. Inni by się wtrącili, a poza tym to było

neutralne terytorium.

A może to była arogancja kogoś, kto nie wyobrażał sobie, że może przegrać.

Wyszedłem za nim na arenę. Tłum wrzasnął na nasz widok z niezdrowym zachwytem. Przeszedłem na drugi koniec, obserwując uważnie Guya Lee, który uniósł ręce nad głowę, uśmiechnął się szeroko i zaczął klaskać w rytm aplauzu tych ludzi. Wiedzieli, kim jest, wiedzieli, kiedy krzyczeć i klaskać.

Zacząłem się zastanawiać, w chłodny, naukowy sposób, jak mógłbym go zabić, choć uświadomiłem sobie, że nie jest to zadanie na dzisiaj.

Znowu zabrzmiał sygnał. Lee, nawet nie czekając, aż echo wybrzmi, otworzył usta i dmuchnął na mnie. Jego oddech przerodził się w czarną skłębioną chmurę cuchnącą węglem i siarką, w sekundę wypełnił całą arenę, oślepiając mnie zanieczyszczonym smogiem. Osunąłem się odruchowo na kolana i wypuściłem z siebie impuls mocy, kierując go w czarne, skłębione opary, w nadziei że trafi w ich źródło. Nie wiedziałem, czy to coś dało, ale wkrótce usłyszałem, że magia uderzyła w mur areny. W tej samej chwili Lee wyłonił się z mroku i rozłączył dłonie, zaciskając je w pięści. Dotknął palcami nadgarstków i wyciągnął z nich dwa długie, białe sztylety zrobione z kości. Choć przebiły skórę, nie popłynęła ani kropelka krwi.

Machnął nożami i tłum ryknął z zachwytem. Nie wiedziałem, czy widzowie nie potrafiały poznać taniej nekromancji, czy też po prostu było im wszystko jedno. Lee jeszcze kilka razy poruszył nożami, gładko i ostrożnie. Za przeszywającymi powietrze ostrzami ciągnęły się czerwone iskierki.

Ruszył powoli ku mnie, uśmiechając się jak małpa. Kościane noże wysuwał przed siebie.

Cofałem się, poruszając się z tą samą szybkością co on, by zachować między nami stały dystans, aż wreszcie dotknąłem palcami betonowej ściany za plecami. Lee uśmiechnął się jeszcze szerzej. Potrząsnąłem głową w odpowiedzi, wciskając palce w ścianę. Beton ustąpił pod naciskiem jak zimne masło, aż wreszcie dłonie wniknęły weń po nadgarstki. Poczulem pod koniuszkami palców brzeg żelaznej podpory i szarpnąłem nią, wysyłając do palców zimną moc. Z gwałtownym drżeniem, od którego rozboleły mnie ramiona i głowa, wyciągnąłem ze ściany kawał twardego, wykrecone żelaza. Beton zamknął się za moimi plecami niczym woda, wypełniając ranę. Byłem już uzbrojony i nie miałem ochoty utrzymywać go w odmienionym stanie.

Audytoryum wrzasnęło z uznania, gdy wypróbowałem ciężar swej broni, obracając ją kilka razy w powietrzu. Pręt miał około dwóch stóp długości. Bardzo krótka różdżka jak na tradycję czarodziejów.

Z twarzy mojego przeciwnika zniknął wyraz pewności. Lee rzucił się na mnie z rykiem.

Nie miałem zbyt wielkiego doświadczenia w walce wręcz. Byliśmy jednak szybcy, a taniec - to przynajmniej świetnie znaliśmy. Stanęliśmy na palcach i uskoczyliśmy do tyłu przed pierwszym ciosem kościanego noża, czując, jak przeszywa powietrze obok nas. Potem pochyliśmy się, unikając cięcia z góry, uskoczyliśmy w bok przed następnym atakiem i przetoczyliśmy się obok jego chwiejnych nóg, wyprowadzając po drodze kopnięcie w goleń. Powietrze płonęło wokół nas, stanęliśmy w ogniu od krwi, smrodu, jasności i głodu wypełniających owo miejsce, kochaliśmy ten taniec! Uświadomiliśmy sobie, niemalże po raz pierwszy, że ciężar mojego ciała i kości nie jest jedynie brzemieniem dla naszych zmysłów. To było żyjące narzędzie. Czuliśmy ruchy każdego mięśnia i nerwu, brzmienie naczyń włosowatych w naszej skórze. Wszystkie one nas słuchały, ciało wykonywało polecenia, gdy odbiliśmy cięcie końcem swej broni, a potem mocno uderzyliśmy żelaznym prętem w jego łokieć, odtrącając kończynę do tyłu. Nim się zorientował, co się wydarzyło, zdążyliśmy się już cofnąć, zdumieni, że nasze ręce się uniosły, stopy odsunęły, głowa pochyliła, a brzuch wciągnął i wszystko to stało się jednocześnie, w rytm tańca, wszystko w owej chwili tętniło życiem. Na moment przestaliśmy słyszeć krzyki tłumu, jego tupanie, gwizdy i wrzaski, a nawet własny oddech. Na moment przerodziliśmy się w jasność wypełniającą salę i umysły widzów, w życie tańczące na ostrzu noża. Byliśmy tylko tym tańcem, tylko wolnością.

Jak poprzednio...

...stań się mną i bądź wolny...

ale ja jestem...

Na krótki moment, gdy uciekaliśmy przed nożami Guya Lee, staliśmy się wyłącznie nami i płonęliśmy niebieskim ogniem, ciągnącym się za nami podczas tańca.

* * *

Nie wiem, co się tam wtedy wydarzyło. Boję się tego, czego nie pamiętam.

Przypominam sobie tylko dźwięk sygnału i dłonie odciągające mnie do tyłu.

- Wystarczy, wystarczy! - krzyczał ktoś.

Pamiętam też Guya Lee. Złamane sztylety zwisały u jego boków, a ręce pokrywały rany i siniaki po uderzeniach mojej broni. Z nosa sączył mu się strumyk gęstej krwi,

ale nie było magii,

a widzowie milczeli.

Wszystko zamarło w bezruchu.

Tylko rozgrzane powietrze opadało na kamienną podłogę niczym śnieg.

Wyrwałem się z uchwytu i odrzuciłem żelazny pręt. Jego czubek zboczyła krew, podobnie jak moje ręce,

ale nie było życia.

Oslony na ścianach płonęły, pobudzone krwią Guya Lee. Ich ucisk miażdżył mnie jak wielki, gruby brzuch włochatego niedźwiedzia, wciskał moje palce w ziemię, nie pozwalał posunąć się dalej.

I tak już posunąłem się wystarczająco daleko.

moja krew płonęła

i czułem się doszczętnie wyczerpany. Odwróciłem się i opuściłem lokal.

* * *

Na dworze było zimno.

- Teraz musimy szybko umknąć w bezpieczne miejsce - oznajmiła Vera, łapiąc mnie za rękę.

- Dlaczego?

- Lee rzuci przeciwko tobie wszystko, co ma. Nic już go nie powstrzyma.

- Co takiego mu zrobiłem? - zapytałem. - My tylko... Nie pamiętam... Nie...

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

- Płonąłeś, Matthew Swift. Twoją skórę ogarnął ogień.

Popatrzyłem na siebie, na wpół spodziewając się ujrzeć poparzone, pokryte pęcherzami ciało, ale moje ręce wyglądały w zimnym, bladym świetle neonów zupełnie normalnie.

- Czy zaatakuje centralę? - wyjąkałem, gdy pociągnęła mnie naprzód wąską, senną ulicą.

- Po tym, co się wydarzyło, nie zadowoli go nic poza całkowitym unicestwieniem ciebie i wszystkich twoich towarzyszy - odparła z przygnębieniem w głosie. - Honor i prestiż są ważne. Zapomnij o Bakkerze, on już się nie liczy. Strach to tylko wyobrażenie groźby, czarnoksiężnika, a ty dzisiaj zmieniłeś wyobrażenia kilku osób.

- Czy...? - zacząłem, doszedłem jednak do wniosku, że wolę tego nie wiedzieć.

- Chodźmy - mruknęła. - Pora, żebyś wrócił do domu.

Wtem uderzyła mnie pewna myśl. Złapałem Verę za ramię, silniej niż było to moim zamiarem. Odsunęła się pośpiesznie. Na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie.

- Lee - wyjąkałem. - On nie żyje.

- Nie dajmy się ponieść... - zaczęła.

- Nie, chciałem powiedzieć... To nie stało się teraz. To nie był Guy Lee. W jego ciele nie ma ciepła i nie pachnie magią.

- Kurwa, chyba żartujesz? Wyciągnął sobie z nadgarstków cholerne noże!

- Życie to magia - upierałem się, potrząsając jej ramieniem. - Życie to magia, nie sposób ich rozdzielić. Tam, gdzie jest życie, musi być też magia, jedno rodzi się z drugiego. A on nie ma magii. Przynajmniej nie własnej. Wysysa ją z powietrza, karmi się jej użyciem przez innych, ale nie czułem w nim jej zapachu, życie to magia. Guy Lee nie ma życia. Jest chodzącym trupem.

Wyrwała się z mojego uścisku.

- Nie pierdol - wymamrotała. - Nie pierdol!

- Widzieliśmy to! - zawołaliśmy, aż odskoczyła od nas. Na jej twarzy pojawił się strach. - Widziałem to - mruknąłem. - Przepraszam. Przepraszam. Nie chciałem... Przepraszam.

Uspokoila się powoli i pogłaskała mnie ostrożnie po ramieniu.

- Masz okropnie pomieszane w głowie, czarnoksiężniku.

- Wiem.

- Ehe - mruknęła. - Ale kto wie? Może to wyjdzie nam na dobre.

* * *

Spaliśmy w centrali Kingsway, w pokoju pełnym leżących na podłodze ludzi, którzy chrapali, sapali i ogrzewali się nawzajem w półmroku. Przez pozbawione szyby okna do środka napływał słaby blask lampy palącej się w korytarzu o betonowych ścianach. Zastanawiałem się, co by się stało, gdyby rzeczywiście wybuchła wojna atomowa i ludzie próbowali przetrwać w tych tunelach, gdzie nie było czasu, przestrzeni ani kolorów. Vera powiedziała, że zbierają się tu wszyscy Biali. Ostrzegła ich, by nie chodzili nocą sami, bo Lee może próbować wyrzucić zemstę.

A Bakker będzie chciał odzyskać ucznia.

Guy Lee, człowiek pozbawiony magii. Tworzyłem w głowie kolejne scenariusze, obracałem w myślach zaklęcia, zastanawiałem się, jakie moce mogłyby, potrafiłyby, zechciałyby zatrzymać bicie jego serca, ale nadal utrzymywać go przy życiu. A może wcale nie walczyłem z Guyem Lee, może w jego ciele mieszkało teraz coś innego, co tylko imitowało życie. Z pewnością nie był tradycyjnym, nudnym zombie o bladej skórze i pustym spojrzeniu. Poruszał się płynnie, jego twarz wyglądała zdrowo, a skórę miał opaloną. To nie

była śmierć w tradycyjnym, wampirycznym sensie, a po prostu nieobecność życia, jakby jego ciało zamarzło w określonej chwili.

Nie mogłem zasnąć.

Wkrótce po świcie - spodziewałem się, że jeszcze będzie noc - opuściłem tunele Kingsway i poszedłem poszukać budki telefonicznej.

* * *

Zadzwoeniłem do Wieży i tym razem bezzwłocznie połączono mnie z Bakkerem. Nie wyglądało na to, że go obudziłem.

- Matthew? Dobrze się czujesz?

- Dobrze.

- Słyszałem plotki. Jeśli chcesz porozmawiać...

- Guy Lee nie jest żywy. Nie ma w sobie magii, nie ma iskiereki życia. Jest zimny.

- Matthew, nie wiem, co porabiałeś...

- Nekromancja. Magia umarłych. Chcę się dowiedzieć... co mu pan zrobił?

- Co mu zrobiłem?

- Boi się pan śmierci, panie Bakker - oznajmiłem. - Bardzo się pan boi. Gdyby to nieżycie, ta jego zamrożona egzystencja, mogła stanowić rozwiązanie pańskiego problemu, to czy zaakceptowałby je pan? Wyteżalem wyobraźnię, próbowałem sobie przypomnieć wszystko, czego się od pana nauczyłem, ale nie przychodzi mi do głowy żadna moc, żaden mag czy księga z zaklęciami zdolna uczynić to, co z pewnością uczyniono Guyowi Lee. Tylko pan mógłby tego dokonać. Zrobiłby pan to bez zastanowienia.

Ze słuchawki dobiegło westchnienie znużonego starca. Blask słońca padał na chodnik, przesuwał się powoli po dachach wspaniałych, starych domów otaczających Lincoln's Inn.

- Powiedział mi, że go zaatakowałeś, że poszedłeś na arenę.

- To prawda.

- Myślałem, że nauczyłem cię rozsądku.

Wzruszyłem ramionami, ale nagle uświadomiłem sobie, że ten gest nie ma sensu.

- Zniszczę to, co pan mu zrobił, panie Bakker.

- Matthew? - W jego głosie pojawiła się mroczniejsza, melodyjna nuta uprzejmego, ale podszytego jadem pytania.

- Panie Bakker?

- Lee powiedział mi, że kiedy z nim walczyłeś, ogarnął cię niebieski ogień. Na twoją skórę wystąpiły płomienie koloru tego samego, co twoje nowe oczy. Krążą też pogłoski...

- Tak?

- ...pogłoski, że głosy w słuchawkach telefonicznych umilkły, kiedy wróciłeś, że anioły nagle przestały śpiewać swe błękitne pieśni.

Milczałem.

- Matthew?

Nadal się nie odzywałem.

- Co zrobiłeś, Matthew? - wyszeptał. - Co miałeś nadzieję osiągnąć?

- Panie Bakker?

- Słucham?

- Czy to pan nas przywołał? - zapytaliśmy.

Tym razem to on umilkł. Słyszeliśmy powolny oddech, przekazywany do naszych uszu pod postacią zer i jedynek.

- Mój Boże - wyszeptał.

- Czy to pan nas przywołał? - powtórzyliśmy.

- To prawda!

To nie było wyznanie. W jego głosie pobrzmiwało zaskoczenie, groza i być może nuta zachwytu.

- Panie Bakker? - zapytaliśmy.

- Matthew Swift, jakiego rodzaju pakt zawarłeś? Co miałeś nadzieję osiągnąć?

- Przyjdziemy po pana - zapowiedzieliśmy. - Nic nas nie powstrzyma.

Odwiesiliśmy z impetem słuchawkę i oddaliliśmy się. Nie zatrzymywaliśmy się, dopóki znowu nie staliśmy się mną. Dyszałem ciężko, pełen gniewu i strachu. Świt zaczął przynosić na miejskie ulice odrobinę ciepła.

* * *

Ludzie w centrali telefonicznej przygotowywali się przez cały niedzień i nienoc. Biali pomalowali wszystkie ściany, pokryli każdy cal szkła sprayem, tworząc swe kręte obrazy również na drzwiach i framugach, a gdy już zabrakło im miejsca, wyszli na ulice, by malować swoje stworzenia i ich słowa także na murach biblioteki uniwersyteckiej i miejscowego Starbucksa oraz na żaluzjach zamkniętych kiosków oraz filarach stacji metra.

Pod ziemią delegacja złożona z kilkunastu czarowników przechodziła z pokoju do pokoju, błogosławiąc wszystkich w imię duchów, od których czerpali swe szczególne moce. Harrowa Pana Zaułków, Siedmiu Sióstr, Pań Granic, Kruczego Dworu, Władcy Czmychających Stworzeń i oczywiście naszego ulubieńca, Upneya, Szarego Lorda Smoły.

Pożyczali swą magię od innych istot, byli wielkimi kapłanami służącymi kryjącym się w mieście ceniom.

Zakon trzymał się na uboczu, ale uliczne dzieciaki pozostające pod opieką Białych łążyły od pokoju do pokoju, szeroko otwierając oczy z zachwytu. Szeptały, że mamy tyle broni, że wystarczy, by wygrać wojnę, i wierzyłem im. Wołałem nie pytać, co robią Zmiennokształtni, a oni nic nie mówili. Wszyscy wiedzieliśmy, że Lee się zjawi. Znajdzie nas. Nic już go nie powstrzyma.

* * *

Blackjack w końcu mnie odszukał. Siedziałem zwrócony plecami do sterty starych, porzuconych złączek, przypominającej przesadnie wielki nagrobek złożony z martwych drutów, gniazdek, metalowych obudów i potłuczonych żarówek. Obecność tego wszystkiego pocieszała nas, przypominała nam w osobliwy sposób o naszym poprzednim życiu, gdy przebywaliśmy po drugiej stronie tych przewodów, wyglądając z nich na zewnątrz.

Motocyklista usiadł obok mnie, przez chwilę zastanawiał się, jak zacząć rozmowę, a w końcu zdecydował się na to, co zapewne zamierzał powiedzieć od początku.

- Wyglądasz jak przejechany kot, gnijący na drodze.

- Dziękuję.

- Co cię gryzie?

- Nie lubimy czekania. Musimy tu siedzieć, dopóki nas nie zaatakują, a wolelibyśmy być na zewnątrz, rozglądać się, badać teren.

- Znowu mówisz o sobie w liczbie mnogiej.

- Słucham?

- „My” - wyjaśnił z zażenowaniem na twarzy.

- Przepraszam.

Oparł się z nonszalancją o stos porzuconego, lekko zardzewiałego sprzętu i wydobyl z kieszeni flaszeczkę whisky. Pociągnął z niej i poczęstował mnie. Zaryzykowałem niewielki łyk. Doszliśmy do wniosku, że trzeba się do tego przyzwyczaić, choć, gdy trunek dotarł do żołądka, wydał się nam sympatyczniejszy.

- I co? - zapytałem z napięciem w głosie, sugerującym głębsze treści.

- Pewnie mam wobec ciebie dług za to, że uratowałeś mnie przed tymi uzbrojonymi świrami - rzekł po chwili milczenia.

- Mówisz o...

- O Zakonie.

- Ehe. Zgadza się.

- Niezły numer. Jak to zrobiłeś?

- Rzuciłem na ich przywódcę, nazywa się Chaigneau, klątwę długiej, wyniszczającej śmierci - odparłem. - Zrozumiał mój punkt widzenia.

- Ten skurwysyn cię zabije. Matthew Swift - oznajmił radośnie Blackjack. - Mówię ci to na wypadek, gdybyś się jeszcze nie domyślił.

- Wiem.

- Gdybyś potrzebował pomocy, kiedy nadejdzie chwila...

- Dziękuję. Doceniam tę propozycję.

Popatrzył na mnie z ukosa.

- To znaczy „nie”, prawda?

- He?

- Wolisz pracować sam.

- Nie... mam tu nic - zacząłem. Zaskoczył mnie i musiałem teraz odnaleźć odpowiednie słowa. - Ludzie, którym ufałem, okazali się niegodni zaufania albo są nieosiągalni. Zniknęli bądź nie żyją. A tych, którzy mogą jeszcze żyć, narażam swą obecnością. Ludzie wokół mnie obrywają. Czy w podobnej sytuacji nie wolałbyś pracować sam?

- Nie zrozum mnie źle. Podobają mi się samotni jeźdźcy - odrzekł, unosząc ręce w obronnym geście. - Chciałem tylko powiedzieć, że w ten sposób skończysz na złomowisku dwadzieścia lat przed czasem.

- Chyba... jesteśmy wdzięczni za okazaną troskę - wyjąkaliśmy. - Dziękujemy.

- Dzieje się tu coś cholernie dziwnego - mruknął, odwracając się ode mnie. Pokręcił lekko głową i znowu sięgnął po whisky.

- To znaczy?

- Jezu, Matthew, to pierdolona centrala telefoniczna. Wydaje ci się, że nikt nie zauważył, że głosy w drutach nagle umilkły? Czy wiesz, ilu siedzących w piwnicach nerdów śledziło te niezależne impulsy niewytłumaczalnych zakłóceń pojawiające się nagle w systemie? W jednej chwili w telefonach mieszkała półdemoniczna moc szepcząca do każdego, kto miał choć odrobinę wrażliwości i mógł ją usłyszeć, a w następnej ta moc zniknęła bez śladu! I pojawiłeś się ty z tymi jaskrawoniebieskimi oczami i zdumioną miną. No wiesz, nie potrzeba miliona komórek mózgowych, by się zorientować, co jest grane. Kurewsko dziwnie wygląda tylko to, że nie potrafisz się połapać, czy wciąż jesteś człowiekiem.

Zawstydzony, odwróciłem wzrok.

- Nie... chcemy nikogo skrzywdzić - wymamrotaliśmy.

- Jezu - mruknął.

Spojrzeliliśmy na Blackjacka, próbując coś odczytać z jego głosu i słów. Wbił wzrok w sąsiednią stertę martwej maszynerii i drżącymi palcami odkręcił korek.

- My też nic tu nie mamy, poza tym, co ja pamiętam, a z tego zostało niewiele. Mamy nadzieję, że rozumiesz, że nie pragnęliśmy niczego z tego, co się wydarzyło.

- To coś nowego - jęknął.

- Słucham?

- Gadam sobie z cholerną tajemną mocą, zamaskowaną jako facet o gębie przypominającej mokry worek z piaskiem. - Uniósł niezgrabnie rękę i dotknął z uśmiechem czoła dwoma palcami. - Miło mi was poznać, cholerne niebieskie, elektryczne anioły. Jak leci?

- Bywało lepiej - odparliśmy, spoglądając mu w oczy.

- Idę o zakład, że bywało. - Podsunął nam buteleczkę, ale potrząsnęliśmy głową. - Kto odmawia? Matthew czy anioły? Pytam na wypadek, gdyby jedna część była abstynentem.

- Jesteśmy jednym i tym samym - odpowiedzieliśmy. - Różnica polega jedynie na formie i sposobie wypowiedzi. Dla nas... wszystko jest nowe. Ludzie i to, co robią. Oni nas stworzyli... ale nigdy dotąd nie doświadczyliśmy ich bezpośrednio. A jeśli chodzi o mnie... chcę, żeby wreszcie się zaczęło. Kiedy płoniemy, kiedy walczymy, kiedy się radujemy, wtedy jestem wyłącznie nami, my to wszystko, czym jesteśmy. Ale kiedy się boję... nie rozumiemy takich rzeczy, nie lubimy ich. Jesteśmy mną i... to nas przeraża. - Zauważyłem jego minę, pozostającą w połowie drogi między szczerym zdziwieniem a pełną otwartości nadzieją. Wzruszyłem ramionami. - Nie jestem abstynentem. Dziękuję, ale chcę mieć jasno w głowie.

- Wszystko to jest bardzo dziwne - stwierdził Blackjack.

- W tej sprawie również się z tobą zgadzamy.

* * *

Czekaliśmy w tunelach jeszcze dwa dni, nim wreszcie się zaczęło. Byłem już skłonny uwierzyć, że nic się nie wydarzy, że Guyowi Lee rozjaśniło się w głowie, że Bakker nie wyda rozkazu i nie przyjdą po nas. Nikt nie mówił tego głośno, ale owa myśl zrodziła się w nas już po pierwszej nocy. Trudno było określić, czy poczułem rozczarowanie, czy nadzieję, gdy Vera obudziła mnie potrząsaniem i wyszeptaną:

- Wstawaj. Zaczęło się.

Poszedłem za nią pełnymi śpiworów tunelami o ścianach pomalowanych wciąż jeszcze wilgotną farbą. Przechodziłem nad śpiącymi zwierzołakami, zwiniętymi w kłębek postaciami czarowników oraz czarnymi, pełnymi broni torbami członków Zakonu, aż wreszcie dotarliśmy do wąskich schodów z szarego betonu. Paliła się tam tylko jedna lampa, przycupnięta na ścianie jak kałamarnica przyssana do burty zatopionego statku. Cienie były tak gęste, że prawie mogłyby się kłębić jak mgła. U podstawy schodów, za zamkniętymi masywnymi żelaznymi drzwiami leżało ciało, niemalże pływające w kałuży własnej krwi.

Vera uniosła lampę, by przyjrzeć mu się uważniej.

- Drzwi prowadzą do tuneli poczty - wyjaśniła ściszym głosem. - Kiedyś jeździły tamtędy pociągi do sortowni. Nie są zaznaczone na planie.

Przykucnąłem na schodach tuż nad zwłokami. Z niesmakiem połączonym z fascynacją wyciągnęliśmy odruchowo rękę i dotknęliśmy ostrożnie trupa, nie zważając na dręczące nas mdłości. Skóra pod strzępkami ubrania była jeszcze ciepła. Odwróciliśmy zabitego i zobaczyliśmy, że coś rozpruło mu brzuch, wyciągnęło garść jelit i kilkakrotnie owinęło je wokół jego tułowia jak kiepsko utkany pas. Poczuliśmy w gardle smak żółci. Naszym ciałem targnęły konwulsje, a serce zgubiło jedno uderzenie. Wstaliśmy pośpiesznie i cofnęliśmy się o kilka kroków. Nie wiedząc, co zrobić z krwią na naszych palcach, spróbowaliśmy je wytrzeć o ścianę.

- Czy to Bakker? - wyszczała Vera. - Czy są tutaj? Czy to Lee?

- Nadchodzą - odparłem. - Ale to nie jest Bakker.

Wyrwałem lampę z jej rąk i uniosłem ją przed sobą, poruszając nią z boku na bok. Jaskrawe światło przesuwalo się u moich stóp, ale ciągnący się za mną cień pozostawał w miejscu. Wydłużał się tylko i cieniał jak gumowa taśma rozciągająca się do granic wytrzymałości. Poczuliśmy narastający w naszym gardle śmiech, piskliwy i pełen przerażenia. Zacisnąłem mocno zęby, by go stłumić, dzięki czemu zabrzmiał raczej jak jęk.

- Co to jest?

Vera zauważyła, że cienie u naszych stóp nie przesuwają się wraz z ruchem światła, i miała wystarczająco wiele rozumu, by się przestraszyć.

- Coś znacznie, znacznie gorszego - oznajmiłem, oddając jej lampę. - Obudź wszystkich. Niech nikt się nigdzie nie oddala w grupie mniejszej niż pięć osób i bez silnego źródła światła. Powiedz im, że nadciąga Lee.

* * *

Oto, co według mojej wiedzy wydarzyło się w centrali telefonicznej. Chaos był jednak

tak wielki, że pomimo najlepszych intencji nie mogą być niczego pewien.

Guy Lee miał na swoje rozkazy armię. Nie była ona zbyt wielka ani szczególnie zdyscyplinowana, ale kiedy poszczególni żołnierze potrafili zniknąć na tle betonowych ścian na sposób kameleonów, wpuszczać do biegnących w ścianach rur bąble płonącego wodoru albo ryczeć jak eksplodujący zbiornik paliwa w autobusie, buchając przy tym czarnymi oparami, liczebność nie jest aż tak ważna. Skłoniono ich do służby pieniędzmi, przekupstwem, groźbami, szantażem, namowami, obietnicami i błaganiem, ale gdy przesłuchiowano ocalałych, wszyscy szeptali, że w głębi duszy wiedzieli, czym jest Lee. Nie po prostu człowiekiem obdarzonym własną wolą, a sługą Wieży. A ci, którzy odmawiali jej posłuchu, mogli przeżyć najwyżej kilka dni, pełnych bólu i utraty krwi.

Weszli do starych, zapomnianych tuneli pocztowych przez sortownię w Mount Pleasant, wyjątkowo nieprzyjemny zestaw blaszanych dachów i szarych murów, przycupnięty przy ruchliwym skrzyżowaniu Rosebery Avenue i Farringdon Road. Gdy skradali się przez mrok, drogę oświetlały im czarownice skłaniające pleśń porastającą przeciekające rury do świecenia jasnym, fluoryzującym blaskiem, co pozwalało im odnaleźć drogę do centrali. Nie mieli pojęcia, skąd Lee wiedział, dokąd iść. Mówili, że wśród Białych z pewnością ukrywał się zdrajca. Mógł nim być ktokolwiek.

Strażnik stojący przy wejściu do tuneli nazywał się Yixiao. Był Białym z Brixton, specjalizującym się w pisaniu zakłęb wysokimi zielonymi literami na wyłożonych ceglami wykopach, w których biegły tory. W młodych latach był członkiem gangu, który zwykł wypisywać swą nazwę CHŁOPAKI MORTONA wielkimi czarnymi literami na pojemnikach na śmieci w opanowanych przez siebie osiedlach. W ten właśnie sposób Yixiao odkrył ku swemu zaskoczeniu, że wrony, które namalował za dnia, nocą latają po białych ścianach bloków, znacząc pokrywającą je farbę słowami *kra, kra*, napisanymi małymi, czarnymi literkami wypadającymi im z dziobów, nim wschód słońca zmusi je do powrotu na drzwi garaży, na których je umieścił. W tunelach ciągnących się za żelaznymi drzwiami, których strzegł, namalował na ścianach pokrytych warstwami nagromadzającego się przez lata brudu obrazy swych wron koloru węgla, by co noc patrolowały korytarze, sprawdzając, czy nikt się nie zbliży pod osłoną ciemności, i wykrzykiwały ostrzeżenia pod postacią literek na betonie, słyszalnych jedynie dla Yixiao.

Z pewnością spostrzegł zbliżających się żołnierzy armii Guya Lee maszerujących zapomnianymi tunelami i chciał podnieść alarm, gdy spotkał go przedwczesny koniec. Pazury wydrapały mu oczy, rozszarpały policzki, odsłaniając zęby, i rozorały brzuch, by igrać z jego zawartością jak dziecko zafascynowane nową zabawką. Czy wiedziałem, że zginie w ten

sposób? Niewykluczone. To kolejna sprawa, o której lepiej nie myśleć.

Bez względu na okoliczności śmierci Yixiao, Vera zawsze podejrzewała, że nieprzyjaciel nadejdzie tunelami pocztowymi. Cokolwiek mogła myśleć o roli, jaką odegrałem w zakończeniu jego życia, nie skomentowała tego ani słowem, lecz natychmiast podniosła alarm. Kłopot polegał na tym, że Guy Lee nie nadszedł tylko przez tunele, lecz wyłonił się również z podziemnych przewodów wentylacyjnych i przybył z góry, z ulicy. Zaatakował ze wszystkich stron jednocześnie.

To właśnie jest podstawowy powód, dla którego po dziś dzień nie znam wszystkich tajemnic dotyczących tych, którzy polegli w centrali telefonicznej w Kingsway. Czy niektórzy z nich mogli ocaleć? Czy ludzie z Zakonu zawsze strzelali do nieprzyjaciół, czy też ich kule trafiały niekiedy sojuszników? Czy zwierzołaki starły się ze zwierzołakami, czy Biali stanęli do walki, czy uciekli?

Czasami lepiej jest, by historyk zaczekał, aż umrą wszyscy uczestnicy opisywanych przez niego wydarzeń, na wypadek gdyby się okazało, że nikt nie chce poznać prawdy.

Oto więc, co widziałem.

* * *

Nie wiem, gdzie się znajdowałem w chwili, gdy poczułem wstrząs pierwszego wybuchu. Wszystkie betonowe powierzchnie wyglądały tak samo, niekończące się barwne obrazy zlewały się w jeden narkotyczny odlot, długi i nieprzyjemny. Pod wpływem wstrząsu z sufitu posypały się betonowe drobiny, wzdłuż odsłoniętych rur i splątanych przewodów biegnących po dachu poniósł się przenikliwy dźwięk, jakby gdzieś w oddali uderzono w kościelny dzwon. Ton nie milkł jeszcze przez długą chwilę po ucichnięciu łoskotu eksplozji. Wiedziałem, gdzie powinienem być. Miałem odnaleźć Guya Lee i wykończyć go, zanim zdąży nam zaszkodzić. Korytarze wypełnili jednak biegnący ludzie. Przepychali się z krzykiem, w oczach mieli szaleństwo i czuć było od nich zwierzęcy zapach. Podążyłem za własnym cieniem, pozwalając, by wskazywał mi drogę, przesuając się na podłodze przede mną.

Nawet jeśli ktoś potrafi posługiwać się magią, to nie znaczy, że zawsze jest ona najlepszym narzędziem. Guy Lee świetnie to rozumiał. Dlatego umieścił ładunki wybuchowe pod metalowymi drzwiami do biegnących pod ulicą tuneli. Towarzysząca wybuchom kakofonia spowodowała, że zawyły wszystkie alarmy samochodowe, a także alarmy przeciwwłamaniowe w kancelariach adwokackich oraz w miejscowych budynkach uniwersyteckich. Potem zaczął pompować do środka gaz łzawiący przez przewody

wentylacyjne. Zauważyłem biały obłoczek buchający ze szczeliny w suficie, po czym pojawił się dziwny zapach, wyczuwalny nie tyle nosem, ile żołądkiem. Pałaca woń przeniknęła do wnętrza mojego ciała, zacisnęła lepkie, gorące palce i szarpnęła mocno.

Gdy opary wypełniły korytarz, osunąłem się instynktownie na ręce i kolana, próbując odnaleźć odpowiednie zakłęcie. Drapałem palcami zimną, suchą powierzchnię w poszukiwaniu dotykanej, ciepłej magii, którą mógłbym cisnąć na wszystkie strony, by rozproszyć gęstniejący gaz. Nim zdążyłem to zrobić, czyjaś ręka opadła mi na ramię, a druga złapała mnie za potylicę i pociągnęła ku górze w tej samej chwili, gdy z ust i nosa zaczęły mi kapać pierwsze kropelki żółci. Na oczy i usta wciągnięto mi coś gorącego, ciężkiego i gumowego. Potem zapięto to z tyłu głowy i popchnięto mnie pod pomalowaną ścianę. Korytarz wypełniły nieprzeniknione kłęby dymu, opadającego z sufitu jak zamarzający wodospad. Zamrugalem, by oczyścić oczy ukryte za ociekającymi wilgocią soczewkami maski gazowej, i ujrzałem ciemne oczy Ody spoglądające na mnie. Ona również miała na sobie czarną, wydłużoną maskę. Próbowwała coś powiedzieć, ale dzielące nas grube warstwy plastiku oraz zanieczyszczone powietrze zniekształcały jej słowa, przeradzając je w stłumione *mmmwhhh*. Uciszyła ją kolejna seria krótkich eksplozji. Nie tyle je usłyszałem, ile wyczułem. Wrażenie przypominało szarpnięcie nagle zatrzymującej się windy, wszystkie fragmenty otaczającego nas powietrza poruszały się zbyt szybko w rozmaitych kierunkach.

Oda uniosła karabin. Broń robiła wrażenie nie tyle wykonanej fabrycznie, ile wyrzeźbionej z jakiejś pierwotnej, czarnej pustki. Kobieta pociągnęła mnie za rękaw. Potrząsnąłem głową i odsunąłem się, próbując wypatrzeć swój cień na przesłoniętej oparami podłodze. Gdy mi się nie udało, podszedłem do ściany i uniosłem wysoko lampę, szukając własnej sylwetki na betonie. Na moment, króciutki moment, mój cień, intensywnie czarny w jasnym świetle trzymanej blisko lampy, uniosł wzrok, spojrział prosto na mnie, wygiął palce niczym szpony i rozpostarł skrzydła.

Lampy w tunelach zgasły kolejno w fali ciemności biegnącej wzdłuż sufitu i ścian. Mój cień zniknął, roztopił się w gęstniejącej czerni. Jedyne źródło światła była trzymana przeze mnie lampa. Oda popatrzyła na mnie i pomimo maski jej twarz i cały język ciała były nieskrywanym pytaniem. Rozejrzałem się wokół, ale nie widziałem nic poza ciągnącą się we wszystkie strony ciemnością. Dopiero po chwili wypatrzyłem światło przebijające się z wysiłkiem przez kłęby gazu i dymu. Usłyszałem też odległe, stłumione stukanie oraz poczułem smak magii. W takiej ciemności nie chcieliśmy ścigać własnego cienia, bez względu na to, jak mógłby się zachowywać. Jeszcze nie. Dlatego pociągnęliśmy Odę za rękaw i pobiegliśmy w stronę jasności.

* * *

Źródło rozpraszającego ciemność w korytarzu światła należało do motocyklistów. Nie były to latarki, ale ogień, tłusty, pomarańczowy blask sączący się z końców płonących szmat trzymany przez nich w wyciągniętych rękach. Choć paliły się jasnym płomieniem, sypiąc na podłogę czerwone skry, nie kurczyły się ani trochę, gdy motocykliści rzucali je do pustych, ciemnych pokoiów o brudnych, pomalowanych farbą ścianach, gdzie było pełno zepsutych maszyn. W miarę, jak posuwaliśmy się przed siebie przez mrok, pomieszczenia coraz bardziej upodabniały się do elektronicznych grobowców. Wszyscy motocykliści mieli na głowach hełmy. Niektórzy namalowali na nich białe anioły, czaszkę i piszczele, pająka o rozciągniętych kosmatych odnóżach, strzałkę mknącą ku tarczy albo inne symbole identyfikujące właściciela. Wszyscy mieli też gogle oraz osłaniali nos i usta chustami. O dziwo, najwyraźniej zapewniało im to wystarczającą ochronę. Szli przed siebie powoli i swobodnie. W rękach trzymali łomy, kawałki łańcuchów, a niektórzy klucze francuskie.

Nie biegli, ale ich chód wyglądał dziwnie. Być może było to lekkie przesunięcie perspektywy, magia tak ulotna i trudna do zdefiniowania, że wszystko, co mogliśmy powiedzieć o jej naturze, to fakt, że w jednej chwili byliśmy przy białych drzwiach, na których widniały słowa „Magazyn B08”, a po dwóch krokach znajdowaliśmy się już na końcu korytarza, choć oglądając się za siebie, widzieliśmy, że od przed chwilą widzianych drzwi dzieli nas co najmniej trzydzieści kroków. Kura czy jajo, co się przemieszczało? My czy świat pod naszymi stopami? Być może motocykliści znali odpowiedź na to pytanie.

Znaleźliśmy niewielką salę, mogącą ongiś służyć pracownikom telekomunikacji jako jadalnia. Tam czekali najemnicy. W pierwszej chwili nie zorientowaliśmy się, kim są. Wszyscy staliśmy niepewnie w drzwiach, zastanawiając się, czy to członkowie Zakonu, czy nie. W owym momencie niezdecydowania to oni rozpoznali w nas nieprzyjaciół i rzucili się do ataku z przerażającą szybkością. Domyśliłem się, że to najemnicy dzięki znakom na ich skórze, spiralom mocy i magii bardzo podobnym do noszonych przez San Khaya. W przeciwieństwie do tamtych to jednak nie były tylko tatuaże. Najemnicy wprowadzili magię do swoich ciał za pomocą noży, co więcej każdy z nich nosił te same symbole mocy, co jego bracia.

Walka toczona w sali była chaosem pełnym cieni i obleczonych w czarne stroje sylwetek widocznych w bladym blasku płomieni. Widziałem, jak motocykliści przeszywali powietrze łomami, a z powstałych w ten sposób ran wypływał ogień. Widziałem, jak najemnicy wznosili się nad podłogę i tańczyli przez moment na suficie, nim opadli w dół,

wyciągając palce ku oczom najbliższego z wrogów. Widziałem, jak motocykliści wymachiwali kawałkami łańcuchów, a te stawały w płomieniach barwy wrzącego oleju i ulatywały w powietrze, ścigając nieprzyjaciół węzowym ruchem na podobieństwo chińskich smoków. Kiedy motocykliści krzyczeli, ich głos był rykiem zapalanych silników; gdy się poruszali, ich ubrania łopotały na wietrze, jakby mknęli z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę, a kiedy ich krew skapywała na podłogę, wyglądała jak olej silnikowy (być może jednak winne było oświetlenie).

Patrząc na bitwę, poruszałem palcami, szukając w powietrzu subtelniejszych mocy, które mogłyby pomóc moim sojusznikom i zaszkodzić wrogom, nie myląc ich ze sobą w tej ciasnej przestrzeni. Odzie jednak zabrakło cierpliwości, by czekać, aż coś zrobimy. Wysunęła się przed nas dziarskim krokiem, odłożyła karabin i wyciągnęła miecz z pochwy na plecach.

Użycie takiej broni mogło w podobnym miejscu doprowadzić do nieprzyjemnych skutków, zwłaszcza gdy władał nią ktoś noszący maskę gazową. Gdy jednak Oda podeszła bliżej do walczących, miecz zaczął się poruszać jak wstążka. Kiedy patrzyliśmy, jak kobieta zgrabnie omija wymachujące kończynami postacie, uchylając się przed ciosami noży trzymanyh przez najemników w wytatuowanych rękach, powoli narastało w nas przerażenie. Uświadomiliśmy sobie, że dla niej jest to taniec, i - jak wszyscy dobrzy tancerze - kobieta raduje się nim. Każdy cios miecza przeszywającego kolejne ciało, każdy ruch nóg, by wyjść na spotkanie następnego ataku, każdy czmychający cień, każdy ruch ręki - wszystko to sprawiało jej szczerą radość.

Na moment zapomnieliśmy o wszystkim, obserwując ją z przerażeniem i zachwytem. Nagle jednak w naszym uchu zabrzmiał dobywający się z mroku szept.

- Cześć, ogniu Matthew.

Odwróciliśmy się błyskawicznie, wypuszczając garść elektryczności uwolnionej z biegnących nad naszą głową przewodów w przestrzeń, z której dobiegły słowa. Nie było tam jednak nic poza poruszającymi się na ścianie cieniami. Jeden z nich oddalił się tanecznym krokiem w stronę końca korytarza. W jego ruchach było coś dziwnego, a sylwetka rysowała się w ciemności zbyt wyraziście. Porwałem z sufitu dwie kolejne garści elektryczności i pobiegłem za cieniem. Po drodze złapałem lampę w gorejącą błękitnym ogniem dłoń i uniosłem ją wysoko, by oświetlić sobie drogę. Gdy dotarłem do masywnych, żelaznych drzwi na końcu korytarza, okazało się, że są zamknięte. Zawahałem się, odstawiłem lampę, wypuściłem elektryczność z palców i przystawiłem ucho do drzwi. Metal wydawał się dziwnie ciepły w dotyku. Słyszałem bardzo cichy brzęk maszynarii oraz narastające brzęczenie prądu elektrycznego.

Nagle uświadomiłem sobie, co się dzieje. Znajdowałem się w połowie długości korytarza. Rzuciłem się na podłogę twarzą do dołu, nakrywając głowę dłońmi. Rozkazałem betonowi otworzyć się pod moim ciałem i zapewnić mi osłonę. Posłuchał mnie i w tej samej chwili żelazne drzwi eksplodowały. Zapewne strzeliło mi w uszach od zmiany ciśnienia, trudno to było określić, gdyż hałas uderzył w moje błony bębenkowe z potworną siłą. Poczulem, że koniuszki moich włosów podkurczyły się, gdy przemknęła nad nimi fala gorąca. Podmuchał mi po plecach. Pod ubraniem pojawiły się na nich gorące krwawe pęcherze. Buchał z nich dym, grożący w każdej chwili przejściem w płomień.

Nie zadawałem sobie trudu, by sprawdzić, kto przeszedł przez dziurę. Podniosłem się na ręce i kolana, poczołgałem kilka kroków w stronę wylotu korytarza, schowałem za róg i osunąłem na podłogę, opierając się o ścianę. Czekałem, aż sprzed oczu znikną mi mroczki. Usłyszałem za sobą krzyki i poczułem w głębi gardła przyprawiający o mdłości smak intensywnej magii. Towarzyszył mu smród kanałów. Natychmiast domyśliłem się, kto nadciąga korytarzem. Wolałem o tym nie myśleć.

Nocni Głębinowcy. Klan przypominający nieco Białych. Grupa utalentowanych magicznie osób o zbliżonych upodobaniach, konglomerat magów rozumiejących, że miasto widoczne za dnia na powierzchni jest jedynie kłamstwem, iluzją podtrzymywaną przy życiu przez wszystko, co dzieje się pod ziemią i nocą - ciężarówki dostarczające żywność do sklepów między pierwszą w nocy a piątą rano, robotników usuwających z kanałów skrzepły tłuszcz, malujących linie na ulicach, kiedy nie ma ruchu, wymieniających przepalone żarówki w latarniach, sprawdzających tory metra, naprawiających wodociągi, gdy wszyscy śpią i nikomu nie chce się pić, a także nasłuchujących dźwięków biegnących pod ulicami przewodów. Głębinowcy rozumieli, że wszystko to musi się dziać, jeśli miasto ma przetrwać, i czerpali moc z nieuchwytej, niewidzialnej, pulsującej obecności magii, która w świetle dnia jest niemal niewykrywalna, a najpotężniejsza staje się o trzeciej nad ranem, gdy ulice zalewa jej subtelny, srebrzysty blask.

Siedząc za rogiem tunelu, z którego powoli się wyłaniali, sięgnąłem brudną ręką do sufitu i pozwoliłem, by moje myśli wniknęły w płataninę przewodów oraz rur, które w nim biegły. Wędrowałem nimi, aż wreszcie poczułem, że pewnie trzymam je w garści. Szarpnąłem w dół i cisnąłem je do korytarza, gdzie stworzyły pajęczą sieć złożoną z metalu i iskrzących przewodów, odgradzającą mnie od nich. Wiedziałem, że nie powstrzyma ich to na długo, ale nie zamierzałem tu czekać. Nie w tym miejscu i o tej porze nocy. Nie miałem ochoty mierzyć się z Głębinowcami w pojedynkę w chwili, gdy ich magia była najsilniejsza, a prawdziwe miasto, miasto niezbędnych codziennych funkcji życiowych, tętniło pełnią życia.

Chciałem już wstać i rzucić się do ucieczki, gdy nagle na głowę spadła mi zimna kropla, przypominająca pierwszy zwiastun nadchodzącej ulewy. Uniosłem wzrok. Na suficie ktoś namalował statek kosmiczny pędzący ku szeregowi otoczonych pierścieniami planet w jaskrawych niebieskich albo zielonych kolorach. Podobny obrazek mógłby się pojawić na okładce komiksu z lat sześćdziesiątych. Pod spodem, wielkimi, stylizowanymi literami napisano: „KAPITAN ZOG NADCIĄGA NA RATUNEK!!!”. Jeśli spojrzeć nań jak na dzieło sztuki, rysunek miał swój anachroniczny urok, w owej chwili jednak ujrzałem w nim coś znacznie więcej. Planety zaczęły krążyć po suficie.

Przedstawiona na ścianie naprzeciwko mnie postać o potężnej muskulaturze, masywnej piersi i nieprawdopodobnie szczupłym pasie, namalowana niebieską farbą, urozmaiconą jaskrawożółtymi zawirowaniami, obudziła się nagle do życia. Poruszyła palcami. Na ścianie obok mnie tygrys koloru neonowego różu z żółtozielonymi pręgami zmarszczył fioletowe wąsy i przymrużył czerwone ślepie. Unoszące się nad nim stadko czarnych jak smoła gołębi przefrunęło na sufit i przeszło po drugiej ścianie na podłogę, zataczając powolne kręgi. Dwóch rowerzystów, złożonych wyłącznie z ludzkich uszu, zaczęło poruszać maleńkimi małżowinowymi stopkami. Przemknęli wzdłuż podstawy przeciwległej ściany, a potem wjechali na sufit, okrążyli wirującą wokół osi błękitną planetę i zjechali z powrotem na podłogę.

Podniosłem się powoli. Kroki w korytarzu za mną stawały się coraz głośniejsze. Warkot piły mechanicznej sugerował, że Głębinowcy mają sprzęt potrzebny, by poradzić sobie z przeszkodami, jakie postawiłem na ich drodze. Nie przejęliśmy się tym jednak zbyt. Na naszej twarzy pojawił się uśmiech, gdy kapitan Zog sięgnął ociekającymi niebieską farbą rękoma i sięgnął poza ścianę. Najpierw oddzieliły się od niej palce w żółtych rękawiczkach, potem ostrożnie wysunął czubek żółtej stopy i jaskrawoniebieskie kolano - maleńkie i guzowate, stanowczo zbyt drobne, by podtrzymać ciężar potężnego ciała - a następnie muskularną błękitną pierś. Na samym końcu wyłoniła się twarz. Ciągnął ją za sobą, gdyż kilka kropel farby przylepiło się do ściany. Wreszcie oderwały się od namalowanej postaci, tworząc kolorowe plamki. Obok mnie ze ściany wysunął się rubinowy nos tygrysa, a za nim cień intensywnie różowej pręgi. Po mojej nodze przebiegł jaskrawoszmaragdowy pająk, zupełnie gładki poza kilkoma czarnymi kępkami włosów. Zostawił mi na spodniach zielone ślady. Z dyszy namalowanego na suficie statku kosmicznego o ostrym nosie trysnęła odrobina szarej farby, opadająca mgiełką na podłogę. Kosmolot obrócił się, wyłaniając się ze ściany i znowu się w niej zagłębił, potem powtórzył to po raz drugi, całkowicie bezgłośnie, pomijając cichutkie kapanie farby.

Podskoczyłem nerwowo, gdy tygrys otarł się czule o moją nogę, zostawiając na spodniach długą różową plamę. Potem poczłapał po betonie w stronę korytarza, z którego przed chwilą wybiegłem. Jego krokom towarzyszyło głuche mlaskanie. Później kapitan Zog i wszystkie namalowane na ścianach maleńkie stworzonka - motyle z żuwaczkami mrówek żołnierzy, dzieci o twarzach dłuższych niż ciała, grube, czarno-żółte pszczoły chodzące na dwóch nogach i trzymające we wszystkich trójpalczastych kończynach ociekające farbą noże - wszystkie potwory z centrali telefonicznej pomaszerowały w ciszy mącznej jedynie odgłosem skapującej farby prosto do korytarza, w którym znajdowali się Głębinowcy. Po drodze przenikały się nawzajem, wnikając w ściany i znowu się z nich wyłaniając, a na twarzach tych, które miały podobne do ludzkich, czytelne dla mnie oblicza, malowało się skupienie.

- Cześć, ogniu Matthew!

Odwróciłem się natychmiast, ale nie zobaczyłem w blasku lampy nic poza tańczącą ciemnością i spływającymi kolorami. Przymknąłem powieki i wytrzymałem słuch.

Chłód muskający mój bark...

...smród nieczystości...

dotyk magii w moim uchu

smak soli

żółci

krwi

jedwabiu

...cześć, ogniu Matthew...

...myśmy są...

ogień

światło

życie

ogień

przestańcie

myśmy są

przestańcie

ploniemy tak jasno

zrób ze mnie

bądź wolny

PRZESTAŃCIE

...

Dziękuję.

Tak lepiej.

- Cześć, mały czarnoksiężniku.

Sięgnąłem po zimny szept w swym uchu i na krótki moment zacisnąłem dłoń na czymś przypominającym utkaną z lodu tkaninę. Ukłucie zimna dotarło do kości dłoni, a potem wniknęło w nadgarstek, poczułem pod palcami szeleszczący jedwab, dający się kształtować dotykiem. Kiedy wyrwał mi się z uścisku, otworzyłem oczy i ujrzałem witkę ciemności znikającą w ścianie. Przez chwilę, krótką chwilę, pomyślałem, że jednak mogę go pokonać.

Podniosłem lampę i zerwałem się do biegu. Mijałem tłoczące się sylwetki z żywej farby, zamykając uszy na dobiegające z tyłu krzyki Głębinowców, kolejno duszonych wypełniającą im usta farbą.

* * *

Po chwili mroczne tunele straciły znaczenie. Nie miałem pojęcia, ile ich tu jest. Trzeba się w nich zgubić, by naprawdę uświadomić sobie ich skalę. Było mi wszystko jedno, dokąd idę. Kierował mną wyłącznie instynkt.

- Swift, padnij! - usłyszałem nagle w ciemności czyjś krzyk.

Na wszelki wypadek wykonałem polecenie, choć głos nie brzmiał zbyt groźnie, a jedynie nerwowo. Zobaczyłem na końcu korytarza błysk wystrzału i usłyszałem odgłos kul uderzających w jakiś cel z głuchym łoskotem. Gdy strzały umilkły, wstałem i obejrzałem się za siebie. Leżało tam rozerwane ciało kobiety w bardzo skąnym stroju. Poznałem ją. Kiedy nosiła to ubranie, posługiwała się imieniem Inferno. Poczułem w ustach smak żółci.

Pociągnięto mnie za krótki szereg uzbrojonych w karabiny ludzi. Był wśród nich Chaigneau. Trzymał w ręce krótką, ciężką maczugę, na której wypisano jakieś słowa po łacinie. W mroku nie mogłem ich odczytać.

- Co tu robisz, czarnoksiężniku? - zapytał, łypiąc na mnie spode łba.

Odsunąłem się chwiejnie, nie wypuszczając z rąk lampy, a potem umknąłem w ciemność.

- W co ty grasz? - dobiegł mnie z tyłu jego głos.

* * *

Strzały w ciemności.

Smak magii rozkwitającej i umierającej wszędzie wokół, czuliśmy... zapach...

przyprawiające o mdłości czarne plamy bólu za naszymi oczami, czuliśmy... strumyki czerwonego cierpienia spływające nam po grzbiecie, wiedziałem, choć baliśmy się to przyznać, że to właśnie wyczuwa czarnoksiężnik, gdy w pobliżu ginie zbyt wielu ludzi.

Dotarliśmy do korytarza wypełnionego ciałami. Z czarowników, czarownic i czarodziejów nie zostało wiele poza zwęglonymi kośćmi. Wypalone ściany pokrywała czarna sadza, magiczny ogień strawił całą farbę, z sufitu zwisały fragmenty przewodów i rur. Zaryzykowaliśmy zdjęcie maski i poczuliśmy odór pieczonego mięsa.

Włożyliśmy ją szybko z powrotem, wołąc zapach gumy od tego smrodu. Również ograniczenie pola widzenia wydało się nam raczej błogosławieństwem niż zawadą. Postawiliśmy stopę między wygiętą ręką kobiety, której twarz ogień strawił całkowicie, a zwęglonym korpusem mężczyzny o oczach szczęśliwie zwróconych w drugą stronę. Na końcu korytarza po ścianach pełzały cienie, kłębiące się gorączkowo, mimo że trzymaliśmy lampę nieruchomo. Zdołaliśmy pokonać niemal połowę drogi, nim zobaczyliśmy szatę w egzotycznych, niegustownych kolorach. Znaliśmy tego, kto ją nosił, i wiedzieliśmy, że nie żyje. Choć z pewnością nie darzyliśmy czarownika sympatią, przystanęliśmy, opierając głowę o ścianę. Nasze ciało drżało, trawione wewnętrznym ogniem. Staliśmy tak przez wiele minut, nim sobie uświadomiliśmy, że nasz strach i obrzydzenie niczego nie zmieniają. Musieliśmy iść dalej, odwracając głowę od widoku ciał. Staraliśmy się czynić to mechanicznie, ale i tak wzdrygaliśmy się za każdym razem, gdy nasza stopa dotknęła szczątków jakiegoś maga.

Na końcu korytarza znajdowały się metalowe drzwi pokryte płatkami brązowej rdzy. Jakaś nieznana moc wyrwała zamek i drzwi były uchylone. Trąciłem je nogą, jak idiota, poszerzając szczelinę, a potem pochyliłem głowę w niskim przejściu i ruszyłem w dół zimnymi schodami.

Pomieszczenie, do którego mnie zaprowadziły, było za wielkie, bym mógł zobaczyć drugi koniec. Sufit krył się w ciemnościach, a ściany ciągnęły się w dal. Było tu pełno łącznic telefonicznych. Stały w szeregach jak czarne pnie uschniętych drzew w nawiedzonym lesie. Tu i ówdzie dostrzegłem zielony błysk płytki do montażu podzespołów albo srebro cyny lutowniczej, widoczne w świetle lampy. Równe rzędy urządzeń ciągnęły się tak daleko, jak mogłem sięgnąć wzrokiem. Ruszyłem ostrożnie przed siebie najbliższym przejściem, nie śmiąc przywoływać więcej światła, by nikt mnie nie zobaczył. W cichej sali moje kroki brzmiały głucho i były nieprawdopodobnie głośne. Było tu duszno, jakby od lat do pomieszczenia nie zakradł się nawet najmniejszy powiew. Idąc, wzbijałem obłoczki kurzu.

Łaziłem po pustej, martwej hali, między równymi szeregami urządzeń, prawie pięć minut, nim wreszcie ujrzałem czyjeś ślady. Pozostawiła je para męskich butów, raczej

półbutów niż adidasów. Odwróciłem się i podążyłem za nimi, czując się jak gracz w grze w węże i drabiny, w każdej chwili mogący nadepnąć na węza i wrócić do punktu wyjścia. Ślady były jednak bardzo wyraźne. Wiodły między niekończącymi się szeregami łącznic do skrzyżowania nieróżniącego się od pozostałych niczym poza tym, że oświetlała je plama blasku, podobna do tej, którą nieśliśmy ze sobą. W jej środku ujrzałem przygarbioną sylwetkę odzianego w czerń mężczyzny w wielkich półbutach. Uświadomiłem sobie, że przygląda się moim śladom.

Uniósł wzrok, gdy moja plama światła zlała się z produkowaną przez jego lampę. Zatrzymałem się w odległości kilku metrów od niego. Wykrzywił twarz w grymasie zaskoczenia, który szybko przerodził się we wzgardę.

- Czarnoksiężniku - rzekł Lee - byłem przekonany, że tu się zjawisz. Nawet prorocze moce nie mogłyby się sprawić lepiej.

- W dupę sobie wsadź prorocze moce - odparłem, odstawiając lampę. Omiotłem spojrzeniem gęstą, nieruchomą ciemność otaczającą nas ze wszystkich stron. - Myślę, że obaj świetnie wiemy, co mnie tu sprowadziło. To był wysoki facet z paskudną cerą, noszący mój płaszcz. Esencja żywej ciemności. Widziałeś go gdzieś?

- A ja myślałem, że obaj znajdziemy się w podręcznikach historii - odparł, prostując się i strzepując kurz z kolan. - Ale tobie od początku wcale nie chodziło o mnie, prawda? Myślę, że guzik cię obchodziło, co zrobiłem ja albo Khay, a nawet Biali, czarownicy i inni kretyni, których zabiłem, by tu dotrzeć. Byłeś zbyt zajęty, by się tym przejmować. Mam rację?

- Nie, ale to było niezłe - odparłem.

Wzruszył ramionami.

- Wiesz na czym polega różnica między żołnierzem a mordercą, Swift?

- Nigdy się nad tym zbyt nie zastanawiałem.

- Chodzi o świadomość. Cokolwiek bym robił, zawsze powoduje mną świadomy zamiar. To pozwala mi zachować kontrolę. Mam w sobie gniew, bestię, ale... panuję nad nią. Nawet sobie nie wyobrażasz. Ale ty... czy w ogóle pomyślałeś o tych wszystkich ciałach, które minąłeś po drodze? Myślę, że zabijasz, nawet nie wiedząc, co i dlaczego robisz. Ty pierdolony, bezużyteczny kretynie.

- Wiesz co? Masz rację.

- Pewnie, że mam.

- Nie, nie we wszystkim, ale masz rację, że nie przyszedłem tu dla ciebie. Jesteś dla mnie tylko etapem na drodze do czegoś ważniejszego. Drzwiami, które trzeba otworzyć,

poniższym punktem na liście poprzedzającym ten najważniejszy. Fakt, że jesteś mordercą, gwałcicielem, złodziejem, tchórzem i trupem, tylko ułatwia mi to, co i tak zamierzałem uczynić. Skończmy więc z tym, żeby Głód mógł tu przyjść i najeść się do syta.

- Z czym mamy skończyć? - Lee uśmiechnął się, rozkładając szeroko ręce. - Robert chce cię dostać żywcem, Swift, a ja zamierzam spełnić jego życzenie.

W mroku za nim poruszył się cień. Sięgnąłem ku niemu instynktownie, czując na palcach ciepłe mrowienie magii. Potem pojawiły się kolejne z mojej lewej i prawej strony, a także - gdy odważyłem się obejrzeć - z tyłu. Twarze i sylwetki wyłaniały się z mroku. Potem Guy Lee złączył otwarte dłonie. Pojawił się w nich gęsty, czarny smog. Guy Lee uśmiechnął się szeroko, w ogóle nie bojąc się mężczyzn i kobiet, wyłaniających się z otaczającej nas ciemności. Gdy wchodziły na oświetlony obszar, zauważyłem błysk jaskrawej szaty oraz resztki twarzy czarownika, pustej i pozbawionej życia.

Zwróciłem się w stronę Guya Lee. Zabici z korytarza otoczyli mnie kręgiem. Z ich ran wciąż jeszcze skapywały resztki krwi.

- Zombiaki - stwierdziłem z nieskrywaną pogardą w głosie. - To było dobre w latach sześćdziesiątych.

- To nie zombiaki. Zombiaki byłyby zbyt prymitywne. One... - przerwał na chwilę, szukając odpowiedniego sformułowania - ...mają szczególny napęd.

Ponownie spojrzałem w oczy czarownika. Nie były całkowicie puste, nie do końca. Z jego rozdziawionych ust sterczał kawałek papieru, ledwie widoczny między zębami. Życie napędzane słowami, wepchnięte mu w gardło w chwili śmierci, zakłęcie wypisane na papierze ukrytym w jego piersi, sięgające do resztek żołądka.

- Nie zawahamy się zabić ich po raz drugi - oznajmiłszy, gdy ostatni ożywiony trup dołączył do kręgu.

- Trudno zabić coś, co już nie żyje - zauważył Lee.

- Ty powinienesz wiedzieć o tym najlepiej - odparliśmy, wypełnieni nagłą determinacją. - Uwolnimy ich.

Wyciągnęliśmy rękę, złapaliśmy garść ciepła ze stojącej na podłodze lampy, ścisnęliśmy ją w dłoniach i tchnęliśmy w nią odrobinę życia. Żar zamieniał się między naszymi palcami w błękitne płomienie, ogarnął nasze dłonie i ramiona, otulał nas niczym płaszcz. Potem, z nagłym szarpnięciem, cisnęliśmy je między martwe, monolityczne łącznice telefoniczne. Energia potoczyła się po podłodze, wpełzając na ściany z jaskrawoniebieskim błyskiem, który na mgnienie oka oświetlił wnętrze ogromnej, nakrytej kopułą hali, spalił wszystkie cienie i każdy cal dotkniętej skóry. Cyna lutownicza zagotowała się, tryskając

srebrzystymi pęcherzykami i słodkim dymem. Blask wypełnił każdy cal ciemności,

poza

na krótką chwilę

złapanym w płomieniach...

Zobaczyłem go. Wyciągał palce, by pochwycić fale niebieskiego ognia, unosił podbródek i wytrzeszczał szeroko oczy, jakby chciał wciągnąć w płuca mój żar, gdy błękitne światło gorzało wokół, na jego twarzy pojawił się niezmacony zachwyty. Na krótką chwilę, gdy ogień przegnał osłaniające go cienie, ujrzeliśmy Głód za zasłoną płomieni.

Ale potem zgasły.

I wróciła ciemność.

Leżałem na podłodze, z oczu ciekły mi łzy. Nic nie widziałem przez maskę gazową Ody. Jej wnętrze wypełniła wilgoć, a od zewnątrz pękała od gorąca. Ściągnąłem ją i natychmiast poczułem odór parującego lutu i martwych ciał, ale nie było tu gazu łzawiącego. Tak daleko nie dotarł. Nigdzie nie widziałem Guya Lee. Poczłogałem się na czterech kończynach po podłodze, aż wreszcie znalazłem czarownika. Leżał na plecach. Jego ubranie doszczętnie przesiąknęło krwią. Złapałem go za żuchwę i otworzyłem mu usta, mimo że ledwie wisząca na ścięgnach ręka próbowała się unieść i wydrapać mi oczy. Wsadziłem rękę do suchej jamy ustnej, za barierą kłapiących zębów, znalazłem koniec papieru i wyciągnąłem go na zewnątrz, bardzo ostrożnie, żeby się nie przerwał. Czarne słowa wypisane atramentem trudno było odczytać pod śliną i krwią. Zobaczyłem:

życie za

spalone na czarno

rozkaz ognia

bądź wolny.

Podarłem papier na strzępy i wyrzuciłem je. Potem spojrzałem na czarownika. Leżał nieruchomo, a wyraz jego twarzy był zupełnie pusty. Życie odeszło.

Wyczuliśmy za sobą ruch, odwróciliśmy się instynktownie, porwaliśmy z powietrza garść światła i cisnęliśmy ją w Guya Lee, który zeskoczył z łącznicy. Zatonął się do tyłu i uniósł ręce, by osłonić oczy, gdy z moich palców trysnęła biel, ale nie przestawał posuwać się ku mnie. Uderzył stopą w nasz bok. Zwaliliśmy się na plecy, odsunęliśmy się, nie zważając na ból, i wpadliśmy na krwawe szczątki czarownika. Ręce Guya Lee złapały nas za tył głowy, unosząc ją, ramię owinęło się wokół naszego gardła i zacisnęło z potworną siłą, mieliśmy

nadzieję, że nienaturalną. Jego usta dzielił od naszego ucha tylko jeden cal. Nie wydobywał się z nich nawet ślad oddechu. Z drzeniem grozy uświadomiliśmy sobie, że złamie nam kark, zanim się udusimy, choć mroczki przesłaniały nam już pole widzenia na podobieństwo kurtyny zamykającej ostatni akt.

- Robert chce cię dostać żywego. Tak powiedział - zasyczał tuż przy naszym uchu, nie zawracając sobie głowy wydychaniem. Jego głos był jedynie szeptem powietrza uwięzionego w martwym gardle. - Przyrowadź mi Swifta, nie zrób mu krzywdy większej niż będzie trzeba, zachowaj go przy życiu. Ale obaj wiemy... - szarpnął nas za szyję, aż wszystkie kończyny nam zdrętwiały - ...że ze wszystkich ludzi na świecie Robert najbardziej nienawidzi ciebie, Matthew Swift, czarnoksiężniku, uczniu, który zdradził swego mistrza. Nawet jeśli sam o tym nie wie. Dlatego muszę zapytać, dlaczego chce cię pojmać żywcem? Co w twoich niebieskich płomieniach i nieprawdopodobnym zmartwychwstaniu tak bardzo go ekscytuje? Dlaczego ożywia się tak bardzo na samą myśl o nich? Czymkolwiek są, pragnę ich dla siebie. One mogą mnie uwolnić!

Zacisnęliśmy palce na ściskającym naszą szyję ramieniu, wypełniliśmy je niebieskim ogniem, a potem wysłaliśmy płomienie do jego ciała palącą falą, aż wreszcie poczuliśmy, że jego skóra pod rękawem pęka. Nawet wtedy nie krzyknął, a tylko ugryzł mnie w szyję tak mocno, że aż popłynęła krew. Jęknąłem z bólu, ale my sięgnęliśmy ręką za siebie, dotknęliśmy jego głowy i odepchnęliśmy ją do tyłu, muskając palcami zęby. Otwarliśmy mu usta i wsadziliśmy rękę do środka. Ugryzł ją i poczułem krew spływającą po kłykciach dłoni. Nie daliśmy za wygraną, ignorując ból, choć świat przed moimi oczami utracił wyrazistość. Wreszcie, w głębi gardła, daleko za zębami i twardym podniebieniem, gdzieś przy początku tchawicy, nasze palce dotknęły śliskiego kawałka papieru i pociągnęły.

Wtedy wreszcie zaczął krzyczeć. Ten fakt pozwolił nam uchwycić papier pewniej i pociągnąć go. Nie przestaliśmy wyszarpywać papierowej taśmy, pochylając się, nawet gdy ucisk na naszym gardle zelżał. Wreszcie zwaliliśmy się na podłogę, ale nie wypuściliśmy jej z rąk. Papier wciąż się wysuwał, zwinięty w ciasny rulon, pół metra długości, metr, słowa nieczytelne od krwi i śliny, maleńkie linijki pokrywające obie strony taśmy od brzegu po brzeg; wyszarpnąłem mu z gardła półtora metra zakrwawionej, pokrytej plamami atramentu taśmy. Łopotąła wokół mnie jak mokry bandaż, w niektórych miejscach przegniła, naznaczyły ją plamy od chemikaliów, których natury wołałem nie znać. Gdy jej koniec wysunął się z ust, Guy Lee zwalił się na plecy i znieruchomiał. Jego twarz nic nie wyrażała, zniknęły z niej kolory, a oczy były martwe.

Osunąłem się na plecy u jego boku, pozwalając, by długa papierowa taśma opadła

obok mnie. Bez dalszych ceregieli poczerniała z sykiem, poczynając od brzegów, skurczyła się i zamieniła w popiół. Leżałem, charcząc głośno, a jednocześnie pocieraliśmy nieświadomie rękami bok, próbując zetrzeć z siebie ślinę, krew, atrament i ślady zębów na skórze, a także pozostałość dotknięcia papieru i jego czarnej magii. Byłem zbyt odrętwiały, by płakać.

Teraz już wiem, że Sinclair nie miał pojęcia, że Guya Lee ożywia półtora metra spisanych maleńkimi literkami rozkazów, atrament na papierze. Utrzymywała go przy życiu wyłącznie magia. Nic nie czuł - ani emocji, ani dotyku - chyba że zapisano to na ukrytej w jego piersi taśmie. Może i nie był zombie w całym tego słowa znaczeniu, po prostu... miał szczególny napęd. I ten napęd wystarczał, by pragnął życia i zadawał sobie pytanie, co kryje się w naszej krwi i czy może to mu je dać.

Nagle usłyszałem w mroku głuchy, rytmiczny odgłos. Po chwili uświadomiłem sobie, że to brawa. Usiadłem, uważając na niebezpieczne sprawy, takie jak oddech, i wpatrzyłem się w ciemność. Tuż za granicą oświetlonego obszaru zatrzymał się skrawek nieco głębszego cienia. Widziałem białe dłonie, poruszające się w rytmicznym aplauzie.

Podniosłem się chwiejnie i wycofałem w poblizze lampy, nie spuszczać cienia z oczu. Aplauz umilkł.

- Czy to Matthew, czy ogień Matthew płakał? - usłyszałem głos. - Nie mogłem ich odróżnić.

- To nie był płacz - odparłem. - Nie zrozumiałbyś tego.

Wir ciemności zbliżył się nieco, pojawiła się twarz, zwiędła i pobladła, uśmiechnięta i niezdrowa. Jego twarz.

- No cóż - rzekł - może rzeczywiście nie ma już różnicy.

Klęknął przy ciele Guya Lee i wziął w rękę garść czarnego popiołu pozostałego po taśmie. Uśmiechnął się do mnie, obserwując moją reakcję, i zjadł popiół. Potem nabrał drugą garść, trzecią i czwartą, aż wreszcie została tylko czarna plama na podłodze. Pożarł wszystko, wstał z westchnieniem, zadrżał i odchylił głowę, jakby węszył.

- Smak życia... czy to on? - zapytał, zlizując szarym językiem z ust czarne drobinki.

- Nie - odpowiedziałem.

- Próbowałem wody, żywności, ognia, krwi, skóry, włosów, kości, narządów wewnętrznych, oddechu. Znam smak tego wszystkiego. Zadawałem sobie pytanie, gdzie ukrył swe życie. To jest coś, co trudno zgłębić albo spostrzec. - Trącił trupa czubkiem stopy. - Ale teraz, gdy już poznałem jego smak, wydał mi się... niezadowolający. To tylko kropla wody dla mojego pragnienia, kąsek wypełniający drobny zakamarek żołądka. Mój apetyt

wciąż... pragnie. Nadal jestem głodny.

- Nie sądzę, bym mógł ci smakować - stwierdziłem. - Odżywiam się niezdrowo.

- Nie twojej krwi pragnę - wyszeptał Głód, podchodząc bliżej do mnie, ostrożnie wysuwając czubek stopy w światło. Cofnął szybko nogę, jak pływak, który ze zdziwieniem przekonał się, że woda jest bardzo zimna. - Tylko twojego ognia.

- Mogę zasugerować pewną teorię?

Głód skinął lekceważąco dłonią.

- Sugeruję, że to Robert James Bakker cię tu przysłał.

- Przysłał? Myślisz, że twoje żalosne pojęcia mogą się do mnie stosować?

- Być może słowo „przysłał” nie jest właściwe - przyznałem, pocierając obolałe gardło. - Może lepiej byłoby powiedzieć, że... wpłynął na twe pragnienie przyjscia tutaj. Ty pragniesz, prawda? Pożądasz wielu rzeczy, o których nie wspominasz. Nie jesteś pewien, czego właściwie chcesz, ale musisz to dostać natychmiast. Może to nie twoje upodobanie do popiołu i krwi przyprowadziło cię w to miejsce? Może to on ich pragnie?

Przez krótką chwilę Głód robił niemal wrażenie zbitego z tropu. Potem potrząsnął głową.

- Nie - wyszeptał. - Człowiek nie może... stworzenie z krwi i kości, obdarzone zwykłymi zmysłami... nie zrozumie tego.

- My rozumiemy.

Uśmiechnął się, odsłaniając ostre, poszarzałe zęby.

- Tak - wyszeptał. - Ale ty już nie jesteś człowiekiem. Czy dlatego nie mogłeś płakać, mały czarnoksiężniku? Bałeś się, że wypalisz swe piękne, niebieskie oczy?

- Czuję się nieco dezorientowany - odparłem, wstając i prostując się, by spojrzeć na niego.

- Czy to ja mam cię oświecić, czy po prostu nie chcesz tego zrozumieć?

- Rozumiemy - zapewniliśmy, rozpościerając palce u boków, by poczuć aurę tego miejsca, po raz ostatni zebrać w sobie niebieski ogień gotowy palić. - Ale to nie znaczy, że musi nam być ciebie żal.

Otworzył dłonie na sekundę przed tym, nim my zdążyliśmy to zrobić. Spodziewał się ataku i był nim zachwycony, otworzył usta i Wessał w płuca otaczającą nas magię, jakby była powietrzem. Uniósł ręce i ciemność uniosła się razem z nimi, sięgnął do sufitu, wyciągając swą postać jak czarne skrzydło. Z jego palców nie wypływało nic poza ciemnością, nie był niczym poza ciemnością, żywym, palącym ogniem ciemności, który zgasił światło lampy i popłynął ku mnie falą wysysającą kolory z łącznic, światło z przewodów, ciepło z obudów,

nie pozostawiając za sobą nic poza suchym, szarym szronem.

Widzieliśmy to wszystko i przez chwilę wydawało się to nam całkowicie sensowne. Nie potrzebowaliśmy czarnoksiężskich sztuczek, by stawić czoło ciemności. Wystarczał ogień dający nam jasność.

Otworzyliśmy dłonie i wypuściliśmy go z nich. Błękitna pożoga wypełniła nasze ciało, przebiegła falami wzdłuż ramion i zalała twarz, aż nasze włosy zapłonęły. Wciągnęliśmy ją w siebie przez nos i gardło, wypełniła nam płuca oraz żołądek i przeszła przez nie do krwi. Tętnice pod naszą skórą zapłonęły jaskrawym błękitem. Pożar ogarnął również naczynia naszych oczu, aż nie widzieliśmy nic poza niebieską pożogą. Wypełnił nasze ubranie, spływał nam z palców, ale nie parzył. Nie musiał tego robić, wystarczyło, że po prostu płonął. Włożyliśmy w niego całą swą siłę, gniew i obawy, wszystkie swe zmysły, a potem wypchnęliśmy ogień z siebie, tworząc falującą, niebieską falę mocy, która uderzyła w napierającą ciemność. To było jak zderzenie dwóch lodowców z jedwabiu, bezgłośnie starcie mocy tak potężne, że omal nie zwaliło nas z nóg, a przez chwilę

tylko przez chwilę

Głód poczuł strach.

Potem ogień zapłonął. Nie sposób było nad nim zapanować, nie po tym, gdy zwarł się ze ścianą ruchomych cieni. Zaczęło się na brzegach. Cyna lutownicza zawrzała i buchnęła z niej dym, plastik topił się i skapywał na ziemię, łącznice lśniły niesamowitym, fioletowym blaskiem, gdy czerwień rozgrzanego metalu mieszała się z błękitem przesłaniającym nam oczy. Poczuliśmy na skórze narastające gorąco, naszą krew wypełnił ból, nie przestaliśmy jednak podpalać

mojej krwi

bo gdybyśmy się teraz zatrzymali, ciemność by nas zadławiła, rozdarła na dwoje, a poza tym ogień był na swój niezwykle sposób piękny

moja krew płonęła

ale ból nam nie przeszkadzał, bo był tylko produktem zmysłów, uporczywie domagającym się uwagi, fizycznym doznaniem, które było interesujące z uwagi na swą intensywność, a także objawy - o co chodziło z tą czerwieniejącą skórą, dymem buchającym z ubrania oraz krwawieniem z uszu powodującym wrażenie, które zważyliśmy bólem, które samo w sobie nie było zdumiewające

moją krew wypełniał ogień, moja skóra płonęła i chcę...

sam w sobie piękny?

Na chwilę

na krótką chwilę

zapomniałem, że jestem Matthew Swiftem. Spojrzałem niebieskimi oczyma, zobaczyłem stworzenie, które nazwałem Głodem, i rozpoznałem w nim moc nie aż tak bardzo różną od mojej, bo przecież byłem tylko istotą zrodzoną w przewodach. Byliśmy mną, a ja byłem niebieskim elektrycznym aniołem, niczym więcej i niczym mniej.

Zza zasłon walczących ze sobą mocy spojrzałem w wyblakłe, zapadnięte oczy Głodu i zauważyłem, że mrugnął.

Zaklęcia straciły moc - jego i moje - pękły niemal jednocześnie. Fala ciemności cofnęła się nieco, a potem rozsypała się, uderzając w ścianę ognia, którą zbudowaliśmy na jej drodze. W tym momencie żaden z nas nie panował nad skalą magii, którą cisnęliśmy przeciwko sobie. Nic nie mogłoby jej okiełznać, utrzymać w tym miejscu. Wstrząs towarzyszący spotkaniu dwóch rozszarpujących się nawzajem zaklęć uniósł nas nad podłogę i cisnął do tyłu. Oświetlił całą halę, wszystkie odległe ściany i ciągnącą się bez końca pajęczynę martwych przewodów, błyskiem tak bardzo niebieskim i jasnym, że choć zamknęliśmy oczy, widzieliśmy przez zaciśnięte powieki oślepiającą jasność nieba w pogodny zimowy dzień. Połączona, niekontrolowana magia w mgnieniu oka spopieliała ciało Guya Lee, rozerwała na strzępy ożywione papierem sługi, które wezwał z korytarzu, spowodowała, że w kopule dachu pojawiły się pęknięcia. Rozbiła wszystkie ciemne, nieczynne łącznice, porzsypywała obwody i rozszarpała obudowy, aż urządzenia przewróciły się jak kostki domina, padając na siebie pośród obłoków betonowego pyłu oraz fragmentów połamanego metalu i plastiku, blokując wszystkie przejścia i wypełniając całą halę stosami roztrzaskanej maszynierii. Nad ziemią, gmach London School of Economics zadrżał, we wszystkich starych oknach pękły szyby, z murów posypał się pył. Odezwały się alarmy samochodowe, liście zakołysały się na drzewach, a niektórzy mówią nawet, że ulice zachwiały się pod własnym ciężarem.

Potem wszystko się uspokoiło.

Leżeliśmy w ciemności, która z powrotem wypełniła to miejsce. Zwinęliśmy się w kłębek z bólu. Całe nasze ciało dygotało z jego powodu aż wreszcie...

...ponieważ to był mój ból...

przejąłem siłą kontrolę, poczołgałem się na najbliższy skrawek wolnej przestrzeni, choć nos i gardło miałem pełne pyłu, wargi wilgotne od krwi, a końcówki wszystkich nerwów wypełniało straszliwe pulsowanie. Położyłem się na plecach, oddychając pośród bólu wypełniającego mój organizm. Wykrzywiiliśmy usta, próbując krzyczeć albo płakać, by jakoś przetrwać najgorsze chwile, szukaliśmy jakiegoś dźwięku, widoku albo wrażenia, które

oderwałyby naszą uwagę od strachu i grozy. Spróbowałem spojrzeć na to z medycznego punktu widzenia, ocenić zawroty głowy i mdłości, poklepałem się po tyle głowy i poczułem krew, przesunąłem dłonie wzdłuż boków i wymacałem nierówny guz na żebrach, poruszyłem nogami i zorientowałem się, że mam skręconą kostkę. Nie wyglądało to pięknie. Zdołałem się zaśmiać, choć tak bardzo chciało mi się krzyżeć. To mnie ucieszyło. Poczułem się nieco lepiej.

Usłyszałem w mroku ciche *stuk, stuk, stuk*. Wszystkie światła zgasły i nic nie mogłem zobaczyć. Gdy z sufitu posypał się pył i w pobliżu coś skrzypnęło, spróbowałem się odczołgać. Zdołałem pokonać kilka jardów, nim drogę zagroziły mi powyginane metalowe szczątki, parzące w dotyku. Zawróciłem i spróbowałem znaleźć w sobie siłę, by przywołać odrobinę światła - błysk między palcami był jaskrawy jak neon, ale zgasł za szybko - by zobaczyć nadchodzącą śmierć, nim pomimo wypełniającego mnie przerażenia uświadomiłem sobie, że po ciemku Głód porusza się bezgłośnie.

Zapłonęła zapalka. Jej światło padło na głębokie cienie i zakurzone powierzchnie, a potem na koniec papierosa. Cień widoczny za jego czerwonym węgielkiem przykucnął obok mnie.

- Zapalisz? - zapytał ochryłym głosem.

Potrząsnąłem głową.

- A teraz... - zobaczyłem w świetle papierosa zarys brody - ...chciałbym, żebyś rozważył kilka spraw.

Nie odpowiedziałem.

- No wiesz, leżysz tu sobie, wyglądając jak arbuz po paskudnym wypadku, i myślisz: „Kurwa, właśnie rozwalilem połowę centrali telefonicznej w niekontrolowanej magicznej eksplozji, którą naprawdę powinienem powstrzymać, nim zaczął się obłęd. Zastanawiam się też, czy pierwotna moc powstała z mroku i cienia, o której wciąż zapominam wspomnieć ludziom, wróci?”. Nasunęła mi się myśl, że to najlepsza okazja, by przekazać ci kilka pereł mądrości życiowej, jakie zdobyłem podczas swych licznych podróży.

Zaciągnął się głęboko i dmuchnął dymem w bok.

- Jako Król Żebraków, widzę różne rzeczy - podjął. - Ludzie mnie nie zauważają, szczerze mówiąc, bardzo się starają mnie przeoczyć, celowo odwracając wzrok. Ja jednak widzę wiele. Wiem, że w młodości często dawałeś kilka pensów ulicznym dzieciakom. No wiesz, szanuję to. Pewnie, dziewięćdziesiąt procent z nich ćpało, i niewykluczone, że kupiłeś im ostatnią działkę, ale ten dziesiąty raz... cholera, mogłeś uratować komuś życie. Ktoś bezwzględny mógłby powiedzieć: „Nie dramatyzuj, nie umrą, a poza tym są tylko

bezużytecznym ciężarem dla społeczeństwa, zachęcasz ich zamiast im pomóc. Robisz to tylko z miłości własnej, do cholery”. Ale moim zdaniem istnieje wiele różnych rodzajów śmierci, które mogą wcale nie dotknąć fizycznej postaci. Śmierć duszy. Śmierć ducha. Śmierć młodości. Co prawda, ona nieraz się wiąże ze śmiercią ciała, ale tak sobie myślę, że niektórzy usychają przedwcześnie, nadal żyją i chodzą po ziemi, ale mają w kościach tak mało siły, że równie dobrze mogliby leżeć w łóżku, a nie ma mowy, żeby kupili sobie nocleg za dwadzieścia pensów zebranych w kubku do kawy. Starzeją się przedwcześnie, ale nie przysługują im przywileje podeszłego wieku. Jeśli zaś chodzi o tę miłość własną, nie ma sensu uważać się za dobrego i miłego człowieka, jeśli się nie starasz, by przeszło ci to w nawyk. Naprawdę chcesz mi wmówić, że jest z ciebie współczujący skurczybyk, jeśli patrzysz w oczy żebraka i nie czujesz smutku? Ale co tam! Jesteś dobrym czarnoksiężnikiem, rozumiesz całe to pieprzenie o cyklu życia, zdajesz sobie sprawę, że kiedy umrzesz, zgaśnie tylko jeden ciąg myśli, a na świecie zostanie jeszcze sześć i pół miliarda skurwysynów, których myśli wciąż będą równie jasne, równie klarowne, równie głośne i żywe jak przedtem. To właśnie znaczy być czarnoksiężnikiem, prawda? Rzucasz drobne do kubków, bo kiedy umrzesz, twoje myśli ucichną i będziesz tylko cieniem na ścianie, pomyśli o tobie ktoś, o kim zapomniałeś, i jego myśli staną się z tego powodu bogatsze. Mam rację?

Nie odpowiadałem, nie ruszałem się z miejsca. Nie byłem pewien, czy zdołałbym to zrobić.

- Jest jeszcze ta twoja wendeta. To wydaje mi się dziwne. - Znowu zaciągnął się z namysłem. - Pozwalasz, by ludzie ginęli, by zdobyć szansę zabicia Guya Lee, mimo że on już nie żyje... wybac mi ten kiepski żart, czasami sam się zdumiewam własnym brakiem gustu. Tak czy inaczej, zgadzasz się, by inni zginęli, by móc go przyszpilić, co z kolei pozwoli ci przyszpilić Bakkerę, a po nim jego cień. I po co? Dla wspólnego dobra? W jego imię czyni się mnóstwo paskudnych rzeczy, czarnoksiężniku. Kiedy paniusia w szykownym płaszczku i drogich butach nie daje żebrakowi funta, tłumaczy się tym, że dała dziesięć na dobroczynność. Zrobiła to dla wspólnego dobra. No pewnie. Dała więcej i te pieniądze pewnie będą lepiej wykorzystane. Ale to nie jest współczucie. Odwracanie wzroku od kogoś, kogo dręczy ból, ponieważ wiesz, że bank co miesiąc przelewa z twojego rachunku jakąś sumę na rzecz „wspólnego dobra”, przechodzenie obojętnie obok tych, którzy cierpią i umierają, bo służy się sprawie i patrzy na wszystko z szerszej perspektywy... to coś mówi o duszy. Współczucie. To właśnie... - skierował koniec zapalonego papierosa w moją stronę - ...pierwsze umarło w Robercie Jamesie Bakkerze.

Ponownie zaczerpnął tchu, wyrzucił niedopałek i zgasił go obcasem.

- Pewnie chciałbyś usłyszeć kilka zapewnień - podjął z westchnieniem. - Nie udaję, że stoję po stronie dobra, całe to pieprzenie o moralności jest odpowiednie dla kogoś z większą brodą. Chodzi po prostu o instynkt przetrwania, tak? Zdrowo poirytowałeś swojego widmowego kumpla. To właśnie miałaś nadzieję usłyszeć, tak? A teraz chciałbym, żebyś powiedział mi coś, o co zapyta cię twoja przyjaciółka, która zaraz przyjdzie cię uratować. - Gdzieś w cieniach pojawiło się światło. Usłyszałem kroki i nie był to odgłos podkutych butów Króla Żebraków. Jego białe zęby błysnęły w ciemności, choć nie widziałem, skąd pochodzi odbijające się w nich światło. - Czemu niebieskie elektryczne anioły miałyby być lepsze niż cień? Co ty na to.

Pochylił się, przysuwając ucho na odległość kilku cali od moich ust.

- No, gadaj - zażądał radośnie. - To zostanie tylko między nami. Bądźmy szczerzy, dlaczego twoja przyjaciółka nie miałaby cię zabić, jak wszystkich tych pozbawionych twarzy ludzi leżących na górze? Słucham. Daj mi jakąś wskazówkę.

Zastanowiłem się nad tym pytaniem, czując na twarzy gorący, śmierzący oddech Króla Żebraków.

- Dlatego... - zacząłem, ale uświadomiłem sobie, że to, co chciałem powiedzieć, jest głupie. Spróbowałem od nowa. - Dlatego... dlatego że my to ja. - Zobaczyłem w jego oczach odbicie słabego blasku przesuwającego się przez ciemność. Z oddali dobiegł stukot spadających szczątków. - A ja nie zapomnę.

Król Żebraków wyprostował się z uśmiechem.

- Dobrze! - zawołał. - W takim razie życzę szczęścia, miłej zabawy, nie bądź obcym i tak dalej i temu podobne. Zważywszy wszystko razem, cieszę się, że to ty, nie Lee, uszedłeś z życiem. To było niehigieniczne. Cały ten papier. No to do zobaczenia!

Zaczął się oddalać w ciemność.

- A co, jeśli tego nie chcesz? - zawołałem za nim ze wszystkich sił, których nie miałem zbyt wiele.

- Czego nie chcesz? - napłynął z mroku jego głos.

- Być... mną.

- W takim razie masz przesrane, czarnoksiężniku! - odparł z milknącym w oddali śmiechem.

Po chwili odgłos jego kroków również ucichł. Zastąpiło je szuranie palców dotykających rozbitej maszynarii.

- Czarnoksiężniku! Swift! - zawołał ktoś.

Poznałem ten głos.

- Odo! - spróbowałem odpowiedzieć.

Za którymś razem mnie usłyszała. Słabe światło latarki padło na moje stopy, a potem na resztę ciała. Plama blasku drżała w otaczającej ją ciemności. Oda precyzyjnie się z trudem obok szeregu przewróconych łącznic i dotarła do mnie. Ubranie miała brudne od kurzu i krwi, ale sądząc z tego, z jaką swobodą się poruszała, sama straciła jej bardzo niewiele. Uklękła obok i przesunęła światłem latarki po moim ciele. Najwyraźniej mój stan nie wywarł na niej najlepszego wrażenia. Dotknęła z profesjonalną wprawą mojej potylicy, a potem obróciła mi głowę w obie strony, obmacując ją w poszukiwaniu obrażeń z siłą prawie tak samo bolesną jak same obrażenia.

- Co ci się stało? - zapytała.

Wykaszlnąłem pył w odpowiedzi.

- Boli cię głowa?

Przytaknąłem.

- Ile palców widzisz?

- Trzy.

- Wiesz, jaki dzisiaj jest dzień?

Zastanawiałem się przez chwilę.

- Nie - odparłem wreszcie, zaskoczony tym stanem rzeczy. - Nie za bardzo.

- Dasz radę iść?

- Być może.

- Masz na podorędziu jakąś demoniczną magię, która mogłaby się teraz przydać?

Roześmiałem się, poczułem jak suche mam gardło, i natychmiast tego pożałowałem.

Ból przeszył mnie od płuc aż po łokcie.

- Nie mam nic - wyszeptałem. - Zupełnie nic.

Zawahała się. Jej twarz stała się nagle zimna, odpływały z niej wszelkie uczucia. Oda wyprostowała się sztywno. Patrzyła mi prosto w oczy, zaciskając mocno usta. Strach wypełnił mi brzuch i zaczął tańczyć kankana w żołądku. Nie poruszała się, nie odzywała ani słowem.

- Nadal... - wychrypiałem. Słowa mieszały mi się na drżącym języku. - Nadal... mnie potrzebujesz.

Nie odpowiadała. Jej dłonie się nie poruszały, twarz nie zmieniała wyrazu.

- Jeszcze nie - wyszeptałem. - Proszę. Jeszcze nie.

Oczy Ody pociemniały. Na jej twarzy pojawił się blady uśmiešek.

- Może i nie - zgodziła się. - To rozmowa na inny czas.

Kiedy zaczęła wstawać, złapałem ją za nadgarstek. Ku mojemu zaskoczeniu nie

próbowała się wyrwać.

- A co z... całą resztą? Co z Białymi?

- Lee nie żyje, prawda? - odparła ze zdziwieniem w głosie. - Połowa jego zbirów padła nagle trupem. Z ust wyłaził im papier. Czy to nie był znak? Czy coś więcej się liczy?

- Dla mnie się liczy - wychrypiąłem.

W jej oczach rozbłysła konsternacja, ale maska, którą nosiła, była tak bezbłędna, tak mistrzowsko wykonana, że po chwili wszelkie uczucia zniknęły bez śladu.

- Chodźmy - rzekła. - Trzeba cię stąd zabrać.

Ujęła mnie pod ramię i z zaskakującą delikatnością pomogła mi wstać.

Część 3

Szaleństwo aniołów

w której

pewne rzeczy muszą się skończyć

Szpital. Stan zawieszenia życia. To nie są nasze ulubione miejsca.

Oda nikomu nie powiedziała, dokąd mnie wiezie. Szczerze mówiąc, nawet nie wiedziałem, że takie miejsce istnieje. To był prywatny szpital położony gdzieś na południe od rzeki. Wszystkie pielęgniarki były tu stare, pyskate i, co za tym idzie, stanowczo zbyt doświadczone, by tolerować jakiegokolwiek przejawy niezależnego myślenia pacjentów. Karmili nas wyłącznie gotowanymi warzywami z plasterkami rozgotowanego mięsa, aż wreszcie Oda, ku mojemu zaskoczeniu, przyniosła lody. Pożarliśmy cały termos.

Opiekowała się mną drobna lekarka cechująca się niewyczerpaną wesołością.

- Cześć, jestem doktor Seah - przedstawiła się mi przy pierwszym spotkaniu. - Hej, kto tak pana pobił? Jezu.

Pochyliła się nade mną, kołysząc sięgającymi niemal talii słuchawkami, i poinformowała mnie, że mam na potylicy paskudną ranę, która jednak nie wymaga szycia, a do tego kilka złamanych żeber - co zmusza mnie do leżenia spokojnie i pozwalania, by to świat poruszał się wokół mnie - skręconą kostkę, liczne otarcia, oparzenia i siniaki, a także obrażenia wewnętrzne, które mogą uleczyć jedynie czas oraz prawidłowa dieta. Wściekała nas myśl o wrażliwości naszego ciała. Otoczyliśmy łóżko osłonami - na ile pozwalały nam siły - i zagroziliśmy, że opuścimy szpital, wyleczeni albo nie, jeśli sprzątaczkę nie zostawią ich w spokoju. Ze sporą niechęcią posłuchaliśmy lekarki i nie wstawaliśmy z łóżka. Przez okno mogliśmy obserwować wschód słońca, a także patrzeć, jak cienie się wydłużają, gdy zachodziło po drugiej stronie budynku. Regularny cykl dni i nocy nigdy nie wydawał się nam bardziej uspokajający. Nie widzieliśmy Głodu ani nie wyczuliśmy jego obecności. Być może

wystraszyliśmy go bardziej niż nam się zdawało. Nie wiedzieliśmy tego i woleliśmy się nie dowiadywać.

Jedyną osobą, która mnie tam odwiedzała, była Oda. Zjawiała się codziennie, punktualnie o jedenastej, przynosząc stertę książek oraz nowe smakołyki przemyczone pod czujnym spojrzeniem pielęgniarki i radośnie obojętnym spojrzeniem lekarki („Wiesz co, tak sobie myślę... pieprzyć to”), a potem siedziała przy łóżku i nic nie mówiła, chyba że ja odezwałem się pierwszy, aż do wpół do siódmej wieczorem. Wtedy wstawała i wkładała płaszcz.

- Na dole jest strażnik, który będzie miał na ciebie oko - oznajmiała na pożegnanie.

- Nie powinnaś raczej powiedzieć, „będzie nad tobą czuwał”? - zapytałem za którymś razem.

- Słucham?

- Czy strażnik nie powinien raczej czuwać nade mną, zamiast mieć na mnie oko? To brzmi, jakbym był więźniem, nie bojownikiem ranionym w walce o słuszną sprawę.

- W tym przypadku będzie robił i jedno, i drugie - odparła i wyszła z pokoju. Zostałem sam ze słuchawkami radiowymi i najnowszymi i przecenionymi książkami kupionymi na nadrzecznym targowisku.

* * *

Mijały kolejne dni i uświadomiłem sobie, że są niewiele lepsze od tych, które spędzałem pod ziemią. W tunelach Kingsway, choć czas był jednorodną serią kolejnych wydarzeń rozgrywających się z dala od blasku słońca, przynajmniej niedzisiaj i niejutro przynosiły ze sobą nowe zajęcia. W szpitalu dzień był dobrze zdefiniowany przez wschody i zachody słońca, ale nie działo się nic, co odróżniałoby dzisiaj od wczoraj albo czyniło jutro lepszym od pojutra.

Dla rozrywki czytaliśmy książki, przekuwając swe zmartwienia i obawy w niezwykle, sztuczne reakcje na zadrukowane strony, aż wreszcie zapomnieliśmy, że oddajemy się mechanicznej czynności, jaką jest lektura. Rzeczy, które widzieliśmy, nie były już konglomeratami sylab, lecz po prostu istniały. Tak oto, posuwając się przez najlepsze z przecenionych książek, zdołaliśmy na chwilę zapomnieć o upływie czasu.

* * *

Nie pamiętam, którego dnia, gdy Oda weszła do pokoju z torbą pełną książek i papierową torebką z bułkami oraz salami ukrytą w kieszeni kurtki, zapytałem ją:

- Kto wie, że tu jestem?

- Ja, Chaigneau i ludzie, którzy cię pilnują.

- Tylko oni? A co z Verą?

- A co ma być?

- Czy ona też nie powinna wiedzieć?

- Biali ocaleli. Guy nie żyje. Połowa zatrudnianych przez niego ludzi padła trupem, z gardeł wylazły im kawałki papieru. Wszyscy złapali za broń, żeby policzyć się z ocalałymi. Musieli wynająć ciężarówkę, żeby wywieźć trupy na cmentarz Essex. - Zobaczyła moją twarz i przymrużyła powieki. - Wyglądasz jak mokra serwetka. Czy nie tego właśnie chciałeś? Śmierci Guya Lee i rozbicia jego armii?

- Cała ciężarówka ciał?

- Przyzwyczaj się do tej myśli. Konieczne są poświęcenia. Poza tym, większość z nich walczyła po drugiej stronie.

- Nie chciałem... Nie spodziewałem się...

- Nie, tego się nie spodziewałeś, prawda? - zauważyła, krojąc pieczywo scyzorykiem i kładąc na nie salami. - Ale to nic nie szkodzi. Nie zastanawiałeś się nad tym, a potem to się wydarzyło i dobrze, że się wydarzyło. Szczerze mówiąc, wszyscy powinniśmy się z tego cieszyć. Proszę bardzo, jeśli musisz, dalej udawaj, że jesteś winien ich śmierci, ale rób to gdzie indziej, dobra? To było konieczne.

Wręczyła mi bułkę, unosząc władczo brwi. Przyjąłem ją odruchowo i przez chwilę pocierałem palcami białą mąkę na wierzchu. Potem oblizałem je i ostrożnie ugryzłem pierwszy kawałek. Oda przyglądała mi się z uwagą.

- Opowiedz mi o papierze - zażądała nagle, odzywając się niepytana chyba pierwszy raz, odkąd przy mnie czuwała.

Wymamrotałem coś niezrozumiałego, mając usta pełne nieśpiesznie przeżuwanej bułki.

- Jak to możliwe, by papier utrzymywał kogoś przy życiu?

W jej głosie brzmiała natarczywość, przełknąłem więc z rezygnacją kęs.

- Czego chcesz się dowiedzieć? - zapytałem, krzyżując ręce na piersi.

- Papier. Wyjaśnij mi o co chodziło z tym papierem.

- Nie ma w tym nic szczególnego.

- W takim razie nie przemęczysz się, opowiadając mi o tym.

- Historia zna wiele przypadków ludzi, którzy... próbowali przedłużyć swe życie w niezwykle sposób. W dawnych, dobrych czasach magowie wyrwali sobie serce, chowali je w ołowianej szkatułce i wrzucali ją do studni, gdzie nikt nie mógł jej znaleźć. To im dawało

pewną odporność. Trudno kogoś zabić, jeśli nie można zatrzymać akcji jego serca. Kłopot rzecz jasna polega na tym, że jeżeli zbyt trudno cię zabić, ten drugi skurczybyk może ci po prostu uciąć ręce, nogi i głowę, a potem rozrzucić fragmenty w wielu różnych miejscach. W ten sposób nadal będziesz żył: głowa siedzi nadziana na pal w Newcastle, ręce szamoczą się, przykute do muru w Cardiff, serce ciągle bije, zmysły funkcjonują, a ty wciąż żyjesz, nie umarłeś, a tylko cierpisz ból. Rozumiesz, człowiek może być zbyt bezpieczny, a życie nie ma sensu bez celu, podróży i gdzieś, w jakimś punkcie, końca. Cóż innego, jeśli nie ta motywacja, sprawia, że naprawdę żyjemy, daje nam poczucie tego, że musimy wykorzystać nadarżającą się szansę? Pomyśl o lenistwie nieśmiertelnych. Tak łatwo byłoby bez końca mówić „jutro”.

- Miałam nadzieję na techniczne wyjaśnienie, ale i tak ci dziękuję.

- Mówię ci o tym tak samo, jak... - Jak co?

- Jak wytłumaczono to mnie.

Chrząknęła, ale nie powiedziała nic więcej.

Otarłem usta rękawem i spróbowałem zacząć od nowa.

- Nekromanci używają innych metod, tradycyjnej magii. Obawiam się, że ona nigdy nie utraci mocy. Krew nowo narodzonych dzieci albo, jeszcze lepiej, łożyska, przeszczepy od błogosławionych naczyń bożej mocy, wampiryzm, ponowne ożywianie zwłok, opętanie i tak dalej. Nadejście epoki nowoczesnej medycyny ułatwiło im zadanie. Zdziwiłabyś się, jak bardzo rezonans magnetyczny pomaga nekromantom. Niemniej to paskudny interes. Jest niehigieniczny i z reguły prowadzi do brzydkiej cery, pryszczycy oraz szybkiej utraty włosów. Poza tym przyciąga mnóstwo uwagi i daje niewielkie korzyści. Trup to trup, nawet jeśli chodzi i mówi. Ciało się rozkłada. O ile mi wiadomo, nikt jeszcze nie zdołał powstrzymać upływu czasu.

- Wiesz na ten temat bardzo wiele.

- Miałem dobrego nauczyciela.

- Bakkera?

- Tak. Jak ci się zdaje, dlaczego nie spróbował żadnej z tych metod? Rozpaczliwie pragnie zachować życie, jest zdeterminowany ocalić je za wszelką cenę, ale rozumie, że życie, prawdziwe życie, jest czymś znacznie więcej niż tylko przetrwaniem martwych kości. Nigdy nie uciekłby się do nekromancji.

- Ale Lee to zrobił?

- Poniekąd. Można powiedzieć, że to odmiana wyrwania serca. Mag wypisuje na papierze pewne inkantacje, kilka zaklęć z reguły tak starych, niejasnych i zniekształconych

przez wielokrotne tłumaczenie, że ma to określone konsekwencje, a potem dodaje kilka przymusów. W przypadku jego słów z reguły jest tam klauzula nakazująca go słuchać, nie zakończyć życia bez jego rozkazu i nie czuć bólu z żadnego powodu poza porażką. A gdy mag sam połyka papier, te słowa z reguły wyrażają... aspiracje.

- Aspiracje?

- Na przykład: „Jestem dobrym człowiekiem”, „Nigdy się nie zestarzeję”, „Mój ulubiony kolor to niebieski”, „Na zawsze pozostanę potężny”, „Nie będę spał” albo...

- Dlaczego?

- Dlatego że ten, kto zje papier, umiera - wyjaśniłem, zaskoczony jej ostrym tonem. - Dławi się nim i to go zabija. Nie sposób tego uniknąć, to element całego procesu. Na tym opiera się cała magia. W chwili gdy papier pochłania śmierć człowieka, jego... hmm, pewnie życie... pochłania ostatnie tchnienie, które go ożywia, od tej chwili wypisane na papierze słowa definiują, kim jest ten człowiek. Formalnie rzecz biorąc, nie jest trupem, bo w jego ciele nadal trwa życie. Ale w przeciwieństwie do sytuacji z sercem w szkatułce może umrzeć, jeśli usunie się papier, złamie zaklęcie. To zabezpiecza przed wiecznymi cierpieniami za życia i jednocześnie...

- Zapewnia niewrażliwość na atak?

- Prawie.

- Ale... kiedy walczyłeś z Guyem Lee, zraniłeś go.

- Nie. Zraniłem jego ciało. On nic nie czuł. Nie mógł nic czuć do chwili, gdy wyrwałem mu papier z gardła. Zaklęcie zapewne zawierało klauzulę, mówiącą: „Nie będę czuł bólu”. Zwykle się ją umieszcza.

- A co się stało, kiedy wyrwałeś papier?

- Wyobraź sobie, że nagle sobie uświadomiłaś, że wepchnięto ci do gardła taśmę papieru długości półtora metra - odpowiedziałem. - Możesz się domyślić, co czuł.

Skinęła powoli głową, odwracając wzrok.

- A co z... pozostałymi? - zapytała po chwili. - Z umarłymi z papierem...

- To zwykły rozkaz. Przypuszczam, że czarownik, którego spotkałem, żył jeszcze, kiedy Lee go znalazł. W chwili śmierci Lee wepchnął mu do gardła proste zaklęcie posłuszeństwa, pochwycił jego ostatni oddech, uwięził go w płucach. Nie był żywy ani umarły, po prostu... związany. Magia ostatniego tchnienia jest potężna.

- Nawet w dzisiejszych czasach?

- Nawet. Jezu, a jak myślisz? - mruknąłem. - Życie to magia! Gdzie jest jedno, tam jest i drugie. Jasne, miasto też ma w sobie magię, ulice, neony, kaszłące gołębie, bezdomne koty,

rynsztoki, samochody, zapach ziemi, wszystko to coś nowego, ale w rzeczywistości życie nie zmieniło się aż tak bardzo. Pewne czynniki, jak krew, skóra, oddech, słowa, papier, atrament, zawsze zachowają swą szczególną moc. Nie sądzę, by to miało się kiedykolwiek zmienić.

Zastanowiła się nad tym, a potem znowu skinęła głową.

- Czy właśnie dlatego Bakker chce cię pojmać żywcem? - zapytała jakby nieobecny głosem, wpatrując się w jakiś odległy punkt.

- Dlaczego uważasz...

- Znalazłam jednego z ludzi Guya Lee i zadałam mu kilka pytań.

- Co...

- Zadałam mu kilka pytań - powtórzyła stanowczo, spoglądając na mnie z gniewnym błyskiem w oczach. - To wszystko. Powiedział, że rozkazano im nie zrobić czarnoksiężnikowi żadnej krzywdy.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie robisz wrażenia zaskoczonego.

- Bo nie jestem zaskoczony.

- Dlaczego?

- Odo, wiesz, o co się pokłóciłem z Bakkerem.

- Chciał, żebyś pomógł mu wezwać niebieskie elektryczne anioły, a ty odmówiłeś.

- Chciał, żebyśmy wezwał nas, by mógł się karmić naszą mocą, wykorzystywać nasze życie do podtrzymywania własnego. Pragnął zmusić nas do opuszczenia przewodów telefonicznych, wyjścia w świat ciała, gdzie bylibyśmy bezbronni, co pozwoliłoby mu ukraść naszą esencję. Jesteśmy istotami powstałymi z resztek życia, nadmiarowych uczuć wprowadzonych szeptem w elektryczną energię. W jego oczach stanowiliśmy rozwiązanie problemu, przed którym stanął. Pożąda życia, a my możemy mu je dać. A teraz jesteśmy uwięzieni w tej skórze, narażeni na atak. Od początku tego właśnie pragnął.

- Rozumiem.

- Zdradziłabyś nas?

- Ja?

- Zawsze towarzyszy nam strach przed tym.

Nie odpowiedziała.

- Nie... nie wiemy, komu możemy zaufać. Kiedy byliśmy w błękicie, nie potrzebowaliśmy „przyjaciół”. Wszyscy byliśmy jednym, nasze myśli wspólnie płonęły w przewodach, byliśmy jednym, nie znaliśmy samotności. Tutaj wszystko jest inne.

- Serce mi krwawi - burknęła Oda, krzywiąc się.

Łypnąłem na nią, złapałem resztkę bułki z salami i zacząłem ją gryźć, by ukryć gniew. Najwyraźniej jednak sztuka się nie udała, bo Oda wyprostowała się nagle.

- Nie chciałam... - Zawahała się, a potem odchrząknęła, uspokajając się nieco. - Chaigneau cię nienawidzi.

- Z wzajemnością.

- Zawstydziłeś go.

- Jestem w tym niezły.

- Chodzi też o coś więcej... skalałeś go. Pozostał na nim ślad magii.

- I co z tego? Jest zabójcą magów, paladynem ciasnogłowego obłądu. Z pewnością warto poznać wroga?

- Nie wierzy, że naprawdę zdjąłeś klątwę, którą na niego rzuciłeś.

- A co go do tego skłania?

- Nie chce tego powiedzieć.

- Gzy to kolejny przejaw jego paranoicznych urojeń?

- Czy rzeczywiście odwróciłeś to, co mu zrobiłeś? - zapytała ostro.

Spojrzałem jej prosto w oczy, nie bojąc się widocznego w nich chłodu.

- Tak.

Znowu się zawahała. Być może chodziło o coś więcej?

- Jeśli przeżyjesz - zaczęła po chwili - jeśli spotkasz Bakkera i zdołasz się na nim zemścić, jeśli go zabijesz, co zamierzasz robić potem?

- Nie wiem. - Zastanowiłem się nad tą kwestią. - Z pewnością gdy tylko wszystko się skończy, Chaigneau spróbuje mnie zabić. Albo ty i ja staniemy się śmiertelnymi wrogami, albo ucieknę do innego miasta i nauczę się francuskiego albo coś w tym rodzaju.

- Znajdzie cię.

- W takim razie będziemy wrogami - stwierdziłem. - A jeśli przeżyję... - Z jej twarzy nie wyczytałem nic, co można by uznać za odpowiedź na pełne nadziei pytanie zawarte w moim głosie. - Jeśli przeżyję starcie z waszym zakonem - podjąłem więc - nie wiem, co będzie dalej. Moje CV nie prezentuje się rewelacyjnie, a poza tym jest w nim dwuletnia przerwa i pracodawcy będą uważali, że spędziłem ją w więzieniu. Nie mam żadnych pieniędzy zdobytych bez użycia magii, nie mam domu, nie wiem, co się stało z moimi przyjaciółmi. Po prostu... nie mam pojęcia, co zrobić. Może spakuję manatki i przeniosę się w jakieś miejsce, gdzie będę mógł zacząć od nowa. Jakbym znowu miał osiemnaście lat i przepracował dotąd tylko tydzień. Zostawię przeszłość za sobą, będę mówił, że miałem raka albo coś. Może stanę się kimś innym, będę żył pod fałszywym nazwiskiem, spróbuję dla

odmiany dyskrecji i taktu. To może być piękna przygoda.

- A co z nimi?

- Z nimi?

Postukała się konfidencjonalnie w głowę.

- Z tymi, którzy mają niebieskie oczy.

Zastanowiliśmy się nad tym.

- Wszędzie możemy znaleźć radość w życiu - odparliśmy z uśmiechem. - Stać się, kim zechcemy... to czysta radość.

- Dla mnie to nie brzmi zbyt radośnie - zauważyła Oda.

- Dlatego że nie lubisz żyć w stanie niepewności - odpowiedziałem. - Po prostu się boisz.

- Nieprawda!

- Nie ma się czego wstydzić. Strach to sztuka pozostawiania przy życiu. Bez niego nie mogłoby być odwagi, bohaterstwa...

- Zamknij się.

Uniosłem ręce w obronnym geście.

- Przepraszam. Szczerze. Masz jeszcze coś do jedzenia?

* * *

Straciliśmy cierpliwość, nim jeszcze nadszedł czas, gdy mieli mnie wypisać. Wstałem nocą, napisałem do Ody krótki i w miarę uprzejmy liścik, zebrałem nieliczne ubrania, które zdołałem znaleźć, i wymknąłem się ze szpitala na puste ulice. Zimny wiatr owiewający nam twarz i twardy chodnik pod naszymi stopami były błogosławieństwem, którego nie potrafiliśmy opisać.

Następny dzień poświęciłem na uzupełnienie zapasów. Znalazłem nową wizytówkę, na której oferowała swe usługi „***WESOŁA SEKSOWNA DZIEWCZYNA!!!!***” i długopisem naskrobałem na jej odwrocie magiczne symbole. Potem włożyłem wizytówkę do bankomatu i wypłaciłem tyle gotówki, żeby wystarczyło na całodzienne zakupy. Kupiłem nowe ubranie oraz potrzebne do pracy instrumenty. Następnie udałem się do pralni chemicznej i czekałem cierpliwie, aż usuną niezliczone plamy farby, kurzu, dymu, ziemi i krwi z mojego płaszcza oraz torby. Po tych zabiegach płaszcz wyglądał jak wyblakły kostium klauna, ufarbowany kiedyś na beżowo, ale tkanina nadal była gruba i ciepła. Bez jej ciężaru czułbym się jak nagi. Na obiad zjadłem placuszki papad w miejscowej indyjskiej restauracji, maczając je we wszystkich możliwych sosach. Byliśmy zdeterminowani skosztować nawet

tego ognieście czerwonego, którego w poprzednim życiu unikałem, i przekonaliśmy się, że rzeczywiście istnieją smaki, które parzą w zęby. Po południu znalazłem sobie pokój w hotelu, a wieczorem poszedłem się napić.

Spotkałem ją przy kontuarze w jazzowej kawiarence nieopodal Hyde Parku. Powiedziała, że nazywa się Felicity i że to miło, że się staram, ale właściwie nie jest zainteresowana. Zapewniłem, że chcę tylko pogadać, na co odpowiedziała, że każdy tak mówi i wszyscy mężczyźni są tacy sami. Mimo to nie oponowała, gdy postawiłem jej drinka. Rozmawialiśmy o pogodzie, cenach biletów metra, żenujących politykach i ich absurdalnych medialnych popisach i o tym, co nadają w telewizji, aż wreszcie znowu poczułem się człowiekiem. Gdy nadeszła pora się pożegnać, pocałowaliśmy się i obiecaliśmy sobie, że już się więcej nie spotkamy.

Choć nocą coś mi się śniło, rano nie obudziłem się ze smakiem papieru w ustach. Doszedłem do wniosku, że to z pewnością dobry znak.

* * *

Następnego dnia kupiłem sobie telefon komórkowy - pierwszy w życiu - i zadzwoniłem do szpitala. Połączyli mnie z doktor Seah, która długo mruzczała, cmokała i pytała, czy znowu się biłem, ale w końcu zgodziła się przekazać mój numer Odzie.

Oda zadzwoniła po dziesięciu minutach. Nie była w dobrym nastroju.

- Ty skurwysynu! Jeśli jeszcze raz to zrobisz, zabiję cię!

- Ja też się cieszę, że cię słyszę.

- Gdzie jesteś do cholery? Co ci strzeliło do łba, niech cię szlag? Nie możesz tak po prostu...

- Chciałem odetchnąć świeżym powietrzem.

- Dwa dni oddychania świeżym powietrzem bez zawiadamiania mnie? Po prostu odszedłeś sobie w noc, jakbyś był... co, gdyby coś ci się stało?

- Proszę, nie próbuj okazywać troski. Oburzenie lepiej ci wychodzi.

- Jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego...

- Och, daj spokój, nie mów, że karabin snajperski już się nie wysuwa przez okno.

Zadzwoniłem, tak?

- Jesteś samolubną świnią, czarnoksiężniku. Zakłamaną, samolubną świnią.

- Chciałem cię zawiadomić, że wszystko w porządku.

- Muszę ci coś powiedzieć - oznajmiła spokojniejszym tonem.

- Czy to będzie obelżywe?

- Sinclair odzyskał przytomność.
 - Jesteś pewna?
 - Tak.
 - Gdzie teraz jest?
 - Nie wiem. Przenieśli go, gdy tylko się ocknął.
 - Kto go przeniósł?
 - Jego pomocnik.
 - Charlie?
 - Jeśli tak się nazywa.
 - Wiesz dokąd?
 - Już mówiłam, że nie wiem.
 - Dobra, a czy możesz się z nim jakoś skontaktować?
 - Nie.
 - To skąd wiesz, że odzyskał przytomność?
 - A jak ci się zdaje? Nie ma go w szpitalu ani w prosektorium.
 - Dobra, dziękuję. Spróbuję go znaleźć.
- Przerwałem szybko połączenie, nim zdążyła znowu na mnie nakrzyczeć.

* * *

Spędziłem dzień w towarzystwie gołębi, siedząc na ławce na Trafalgar Square. Torbę z dobytkiem tuliłem do piersi na wypadek, gdyby ktoś spróbował ją ukraść. U nóg miałem stertę okruszków. Pozwoliłem ptakom skupić się wokół mnie, wsłuchiwałem się w ich myśli, zbyt krótkie i ulotne, by mogły być czymś więcej niż tylko żółtym błyskiem albo dźwiękiem. W końcu podszedł do mnie miejscowy stróż.

- Proszę pana, prosimy o niekarmienie gołębi - oznajmił z tak czytelnym wyrazem obywatelskiej determinacji na twarzy, że postanowiłem udawać, że nie znam angielskiego. Powtórzyłem kilka razy „he” w różnych tonacjach, on zaś wyczerpał swój repertuar złożony z dwóch słów francuskich i trzech hiszpańskich, po czym doszedł do wniosku, że nie pochodzę z żadnego z tych krajów, więc nie warto zawracać sobie mną głowy.

Choć myśli gołębi były zbyt nieuchwytny, bym mógł z nich zbudować spójny obraz, siedziałem długo w ich umysłach, unosząc się wraz z nimi ponad dachami, aż wreszcie delikatne mrowienie na krawędzi dostrzegalności poinformowało mnie, że całe ciało mi odrętwiało. Widok z góry jeszcze dobitniej uświadamiał, jak gęsto zaludniony jest Londyn, jak bardzo tłoczny i ruchliwy. Wysokie domy zasłaniały ulice, tak że widziałem tylko szeregi

budynków, ciągnące się tak daleko, jak sięgał gołębi wzrok, na północy znacznie dalej niż wzniesiony na szczycie wzgórza Alexandra Palace, a na południu aż po Downs, których stoki pokrywała przedmiejska zabudowa. Tym, którzy znajdowali się na poziomie ziemi, trudniej było pamiętać, że zaledwie kilka metrów od nich biegnie druga, równoległa ulica, a za nią trzecia i czwarta, a na każdej z nich kłębi się mnóstwo ludzi. Z pewnością czuli się równie ważni jak ja, gdy byłem zajęty swoimi sprawami. Wszyscy poruszali się szybkim krokiem londyńczyków zmierzających na bardzo ważne zebranie i tak dalej. Tylko krążące w górze gołębie rozumiały prawdziwą skalę miasta.

Szczury okazały się bardziej użyteczne. Miały bystrzejsze umysły i gdy siedziałem przy puszkach na śmieci na zapleczu restauracji w Chinatown, pozwalając, by gromadziły się wokół mnie, skubiąc czekoladę, kupioną przeze mnie ku ich zachwytowi, ich nosy odbierały zapachy, których przeciążone mózgi gołębi po prostu nie były w stanie zarejestrować. Nagle pojawiające się silne, niezwykle wonie - czasami pochodzące od szczurów albo lisów, a czasami od innych stworzeń. Zapuszczałem zmysły we wspomnienia gryzoni, czułem, że moje palce zginają się jak ich pazurki, a na grzbiecie wyrasta mi ciemne, przetłuszczone futro, pamiętałem, jak to jest, gdy mierzy się szerokość tunelu ruchami wąsików i czuje kuszącą woń trucizny na szczury wyłożonej trzy piętra wyżej.

Wieczorem usiadłem na ławce przy Regent's Canal, nieopodal Caledonian Road. Obok położyłem hamburgera w kartonowym opakowaniu i czekałem w mżawce na nadejście lisów. Przyszły spowitą półmrokiem ścieżką dla koni holujących barki, utykając od źle zagojonych ran, albo wylazły ostrożnie z nor, by z zaciekawieniem trącać hamburgera czarnymi noskami. Jego interesująca woń przebijała się przez fetor ich skołtunionej sierści.

Głaskałem je za uszami i dzięki temu kontaktowi pożyczałem ich zmysły, szukając w ich krótkiej pamięci wspomnienia czegoś niezwykłego. Nagłego, nieznanego zapachu, odgłosu tajemniczych ruchów, wizji stworzenia, które przypominało lisa, ale nie było nim do końca. Zwierzołaki pozostawiały po sobie w mieście wiele interesujących zapachów, a zwierzęta mogą być nawet bardziej na nie wrażliwe niż przeciętny, czujny mag. Zebrałem wrażenia ukradzione szczurom, lisom oraz gołębiom - na równi z żebrakami i śmieciarzami zapewne dostrzegającymi i wiedzącymi więcej niż ktokolwiek inny w całym Londynie - i podążyłem śladem wykrytych przez nie słabych woni tam, gdzie skupiało się najsilniejsze wrażenie, że coś nie jest w porządku. Trop wiódł na północ, ku szerokim, skrytym w cieniu drzew ulicom Muswell Hill.

* * *

Dla większości mieszkańców Londynu Muswell Hill to tylko nazwa. Interesująca nazwa, ponieważ, w przeciwieństwie do większości innych, trudno się domyślić jej pochodzenia. Z pewnością jest tam wzgórze, ale czy nazwano je na cześć jakiegoś pana Muswella, czy też chodziło o coś innego? To nie jest prosta nazwa, jak Bishopsgate czy Aldersgate - bramy przeznaczone w swoim czasie dla biskupów i rajców miejskich - albo Westminster bądź Kings Cross - nazwy pochodzące od konkretnych, fizycznych obiektów. Co więcej, ze wszystkich stron otaczają je okolice posiadające własne stacje metra i dzięki temu sto razy łatwiejsze do zidentyfikowania - Wood Green, Finsbury Park albo Crouch End. Dlatego Muswell Hill istnieje właściwie tylko w relacji do swych sąsiadów.

Zapachy i wspomnienia zabrane zwierzętom nie wystarczały, by określić, w którym konkretnie domu przebywa zwierzątko, zwłaszcza że wszystkie wyposażone w masywne drzwi budynki z czerwonej cegły wyglądały bardzo podobnie, a długie kręte aleje utrudniały określenie stron świata.

Ogólne wrażenia zebrane od gołębi, lisów i szczurów pozwoliły mi skupić się na kwartale wyznaczonym czterema ulicami. Tamtejsze edwardiańskie bliźniaki o małych prostokątnych okienkach z kolorowego szkła ulokowanych nad większymi przezroczystymi oknami wywierały wrażenie tradycyjnej zamożności uzyskane za rozsądną cenę.

Spojrzenia lisów oraz latających nad dachami gołębi nie pozwoliły mi określić numeru domu, a budynków było zbyt wiele, bym mógł spróbować pukania do kolejnych drzwi. Po krótkim czasie odnalazłem zieloną telefoniczną łącznicę ukrytą na rogu ulicy. Po dłuższym łomotaniu i podważaniu końcem scyzoryka udało mi się otworzyć pokrywę i zobaczyć ukryte w środku obwody. Wyjąłem świeżo nabytą komórkę, a potem otworzyłem pochlapany farbą tornister i wyciągnąłem z niego nić. Jeden jej koniec owiązałem wokół komórki, a drugi zawiesiłem na przewodzie telefonicznym. Potem włączyłem aparat, rozłożyłem płaszcz na chodniku i usiadłem, by zaczekać na rezultaty.

Po chwili z telefonu dobiegły głosy.

- Hej, kochanie, jak leci na uniwerku? Hm. Hm. Tak, tata też...

- Chcę, żebyś ze mną rozmawiał! Czy to tak wiele? Rozmawiaj ze mną i...

- Trzy pizze z pieczarkami i... nie, z pieczarkami... tak i... nie, bez chrupiącej skórki...

- Posłuchaj, bardzo mi przykro, że...

- Jutro wieczorem? Jasne, świetnie. W co mam się ubrać?

Dźwięk przechwytywanych przez mój telefon sygnałów miał dziwnie uzdrawiające działanie, jakby był serią kołysanek, nuconych wyłącznie dla mnie. Siedziałem na chodniku, czekając, aż coś się wydarzy, a tymczasem głosy nas uspokajały, dodawały nam sił. W końcu

stąd właśnie pochodziliśmy. Zrodziliśmy się ze skrawków życia przetworzonych w elektryczne sygnały krążące wokół planety. Wszystkie te westchnienia, śmiechy, krzyki, myśli i uczucia wędrowały pod postacią impulsów prądu, aż wreszcie wydarzyło się nieuniknione. Stały się zbyt potężne, by mógł je pomieścić pojedynczy sygnał, ożyły na swój sposób, stały się nami. Być może teraz, gdy już nie było nas w przewodach, cały proces powtórzy się znowu. Niewykluczone, że już tworzył się tam nowy niebieski elektryczny anioł, karmiony nadmiarowym życiem wypełniającym system. Być może wkrótce stanie się taki jak my, poczuje się żywy.

Ucieszyła nas ta myśl. Podobny rozwój sytuacji wydawał się nam pożądanym. Krąg życia obróci się po raz kolejny. Tak właśnie powinno się stać. To miało sens.

- Słodko-kwaśna wieprzowina, specjalny ryż... tak... tak... sos z czarnej fasoli.

- Byłem w domu! Siedziałem tam przez cały cholerny dzień, a wy nie mogliście po prostu poczekać, aż dzwon przestanie bić, by się przekonać, czy otworzę drzwi... teraz spróbujcie się obyć bez ciepłej wody!

- Dobra, widzi pan przycisk w lewym dolnym rogu? Proszę kliknąć na niego jeden raz... hej, to pan do mnie zadzwonił. Chce pan wydrukować ten dokument czy nie?

- Żeby otrzymać więcej opcji, naciśnij jeden. Żeby podłączyć się z biurem obsługi klienta, naciśnij dwa. Żeby zapoznać się z harmonogramem płatności, naciśnij trzy. Żeby ujrzeć lot aniołów, naciśnij kratkę. Żeby ponownie usłyszeć wszystkie opcje, naciśnij gwiazdkę...

Przesunąłem się nerwowo, żałując, że nie mam kawy.

- Ehe, cześć. Nie, nie wiemy. Ehe. Nie, zatrzymamy go tu jeszcze przez pewien czas. Nie. Słyszałem. Ehe.

Wyprostowałem się nagle.

- Jezu, nie rób tego. Nawet czarnoksiężnikowi, on mógłby...

Złapałem za telefon i nacisnąłem klawisz rozmowy.

- Hej, Charlie?

Z telefonu dobiegło chrząknięcie, a potem szelest czegoś spadającego na podłogę.

- Kto mówi, do cholery? - rozległ się głos kogoś, kto próbował powstrzymać krzyk, ale nie do końca mu się to udało.

- Czarnoksiężnik. Pamiętasz mnie? Swift?

- Swift. Jak, do cholery, udało ci się...

- Dzięki magii.

Starąłem się, by nie zabrzmiało to lekceważąco, i z trudem osiągnąłem ten cel.

- Aha. No tak. Jasne.

- Musimy porozmawiać. - Jestem... jestem przy telefonie.

- Ehe, zauważyłem. I cześć temu, kto jest na drugim końcu linii. Przepraszam, że przerwałem.

- Nie ma sprawy - odezwał się kobiecy głos, wyraźnie zdezorientowany, ale poza tym raczej przyjazny.

- Będzie z tym jakiś problem?

- Gdzie jesteś? - zapytał Charlie.

- W Muswell Hill.

- Co tutaj robisz?

- Szukam cię i mam wrażenie, że radzę z tym sobie całkiem nieźle. Naprawdę musimy pogadać.

* * *

Położyli go w łóżku za małym dla niego, stojącym w pokoju, który byłby za mały dla każdego. Była tam też wielka szafa i ustawiony przy łóżku taboret. Zasłony zaciągnięto.

- Nie zapalaj światła - ostrzegł Charlie, gdy wszedłem do środka. Podszedłem do stołka w słabym pomarańczowym blasku bijącym zza pleców stojącego w drzwiach zwierzołaka i usiadłem przy łóżku.

- Słyszałem, że Lee nie żyje - odezwał się Charlie.

- To prawda. Chociaż, szczerze mówiąc, nie żył już od dawna.

- Słyszałem, że Biali zabili mnóstwo swych wrogów.

- To również prawda, chociaż niektórzy z nich także już nie żyli.

- Moi przyjaciele ci pomogli.

- Tak.

- Niektórzy z nich zginęli.

To nie było pytanie, ale i tak byłem zaskoczony.

- Tak - zgodziłem się. - Przykro mi z tego powodu.

- Wiedzieli, co robią. Wszyscy, którzy tam poszli, wiedzieli, co robią. Nawet Lee. Uniosłem wzrok, usłyszawszy ton jego głosu.

- Zwycięstwo albo śmierć - dodał Charlie. - Tak to już jest z czarnoksiężnikami. Ten, kto nie walczy, musi zginąć.

- Nieprawda - sprzeciwiłem się.

- Prawda - dobiegł od strony łóżka charczący głos, słyszalny wyłącznie dzięki

dziwnemu brzmieniu.

Spojrzałem na Sinclaira. W jego oczach odbijały się kałuże pomarańczowego blasku padającego zza drzwi. Jego skóra miała niezdrowy, dziwnie żółty odcień, wytrzeszczał oczy, a jego podbródek był kiepsko ogolony. Uniósł rękę w stronę Charliego, ale nie potrafiłem odczytać tego gestu - polecenie odejścia, ostrzeżenie, przywitanie? Cokolwiek miało to być, zwierzołak nie ruszył się z miejsca. Zacisnął tylko mocniej zęby.

Sinclair się uśmiechnął.

- Czarnoksiężnicy... płoną zbyt jasnym ogniem - dodał. - Ich magia to życie. Życie ich samych oraz wszystkich, którzy ich otaczają. Kiedy używa się w walce najczystszych mocy gorejącego życia, można tylko zwyciężyć albo zginąć.

Kaszlnął i uniósł słabo rękę, wskazując na Charliego. Zwierzołak sięgnął do szafy, zdjął z niej butelkę wody, delikatnie uniósł głowę Sinclaira i pomógł mu się napić.

Potem pacjent osunął się z powrotem na poduszkę, wpatrując się w sufit, jakby poruszanie głową wymagało zbyt wiele wysiłku.

- Chyba powinienem panu podziękować, czarnoksiężniku.

Nie odpowiedziałem.

- Jest pan szczerzy jak zawsze - zauważył. - To dobrze, oczywiście. Khay nie żyje. Lee nie żyje...

- Nie żył już od dawna.

- Parał się nekromancją?

- Zapisał esencję swego życia na taśmie papieru i połknął ją w całości - odpowiedziałem. - Dlatego nie żył.

- Naprawdę? - Sinclair z wyraźnym rozczarowaniem odetchnął głęboko. Powietrze grzechotało w jego gardle, jakby było w nim pełno luźnych kamyków. - W aktach była luka. A teraz...

- Chcę odnaleźć Harrisa Simmonsa.

- On ucieknie.

- Dlaczego tak pan sądzi?

- Jest kiepskim magiem. Musi polegać na zaklęciach innych, Lee był z nich największym twardzielem, a pan stworzył sojusz, który... krótko mówiąc... zabił go na dobre.

- W jego tonie pojawiła się nuta brutalnej drwiny. - Simmons wie, że nie może się mierzyć z taką mocą. Zawsze był tchórzem.

- Dokąd ucieknie?

Sinclair wzruszył ramionami i znowu zaczął ciężiej oddychać.

- Wieża nie upadnie, dopóki nie powstrzymamy dopływu pieniędzy. To Simmons je zdobywa.

- Już jest znacznie osłabiona. Po co tracić czas? Zabił pan ochroniarzy, żołnierzy...

- Chcę, żeby Bakker wiedział - przerwałem mu. - Żeby wiedział, że po niego przyjdę. Że nic mu już nie zostało. Że stracił wszystko.

- Zemsta - wychrypiął Sinclair. - Oczywiście, oczywiście... to zapewne przyziemny motyw, ale kiedy skłania nas ku wielkim osiągnięciom, może się okazać użyteczny. Niech mnie pan wysłucha. Proszę podejść bliżej. Proszę.

Pochyliłem się nad nim.

- Ta kobieta, Oda, jest coś, czego musi się pan o niej dowiedzieć.

- Jest członkiem Zakonu. Wiem.

W oczach Sinclaira pojawił się błysk wesołości. Rozciągnął usta w uśmiechu.

- To dobrze. To dobrze. Tak, cieszę się z tego. Nienawiść w niej pali się bardzo jasnym płomieniem. Oda nienawidzi was wszystkich. Wszystkich magów. Jest zabójcą na usługach Zakonu. Rozumie pan? Jest ich skrytobójcą, nazywają ją swoją panią od noży. Myślą, że o tym nie wiem, ale w Zakonie... również są zatroskani obywatele.

- Charlie opowiadał mi o nich.

- To dobrze, że pan o nich wie. Wyślą ją za panem, będzie chciała pana zabić.

- Wiem o tym.

- Niech pan jej nie ufa. Nienawiść w niej pali się bardzo jasnym płomieniem...

- Wiem o tym. Nie ufam jej. Ma pan... kontakty... w Zakonie?

- Kontakty? Tak, tak, pewnie można powiedzieć, że mam. To narzędzie, czarnoksiężniku, użyteczny twór. Jeśli zgromadzi się całą nienawiść i gniew w jednym miejscu, można je wykorzystać...

- Narzędzie?

- Można ich wykorzystać... do wyeliminowania stworzeń równie niebezpiecznych jak oni. Mają w sobie tak wiele nienawiści i pasji...

- Chaigneau nie chciał mi powiedzieć, kto kieruje Zakonem.

Z wysiłkiem spojrzał na mnie. Ręce mu drżały.

- Anton Chaigneau? On nikomu nie mówi, jak się nazywa.

- Przekląłem go.

- Przeklął pan Chaigneau? W jaki sposób?

- Miał na rękach moją krew. Niektóre postacie magii nigdy się nie zmieniają.

Sinclair spojrzał na swego strażnika.

- Charlie, mój drogi chłopcze... Charlie... zostaw nas.

- Panie Sinclair... - Charlie podszedł bliżej.

- Zostaw nas, Charlie. Zawołam cię, kiedy będziesz mi potrzebny.

Młodzieniec z niechęcią opuścił izbę. Słyszałem, jak schodził na dół. Sinclair przywołał mnie gestem. Zbliżyłem ucho do jego ust, słysząc wysilony oddech.

- Błędnie pana osądziłem, mówiąc, że jest pan kiepskim czarnoksiężnikiem.

- Nie pamiętam tego.

- Powiedziałem, że nie jest pan potężny, nim jeszcze stał się pan tym, czym jest teraz, panie Swift. Stwierdziłem, że jest pan tylko przeciętny.

- Nieważne.

- Błędnie pana osądziłem. Być może... bał się pan tego, czym może się stać, czego może dokonać. Dlatego właśnie pokłócił się pan z Bakkerem. Bał się pan. Chciał, żeby dał mu pan moc, tak wiele mocy, pragnął krwi aniołów w swoich żyłach. Powiedział pan, że niektóre postacie magii nigdy się nie zmieniają. Tak pan powiedział. Bał się pan tej mocy. To nie świadczy o słabości, tylko o inteligencji. Wypełnia pana nurt życia, czuje pan pod stopami puls miasta? Trzeba się tego bać. Strach jest jedyną sensowną reakcją. Jest ludzki. Przepraszam, że błędnie pana osądziłem. I być może również za to, że błędnie osądziłem was.

- Wie pan o nas?

- Mój drogi chłopcze, na tym polega moja praca.

- Przyjmuję pańskie przeprosiny. I my również je przyjmujemy.

- Jest pan... inteligentny - zaczął z wahaniem. - Tak jest, inteligentny. Dobrze pan to ukrywa, ale wie pan, kiedy nie powinno się używać mocy. - Jego oczy błyszczały w słabym świetle. - Mówił pan, że niektóre postacie magii nigdy się nie zmieniają. Charlie wspominał mi o tym, czego pan dokonał. Opowiadał, że pańska krew płonęła niebieskim ogniem... dlatego o tym wiem. Powiedzieli mi, że powinienem umrzeć, bo moja krew płonęła. Czyż to nie pańska historia? Myśmy są światło, myśmy są życie, myśmy są ogień? Stworzenia, które tak bardzo cieszą się życiem, nie powinny się bać. Niech pan zapyta mnie.

- Dlaczego Oda nienawidzi magów?

- Jej brat był magiem. Zabiła go.

- Dlaczego?

- Nikt nie wie. Mówią, że stał się zły, że moc wpędziła go w obłąd, ale nie do końca w to wierzę. Myślę, że kłamią. I Oda również. To pytanie, którego się nie zadaje.

- Dlaczego zaprosił pan Zakon na spotkanie przy Marylebone High Street, kiedy nas zaatakowano? Wiedział pan, kim są. To było ryzykowne.

- Ryzykowne? Narazić tylu magów na tak wielką nienawiść... zapewne ma pan rację.

- Dlaczego?

- Myślę, że potrafi się pan domyślić.

- Chaigneau nie wiedział, kto jest przywódcą Zakonu. Mówił, że tylko wykonuje rozkazy. Oda również.

Sinclair uśmiechnął się szerzej.

- Panie Sinclair - zapytałem, starając się zachować cierpliwość - czy to pan kieruje Zakonem?

- Nie samodzielnie, mój drogi chłopcze. Jestem jednym z jego przywódców. Lepiej nie wiedzieć, ilu ich jest, kim są i gdzie przebywają. Są niebezpieczni, bardzo niebezpieczni. Nie, panie Swift. Jestem tylko jednym z tych, którzy kierują Zakonem.

- Wykorzystuje go pan?

- To narzędzie. Jeśli się wie, kim są ci, którzy nienawidzą magii tak gorąco, że są gotowi spalić cały świat, by się od niej uwolnić, można ich sobie podporządkować, wykorzystać, ukierunkować ich działania, tak? Tak, a kiedy są potrzebni, można im znaleźć magię, którą tak bardzo pragną zniszczyć, wskazać im cel i powiedzieć: „To jest czarnoksiężnik”, „To jest cień”, „To jest demon”, „To jest anioł” i tak dalej. Oni uderzą, a mnie nikt nie będzie podejrzewał.

- Postanowili mnie zabić - przypomniałem mu. - To mnie nieco niepokoi.

- Chaigneau zrobi, co mu się każe.

- Cóż za ironia.

- Ale Oda nie - wyszeptał. - Gdy już znajdzie cel, nie da za wygraną. Resztę mogę powstrzymać. Być może to niełatwe, ale zawsze można im rzec: „On jest mniejszym złem. I tak nie ujdzie potępienia”. Odzie to nie wystarczy.

- Jeśli pan o tym wie, to dlaczego pan mnie jej przedstawił?

Sinclair się uśmiechnął. Potem skrzywił się z bólu wywołanego tym prostym gestem.

- Dlatego że jest pan uczniem Roberta Bakker - wycharczał, wciskając sobie tłuste palce w klatkę piersiową, jakby próbował wymasować ból z piersi. - Dlatego że jest pan niebieskimi elektrycznymi aniołami. A gdyby Bakker miał przejąć pańską moc, pojmać pana i znaleźć jakiś sposób na to, by ukraść życie nadające pańskim oczom niebieski kolor... no cóż... w takim przypadku... rozumie pan.

- Kazałby pan mnie zabić? - zapytałem, z trudem zachowując spokój. - Tak po prostu?

- Kazałbym zabić każdego, kogo uznałbym za zagrożenie - odparł, podnosząc głos w tonie ostrego wyrzutu. - A pan zawsze będzie potencjalnym zagrożeniem. Sądzę jednak, że

nie utraci pan inteligencji i będzie wiedział, że należy się bać. Być może to wystarczy.

- Musimy zapytać pana o coś jeszcze.

- Proszę bardzo!

- Czy to pan nas przywołał? Czy to pan sprowadził mnie z powrotem?

- Nie, panie Swift. Pragnę, by Bakker zniknął, ale sprowadzić na świat niebieskie elektryczne anioły? Nie. To by było ryzykowne. Straszliwie ryzykowne. Podobny czyn wymaga talentów czarnoksiężnika. W gruncie rzeczy, sugeruję, że jeśli ktoś rzeczywiście pana przywołał, zapewne był to Bakker, pragnący wezwać do świata anioły, albo być może jego bardziej wrażliwa uczennica, Dana Mikeda. Będzie pan musiał z nią walczyć, czarnoksiężniku. Tak to już jest. Nie sądzę, by któreś z was mogło po prostu odejść.

- Dana Mikeda to mój problem.

- Nie - wyszeptał. - Już nie. Służy teraz Bakkerowi. Trzymał ją za rękę, kiedy chowali pana pustą trumnę. Powiedział Danie, że jest jej przyjacielem. Stał się jej nowym nauczycielem i teraz ona służy mu bez zastrzeżeń. Pomógł jej, kiedy pana zabrakło, i teraz jest jego uczennicą, nie pańską. Wolę też nie myśleć o tym, czego mógł ją nauczyć. W gruncie rzeczy, może pan sobie zaoszczędzić trochę czasu, wystawiając ją Odzie. W ten sposób wyeliminowałby pan dwie groźby za jednym uderzeniem. Kobieta, która...

- Nie.

- Zakon ma nadzieję, że pan i Bakker zniszczycie się nawzajem. Dlaczego z tymi dwiema nie miałyby być tak samo?

- Nie - powtórzyłem.

- Mogę zawiadomić Zakon, rozkazać im...

- W pańskich żyłach płynie nasza krew - przypomnieliśmy mu. - Niektóre postacie magii nigdy się nie zmieniają. Niech pan zostawi Danę Mikedę mnie.

Nie zmienił tonu, a z jego twarzy nie zniknął uśmiezek, wyczułem w nim jednak groźną nutę.

- Proszę, nie próbujcie mi grozić, niebieskie elektryczne anioły. Jesteście całkowicie zagubione w tym świecie i wystarczy was lekko pchnąć, byście wpadły w otchłań szaleństwa. Zachowajcie swój gniew dla kogo innego.

Przełknąłem ślinę.

- Muszę się dowiedzieć jeszcze jednego.

- Słucham.

- Tej nocy, gdy nas zaatakowano, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy...

- Tak?

- Kto nas wtedy zaatakował?
- Przypuszczam, że ludzie San Khaya.
- A kto poszczuł na mnie śmieciucha, tej pierwszej nocy?
- Tego typu magia... myślę, że Guy Lee.
- Skąd wiedział, gdzie mnie znaleźć?

- Sugeruję, że dom, w którym pan mieszkał - wypowiadał ostrożnie każde słowo, jakby wygrzebywał sobie ze szpar między zębami kawałki jabłka - sprzedano po pańskiej śmierci kobiecie pracującej dla firmy o nazwie KSP. To skrót od Kenrick, Simmons i Powell. Firmą kieruje Harris Simmons. Myślę, że ponieważ powrócił pan w bezpieczne miejsce, za jakie uważał pan własny dom, zadzwoniła do Simmonsa w noc pańskiego zmartwychwstania, by go uprzedzić, że z przewodów telefonicznych przed chwilą wylazł nagi, zdezorientowany mężczyzna i być może ktoś powinien zbadać sprawę. Z pewnością to Lee wysłał śmieciucha, a Khay podążał za nim na piechotę. Rozumie pan, Wieża nie lubi niedokończonych spraw.

Pomyślałem o wizytówce, którą ukradłem z portfela w swym starym domu pierwszej nocy nowego życia. Było na niej napisane: „Laura Linbard, współpracownik KSP”.

- Przedtem... przedtem miałem przyjaciół - zacząłem. - Nie odważyłem się... to wydawało się ryzykowne

- Dopóki Wieża nie zniknie, wszyscy, których pan znał albo cenił będą pod obserwacją - oznajmił bez ogródek Sinclair. - Bakker wie już, że jest pan... powiedzmy, kimś więcej niż się kiedyś wydawało. Nie jest głupi, z pewnością domyślił się, dlaczego telefony umilkły w noc pańskiego powrotu. Zrobi, co będzie mógł, by pana odnaleźć, a jeśli będzie musiał w tym celu zabić ludzi, których pan kiedyś znał, nie cofnie się przed tym. Taka jest Wieża, panie Swift. Dlatego powinien pan z nią walczyć, a nie dla zemsty. A gdy będzie po wszystkim, powiem ludziom, że zginął pan jak bohater, walcząc za słuszną sprawę, nie z powodu słabo zdefiniowanego poczucia zranionej osobistej dumy. Oto moja rada, jeśli zechce pan z niej skorzystać. Niech mi pan wierzy, że mówię szczerze. Niech pan zapomni o wszystkim, kim pan kiedyś był i kim chciałby się pan stać znowu, przestanie wierzyć; że po śmierci Bakкера wszystko może wrócić do normy, i pogodzi się z myślą, że nie jest już Matthew Swiftem.

Pokiwałem głową.

- Panie Sinclair, chyba muszę coś panu powiedzieć - wyszeptałem.
- Oczywiście, oczywiście.
- Są chwile, gdy potrafiłbym uwierzyć, że ma pan rację. - Spojrzałem mu prosto w oczy, a on nie odwrócił wzroku. - Są chwile, gdy w naszej skórze nie ma nas, nie ma unii

różnorodnych postaci życia i myśli, jaką się staliśmy, Swifta i anioła wymieszanych w wielkim, kipiącym kotle. Jestem tylko ja, tylko ogień w mojej krwi, zemsta, gniew i czyste, gorejące, niebieskie życie. Pozwalam aniołom być wszystkim, czym jestem, pozwalam im robić, co chcą, i... wie pan dlaczego w przewodach mówiliśmy tym, którzy chcieli nas słuchać, „stań się nami i bądź wolny”?

- Niech mnie pan oświeci.

- Kiedy jesteśmy aniołami, nic nas nie obchodzą myśli ludzi, ich prawa, idee i koncepcje moralności. Jesteśmy poza tym wszystkim, ponad tym, wolni od nędznych fikcji, które kierują waszym życiem: praw, zasad, obowiązków, odpowiedzialności. Jesteśmy czystym ogniem, światłem i życiem. Nic nie może nas uwięzić ani związać i nic nie może nas uśmiercić. To właśnie znaczy być wolnym. Dlatego pozwalam im stać się mną. - Wyprostowałem się i potrząsnąłem głową. - To wszystko. To właśnie chciałem panu powiedzieć.

- Ciekawy wybór tematu rozmowy. - Sinclair zaśmiał się cicho. - Mówi mi pan to w nadziei, że... być może zmienię rozkazy, a nawet pozwolę pana wyeliminować? To osobliwa nadzieja dla istoty, która sieje wokół płomień, nie zważając na przedstawicieli pomniejszych gatunków, stojących jej na drodze. Być może po prostu chciał pan komuś o tym powiedzieć. Z pewnością czuje się pan samotny, wiodąc takie życie. Nie jest pan w pełni nikim. Ani człowiekiem, ani aniołem. Stań się nami i bądź wolny. A teraz ugrzązł pan pośrodku drogi. To faktycznie niełatwa sytuacja. Czuję się już zmęczony.

- Zmęczony? To już koniec?

- Na razie - odparł, wskazując ręką na drzwi. - Charlie!

Ledwie podniósł głos, a jego strażnik zjawił się natychmiast. Wstałem, uznając fakt, że każe mi odejść. Zauważyłem, że oddycha płytko i z drżeniem.

- Panie Sinclair?

- Słucham?

- Jak pan myśli, kto nas zdradził tamtej nocy, gdy pana postrzelono? Skąd wiedzieli, gdzie nas znaleźć?

- Tak, to celne pytanie. Powiedziałbym, że Oda... ale nie, to nie w jej stylu. Może czarownik....

- On nie żyje. Zginął w walce z Guyem Lee. Lee wepchnął mu do ust papierową taśmę, by pochwycić jego ostatnie tchnienie.

- Zaiste. - Sinclair nawet nie zadrżał. - Wróżce ufam, przeszła zbyt wiele, bym mógł ją podejrzewać, a czarodzieja zabito. Bezdomna, no cóż, ona jest...

- Wiem, kim ona jest.

- Zaczyna panu brakować podejrzanych, nieprawdaż, panie Swift? - zauważył łagodnym tonem Sinclair.

Skinąłem głową z wymuszonym uśmiechem.

- Dziękuję, panie Sinclair. Mam nadzieję, że szybko wróci pan do zdrowia.

- Wrócę, panie Swift, zapewniam, że wrócę. Mam to we krwi.

Zerknąłem na jego twarz. Zamknął oczy i miał minę śpiącego dziecka, niewinnego i spokojnego, jakby nigdy nie wyglądało inaczej. Pozwoliłem, by Charlie odprowadził mnie do drzwi, i poszedłem poszukać autobusu.

* * *

Oto historia Harrisa Simmonsa.

Przyszedł na świat jako Harry Simon w małym miasteczku nieopodal Colchester. Nie lubił, by ludzie o tym wiedzieli, co doprowadziło do śmierci jednego nauczyciela, tajemniczego zniknięcia członka rodziny mającego konto w szwajcarskim banku oraz podpalenia miejscowego archiwum. W wieku dwudziestu dwóch lat Harry Simon, pracujący w miejscowej agencji handlu nieruchomościami, ulotnił się bez śladu, a w Londynie zmaterializował się Harris Simmons, magister ekonometrii po London School of Economics, wyposażony w nowy, nieskazitelny garnitur w prążki, wielką aktówkę, akcent gładki jak aksamit i trzy miesiące przepracowane w HSBC w Bostonie. Być może firma PricewaterhouseCoopers miała owego roku trudności z naborem, a może po prostu uznano, że człowiek potrafiący podrobić takie referencje będzie bardzo użyteczny, choćby tylko z uwagi na owe zdolności. Bez względu na kierujące nimi motywy, potencjalnym pracodawcom trudno było odmówić tak pewnemu sobie i opanowanemu młodemu dżentelmenowi. Harris Simmons już wkrótce otrzymywał co miesiąc premię wyższą od sumy zarobionej przez całą jego rodzinę w ciągu dwudziestu lat jeżdżenia taksówką i stania za kontuarem w barze na dole. Sinclair nie dopatrywał się wielkiego moralnego zła w fakcie, że Simmons nie wspierał finansowo swej rodziny i odkąd stał się kimś znacznie więcej niż Harrym Simonem, w ogóle nie oglądał się za siebie. Przyznawał nawet z niechęcią, że dla kogoś tak ambitnego była to zapewne jedyna możliwa droga do sukcesu.

W wieku dwudziestu pięciu lat Harris Simmons został najmłodszym i najlepiej opłacanym członkiem kadry kierowniczej na obszarze londyńskiej Złotej Mili, części miasta z kodem pocztowym EC, gdzie między poniedziałkiem a piątkiem na każdym kroku widzi się elegancki garnitur, a w soboty i niedziele jest cicho jak w kostnicy. Mniej więcej w tym

samym momencie po raz pierwszy zapoznał się ze światem zjawisk nadnaturalnych i uświadomił sobie, że można manipulować giełdą za pomocą środków tak prostych, jak rzucenie klątwy na niemiecką firmę handlującą stalą w środę, a potem zainwestowanie w akcje jej konkurentów w czwartek. Zaczął stosować te metody z gładką swobodą człowieka przyzwyczajonego do nich od dzieciństwa. Gdy Harris Simmons miał dwadzieścia sześć lat, krótko przed tym, nim niespodziewanie stracił życie nad rzeką, skontaktował się z nim pan San Khay, reprezentujący nowo założoną firmę finansowo-inwestycyjną, będącą w przeważającej części własnością pana Roberta Bakkera. Zaproponował Simmonsowi pozycję udziałowca. Ten zapytał, co takiego ma w sobie ta firma, że jest warta jego cennego czasu. Odpowiedź była prosta. Manipulacja rynkami stanowiła korzystny interes, a ta firma wiedziała, że warto mieć dobrego goblina w szeregach. W ten sposób narodziła się firma Kenrick, Simmons i Powell, która - pod kierownictwem Simmonsa - szybko się znalazła na liście stu największych spółek notowanych na giełdzie. Jej sukces był tak zdumiewający, a prognozy giełdowych fluktuacji tak trafne, że w ciągu pierwszego roku jej działania przeprowadzono kilka dyskretnych dochodzeń mających określić, czy firma nie wpływa na wydarzenia celem osiągnięcia korzyści. Nie udało się jednak znaleźć rozstrzygających dowodów. Nawet zatroskani obywatele, do których należał sam Sinclair, mieli trudności z ustaleniem źródeł zdumiewającego powodzenia nowej firmy.

Jak zwykle się to dzieje, zyski KSP prowadziły do nowych zysków, tworząc samonapędzające się koło odprowadzające dodatkowe zarobki do systemu, który je stworzył, przede wszystkim w imię dalszych zysków. Gdy stawały się one zbyt absurdalnie wysokie, by można je było zainwestować, po opłaceniu urzędu skarbowego - dręczonego podejrzeniem, że otrzymał znacznie mniej, niżby się należało - resztę - miliony funtów co miesiąc - przekazywano organizacji znanej nieoficjalnie jako Wieża. Część tych środków przeznaczano na proste osobiste przyjemności - wino, dziewczyny oraz inne luksusy. Część trafiała do Guya Lee, by umożliwić mu przekupywanie oraz szantażowanie członków pomniejszych magicznych społeczności Londynu. Druga część wędrowała do innych miast, by rozszerzać tam wpływy Wieży. Jeszcze większe sumy poświęcano na to, co było znane po prostu jako „Operacje”.

Sinclair potrzebował osiemnastu miesięcy, by skatalogować potrzeby Operacji. Rezultaty jego pracy w znacznym stopniu tłumaczyły, dlaczego owe potrzeby są tak wielkie. Srebrne zęby umarłych proroków, kości palców starożytnych czarnoksiężników, krew mitycznych zwierząt przepuszczona przez sito z zamarznętej rtęci, inkrustowana nefrytem czaszka nekromanty, nadal bijące serce noworodka, wydane na świat przez matkę, której

macię przekłęta czarownica voodoo - wszystko to sporo kosztowało, zwłaszcza w ilościach, w jakich Bakker, Khay, Simmons i Lee kupowali podobne rekwizyty. Dla Guya Lee priorytetem najwyraźniej była regularna dostawa trupów oraz papieru wysokiej jakości, tatuaże Khaya z pewnością nie były tanie, Simmons zaś potrzebował niezliczonych magicznych błyskotek, mających zrekompensować słabość jego talentu.

Cała reszta trafiała do Bakkerera. Poznawałem niektóre ingrediencje i potrafiłem się domyślić, do czego służyły. Istniało raczej niewiele powodów, dla których warto by było wydać dziesiątki tysięcy funtów na linie telefoniczne, modemy, serwery i technologię przechwytywania sygnałów, tylko ograniczona liczba usprawiedliwień zakupu kamiennych odprysków pochodzących z najstarszych rzymskich ruin odkopanych pod ulicami miasta, nieliczne zaklęcia mogły wymagać światła niebieskiego lasera odbijającego się w aluminiowych skrzydłach duszka. Na liście zakupów Bakkerera łatwo było rozpoznać składniki potrzebne do wezwania i rzucenia uroku oraz odgadnąć ich przeznaczenie. A za wszystko to płaciło KSP i Harris Simmons.

Czy powinniśmy go odszukać?

Być może.

A co zrobimy, gdy już go znajdziemy?

To pytanie na potem. Na razie lepiej o tym nie myśleć.

Zacząłem od zadzwonienia w parę miejsc.

* * *

- Dzień dobry, recepcja KSP, w czym mogę panu pomóc?

- Cześć, dzwonię w imieniu Amiltech Securities. Chciałbym umówić się na spotkanie z panem Simmonsem.

- Z kim?

- Z panem Harrisem Simmonsem. Przepraszam, wiem, że jesteście bardzo zajęci.

- Przykro mi, proszę pana, ale pan Simmons ma wypełniony harmonogram...

- Niestety, jestem zdecydowany nalegać.

- Amiltech, zgadza się? -

Tak.

- Czy mogę zapytać o pana nazwisko?

- Adam Rieley.

- Proszę chwilkę zaczekać.

Chwilka oznaczała całe pięć minut słuchania czegoś, co brzmiało jak „Greensleeves”

grane na irygatorze do nosa. Dla mnie trwało to pięć lat. Gdy kobieta wreszcie wróciła do telefonu, byłem już tak bliski osunięcia się na łóżko z rozpaczy i irytacji, że omal nie zrobiłem tego z zaskoczenia.

- Panie Rieley?

- Jeszcze tu jestem.

- Bardzo mi przykro, ale pan Simmons opuścił kraj w interesach i wróci dopiero za kilka tygodni. Jeśli chce się pan skontaktować, sugeruję wysłanie e-maila do jego sekretarki. Podać panu adres?

- Nie wie pani dokąd mógł wyjechać?

- Niestety, nie, panie Rieley. Przykro mi.

Nie robiła wrażenia, by było jej przykro, ale nie miałem o to do niej pretensji.

- Dziękuję pani. Bardzo mi pani pomogła.

- Przepraszam, że nie mogłam...

- Nic nie szkodzi. Dziękuję.

* * *

Harris Simmons mieszkał w niezdefiniowanej części Londynu, na północ od stacji Marylebone. Owa okolica nie wie do końca, czym właściwie chciałaby być, i w rezultacie jest wszystkim po trochu - stara i nowa, bogata i biedna, luźno zabudowana i stłoczona. Dlatego najdroższe sklepy z rybą i frytkami na świecie sąsiadują tu z jednej strony z komunalnymi blokami, na których rozwieszono obwieszczenia informujące, że policja poszukuje świadków, z drugiej zaś z ogrodzonym osiedlem. Na spowitych w mroku wystawach sklepów położonych między cichymi budynkami przerobionymi ze stajni a szerokimi ulicami, spoczywają parmezany wielkości dobrze odżywionych niemowląt, a nad oknami tu i ówdzie wiszą włoskie albo greckie flagi. Z pubów dobiega uprzejmy szmer rozmów ludzi z towarzystwa. Drzwi lokali są uchylone, a ich wnętrza oświetla ciepły blask.

Dom, którego szukałem, kierując się bezbłędными notatkami Sinclaira, znajdował się za wysokim murem biegnącym wzdłuż szerokiej alei łączącej koniec Westway z długim szeregiem wzgórz otaczających północny Londyn. Ich nazwy - Gospel Oak, Hampstead Heath, Primrose Hill - sugerowały pełne drzew parki oraz strome uliczki z licznymi kawiarenkami.

Przy bramie był domofon. Nacisnąłem guzik i czekałem. Nikt nie odpowiedział. Nie było tu nic równie prymitywne jak dziurka od klucza, a na szczycie ceglanego muru zatopiono w cemencie kawałki potłuczonych butelek. Obszedłem wkoło całej kwartał, aż

wreszcie znalazłem ślepą uliczkę prowadzącą do tylnej ściany domu. Było tam mniejsze wejście, również wyposażone w domofon i obserwującą je kamerę. Gdy podszedłem bliżej, obok bramy automatycznie włączyła się jasna lampa. Wyciągnąłem z niej światło i ciepło, a potem skryłem je w dłoni. W zaułku znowu zapadła ciemność, maćona jedynie sączącym się spomiędzy moich palców blaskiem. Jeszcze raz spróbowałem zadzwonić, również bez powodzenia. Przesunąłem palcem po drewnianej bramie, czując dotyk gładkiej, czarnej farby, aż wreszcie delikatne brzęczenie pod moimi palcami poinformowało mnie, że gdzieś w pobliżu jest elektryczność. Zamiast zwykłego zamka Simmons zamontował elektromagnetyczny. Przycisnąłem dłoń do drzwi, i lekko nacisnąłem na energię w zamku. Zareagowała na mój dotyk gniewnymi iskrami, wypalając w drewnie niewielką dziurę, a potem spłynęła do ziemi obok moich stóp. Brama się otworzyła.

Za wysokim murem nie paliło się światło, wypuściłem więc spomiędzy palców odrobinę białego blasku. Padł on na masywne kamienne płyty chodnika, na łukowate ściany, pod którymi rosły fioletowe i żółte kwiaty, potem przesunął się po pniu i splecionych liściach wierzby płaczącej, a na koniec rozproszył cienie, skrywające masywnego gryfa z udającego kamień betonu, który przycupnął pod tylnym wejściem na patio. Część posągu pokrywała żółta i brązowa skorupa przypominająca wyschnięty mech. Po obu stronach stały niskie, drewniane ławki, zwrócone ku wypalonemu ceglanemu placykowi. Jego widok nasuwał przynębiającą myśl, że kiedyś urządzano tu grilla. Cały ten obraz - dobrze utrzymany ogród, piękne kwiaty, miły charakter owego miejsca - wywierał na mnie lekko niepokojące wrażenie. Zbyt łatwo było mi sobie wyobrazić Simmons'a w roli sympatycznego, bogatego gospodarza z klasy średniej, podającego na niedzielnym przyjęciu kielbaski członkom kongregacji miejscowego kościoła anglikańskiego, podczas gdy jego żona (której nie miał) prowadziła towarzyskie pogawędki z wikarym. Ta imitacja normalności wytrącała mnie z równowagi. Nie wyglądała zachęcająco.

Przemknąłem obok nieruchomego gryfa tak szybko, jak tylko mogłem, i podszedłem do tylnych drzwi. Wszystkie światła w domu były zgaszone. Na ścianie, na wysokości drugiego piętra, nad pochyłym daszkiem czegoś, co wyglądało jak przybudówka jadalna, ulokowano alarm przeciwwłamaniowy. Cisnąłem przed siebie resztkę ukradzionego światła pod postacią brzęczącej kulki białego neonowego blasku, a potem pomacałem powierzchnię drzwi, aż wyczułem otwór. Dziurka od klucza! Nareszcie! Wydobyłem z tornistra zestaw surowych kluczy kupiony niemal na samym początku mojego nowego życia i sprawdzałem je kolejno, aż poczułem pod palcami odpowiedni. Włożyłem go do zamka i ucieszyłem się, gdy szybko przybrał wymagany kształt. Znacznie łatwiej jest otwierać zamki za pomocą narzędzi

niż szeptać pod nosem ciche błagania. Nacisnąłem klamkę i otworzyłem drzwi.

Alarm odezwał się natychmiast, ale nie był to gniewny sygnał systemu bezpieczeństwa, który wykrył intruza, a jedynie cichy, ostrzegawczy dzwonek odmierzający czas pozostały do jakiegoś wydarzenia. Pobiegłem w głąb korytarza i znalazłem wyłącznik - blok klawiszy wmontowany w ścianę. Numeryczne hasło było ostatnim, czego bym chciał, ponieważ magia pozwalająca odczytać numery ukryte w obwodach wymaga przygotowań, skupienia oraz mnóstwa czasu. Jej natura jest znacznie subtelniejsza od rzucania wkoło garściami mocy, co najczęściej czynią magowie. Żałowałem, że nie mam sprzętu, jakim zwykle posługują się szpiedzy w telewizji - łamaczy kodów, pistoletów z tłumikiem, urządzeń do otwierania sejfów, skanerów odcisków palców czy choćby cholernego sonicznego śrubokręta z plastiku. Musiałem się uciec do zgadywania. Pełen nadziei, zatarłem ręce. Gdy zebrała się wystarczająca ilość ciepła, złapałem je w dłoń, czując, że włoski na całej kończynie stają mi dęba od ładunków elektrycznych, a potem z pełną mocą uderzyłem otwartą ręką w klawiaturę. Prąd spłynął z mojej dłoni do maszynerii, która wyłączyła się z głośnym trzaskiem.

Z klawiatury buchnęła słaba, zawstydzona smużka czarnego dymu. Alarm ucichł. Czując się zadowolony z siebie, ruszyłem dalej w głąb korytarza, szukając wyłącznika. Zapaliłem światło i zobaczyłem, że jest tu zupełnie pusto. W korytarzu nie było niczego poza sterującą alarmem klawiaturą i małym drewnianym stolikiem ustawionym pod nią. Nie widziałem żadnej książki, obrazu, butwiejącego wezwania do zapłacenia podatków, zupełnie nic. Wszedłem do następnego pomieszczenia. Sądząc po pustym, ceglany kominku, zapewne był to salon. Tu również było zupełnie pusto. Półki i ściany ogołoco. Tylko leciutkie wgłębienia w kremowym dywanie sugerowały, że kiedyś stały tu jakieś meble. W sypialni znalazłem podobne ślady po łóżku oraz wyblakłą plamę na ścianie w miejscu, gdzie kiedyś wisiał obraz. Poza tym nie było jednak nic, co świadczyłoby, że w domu ktoś kiedykolwiek mieszkał. Szafki w kuchni były puste i nieskazitelnie białe, a w łazience pachniało środkiem odkażającym. Dopiero na górze udało mi się coś znaleźć - jedyny przedmiot pozostawiony w domu.

Leżał na podłodze w pokoju, który zapewne był kiedyś główną sypialnią, obszernym pomieszczeniu o nieregularnym kształcie, z oknem wychodzącym na zwrócony ku zachodowi balkon. Złożona kartka drogiego, grubego papieru stała na podłodze. Na jej zwróconej ku drzwiom stronie napisano znajomym charakterem: *Dla Matthew*.

Bojąc się podstępu, usiadłem z listem na podłodze w oddalonej od okna wnęce. Zacząłem czytać.

Mój drogi Matthew,

jeśli naprawdę nadal chcesz zmierzać tą drogą, nie jestem w stanie Cię powstrzymać. Mam jednak nadzieję, że przynajmniej dasz mi szansę porozmawiania z Tobą o tym, dlaczego powróciłeś tak bardzo zdeterminowany stać się moim wrogiem. Zawsze życzyłem Ci jak najlepiej. Jeśli jesteś zainteresowany, będę obecny na tym wydarzeniu i liczę na to, że odnajdziesz ten list wystarczająco szybko, by się tam ze mną spotkać.

Z najlepszymi życzeniami,

Robert

PS Obawiając się o bezpieczeństwo pana Simmonsa, kazałem mu opuścić kraj. Mam nadzieję, że uszanujesz fakt, iż nie jest winny niczego, co mogło zajść między nami, i nie próbujesz mu grozić, jak panu Lee i panu Khayowi.

W złożonej kartce ukrywał się mały skrawek pożółkłego papieru. Przeczytałem go, złożyłem i schowałem do kieszeni. List zostawiłem na podłodze, a potem zszedłem na dół.

* * *

Co czułem? Z pewnością gniew połączony z rozczarowaniem. Nic innego nie mogłoby tłumaczyć napięcia w plecach i nagłego bólu oczu. Być może także ciekawość? A gdzieś tam, w głębi umysłu, również przelotną niepewność. Być może, gdybym się przez moment zastanowił...

Nie zatrzymuj się nawet na chwilę. Tak brzmiała zasada. Jeśli przystaniesz, żeby pomyśleć, możesz już nie ruszyć.

Dom Simmonsa z pewnością opróżnił ktoś, kto rozumiał, że nie wystarczy zniknąć samemu. Trzeba zabrać ze sobą całe swoje życie. Fizyczna nieobecność to za mało. Musi zniknąć cały dobytek i wszelkie ślady mogące powiedzieć ścigającemu, jak i o czym myślał ścigany, i dokąd mogło go to zaprowadzić. Co ważniejsze, ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, by usunąć wszelkie osobiste ślady mogące ułatwić magiczne formy pościgu.

Z drugiej strony, nie na darmo pracowałem dziewięć miesięcy jako sprzątacze w Lambeth.

Najpierw sprawdziłem łazienkę. Była nieskazitelna, lśniła białą, nieposzlakowaną higieną. Jeśli w ogóle było możliwe, by toaleta pachniała cytrynami, w tym przypadku udało

się osiągnąć ten cel. Nawet z przewodu wentylacyjnego usunięto wszelkie ślady kurzu.

Niemniej pewne sprawy nigdy się nie zmieniają. Przykucnąłem pod zlewem i, chrząkając z wysiłku wywołanego sztywnością nierdzewnej stali, odkręciłem denko rury ściekowej. Ze środka trysnęła stęchła, cuchnąca woda. Na dnie rury utworzyła się niewielka kałuża, ale ona również pachniała środkiem odkażającym, a jej brzegi były niemal całkowicie wolne od gęstego, błotnistego brudu, jaki z reguły znajduje się w tym miejscu. Przesunąłem palcem po gumowej uszczelce u szczytu rury i została mi na nim warstewka szlamu. Wsunąłem paznokcie pod uszczelkę i wyciągnąłem ją z metalowej rury. Coś tak cienkiego, że niemal niemożliwego do zauważenia, poruszyło się, błyszcząc przez moment w świetle. Pochyliłem się bliżej. Bijąca z rury woń była tak silna, że oczy zaszyły mi łzami. Odwróciłem rurę i znowu zobaczyłem błysk. Ująłem obiekt w dwa palce. I uniosłem. Był krótki, kiedyś mógł być prawie blond, pokrywał go brud i skurczył się od środka odkażającego. Mimo to nie mogło być wątpliwości, że to ludzki włos.

Tego właśnie potrzebowałem.

* * *

Wróciłem do hotelu, umyłem włos pod kranem z ciepłą wodą, aż przybrał matowy, brązowożółty kolor. Ująłem go w szczypczyki scyzoryka i położyłem pośrodku mydelniczki. Następnie postawiłem ją na podłodze na samym środku sypialni i udałem się na poszukiwania składników potrzebnych do rzucenia zaklęcia. Wyciągnąłem wtyczkę telefonu ze ściany, wyjąłem przewód z aparatu i owinałem go kilkakrotnie wokół mydelniczki, by stworzyć krąg ochronny. W pobliskim sklepie kupiłem dziesięć pustych płytek CD. Wyjąłem pierwszą z paczki, by służyć mi jako lustro, i zacząłem obracać ją machinalnie w palcach, zastanawiając się, jakie źródło mocy może się okazać najużyteczniejsze.

Zdecydowałem się na ducha niskiej rangi, mogącego posiadać niezbędne cechy. Usiadłem po turecku przed swą miseczką, rozbiłem płytkę o kant stołu, wziąłem w rękę największy odłamek i zaostrzonym końcem narysowałem w powietrzu przed sobą drzwi. Następnie najbardziej stanowczym tonem, na jaki było mnie stać, wezwałem demona samotnych nocy, ducha pasażerów nocnego pociągu, lorda utraconych miejsc parkingowych, używając wszystkich imion, jakie przychodziły mi do głowy, wliczając w to gwałtowny pisk hamulców, dobywający się z głębi gardła oraz czerwone światła uliczne, które oplótłem sobie wokół palców i wlałem w odprysk płytki, aż przybrał kolor świeżo przelanej krwi.

Narysowane w powietrzu drzwi zamigotały niczym miraż. Poczulem na twarzy ciepły powiew, usłyszałem dźwięk przypominający plusk kół przejeżdżających przez kałużę na

pustej drodze, a potem drugi, brzmiący jak odległy odgłos pociągu, gdy wiatr wieje we właściwym kierunku. Spojrzałem na drzwi, które zaczęły wysysać kolor z czerwonego światła, zmieniając jego barwę na szmaragdowozieloną. Odniosłem wrażenie, że widzę rysującą się w nich sylwetkę. I wtedy ktoś zapukał do drzwi pokoju.

Barwna bańka unosząca się w powietrzu zniknęła. Hałasy natychmiast umilkły. Zakląłem, wstałem i podbiegłem do drzwi. Uchyliłem je lekko, nie otwierając łańcucha. Na korytarzu nie było nikogo.

Dopiero wtedy wszystko zrozumiałem. Odwróciłem się, unosząc przed sobą fragment płytki, ale on już tam był. Wyłonił się z ciemności pośrodku pokoju na wprost przede mną. Palce jednej dłoni zacisnął mi na gardle, drugą ręką zaś walnął moją głowę o drzwi tak mocno, że zamknęły się z głośnym *bang*. Jego oczy miały kolor żółtych świateł ulicznych, oddech brzmiał jak szmer ruchu ulicznego w deszczową noc, skóra zaś miała kolor starej gumy do żucia. Od jego dłoni biło suche ciepło. Odchylił mi głowę do tyłu i wcisnął palce w gardło.

- Czcieciel samotnego podróżnego czy zwyczajny głupiec? - wysyczał, wysuwając język koloru surowego kurczaka.

- Czy nie powinieneś wejść przez tamte drzwi? - wychrypiałem.

Oczy mu błyszczały. Jego strój składał się z czarnych, ruchomych cieni. Gdy przestąpił z nogi na nogę, szaty rozstały się na moment. Pod spodem nie było nic poza słabym pomarańczowym blaskiem. Wyglądało na to, że jego ciało jest jedynie kolekcją świateł uwiecznionych pod ciemnym płaszczem.

- Jestem lordem samotnych podróżnych, ostatnim pasażerem pociągu, cieniem widocznym, gdy zamyka się ogrodową bramę, nieznanym w mroku...

- O ile dobrze sobie przypominam - przerwałem mu ostrym tonem - kiedy cię wzywałem, wiedziałem już to wszystko, duchu. Dlatego... - jedną dłoń zacisnąłem na jego nadgarstku, drugą zaś przysunąłem mu do gardła błyszczący odprysk potłuczonej płyty - ...zamknij się, dobra?

Uśmiechnął się. Nie miał nawet prawdziwych, twardych zębów, a jedynie kawałki zużytej gumy do żucia, tworzące lepkie mosty między cienkimi, sinymi dziąsłami. Jego oddech brzmiał jak stukot kół pociągu o nowe, błyszczące tory, gdy zaś przestępował z nogi na nogę, kości skrzypiały mu jak zardzewiała brama kołysząca się na wietrze.

- Grozisz mi?

- Ach, to nie jest zwyczajny kawałek połamanego plastiku - poinformowałem go pośpiesznie. - To jest fragment zwierciadlanego plastiku.

Podsunałem mu go szybko pod oczy, nim zdążył się cofnąć. Rozbłysło pomarańczoworóżowe światło, tak jasne i ostre, że poczułem ból, gdy wniknęło do mojej głowy. Jego siła stłukła żarówkę w wiszącej u sufitu lampie. Z ust stwora wyrwało się zawodzenie brzmiące jak klakson mającej się zaraz rozbić ciężarówce. Duch skulił się, nagle zastraszone, przycupnął jak zwierzę i uniół ręce, osłaniając się przed tym, co widział w odprysku. Jego skomlenie przywodziło na myśl natarczywy dźwięk odległego alarmu samochodowego słyszalnego w nocy. Jeśli istniało coś, czego duch nie był w stanie znieść, było to jego własne odbicie, albowiem pokazywało, czym jest naprawdę, to znaczy absolutną nicością. Nie można być lordem samotnych podróżnych, jeśli przebywa się w towarzystwie własnego odbicia.

- Czego sobie życzysz, panie? - wyszeptał głosem przypominającym szum gołębiego pióra unoszącego się na wietrze.

Duch przycupnął obok łóżka. Spod luźnych, widmowych fałd jego obszernego płaszcza bił słaby pomarańczoworóżowy blask, przypominający światło lampy wydostające się na zewnątrz przez szparę pod drzwiami - wystarczająco jasne, by widzieć po ciemku, ale wyłącznie w czerni i bieli. Tylko same światło miało intensywne, neonowe kolory.

Przykucnąłem przed nim. Wydawał mi się całkiem sympatyczny, jak na ducha. Przyznawałem z niechęcią, że czuję więź łączącą mnie z nim z uwagi na magię, która go stworzyła. To były w przybliżeniu te same moce, które powołały do życia Bezdonną, Króla Żebraków, a w pewnym stopniu być może również anioły z przewodów, fragmenty zapomnianego życia pozostawionego w liniach telefonicznych. Tam, gdzie było życie, była też magia, a nawet w samotnej podróży ostatniego pasażera, jego przerażonym oddechu zaczerpniętym w nieznanym miejscu, można znaleźć szczególną postać życia. Z tego właśnie życia zrodził się duch.

- Szukam kogoś.

- Czy podróżuje samotnie?

- A kto tego nie robi? - odparłem z uśmiechem.

Zerknął na mnie. Jego oczy błyszczały w mroku jak ciemnoczerwone światła uliczne.

- Znasz mnie - wyszeptał. - Słyszę twój krok w swym brzuchu. Wznosiłeś do mnie modły.

- Każdy w jakiejś chwili to robi. Nawet jeśli człowiek jest antyterrorystą, kiedy jest sam w ciemności, podskoczy ze strachu, usłyszawszy kroki nieznanego, odgłos zatraskiwanych drzwi w pustym domu albo brzęk szkła w pobliżu. W takich chwilach wszyscy myślą o tobie.

Rozciągnął usta w czymś, co zapewne miało być uśmiechem, ale wyglądało jak szyderczy, lepiący się grymas.

- Kogo chcesz znaleźć?

- Właściciela tego włosa - odparłem, wskazując na stojącą na podłodze mydelniczkę.

Lord samotnych podróżnych - jego prawdziwe imię można było prawidłowo wypowiedzieć tylko jako pisk hamulców albo ostatni łoskot silnika lokomotywy przed zatrzymaniem się na stacji końcowej, ale wszyscy znali go dzięki odległemu szumowi ruchu ulicznego podczas deszczu albo szmerowi oddechu kondensującego się w powietrzu w samotną noc - pochylił się i przymrużył powieki, przyglądając się z uwagą włosowi. Ujął go w dwa palce i oblizał z uwagą. Ślina skapywała mu z ust pod postacią gęstej żółtawej galarety.

- Wędrowiec, tak wielu wędrowców... - wyszeptał z przymkniętymi oczyma.

- Gdzie on jest?

- Ucieka, jego kroki to słodkie *tamtatamtatamtatamta...* Ktoś go ściga! Tak bardzo boi się ciemności. Kiedyś nie bał się niczego, ale teraz ucieka, ucieka przed potworem czającym się w nocy.

- Dokąd biegnie?

- Modli się.

- Do ciebie?

- Wszyscy modlą się do mnie, kiedy są sami i się boją - wyszeptał duch z błyskiem w oczach. - Nawet ci, którym się wydaje, że są odważni.

- Co mówi?

Stwór przesunął językiem po sinych wargach. Westchnął z zadowoleniem, opuszczając ramiona. Spod jego szat wydostało się więcej neonowego światła.

- Potwór jest blisko, stopy zbiega uderzają o nawierzchnię, a ścigający śpiewa w rytm jego kroków... modli się o życie; bardzo mi przykro, bardzo mi przykro, powtarza, bardzo mi przykro, że tak się stało, wybaczcie mi tej nocy, wybaczcie mi przeszłość, wybaczcie mi czas, wybaczcie... wybaczcie... jego strach jest tak bardzo jaskrawy! Boi się niebieskich oczu!

- Nic z tego mi nie pomogło - oznajmiłem. - Wolałbym poznać kierunek albo współrzędne GPS.

- On się boi ciebie! - wyszeptał stwór, przyglądając mi się z zaciekawieniem. - Boi się niebieskich oczu. I modli się... tak mi przykro... tak mi przykro...

- Gdzie?! - zawołałem.

- Na morzu. Jest na morzu.

- Na statku?

- Sól, bezkresne mroczne kołysanie i zapach benzyny dobiegający z silnika, pompującego ciepło w zimny wiatr.

- Na promie?

- Chciałbyś usłyszeć jego modlitwę, niebieskooki?

- Dobra. Co mówi?

- Mówi... myśmy są światło, myśmy są życie, myśmy są ogień! Wyśpiewujemy elektryczny płomień, dudnimy z podziemnym wiatrem, tańczymy niebo! Stań się nami i bądź wolny! Wybaczcie mi, wybaczcie, wybaczcie, zmiłujcie się nade mną w nocy, zróbcie ze mnie cień na ścianie, ale nie pozwólcie, żeby pożarł moje serce. Wybaczcie...

- Modli się do niebieskich elektrycznych aniołów? - zapytaliśmy z niedowierzaniem.

- I do mnie - wyszeptał.

- Jest na statku?

- Płynie przez morze. Och... - Twarz stworzenia przybrała na chwilę smutny wyraz. - Nie jest sam. To smutne, bardzo smutne, gdy ktoś nie jest sam w taką noc pełną zimnych wiatrów i ukrytych myśli.

- Kto z nim jest?

- Biegnie bezgłośnie wzdłuż brzegu...

- Dość już tego pieprzenia! - Uniosłem w ostrzegawczym geście fragment zwierciadlanego plastiku. - To ja, czarnoksiężnik! Mam niebieskie oczy i jestem wkurzony. Powiedz mi, kto z nim jest, jakbyś rozumiał potrzebę zwięzłości, bo w przeciwnym razie uwięzę cię w sali o ścianach z cholernych luster!

- Nie ma imienia, które potrafiłbym usłyszeć.

- To spróbuj go opisać.

Stworzenie zastanowiło się, unosząc głowę ku dachowi w poszukiwaniu natchnienia. Na jego szyi pojawiły się szczeliny lśniąco różowawym blaskiem.

- Ten, kto z nim podróżuje... jest głodny... - stwierdziło. - Naprawdę bardzo głodny. - W jego głosie pojawiła się nuta zdziwienia. - Wie o mnie. Zastanawia się, dlaczego go obserwuję, skoro nie podróżuje sam. Sięga do mnie i pyta: „Kim jesteś? Dlaczego tu przybyłeś?”. Uśmiecha się. Mówi: „Widzę w kierujących twoimi ruchami sznurkach niebieski ogień”. Wyciąga rękę i...

- Zwiewaj! - krzyknąłem.

- Tak bardzo głodny...

- Zwiewaj natychmiast! Spływaj, odejź, zabieraj tylek, won!

Czyżby na twarzy stworzenia zgęstniały cienie? Czy jego oczy się zapadły, a różowawe światło bijące od kończyn przygasło? Nie zamierzałem podejmować ryzyka. Wziąłem w rękę wszystkie płytki i rzuciłem nimi w ducha. Pomarańczowy blask odbijał się w wirujących dyskach, gdy padały na podłogę. Wrzask lorda samotnych podróżnych brzmiał jak huk spadającego z nieba samolotu, trzask pękających hamulców pędzącego motocykla, odgłos hamulca bezpieczeństwa w pociągu. Duch osłonił twarz rękami. Na jego skórze pojawiły się szczeliny gorejące blaskiem sodowych latarni, tak jasnym, że musiałem odwrócić wzrok. Okna drżały od hałasu. Twarz stwora stała się świetlistą maską zaskoczenia. Duch rozpadł się na różowawe cienie, które umknęły po ścianach albo precyzyjnie się przez szparę pod drzwiami i zniknęły.

Zabrałem swój dobytek i opuściłem hotel, nie oglądając się za siebie. Nie odważyłem się zasnąć przed nadejściem dnia.

* * *

Po południu zadzwoniłem do Charliego. Powiedział, że Sinclair śpi, a on nie zamierza go budzić. Poinformowałem go, że Simmons najprawdopodobniej opuścił kraj promem. Obiecał to sprawdzić. Nie wspomniałem o cieniu ani o złożonej kartce pożółkłego papieru, którą znalazłem w przeznaczonym dla mnie liście w domu Simmons'a. Nie widziałem potrzeby, by mu o tym mówić.

Na kartce była informacja o wystawianej sztuce. Doszedłem do wniosku, że będzie na niej Bakker. Żeby się zabezpieczyć, zrobiłem tylko jedno. Poszedłem na Bond Street, poszukać jubilera.

* * *

Jego nazwisko brzmiało Izor. Był Amerykaninem, ale zapewniał, że mimo to ma nienaganny gust. Zastanawialiśmy się, czy coś równie subiektywnego jak gust może być „nienaganne”, postanowiliśmy jednak nie drażnić sprawy. Przesunęliśmy spojrzeniem po błyszczących diamentach, złotych i srebrnych zegarkach, naszyjnikach, pierścionkach, kolczykach oraz najrozmaitszych broszkach wystawianych w kilkunastu gablotach umieszczonych w luksusowo urządzonym wnętrzu. Na podłodze leżał czerwony dywan. Nawet klamki wyglądały na złote.

- Jezu, nie - zapewnił pan Izor, gdy tylko zauważył, że się na nie gapimy. - Kierownik jest stanowczo za skąpy.

Powiedziałem mu, czego chcę.

- Dobra, czegoś innego - zgodził się. - Kim jest szczęśliwa dziewczyna? Czy może

szczęśliwy facet?

- Pragnę złożyć ofiarę duchom wody życzeń w najgroźniejszych sytuacjach, ale jeśli poznam szczęśliwą dziewczynę albo faceta, wrócę do pana sklepu po radę - zapewniłem.

- Niech pan unika diamentów. Są niegustowne i pospolite.

- Zapamiętam to sobie.

- Faceci lubią srebro.

- Dziękuję. A co z tym, czego potrzebuję w tej chwili?

Po pewnym czasie znalazł dla mnie coś odpowiedniego. Było mniej więcej wielkości dwufuntowej monety. Zadrzałem, usłyszawszy cenę. Doszedłem do wniosku, że tak wysokich sum nie powinno się płacić kartą kredytową, zwłaszcza taką, która nie jest autentyczna. Po raz pierwszy od chwili zmartwychwstania poczułem ukłucie winy na myśl o swym trybie życia i przerobionej z wizytówki prostytutki karcie kredytowej, dzięki której ukradłem wszystko, co obecnie zwałem swoim dobytkiem. Marzenie o własnym domu przerodziło się w gwałtowne pragnienie, jakbym był głodny i, poczuwszy zapach octu, pomyślał o rybie z frytkami. Mój umysł i brzuch wypełniła pustka.

Ale i tak to kupiłem. Powiedzieliśmy sobie, że nasza potrzeba jest ważniejsza niż hipotetyczne straty jubilera. Zapewnialiśmy się o tym przez całą drogę do teatru.

* * *

Sztukę wystawiano przy Waterloo Bridge.

Kupiłem bilet za dziesięć funtów w kasie sprzedającej bilety ze zwrotów. Dostałem miejsce w czarnej, pudełkowej sali, na galerii dwie kondygnacje nad sceną, obok wielkiego, czerwonego guzika, przy którym umieszczono kartkę z kuszącym napisem: „TEN PRZYCISK DO NICZEGO NIE SŁUŻY”. Myśl o nim niepokoiła nas przez niemal całe przedstawienie. Siedziałem wciśnięty między uprzejmą parą z Cambridge - mężczyzna miał na sobie garnitur, a kobieta nosiła sznur pereł - i dwie starsze panie w grubych zakietach, które nie spjrzały na mnie ani razu i robiły niezadowolone miny przy każdej antyreligijnej uwadze padającej ze sceny (a było ich bardzo wiele). Sztuka składała się z tortur, przekleństw i akcji, w mniej więcej równych proporcjach. Tworzyło to dziwną mieszankę. Fizyczna przemoc przechodziła w oparte na grze słów dialogi, a potem w opowieści, które mogłyby być przeznaczone dla dzieci, gdyby nieco zmniejszyć liczbę dekapitacji. Gdy nadeszła przerwa, czuliśmy się całkowicie zdezorientowani i dziwnie zafascynowani. Kupiliśmy sobie czekoladowe lody, mimo że poczułem ból na myśl o cenie, ponieważ wyglądało na to, że tak właśnie należy postępować, a także dlatego, że pobyt w szpitalu nauczył nas, że okazji

zjedzenia lodów nigdy nie należy przepuszczać, bez względu na pogodę. Potem stanęliśmy na balkonie, przypatrując się objającym się w rzece światłom turystycznych statków, autobusom na moście oraz pajęczynom niebieskich lampek zawieszonych na przybrzeżnych drzewach. Słuchaliśmy też uwag wymienianych przez ludzi jedzących lody na tarasie pod nami.

- Hmm...

- ...tak...

- Jest piekielnie dobry, mam rację?

- Hmm.

Doszedłem do wniosku, że widzowie są zbici z tropu. Nie wiedzieli, czy przedstawienie było dobre czy marne, inteligentne czy głupawe, dowcipne czy wulgarne. Pomyślałem, że to zapewne dobry znak. Po drugiej części nadal nie będą wiedzieli, co myśleć, i to powinno skłonić ich do zastanowienia.

Zabrział dzwonek wzywający na drugi akt. Wróciłem na miejsce, opierając się pokusie naciśnięcia czerwonego guzika, choć ręce aż mnie świerzbiały. Gdy wszyscy skupili się na trzech krzyczących do siebie mężczyznach na scenie, w powietrzu pojawiło się delikatne mrowienie, gęsty posmak spizowego potencjału, nieuchwytny, prowokujący i samoświadomy. Magia była tak skupiona i wciągająca, że ledwie zauważyliśmy, jak wessała nas w siebie i staliśmy się częścią wypełniającej teatr gorącej, iskrzącej się myśli.

Tylko chwila, ulotny moment, błysk zielonej świadomości, impuls myśli niecałkowicie skupionej na przedstawieniu?

Trudno było to określić.

Bohater sztuki - choć właściwie trudno go było tak nazwać - zamordował brata za zabijanie za pomocą opowieści, a pod koniec zastrzelono go z tego powodu. Bardziej szczęśliwe zakończenie nie wydawałoby się... właściwe, choć nie potrafiliśmy powiedzieć, dlaczego. Okazało się, że zły glina wcale nie był taki zły, choć również w tym przypadku określenie „zły” nie pozostawiało miejsca dla wyobraźni. Uznaliśmy, że najlepiej będzie nie próbować domysłów i po prostu pozwolić, by przedstawienie zamieszało nam w głowie. O dziwo, to wrażenie okazało się przyjemne, choć nie potrafiliśmy pojąć, dlaczego niepokój i niepewność towarzyszące nam od trzech godzin wprawiły nas w uniesienie niczym zrodzona ze strachu adrenalina.

- I jak? - zapytała siedząca na lewo ode mnie kobieta, gdy zapaliły się światła i umilkły brawa.

- Interesujące - odparł mężczyzna na krześle po drugiej stronie.

- Och, naprawdę był świetny! - zawołała gruba kobieta siedząca rząd przede mną.

Zabrałem płaszcz i torbę, a potem ustawiłem się w długiej kolejce do ciasnych drzwi, przez które przeciskał się tłum widzów. Przechodząc obok czerwonego guzika, wyciągnęliśmy odruchowo rękę i nacisnęliśmy go z szybkością błyskawicy.

Nic się nie wydarzyło.

Twarz mi poczerwieniała. Oddaliliśmy się z pochyloną głową, czując się jeszcze bardziej oszołomieni.

Nie miałem ochoty czekać, czy ktoś spróbuje się tu ze mną skontaktować. Po nieprzespanej nocy nie byłem w nastroju na gierki i fortele. Poza tym, tłum zapewniał mi bezpieczeństwo. Wątpiłem, by Bakker chciał mnie zaatakować na oczach tak wielu ludzi, zakładając, że w ogóle mnie zauważy.

Pośród szumu głosów pojawił się rozbłysk świadomości, jasna, znajoma iskra.

- Tak, z pewnością wykorzystanie religijnych symboli...

- ...bardzo interesujące...

- ...w czym go widzieliśmy?

- Stań się i...

Odwrociłem się na schodach i o mało nie wpadłem na kobietę o białych, kręconych włosach, mającą na sobie tyle jedwabi, że wydawało się niemożliwe, by jej szczupłe, kościste ciało mogło je podźwignąć bez utraty równowagi albo nabawienia się wysypki. Przeprosiłem ją i znowu ruszyłem na dół z prądem widzów. Zatrzymałem się w barze umieszczonym w foyer na półpiętrze. Kelnerzy sprząтали już puste plastikowe kubki oraz kieliszki po szampanie. Przyjrzałem się wychodzącym, ale gęsty tłum zapewniający mi ochronę nie pozwalał też wypatrzeć nikogo znajomego. Zszedłem na parter. Umieszczony tam szyld głosił: „Torby większe niż to - tu umieszczono kwadrat wielkości małej walizki - należy zostawiać w szatni”. Poklepałem swój tornister, mniej więcej dwa razy większy od przepisowych rozmiarów. Na myśl, że nie rozstałem się z nim ani na chwilę, poczułem dreszczyk przepojonej poczuciem winy przyjemności.

Odetchnąłem głęboko, próbując rozjaśnić sobie w głowie. Miałem trudności ze skupieniem myśli na czymkolwiek poza opowieściami, obrazami i szczęśliwymi, zielonymi świniami, które również były motywem pojawiającym się w sztuce. Zapewne właśnie dlatego Bakker zasugerował spotkanie w teatrze. Trudno tu było wyczuć jakąkolwiek moc poza ulotną łuną pochodzącą od tłumy widzów. Być może był to podstęp, mający zwabić nas w miejsce, gdzie groźba zagubienia się w rzuconym przez kogoś innego zaklęciu byłaby dla nas szczególnie wielka?

- Pan Swift?

Głos dobiegł zza moich pleców. W pierwszej chwili instynkt podpowiedział nam, by rzucić tornistrem w jego źródło i potem martwić się o zakłęcia. Jednakże posiadaczka głosu robiła wrażenie stanowczo zbyt zdeprimowanej i bezbronnej, by zasługiwać na podbite oko, które pragnął jej zafundować nasz drżący łokieć. Młoda kobieta miała na sobie gruby, nieco żenujący T-shirt teatralnej hostessy.

- Pan Swift? - powtórzyła.

- Tak? - wyjąkałem, zdziwiony faktem, że jeszcze jej nie odpowiedziałem.

- Pana wujek pytał, czy może mu pan pomóc.

- Mój...?

- Ten na wózku inwalidzkim.

- Aha. Tak. Oczywiście. Gdzie jest?

- Na drinku dla sponsorów.

- Sponsorów...

- Panie Swift?

- Słucham?

- Dobrze się pan czuje?

- Tak, wszystko w porządku. Nie wiedziałem, że jest takim mecenasem sztuki.

- Kazał panu powiedzieć, żeby nie przejmował się pan tłumem. Nalegał, żebym to powtórzyła.

- Nie wątpię w to. Mogłaby pani wskazać mi drogę?

* * *

Drinka dla sponsorów urządzano w barze niemal całkowicie pozbawionym okien. Krzykliwy wystrój wnętrza składał się z luster oraz niewygodnych mebli poskładanych pod dziwnymi kątami. Kelnerzy w czarno-białych strojach podawali szampana oraz przekąski złożone z kawałków ryby i ciasta. Teatr z pewnością potrzebował licznych sponsorów, by móc kontynuować działalność. Niektórzy z kulturalnych bogaczy wyszli na pomost. Popijali tam drinki, rozmawiając o tym, że on naprawdę spał z nią, kiedy oni kierowali teatrem, i to właśnie ich wpływ był powodem, dla którego wystawiali tak staromodne sztuki.

W obliczu tak wielu ważnych ludzi czuliśmy się mali i w związku z tym skłonni do buntu. Cieszyliśmy się, że mamy na sobie niechlujny płaszcz, na naszym tornistrze jest mnóstwo plam od atramentu, a włosy mamy kiepsko uczesane. Radowały nas niepewne spojrzenia i niepokój wzbudzany widokiem naszych spodni ze sklepu z używaną odzieżą i rozlatujących się adidasów. Poczułem też lekką satysfakcję, zobaczywszy, że paru

wybrednych widzów wzdygnęło się na widok naszych błękitnych oczu.

W jednym z kątów grupka popijających szampana mężczyzn i kobiet skupiła się wokół jakiejś postaci. Ruszyłem w tamtą stronę. Instykt powiedział mi, kto się kryje za ścianą z jedwabiu i płótna. Zbliżywszy się, usłyszałem głos, nadal dźwięczny i pełen ironii, jak wtedy, gdy byłem małym chłopcem. Pobrzmiwała w nim świadomość, że gra, i zadowolenie z tego powodu, zachwyt wzbudzonym podziwem, radość z aktorstwa, jaką zawsze okazywał, gdy jeszcze nie musiał jeździć na wózku.

- Powiedźcie mi, czy zdołacie wypatrzeć anonimowego gościa. Będziemy mogli zapytać, czy chce się załapać na drinka.

Wsunąłem głowę do kręgu nad ramieniem najbliższego ze stojących i spojrzałem w dół.

To był nowy wózek. Być może to dziwne, że ten fakt zauważyłem jako pierwszy. Zapewne w mojej podświadomości kryły się również inne spostrzeżenia, ale obawiały się ujawnić. Tak czy inaczej, to właśnie w pierwszej kolejności przyciągnęło moją uwagę. Wózek wyglądał stylowo. W całości wykonano go z lekkiego tytanu. Miał gładkie krawędzie, a producent specjalnie dopasował go do kształtu ciała właściciela. W niczym nie przypominał prymitywnego wózka szpitalnego, na jakim ostatnio go widziałem. Mój dawny nauczyciel „nosił” wózek, jak model nosi okulary. Wydawało się, że w każdej chwili może się z niego zerwać i zawołać: „Panie Bakker, wygląda pan pięknie!”, zdumiewając gapiów swą siłą i zręcznością. Wózek nie przypominał narzędzia pozwalającego uporać się z paralizem ani przypuszczalnego miejsca przyszłej śmierci swego właściciela, lecz raczej metalowe ubranie czy jakiś odziedziczony po rodzicach mebel, w którym zwykł siadać jako pełne życia dziecko.

Zdumiewaliśmy się jego przyjaznym, spokojnym wyglądem. Sprawiał wrażenie wiekowego, bogatego dżentelmena, który kocha teatr i pragnie propagować miłość do niego. Choć pamiętałem, jaki był kiedyś, w czasach naszej wieloletniej znajomości, gdy rozmawiał z nami przez telefon, błagając, byśmy przyszli do niego i dali mu część naszej siły, wyobrażaliśmy sobie zwiędłego starca, pozostający tuż za naszym zasięgiem czarny punkt świadomości, który unikał kontaktu z nami, mimo że wysyłał swe myśli do naszej domeny. Dlatego zdumiał nas widok jego uśmiechu, jeszcze bardziej promiennego niż dotyk jego magii, jaki pamiętaliśmy z przeszłości.

Spostrzegł mnie w tej samej chwili, w której ja zauważyłem jego. Nie przestawał mówić, co chwila spoglądając na moją twarz, a potem odwracając wzrok. Cały czas się uśmiechał, rozmawiając z kobietą noszącą złote kolczyki i błyszczącą suknię tego samego koloru. Mówił o tragicznym trendzie do kopiowania dawnych wzorów, zamiast tworzenia

nowej sztuki, zaznaczającym się w West Endzie, i o tym, czy można ufać kluskom podawanym w Chinatown. Ku swemu zaskoczeniu przekonaliśmy się, że nas zainteresował. Pragnęliśmy poznać jego zdanie na temat teatru, muzyki i gastronomii - spraw, z którymi zawsze chcieliśmy się zapoznać, ale nigdy nie mieliśmy na to czasu.

Spojrzał nam prosto w oczy dopiero wtedy, gdy nastąpiła naturalna przerwa w rozmowie, gdy umilkł na chwilę, wyczerpawszy temat.

- Cześć, Matthew - rzekł. - Cieszę się, że mogłeś przyjść.

- Dzień dobry, panie Bakker.

- Nie sądzę, byś znał kogoś z tu obecnych, mam rację? - Znowu ten uśmiech, nadal radosny, a potem cichy śmieszek.

Rozejrzał się, spoglądając na otaczających go ludzi, i, Boże zmiłuj się, oni również się zaśmiali, karmiąc się jego bliskością i siłą charakteru, jakby rzucał na nich urok. Niewykluczone, że rzeczywiście to robił. Otaczał go delikatny maswerk mocy, subtelnej i trudnej do zauważenia. Śmiali się razem z nim, mimo że nie wiedzieli, kim jestem i dlaczego wyglądam na wystraszonego.

- Tak, nie sądzę, bym ich kiedyś spotkał.

Nasz głos zabrzmiał głucho. Nie wiedzieliśmy, co powinny wyrazić nasze słowa.

- Nie będę ci ich przedstawiał, nawet jeśli to nieuprzejme. Dobre maniery są ważne, ale kiedy ludzi jest tak wielu, ich nazwiska zlewają się ze sobą, chyba że wiesz, z kim rozmawiasz. Hej, wszyscy, to jest Matthew, w pewnym sensie mój siostrzeniec.

- W pewnym sensie? - zdziwiła się jedna z kobiet głosem zdolnym rozbijać szkło.

Zauważyłem, że niektórzy mają w kieszeniach małe magnetofony. Świadczyło to, że w tym spotkaniu może chodzić o coś więcej niż drinki i że wszyscy są obserwowani. Może to był kolejny powód, dla którego mogłem się czuć bezpiecznie? Nie wyobrażałem sobie, by Bakker zrobił cokolwiek na oczach prasy. Niemniej wolałem nie próbować szampana.

- Coś w rodzaju chrześniaka, siostrzeńca, przyszywanego kuzyna - odparł z nonszalancją. - Znałem Matthew, gdy był jeszcze młodym chłopakiem, prawda?

- Tak było.

- Podobała się panu sztuka? - zapytała ta sama kobieta, przesywając nas spojrzeniem przypominającym dotyk dwóch rozżarzonych igieł.

- Bardzo, przynajmniej tyle, ile z niej zobaczyliśmy, chociaż to było odrobinę przerażające. W dawnych czasach nie interesowałem się takimi sprawami.

- Przerażające?

- Widz dobrowolnie poddaje się czarowi - wyjaśniliśmy. - Wie o jego istnieniu, ale

pozwała się oszukać. To potężna magia, zdolna oszukać nawet tego, kto jest świadomy iluzji.

- Magia teatru!

Mężczyzna z wielkimi sumiastymi wąsami zachichotał.

- Nawet złe sztuki? - zapytała kobieta.

- Właściwie brak nam kwalifikacji, by je oceniać.

- Matthew, chciałbyś się czegoś napić? - zapytał pośpiesznie Bakker.

- Nie, dziękuję - odparliśmy, spoglądając mu prosto w oczy.

- A może coś zjesz. Chyba dają tu jakieś *vol-au-vents*.

- Nie.

- Dobrze, jak sobie życzysz. - Wzruszył ramionami. - Wybaczcie wszyscy, proszę.

Matthew, czy mógłbyś mnie zawieźć do toalety?

* * *

Zawiozłem go w kierunku toalety, ale zatrzymaliśmy się w foyer za drzwiami. Nadal byliśmy blisko uspokajającego szmeru prowadzonych rozmów, ale oddaliliśmy się od niego wystarczająco, by słyszeć tylko uprzejmie brzmiące dźwięki, a nie odwracające uwagę słowa i towarzyszące im uczucia. Włączył hamulce i uśmiechnął się do mnie, wskazując zapraszająco na schody. Usiadłem na stopniu, by móc patrzeć mu prosto w oczy, wsparłem łokcie na kolanach i pochyliłem się, by stanowić mniejszy cel. Siedziałem przy nim skulony niczym dziecko, jak w dawnych czasach.

Nie odzywał się ani słowem, tylko przyglądał mi się z uwagą, omiatając mnie spojrzeniem od stóp do głów. Nie przestawał się uśmiechać, unosząc i opuszczając głowę. Najwyraźniej poddawał ocenie moje ubranie, twarz, oczy i minę, starając się dowiedzieć o mnie wszystkiego, a jednocześnie nie zdradzając niczego o sobie. Pozwalaliśmy mu się gapić, czekając cierpliwie.

- Dobrze wyglądasz - stwierdził wreszcie.

Chrząknąłem niezobowiązująco.

- Ale chyba powinieneś się ostrzyć - dodał.

Ze sporym trudem oparłem się pokusie dotknięcia włosów.

- Twój płaszcz. To nie jest ten stary, prawda?

Skinąłem głową.

- Ale też jest zaczarowany. To tylko delikatne dotknięcie, tak? Anonimowość. Beżowy strój kogoś, kto nie wyróżnia się z tłumu. To nie niewidzialność, ale coś jej bliskiego.

- Sporo czasu spędził w pralni.

- To dobry płaszcz. Czarnoksiężnik zawsze powinien mieć dobry płaszcz. Nieprzemakalny i z głębokimi kieszeniami. Tylko idiota marnuje czas na próby magicznej ochrony przed deszczem. Mokre skarpetki są potrzebne.

- Do czego?

Pamiętałem odpowiedź z dawnych czasów, ale i tak chciałem go o to zapytać.

- Do tego, żeby po przyjściu do domu móc je zdjąć i zawiesić przed kominkiem, a potem czekać, aż ubranie wyschnie, popijając gorącą herbatę i czując, jak wilgoć opuszcza wszystkie fałdy skóry.

- I to jest ważne?

- Oczywiście - zapewnił, uśmiechając się. - Przypomina nam, że jesteśmy cielesnymi istotami, nie ogniem spadającym z nieba. Albo sygnałami w przewodach.

Spuściliśmy z uśmiechem wzrok, przyglądając się swym dłoniom. Rozpostarliśmy je, by poczuć rozciąganie się skóry.

- Od jak dawna pan wiedział? - zapytaliśmy.

- O czym?

- O nas.

- Nadal nie jestem pewien, co wiem. Słyszałem pogłoski, oczywiście. Trzymam w piwnicy jasnowidzów, cały czas nasłuchujących głosów mocy o krwi składającej się z nadmiarowych wątków życia. Dowiedziałem się od nich, że pewnej nocy, o pewnej godzinie, głosy niebieskich elektrycznych aniołów słyszalne w przewodach umilkły nagle, jakby nigdy nie istniały. Usłyszałem, że ciało San Khaya znaleziono pośród martwych szczurów, a pewnego, z pozoru zupełnie zwyczajnego, wieczoru na arenie McGranghama nieznanemu nikomu mężczyzna o jaskrawoniebieskich oczach stanął do walki z Guyem Lee i zwyciężył. Podczas walki jego skóra gorzała ponoć błękitnym ogniem. Komputerowi maniacy zapewne powiedzieliby, że to dane, nie informacja. Oderwane fakty, niepołączone jeszcze w większy obraz.

- Czego chce się pan dowiedzieć?

- Ty mnie o to pytasz?

- Tak - odpowiedzieliśmy, zdumiewając się własnym spokojem.

- Chciałbym się dowiedzieć... czy coś z mojego ucznia przeżyło.

- Słucham?

- Chcę wiedzieć, czy skrzywdziliście Matthew.

- Słucham? - pisałem. - Chce się pan dowiedzieć, czy dobrze się czuję?

- Był moim uczniem - odparł ze spokojem Bakker. - Chcę się upewnić, że nic mu się

nie stało.

- Kurwa, ja jestem Matthew! Czy wyglądam, jakby coś mi się stało, pomijając fakt, że zamordowano mnie dwa lata temu?

Na twarzy Bakкера pojawiła się niepewność, cień zwątpienia. Potem zastąpił go uprzejmy uśmiech.

- O ile mi wiadomo, jesteście jedynie demonicznym pasożytem wypełniającym skórę Matthew i korzystającym z jego wspomnień, by udawać człowieka. Ponieważ wiem, że anioły są jestestwem pożądanym życia, doświadczeń i zmysłowych wrażeń, pragnącym objawić całemu światu swą obecność w gorejącej furii, to z pewnością jest możliwe. Niewykluczone, że Matthew umarł, a ty jesteś jedynie jego repliką, nieudolną imitacją, która nie wie, co to znaczy naprawdę żyć.

- Ty wredny, zarozumiały, zakłamany sukinsynu.

Przez moment uśmiechał się szerzej.

- To przynajmniej przypomina ucznia, którego pamiętam.

- Cokolwiek powiem, i tak usłyszysz pan tylko anioły, prawda?

- Dlaczego?

- Być może dlatego, że to właśnie chce pan usłyszeć.

- Czemu miałbym tego chcieć? Myślisz, że cieszę się z tego, co spotkało mojego ucznia? Z tego, że jest obecnie opętany przez ducha telefonicznych zakłóceń?

- Myślmy, że pan umiera, panie Bakker - oznajmiliśmy po prostu. - Jesteśmy przekonani, że był pan bliski śmierci już od wielu lat i myśl o niej pana przeraża. Sądzymy też, że gdy przed dwoma laty próbował nas pan wywabić z przewodów, pragnął pan od nas czegoś więcej niż tylko taniec w ogniu. Dlaczego nie połknie pan papierowej taśmy, jak Guy Lee?

- Nekromancja to prostacka metoda przetrwania. Mówiłem ci o tym prawie na samym początku.

- Jak rozumiem, wypicie krwi niemowlęcia ochrzczonego podczas czarnej mszy również nie wchodzi w grę?

- Mój Boże, za kogo ty mnie uważasz?

- Za kogoś głodnego - odpowiedziałem, pocierając oczy, by usunąć z nich zmęczenie.

- Tak bardzo głodnego.

- A co to ma znaczyć?

- Nie wie pan?

- Matthew! - zawołał, unosząc ręce nad głowę. - To ja próbuję coś zrozumieć? Czy

mam być następny? Czy do tego to wszystko prowadzi?

- Mój Boże, nie rozumie pan tego? Niech pan się przyjrzy Wieży!

- Chodzi ci o Wieżę?

- Nie zauważył pan ofiar, gróźb, wymuszeń, zabójstw, bitew...

- Stworzyłem organizację, która zdołała po raz pierwszy połączyć pod tym samym dachem wszystkich magów, czarownice, czarowników, wyznawców voodoo i... i cholerne zaklinaczki studiujące starożytną wiedzę tajemną. Wszyscy w końcu się zjednoczyli, bez względu na rasę, wyznanie, przekonania, kolor skóry, płeć, status społeczny albo majątek, po to by bronić użytkowników magii mieszkających w mieście przed dyskryminacją, prześladowaniami...

- To potwór! Pożera najlepszych magów i wypłuwa kości, zdatne tylko do voodoo! Naprawdę sądzi pan, że zatrudnienie człowieka, którego strażnicy noszą pistolety pod pachami, albo martwego nekromanty z taśmą papieru w gardle zapewni panu popularność? Myśli pan, że Lee zachowywał się miło, tocząc wojnę z Białymi? Że to urocze, iż Khay strzegł magazynu pełnego ludzkich narządów, z pewnością niemających służyć do przeszczepów. Tak, Wieża to potężna, zjednoczona organizacja, ale jednoczy ją wyłącznie strach! Przed panem! Przed pańskimi sługami, pańską mocą, ambicją i...

- Jak śmiesz mnie osądzać?! Chciałbym ci rzec, że byłeś moim uczniem i powinienes mi okazać odrobinę szacunku, ale ty nie jesteś nawet tym! Jesteś tylko niebieskookim demonem, który wylazł z linii telefonicznych i zakradł się w skórę kogoś, kogo znałem. I ty śmiesz tak do mnie mówić?

Nasza rozmowa zrobiła się zbyt głośna. Ludzie zerkali w naszą stronę, ich głosy cichły, ciekawscy starali się nie okazywać po sobie, że próbują nas podsłuchać. Bakker skrzywił się, uniósł dłoń do ust i zaczerpnął głęboko tchu, próbując zapanować nad gniewem.

- Masz rację - podjął ciszej - chciałem się spotkać z aniołami już od pewnego czasu, ale nie mam pojęcia, do czego twoim zdaniem miały mi służyć. Chciałem je zbadać, dowiedzieć się o nich czegoś, zrozumieć, jakiego rodzaju istotami są. Nic więcej.

- Głodny - wymamrotaliśmy. Czuliśmy się doszczętnie wyczerpani. - Głodny.

- Trzeba było sobie wziąć *vol-au-vent*.

- Kiedy ostatnio się spotkaliście - zacząłem - powiedział pan, że chce wezwać anioły, wywabić je z przewodów telefonicznych, przywołać do tego świata. Mówił pan, że przestał je pan słyszeć i dlatego potrzebuje pomocy drugiego czarnoksiężnika, by zakłęcie mogło zadziałać. Kiedy zapytałem, dlaczego chce pan je wyciągnąć z ich naturalnego środowiska, odpowiedział pan: „Ponieważ są żywe i nigdy nie umrą”. Następnie zapytałem, co pan zrobi

potem, a pan odparł: „Będę żył. Po prostu żył”. Czy nie przyszło panu do głowy, że nie bez powodu nie słyszy pan, jak tańczymy w przewodach? Czy przyszło panu na myśl, że może po prostu nie chcemy, by nas pan słyszał? Sądzi pan, że nie wiedzieliśmy, iż próbuje nas pan wezwać, wyciągnąć z przewodów, nim jeszcze poprosił mnie pan o pomoc? Skąd przyszło panu do głowy, że może nas pan po prostu wyrwać z domu i nagiąć do swych pragnień? Panie Bakker, czy ma mnie pan za całkowicie pozbawionego wyobraźni? Wcale nie chciał pan nas badać. Pańskie zamiary od początku były łatwe do przejrzenia. Mówił mi pan, że anioły są zbyt niebezpieczne, by słuchać ich głosów. Że głoszą wolność od wszelkich zahamowań i praw. Że nic nie wiedzą o odpowiedzialności, obowiązku, potrzebie ani nawet o podstawowych zasadach moralności. Że są wolne w najczystszy, najdzikszy sensie. Takich istot nie wzywa się po to, by je badać. Może to zrobić tylko ktoś, kto słyszy podczaską ich pieśń, kto sądzi, że wolność, jaką się cieszą, może się stać również jego udziałem. Moc, ogień, światło i ruch zamknięte w prostym, magicznym panaceum.

- No cóż - zaczął z namysłem, zaciskając palce na poręczach wózka. Kłykie sterczały pod jego skórą, jakby lada moment mogły się wyrwać na zewnątrz. - To przynajmniej brzmi jak coś, co mógłby powiedzieć mój zbłąkany uczeń.

- Unikaliśmy pana - ciągnęliśmy - bo już wtedy wyczuwaliśmy, że ma pan w sobie coś, co nie zgadzało się z naszym wyobrażeniem o tym, czym jesteśmy i czym powinniśmy być. Wtedy był to tylko lekki zapach, ale teraz przerodził się w intensywny smród.

- A czym niby tak śmierdzą? - warknął pod nosem, starając się, by jego głos pozostał cichy, a z twarzy nie zniknął uprzejmy uśmiech.

- Głodem - odpowiedzieliśmy. - Nie tyle chciał pan zdobyć o nas wiedzę, ile był jej głodny jak konające stworzenie rozpaczliwie walczące o życie. Ale nie o swoje życie. O nasze. Minął już pan wtedy granicę, za którą przestał pan odróżniać to, co należało do innych, od tego, czego pragnął pan dla siebie. Wyczuliśmy pańskie intencje. Wiem o tym.

Opuścił głowę i przez chwilę kiwał nią tylko bez słowa. Potem uniósł raptownie wzrok.

- Przykro mi - oznajmił z całkowitym spokojem.

- Naprawdę?

- Przykro mi, że masz o mnie tak kiepskie zdanie. Nie wiem, co cię doprowadziło do takich wniosków, ale przykro mi z powodu twojego...

- Co mnie do nich doprowadziło? Doszedłem do nich mniej więcej w tej samej chwili, gdy pazury przeszły pierwszą z moich licznych tętnic! W tej samej chwili, gdy ciśnienie spadło mi tak bardzo, że zacząłem tracić wzrok. Gdy cień, pański cholerny cień, złapał mnie

za twarz, spojrział mi prosto w oczy i, mając na zębach moją krew, wyszeptał: „Daj mi życie!”. Nie sądzi pan, że to może bardzo szybko zmienić czyjaś opinię?

Bakker zadrzał.

- Słucham?

- Wie pan, co zrobię, kiedy stąd wyjdę?

- Nie.

- Znajdę stację metra, żeby położyć się na niej spać, otoczony najpotężniejszą magiczną barierą, jaką zdołam wybudować za pomocą biletu i dobrego zaklęcia. Nie wyjdę stamtąd przed wschodem słońca, by stwór, któremu kazał pan mnie zabić po naszym poprzednim spotkaniu, tym razem również nie miał łatwego zadania!

- Matthew, co to za stwór? Co się wydarzyło?

Jego głos był wysoki, pełen bólu i napięcia. Nie wiedziałem, czy powodem jest wysiłek włożony w kłamstwo - nie wątpiłem, że potrafi łączyć bardzo biegle - czy też był szczerze zaniepokojony. Po raz pierwszy na chwilę opuściła nas pewność. Niemal było nam go żal. Po to jednak tu przyszliśmy, tego chcieliśmy się dowiedzieć.

- To cień - odpowiedzieliśmy. - Ma pańską twarz.

- Nie rozumiem.

- Wyłania się z chodnika, w miejscach, gdzie ciemność jest wystarczająco gęsta. Zabił Patela, Awana, Khana, Akute...

- To jest stworzenie? Przywołane stworzenie?

- Ten cień ma pańską twarz - powtórzyłem cicho, wpatrując się w jego oczy w poszukiwaniu jakiejś reakcji, która nie byłaby drżącą niepewnością podszytą strachem. - Po naszej kłótni zaatakował mnie, kiedy byłem sam, nad rzeką. Nigdy nie widziałem, by coś poruszało się tak szybko. Po prostu się pojawił, *bang*, tuż za mną. Wygrał walkę, nim zdążyłem użyć zaklęcia. Teraz, gdy ma do czynienia z nami, nie jest już tak pewny siebie. Wygląda na to, że nie chce po prostu nas zabić. Raczej interesuje go to, co daje nam życie. Mówi do nas: „Cześć, ogniu Matthew” i jesteśmy pewni, że gdyby chciał pozbawić nas życia, już by to zrobił. Bawi się z nami, obserwuje nas, bada, próbuje dociec, co czyni nas tym, czym jesteśmy. Przez pewien czas będziemy mogli go powstrzymywać, wątpimy jednak, by istniał sposób pozwalający zabić tylko jego, a jego zabijemy z pewnością za to, co mi uczynił i co próbuje uczynić nam.

- I sądzisz, że to stworzenie coś ze mną łączy? Dlatego właśnie to wszystko zrobiłeś?

- Tak.

- Wyłącznie z tego powodu... że jest trochę do mnie podobne?

Znowu zaczął podnosić głos. Widziałem, że trudno mu zapanować nad sobą.

- Tak. A także dlatego, że zabija pańskich wrogów.

- Moich wrogów? Nie mam żadnych wrogów!

- A co z czarnoksiężnikami, którzy odmówili współpracy z Wieżą?

- Naprawdę sądzisz, że zabiłbym kogoś tylko dlatego, że nie zgodził się przyjąć korzystnej propozycji? Naprawdę sądzisz, że mógłbym cię skrzywdzić?

Zawahałem się. Po raz pierwszy tego wieczoru pozwoliłem sobie z niechęcią zastanowić się nad wszystkim. Pewność odpłynęła ode mnie jak krew wyciekająca z trupa.

- Nie wiem - odpowiedziałem po chwili. - Naprawdę nie wiem.

- Atakujesz moich przyjaciół na podstawie domysłów?

- Widziałem... dowody.

- Dowody? Jakie dowody?

- Zatroškani obywatele...

- Wykorzystują cię.

- Byłem trupem - przypomniałem mu. - O tym fakcie nie sposób zapomnieć.

- I uważasz, że to ja jestem winien?

- Tak.

- Dlaczego? Dlatego że się posprzeczaaliśmy?

- Tak.

- Nie wierzę, by mój Matthew mógł być aż tak głupi. Ale być może świadomość jestestwa, które nie potrafi zrozumieć nic poza własnym kapryśnym usposobieniem...

- To moja walka.

- I tylko wykorzystujesz do niej anioły?

- Nie.

- Na czym więc to się opiera?

- My również jesteśmy wściekli.

- Dlaczego?

- Dlatego... że...

Patrzył na mnie, bębniąc niecierpliwie palcami o poręcz wózka, podczas gdy próbowaliśmy sformułować odpowiedź.

- I co? - warknął wreszcie. - Powiedzcie... wy fragmenty nadmiarowej elektryczności, dziwne pozostałości uczucia, zbłąkane sygnały, co was skłania do takiego gniewu? Otrzymaliście dar wykraczający poza wszelkie zdolności pojmowania. Żyjecie! Przywołano was z przewodów, gdzie byliście jedynie konglomeratami znaczenia, otrzymaliście na

własność gotowe do użytku ciało, wspomnienia, doświadczenia oraz wiedzę, które zapewne są jedynym, co powstrzymało was przed wpadnięciem w obłąd, gdy tylko zdobyliście wzrok, słuch i inne zmysły. Zachowaliście całą swą moc i jednocześnie macie przyjemność żyć, istnieć w doskonałej, trójwymiarowej, fizycznie stabilnej postaci czarnoksiężnika! Dlaczego mielibyście się gniewać z tego powodu?

- Nie... z tego... cieszymy się, że zobaczyliśmy ten świat, że wreszcie rozumiemy, co znaczą zawarte w naszych sygnałach myśli opisujące „kolor żółty” albo „różowy”, że słyszymy dźwięki jako coś więcej niż tylko błysk matematyki przeszywający nasze skrzydła, gdy wędrowaliśmy w przewodach. Ale nie jesteśmy już sobą. Wtedy byliśmy wolni. Ten świat nie dopuszcza istnienia tego, czym byliśmy. Przybywając tutaj, zdobyliśmy... spostrzeżenia i... instynkty, których przedtem nawet nie potrafiliśmy sobie wyobrazić. Ale straciliśmy wszystko. Wszystko. Byliśmy niebieskimi elektrycznymi aniołami, mogliśmy znajdować się w tysiącu miejsc jednocześnie i mimo to zachować całość, mogliśmy odbijać się dla zabawy od księżyca, w jednej chwili przeglądać całą sumę wiedzy świata, mknąć z sygnałem z Ameryki do Zimbabwe, nawet się nie przemieszczając. Świat kręcił się wokół nas, trzykrotnie okrążaliśmy Ziemię na falach radiowych, znaliśmy każdy cal atmosfery, którego dotykaliśmy po drodze. Byliśmy bogami. A teraz jesteśmy śmiertelni.

Pokiwał powoli głową.

- Rozumiem. Jesteście tu tylko dzieckiem, prawda?

Nie odpowiedzieliśmy.

- Bardzo potężnym dzieckiem - dodał tonem wyrzutu. - Jest w tym ironia.

- Dlaczego?

- Kiedy prosiłem Matthew o pomoc w wezwaniu was, odmówił. Teraz, kiedy jest wami, a wy jesteście nim, przyznaję, że to skomplikowany związek, on z pewnością dostrzeże ironię.

- Ta myśl mi się nasunęła.

- I co? Teraz już wiesz, jakie są anioły. Czy nadal masz mi za złe, że pragnąłem je lepiej poznać?

- Tak - odparłem po chwili zastanowienia.

- Dlaczego?! - Omal się nie roześmiał, wypowiadając to słowo.

- Myślę, że... wszystko sprowadza się do kwestii intencji.

- To nie jest argument, który przekonałby sędziego.

- Ma pan zamiar mnie podać do sądu?

- Nie bądź płytki.

- Nie mam stałego adresu, pod który można by wysłać pozew.

- Zniknąłeś na dwa lata!

- A teraz wie pan już, gdzie byłem.

- Nie do końca.

- Sądzę, że reszty może się pan domyślić.

- Czego miałbym się domyślić? Mówisz, że padłeś ofiarą zabójstwa. Trudno mi to przełknąć, zwłaszcza że ostrzegałem cię przed paraniem się nekromancją, a poza tym nie masz problemów z cerą, typowych dla większości ożywionych trupów.

- Szczerze mówiąc, nie mam zbyt wielkiej ochoty opowiadać o szczegółach tego incydentu.

- Zatem nie dasz mi prawdziwej szansy, tak?

- Szansy?

- Czy miałeś jakiś lepszy powód, by tu przyjść?

- Nie wiem.

- A czy w ogóle wiesz, dlaczego tu przyszedłeś?

- Zaprosił mnie pan.

- Tak, ponieważ byłeś moim uczniem. A jak wygląda twój powód?

- Chyba... chciałem być pewien.

- Pewien czego?

- Czy nadal jest pan taki jak przedtem.

- I jestem?

- Nie wiem.

- Sprawiasz wrażenie zbitego z tropu.

- To bardzo skomplikowane. Czy mogę... czy mogę pana o coś zapytać? Chyba po to właśnie przyszedłem.

- Proszę bardzo.

- Naprawdę pan nie wiedział, że cień ma pana twarz?

- Matthew, czy jak tam właściwie się teraz nazywasz, nie mam pojęcia, o czym mówisz - odparł, spoglądając nam w oczy.

Próbowaliśmy wyczytać w nim choć odrobinę prawdy. Przez mgnienie oka rozpaczliwie pragnąłem mu uwierzyć, przeprosić go, zapewnić, że to już się więcej nie powtórzy, powiedzieć, że mam nadzieję, że potrafi wszystko zrozumieć i wybaczy mi, a potem dodać, że możemy mu to wyjaśnić i wszystko znowu będzie jak przedtem...

...ale nic już takie nie będzie...

czy to by nie znaczyło, że Lee i Khay zginęli na próżno?

...ciężarówka wyładowana ciałami...

po prostu nie wiedzieliśmy.

Wstałem pośpiesznie.

- Przykro mi - oznajmiłem, nie wiedząc dlaczego. - Bardzo przykro.

Ominąłem go i ruszyłem ku schodom.

- Matthew, zaczekaj! - zawołał, próbując obrócić wózek w ciasnej przestrzeni. -
Matthew!

- Matthew?

Głos dobiegał od drzwi baru. Kobieta w jednej ręce trzymała kieliszek szampana, a w drugiej torebkę. Jej krótką rączkę przerzuciła sobie przez łokieć. Torebka miała srebrny kolor, taki sam jak suknia. Buty dodawały jej kilka cali wzrostu, których właściwie nie potrzebowała. Suknia przylegała do całej powierzchni ciała niczym pożądlivy przyjaciel, a ciemnokasztanowe włosy z rudawą nutą były ostrzyżone na jeża. Odkąd ostatnio ją widziałem, znacznie straciła na wadze, ale w niektórych miejscach jej krągłości stały się wydatniejsze. Zachowała wyprostowaną postawę, a w krzywiźnie ramion i w szeroko otwartych oczach dostrzegłem tę samą spokojną godność. Gdy jednak Dana Mikeda spojrzała wtedy na mnie, nie tylko utrata wagi sprawiała, że ledwie ją poznałem.

Przeniosłem spojrzenie z Dany na Bakkerę, potem znowu na nią, następnie zaś, pod wpływem jakiegoś nerwowego tiku wywołanego przez widok mojego dawnego nauczyciela, ponownie zerknąłem na niego. Gapił się na mnie z bólem i niepewnością, a nawet odrobiną strachu. Pochylał się ku mnie, siedząc na samym brzegu stojącego na szczycie schodów wózka, jakby pragnął się z niego zerwać i rzucić w pogoń za mną, ale nie był w stanie tego zrobić. Minęła chwila, nim sobie uświadomiłem, co jest nie w porządku z tym obrazem. Nie chodziło o to, w jakiej pozycji siedział ani jak na mnie patrzył, ale o otoczenie. Wyciągając ku mnie rękę, jakby chciał mnie przywołać z powrotem, nie rzucał cienia.

Odwróciłem się i zwałem.

* * *

Kiedyś już uciekłem, dwa lata temu. W zimną noc, bardzo podobną do tej, biegłem wzdłuż brzegu rzeki po rozmowie z tym samym człowiekiem. Nadaremnie próbowałem sobie przypomnieć, czy wówczas towarzyszyło mu mroczne odbicie, czy też światło omijało go, jakby nie zauważało, że je blokował. Moje wspomnienia zbyt łatwo było zmieniać. Gdybym chciał, mógłbym w nich namalować obraz Bakkerę siedzącego na wózku w noc mojej

śmierci, i nie rzucałby na nim cienia albo na ścianie za nim malowałyby się jego wielka, mroczna sylwetka. Po prostu nie mogłem być pewien. Moja wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach, rozpaczliwie próbując odnaleźć luki we wszystkim, co myślałem, i w co wierzyłem, a potem zapełnić je na nowo.

Podobnie jak dwa lata temu, szedłem tak szybko, jak tylko mogłem bez wywoływania okrzyków „Złodziej!” i wpadania na ludzi wychodzących z teatrów, restauracji i sal koncertowych ulokowanych nad brzegiem rzeki. Tym razem jednak wiedziałem, co mi grozi, i obserwowałem własny cień poruszający się u moich stóp, czekając, aż zacznie zmieniać kształt. Byłem już w połowie drogi do Hungerford Bridge. Chodniki dodane do ongiś wyłącznie kolejowego mostu lśniły w blasku latarń niczym ośnieżone noże. W blasku świateł zapalonych na nadrzecznych drzewach cień przede mną podzielił się na kilkanaście niebieskawych fragmentów. Potem, stopniowo, zaczął się łączyć w czarną plamę o moim kształcie i wyginać w stronę światła.

Wtedy zacząłem biec naprawdę szybko. Przerzuciłem sobie tornister przez ramię najbezpieczniej jak mogłem i wmieszałem się w tłum, starając się trzymać blisko srebrzystej poręczy mostu. Co chwila wciągałem z niej w palce odrobinę zimna, a jednocześnie głęboko oddychałem nadrzecznym powietrzem. Rzeka ma w sobie moc, starą, głęboką magię, z której czerpali druidzi w czasach, gdy czarodzieje płonęli ogniem koloru pożarów lasów i przywoływali z chodnikowych kamieni bluszcz zamiast drutów kolczastych. Biegając, wciągałem je w płuca najgłębiej, jak mogłem, czułem, jak jego chłód wnika w moją krew, choć w części usuwając gorąco i ból z moich rozleniwionych nóg. Z owego wrażenia rodziło się poczucie oszałamiającej lekkości i siły. Przez chwilę czułem się pewien, absolutnie pewien, że nawet gdybym przebiegł cały maraton, moja skóra pozostałaby chłodna i nie czułbym suchości w ustach. Moje stopy uderzały o chodnik z głuchym, metalicznym dźwiękiem. Radowaliśmy się swą pewnością siebie, omijając po drodze późnonocnych turystów, wracających z Chinatown, gdzie jedli ostrygi w głębokim tłuszczu, albo zmierzających do hotelu przy ulicy Strand. Poruszaliśmy się z satysfakcją matematyka zbliżającego się do rozwiązania jakiegoś trudnego problemu, wiedzącego, że może znaleźć odpowiedź jeszcze tej nocy.

Dobiegłem do końca mostu i zszedłem po schodach do stacji Embankment. Przestraszyłem się na widok pustego, wyłożonego zieloną i żółtą cegłą tunelu wiodącego do dworca Charing Cross. Z łatwością mogliśmy tam paść ofiarą zasadzki. Przyciągnął nas tłum kierujący się do wejścia na stację. Na ulicy, z jej barami kanapkowymi, sklepami z drobiazgami oraz brudnymi kioskami, moc miała inny posmak. Czuliśmy ją koniuszkami

palców niczym wiatr od morza łaskoczący wewnętrzną powierzchnię mojej dłoni. Nie miała w sobie uspokajającej, tłumiącej zmysły aury rzeki. Zastąpiło ją głębsze, gorętsze wrażenie. Wyczuliśmy w nim łoskot przejeżdżających pod ziemią pociągów, a po chwili także puls samego miasta. Biegliśmy w jego rytmie, rytmie pasażerów, rytmie, który można wyczuć jedynie w pobliżu dworców, sprawiającym, że kroki wszystkich matek, ojców i dzieci przystosowują się do regularnego *tam tam tam tam*, nie dającego czasu, by się zatrzymać i zastanowić nad wyborem drogi, pchającego przechodniów do miejsca przeznaczenia, nie pozwalającego im na postoje i wahania. W owej chwili nieco lepiej pojmowałem magię motocyklistów, karmiącą się tymi osadzonymi w życiu miasta rytмами, które są najsilniejsze między piątą a wpół do ósmej wieczorem, gdy niemal cała ludność miasta przemieszcza się z miejsca na miejsce niczym fala pływu. Niemniej nawet tak późną nocą wyczuwałem unoszącą się w powietrzu moc.

Pobiegłem wzdłuż ulicy, czując zapach ostatnich kanapek w barze, rozlanego piwa, woń curry dobiegającą z otwartych drzwi indyjskiej restauracji, odór moczu bijący od drzwi jakiejś kancelarii prawniczej, fetor śmieci wyrzucanych przez okno włoskiej restauracji, a także opary potu mieszające się z muzyką disco, które wydostawały się na zewnątrz przez okno umieszczonej w podziemiach dworca sali gimnastycznej. Mój cień nadal nie chciał się dostosować do kierunku, z którego padało światło.

Pod stacją Charing Cross ominałem czekające taksówki i zatrzymałem się na moment na wyłożonym brązowymi kamieniami kręgu pod pomnikiem, tradycyjnie uważanym przez legendy za środek miasta. Owe opowieści mogły być prawdziwe lub nie, ale niegustowny, pełen ostrych kątów pomnik płonął jasno w moich zmysłach. Gdy stanąłem przed nim i przymknąłem oczy, przez chwilę czułem wszystkie gołębie, jakby były targanymi wiatrem włosami na mojej głowie, a także wszystkie szczury, jakby ich pazurki były krawędziami moich zębów. To było to samo wrażenie, którego zaznałem na szczycie Royal Mile w Edynburgu, przy Łuku Triumfalnym w Paryżu albo w dublińskim Temple Bar. Miejsce nie musiało leżeć w geograficznym centrum, wystarczyło, że było osią, magiczną północą kompasu. Po mojej skórze przebiegły ciarki mocy. Przez chwilę dokładnie wiedziałem, co czuje kobieta wspominająca pierwszy pocałunek swego byłego chłopaka w autobusie linii 9, maszynista pociągu, wspierający się na kierownicy w podziemnym tunelu, dziecko, które je frytki, przyglądając się na dworcu rozkładowi odjeżdżających pociągów, albo senny pasażer w kołującym do lądowania samolocie, patrzący na widoczne w dole miasto.

Przez chwilę miałem ochotę zatopić się w tych wrażeniach, jak zrobiło to wielu czarnoksiężników przede mną. Porzucili własną skórę i własne uczucia, rozpuszczając się w

mieście. Zawsze i wszędzie powtarzano mi, że największym grożącym mi niebezpieczeństwem jest walka z innym czarnoksiężnikiem w samym środku miasta, w jego sercu, gdzie bardzo łatwo byłoby mi zapomnieć, po co tu przyszedłem, i zatonać w oceanie dostępnej w tym miejscu magii. Człowiekowi wydawało się, że wykorzystuje magię do własnych celów, a po dniach - czasami nawet miesiącach - znajdowano go na miejskich ulicach, po których wędrował, niezachwianie przekonany, że jest autobusem linii 91, jadącym do Crouch End. W tym punkcie najłatwiej było się zatracić.

Stań się nami i bądź wolny!

Otworzyliśmy nagle oczy, ale nie ruszyliśmy się z miejsca. Nasze myśli wciąż były zaplątane w taniec brudnych gazet porwanych przez podmuch towarzyszący przejazdowi ciężarówki; w niemal niesłyszalny odgłos zmieniających się świateł ulicznych; w stukot żaluzji w supermarkecie...

Stań się mną!

Tak łatwo byłoby się zagubić...

...po prostu zatonać w mieście.

Cześć, ogniu Matthew!

Złapaliśmy za tornister, by się upewnić, że bezpiecznie wisi na ramieniu, i zerwaliśmy się do biegu. Nie zawracaliśmy sobie głowy patrzeniem pod nogi ani upewnianiem się, czy samochody się zatrzymają, gdy przebiegaliśmy przez ulicę. Nie musieliśmy patrzeć ani pytać. Czuliśmy hamulce wbijające się w nasze ciało, choć, gdy ostatnio spoglądaliśmy na swe ręce, nie były zrobione z oponowej gumy. Słyszeliśmy echo własnych kroków niosące się w kanałach na dole, gdzie pożywialiśmy się chińszczyzną z wyrzuconego kartonowego pudełka; widzieliśmy, jak biegniemy pod murem kościoła St Martin in-the-Fields; spoglądaliśmy z góry na swe gniazdo umieszczone w rynnie na dachu jednego z wysokich, białych domów o wielkich, zasłoniętych żaluzjami oknach oraz kiepską izolacją dachu, pozwalającą nam ogrzać się podczas deszczu. Wszystkie te znaki świadczyły o tym, że biegniemy.

Dotarliśmy do Trafalgar Square, przemknęliśmy przez jezdnię i zbiegliśmy po schodach na szeroki obszar otaczający Kolumnę Nelsona z jej wielkimi kamiennymi lwami przycupniętymi na piedestałach. Gołębie czmychały przed nami ku Arab Emirates Bank oraz Admiralty Arch, ozdobionymi figurami o wielkich biustach, upamiętniającymi triumfy imperium. Dalej rozciągał się widok na The Mall i pałac Buckingham. W centrum Londynu perspektywa szybko się zmieniała. Tylko z bliska Kolumna Nelsona wyglądała, jakby się ciągnęła ku niebu bez końca. Z odległości kilkuset jardów była niewiele wyższa od otaczających ją budynków. Stojąc na szerokich schodach u jej podstawy, czułem pełną

ekscytacji aurę Leicester Square, a także smak spokojnej, cierpliwej, masywnej magii St James Park, mimo że w mojej wyobraźni oba te miejsca zawsze leżały daleko od siebie.

Być może nasze zmysły pobudził strach, ponieważ pod Kolumną Nelsona znowu wyczuliśmy ognisko magicznej energii, czekające, aż zwrócimy na nie uwagę. Siedziało u naszych stóp z miłym wyrazem twarzy i otwartą paszczą pełną zmysłowych wrażeń. Zapraszało nas, byśmy zapomnieli, po co biegniemy i przed czym uciekamy, stali się żebrakiem siedzącym przy bankomacie, aktorem kłaniającym się publiczności przed opuszczeniem kurtyny albo po prostu żarem padających na scenę światła. Jako część miasta moglibyśmy dotrzeć wszędzie.

Przesunąłem palcami po gładkim boku jednego z lwów, docierając niżej, gdzie kamień stawał się szorstki z powodu zanieczyszczeń. Skupiłem się całkowicie na realnym dotyku.

Ja jestem...

my jesteśmy

Albo może...

myśmy są ja.

Już byłem wolny, już byłem tym, kim byłem. Nie musiałem upaść dzisiejszej nocy.

Zaczerpnąłem tchu, odwróciłem się i znowu zacząłem biec, tym razem w stronę wspartego na imponujących kolumnach wejścia do National Gallery oraz jej nowoczesnej, oszklonej przybudówki. Wpadłem do wąskiego przejścia między oboma budynkami i popędziłem w górę po schodach. Deskorolkarze zjeżdżali po rampach i przeskakiwali przez wąskie schody, kręcąc deskami i wydając z siebie chrząkliwe dźwięki zarówno po udanych, jak i nieudanych manewrach.

Na Leicester Square, nawet tak późno w nocy, panował spory ruch. Drzwi kin były otwarte, choć wejście do parku, strzeżone przez pomnik Charliego Chaplina, zamknięto łańcuchami. Światła w wesołym miasteczku również zgaszono. Zwolniłem kroku, idąc i starając się uspokoić oddech. Minąłem Swiss Centre, z jego okropnym zegarem z melodyjnymi dzwonami i automatycznymi figurami. Był tak niegustowny, że sam w sobie stanowił atrakcję, jego kiczowatość wyrażała ducha całej okolicy. Mijałem pośpiesznie oferujących bilety do kin koników, sklepy muzyczne, sprzedawców wełnianych kapeluszy, parasoli i gipsowych modeli gmachu Parlamentu, aż wreszcie dotarłem do Piccadilly Circus. Samochody oddalały się ze świstem wzdłuż Shaftesbury Avenue albo wlokły się w przeciwną stronę. Zwolniłem jeszcze bardziej, zatrzymując się przy posągach koni eksplodujących z fontanny, i dotknąłem wody palcami, przyglądając się setkom piątek leżących na dnie. Odbijające się w nich światła bilbordów, po których przesuwają się wysokie na metr

światliste napisy, co chwila zmieniały kolor, to były czerwone, to niebieskie, to znowu złote albo zielone lub jarzyły się gorejącą bielą. Grzebałem przez chwilę w torbie, aż wreszcie znalazłem fioletowe pudełeczko od jubilera z Bond Street. Wyjąłem z niego złotą monetę, ciężką i chłodną w dotyku. Gdybym nie wiedział, że to złoto, mógłbym ją wziąć za tanią plastikową ozdóbkę pomalowaną na określony kolor. Ciężar i dotyk metalu nie pozostawiały jednak miejsca na wątpliwości. Zamknąłem oczy, ściskając monetę tak długo, aż rozbolały mnie palce, i wypowiedziałem życzenie. Potem, nadal trzymając ją w zaciśniętej pięści, wsadziłem rękę do wody i otworzyłem dłonie.

Poczułem poruszenie powietrza i odwróciłem się instynktownie, wiedząc, co zobaczę. Kiedyś poczułem podobny powiew, zlekceważyłem go i zginąłem. Nie powtórzę już więcej tego błędu.

Głód wyłonił się z nawierzchni dopiero w połowie. Rósł z każdą chwilą, wysuwając się z cienia latarni. Jego sylwetka była tylko częściowo realna, łopoczący na wietrze płaszcz pojawiał się i znikał. Czarne pazury były jednak w pełni materialne. Uniosłem ręce i złapałem go za nadgarstki w tej samej chwili, w której spróbował rozszarpać nimi moją twarz. Jego kończyny miały widmowy charakter, widziałem przez nie barierki na brzegu ulicy. Przez pierś natomiast dostrzegałem riksze, odbywającą ostatni kurs do Soho.

- Naprawdę chcesz walczyć tutaj? - wysyczałem, zwracając się ku niemu. - W miejscu, gdzie jest tak wiele świateł, ludzi i mocy? Wydaje ci się, że to rozsądne?

- O czymś zapominasz - odparł. - Nie zobaczą mnie i nie będą mieli pojęcia kim jestem, gdy będę pił twój ogień!

Jego oddech był jak zimny powiew powietrza towarzyszący pociągowi przybywającemu na stację metra.

Szarpnął rękami, próbując się uwolnić. Nadgarstki miał tak cienkie, że moje dłonie obejmowały je bez trudu. Zdołał jednak sięgnąć palcami mojej skóry. Czarne pazury przebiły ubranie, wnikając w ciało. Nie przeszył mnie nagły ból. Czarne palce wnikały w moje kończyny powoli i niepowstrzymanie, jak nóż krojący zimne masło. To była żmudna robota, ale mógł sobie z nią poradzić. Przebił skórę, naczynia, mięśnie, jego palce musnęły kości i...

Chyba krzyknąłem, gdy moja krew popłynęła pod jego dłońmi, nadając kurtce dziwny, ciemnofioletowy kolor w ciągle się zmieniającym świetle neonów.

- Nic mnie nie obchodzą zasady stworzone przez wasz rodzaj - wyszeptał z uśmiechem. - Na tym właśnie polega wolność, tak? Zbyt wiele już razy mi się wymykałeś, mały czarnoksiężniku z niebieskim ogniem!

Jego siła była niepowstrzymana. Czuję tępy ból wypełniający mi łokcie i sięgający

już do piersi. Cień wzmacniał uścisk, choć nadal trzymałem go za nadgarstki. Mimo to nie objawił się jeszcze w pełni. Nie miał stóp, tylko tren płaszcza, ciągnący się za nim w cień latarni, jakby był foką do połowy wynurzoną z wody. Jego klatka piersiowa również była tylko zamazaną, szarą plamą, daleką od dotykanej rzeczywistości.

- Wypowiedziałeś życzenie? - zapytałem przez zaciśnięte zęby.

- Chcę się najeść do syta - odrzekł. - Zawsze do syta!

- W takim przypadku chyba trzeba zainwestować więcej niż dziesięć pensów.

Z początku nie pojął moich słów. Dopiero po chwili w jego zapadniętych, na wpół realnych oczach pojawił się błysk zrozumienia. Zerknął na konie wylaniające się z fontanny za moimi plecami, potem spojrzał na moją twarz i na mokry rękaw, który ścisnął, zabarwiony już moją krwią na różowoczerwony kolor. Uświadomiłem sobie, że jego ręka jest za chuda, zbyt niematerialna, by mógł poczuć, że to, co trzyma, jest mokre. Uśmiechnęliśmy się triumfalnie.

- Teraz wiemy, że jesteś słaby! - zawołaliśmy.

Zacisnęliśmy palce na jego widmowych nadgarstkach i szarpnęliśmy, wkładając w to każdą uncję swej siły, wspartej każdym płływem mocy i magii, jaki mogliśmy odnaleźć. Wbiliśmy palce nóg w podeszwy butów tak mocno, że nawierzchnia pod naszymi stopami zawibrowała lekko. Obróciliśmy go wokół siebie i pociągnęliśmy prosto ku fontannie, zwracając się twarzą w stronę wody. Gdy wlekiśmy go ku niej, zaczął się wyciągać. Jego nogi przerodziły się w szarą plamę ukrytą w cieniu latarni, a potem wydłużyły się niczym elastyczna lina. Zanurzyliśmy jego głowę. Woda wokół niej zagotowała się natychmiast. Buchnęła z niej para. Szamotał się gwałtownie, uwalniając dłonie i natychmiast sięgając ku mojej twarzy. Był jednak ślepy, gdyż zanurzyłem jego głowę tak głęboko, jak tylko zdołałem, zbliżając ją ku snopowi blasku reflektora padającemu na górujące nad nami konie.

- Wypowiadam życzenie - warknąłem. - Niech się stanie światło!

Wydłużone cienie latarni osłabły, poblądły, umknęły. Światło skierowanych na konie reflektorów przybrało barwę gniewnego, równikowego słońca, neony nad Piccadilly Circus strzeliły iskrami, z każdą chwilą stając się jaśniejsze, aż wreszcie musiałem zamknąć oczy. Światło ciągle jaśniało, przenikając przez moje powieki. Wszystkie samochodowe reflektory, światła hamulcowe, latarnie uliczne, witryny sklepowe i odbijające powierzchnie gorzały z siłą nowo narodzonego słońca, wypalając cienie i wszelkie ślady ciemności. Na krótką chwilę noc zamieniła się w dzień.

Śliska głowa, którą trzymałem w uścisku, zniknęła tak nagle, że aż się zachwiałem, omal nie wpadając do lodowatej wody. Usłyszałem w pobliżu ostry elektryczny trzask.

Pospiesznie wyjąłem ręce z wody. Reflektory na dnie fontanny rozjarzyły się jeszcze jaśniej. Ślepią koni miały w ich blasku obłąkany wyraz. Potem lampy zgasły. Ich przepalone druty zamieniły się w czarne skręcone robaki. Usłyszałem głośny huk, przypominający uderzenie pioruna w upalny, bezchmurny dzień lata, a potem pisk hamulców. Światła wszystkich samochodów przepaliły się jednocześnie, rozgrzane gorejącym blaskiem. Neony nad skrzyżowaniem Regent Street ze Shaftesbury Avenue stały się zbyt jasne, by na nie patrzeć. Potem one również eksplodowały, zasypując ulice gorącymi iskrami oraz lekkimi kawałkami szkła. Na zakończenie zgasły też latarnie uliczne, porzucając plac na pastwę ciemności i paniki.

* * *

Gdy Piccadilly Circus ogarnął chaos, siedziałem na brzegu fontanny. Po zgaśnięciu świateł piesi przeszli pośpiesznie od pisków zaskoczenia do łapania za komórki, by podekscytowanym głosem opowiadać krewnym i znajomym, że właśnie byli świadkami czegoś zdumiewającego. Co bardziej przedsiębiorczy robili zdjęcia na maksymalnej czułości albo filmowali nadal się palące latarnie Piccadilly w kontraście z ciemnymi lampami na Haymarket, w nadziei, że opchną te obrazy *Evening Standard*. Ruch uliczny zatrzymał się całkowicie, gdy kierowca autobusu linii 38, widząc, że jego reflektory eksplodowały, wpadł w poślizg i zatrzymał się w poprzek ulicy, stając przednimi kołami na chodniku. Autobus miał osiemnaście metrów długości, zdołał więc przegrodzić oba pasma. Niektórzy kierowcy naciskali na klaksony, inni, widząc, że nie ma co liczyć na szybkie przywrócenie porządku, szli kupić sobie kawę i pączki do pobliskiego całodobowego sklepu przy świetle latarek. Jak zawsze, gdy w Londynie dzieje się coś ciekawego, tłum zebrał się dwa razy szybciej, niż zdążyła przybyć policja. Wszyscy podziwiali cud, jakim były zgaszone światła, zastanawiając się nad tym, co mogło zniszczyć tak wiele lamp jednocześnie. Po pewnym czasie radiowozy dowlokły się wreszcie na miejsce przez wąskie uliczki Soho. Sygnały było słychać na kilka minut przed pojawieniem się samochodów. Wcześniej pojawiła się grupka policjantów w odblaskowych kurtkach, którzy stracili cierpliwość i postanowili pójść na piechotę.

Przez cały ten czas siedziałem na brzegu fontanny, podwijając rękawy koszuli. Na wewnętrznych powierzchniach obu moich przedramion pozostały po cztery ślady w kształcie regularnych półksiężyców. Wszystkie krwawiły obficie. Kusilo mnie, by przemyć rany wodą z fontanny, ale wykorzystanie magii życzeń do dezynfekcji byłoby w moich oczach nadużyciem mocy wypełniającej to miejsce. Wyjąłem z kieszeni drobną monetę, podziękowałem w myślach duchom miejskiej magii, które pobłogosławiły fontannę mocą

spełniania życzeń, i wrzuciłem pieniądze do wody, przyglądając się, jak tonie. W mroku nie widziałem złotej monety i po cichu podejrzewałem, że już jej tam nie ma.

Przeszedłem przez ulicę, kierując się do czynnej przez całą dobę apteki, gdzie kupiłem bandaże i jakiś płyn odkażający. Szczypanie było tak silne, że omal nie pobiegliśmy szukać wody. Usiedliśmy w automacie fotograficznym, żeby nikt nam nie przeszkadzał, i owinęliśmy krwawiące kończyny warstwą bandażu tak grubą, że nie dało się jej schować pod rękawami koszuli. Gdy szliśmy do domu tylko płaszcz osłaniał bandaże przed ciekawością próbującej przywrócić ruch policji.

* * *

Kiedy obudziliśmy się rano, krew nadal ciekła. Bandaże przesiąkły nią całkowicie. Dzień, który w naszym wyobrażeniu miał być dniem względnego triumfu, zaczął się źle.

Późnym rankiem krwotok wciąż nie ustawał. Wymeldowaliśmy się z hotelu i poszliśmy poszukać lekarza.

Gdy dotarliśmy do szpitala na południe od rzeki, doktor Seah przyjrzała się naszym ranom.

- O kurczę. No tak, wie pan, uczą nas, żebyśmy okazywali pacjentom współczucie, pocieszali ich i cały ten syf. Ale, patrząc na to... ma pan totalnie przesrane.

- Co mi jest?

- Hemofilia? - zapytała z bólem w głosie.

- To mało prawdopodobne.

- Zgadzam się z tą opinią, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że był pan tu w zeszłym tygodniu i jakoś się nie wykrwawił. Wie pan co, tak dla jaj, może wezwę karetkę?

Unieśliśmy kończyny pod światło, przyglądając się krwi nadal spływającej do łokci.

- To może nie wystarczy - odparliśmy. - Lepsza byłaby taksówka.

* * *

Słabość. Ludzka słabość, blada, wątła, dogorywająca. Jak mogliśmy pozostać sobą, uwięzieni w umierającym ciele?

Pora, bym przejął kierownictwo. Muszę być praktyczny, rzeczowy, zachować trzeźwość myślenia w sytuacji narastającego napięcia, przemawiać spokojnym tonem, patrzeć przed siebie, opuszczać podbródek i nie wysuwać ramion do przodu. Jeśli zacznę mówić i wyglądać, jakbym się bał, nim zdążę zauważyć, stanie się to prawdą.

Doktor Seah wezwała taksówkę. Wsiedliśmy do niej z drżeniem rąk i podaliśmy adres.

- Na pewno nie potrzebuje pan lekarza? - zapytał taksówkarz. - Nie wygląda pan...

- Mam znajomego lekarza pod tym adresem.

- No dobra, skoro pan tak mówi.

Zawiózł mnie tam, gdzie chciałem się znaleźć - na Chalfont Street Market. Po jednej stronie miałem szare szyby dworca Euston, po drugiej zaś czerwone cegły British Library, starającej się wtopić w bajkowe wieże i łukowate okna dworca St Pancras. Wysiadłem, podziękowałem taksówkarzowi, zapłaciłem mu resztką posiadanych pieniędzy i oddaliłem się kawałek chwiejnym krokiem, by go upewnić, że wybieram się w tamtą stronę. Po odjeździe taksówki wróciłem na to samo miejsce, czując drżenie kolan

bać się znaczy nie być wolnym

jesteśmy...

...jestem...

stań się mną...

Ruszyłem przed siebie, zmusiłem nas do chodzenia, ponieważ wiedziałem, co to znaczy, być tak słabym, a my nie mieliśmy o tym pojęcia. Okrążyłem róg, docierając do powybijanych, zabitych deskami okien Elizabeth Garrett Anderson Hospital. Jego mury o barwie herbaty z mlekiem zasłaniały przed wzrokiem przechodniów wysokie billboardy z płyt wiórowych, pokryte ogłoszeniami koncertów albo czasopism, a gdzieniegdzie także graffiti Białych. Pyski ich czarno-białych krokodyli wskazywały w stronę centrali Kingsway. Za rogiem, przed głównym wejściem, nad którym umieszczono ledwie się trzymający zielony szyld witający w szpitalu, wisały tabliczki z napisami: „Niebezpieczeństwo”. „Zakaz wstępu” i „Dzieciom wstęp wzbroniony”. Drzwi zabezpieczono blachą falistą i zamknięto na kłódkę. Ktoś namalował na nich twarz białej pielęgniarce z zamkniętymi oczami. Ktoś inny napisał obok wielkimi, czarnymi literami „GDZIE NASZE GŁOSY???” Zapukałem, ale blacha załomotała tylko głośno o framugę. Potłuczone szkło chrzęściło pod moimi nogami niczym gruba warstwa śniegu.

- Hej! - zawołałem do wybitych okien, kopiąc żelazną barierę, ale warkot jadącego od dworca Euston autobusu zagłuszył mój głos.

Straciliśmy cierpliwość i wyjęliśmy z tornistra zestaw surowych kluczy. Grzebaliśmy przez chwilę przy zamku śliskimi, okrwawionymi palcami, aż wreszcie znaleźliśmy odpowiedni klucz, skłoniliśmy go do zmiany kształtu i otworzyliśmy kłódkę. Potem odsunęliśmy łańcuch i otworzyliśmy drzwi z bolesnym zgrzytaniem trącego o chodnik metalu. Na koniec weszliśmy do środka przez wybitą szybę oszklonych drzwi.

Przez luki między deskami w oknach do środka wnikały snopy bladego światła pochmurnego dnia. W pustych korytarzach wałało się mnóstwo odłamków szkła, z

popękanych rur i zbutwiałych drewnianych belek skapywała woda. Mimo to łatwo było wyczuć ślady tego, czym był ongiś ten budynek. Płytki podłogowe wyblakły po latach narażenia na powódzie, susze i kolejne powódzie, pokrywały je plamy pleśni oraz interesujące kępki intensywnie zielonego mchu. W powietrzu unosiła się zimna, ostra woń rozkładu. Zatrzymałem się przy szczelinie w ścianie, zerwałem kilka fioletowych kwiatków budlei, zmiąłem je w dłoni i schowałem do przedniej kieszeni tornistra. Ta roślina pojawia się we wszystkich porzuconych londyńskich budynkach, wyrasta z każdego muru przy torach kolejowych i pojawia się na opuszczonych placach budów, zakorzeniając się w kamieniu. Dlatego kwiaty budlei mają szczególne właściwości użyteczne dla każdego miejskiego maga. Gdziekolwiek się pojawiają, nie wolno ich ignorować.

Schowałem do tornistra ostatni skrawek fioletu i skręciłem w lewo, przypadkowo wybierając kierunek. Szedłem przez kałuże stojącej wody, zanieczyszczone obłokami chemicznej bieli, aż wreszcie dotarłem do schodów. Połowa pokrywających stopnie płytek zniknęła, odsłaniając podrapany beton leżący pod spodem. Ścianę wspierało rusztowanie. Schody wiodły na pierwsze piętro, do kolejnego pustego, dusznego korytarza.

- Halo! - zawołałem.

Głucha cisza pochłonęła mój głos tak szybko, że nie byłem pewien, czy rzeczywiście się odezwałem.

Skręciłem w prawo, a potem w lewo, nadal wybierając kierunki przypadkowo. Chciałem już wejść na drugie piętro, gdy nagle za mną coś stuknęło. Odwróciłem się. W korytarzu stała kobieta w stroju pielęgniarki. Jej twarz była niemal zupełnie biała, tak samo jak na graffiti namalowanym na blaszanych drzwiach, a czepek miał taki sam niebieski kolor, staromodny i niemal teatralny. Twarz kobiety miała straszliwie poważny wyraz.

- Kim pan jest? - zapytała pielęgniarka oficjalnym tonem.

Włosy miała srebrnosiwe. Z jej fartuszka zwisał zegarek. Na chudych nogach miała czarne rajstopy i wygodne buty tego samego koloru, a staro wyglądające dłonie spłotła przed sobą.

Nie odpowiedzieliśmy.

- Proszę, niech pan podejdzie - powiedziała po chwili. - Nie mogę tu czekać cały dzień.

- Swift - wyjąkałem. - Nazywam się Swift.

- W czym mogę panu pomóc, panie Swift?

- Szukam szpitala.

- Jak z pewnością pan widzi, to jest szpital - zauważyła. Jej głos nie zmienił tonu,

twarz ciągle miała ten sam wyraz. Kobieta nie poruszała rękami i odnosiłem wrażenie, że patrzy na mnie z góry, choć była jakieś pół stopy niższa ode mnie.

- Tak. Przepraszam. Rzeczywiście widzę.

- W takim razie, po co pan pytał?

- Potrzebuję pomocy.

- Po to właśnie ludzie przychodzą do szpitala. Na czym polega pański problem?

Podwinąłem rękaw płaszcza, odsłaniając jeden z zakrwawionych bandaży. Zacisnęła usta.

- Hmm - mruknęła pod nosem, a potem cmoknęła. - Proszę pójść za mną - warknęła. - Migiem.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła wzdłuż korytarza. Choć wyciągałem nogi, trudno mi było za nią nadażyć bez przechodzenia w bieg.

- Zapewne zwrócił się pan do zwyczajnej placówki, ale kazali panu zapisać się na listę oczekujących, mam rację?

- Tak.

- I co? Proszę nie marnować mojego czasu zwyczajowymi, nieadekwatnymi usprawiedliwieniami, panie Swift. „Po prostu bawiłem się kośćmi umarłych” albo „Tak się złożyło, że przypadkowo wezwałem ducha tysiąca odłamków spadającego szkła” czy coś w tym rodzaju. Naprawdę wszystko mi jedno, jak doszło do tych obrażeń. Po prostu potrzebuję pełnej informacji, by postawić trafną diagnozę.

W pokoju, do którego weszła, było ciemno i cuchnęło tam stęchlizną, podobnie jak w pozostałych pomieszczeniach, ale w przeciwieństwie do nich stał tam wielki drewniany kredens o drzwiach zamkniętych na kłódkę oraz fotel dentystyczny, nad którym umieszczono lampę. Choć nie prowadził do niej żaden przewód, paliła się coraz jaśniej w miarę zbliżania się pielęgniarce. Kobieta skinęła na mnie, każąc mi usiąść w fotelu.

- To co właściwie się stało? - zapytała, gdy jej posłuchałem.

- Szczerze? Zaatakował mnie żywy cień czarnoksiężnika, zrodzony z ciemności i głodu stwór pragnący wypić moją krew. Udało mi się go pokonać dzięki magii życzeń i mnóstwu jasnego światła, ale wbił paznokcie w moją skórę i teraz rany nie chcą przestać krwawić.

- Ciekawe - stwierdziła obojętnym tonem Wyjęła z kieszeni fartucha okulary, które następnie założyła na nos, oraz nożyczki, robiące wrażenie bardzo ostrych. - Ale to nic nadzwyczajnego. Pewnie nie zdołał pan zabić tej żywej esencji ciemności?

- Bardzo w to wątpię.

- Czy to nie byłoby najrozsądniejsze rozwiązanie? - zapytała, spoglądając na mnie przez trzymające się na samym czubku nosa szkła.

- To cień - wyjaśniłem. - Nie straci życia, dopóki nie umrze ten, kto go rzuca.

- Jakie to nudne - poskarżyła się. - Wie pan, czasami zastanawiam się, po co właściwie zawracam sobie tym głowę. I tak wszyscy prędzej czy później tu wracają.

Zaczęła sprawnie przecinać bandażę, a po ich zdjęciu cmoknęła na widok półksiężycowatych śladów na skórze.

- No cóż...

- Nie... wiem, co powinienem pani oferować w zamian za pomoc - wyznałem. Odwróciliśmy głowę i przymknęliśmy oczy, nie chcąc patrzeć na własną krew.

- Zaoferować? - W jej głosie pojawiła się piskliwa nuta oburzenia. - Młody człowieku, są trzy rzeczy, które czynią Brytanię wielką. Pierwszą jest nasza nieudolność w sportach zespołowych.

- Dlaczego czyni nas to wielkimi?

- Mimo że porażka jest pewna, nie przestajemy próbować, absolutnie pewni, że w tym roku się uda, nawet jeśli nic na to nie wskazuje!

Uniosłem brwi, ale dzięki temu wyraźniej widziałem własną krew, odwróciłem więc wzrok, nie mówiąc nic więcej.

- Druga to BBC - ciągnęła pielęgniarzka. - Może i jest nierówna, niedoinwestowana, goni za sensacją i nie można jej ufać, ale jestem szczerze przekonana, że bez serwisu światowego, adaptacji mało znanych powieści Dickensa, programu *Today* i *Doktora Who* kultura i życie społeczne tego kraju spadłyby do poziomu małopółdów, głównie z powodu wynalezienia telefonu komórkowego!

- Och - odparłem, czując, że czegoś się ode mnie oczekuje. „Och” powinno wystarczyć.

- A na koniec mamy publiczną służbę zdrowia!

- Za tę usługę płaci publiczna służba zdrowia? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Tego nie powiedziałam. Zauważyłam tylko, że ona czyni Brytanię wielką. Proszę leżeć spokojnie.

Wykonałem jej polecenie, starając się nie cofać, gdy dotykała bolesnych obrażeń na moich przedramionach. Znowu cmoknęła.

- A co z Beatlesami? - zapytałem nagle.

- A co ma być?

- Czy oni nie czynią Brytanii wielką?

- Niech pan tylko nie próbuje puszczać tych głupich kutafonów w moim szpitalu.

- Przepraszam.

- Zabrał pan odrobinę budlei? - zapytała po chwili.

- Tak. Czy to w porządku?

- Rośnie jej tu mnóstwo. Co mi to przeszkadza?

- Ale... zapytała pani.

- Pielęgniarka powinna starać się uspokoić pacjenta podczas nieprzyjemnych zabiegów, by móc je wykonać szybko i bez przeszkód.

- Nie zrobiła pani nic nieprzyjemnego... - zacząłem, ale potem się zawahałem.

- Słowa, których pan nie wypowiedział, brzmią „jak dotąd” - zauważyła, odsłaniając w uśmiechu drobne zęby. - Cieszę się, że powstrzymał się pan przed lekkomyślnymi deklaracjami.

- I to miało mnie uspokoić?

- Przeżył pan, z trudem, atak żywego cienia, esencji ciemności - przypomniała mi. - Odrobina szczeroci pana nie zaboli. Nie w takim stopniu, jak sam zabieg.

- Lubi pani swoją pracę?

- To zajęcie jak każde inne.

- Naprawdę?

Wyjęła z kieszeni kluczyk i otworzyła masywną kłódkę zamykającą kredens. Półki w jego wnętrzu skrywał cień.

- Boi się pan lekarzy - zaczęła z werwą przy akompaniamencie brzęku szklanych naczyń. - Boi się pan medycyny. Nic w tym złego. Ma pan też parę złamanych żeber, skręconą kostkę i mnóstwo siniaków, a w ciągu minionych dwóch lat znalazł się pan w stanie śmierci klinicznej. Dlatego rozumiem pański punkt widzenia.

- Skąd pani wie to wszystko?

- Powiedzmy, że wyczytałam to z pana dłoni. Naprawdę chce pan wiedzieć? - odparła bez śladu zainteresowania w głosie. Odwróciła się, sięgając po wielki, kuchenny słoik wypełniony jakąś ciemną galaretą. - Tłuczone czaszki szczurów, odsolona woda z Tamizy, zmielony suszony mech zdrapany z przeciekającej rury na dworcu Kings Cross, szczypta sproszkowanej zaprawy murarskiej oraz ślad benzyny bezołowiowej, zebranej z powierzchni kałuży po sierpniowej burzy. Wszystko to zmieszane, ogrzewane w mikrofalach przez dziesięć minut i naświetlane przez trzy doby światłem lampy fotograficznej. Nada się?

- Do czego?

Ponownie cmoknęła, słysząc te impertynenckie słowa.

- Panie... Swift, zgadza się? Panie Swift, czy zadał pan sobie trud rozważenia medycznych implikacji obrażeń zadanych przez stwora zrodzonego z czystej ciemności, nim lekkomyślnie wdał się pan w walkę na śmierć i życie? Wątpię w to. Młodzi ludzie nigdy się nie zastanawiają nad takimi sprawami. Wydaje się wam, że jesteście nieśmiertelni. Proszę leżeć spokojnie.

Zdjęła pokrywkę z sykiem uciekającego powietrza, a potem z jednej z kieszeni - zrodziło się we mnie podejrzenie, że są za małe, by pomieścić to wszystko, co z taką swobodą do nich wpychała - wyjęła małą drewnianą szpatułkę. Zaczepnęła sporą dozę ciemnej, błyszczącej mazi, złapała mnie za prawy nadgarstek, unieruchamiając mi rękę z siłą imadła, a potem zaczęła smarować rany z obojętną miną babci nakładającej polewę na tort urodzinowy.

Efekt przypominał działanie ostrego wietnamskiego curry. W pierwszej chwili nie czułem nic poza wrażeniem przypominającym dotyk wielkich baniek mydlanych poruszających się po skórze albo lepkiej mąki splukiwanej z palców. Pieczenie zaczęło się dopiero wtedy, gdy umysł dał się przekonać, że nie będzie tak źle. Najpierw nadeszło tępe swędzenie, które po chwili przerodziło się w palące, gwałtowne pulsowanie, sięgające do kości i przechodzące za staw łokciowy, aż ku łopatce. Palce mi płonęły, a w szyi łapały mnie kurcze. Szarpnęliśmy się gwałtownie pod wpływem szoku, ale pielęgniarka trzymała nas mocno.

- Niech pan nie będzie dzieckiem - mruknęła bez śladu wesołości na twarzy.

- Boli! - jęknęliśmy, pełni ulgi, że możemy znowu zaczerpnąć tchu, a brzmienie własnego głosu odwróci naszą uwagę.

- Zaraz przejdzie - zapewniła. - Gdyby naprawdę było tak źle, zastanowiłabym się, czy nie podać panu środka przeciwbólowego, ale wie pan, jak to teraz jest. Cięcia budżetowe.

Ciemna substancja pokrywająca naszą skórę zaczęła się mieszać z krwią, tworząc zawirowania ciemnobrązowego koloru melasy.

- Zakreśli się panu trochę w głowie - ostrzegła pielęgniarka - ale proszę zapanować nad czarnoksięskimi pragnieniami spalenia mojego szpitala. Mimo swej niewyczerpanej cierpliwości publiczna służba zdrowia nie jest aż tak wyrozumiała, a my musimy przyjmować wszystkich pacjentów.

Zacisnęliśmy mocno powieki i przygryźliśmy wargę, czując smak krwi. To właściwie nie były zawroty głowy, a raczej rozluźnienie myśli, dezintegracja ich liniowej, artykułowanej struktury, sformalizowanego rozumowania i ludzkich dźwięków. Wszystko to się rozszczepiło, gdy nasz umysł rozdał się niczym balon na gorące powietrze, dzieląc się na części składowe, jak w mętym stanie świadomości tuż przed zaśnięciem albo obudzeniem,

gdy deklaracja, że złota rybka nie lubi obierać ziemniaków w autobusie wydaje się całkowicie logiczna. Zawsze uważałem swe myśli, świadome procesy, za racjonalne wyjaśnianie rzeczywistości zgodne z wymogami języka, w tym stanie nasze procesy myślowe wyglądały jednak zupełnie inaczej...

halo? halo? ehe cześć szukam jeffa ehe jeffa faceta z nie nie mogę odwieść słuchawki dopóki mnie nie wysłuchasz on

*mama umarła w czwartek, tak w przyszłym tygodniu będzie
trzy placuszki papad nie trzy. trzy. dobra jeśli tak powiedzieli
posłuchaj przenieśmy to na wtorek, muszę jechać i
na pomoc! jest w domu i idzie tutaj i o boże o boże jeśli
ehe ja też za tobą tęsknię*

halo?

halo?

HALO?

Otworzyliśmy oczy. Gdy pielęgniarzka nabrała kolejną porcję mazidła, złapaliśmy ją za rękę.

- Kiedy ostatnio rozmawiała pani przez telefon? - wysyczeliliśmy.

- Panie Swift, to nie ma nic...

- Miała pani na imię Jean, ale potem pani ojciec umarł. Był lekarzem. Płakała pani, mówiąc pomóż mi, pomóż mi, proszę, ale ona była w Paryżu i nie była w stanie przybyć na czas, bo było Boże Narodzenia i nie mogła dostać biletów. Mówiła: „Wszystko będzie dobrze, kochanie, wszystko będzie dobrze”. Znalazła pani kostium, wiedziała pani o magii, wiedziała, jak ona działa, opowiedziała pani przyjacielowi przez telefon o swoim planie, a on zapytał, co pani wygaduje, a pani się z nim pożegnała. Przykro mi, że muszę cię opuścić, żegnaj. Zawszę będę o tobie myślała. Potem odwieściła pani słuchawkę i do tego czasu nigdy już nie odebrała telefonu. Umilkła pani, nie chciała nic wiedzieć o niczym, czego nie widziała pani na własne oczy, o nikim, kto nie był blisko. Żadnych głosów z oddali, żadnej odpowiedzialności, po prostu żegnaj, Alex, czasem o tobie pomyślę, ale ty o mnie nie myśl, żegnaj.

Jean wysunęła ostrożnie rękę z naszego uścisku i ze spokojem spojrzała nam prosto w oczy.

- Fascynujące - wyszeptęła po chwili. - Wie pan co? Naprawdę powinien był pan mnie ostrzec, że dzieli swą świadomość z fragmentami wspomnień porzuconych w przewodach telefonicznych. To ma znaczenie medyczne.

Przemawiała spokojnie, ale jej ręce drżały.

- Znamy panią - wyszeptaliśmy.

- Naprawdę?

- Wiemy, co pani powiedziała.

- Skąd?

- To...

gdzieś w ulatujących myślach

blękitnych wspomnieniach tego, czym jesteśmy

halo?

słyszysz mnie?

czy ktoś mnie słyszy?

halo?

muszę już iść, kochanie, muszę już iść

nie odwieszaj słuchawki

żegnaj

dobranoc, słodkie sny!

halo? szukam numeru jednego faceta

halo?

- Jesteśmy pozostawionymi przez siebie wspomnieniami - wyszeptaliśmy. - Jesteśmy... uczuciami, które brzmiały w twoim głosie, nawet jeśli on ich nie słyszał. Jesteśmy...

- To interesująca reakcja na środek, który powinien powodować tylko lekkie zawroty głowy - przerwała mi. - Czy pańska krew zawsze przybiera niebieski kolor i wije się jak czerwie w kontakcie z tlenem?

Zerknęliśmy na strumyczek niebieskich iskier spływający po naszej skórze w miejscu, gdzie lekarstwo spotkało się z krwią. Nagle dopadły mnie mdłości. Świat zawirował wokół mnie, wszystko przesłoniła mgiełka, głowa mnie rozboleła, a uszy wypełnił szum. Mój umysł nie był już unoszącym się w górę balonem. Wypełnił go ołów, ściągający mnie w dół z dźwiękiem

halo?

czy ktoś mnie słyszy?

nigdy nie miałam okazji powiedzieć...

posłuchaj, wiem, że takich spraw nie powinno się załatwiać przez telefon, ale chcę, żebyś usłyszał

szukam kogoś kto

operator?

halo? Halo? HALO?

- Proszę mi pomóc! - wykrztusiłem przez zaciśnięte zęby. - Niech mi pani pomoże!

- Hmm, to zależy, na czym polega pana problem - odparła pielęgniarka z nieskończoną cierpliwością w głosie.

- Nie pamiętam! Nie pamiętam, kim... nie pamiętam, kim byłem przedtem! Nie pamiętam, jak byłem mną!

- Potrzebny jest panu raczej psychiatra, nie pielęgniarka - wyjaśniła kobieta, natychmiast przechodząc na profesjonalny tryb zachowania. - Mogę panu wypisać skierowanie. Czy nadal chce pan, żebym powstrzymała krwawienie? - zapytała spokojniejszym tonem, zapominając o ostrzej brzmiących słowach, które wypowiedziała przed chwilą.

- Nie wiemy, nie wiemy...

- Nie chciałabym psuć panu wieczoru, ale w przeciwnym razie czeka pana powolna śmierć z powodu anemii. Muszę też dodać, że z pewnością nie poprawi to pana cery... - Na jej twarzy pojawił się uśmiech, może niezupełnie okrutny, ale z pewnością niewyrażający współczucia. Pochyliła się nade mną. - Chyba że to kusząca perspektywa?

Zawahałem się.

- Nie - odpowiedzieliśmy.

Zaskoczyło nas, że się odezwaliśmy, że zdziwieniem usłyszeliśmy w swym głosie pewność, przekonanie tak głębokie, że zdumiewało nas, iż nie przemówiliśmy wcześniej i bardziej kategorycznie.

- Jest pan pewien? Jeśli chce pan pomocy psychiatry...

- Nie. Chcemy... nie. Proszę, niech nam pani pomoże.

- Nam czy mnie?

- Jesteśmy jednym i tym samym.

- Jest pan tego pewien? - zapytała uprzejmie. - Odnoszę wrażenie, że jeden z was ma krew niebieską, a drugi czerwoną, że jeden wie o sprawach rozgrywających się w przewodach telefonicznych, a drugi, zapewne ten, który jest klinicznie martwy, ma lepiej zakorzenione ego, chociaż, rozumie pan, nie chciałabym snuć spekulacji na temat spraw, na których się nie znam. Możecie dzielić ze sobą jedną skórę i jeden głos, ale nie jestem pewna, czy posuwacie się tym samym torem.

Zastanowiliśmy się...

A potem się zastanowiłem...

- Przepraszam - powiedziałem.

- Przepraszamy - dodaliśmy.

- Nie... proszę, niech mi pani wybaczy... - wymamrotałem.

- Nie sądziliśmy, że... nie... - wyjaśniliśmy.

- Teraz drugą rękę - oznajmiła, przenosząc żelazny uchwyt z jednego nadgarstka na drugi. - Tym razem niech pan spróbuje nie sypać na wszystkie strony niebieskimi iskrami, dobrze? Osądzanie pacjentów nie należy do moich zadań.

- Dlaczego? - zapytaliśmy.

- Pomogłaby pani mordercy? - dodałem.

- Tak - odparła stanowczo. - Gdyby był chory.

- Dlaczego?

- Przysięga medyczna, zobowiązania służbowe, obowiązek, powody prawne, zasady obowiązujące w publicznej służbie zdrowia i tak dalej.

- Ale dlaczego?

- Powinien pan to wiedzieć. Jeden z was powinien.

- Który? - zapytałem, uśmiechając się mimo woli, choć ból wypełniał mi głowę i ręce.

- To nie tak wygląda - dodaliśmy, krzywiąc się boleśnie.

Zatrzymała się na chwilę, spoglądając na nas z góry. Po trzymanej przez nią drewnianej łopaty spływała czarniawa maź.

- Życie to magia - oznajmiła. - Nie ma w nim nic więcej. Przegrywa pan tę walkę, prawda, czarnoksiężniku? Nie może już pan dłużej nad nimi zapanować?

- Tak - odparłem. - To znaczy... nie.

- Więc w końcu jak?

- To zależy od tego, czy pytanie było retoryczne.

- Widzę, że jest pan nie tylko magicznie zdezorientowany, lecz również dowcipny. -

Wzruszyła ramionami. - Niech i tak będzie.

- I to wszystko? „Niech i tak będzie”?

- Osądzanie pacjentów...

- Nie należy do pani zadań. Wiem.

- Skończę oczyszczać ranę i zabandażuję ją. - Rozpromieniła się. - Proszę zmieniać bandaż dwa razy na dobę przez najbliższe trzy dni. Potem może się pan zadowolić plastrami. Mężczyźni w bandażach wyglądają tak wzruszająco, że nie sposób na nich patrzeć. Mają kompleks wyższości, bo nie dostają co miesiąc okresu, ale kiedy noszą bandaż, chcą tylko,

żeby ich kochać.

- Mówi pani o mnie czy przemawia przez panią zdobyte doświadczenie?

- Podejrzewam, że nie zechce się pan poskarżyć moim zwierzchnikom, nawet jeśli nie podoba się panu moje zachowanie.

- A kim są pani zwierzchnicy?

- Hmm... - Machnęła beztrąsko szpatułką, rozpryskując po całym pokoju krople lepkiej, ciemnej mazi. - Powiedzieć o nich „wyższe siły” byłoby zbytnim komplementem, „półbogowie” przydałoby całej sprawie religijnego aspektu, „duchy” zanadto kojarzą się z Piotrusiem Panem, zostańmy więc przy...

- Mocach tajemnych?

- Bystrzak z pana.

- Dziękuję.

- Czuje się pan już lepiej? Czy zmniejszyła się liczba czarnych plam przed oczyma, wrzaskliwych głosów i niekontrolowanych magicznych wspomnień?

- Trochę się zmniejszyła. Dziękuję.

- Wykonuję tylko swe obowiązki - odpowiedziała. - A teraz pójde po bandaż. Niech się pan nie rozpadnie na części składowe, dopóki nie wrócę.

- Zrobię, co będę mógł - zapewniłem. Ku naszemu zdziwieniu, powiedzieliśmy to szczerze.

* * *

Przyniosła bandaż. Pozwoliła, by czarniawa maź przyschła na naszych rękach, pokrywając je cienką skorupką, a potem energicznie owiązała je szorstką tkaniną, drażniąc przy tym rany tak mocno, że przestraszyliśmy się, że znowu zaczną krwawić. Zerknąwszy na półksiężycowate ślady pozostałe po ataku Głodu, przekonaliśmy się jednak, że nie tylko już nie krwawią, ale wręcz przerodziły się w szerokie, ciemne blizny. Ów widok przyniósł nam zdumiewającą ulgę. Wydał się też czymś zupełnie naturalnym.

Pielęgniarka sprawnie zabandażowała nasze ręce, a potem klepnęła nas w ramię.

- Dobrze, proszę zawołać następnego pacjenta - rzekła.

- Jest następny pacjent? - zdziwiliśmy się.

- Klątwa straszliwego trądziku.

- To opis jego stanu czy groźba?

- Chciałby się pan przekonać? Proszę już zmiatać, dobra? Mam przeciążony harmonogram. Nie słyszał pan, że mamy w kraju za mało personelu medycznego?

To był koniec. Nie miała ochoty więcej z nami rozmawiać. Wzruszyliśmy ramionami, podnieśliśmy tornister i ruszyliśmy ku drzwiom.

Odwrociliśmy się w nich i zobaczyliśmy, że chowa słoik z powrotem do kredensu.

- Czy mogę o coś zapytać? - odezwałem się bez zastanowienia.

Nie odpowiedziała, nie poruszyła się, nawet nie drgnęła.

- Jeśli się staniemy... całe to ciało, jeśli się przerodzimy...

- We mnie? - zapytała, nie podnosząc wzroku. - Mówię w sensie metaforycznym. Jeśli mnogie „my” stanie się pojedynczym „ja”. Nie chciałam powiedzieć, że wyrosną panu piersi, tylko że zaczniesz pan myśleć i czuć jak człowiek, nie jak nieszczególnie zdrowa płątana przewodów...

- ...czy będzie bardzo źle?

Zawahała się, a potem odwróciła się i spojrzała prosto na nas.

- Życie to magia, ale magia to nie życie - oznajmiła. - Poradzi pan sobie. A teraz niech pan zmiata, bo zawołam ochronę.

- Dziękujemy.

- Ja też panu dziękuję - odparła, ale nie zabrzmiało to szczerze.

* * *

Wsiadłem do autobusu jadącego ze zlikwidowanego szpitala na południe. Zabandażowane ręce ukryłem pod płaszczem, opierając się pokusie podwinięcia rękawów i demonstrowania z dumą swych obrażeń niczym żołnierz ranny w walce o szlachetną sprawę.

Opierałem się jej.

A może to my się jej opieraliśmy.

Coraz trudniej było to od siebie odróżnić. A może raczej od początku było to trudne - zawsze byliśmy mną - ale ostatnio straciliśmy pewność, czy jesteśmy czymkolwiek poza zestawem użytecznych wspomnień, zaklęć i pojęć, z którego mogłem korzystać, gdy tego zechcę. Albo czy ja jestem czymś więcej niż osobliwym wspomnieniem Matthew Swifta, za którego się uważaliśmy, choć w rzeczywistości nie żył już od dwóch lat? Wiedzieliśmy, że Matthew Swift umarł, jego śmiertelne tchnienie weszło do przewodów i wtargnęło do naszej domeny. Wiedzieliśmy, że posiadamy dziesięciolecia wspomnień, doświadczeń, myśli i uczuć, i że w coraz większym stopniu to one nami kierują, nadają kształt temu, kim jesteśmy w świecie, co robimy i jak się zachowujemy. Tak to przynajmniej wyglądało, gdy uświadamialiśmy sobie, dlaczego niezwykle, pojedynczy czarnoksiężnik zwany Swiftem uczynił to, co uczynił. Nie wiedzieliśmy jednak, że jest on czymś więcej niż tylko

wspomnieniem.

Jesteśmy mną, jesteście Matthew Swiftem.

A ja jestem niebieskimi elektrycznymi aniołami.

Czy ta różnica naprawdę miała znaczenie?

To bardzo proste, panie Swift. Czy potrafi pan nad nimi zapanować?

Nie rozumiem.

Nawet jeśli, formalnie rzecz biorąc, nie żyłem, to co z tego? Czułem się żywy, niech to szlag. Gdy oddychałem, powietrze muskało wnętrze moich płuc, serce wypełniało moje naczynia swym rytmem. Znałem strach, smutek i szczęście, ból, niepewność, strach i nadzieję, także wszystkie inne, dobre i złe, wrażenia typowe dla ludzi. Nawet te najgorsze dawały mi przynajmniej wrażenie, że głębia odczuwanych przeze mnie emocji dorównuje tym, które pamiętałem. Czy to nie wystarczało? Gdybyśmy byli mną i my doświadczalibyśmy takich emocji, czy czyniłoby nas to żywymi, czyniło człowiekiem? Formalny problem autentyczności naszego człowieczeństwa wydawał się coraz mniej ważny, ponieważ byliśmy mną, a ja z pewnością byłem człowiekiem. Faktem, że Matthew Swift zginął i nie miał możliwości powrotu do życia, a niebieskie elektryczne anioły mogły być jedynie bogami zagubionych w przewodach głosów, nie przejmowaliśmy się zbytnio.

Ja się nim nie przejmowałem.

Takie różnice nie mają dla nas znaczenia.

Wyglądałem przez okno, patrząc na świat niebieskimi oczyma, czułem ból w przedramionach i wiedziałem, że potrafiłbym zrozumieć każdy język, którym mówiono na górnym piętrze jadącego Gower Street autobusu. Wiedziałem też, że kryje się we mnie zdolność wywołania błękitnego pożaru, tak szybkiego, jasnego i rozległego, że mógłby na moment przyćmić słońce. Wydawało mi się to... naturalne.

Życie to magia.

Wiedziałem, co chciała przez to powiedzieć, i nie musiałem jej pytać. Życie nie było magią opartą na zaklęciach, urokach i czarach, czy raczej było nią, ale nie o to chodziło. Życie tworzyło magię jako przypadkowy produkt uboczny, a nie było nią w sensie jednoznacznego stwierdzenia, że $A=B$. Było magią w bardziej potocznym sensie tego słowa. Akt życia sam w sobie był czymś magicznym.

Rozumieliśmy to instynktownie. Po prostu nie przyszło nam do tej pory na myśl, że należy to wyjaśnić.

Pojechałem na południe, w stronę Holborn.

* * *

Vera i Charlie spotkali się ze mną w małym barze kanapkowym o podłodze pokrytej linoleum, położonym za teatrem przy Drury Lane. Nad poskrzypującymi drzwiami z dzwonkiem, który raczej stukał niż dzwonił, wypisano dużymi, niebieskimi literami „Tasty Cafe”. Usiedliśmy przy pomarańczowym, plastikowym stoliku. Wokół nas barczyści mężczyźni w kamizelkach odbłaskowych pracujący na pobliskiej budowie jedli kanapki z szynką, popijając je herbatą.

Vera robiła wrażenie znużonej, ale czujnej, Charlie zaś jak zwykle był nieprzenikniony.

- Niezły numer odpierdoliłeś w centrali, skurczybyku - przywitała mnie nie bez sympatii Vera.

- Przepraszam. Byłem ranny.

- Powiedzieli mi o tym.

- Kto ci powiedział?

- Pierdolony Zakon. Nie miałeś kogo do nas ściągać, niech cię szlag.

- Macie trudności? - zapytał Charlie.

Łypnęła na niego spode łba.

- Gdy tylko rozbiliśmy armię martwiaków Guya Lee na tysiąc tycich kawałków, zwierzołaku, na naszym progu pojawiła się banda religijnych fanatyków, którzy wiedzą, gdzie mieszkamy, i znają nasze sztuczki.

- Sprawiają jakieś kłopoty? - zapytałem.

- Na razie nie.

- To w czym problem? - zainteresowałem się, nie wiedząc, dlaczego Vera tak się gniewa i czego właściwie chce.

Zacisnęła dłoń na kubku z kawą tak mocno, że aż zbielały jej kłykcie.

- A kiedy zaczną je sprawiać, przyjdiesz do nas i wszystko naprawisz, tak, czarnoksiężniku?

Jej głos ociekał jadem. Poczuliśmy się dziwnie zawstyżeni.

- Oda nie powiedziała mi, ile było ofiar.

- Mnóstwo.

- Ale... czy...

- Czy to coś dało?

- Tak.

- Być może. Lee zginął, jego ludzie zostali pokonani... władza oparta na przemocy jest krucha. Przede wszystkim musi budzić strach, a to... być może się zmienia. - Rozluźniła uchwyt, pochylając się nagle. Wyglądała na krańcowo zmęczoną. Zadaliśmy sobie pytanie, czy w ogóle dziś spała. - I co teraz? - zapytała.

- Harris Simmons.

- Wiesz coś nowego? - zapytał Charlie.

- Być może. Myślę, że on ucieka.

- W czym nam to pomaga? - zainteresowała się Vera.

- Ścigają go. Bakker wie, że go szukam. Oczyszczył jego dom i zostawił dla mnie wiadomość.

- O tym nie wspomniałeś - poskarżył się Charlie z wyrzutem w głosie.

- Miała osobisty charakter.

- Myślałem, że to już zostawiliśmy za sobą.

- Och, daj spokój - warknęła Vera. - Jesteś ślepy?

- Jeśli wiedzą, że go szukasz, sprawa nie będzie łatwa - zauważył nie bez racji zwierzołak.

- Cóż za głębokie spostrzeżenie - jęknęła kobieta. - Czego chcesz, czarnoksiężniku?

- Waszej pomocy.

- Znowu?

- Myślę, że możemy obalić Wieżę.

- Chodzi ci o wysadzenie w powietrze budynku czy może masz na myśli organizację?

- Harris Simmons może nas zaprowadzić do Bakкера.

- To nie wydaje się prawdopodobne - wyszeptała Vera.

- Jego trudno odnaleźć - dodał Charlie. - Cały czas się przemieszcza. Po śmierci San Khaya i Guya Lee z pewnością jeszcze lepiej zdaje sobie sprawę z grożących mu niebezpieczeństw. Nie spędzi w tym samym miejscu więcej niż jednej nocy, dopóki nie będziesz...

- Bardziej martwy niż zdekapitowany zombie! - zawołała Vera. - Bardziej martwy niż duch starego Marleya albo grobowiec na Marsie, niż...

- W porządku, rozumiemy, co chciałaś nam powiedzieć - przerwaliśmy jej. - Poza tym nasza śmierć go nie zadowoli.

- Czy on też jest zombie? - zainteresowała się kobieta.

- Nie - zaprzeczył stanowczo Charlie, jakby to było głupie pytanie zadane przez niegrzeczne dziecko. - Ale umiera.

- A przedtem miał wielką ochotę z nami porozmawiać - dodaliśmy. - Sądzę więc, że, biorąc pod uwagę tę informację, warto podjąć pewne ryzyko.

- Jakie ryzyko?

Vera natychmiast przymrużyła powieki.

- Myślę, że Harris Simmons ma być pułapką - wyjaśniłem. - To ma sens. Wie, że go ścigam, ucieka, śledzi go cień...

- Cień? - zapytał twardym głosem Charlie.

- Jesteś kimś ważnym? - zapytała Vera, przyglądając mu się z ciekawością. - Czarnoksiężniku, dlaczego zwierzołak tu przyszedł?

- Jest kimś ważnym - potwierdziłem z westchnieniem. - Proszę, bądźcie dla siebie uprzejmi. Potrzebuję waszej pomocy.

- Wyłącznie naszej? Nie motocyklisty, Zakonu, czarowników...

- Tylko wam dwojgu ufam.

- Dziękuję - mruknęła kobieta. - Jestem wzruszona, ale też trochę zaskoczona. Ledwie się znamy.

- Dobra, powiem to inaczej. Ty... - wskazałem głową na Verę - ...masz za dużo do stracenia i zbyt wiele już straciłaś, a ty... - pochyliłem głowę ku Charliemu - ...masz znakomite referencje i uczciwą twarz, przynajmniej dopóki nie wyrosną ci wąsiki. Oto dlaczego zwróciłem się do was dwojga.

- A co z Odą? - zapytała kobieta. - Miałam wrażenie, że przyjaźnisz się z tą psychopatyczną suką.

- Ufam jej bez zastrzeżeń - zapewniłem, ze zdziwieniem przekonując się, że to prawda - ale tylko dopóki jestem jej potrzebny. A, jeśli mój plan się powiedzie, ta sytuacja może się wkrótce zmienić.

* * *

Wkrótce znaczyło trzy dni.

Każdą noc spędzałem w innym hotelu, między innymi dlatego, że personel nie był zadowolony z tego, że zawsze starannie otaczam łóżko osłonami, co powodowało spory bałagan.

W tym czasie Charlie odwiedził mnie dwa razy. Za pierwszym przywiózł mi sto funtów, liścik od Sinclaira, mówiący tylko: „Niech pan spróbuje legalnych metod. Życzę wszystkiego najlepszego”, a także ubranie na zmianę oraz środki opatrunkowe. Za drugim razem dostarczył mi parę butów.

- Chyba żartujesz - mruknąłem, przyjrzawszy się im. - Jesteś pewien, że się uda? -
dodaliśmy.

- Takie rzeczy nie rosną na drzewach - zauważył.

- I tak już wygląda to śmiesznie - sprzeciwiłem się. - A poza tym, co będzie, jeśli ktoś
ukradnie buty?

- Jest też inna opcja.

- A mianowicie?

- Operacja.

Pobledliśmy.

- Mogą przeciąć ci skórę i wszczepić chip pod...

- A więc jednak masz poczucie humoru - zauważyłem.

- Właściwie to nie mam.

Włożyłem buty. Pasowały świetnie. Chodząc w nich, nie wyczuwałem żadnej
wypukłości, która zdradzałaby, że coś w nich ukryto. Charlie rozpromienił się radośnie.

- Magowie zawsze tak się skupiają na swojej sztuce, że zapominają o możliwościach
techniki - skwitował.

* * *

Trzeciego dnia zadzwoniła do mnie Oda.

- Gdzie się ukrywasz? - zapytała.

- Gdybym ci powiedział, to już nie byłoby ukrywanie.

- Mniejsza z tym. Sprawdzę, skąd dzwoniłeś.

- To ty do mnie zadzwoniłaś.

- Ale to jeszcze nie znaczy, że nie mogę cię wytropić.

- Czuję się świetnie.

- To właściwie nie mój problem.

- Ehe. Chyba doskonale to podsumowałaś.

- Co robisz?

- Czekam.

- Na co?

- Aż będę mógł znaleźć Bakkera.

- Myślisz, że dokonasz tej sztuki, po prostu siedząc na dupie?

- Simmons mi powie, gdzie on się ukrywa.

- To znaczy, że czekasz, aż będziesz mógł znaleźć Simmonsa?

- Tak.
 - A co, jeśli ci nie powie? A może to nie będzie miało znaczenia?
 - To skomplikowana sprawa.
 - Lubisz lakoniczne odpowiedzi, co?
 - W tej chwili tak.
 - Jak sobie życzysz.
 - I to wszystko? Jak sobie życzę?
 - Tak.
 - To niesprawiedliwe.
 - Och, daj spokój. Znajdę cię, pamiętasz?
 - Zapowiedziałas to bardzo jasno. Chociaż, prawdę mówiąc, to może być nie najgorsze rozwiązanie.
 - Co chcesz przez to powiedzieć?
 - Jestem pewien, że potrafisz się tego domyślić - odparłem. - Kiedy zrobi się niebezpiecznie, pogadaj z Verą.
 - Ufasz jej?
 - Tak.
 - Dlaczego?
 - Dlatego że nie przysięgła żadnemu bóstwu, że zdekapituje mnie przy pierwszej nadarzającej się okazji - odparłem i przerwałem połączenie, nim zdążyła powiedzieć coś obraźliwego.
- Godzinę później zadzwonił Charlie.
- Znaleźliście Simmonsa? - zapytałem.
 - Tak. Miałaś rację. Coś go śledziło. Nie wygląda to ładnie.
 - Gdzie jest?
 - Ktoś będzie cię musiał tam podrzucić. Wygląda na to, że zewsząd jest tam cholernie daleko.
 - Zajmę się transportem.
 - Byłem pewien, że tak powiesz - rzekł i podał mi adres.

* * *

Przed nadejściem końca musiałem zrobić jeszcze jedną rzecz. Tylko jedną.
Znalazłem egzemplarz katalogu firm na dachu wiaty i przerzuciłem kartki, aż znalazłem poszukiwany numer pod hasłem „catering”. Wróciłem do hotelu i zadzwoniłem.

- Słucham, Palmero Paradise.
- Szukam pani Mikedy.
- A kto mówi?
- Matthew Swift.
- Dobra, niech pan chwilkę zaczeka.

Czekałem. Z oddali dobiegał chrapliwy głos mówiącego z nieprzyjemnym akcentem mężczyzny. „Hej, gdzie ona się podziała”.

Odnosiliśmy wrażenie...

...głosy w słuchawce...

...wiedzieliśmy, że moglibyśmy zidentyfikować ten głos, gdybyśmy zechcieli. Każdy zostawiał w przewodach jakiś ślad.

- Hej, Swift, jest pan tam?
- Tak.
- Już idzie.
- Dziękuję.

...z wielką łatwością...

Uszczypnąłem się w wewnętrzną powierzchnię dłoni, aż skóra mi poczerwieniała. Usłyszałem inny głos, przemawiający z akcentem rozlewającym się po wszystkich sylabach niczym miód.

- Słucham? Kto mówi?
- Pani Mikeda? Mówi Matthew Swift.
- Jeśli chce pan pieniędzy, proszę się zwrócić do kogoś innego, dobra?
- Pieniądzy? Nie.
- To proszę zmiatać.

Odwiesiła ze złością słuchawkę. Poczułem się zaskoczony, ale po zastanowieniu musiałem przyznać, że raczej nie powinienem liczyć na przychylniejszą reakcję. Spakowałem dobytek i postanowiłem, że załatwię to w tradycyjny sposób.

* * *

Palmero Paradise było małym, brudnym sklepem z kanapkami położonym nieopodal targu mięsnego Smithfield. Rzeźnicy przychodzili tu podczas przerwy obiadowej na kanapki z salami i herbatę w kartonowym kubku. Kiedy się tam zjawiłem, był wczesny wieczór i okoliczne modne bary winne oraz kluby, które wkrótce miały się zapełnić, były jeszcze zamknięte. Niemniej pora była już wystarczająco późna, by bramy targu zamknięto, odcinając

dostęp do mechanicznych haków oraz podłogi o zapachu trocin i rozcieńczonej krwi. Ulice były spokojne jak w niedzielne popołudnie, lekka mżawka nie zachęcała przechodniów.

W Palmero Paradise paliły się jeszcze światła, ale najwyraźniej zamykali już sklep. Wnosili do środka kilka chwiejnych stolików i zamykali lodówki. Wziąłem z półki ostatnią kanapkę - z cheddarem i podejrzanie wyglądającymi kiszonymi ogórkami - owiniętą w folię i poprosiłem o kawę.

- No wie pan, już zamykamy - oznajmił stojący za ladą młody mężczyzna w wielkim czerwonym fartuchu, mówiący z nosowym akcentem, który pamiętałem z rozmowy telefonicznej.

- Chciałem tylko zamówić kawę.

- Ehe, ale...

- Mamy wrażenie, że często dzwoni pan na sekstelefon - odezwaliśmy się nagle, zainspirowani jego fartuchem i znajomym brzmieniem głosu, a także poirytowani tym, że nie chce nam sprzedać nic do picia. Z zaskoczeniem przekonałem się, że w to wierzymy, a wyraz jego twarzy świadczy, że mieliśmy rację. - Powinien pan znaleźć sobie dziewczynę - dodałem.

- Czy pan... - zaczął.

- Jest pani Mikeda?

- Jest pan tym świrem, który do niej dzwonił, tak?

- To ja.

- No wie pan, nie chciałem...

- Może powinien pan sprawdzić, czy jeszcze nie wyszła.

- Ehe. Dobra. Jak pan sobie życzy.

Zniknął za zasłoną z pobrzękujących plastikowych paciorków, wiszącą w drzwiach na zapleczu.

Czekałem. Po chwili usłyszałem głośne tupanie i pojawiła się pani Mikeda. W jednej ręce trzymała komórkę, a w drugiej nożyczki.

- Proszę stąd iść. Policja za chwilę albo nożyczki natychmiast, co pan... - Mówiła, nim zdążyła na mnie spojrzeć. Ja również na nią spojrzałem i kobieta umilkła.

- Pani Mikeda - zacząłem grzecznie, ponieważ mama zawsze mnie uczyła, że trzeba być uprzejmym dla starszych kobiet.

- Pan Swift? - Jej słowa zabrzmiały raczej jak niekontrolowany wypływ powietrza z płuc niż świadoma mowa. - Pan... nie... to znaczy... pan...

- Jak pani się czuje, pani Mikeda? - zapytałem, próbując przełamać lody.

- Dziękuję, dobrze. Tak jest, całkiem nieźle. Skąd pan się tu wziął?

- Czy chciała pani powiedzieć „Z pewnością nie chodzi panu o kawę?”, czy raczej „Dlaczego nie gnije pan sześć stóp pod ziemią?”.

- Nie chciałam... ale pan...

- Chciałem porozmawiać z panią o Danie.

Zacisnęła mocno usta. Opuściła nożyczki i telefon z wyraźnym wysiłkiem, od którego całe jej ciało przebiegło drzenie.

- Może chodźmy w jakieś ustronne miejsce.

* * *

Pani Mikeda była córką rosyjskiego emigranta, który uparcie utrzymywał, że uciekł przed rewolucją w roku 1917 i ma w głowie wszystkie tajemnice carskiego dworu, lojalnego, niezachwianego, kulturalnego arystokraty, który umarł z powodu złamanego serca. Niemniej ta historia nigdy nie brzmiała zbyt prawdopodobnie, a ponieważ jej ojciec umarł dopiero niedawno, w komunalnym mieszkaniu w Bermondsey, chronologia również nie chciała się zgadzać.

Była kobietą przeciętnego wzrostu i niezwyklej tuszy - nie tyle grubą, ile wszechobecną, ponieważ nawet w największych salach z jakiegoś powodu nie wystarczało miejsca, by pani Mikeda i tłum mogli ze sobą pokojowo współistnieć. Skóra pokrywała jej ciało niczym narzuta osłaniająca cenny mebel - pełna niezliczonych fałd i ukrytych zakamarków. Ich obecności można się było domyślić pomimo obszernej koszuli w kwiaty i szerokiej granatowej spódnicy, spod której sterczały nogi zdominowane przez ogromne rzepki. Usiadła na stołku w kuchni i naląła wódki do dwóch plastikowych kubków.

- Wiem, że to banał, ale Anglicy nie potrafią pić.

Wziąłem się w garść i przełknąłem całość jednym haustem, tak samo jak ona. Szokujące wrażenie przeraziło nas, potem jednak poczuliśmy dziwną fascynację, gdy ogień ogarnął nasz żołądek, po czym wniknął w tętnice, docierając do mózgu. To było tak, jakby trunek zapłonął nagle w kontakcie z naszym ciałem, wypełniając naczynia krwionośne dymem. Nie wiedzieliśmy, czy powtórka byłaby bezpieczna, ale ku naszej uldze pani Mikeda jej nie zaproponowała. Odsunęła butelkę na bok i naląła do kubków kawy.

- Hmm... pewnie wszyscy pana o to pytają?

- O co...

- Jak to było, kiedy pan nie żył.

Podawała mi kubek, a potem zaczęła grzebać w szafce wiszącej nad błyszczącym

zlewem z nierdzewnej stali. Kuchenne sitka natryskowe miały ułatwiać zmywanie. Po chwili znalazła w szafce paczkę pełnoziarnistych herbatników.

- Och. Prawda. Nie żyłem - mruknąłem z roztargnieniem, przyglądając się, jak kobieta otwiera paczkę czerwonym paznokciem ostrym jak tytanowa brzytwa. - To skomplikowane.

- Jasne - zgodziła się. - Wszystko zawsze jest skomplikowane. Wiedziałam, że tak będzie, gdy spotkałam pana po raz pierwszy.

Przyjąłem od niej kawę, ciesząc się, że mogę na chwilę zająć myśli znajomym rytuałem oraz gorącym kubkiem. Zaglądałem do niego, jakby w środku kryły się wszystkie moje kłopoty. Pani Mikeda usiadła naprzeciwko z jękiem starzejącej się kobiety, spędzającej zbyt wiele czasu na nogach.

- A więc chce pan porozmawiać o mojej córce.

- Jak ona się czuje?

- Nie wie pan?

- Nie... widziałem jej już od dość dawna.

- Dlaczego? Ach... prawda. Nie żył pan.

- To jeden z powodów.

- Wszystko z nią w porządku.

- Na pewno?

- Liczył pan na złe wieści?

- Nie, nie, bynajmniej... po prostu... nie spodziewałem się tak krótkiej odpowiedzi.

- Rzadko się z nią ostatnio widuję.

- Dlaczego?

- Czy nie powinien pan jej o to zapytać? A może chce mi pan coś powiedzieć?

Patrzyła na mnie, przekrzywiając głowę. Choć twarz o rumianych policzkach i długie kręcone włosy o metalicznie rudym kolorze miały niewinny, niemal dziecinny wygląd, w oczach nadal widziałem błysk bystrej inteligencji, jaki pamiętałem z dawnych lat.

Przekonałem się, że nie potrafię jej odpowiedzieć.

- Herbatnika?

- Słucham? Nie, dziękuję.

Wzięła sobie herbatnika z paczki, odgryzła róg, zanurzyła resztę w kawie, zaczekała kilka sekund i zjadła całość jednym kęsem. Połykając go, wpatrywała się w podłogę. Potem westchnęła przeciągle.

- No dobra, przejdźmy przez całą listę - podjęła. - Czy moja córka nie żyje, jest opętana, przeklęta albo pozostaje pod demonicznym wpływem?

- Słucham? Nie. A przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

- Mam wrażenie, że nie wie pan zbyt wiele - zauważyła nie bez racji.

- Nie sądzę, by spotkało ją coś z tego, co pani wymieniła.

- Dobra, a więc załatwiliśmy najważniejsze punkty. Czy jest coś jeszcze, o czym powinien pan ze mną porozmawiać? - Zauważyła moją minę. - No wie pan, jestem dobrą, chrześcijańską matką. Chcę się upewnić, że moja córka, choć z pewnością jest naczyniem dla tajemnych mocy, nie łamie zbyt wielu zasad wiary.

- O ile mi wiadomo, nie łamie.

- Dobra. W takim razie o co panu chodzi?

- Spotkała pani kiedyś Roberta Jamesa Bakкера?

- Tak - odparła znużonym głosem kogoś, kto wie, dokąd zmierza rozmowa, i nie potrafi uwierzyć, że musiał czekać na czerwonym świetle przed dotarciem na miejsce.

- I co pani o nim sądzi?

- To miły człowiek. Na pogrzebie trzymał ją za rękę. Bardzo miły.

- Tak - wyszeptalem. - Chyba rzeczywiście taki jest.

- Ale robi pan wrażenie kogoś, co ma coś do powiedzenia na jego temat - zauważyła. - No dobra, niech pan gada. Za to właśnie pana lubiłam, panie Swift. Zawsze był pan bardzo bezpośredni.

- Naprawdę?

Uśmiechnęła się, sięgając po następnego herbatnika.

- Pierwsze, co w ogóle pan do mnie powiedział, to: „Przepraszam, czy mogę dostać mocną czarną kawę bez cukru? I czy ktoś z pani rodziny zachowuje się ostatnio dziwnie, wręcz nadnaturalnie?”.

- Naprawdę tak powiedziałem? - zapytałem zdziwiony.

- Tak.

- Ni z tego, ni z owego?

- Tak. Wyglądał pan, jakby miał ciężki dzień.

- To było już dość dawno temu - przyznałem.

- A od tego czasu zapewne był pan zajęty....

- Tak...

- Pogrzeb, rozkład ciała i tak dalej...

Uśmiechnąłem się.

- Czy jako dobra chrześcijańska matka... - zacząłem.

- Na pewno nie chce pan herbatnika?

- Może jednego - zgodziliśmy się pośpiesznie, wyjmując go z podsunętej nam paczki.
- Dziękujemy. Czy jako dobra chrześcijańska matka - podjąłem - nie niepokoi się pani tym, co Biblia ma do powiedzenia na temat świętości zmartwychwstania w przypadku, gdy nie chodzi o naszego Zbawiciela?

- No wie pan, w Starym Testamencie... - zaczęła.

- Naprawdę żyję - zapewniłem. W gruncie rzeczy, zaczynam mieć już dość wyjaśniania tego wszystkim po kolei.

- Dana sądzi, że pan nie żyje. Niech jej pan to wyjaśni. Mnie proszę w to nie mieszać. Moim zdaniem to, co dzieje się w waszym świecie, nie powinno opuszczać jego granic.

- Przepraszam, że panią nachodzę...

- Niech pan mówi, panie Swift. Ten, kto przynosi złe wieści, powinien przynajmniej być szczery.

- Gdzie jest Dana?

- Nie wiem.

- Nie wie pani czy nie chce powiedzieć?

- Odeszła z panem Bakkerem.

- Dlaczego?

- Już mówiłam. Był dla niej dobry. A pan... czy od tej chwili zrezygnujemy ze słowa „umarł” na rzecz „zniknął”?

- Gdzie jest Dana?

- Jest podobny do pana. Mówił, że był pańskim nauczycielem.

- To prawda.

- W takim razie, co w tym złego? - zapytała. - On uczył pana, a pan Danę. Nie stało się z nią nic z tego, czego się bałam. Nie zamieniła się w... - Przerwała nagle, a potem uśmiechnęła się z bolesnym grymasem. - Wszystko z nią w porządku.

- Ale nie wie pani, gdzie ją znaleźć?

- Daje jej pieniądze na podróże i różne rzeczy. Dana rzadko zatrzymuje się w jednym miejscu. Pan nigdy nie dawał jej pieniędzy, panie Swift. Rozumiem, że nie o to w tym chodzi, ale musi pan zrozumieć... dlaczego tak mu się powodzi?

- Słucham?

- Panu Bakkerowi? Podszedł do mnie na pogrzebie i zaproponował, że mnie podwiezie. Powiedział, że wie, że moja córka... no wie pan... podwiózł mnie do domu, żeby pogadać o tym, co będzie później. Powiedział, że nie jest w pełni wyszkolona, nadal potrzebuje pomocy, ale mówił o panu bardzo dobrze. Miał wielki czarny samochód z

siedzeniami obitymi skórą.

- Jest dobrym biznesmenem.
- Dobrym czarnoksiężnikiem? - zapytała ostrym, bliskim gniewu głosem.
- Tak - odparłem, lekko tym zaskoczony. - Bardzo... zdolnym.

Prychnęła pogardliwie.

- I dobrym człowiekiem?

Nie odpowiedziałem.

- Dlaczego chce się pan widzieć z Daną?
- Była moją uczennicą!
- I co z tego?
- To ważne.
- Ale nie chce pan powiedzieć, dlaczego.
- Po prostu ważne.
- No dobra. - Machnęła niecierpliwie ręką, zataczając krąg w powietrzu. - Niech pan

gada!

Zaczerpnąłem głęboko tchu.

- Może jej grozić niebezpieczeństwo.
- Świetnie!
- Świetnie?
- Nie to, że jej grozi, ale to że pan mi o tym powiedział. Na czym polega to niebezpieczeństwo?

- Powiedziałem, że może jej grozić.

- Ujął to pan tak, bo uważa mnie pan za starą, głupią babę, która nic nie rozumie.

Śmiało! Co jej grozi?

- Chodzi... chodzi o pana Bakkera.

- Aha. Tak właśnie myślałam.

- Dlaczego?

- Dana już nie przychodzi do domu. Czasami dzwoni, ale nie chce nic powiedzieć.

Mówi, że telefony słuchają. Sporo straciła na wadze. Jak to możliwe, że dziewczyna, która tak dużo je, tak bardzo schudła? Czy ten wasz pan Bakker jest dobrym człowiekiem?

- Kiedyś był.

- Ale już nie jest?

- To...

- Skomplikowane? Zawsze takie było, panie Swift. Czego pan chce?

- Chyba... chciałem panią przeprosić.

- W porządku. Przeprosił pan. Coś jeszcze?

Pokręciłem głową, ale potem się zawahałem. Pani Mikeda czekała cierpliwie.

- Jeśli może się pani z nią skontaktować, jeśli potrafi pani ją znaleźć, niech pani powie, że ją również przepraszam. I niech jej pani każe zwiewać, dopóki może.

- Dlaczego?

- Zaraz wszystko szlag trafi.

- Czy naraził ją pan na niebezpieczeństwo?

- Nie!

- A czy zrobi to pan?

Nie odpowiedziałem. Uśmiechnęła się.

- Wódki? - zapytała uprzejmie.

- Dziękuję, nie. Chyba za nią nie przepadamy.

- Ufa mi pan, panie Swift?

- Tak.

- To niech mi pan wszystko opowie.

Ku swemu zaskoczeniu, zrobiłem to.

Drugie interludium

Uczennica czarnoksiężnika

w którym

wspomina się koszty czarów

przy rybie z frytkami na wynos

Oto jak poznałem Danę Mikedę.

Późną wiosną w centralnym Londynie niemal nie sposób czuć się przygnębionym. Wszystkie drzewa porastają zielonymi liśćmi, niebo jest błękitne, upstrzone tylko nielicznymi białymi chmurkami, blask słońca odbija się w oknach biur jak w wodzie, dzieląc ulicę na zimne cienie i gorące blaskiem dachy. Po porannym deszczu wszystko pachnie czystością, a ludzie, którzy czynią miasto tym, czym jest, zaczynają odsłaniać ramiona i wkładać słoneczne okulary, gdy tylko temperatura osiągnie dwucyfrowe wartości. Na nasłonecznionych obszarach panuje przyjemne ciepło, a wietrzyk nie jest aż tak chłodny, by powodował gęsią skórkę.

Tego ranka, gdy pierwszy raz spotkałem Danę, szedłem sobie przez Holborn Viaduct nad ruchliwą Farringdon Road, nie zwracając zbytnej uwagi na to, dokąd zmierzam. Było popołudnie, czas, gdy ulice w centrum miasta nie są zbyt ruchliwe, a wyczuwany w powietrzu natarczywy szum magii, w znacznym stopniu kierujący moją codzienną rutyną, nieco słabnie.

Dotarłszy do Smithfield, kupiłem sobie bułkę z kiełbasą na targu mięsny i usiadłem na ławce nieopodal wyblakłej, klasycznej fasady St. Bartholomew's Hospital, jedząc i obserwując przechodzących obok ludzi: młodych biznesmenów w eleganckich garniturach, rzeźników w wielkich fartuchach i grubych, gumowych rękawicach, budowlańców w hełmach oraz szykownie ubranych ludzi w wytartych dżinsach, godnych projektantów mody.

Wtedy właśnie uświadomiłem sobie, że ktoś mnie obserwuje. Rozejrzałem się i po chwili zauważyłem źródło swego niepokoju. Szczur stał na tylnych łapkach w plamie cienia

spowijającej wąską uliczkę wiodącą prosto do kościoła św. Bartłomieja Wielkiego. Gryzoń nie bał się przechodniów, po prostu się na nich gapił i tyle. Zdążyłem się już wówczas przyzwyczać do osobliwego zachowania, ale nawet najbardziej niezwykle wydarzenia w moim życiu na ogół miały jakieś wyjaśnienie. W tym przypadku żadne nie przychodziło mi na myśl, skończyłem więc jeść bułkę, strzepnąłem z džinsów okruchy, wstałem i ruszyłem w stronę szczura.

Gdy byłem w połowie drogi, zwierzątko zmarszczyło nos, poruszyło ogonkiem i czmychnęło. Jego zachowanie było tak normalne i przewidywalnie nudne, że aż zdumiałem się tym widokiem. Stanąwszy przed alternatywą zaakceptowania normalnego zachowania albo poszukania powodu, dla którego jednak nie było normalne, zrobiłem to, czego mnie uczono, i wybrałem drugą możliwość. W naszym fachu normalne wydarzenia są czymś niezwykle. Jeśli dzieje się dokładnie to, czego się spodziewaliśmy, na ogół znaczy to, że trzeba mieć oko na skradające się ku nam tajemne moce albo faceta z nożem. Prędzej czy później wydarzy się coś niebezpiecznego i nie wolno czuć się zbyt pewnie - zwłaszcza, gdy chodzi o drobiazgi.

Dlatego zatrzymałem się pośrodku placu przed szpitalem i rozejrzałem uważnie wokół w poszukiwaniu czegoś niezwykłego. Wkrótce je wypatrzyłem. Siedziały bezgłośnie w równej linii nad szeregiem kamiennych urn oraz barwnych heraldycznych smoków, zdobiących dach targu mięsnego. Nie ruszały się, nie stroszyły skrzydeł, ani nawet nie przestępowały z jednej cienkiej pomarańczowej nóżki na drugą. Krzyknąłem: „Sio!” ile sił w płucach, ale w ogóle nie zareagowały. Było tam chyba ponad sto gołębi. Ruszyłem przed siebie zadaszoną drogą przecinającą targ, mijając pomnik ku czci poległych w czasie wojny oraz tablice upamiętniające przeszłość tego miejsca. Nie zdziwiłem się zbyt, ujrawszy, że ptaki siedzą tylko po jednej stronie dachu.

Wróciłem tą samą drogą, spoglądając w tym samym kierunku, w którym gapiły się gołębie. Był tam szereg sklepów, pub z szyldem wyobrażającym lubieżnego biskupa, żłobek, pralnia samoobsługowa oraz parę barów kanapkowych. Wybrałem na oślep jeden z tych ostatnich i wszedłem do środka. Nie było tam żadnych klientów ani nawet personelu, ale w lodówce zobaczyłem sporo pustych miejsc, świadczących o tym, że to tylko popołudniowy zastój, a nie objawy śmiertelnego schyłku. Oparłem się o szklaną szybę, przykrywającą pojemniki z kurczakiem, tuńczykiem oraz sałatką ze słodkiej kukurydzy, i czekałem, aż ktoś się zjawi.

Od strony lodówki o szklanych drzwiach dobiegło brzęczenie, ostry, nieprzyjemny elektryczny dźwięk przywodzący na myśl uwięzioną w butelce osę albo rój much tłukących o

elektryczną lampę. Ze sterczącego z tyłu kabla posypały się skry, światła nad szeregami zgrabnie zapakowanych kanapek zgasły. Lodówka wyłączyła się z sykiem. Żarówka nad moją głową zamigła kilka razy. Potem z gniazdek w ścianach trysnęły skry. Po kilku minutach światło również przestało działać. Cały ten czas słyszałem czyjś podniesiony głos, dobiegający zza rozwieszanej w wyjściu na zaplecze zasłony z paciorków, bełkotliwe krzyki kobiety złośczonej się na kogoś, kto odpowiadał za cicho, bym mógł go usłyszeć.

Moja ciekawość rozbudziła się na całego. Okrążyłem ladę i wszedłem za zasłonę. W pełnej nierdzewnej stali kuchni panował bałagan. Po podłodze walały się garnki i patelnie, po ścianach spływały resztki lepkiego płynu, pod moimi stopami chrzęściło szkło z potłuczonych żarówek. Wszystkie noże na podpórkach miały powyginane ostrza.

Przeszedłem ostrożnie przez te szczątki, zmierzając ku wyjściu z kuchni. W tej samej chwili krzyki nasiliły się nagle. Kobieta wrzeszczała przenikliwym, przerażonym głosem, w języku, którego nie rozumiałem. Dźwięczne, intensywne brzmienie sugerowało, że to jeden z języków wschodnioeuropejskich. Drugi głos odpowiadał jej w tej samej mowie. Mężczyzna mówił ciszej, ale również się bał. Popchnąłem drzwi, wszedłem na krzywe schody i dotarłem do wąskiego korytarzyka. Z pękającego tynku zlaźła farba. Na końcu, obok zamkniętych drzwi, udekorowanych plakatem jakiegoś anonimowego boysbandu oraz tabliczką, na której wielkimi czerwonymi literami napisano „WSTĘP WZBRONIONY!!!”, stali właściciele głosów: niska kobieta, sprawiająca wrażenie stanowczo zbyt szerokiej jak na zajmowane przez nią miejsce, oraz mężczyzna z gęstą czarną brodą, odziany w ciemne, bezkształtne szaty kapłana. Duchowny trzymał w bezwładnej dłoni krucyfiks. Gestykulował, bezskutecznie próbując uspokoić kobietę. Korytarz wypełniała roziskrzona, złotożółta aura drażniąca mój język jak gazowany napój. Szalona, intensywna, niebezpieczna moc emanowała zapewne zza zamkniętych drzwi.

- Przepraszam? - odezwałem się.

Kobieta umilkła i spojrzała na mnie.

- Zamknięte - oznajmiła i natychmiast znowu zaczęła krzyczeć na mężczyznę.

Odczekałem parę chwil. Ponieważ nie sprawiała wrażenia zainteresowanej dalszą rozmową ze mną, zaczerpnąłem tchu i ryknąłem na cały głos:

- Czary!

Oboje umilkli, podejrzewam, że raczej zaskoczeni niż chętni mnie wysłuchać.

- Dziękuję - odezwałem się pośpiesznie. - Czy mogę dostać mocną czarną kawę bez cukru? I czy ktoś z pani rodziny zachowuje się ostatnio dziwnie, wręcz nadnaturalnie?

* * *

Poszliśmy do kuchni i kobieta drżącymi dłońmi nalała mi wódki do plastikowego kubka. Przyglądała mi się z uwagą, ściskając w rękach własny kubek.

- Jest pan z policji? - zapytała.

- To nie pański interes... - zaczął duchowny.

- Całuj mnie - przerwałem mu. - Nie, nie jestem z policji - uspokoiłem kobietę. - Nazywam się Matthew Swift.

Pani Mikeda przedstawiła mi się.

- Miło mi panią poznać - odpowiedziałem. - A ten brodaty dżentelmen to...

- Czego pan tu szuka? - warknął.

- To kapłan - odparła pani Mikeda.

- A zapewne również ktoś więcej - zauważyłem. Przyjrzałem mu się uważnie, ale niczym mi nie zaimponował. - Jest pan egzorcystą, tak? Opętanie przez demony, szatańska aura i tak dalej?

- Kim pan jest? - zapytała pani Mikeda.

- Proszę mi mówić Matthew. Proponuję, żebyśmy wyrzucili brodacza i porozmawiali o pani córce.

- Co pan o niej wie? - spytała, zaciskając dłonie na plastikowym kubku tak mocno, że aż zbielały jej kostki.

- Najpierw zobaczyłem ten plakat z boysbandem na drzwiach - zacząłem. - To mi powiedziało, że to dziewczyna. Obecność egzorcysty mówi, że nie ma pani pojęcia, co się dzieje, a aura dzikiej, niekontrolowanej magii świadczy o tym, że coś więcej niż hormony przyprawia pani córkę o bolesne miesiączki. Dlaczego nie opowie mi pani, co tu się dzieje?

Pani Mikeda przełknęła wódkę, zgmiotła bez zastanowienia plastikowy kubek i wrzuciła go do zlewu. Raz po raz przenosiła wzrok z duchownego na mnie i z powrotem.

- Panie Swift, nie wiem, dlaczego właściwie powinnam panu zaufać.

- Z powodu mojej szczerzej twarzy i otwartej, czarującej miny, a w ostatecznym rozrachunku także dlatego, że mam cholerną rację, tak? Nic nie dodaje wiarygodności bardziej niż znajomość sytuacji, zgadza się?

- Potrafi pan jej pomóc?

- Tak - odpowiedziałem po chwili zastanowienia. Natychmiast poczułem, że to właściwa odpowiedź. - Sądzę, że tak.

* * *

Kiedy zapukałem do jej drzwi, nie odpowiedziała mi.

- Dano! - zawołałem. - Dobrze się czujesz?

Nadal milczała. Złapałem za klamkę. Drzwi były zamknięte.

- Klucz? - zapytałem panią Mikedę.

Wręczyła mi mały mosiężny klucz. Obróciłem go w zamku i otworzyłem drzwi. Nazwanie pokoju brudnym byłoby niedopowiedzeniem. Sądząc po panującym tu fetorze, pomieszczenie służyło jako sypialnia, pokój mieszkalny, kuchnia i łazienka od kilku dobrych tygodni. Smród i gorąco uderzyły mnie w twarz potężną falą, niepozostawiającą miejsca na kompromisy i wybaczenie. Zasłony były na wpół zaciągnięte, a na parapecie wały się sterty brudnych gołębih piór. Dana Mikeda leżała na łóżku, zwrócona do mnie plecami. Oddychała powoli i miarowo. Podeszedłem bliżej i wyciągnąłem ku niej rękę. Nim jednak dotknąłem dziewczyny, włoski na grzbiecie dłoni stanęły mi dęba. W tej samej chwili pani Mikeda westchnęła ostrzegawczo.

Wyciągnąłem ze ściany sypiącą iskrami wtyczkę, a potem wyjąłem scyzoryk i rozciąłem ją od góry oraz od dołu, odsłaniając ukryte wewnątrz metalowe przewody. Trzymając jeden z nich za izolację, dotknąłem jego końcem podłogi, jednocześnie pozwalając, by drugi opadł na ramię dziewczyny. Na dywan spłynęła biała iskra. Ponownie wyciągnąłem rękę w stronę Dany i tym razem nie poczułem unoszących się w powietrzu ładunków.

Złapałem dziewczynę za ramię i obróciłem ją na plecy. Oczy miała zamknięte. Uniosłem jej powieki i zobaczyłem pod spodem gorejącą, pomarańczową barwę gołębih tęczówek. Z każdym wydechem z jej płuc wydobywał się gęsty czarny dym i smród spalin. Powietrze grzechotało w nich jak silnik starej ciężarówki. Skóra Dany parzyła w dotyku, a kiedy uniosłem jej palce, przekonałem się, że ciągną za sobą ślady jarzące się neonowym blaskiem, jakby paznokcie dziewczyny robiły dziury w samej strukturze przestrzeni.

- Potrafi pan coś poradzić? - zapytała pani Mikeda.

- Być może - odpowiedziałem. - Od jak dawna jest w takim stanie?

- Od kilku dni. Nigdy przedtem nie było tak źle!

- Ma pani samochód?

- Nie.

- A czy zna pani kogoś, od kogo mogłaby go pani pożyczyć?

* * *

Pani Mikeda prowadziła. Ja siedziałem z tyłu, trzymając głowę Dany na kolanach. Jej

włosy przypominały w dotyku drut bezpiecznikowy. Pragnąc uciec przed wrażeniem, które z pewnością atakowały ją dniem i nocą, dziewczyna zapadła w jakiś magiczny trans albo stupor. Pograżyła się w nim tak głęboko, że oddychała w rytm ruchów tłoków hydraulicznych hamulców samochodu. Brzmiało to również identycznie.

Jechaliśmy na zachód. Przedarliśmy się przez Marylebone, a potem pomknęliśmy wzdłuż Westway, mijając niechlujne Shepherd's Bush oraz bogate ulice Chiswick, skąpane w radosnych promieniach wiosennego słońca. Na Chiswick High Street uczniowie wychodzili ze szkół, a w kawiarniach rozstawiano stoliki na chodnikach, w cieniu wielkich, starych platanów, by sprzedawać miejscowym kawę i ciastka. Kiedy dotarliśmy do Kew Bridge, zaczęła się już godzina szczytu. Serce Dany przyśpieszyło. Biło tak szybko i mocno, że widziałem pulsujące naczynia jej szyi. Dziewczyna reagowała na rytm miasta, jej krwiobieg przyśpieszał, gdy ludzie przechodzili od czasu pracy do czasu wolnego. Zaparkowaliśmy samochód tuż za mostem i zaciągnęliśmy Danę - każde z nas trzymało ją za jedną rękę - do błot na brzegu Tamizy. Nasze stopy otaczała woda, jakbyśmy szli po gąbce, nasiąkniętej tak mocno, że płyn spływał po niej niczym oliwa. Zdjąłem buty, skarpetki i kurtkę. Pani Mikeda zrobiła to samo dla Dany.

- To nie jest... pogański rytuał, prawda? - zapytała.

- Wszystko to jest względne - odpowiedziałem po chwili zastanowienia. Doszedłem do wniosku, że to będzie najmniej obraźliwa, a zarazem najuczciwsza odpowiedź. Pani Mikeda nie wyglądała na usatysfakcjonowaną, ale nie próbowała się skarżyć. Uniosłem z wysiłkiem Danę, przerzucając sobie jej rękę przez ramię, a potem powlokłem ją do przeraźliwie zimnej rzeki.

Szedłem przed siebie, aż woda sięgnęła mi pasa. Nurt rzeki podtrzymywał większą część ciężaru Dany. Na błotnistej wysepce pośrodku rzeki stała czapla, przyglądająca mi się z wyrazem sugerującym, że w jej ptasim mózdzku zrodziło się coś w rodzaju niezadowolenia z powodu tego, że inne stworzenie odważyło się wtargnąć na jej terytorium. Za zasłoną z garstki drzew i ptasich gniazd, składającą się na dom czapli, wielka biała łódź wracająca z Hampton Court Palace zwolniła, by pozwolić wychylającym się przez reling turystom fotografować osobliwy spektakl, jaki tworzyliśmy we dwoje.

- Hej, nic panu nie jest?! - zawołał sternik.

- To chrzest! - zawołałem radośnie.

Stojąca na brzegu pani Mikeda skrzywiła się, słysząc podobne bluźnierstwo.

Łódź przyśpieszyła. Grupa turystów machała rękami na pożegnanie, dodając nam odwagi głośnymi krzykami. Widoczne za rosnącymi na przeciwległym brzegu drzewami

niebo różowiło już powoli, a same drzewa rzucały cienie na wodę w blasku zachodzącego słońca.

Zaryzykowałem oddalenie się od brzegu o jeszcze kilka jardów. Wzbity z dna muł otaczał moje stopy mętnymi kłębami.

- I co stanie się teraz? - zawołała stojąca na brzegu pani Mikeda.

- Pływ się odwróci! - odpowiedziałem najbardziej optymistycznym tonem, na jaki było mnie stać. - W tym musi być magia, tak?

- Nie jest pan pewien?

- Próbuję ocalić życie pani córki, pozostając w zgodzie z zasadami prawosławnej wiary. Nie mam pojęcia!

- Jeśli nie wie pan, co robi, to...

- Która godzina?

- Słucham?

- Godzina! Tu jest diabelnie zimno!

Spojrzała na zegarek.

- Szósta czterdzieści trzy.

- Już cholernie blisko - mruknąłem, próbując uspokoić raczej siebie niż ją.

Odgarnąłem z twarzy Dany sztywne jak drut włosy. Jej skóra przybrała blady, szarawy odcień. Wokół brody i na granicy włosów pojawiły się suche łuszczące się plamki, coraz bardziej przypominające smołę. Pochyliłem się nad uchem dziewczyny.

- Jeśli mnie słyszysz, nie bój się - wyszeptałem. - Odpływ wszystko zabierze.

- Co pan robi?

Głos pani Mikedy docierał równie daleko jak głąz rzucony przez olbrzyma.

- Proszę się nie niepokoić! - odkrzyknąłem. - Lada moment...

...poczułem, że coś mnie szarpnęło za kostki...

- ...lada moment...

Czapla, przyglądająca się dotąd moim poczynaniom z brakiem zainteresowania na pozbawionym wyobraźni obliczu, zerwała się do lotu...

- Ech, w dupę z tym - warknąłem.

Zacisnąłem palcami nos Dany, zaczerpnąłem głęboko tchu i zanurzyłem się razem z dziewczyną pod wodę.

* * *

Słyszałem, że płynąca Tamizą woda była kiedyś toksyczna. Nie tylko odrobinę

niesmaczna, ale śmiertelnie groźna. Tego, kto do niej wpadł, natychmiast odwożono do szpitala. Chociaż media nadal się uskarżały na unoszące się w wodzie świństwa, w dzisiejszych czasach były to jedynie wyrzucane przez ludzi śmieci, a od czasu do czasu również wynurzające się na powierzchnię ciała samobójcy, nie surowe nieczystości, definiujące charakter rzeki w ciągu czterystu ostatnich lat.

Dlatego bez większych obaw zanurzyłem głowę Dany pod wodę, a potem ugiąłem kolana, zgarbiłem się i również zniknąłem pod powierzchnią. Pozwalałem, by woda omywała nasze głowy, wypełniała mi uszy lodowatym szumem, szarpała moje włosy i wypełniała ubranie, rozdymając je do rozmiarów hipopotama. Spod mojej koszuli wyłaziły wielkie bąble powietrza, pękające mi nad głową. Dana nie wyrywała się ani nie szarpała. Musiałem tylko przycisnąć ją do dna, żeby nie wypływała na powierzchnię, i przyglądać się wypływającym pomiędzy jej warg pęcherzykom. Trzymałem ją pięć, dziesięć, piętnaście sekund. Docierające do mnie przez warstwę wody krzyki pani Mikedy brzmiały jak niskie dudnienie. Słyszałem też odległe *fum fum fum* rowerów wodnych przepływających w pobliżu oraz wysokie *pluskpluskplusk* wiosł przesywających wodę gdzieś w dole rzeki. Wreszcie, gdy już zaczynałem myśleć, że błędnie wyliczyłem czas, dobiegł mnie dźwięk przypominający czkanie wieloryba w najgłębszych obszarach oceanu. Poczułem, że wszystko wokół się rozluźniło, a potem znowu zacieśniło. Jak na dany sygnał, pływ zmienił kierunek.

Dana wypuściła powietrze z płuc. Jej tchnienie było czarną plamą, unoszoną powoli przez odpływ ku odległemu o dziesiątki mil ujściu. Jej włosy straciły metaliczny połysk i unosiły się teraz swobodnie wokół głowy. Od twarzy odpadały szare smoliste łuski, odsłaniając czystą ludzką skórę ukrytą pod spodem. Na policzkach pojawiły się rumieńce, palce się poruszyły, a w ostatniej chwili, gdy moje płuca były już bliskie pęknięcia, dziewczyna otworzyła oczy. One również były z całą pewnością ludzkie, a także raczej piękne.

Wynurzyłem ją w tej samej chwili, gdy zaczęła wierzgać jak tonąca, a potem pomogłem stanąć. Woda ściekała z jej twarzy i wypływała z nosa. Dana kasłała i wypluwała płyn z płuc, pozlepiane włosy opadały jej na twarz jak wodorosty zaczepione o ster. Pani Mikeda była już w połowie drogi do nas, woda sięgała jej do bioder. Wykrzykiwała bezładne przekleństwa po rosyjsku, ale na widok córki stanęła jak wryta. Uniosła ręce do ust i zaczęła drżeć. Nagromadzona w Danie magia rozpuściła się w otaczającej nas wodzie. Po raz pierwszy, odkąd ją ujrzałem, dziewczyna zobaczyła mnie na własne oczy.

- Hmm... - mruknęła.

- Cześć - przywitałem ją.

Pani Mikeda powiedziała coś wulgarnego.

- Czy my się znamy? - zapytała Dana.

- Nie sędzę. A jak ty uważasz?

- Czy przed chwilą próbował mnie pan utopić?

- A wyglądam na kogoś takiego? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie. Z czubka nosa skapywała mi woda.

- Gdzie jesteśmy?

- W Twickenham.

- A skąd się tu wzięłam, do cholery?

- Myślisz, że to najlepsze miejsce na rozmowę na ten temat?

- Kim pan jest? - zapytała.

- Mów mi Matthew. Cieszę się, że miałem okazję cię poznać.

- Ehe - mruknęła, spoglądając na otaczającą nas wodę. - Pewnie rzeczywiście tak jest.

* * *

Znajoma pani Mikedy zostawiła na tylnym siedzeniu swego samochodu koce. Cuchnęły mokrym psem, ale nikt z nas nie miał zamiaru się skarżyć. Usiedliśmy na skraju otwartego bagażnika, jedząc rybę z frytkami. Pani Mikeda wybrała się na poszukiwania sklepu, w którym mogłaby kupić jakieś cieplejsze ubranie dla drżącej z zimna córki. Minęła chwila, nim zaczęliśmy rozmowę, ale gdy to już się stało, Dana Mikeda szybko przeszła do rzeczy.

- A więc Twickenham?

- Tak.

- Nie znoszę tego miejsca - oznajmiła, nadziewając gwałtownie frytkę na drewniany widelczyk. - Zawsze w nim błędzę i trafiam do Isleworth, a tam jest jak w Walii.

- Dlaczego jak w Walii?

- Jeden facet wsiada do pociągu jadącego do Swansea, a drugi do Isleworth. Może się pan założyć, że ten, który jedzie do Swansea, dotrze na miejsce szybciej.

- Rozumiem.

Niebo ciemniało, przybierając jasnokobaltową barwę. Nad rzeką zapalały się pierwsze światła.

- Chujowo, co? - zapytała po chwili dziewczyna.

- Czy matka wie, że przeklinasz?

- Chciałbyś to usłyszeć po rosyjsku? - zapytała ostrym tonem.

- Przeżyję to.
- To kim właściwie jesteś? Egzorcystą?
- Ja? Nie ma mowy. Czarnoksiężnikiem.
- Aha.
- Nie sprawiasz wrażenia zaskoczonej.

Obrzuciła mnie z ukosa przeciągłym spojrzeniem.

- Przez trzy lata brałam leki psychotropowe i psychiatra z publicznej poradni mówił mi, że tata na pewno mnie maltretował, kiedy byłam dzieckiem, ale cały ten syf trwał nadal. To znaczy, że albo jestem szalona i lekarstwa nie podziałały, albo jestem normalna i magia rzeczywiście istnieje. Nie widzę trzeciego wyjścia.

- Jesteś normalna - zapewniłem. - Przynajmniej w takim stopniu, w jakim to możliwe dla nabuzowanej hormonami nastolatki.

- Mam dwadzieścia dwa lata - poprawiła mnie. - To, że mieszkam z matką, jeszcze nie znaczy...

- Przepraszam. Pomyliłem się.

Jadła dorsza. Ja kupiłem płastugę. Dana otworzyła pojemnik z keczupem i delikatnie zanurzała w nim każdą frytkę. Ja wylałem niedbale sos na zawiniętą w papier rybę i frytki, a potem potrząsałem nią energicznie.

- A ty ile masz lat? - zapytała.

- Dwadzieścia osiem - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- Wyglądasz na więcej. Czarnoksiężstwo tak działa na człowieka?

- Nie, po prostu sporo przeżyłem - odparłem. - Poza tym, przykro mi, że przekazuję ci złe wieści, ale emanujesz czarnoksiężską aurę jak kaloryfer ciepło.

- Tak też myślałam - mruknęła.

- Naprawdę?

- W przerwach między byciem gołębiem a czytaniem przyszłości ze śmieci unoszących się na wietrze przed kawiarnią mamy doszłam do wniosku, że coś tu nie gra. Czarnoksiężstwo... chyba się zgadza. Czy to śmiertelne?

- Słucham?

- Pytam, czy to śmiertelna choroba?

- Nie, w żadnym wypadku! To nie ma nic wspólnego z medycyną.

- A co z mamą? Czy ona...

- Wątpię.

- Ale jeśli...

- To nie jest dziedziczne. Zapomnij o *X-menach*, *Z archiwum X* i w ogóle o wszystkim, co ma literę X w tytule. To po prostu... punkt widzenia.

Widelczyk omal nie wypadł jej z ręki.

- Punkt widzenia? Czy to dlatego musiałam przez trzy tygodnie słuchać szczurów narzekających na rzeźników z targu mięsnego i na pielęgniarkę z trzeciego oddziału? Pierdolić to!

- Brak ci wykszolenia - zauważyłem.

- Harry Potter? Trzytygodniowy kurs w Hogwarts nauczy cię, jak być czarnoksiężnikiem?

- Nie, to nie wygląda, jak w Harrym Potterze. Poza tym to magowie zajmują się rzucaniem zaklęć. Czarnoksiężstwo opiera się raczej na... dostrzeganiu magii tam, gdzie większość jej nie widzi, i robieniu z niej użytku. Czy to ma dla ciebie sens?

- Nie. W dupę z tym - dodała, pociągając głośno łyk ze stojącego obok kartonu Ribeny. - W dupę z tym - powtórzyła. - Czy znowu będę słyszała głosy?

- Jasne.

- Niech to szlag.

- Rzeka to tylko tymczasowe rozwiązanie. Jeśli zanurzysz się w niej w chwili odwrócenia pływu, wszystko z ciebie zmyje. Zupełnie jak w pralni. Ale potem i tak musisz uważać, żeby nie poplamić ubrania keczupem, tak?

- Chyba rozumiem.

- Zresztą czarnoksiężstwo nie jest takie złe.

- Nawet nie pamiętałam, jak się nazywam. - Jej głos nie wyrażał żadnych uczuć. To było tylko zwykłe stwierdzenie faktu. Spojrzałem na nią. Wpatrywała się w rzekę. - Byłam wszędzie. Palce moich rąk stały się ulicami, a palce nóg przewodami zakopanymi w ziemi. Mój oddech był spalinami buchającymi z rur wydechowych, a...

- Byłaś w transie - przerwałem jej. - To zawsze jest ryzykowne. Czarnoksiężnicy czerpią moc z miasta, które ich otacza. Tak wiele magii skupia się w jednym miejscu. Łatwo można się w niej zatracić, zapomnieć, kim się jest, i po prostu... odpłynąć. To właśnie przytrafiło się tobie. Twoje ciało zaczynało się rozpadać, a umysł dawał się pochłonać. Z czasem twoja świadomość rozproszyłaby się w mieście tak bardzo, że zapewne po prostu przestałaby istnieć. Swoją drogą, powinnaś na to uważać.

- O cholera. Czy to zdarza się wszystkim czarnoksiężnikom?

- Tylko źle wykszolonym.

Przyjrzała mi się z uwagą.

- A jak ty radzisz sobie z zachowaniem zdrowych zmysłów?

- Jestem dobrze wyszkolony.

- Kto cię uczył?

- Bardzo zdolny czarnoksiężnik. Bardzo dobry i bardzo potężny.

- On też zanurzył cię w rzece?

- Nie, znalazł mnie trochę wcześniej. Miałem piętnaście lat. Uciekałem w noc i po prostu biegłem bez końca, tylko dlatego że mogłem. Uwielbiałem to. Błądziłem na ulicach, ale w końcu zawsze trafiałem do domu. Kiedy mnie znalazł, miałem pęcherze, luki w pamięci, ciągle byłem pogrążony w marzeniach, a dach zrobił się zupełnie biały od gołębiego łajna. Uratował mi życie.

- A ty uratowałaś je mnie? - zapytała cicho.

- Lepiej nie patrzeć na to w ten sposób.

- To jak powinnam na to patrzeć?

- Fart i ten syf z niekończącym się kręgiem życia.

- Jaki syf?

- Widziałaś *Króla Lwa*?

- Jasne.

- To właśnie coś takiego, tylko dozwolone od lat piętnastu.

- Rozumiem. - Ściągnęła brwi w namyśle. - A więc... jestem czarnoksiężnikiem.

- W tej chwili jesteś tylko nastolatką... młodą kobietą... wykazującą pewne skłonności.

- Dobra. Czy mogę to powstrzymać?

- Mogłabyś się przenieść na wieś - zasugerowałem.

- I to wystarczy?

- Zapewne nie. Czarnoksiężnicy z reguły odkrywają magię wszędzie, gdzie się znajdują. Jej ton i cechy charakterystyczne poza miastem są zupełnie inne, ale nawet najbardziej uparci z nas z czasem się przystosowują.

- To znaczy, że nie mam wyjścia.

- Zapewne nie masz.

- Jak to się stało?

- Musiał być pewien moment.

- Moment? - powtórzyła. - A co to znaczy?

Odłożyłem rybę z frytkami na bok.

- To wygląda mniej więcej tak. Idziesz sobie ulicą, zaprzątnięta własnymi sprawami, albo jedziesz metrem czy autobusem, ale, ogólnie rzecz biorąc, nie zwracasz na nic

szczególnej uwagi. Aż w pewnej chwili rozglądasz się wkoło, widzisz tych wszystkich ludzi i myślisz: „Hej, oni na mnie patrzą i potrafię w myślach zobaczyć to, co moim zdaniem widzą, a kiedy się oddalę, pójdą swoją drogą, będą żyli własnym życiem, a ich myśli będą zupełnie takie jak moje, tylko inne. Będą realne, autentyczne, żywe, pełne uczuć i niepewności tak samo jak życie. Hej, czy to nie fajne!”. I rzeczywiście jest fajne. Mniej więcej w tym samym czasie zaczynasz zauważać, że czujesz pod stopami jadące pociągi metra albo przeciekające rury. Słyszysz ruch uliczny, ludzkie głosy i inne rzeczy. Wtedy najpewniej rozglądasz się i myślisz: „Te budynki z zapalonymi światłami wyglądają zupełnie jak żywe, jakby były olbrzymimi drzewami, rozświetlonymi przez własne gwiazdozbiory jarzące się we wszystkich oknach”. Albo jesteś pod ziemią i uświadamiasz sobie, że widzisz otaczające cię ze wszystkich stron miasto, tak bardzo pełne życia, którego muzyka wypełnia wszystko, a każdy jego mieszkaniec jest żywy, realny, pełen uczuć i tajemnic, nie tylko Joe Bloggs, który akurat przechodzi obok. Wszystkie części miasta wypełnia życie. I myślisz: „Hej, to cholernie fajne. Dokądkolwiek spojrzę, wszędzie jest życie”. Mniej więcej w tym samym czasie zdajesz sobie sprawę, że słyszysz szczury i gołębie, myśli i zaklęcia, kolory i elektryczność. Zapewne wtedy właśnie zaczęłaś popadać w lekki obłąd. Mam rację?

Zastanawiała się chwilę nad moimi słowami.

- Powiedziały mi, że się zjawisz - oznajmiła wreszcie.

- Kto ci powiedział?

- One. W telefonach.

- Nadal jestem ciekawy, kim są „one”.

- Mówiły, że nie warto żyć, jeśli nie żyje się całą pełnią, że to w porządku, jeśli ogarnie mnie ogień i będę płonęła przez całą wieczność, że wszystko, co muszę uczynić, żeby być wolną, to podpalić niebo. Zapomnij o prawach, zapomnij o tym, co zdaniem innych powinnaś, a czego nie powinnaś robić. Rzekły mi: „Myśmy są światło, myśmy są życie, myśmy są ogień. Stań się mną i bądź wolna”. Nadal uważasz, że nie jestem szalona?

- Ach, mówisz o nich. Nie warto zwracać na nie uwagi.

- Kim one są?

- Żyją w przewodach telefonicznych. To fragmenty życia, które w nich porzucono. Po prostu szukają wrażeń.

- Powiedziały mi, że się zjawisz.

- Świetnie potrafią straszyć ludzi. Nie zwracaj na nie uwagi.

- O co im chodziło?

- Chcą się dowiedzieć, jak to jest być człowiekiem. Niektórzy twierdzą, że one

potrafią zjeść ludzką duszę, śmiertelne tchnienie, połknąć kogoś w całości, by się dowiedzieć, na jakich zasadach opiera się jego funkcjonowanie. Teoria mówi, że działa to też w drugą stronę. Mówię o ich tchnieniu. Kiedyś chciałem... ale to zbyt niebezpieczne.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
- Lepiej o nich nie myśleć.
- Powinnam po prostu ignorować te głosy?
- Ehe.
- A dlaczego?
- Są niebezpieczne.
- Czy to też czarnoksiężstwo?
- A jak sądzisz?

Odchrząknęła. Przez pewien czas nie odzywaliśmy się ani słowem. Przesiłekając przez papier tłuszcz lepił mi się do palców.

- Powiedziały, że są aniołami - odezwała się wreszcie.
- To kłamstwo.
- Słyszałeś je?

- Tak. Całe czarnoksiężstwo opiera się na... postrzeganiu życia w niezwykłych miejscach. Nie chcę popadać w metafizykę, ale nie chodzi tylko o niebo, morze, góry i tak dalej, lecz również o światło latarni i sygnały telefoniczne. Potrafisz dostrzec takie rzeczy tam, gdzie inni ich nie widzą. Niebieskie elektryczne anioły śpiewają bardzo uwodzicielską pieśń. „Zapomnij o ograniczeniach swego świata, zapomnij o swym ciele i uczuciach, o przyjaciółach i prawach. Jesteś czarnoksiężnikiem. Mógłbyś płonąć nadzwyczaj jasnym ogniem, gdybyś tylko potrafił w to uwierzyć. Tego właśnie pragnę. Wolności, ognia i płonącego życia. Tylko o to im chodzi. Trzymaj się od nich z daleka.

- Czy jest więcej podobnych istot?

- Jasne. Demony, potwory i cała ta zgraja. Ale łatwo ich unikać, jeśli jest się ostrożnym.

- W porządku. - Wypuściła z drzeniem powietrze. - Mamie odbije, kiedy o tym usłyszy.

- Fakt, że nie wydechasz już z płuc spalin, ucieszył ją chyba tak bardzo, że nie będzie jej to przeszkadzało.

- Ale to zdarzy się znowu, prawda?

Uniosłem wzrok i zobaczyłem, że Dana wpatruje się we mnie.

- Wszystko to się powtórzy, prawda? Sam tak powiedziałaś.

Wzruszyłem ramionami.

- Dlaczego wmieszałeś się w tę sprawę? - zapytała ostrym tonem.

- Akurat przechodziłem obok.

- Przypadek?

- To dyskusyjne pojęcie, ale jeśli nie zamierzamy wdawać się w dyskusję o wyższych mocach i nieprzyjemnej idei losu, to tak. Przypadek.

- Facet, który cię uczył, pewnie nie potrzebuje nowej uczennicy?

- Kto wie.

- Masz do niego numer?

- Jasne.

Czekała przez chwilę.

- A czy możesz mi go dać? - zapytała wreszcie, gdy się nie odzywałem.

Zawahałem się.

- Chodzi o to...

- Słucham?

- ...z reguły załatwia się to w ten sposób...

- Że ty powinienesz mnie uczyć?

- W zasadzie tak.

Skinęła z namysłem głową.

- Ale nie ma w tym nagości ani krwi, prawda?

- Słucham? Nie ma!

- To dobrze. A co ze składaniem żywych ofiar i obrzędowym tańcem?

- Myślę, że nie traktujesz tego wystarczająco poważnie.

- Traktuję - zapewniła pośpiesznie. - Uwierz mi. Chcę się tylko dowiedzieć, w co się pakuję.

- Już się w to wpakowałaś - przypomniałem jej.

- Ehe, pewnie masz rację. - Spojrzała na niebo, a potem znowu na rzekę. - Czy jesteś skurwysyńskim psychopatycznym mordercą? - zapytała od niechcienia, bez śladu obraźliwych uczuć w głosie i na twarzy.

- Nie jestem - zapewniłem z westchnieniem.

- Dobra. W takim razie może powinniśmy pogadać.

* * *

Zostawiłem panią Mikedę w Smithfield mniej więcej w tym samym czasie, gdy pod

miejscowymi klubami zaczęły się ustawiać kolejki skąpo ubranych dziewcząt, gotowych tańczyć, aż wreszcie wypała sobie szmerek w głowie. Nie wiedziałem, co sądziła o mnie i o mojej opowieści. Jej twarz przerodziła się w nieprzeniknioną maskę, nim jeszcze zacząłem mówić. Tak czy inaczej, uważałem, że powinienem to zrobić.

Zabrałem torbę, zapłaciłem rachunek w hotelu i - uznawszy, że właściwie nie mam nic innego do roboty - wsiadłem do pierwszego autobusu do Willesden.

* * *

Blackjack był w domu, ale zareagował dopiero, gdy zapukałem do drzwi jego baraku po raz trzeci. Dręczył go niepokój. Nie palił światła, a z chwiejnej, przekrzywionej sterty żelastwa, którą zwał domem, nie wydostawały się na zewnątrz żadne dźwięki, ale otworzył jednym ruchem drzwi i w tej samej chwili podsunął mi na twarz dwururkę, na widok której funkcjonariusz londyńskiej policji zemdlałby w mgnieniu oka.

Ujrawszy moją minę, wahał się odrobinę za długo, nim opuścił broń.

- Masz pojęcie, która godzina? - mruknął.

- Godzina duchów? - domyśliłem się.

- Jesteś sam? - zapytał, spoglądając w ciemność za moimi plecami. Mimo późnej pory miał na sobie skórzaną kurtkę, czarne buty z cholewami i czerwoną apaszkę w groszki. Na ręce włożył rękawice tak grube, że jego palec ledwie się mieścił w kabłąku spustu.

- Mogę wejść? - zapytałem.

Zaprosił mnie skinieniem do środka i podkręcił płomień parafinowej lampy. Wszedłem do pograżonego w półmroku wnętrza baraku.

- Chcesz kawy? - zapytał, podchodząc do niskiego pieca. Położył dwururkę na półce pełnej puszek farby w sprayu.

- Dziękuję, bardzo mi się przyda.

Postawił czajnik na piecu, odkręcił zawór butli gazowej i potarł zapalną o draszkę. Słaby niebieski płomień zapalił się z cichym beknięciem.

- Nie widziałem cię od jakiegoś czasu, czym się zajmowałeś, czarnoksiężniku? - zapytał jednym tchem, gdy usiadłem na stercie koców pokrytych najmniej podejrzanie wyglądającymi plamami.

- Niczym szczególnym - przyznałem.

- Słyszałem, że zostałeś ranny w centrali.

- Czuję się już dobrze.

- Kurde, to ci się rzadko zdarza. - Unieśliśmy wzrok, słysząc jego pozbawiony

wesołości chichot. Machnął ręką. - Mniejsza z tym. Czasy się zmieniają. No wiesz, tak powiedział Bard.

- Bard?

- Jezu, naprawdę powinieneś częściej wychodzić.

- Tak właśnie wygląda plan - odpowiedzieliśmy. - Masz coś do roboty w ciągu kilku najbliższych godzin?

- Pragniesz mnie nauczyć zdrowego życia?

- Chciałem, żebyś mnie gdzieś podwiózł.

- Pojedź pociągiem, do chuja!

- Lord samotnych podróżnych zapewne nie jest w tej chwili moim przyjacielem.

- Kto?

- Chyba powinieneś w najbliższym czasie ponownie przemyśleć swe miejsce w ogólnym planie wszechrzeczy - stwierdziłem. - Możesz mnie podwieźć? Proszę.

- Musisz gdzieś dotrzeć naprawdę szybko? - zapytał z uśmiechem Blackjack.

* * *

Magia motocyklistów polega na łączeniu różnych miejsc w jedną całość. W każdym mieście, na każdej drodze, zawsze można znaleźć nieokreślony punkt, w którym wszystko jest płynne, gdzie przez chwilę wydaje się, że nie ma sensu, by północ leżała na północy, a - nim odzyskamy orientację - pub na rogu wygląda dla nas zupełnie tak samo, jak ten, który odwiedziliśmy przed laty w jakimś innym miejscu. Są ulice, na których człowiek budzi się z drzemki na tylnym siedzeniu samochodu i przez chwilę, choćby nawet mieszkał tu przez długie lata - czy może pracował albo tędy przejeżdżał - nie ma pojęcia, gdzie się znajduje. W takich miejscach, jeśli ktoś wie, co robi, może prześliznąć się przez luki i w krótkiej chwili pokonać bardzo długi dystans.

Byliśmy ciekawi magii motocyklistów, pragnęliśmy ujrzeć ją w działaniu, i gdy Blackjack pomknął przez puste ulice, przeszył nas dreszczyk, a serce zabiło nam szybciej. Mimo to, gdy siedzieliśmy za nim w zapasowym hełmie na głowie, co chwila przechodząc między światłem a ciemnością w nieustannym korowodzie ulicznych świateł, dręczyła nas choroba lokomocyjna.

Przed oczyma śmigały nam anonimowe ulice. Blackjack nie pojechał na południe, mimo że tam właśnie musieliśmy dotrzeć. Zmierzał na północ, aż wreszcie ulice zmieniły się w zamazaną linię bliźniaków w pseudotudorowskim stylu, które w swej wyobraźni identyfikowałem z londyńskimi przedmieściami. Ryk motocyklowego silnika był

najgłośniejszym dźwiękiem słyszalnym na ulicach. Płoszył lisy grzebiące w puszkach na śmieci i odbijał się echem od sennych domów. Śledziłem mijane nazwy: Harlesden, Dollis Hill, Neasden, Queensbury, Stanmore. Potem niespodziewanie skręcił w lewo i wpadł z rykiem na uliczki osiedla mieszkaniowego, wjeżdżając między garaże pokryte graffiti stworzonymi przez dzieci, a tu i ówdzie również przez magów. Jeden z nich pokrył całą ścianę obrazem białych koni o płynnych zarysach. Blackjack zjechał z drogi, przemknął po trawniku, opryskując nasze nogi błotem i kawałkami darni, a potem wjechał do zaułka. Po obu stronach uliczki stały pojemniki na śmieci.

Na moment dopadły nas mdłości, poczuliśmy ucisk w żołądku. Widzieliśmy tylko ciągnący się bez końca zaułek, oświetlony szeregiem świecących białym migotliwym światłem lamp o przedłużonej trwałości.

Wyjechaliśmy z zaułka i skręciliśmy w ulicę wyglądającą identycznie jak te, które mijaliśmy po drodze na północ. Blackjack przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle, kierując się ku pustej, biegnącej po łuku drodze po jego drugiej stronie. Drogowskazy nie wspominały już o M1, czy Midlands, lecz wskazywały drogę do Dover albo Folkestone. Jechaliśmy na południowy wschód. Przejazd przez osiedle pozwolił nam ominąć ponad dwadzieścia mil ciągłej miejskiej zabudowy. Znajdowaliśmy się na drugim brzegu rzeki.

Potem były kolejne skróty. Blackheath zmieniło się w pas zieleni, gdy w przyprawiający o mdłości sposób przemknęliśmy między dwoma drzewami, niekończące się kręte drogi dojazdowe stacji obsługi tuż przed Rochester zaprowadziły nas na niekończące się, kręte drogi dojazdowe stacji obsługi nieopodal Faversham, monotonne światła uliczne nad naszymi głowami zmieniały się za szybko, niż można to było wytłumaczyć prostym faktem, że mój wzrok za nimi nie nadążał. Wreszcie dotarliśmy do obwodnicy biegnącej nad białymi klifami Dover. Według mojej oceny, droga z Willesden na brzeg morza zajęła nam najwyżej czterdzieści pięć minut.

* * *

Blackjack nie śpieszył się, jadąc długą stromą szosą biegnącą po ścianie urwiska poniżej zamku. Leżące pod całą tą kredą Dover wyglądało jak uporczywa plama na nieskazitelnie białym obrusie, uwięzione między klifem a morzem cienkie pasmo pomarańczowego blasku, mieszające historię dłuższą niż wał nadmorski otaczający port z pochodzącymi z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku udającymi architekturę bryłami, które wypełniły luki pozostałe po wojennych zniszczeniach.

Blackjack zatrzymał się na parkingu terminalu promowego. Gdy zsiadłem z

motocykla, plecy mnie bolały, kolana ugiwały się pode mną, a nogi miałem gorące od bliskości silnika. Czułem zapach oleju silnikowego, mew oraz soli. Oczyszczający rytm morza mieszał się z aurą unoszącej się w powietrzu magii. Wyczuwaliśmy jej słaby, niezwykle smak, sugerujący ukryte głębie, których nie znaleźliśmy i nie potrafiliśmy do nich dotrzeć. Podejrzywałem, że druid czułby się tutaj równie obco jak ja. Było tu zbyt wiele różnych rodzajów magii - tradycyjne morskie czarnoksiężstwo, naturalna magia otaczającej nas okolicy, bogata w wydarzenia historia tego miejsca, a na koniec nowe warstwy ruchliwego życia i interesów - pozostających ze sobą w konflikcie.

- Byłeś tu już kiedyś? - zapytał Blackjack.

- Nie - odpowiedzieliśmy.

- A wy?

- Daj sobie z tym spokój - odparłem. - Ruszajmy.

- Dokąd teraz? Do Francji? - zapytał, przerzucając przez ramię wielką sportową torbę. Mój hełm schował do plastikowego pojemnika ulokowanego z tyłu motocykla. - Pora na wakacje?

- Kiedy skończymy, będziesz się wstydził tych słów - oznajmiliśmy i ruszyliśmy w stronę portu.

* * *

Za labiryntem ramp, grobli i parkingów, zajmującym większość obszaru portu promowego w Dover, znajduje się niewielki, prowizoryczny obszar celny, pełen małych budynków biurowych, skonfiskowanych towarów oraz samochodów rozebranych na części przez podejrzliwych celników. Dalej wznosi się mały budynek z czerwonej cegły, niemalże wtulony w sam klif. Są tam czarne metalowe drzwi oświetlone pojedynczą żarówką, brzęczącą głośno, jakby w środku uwięziono muchę. Wyjąłem z kieszeni zestaw surowych kluczy i wsunąłem jeden z nich do zamka.

Magia zjawiała się powoli, mimo że słyszeliśmy szum morza i czuliśmy woń oparów benzyny. Wiedzieliśmy, że potencjalnie mogą tu istnieć najróżniejsze cuda, ale miejsce było dla nas tak obce, że trudno nam było uzyskać do nich dostęp. Czuliśmy się jak zamknięci w klatce z gładkiego szkła.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Blackjack, gdy próbowaliśmy zmusić klucz do posłuszeństwa.

- Dobrze - mruknęliśmy przez zaciśnięte zęby. - Daj mi chwilkę. To tylko...

Klucz obrócił się w zamku i drzwi się otworzyły.

Za nimi był długi biały korytarz, pachnący środkiem odkażającym. Płytki na ścianach były poobtlukiwane, a choć linoleum pokrywające podłogę regularnie czyszczone, brud wżarł się w nie tak głęboko, że jego oryginalny niebieski kolor przeszedł w cętkowany brąz. Nagle poczuliśmy się pewni, że budynek zajmuje pierwsze miejsce na liście miejsc, jakich nigdy nie chcielibyśmy odwiedzić, aspektów życia, których nie mieliśmy najmniejszej ochoty badać. Posuwałem się naprzód ostrożnie, tak spokojnie, jak tylko mogłem. Na nogach miałem nowe buty. Blackjack ich nie zauważył. To mogło się okazać korzystne.

Po obu stronach korytarza znajdowały się drzwi do małych gabinetów. Na ścianach wisiały tablice korkowe pełne zdjęć, notatek oraz urzędowych zawiadomień. Na małych obrotowych krzesłach znudzeni urzędnicy mogli się huśtać po obiedzie. Wszystko tu było martwe, zimne i twarde. To miejsce przyćmiewało nasze zmysły całunem o niezdrowym zapachu błota, tłumilo naszą spostrzegawczość, redukowało wszystko, co śmieliśmy czuć, do całkowitego minimum, zalewało nas nicością. Przerażającą, pozbawioną magii nicością.

- Hej, na pewno dobrze się czujesz?

- Zróbmy to - mruknąłem.

- Co mamy zrobić?

Otworzyłem drzwi na końcu korytarza i zszedłem metalowymi schodami na dół. W piwnicy były stoły z nierdzewnej stali, tace, zwykle drewniane stoły i noże, a na jednej ze ścian umieszczono szereg stalowych drzwiczek. Wyglądało to jak piec piekarski, tylko za mały i zbyt chłodny.

- Czarnoksiężniku? - W głosie Blackjacksa pojawiła się nuta ostrożności. - Co my tu robimy?

- Pewne rzeczy muszą się skończyć - odpowiedzieliśmy. - Pora coś w tej sprawie zrobić.

Sprawdzałem etykiety na stalowych drzwiach, aż wreszcie znalazłem te, których szukałem. Otworzyłem je, złapałem za stalowy uchwyt, wyciągnąłem trupa, zdjąłem płachtę z jego twarzy i zobaczyłem...

Kiedyś był to Harris Simmons.

Z twarzy zostało wystarczająco wiele, by można go było rozpoznać.

Kiedyś to był Harris Simmons, ale zapewne musieli pobrać odciski palców, by się upewnić.

- O Boże - mruknął Blackjack.

- Pewne rzeczy muszą się skończyć - powtórzyliśmy cichym głosem, zakrywając twarz Harrisa Simmonsa. Oparliśmy się o zimną, stalową ścianę. - Czemu by nie teraz?

- Kurde, co mu się stało?

- Uciekł. Bał się... nas. Ciebie go zabił. Kiedy rozmawiałem z lordem samotnych podróżnych, powiedział mi, że Simmonsa ściga cień. Nie było sposobu, by nie znalazł go przede mną, a on zna tylko jedno rozwiązanie każdego problemu.

- Wiedziałaś, że Simmons nie żyje?

- Ehe.

- To po co tu przyszliśmy, do chuja? Chcesz urządzić seans?

- Nie - odparłem z westchnieniem. - Coś znacznie gorszego.

Światła u sufitu przygasły. Blackjack cofnął się ku ścianie.

- Czarnoksiężniku? - warknął ostrzegawczo. Jego ręka już zmierzała ku sportowej torbie. - Co tu się dzieje?

W głębi mojego gardła zrodził się śmiech. Szerzył się niepowstrzymanie, aż złapał się za boki od jego bolesnej siły. Potarłem łzawiące oczy i wytarłem nos w rękaw. Ze wszystkich stron dobiegały mnie trzaski gasnących świateł. Mój cień wyciągał się coraz bardziej.

- Bakker wie, że szukam Simmonsa. Dlaczego jego cień nie miałby również tego wiedzieć?

Blackjack wyciągnął z torby kawał łańcucha. Spojrzałem mu w oczy. Na jego bladej - niezwykle bladej - twarzy malowało się coś więcej niż strach.

- Simmons miał mi umożliwić dotarcie do Bakкера - dodałem spokojnie. - Od początku wiedziałem, że to pułapka, ale chciałem się dowiedzieć, czy to ty mnie do niej zaprowadzisz.

Zawahał się.

Cień u jego stóp wysunął z podłogi długą, wyposażoną w pazury rękę, złapał za brzeg stalowego stołu i podciągnął się. Pojawił się bark, a potem czubek głowy, odchylonej do tyłu, ku gasnącemu światłu żarówki. W ciemności zaczęły się formować oczy. Zwrócił się ku mnie.

- Tu jesteś! - wysyczał.

- Bardzo mi miło - odparłem i rzuciłem się z pazurami na Blackjacksa, przechodząc przez na wpół uformowaną widmową sylwetkę wyłaniającego się z podłogi Głodu.

Motocyklista był szybki, ale duży, a do tego dał się zaskoczyć. Gdy skoczyliśmy na niego, usunął się ociężale na bok. Żarówki na suficie pękły, na podłogę posypało się rozżarzone szkło. Głód spróbował złapać nas za kostkę nieuformowanymi jeszcze pazurami, które przeszły przez moje ciało na podobieństwo zimnej jak lód mgły. Nasze paznokcie

przeorały policzek Blackjacka, a zęby wbiły się w koniuszek jego ucha. Popłynęła krew, smakująca wyłącznie popiołem i solą.

Nagle coś spadło nam na plecy, szybkie i ciężkie. Motocyklista stęknął, złapał nas za szyję jak psa i cisnął do tyłu z gniewnym warknięciem. W jego oczach gorzała wściekłość. Nie zauważyliśmy, by łańcuch przesywał powietrze. W jednej chwili był w jego ręku, w drugiej zaś owinał się wokół naszej szyi, bez żadnych etapów pośrednich, które mogłyby wytłumaczyć ten fakt. Dławiliśmy się, próbując zerwać łańcuch. Motocyklista pociągnął za drugi koniec i obalił nas na kolana. Oczy mu płonęły, a z policzka spływała krew, barwiąca apaszkę na ciemnoczerwono.

- Ty skurwysynu! - krzyknął. - Ty skurwysynu!

Nie zabrzmiało to jednak przekonująco. To były tylko puste słowa, pozbawione znaczenia.

Głód stanął przede mną, odsłaniając w uśmiechu zepsute zęby.

- Cześć, ogniu!

To odebrało Blackjackowi ochotę do przekleństw. Twarz mu poszarzała.

Głód pochylił się i chwycił mnie za włosy całkowicie już materialną, białą jak śnieg dłonią. Drugą złapał mnie za podbródek, unosząc moją twarz ku górze, tak że widziałem tylko jego martwe oczy. Czarne paznokcie wbiły się głęboko.

- Gdzie jest teraz ogień Matthew? - wyszeptał.

- To pytanie celniejsze niż ci się zdaje - odparłem.

Czyżby w pustych oczach Głodu pojawił się błysk zwątpienia?

Niewykluczone. Patrzyłem na niego i widziałem Bakкера. Być może tylko mi się zdawało, że dostrzegam uczucie, gdy martwa postać Głodu powtarzała echem język ciała mojego dawnego nauczyciela. Czarne paznokcie wbiły się jeszcze głębiej. Popłynęła krew.

- Matthew... - Przez chwilę, tylko przez krótką chwilę, z ust Głodu płynął głos Bakкера. Potem pochłonęły go głębie brzucha stwora. - Zaśpiewasz dla mnie? - zapytał. - Swoją dawną ulubioną piosenkę?

- Dziesięć zielonych butelek? - wycharczałem, czując spływającą po skórze krew.

- Tę, którą śpiewają anioły. Myśmy są światło, myśmy są życie, myśmy są ogień...

- Nie można wierzyć w to, co się słyszy przez telefon - odparłem. - Nigdy nie wiesz, czy nie śmieją się z ciebie, kiedy kłamią.

Warknął. Potem jego ręce znowu zmieniły się w cienie. Sięgnął do mego wnętrza i zacisnął dłoń na sercu. W tej chwili, w tej martwej chwili, gdy łańcuch motocyklisty owijał się mi wokół szyi, gotowy mnie udusić, nie miałem już nic, co mógłbym wykorzystać do

walki, my zaś baliśmy się próbować.

Uświadomiliśmy sobie, że mamy...

...słabe strony

...których wolelibyśmy nie opisywać.

Gdy światła w świadomej części naszego umysłu zgasły, ucieszyliśmy się z tego skrycie.

* * *

Podróż w przestrzeni i choroba lokomocyjna.

Skakanie z A do C bez zwracania sobie głowy zagładaniem do B.

Niespójne wizje. Migotliwe światła, ogień otaczający nam szyję, ciemność w naszej krwi i zawsze jego głos. Daj mi życie, powtarzał, daj mi życie.

Wiedzieliśmy, że podali nam jakiś narkotyk.

Wiedzieliśmy, że utoczyli nam krew. Nie zrobili tego w zbyt niehigieniczny sposób; byliśmy im potrzebni żywi. Zabrali pintę krwi i Głód zlizywał ją z palców, jakby była ostrym sosem curry. A potem drugą, bo nie mogli zrozumieć, dlaczego ma smak ludzkiej krwi. Zaczął nami potrząsać, krzycząc:

- Nie chcę krwi czarnoksiężnika. Już jej próbowałem i ona nie wystarczy! Jest nudna, ludzka, nudna i szara. Gdzie są anioły?

Łatwo byłoby podpalić czerwoną krew w plastikowych pojemnikach, sprawić, by ogarnął ją nasz niebieski ogień. Tak łatwo, że śmierć w porównaniu z tym wydawała się skomplikowana.

Zostaliśmy w ciemności, starając się ukrywać w niej tak długo, jak tylko zdołamy.

* * *

Mieliśmy sen. Nigdy nie byłem zbyt wielkim fanem mistycznej interpretacji marzeń sennych, ale cokolwiek by powiedzieć o niewiarygodności proroczych mocy oraz ich nieprzyjemnych metafizycznych konotacjach, ów sen coś w sobie miał. Śniło nam się, że unosimy się w błękitnym przewodzie, a wokół nas tańczy odległy dźwięk głosów, które mówiły:

halo?

halo?!

HALO?

Cześć, rozmowę przełączono na...

naciśnij jeden, by osiągnąć potępienie,

*dwa, by osiągnąć oświecenie,
trzy, by zmienić dane,
albo naciśnij gwiazdkę, by ponownie wysłuchać menu...*
HALO!

Ku naszemu zdziwieniu, nie byliśmy tu sami. Odwróciliśmy się w wypełnionej tańcem przestrzeni przewodu, by zobaczyć nieznanego, który nas zaskoczył. Siedziałem na unoszącym się wewnątrz przewodu znaku Microsoft Windows, po twarzy spływała mi krew, poruszałem od niechcienia palcami, wyciągając je za przelatującym obok wirusem komputerowym. Jego białe, toksyczne płatki obracały się w nicosć pod moim dotykiem. Uświadomiliśmy sobie, że zawsze wiedziałem, że tutaj, zwłaszcza tutaj, nawet komputery są żywe.

- Kim jesteś? - zapytaliśmy.

Uniosłem wzrok, słysząc nasz głos, dziwną iskrzącą zjawę. Uświadomiłem sobie, że to nie jeden głos, lecz tysiące, skupisko zakłóceń złożone z niezliczonych ludzkich głosów przechodzących w tej chwili przez system, by złożyć się na dźwięk mowy, ponieważ tutaj nie mieliśmy ust. Staliśmy przede mną, niebieski elektryczny ogień wypełniający przewody przechodził przez nas, jakby był mgłą - czy może jakbyśmy to my nią byli, trudno było dostrzec różnicę. Pojawiał się i znikał, kierując ku mnie spowitą płomieniami twarz.

- Jestem Matthew Swift - odpowiedziałem. - Co tu jest grane?

- Pamiętamy cię - oznajmiliśmy. - Dałeś nam życie!

- Naprawdę? To miło.

W tym właśnie momencie, co często zdarza się w snach, ogarnęła mnie dezorientacja. Niepokoiło mnie wrażenie, że coś w tym całym obrazie jest nie w porządku.

- Czy już się kiedyś spotkaliśmy? - zapytałem. Wyhodowaliśmy sobie na głowie żywego jeża, a na dole mały kręty autobus przejeżdżał pod Wieżą Eiffla.

- Jesteśmy... - zaczęliśmy.

- Jestem pewien, że coś... - zasugerowałem, zauważając ze zdziwieniem, że moje dłonie są fioletowe i mam u nich po trzy palce.

- Czy to...? - spróbowaliśmy.

- Z pewnością coś tu się dzieje - zgodziłem się. - Może jeśli...

Nagle usłyszeliśmy dźwięk, niski złowrogi łoskot, którego nie powinno tu być, przeradzający się w urywany huk, który w końcu stał się śmiechem, wypełniającym przewody swą obecnością. Skuliliśmy się za mną, czując instynktownie, że ja zapewniam lepszą osłonę przed tym bardzo ludzkim dźwiękiem, który wtargnął do naszej domeny. Zdziwiliśmy się

jednak, że tak szybko postanowiliśmy poszukać schronienia za plecami istoty tak obcej i słabej jak ja. Wykonaliśmy obrót, dotykając palcami u nóg telefonów komórkowych w Afryce, a nosem waszyngtońskich firewalli, aż wreszcie wypatrzyliśmy w błękitnie źródło śmiechu.

Jak można było przewidzieć, były nim usta, pełne ostro zakończonych próchnicznych zębów. Usta i nic więcej. Wypełniły cały nasz świat, wznosząc się nad rozproszonymi głosami i tańczącym ogniem naszego domu. Za nimi otwierało się czarne głębokie gardło. Spomiędzy warg buchał smród gnijącego ciała. Towarzyszył mu dźwięk chichoczących łożysk kulkowych. Usta poszerzały się nieustannie, pochłaniając cały nasz świat jednym kęsem, zasłaniając nam światło. Czuliśmy, że ogień, na którym stoimy, i elektryczność, w której pływamy, wpadają w czarną dziurę gardła, spływając po pokrytym rzadkim olejem języku, aż wreszcie nie widzieliśmy nic poza ustami, zębami, językiem oraz martwą, ongiś różową tkanką. Usta połknęły nas w całości.

Spadając w ciemność, spojrzeliśmy za siebie.

Zobaczyłem, że ogień niebieskich aniołów zgasł w pochłaniającym go cieniu. Zdjąłem z ramion geparda, który wtulił się w nie w poszukiwaniu ciepła.

- Nie licz na mnie - powiedziałem mu. - Ja już od dawna nie żyję.

Potem mnie również pochłonęła ciemność.

* * *

Biel, wszędzie biel.

Spojrzałem w lewo. Zerknąłem w prawo. Na tym kończył się zakres fizycznych ruchów, do których byłem zdolny.

Skierowałem spojrzenie na igły, które wbito mi w lewą rękę. Gdybym nie oglądał już z bliska własnych narządów wewnętrznych, gdy ostatnio przytrafiło mi się coś złego, zapewne byśmy zemdleli. Pomogłem nam zachować świadomość, starając się myśleć spokojnie.

Biel pochodziła od ścian, sufitu oraz palącej się pod nim jarzeniówki, tak jasnej, że od patrzenia na nią bolały oczy. Powieki mieliśmy ciężkie i suche, wargi spękane, a język sztywny, jakby zrobiono go z wygarbowanej skóry. Uniesienie głowy było wszystkim, czego zdołałem dokonać. Resztę ciała przytroczono pasami do łóżka. Przymrużyłem powieki, przyglądając się pojemnikom podłączonym do wnikających do moich żył przewodów. Jeden zawierał krew grupy 0, spływającą miarowo w dół. Zauważyłem, że żyły mam cienkie i sine, jak u ćpuna. W drugim plastikowym worku była chyba glukoza i sole mineralne. Nieco

powyżej igieł na wydatne żyły zgięcia łokciowego nałożono plaster. Najwyraźniej nie tylko otrzymywałem, lecz również byłem zmuszony dawać. Ktoś pobierał naszą krew.

Stłumiliśmy gniew i mdłości.

Zastanawiałem się, dlaczego jeszcze żyję. Spojrzałem na dolne części swego ciała. Stopy miałem bose. Poruszyłem ich palcami, by odwrócić swą uwagę od nagłego ucisku strachu w żołądku. Gdzie schowali moje buty? I, co być może ważniejsze, kiedy mi je zdjęli? Nie potrafiłem tego określić. Przez chwilę czuliśmy ochotę uderzenia całą mocą, jaką jeszcze w sobie wyczuwaliśmy, i spalania wszystkiego, co leżało w ograniczonym zasięgu naszych zmysłów. Jeśli już wszystko miało się dla nas skończyć, niech przynajmniej będzie to chwalebny koniec.

Oparłem się pokusie, zmusiłem nas do oddychania spokojnym, miarowym rytmem i rozważenia sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Pocierając podbródkiem o ramię, odniosłem wrażenie, że mam kilkudniowy zarost. Ponieważ nawet tak niewielki wysiłek przyprawił mnie o zawroty głowy, podejrzewałem, że utoczyli ze mnie kilka pint krwi i przetaczali teraz krew grupy 0 tylko po to, by utrzymać nas przy życiu jeszcze przez pewien czas, wyłącznie dla swego dobra, nie dla naszego. Fakt, że wszystkie nasze narządy wewnętrzne były na miejscu, a serce biło miarowo, sugerował, że nadal nas potrzebują. Po naszej skórze przebiegł dreszczyk optymizmu.

Nie było powodu się śpieszyć.

Mogłem zaczekać.

Położyłem się i zamknąłem oczy, pozwalając, by krew wypełniała moje żyły.

* * *

- Matthew?

Nie odpowiedziałem.

- Och, Matthew. Jak mogło do tego dojść?

- Wie pan co? - odparłem. - Tylko pasy, kurcze mięśni i koktajl z prochów powstrzymują mnie przed pogardliwym wzruszeniem ramionami.

Usłyszałem pisk wózka inwalidzkiego poruszającego się na gumowej podłodze, a potem westchnienie.

- Matthew - zganił mnie głos. - To dla twojego dobra.

- Jasne.

- Nadal nie rozumiem, jak mogło do tego dojść. Jak zdołały się... zakorzenić w tobie tak głęboko. Wiem, że to one zmusiły cię do tych wszystkich uczynków, i obiecuję, że

uwolnię cię od klątwy, jaką są.

Otworzyliśmy oczy.

- Że niby czym jesteśmy?

Bakker pochylił się na wózku i splótł dłonie przed sobą. Twarz miał zatroskaną.

- Rozumiem, że... pomimo straszliwych czynów, jakich się dopuściłeś... robiłeś to dla nich. Anioły pragną życia. To zrozumiałe. Któż by go nie pragnął? Karmią się nim, pożądają doświadczeń, zmysłów, wolności. To ma sens, że zrobiły... no cóż, nie ma po co mówić o tym, co zrobiły. I tak już jest za późno dla Sama, Guya, Harrisa i innych nieszczęśników, jakich z pewnością uśmierciły, nosząc twoje ciało. Przykro mi z tego powodu, podobnie jak na myśl o tym, jak się z pewnością poczujesz, jeśli zdołam uwolnić cię z ich sidła.

Gapilem się na niego ze zdumieniem. Na tle białych ścian jego twarz wydawała się jeszcze starsza i bledsza.

- Przepraszam, ale czy mógłby pan wyrażać się jaśniej? - zacząłem. - Myśli pan, że to ja zabiłem San Khaya i Harrisa Simmonsa? I że Guy Lee w ogóle mógł umrzeć? Uważa pan, że anioły mnie opętały? Czy naprawdę nic pan nie rozumie?

Potrząsnął głową z zatrwożoną miną i zaczął zawracać fotel.

- Panie Bakker! - zawołałem za nim. - Nie wierzę, by w głębi serca nie zdawał pan sobie sprawy z tych wszystkich uczynków, nie domyślał się zbrodni popełnionych w pana imieniu! Niech pan spojrzy w lustro i powie mi, gdzie się podziewa pański cień, gdy pan beztrosko sobie marzy o dobrych uczynkach? Proszę spojrzeć na swe odbicie i odpowiedzieć mi, dlaczego, choć światło jest tu jasne, u pańskich stóp nie ma ciemności, którą wszyscy rzucamy?

Nie odpowiedział.

- Nie może pan być aż tak ślepy, by tego nie dostrzegać! - krzyknąłem za nim. - Jakąś częścią jaźni musi pan wiedzieć!

Wyjechał bez słowa z pokoju, ani razu nie oglądając się za siebie.

* * *

Sny już nie wróciły.

Nie chcieliśmy więcej snów.

Zrób ze mnie cień na ścianie...

czy może pan nad nimi zapanować?

kilka pereł mądrości

...masz przesrane, czarnoksiężniku!

stań się mną

myśmy są światło, myśmy są życie, myśmy są ogień

zrób ze mnie cień na ścianie

plonąc na wieki

...nie warto zwracać na nie uwagi

kiedy nie jesteś nimi, robi się z Ciebie bałwan, co?

wyśpiewujemy elektryczny płomień, dudnimy z podziemnym wiatrem tańczymy niebo!

stań się mną i bądź wolny

myśmy są...

jam jest...

bądź wolny

Przepraszam, ale nikt nie może w tej chwili odebrać telefonu. Proszę zostawić wiadomość po usłyszeniu sygnału!

Staaaaaań się...

...mną...

I bądź wolny.

...

Sny już nie wróciły.

Nie mogliśmy ich dłużej znieść.

* * *

Łaskotanie w nosie?

Odległy łoskot, przypominający gorące tchnienie podziemnego wiatru wypadającego z tunelu metra.

Otworzyłem oczy, ponieważ baliśmy się tego nie zrobić, i rozejrzałem się wokół. Z oddali dobiegło mnie głębokie, uprzejme *umff*.

Łaskotanie w nosie.

Pył sypiący się z sufitu. Zaciekawieni, zlizaliśmy go z warg. O ile to w ogóle możliwe, nasz język stał się od niego jeszcze bardziej suchy. Nie poczuliśmy żadnego smaku poza lekką nutą soli.

- Dana? - wychrypiałem.

- To naprawdę niesamowite - odpowiedział jej głos dobiegający gdzieś zza mojej głowy.

- Co jest takie niesamowite?

- To, że wyczułeś moją obecność.
- Udawałem, że śpię.
- Ale te twoje niebieskie oczy są naprawdę upiorne.
- Na to nic nie poradzimy.
- I to również?
- Co?
- To, że kiedy mówicie, brzmicie całkiem jak człowiek.
- To w sumie łatwiej wytłumaczyć. Co jest grane?

Wzruszyła ramionami.

- Pod nami biegnie linia metra.
- Która?
- Northern Line.
- Aha. A więc stąd się bierze ten łoskot.
- Być może.
- Nie sprawiasz wrażenia przekonanej.
- Nie zamierzam się nawrócić na nową wiarę.
- Nie prosiłem cię o...
- Myślę, że umrzemy - przerwała mi cicho.

Zastanowiliśmy się nad tym.

- Wszystko musi się kiedyś skończyć - stwierdziliśmy z uśmiechem. - To znaczy, że w długofalowej perspektywie masz rację. Zresztą jaki sens miałyby życie, gdyby trwało bez końca?

Chrząknęła. Słyszałem głuchy odgłos jej kroków na dywanie, a potem stukot czegoś przesuwanego na stole poza zasięgiem mojego wzroku. Wyjęto mi z przedramienia igły, a ślady zalepiono małymi plastrami. Mimo to wcale nie czułem się lepiej. Dana dotknęła dłonią naszej potylicy, uniosła nam ostrożnie głowę i przysunęła plastikowy kubek do ust.

- Wypij trochę.

Zawahaliśmy się, spoglądając na jej twarz. Była blada i zapadnięta, ale oczy zachowały czujny wyraz, choć nie były już promienne. Pociągnąłem łyk. Smak wody był jak cudowny balsam. Gdy dotknęła naszego języka, odnosiliśmy wrażenie, że cała jama ustna była jak wyschnięta pustynia, tak spieczona, że niemal niezdolna wchłaniać płynu.

- Czytałam gdzieś, że jeśli człowiek jest odwodniony, woda po prostu przelatuje przez niego jak cegła - odezwała się Dana.

- Bardzo mnie pocieszyłaś.

- Chcesz jeszcze trochę?

Oblizalem wargi i skinalem glowa. Dana zniknela gdzieś za mną. Uslyszalem szum wody. Wrócila i pomogla mi się napić.

- Jeszcze nie poprosiles mnie o pomoc - zauwazyła.

- Nie chcialem się zanadto spieszyć.

- Mowią, że jesteś opętany.

- Kto tak mówi?

- Pan Bakker.

W jej głosie słyszałem ten sam ton szacunku, z którym ja również instynktownie mówiłem o swym nauczycielu, nawet teraz.

- To nieprawda.

- Ale nie jesteś do końca sobą, tak?

- Ehe. Nie do końca.

- Powiedział też, że zabiłeś Khaya, Lee i Simmonsa.

- Nie zrobiłem tego.

- Ale widziałeś się z moją matką.

Uniosłem wzrok i zobaczyłem, że Dana stoi tuż obok, spoglądając na mnie z góry. Jej twarz nic nie wyrażała, a głos był tak zimny i pusty, że mogłoby się здаwać, iż w ogóle się nie odezwała. Zlizałem z warg ostatnie krople, ale nie zaproponowała, że pójdzie po więcej.

- Widziałem się z panią Mikedą - potwierdziłem. - Martwi się o ciebie.

- Zrobiłeś jej coś?

- Wiesz, że nie.

Skinęła z namysłem głową.

- Obiecuj, że odejdziesz, jeśli ci pomogę - podjęła. - Po prostu wyjdź stąd i zwiewaj.

Nie przestawaj uciekać, poruszaj się cały czas na wschód, szybciej niż nadchodząca noc. Nie zatrzymuj się nawet na moment. Wiem, że potrafisz to zrobić. Po prostu...

Przerwała na chwilę. Czekałem. Zaczerpnęła głęboko tchu i uspokoiła się.

- Obserwuje mnie przez cały czas - wyszeptala. - Dowie się.

- Bakker?

Potrząsnęła głową.

- On jest dobry. Próbowal mi pomóc.

- Głód? - zapytałem.

Zwrócila ku mnie wzrok. Niepewność na moment nadała jej oczom szczególny blask.

- Czy...

Umilkła, nie odważywszy się zadać pytania.

- Wysoki, mroczny, ma twarz Bakкера? - zapytałem. - To on cię obserwuje?

Skinęła głową.

- Nosi mój stary płaszcz?

Znowu przytaknęła.

- Czego od ciebie chce?

- Powiedział, że pozwoli mi żyć, jeśli mu pomogę.

- W czym masz mu pomóc?

- W przywołaniu aniołów.

Zrozumienie nadeszło powoli.

- To ty nas wezwałaś - wyszeptaliśmy. - Ty nas tu ściągnęłaś!

- Tak - potwierdziła. Jej twarz wykrzywiła się w spazmie strachu.

- Ty nas wezwałaś! - powtórzyliśmy głośniej. - To ty wyciągnęłaś nas z przewodów, ponieważ zawsze do ciebie przemawialiśmy, zawsze cię znaliśmy i nigdy cię nie opuściliśmy. Wiedziałaś, gdzie z pewnością się ukrywamy, i przywołałaś nas z powrotem! Kochaliśmy cię przez całe twoje życie, szepotaliśmy do ciebie o wolności i świetlistym życiu, a ty nas wezwałaś! Ty!

- Tak - powtórzyła drżącym głosem.

- Dlaczego?

- Tak wiele ofiar - odparła. - Akute, Pensley, Foster. On zabił ich wszystkich. Wszystkich czarnoksiężników, do których kazałaś mi uciekać, gdyby zrobiło się niebezpiecznie. Zabił wszystkich! Nie dlatego że byli jego wrogami, tylko dlatego że byli twoimi przyjaciółmi! Mścił się na tobie za to, że mu nie pomogłaś, mimo że nie żyłaś! Zabijał wszystkich, do których się zwróciłam! A ty mnie opuściłaś!

Pomyślałem, że ja być może rzeczywiście ją opuściłem, ale my nigdy tego nie zrobiliśmy.

- Zostawiłaś mnie nie w pełni wyszkoloną i nieprzygotowaną. Co miałam zrobić po twojej śmierci? - mówiła, podnosząc głos w tonie gniewu i strachu, a być może również czegoś jeszcze. - Zagroził, że zabije wszystkich, których znałam, wszystkich, których dotknę, wszystkich... ale ja będę żyła, bo nigdy nie znaleziono twojego ciała, a on widział w noc twojej śmierci, jak tchnęłaś swe życie w telefoniczne przewody, widział, jak niebieskie elektryczne czerwie w mgnieniu oka pochłonęły twoje ciało, aż nie zostało nic oprócz krwi. Miałam nadzieję, myślałam, że może... Co miałam zrobić?

Gapiliśmy się na nią. W jej oczach zaczęły się pojawiać łzy, choć starała się je

powstrzymać całą siłą swej dumy. Patrzyła na mnie wyzywająco.

- Przepraszamy - rzekliśmy.

Chrząknęła i odwróciła się lekko, by wytrzeć twarz rękawem. Potem pociągnęła nosem i znowu spojrzała na nas, jakby sądziła, że nie zauważyliśmy tego gestu.

- Przepraszam, Dano.

Przełknęła ślinę i skinęła głową.

- Uciekaj - powtórzyła. - Nie zdołasz go powstrzymać. Proszę, uciekaj.

- Może być już na to trochę za późno - odpowiedzieliśmy. - Dano?

- Słucham?

- Co miała do powiedzenia twoja matka?

Z ust Dany wyrwał się urywany, stłumiony śmiech.

- Oznajmiła, że jesteś aroganckim skurczybykiem i zapewne zawarłeś pakt z diabłem.

- Naprawdę? - zapytałem. Nie byłem zbyt zaskoczony.

- Mówiła, że opowiedziałeś jej wszystko. I że przeprosiłeś.

- To prawda.

- Przez cały czas twojej nieobecności, gdy wydarzyło się tak wiele strasznych rzeczy, Bakker nigdy za nic nie przeproszał - wyszeptala Dana. - Nawet nie wie, że powinien to zrobić.

Usłyszałem kolejny łoskot. Z sufitu znowu posypał się pył.

- To nie jest Northern Line - zauważyłem.

- Central Line też tędy przebiega - zauważyła ze znajomym, ironicznym uśmiechem.

- Naprawdę?

- Jasne.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Potem parsknąłem śmiechem.

- Co cię tak bawi? - zapytała.

- Wiem, gdzie jesteśmy. Jezu, facet ma niezły tupet - mruknąłem. - Dano?

- Słucham, Matthew?

- Pomożesz mi?

- On nas zabije.

- Poradzę sobie z Bakkerem.

- Nie o nim mówiłam.

- Wiemy. Poradzimy sobie z nim.

- Mama mówi, że jesteś opętany. Pan Bakker się z nią zgadza.

- To zbyt proste słowo na określenie łączącego nas związku - wyszeptalem. - Proszę,

Dano. Nie przyszłabyś tu, gdybyś nie chciała mi pomóc. Przepraszam, że cię poganiam, ale, błagam, zrób to co trzeba zrobić, raczej wcześniej niż później.

- Dlaczego poszedłeś do mojej mamy?

- Martwiłem się!

- O mnie?

- Pewnie, że o ciebie!

- Ale spodziewałeś się, że do mnie zadzwoni i powie, że się zjawileś? Liczyłeś na moją pomoc? Jeszcze kilka tygodni temu nie żyłeś. Twoje oczy mają niewłaściwy kolor.

- Proszę - powtarzałem. - Proszę, wiesz, że to nadal jestem ja. Pomóż mi.

- Może powinniśmy porozmawiać - odparła po chwili zastanowienia.

* * *

Porozmawialiśmy.

Opowiedziała mi o swym życiu jako uczennicy Bakker. O tym, że pokazał jej cuda miasta, nauczył dostrzegać otaczające ją piękno, nauczył ją, że wszystko jest żywe, promienne, pełne potencjału i cudów, trzeba się tylko nauczyć to widzieć. Czarnoksiężstwo mówi nam, że tak właśnie powinno być.

Potem opowiedziała o tym, jak usłyszała od niego, że magia jest życiem. Że bez niej nie byłoby życia, a jej studiowanie, uprawianie, analiza i zrozumienie są kluczem do zrozumienia życia.

Następnie kazał jej słuchać głosów w przewodach, aniołów, które zawsze przemawiały do niej, gdy była dzieckiem, ponieważ od początku wyczuwaliśmy, że Dana kocha życie i potrafi żyć całą pełnią. Przyciągał nas zachwytem wszystkim, co widziała, przepełniający jej głos nawet wtedy, gdy mówiła przez telefon. Nawet gdy rozmawiała z pozbawioną twarzy maszyną, w jej głosie pobrzmiewały uczucia, myśli i szczerą prawdę. Dawała nam tak wiele życia, że nawet będąc w przewodach, potrafiliśmy sobie wyobrazić wyraz jej twarzy.

A potem kazał jej odpowiadać aniołom.

Jeszcze później oznajmił, że są one kolejną formą magii i w związku z tym mogą dawać życie.

Na koniec polecił jej je wezwać.

A po tym, gdy w jej sypialni nocą pojawił się cień, i wszystkie zaklęcia, które przeciwko niemu rzuciła, zdały się na nic, wykonała to polecenie. Powiedział jej, że jest głodny, tak bardzo głodny, że pragnie wypić niebieski ogień aniołów, a jeśli mu się nie uda,

będzie się musiał karmić rzadką krwią czarnoksiężników.

Chcieliśmy powiedzieć coś nieuprzejmego, ale przełknąłem te słowa. Przemyslałem całą sprawę i mogłem wskazać kilka luk dostrzegalnych w tej opowieści. Nie musiałem jednak nic mówić. Wystarczyło, że będę słuchał, a przecież nie mogłem nigdzie pójść, dopóki nie skończy.

Potem nas wypuściła.

* * *

Zdziwiliśmy się, że jesteśmy aż tacy słabi. Nie rozumieliśmy, jak udaje się nam to znieść, ale z drugiej strony nie mieliśmy ochoty rozważać, co znowu może nas spotkać.

Dana pomogła nam dotrzeć do drzwi białego pokoju i otworzyła je przed nami. Na zewnątrz nie było nic poza pustym korytarzem z jarzeniówkami palącymi się u sufitu, obok wilgotnych, gorących rur biegnących nad naszymi głowami. Był tam też jednak znajomy zapach...

intensywnej niebieskiej magii płynącej w podziemnych przewodach
dudniących, czerwonawobrazowych odcieni ruchu drogowego na górze
srebrzystego lśnienia rur wodociagowych
iskrzącego błękitnego ognia elektryczności!

...było tu wystarczająco wiele magii, bym mógł ją pochwycić w palce. Owo intensywne przypomnienie o naszej mocy wabiło nas nieodparcie.

Odetchnęliśmy z ulgą.

- Wiem, gdzie jesteśmy - powtórzyłem, wciskając palce w suchy, pozbawiony ozdób beton ścian. To było coś więcej niż zwyczajowy miszmasz wrażeń. Wiedziałem, dlaczego Bakker wybrał to miejsce na swój dom. Wypełniała je także inna aura, głęboki ciek mocy, któremu w dawnych czasach tańczenia nago i rytualnych ofiar zapewne oddawano cześć o świecie.

- Byłeś tu już kiedyś? - zapytała.

- Nie. Ale Central Line, Northern Line i Wieża? Pan Bakker zawsze miał poczucie ironii. Nie musiałaś mi mówić nic więcej.

- Nie podoba mi się ta ciemność - mruknęła Dana. - On zawsze wyskakuje z mroku.

- Nie bój się, potrafimy cię obronić - zapewniliśmy.

- Wolałabym, żeby to był Matthew.

- Zrobię, co będę mógł. Powiedz, czy kiedy mnie tu przywieźli, miałem na nogach buty?

- Słucham?

- To ważne.

- A dlaczego?

Z uśmiechem stanąłem na palcach i dotknąłem sufitu, czując ciepło napływające do moich palców z kryjących się pod powierzchnią kabli.

- Nadchodzą przyjaciele. Musimy cię stąd wydostać.

- Mnie? Dlaczego? - Zastanowiła się nad tym. - Przyjaciele? - dodała. - Skąd?

- Dlatego że oni nie są zbyt sympatyczni - wyjaśniłem. - A ty obracałaś się w złym towarzystwie. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Czy chodzi o twoje buty?

- Ehe.

- Tak też myślałam.

- Świetnie. To którędy do wyjścia?

* * *

Plan londyńskiego systemu metra według wszystkich kryteriów wygląda elegancko. Jego odpowiedniki z innych miast zawsze sprawiają wrażenie bladych imitacji, pełnych nieprawdopodobnych stacji docelowych zaznaczonych nieodpowiednimi kolorami, dezorientujących węzłów położonych między zachodzącymi na siebie stacjami, na których obszarze kropkowanych linii nie sposób odróżnić od barwnych plam mających informować patrzącego, że w tym miejscu można znaleźć schody ruchome albo po prostu przejść między przystankami, korzystając z tego samego biletu.

Tak czy inaczej, na planie londyńskiego metra są tylko dwa miejsca, gdzie Central Line i Northern Line stykają się ze sobą, ponieważ przecinają miasto niemalże pod kątem prostym do siebie. Pierwszym z nich jest osobliwy wir biegnących w najrozmaitszych kierunkach tuneli, peronów oraz krętych, wyłożonych białymi płytkami schodów, składający się na Bank Station, miejsce, w którym nawet najbystrzejsi geografowie uzbrojeni w mapę i kompas mogą zabłądzić po drodze między peronami DLR a Circle Line. Niektórzy użytkownicy magii zapewniają, że w tym miejscu granice między różnymi przestrzeniami są bardziej elastyczne niż zwykle. Motocykliści przysięgają, że nawet przy najniższej prędkości można odnaleźć owe słabe punkty i przedostać się w miejsce odległe od zaznaczonych na mapie.

Jednakże aura magii w punkcie, w którym stałem, czując pod nogami znajomy łoskot przejeżdżających pod spodem pociągów metra, nie przypominała Bank Station. To zaś

znaczyło, że została tylko jedna możliwość: Tottenham Court Road, stacja obsługująca okolicę pełną podejrzanych sklepów komputerowych, magazynów sprzętu hi-fi oraz sprzedawców używanych artykułów niepewnego pochodzenia, a także supermarketów i burdeli z Oxford Street albo Soho.

Rzeczywiście był tam wieżowiec. Zdumiałem się na myśl, że wcześniej na to nie wpadłem. Oto była wieża, nie tylko olbrzymi gmach sięgający ku niebu, lecz również symbol mocy albo - jak określiłyby to niektóre feministki - męskiego poczucia niepewności, podobnie jak tak wiele innych gmachów zbudowanych w różnych miastach. To właśnie była Wieża, można ją było zobaczyć na pocztówkach. Powietrze w jej wnętrzu kipiało od magii miejsca, w którym ją wzniesiono.

Gdybym nie był tego pewien już przedtem, upewniłbym się w chwili, gdy Dana pomogła mi wejść na górę po schodach i otworzyła drzwi z napisem: „Uwaga! Wysokie napięcie!”, złożonym z wielkich, żółtych liter przyklejonych do nich. Wyprowadziła mnie do hali, w której cuchnęło potem i chlorem. Naprzeciwko mnie znajdował się znak z napisami

Toalety dla mężczyzn =>

<= Toalety dla kobiet

*** W Centre Point obowiązuje zakaz palenia ***

- I co ty na to? - zapytała Dana.

Parsknąłem śmiechem.

- Tego się spodziewałam - mruknęła.

- Bakker tu mieszka?

Potrząsnęła głową.

- Ciągłe się przemieszcza.

- Ale dzisiejszej nocy tu jest.

- Tak. Skąd wiesz?

- Łaknie naszej krwi - odpowiedzieliśmy. - Próbuje spowodować, by stanęła w płomieniach. Pragnie, żebyśmy dali mu życie. Wiedziałem, że nie będzie chciał się zbytnio od nas oddalać, gdy już nas znajdzie.

- Chciałeś, by cię znalazł?

- Wiedziałem, że Simmons najprawdopodobniej nie żyje. Byłem przekonany, że Bakker pragnie nas wziąć żywcem. Zdawałem sobie sprawę, że po śmierci San Khaya i Guya Lee cień będzie musiał zająć się mną osobiście. Uświadamiałem też sobie, że ktoś mnie

zdradzi, a drogą eliminacji doszedłem do wniosku, że będzie to przyjaciel. Co byś zrobiła, mając do dyspozycji tak wiele użytecznych informacji?

- Ale... przecież... igły i tak dalej...

- Liczyłem na to, że mnie uwolnisz.

- Nie byłeś tego pewien? - zapytała ostrym tonem.

- Zbyttna pewność nie świadczy o dobrych manierach.

Skrzywiła się.

- A czy potrafisz to zrobić? - zapytała niespodziewanie.

- Co zrobić?

- Dać mu życie? Potrafisz uzdrowić Bakkera?

Pokręciliśmy głową.

- Nie tak, jak on to sobie wyobraża.

- Powiedział, że mógłbyś uratować mu życie. On umiera - dodała z wyrzutem w głosie.

- Wiem o tym. Nikt tego nie potrafi - odpowiedziałem łagodnym tonem. - A już zwłaszcza my.

- W takim razie, co możesz zrobić? Przepraszam, jeśli jestem naiwna, ale czy nie zaoszczędziłbyś wszystkim wielu kłopotów, gdybyś mu o tym powiedział?

- Jesteśmy stworzeniami zrodzonymi z życia pozostawionego przez was w przewodach. Karmimy się uczuciami, o których zapomnieliście, powstaliśmy z myśli, które zniknęły z waszej pamięci, gdy tylko je wypowiedzieliście, niewypowiedzianymi słowami uwiecznionymi w przewodach, gdy przerwano połączenie, gdy zakłócenia zagłuszyły wasz głos albo gdy wypowiadające je usta kłamały, ale ci, którzy byli na drugim końcu linii nie widzieli twarzy mówiącego. Jesteśmy tym wszystkim, a on myśli, że jeśli zagarnie to wszystko dla siebie, zabierze nam to, co daje nam życie, będzie żył wiecznie.

- Wieczne życie nie brzmi tak źle, o ile nie jest się złym człowiekiem. Na czym polega problem?

- Pomijając fakt, że wysysa ze mnie krew?

- Pomijając.

- To skomplikowane.

- Och, daj spokój. Dawno już zostawiłam za sobą pierwszą lekcję.

- Którędy? - zapytałem.

Wskazała głową na pogrążony w mroku korytarz. Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

- Co cię tak bawi? - zapytała, zauważywszy moją minę.

- Zawsze lubiłem ten budynek.

- Wiesz, że to symbol skandalicznej chciwości branży deweloperskiej, przykład beznadziejnego planowania, a do całkiem niedawna również melina ćpunów, prawda?

- Ehe - zgodziłem się. - To harmonizuje z jego aurą.

- Czy to odpowiednia chwila, by poddać krytyce niektóre z twoich metod nauczania?

Gdzieś niedaleko rozległ się cichy łoskot. Nadeszła jakaś osobliwa fala, światła zamigotały, przez chwilę zdawało się nam, że słyszemy

cześć, ogniu Matthew...

- Nie - odparłem stanowczo. - Chodźmy.

* * *

Fundamenty wieżowca sięgały głęboko. Kryło się w nich coś więcej niż to, co można było znaleźć na oficjalnych planach. Tunele okręzały magistrale wodne i biegły między korytarzami stacji metra. Szliśmy, wlekliśmy się albo truchtaliśmy, posuwając się nieregularnie przez labirynt niemal identycznych korytarzy biegnących pod wieżowcem Centre Point. Odór podziemnej sali gimnastycznej - pot zmieszany z chemią - ustąpił miejsca smrodowi moczu, charakterystycznemu dla tuneli metra biegnących pod betonowymi przyporami, ten z kolei zastąpiło odległe *lupluplup* muzyki klubowej sączące się przez ściany.

Znaleźliśmy windę towarową. Jej metalowe płyty zardzewiały, podłoga była nierówna, a kartonową ścianę załatano nieprzemakalną płócienną taśmą samoprzylepną. Dana wcisnęła parter. Nie sprzeciwiałem się, oparłem się o nią, przyglądając się, jak świat wokół mnie się uspokaja. Ruszyliśmy, wspinając się w górę szybu z powolnym zgrzytem. Nie wiedziałem, ile krwi ze mnie wytoczyli i ile nowej we mnie włąli, sądząc jednak po dręczących mnie zawrotach głowy, nie wyrównali wszystkich strat.

Gdy minęliśmy drzwi do piwnicy, winda szarpnęła nagle i się zatrzymała. Wszystkie światła zgasty.

- Co to, do licha? - zapytała Dana, oddychając szybko i nerwowo.

- Nadchodzą przyjaciele - odpowiedziałem, starając się cokolwiek usłyszeć przez wypełniające szyb echa. - Wszystko będzie dobrze.

- Czy to ma coś wspólnego z twoimi cholernymi butami?

- Tak. Magowie zawsze tak się skupiają na swojej sztuce, że zapominają o możliwościach techniki.

- Śledzili cię?

- No pewnie. Nie tylko ja potrafię układać zmyślne, misterne plany.

Skrzywiła się, rozglądając się po ciasnej windzie.

- Będziemy tu tak siedzieć?

- Za dużo cieni - wyjaśniłem.

- Jasne, musiałeś to powiedzieć, kiedy udało mi się zapanować nad sobą z niezachwianą siłą!

Zaczerpnęliśmy głęboko tchu i zatarliśmy ręce, szukając ciepła między palcami. W tym miejscu było łatwo o magię, a my nie potrzebowaliśmy jej wiele. Otworzyłem dłoń i wypuściłem z niej kulkę różowawopomarańczowego blasku, która uniosła się nad nasze głowy, oświetlając ciasne wnętrze windy. Dana pobladła; przyklejony do jej twarzy uśmiešek sugerował strach, ale nie chciał się przerodzić w bardziej szczerą minę.

- On mnie zabije, prawda? - zapytała, nie podnosząc głosu ani nie pozwalając, by wniknęło do niego przerażenie. - Zabije mnie.

- Jeszcze tego nie zrobił.

- I co z tego wynika?

- Cień jest częścią Bakkera - odpowiedziałem, zastanawiając się nad swym wywodem słowo po słowie. - Być może jakiś fragment, zarówno człowieka, jak i jego stworzenia, nie pragnie twojej śmierci?

- Zawsze potrafiłeś wynajdywać niewiarygodne wyjaśnienia.

- To tylko hipoteza.

- I co teraz?

Winda znowu ruszyła z szarpnięciem w górę, ciskając nami na boki. Musieliśmy złapać się ścian.

- To dobry znak? - zapytała zdyszana Dana.

- Kurwa, nie mam pojęcia.

- Wiesz co, jak na opętanego, przepraszam, pozostającego w skomplikowanym związku z mistycznymi istotami zrodzonymi z cholernej magii i zapomnianego życia, nie ma z ciebie wielkiego pożytku w trudnej sytuacji, prawda?

- Jeszcze nie jesteśmy w trudnej sytuacji.

- Powiedz to białemu pokojowi i stołowi operacyjnemu - odcięła się. - Dla mnie to wyglądało na trudną sytuację.

- Ehe - przyznałem. - Ale przecież mi pomogłaś, prawda?

Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale się zawahała. Przemyślała sprawę i znowu je otworzyła.

- Jesteś kompletnym...

Winda się zatrzymała. Drzwi otworzyły się okropnie powoli. Za nimi znajdował się korytarz o kremowych ścianach i oknach z barwionego szkła, pochłaniającego światło i sprawiającego, że cienie za naszymi plecami stawały się jeszcze głębsze. Na dworze panowała noc, w środku zaś było jasno jak w dzień, dzięki ostremu światłu jarzeniówek. Podłoga była zimna, a powietrze suche i nieruchome. Wyszedłem ostrożnie z windy i rozejrzałem się wokół.

- To nie jest parter - zauważyła Dana.

Drzwi windy zamknęły się za naszymi plecami.

Podszedłem do okna i spojrzałem w dół. Ujrzałem tam brązową sylwetkę tego, co w rzeczywistości było jaskrawoniebieską, skąpaną w blasku reflektorów fontanną. Tryskająca z trzech potrójnych kamiennych wylotów woda spadała do basenu i spryskiwała wąski chodnik. Dzieliło mnie od niej około czterech pięter.

- Na pewno nacisnęłam parter - odezwała się Dana.

- Nie wątpię w to - odparłem, spoglądając w głąb korytarza. Nie było w nim nic poza czerwoną gaśnicą wiszącą obok zamkniętych drzwi. - Ale windami mogą kierować też inni.

- Nie zauważyłam, żebyśmy minęli tyle pięter... - dodała niespokojnym głosem.

- Ruch bez pokonywania dystansu - odparłem radośnie. - To znane zjawisko, Dano.

- Tak?

- Jeśli pan Bakker nauczył cię jakichś form ochronnej magii, teraz jest odpowiednia chwila, by zrobić użytek z tej wiedzy.

Słyszałem brzęczenie, przypominające dźwięk rozgniewanego roju pszczół albo może silnika bardzo drogiego i straszliwie zaniedbanego samochodu, uwięzionego w ulicznym korku.

- Czy w tej chwili gaśnie światło? - zapytała.

Podszedłem do gaśnicy i zdjąłem ją ze ściany.

- Oddychaj głęboko - poleciałem i otworzyłem kopniakiem drzwi.

Po drugiej stronie był kolejny korytarz, długi i biały. Stała w nim grupka mężczyzn i kobiet uzbrojonych w granaty, pistolety, karabiny oraz rozmaite magiczne błyskotki, które unosiły się w powietrzu albo po prostu leżały na podłodze u nóg właścicieli. Przed nimi stał wielki motocykl. Na podłodze wokół zostały czarne ślady opon. Siedzący na siodełku mężczyzna miał na głowie hełm z lustrzaną zasłoną. Motocyklista włączył silnik.

- O kurde - odezwała się Dana.

Motocyklista zwolnił nogą stopkę, kopnął rozrusznik i ruszył prosto na nas. Gniewny ryk silnika wypełnił korytarz, czarne opary buchające z wydechu zasłoniły twarze stojących

za nim ludzi.

Nacisnąłem spust gaśnicy.

Trysnęły z niej gęste kłęby białego gazu. Nacisnąłem mocniej, złapałem chmurkę gazu w palce, utkałem z niej tornado bieli i cisnąłem je w głąb korytarza, prosto w Blackjacka i jego biegnących ku nam towarzyszy. Wir powiększał się w locie, trzęsąc oknami i pokrywając ściany plamami jasnej piany, aż nagle zgęstniał, przybierając konsystencję piany na gorącym cappuccino. Oślepił uzbrojonych mężczyzn i trzymające bomby kobiety, dławił ich, wypełniał im nosy smrodem chemicznych środków przeciwogniowych. Ale nie Blackjacka. Osłonięty gładkim hełmem motocyklista nadal jechał ku nam. Złapałem Danę za rękę i odciągnąłem od drzwi.

- Uciekaj - poleciłem tak spokojnie, jak tylko mogłem.

Bakker najwyraźniej wyszkolił ją równie dobrze jak mnie, ponieważ wykonała polecenie bez pytania.

* * *

Uciekaliśmy.

Korytarze i gabinety, ukryte za matowymi drzwiami ze sklejki. Większość była pusta. W sufitach niektórych brakowało płytek, a z dziur zwisały przewody oraz pokryte folią rury. W innych zamontowano automaty z chłodzoną wodą, będące miejscem spotkań plotkarzy we wszystkich biurach. W jeszcze innych stały niezliczone, nudne biurka, na których ustawiono niezliczone, nudne komputery. Zapewne można z nich było dzwonić do przypadkowych, niewinnych osób, ale z pewnością przed zainstalowaniem skasowano wszystkie gry i uniemożliwiono wgranie nowych.

Wpadliśmy do następnego pomieszczenia. Było w nim mnóstwo zaniedbanych biurek oraz kilka obrotowych krzeseł. Motocyklista posuwał się za nami, rozwalając przednim kołem drzwi kolejnych gabinetów. Dana skoczyła w lewo, a ja w prawo i ścigający przemknął między nami. Kilka metrów dalej zawrócił maszynę z piskiem płonącej opony, zostawiającej w dywanie głęboki ślad. Przełączył kilka razy bieg, cofając się i przesuając do przodu jak rycerz przed walką turniejową. Hałas był tak głośny, że okna dzwięczały, luźno zwisające przewody kołysały się u sufitu, a krzesła kołysały się ze skrzypieniem. Ryk przedostawał się przez bębunki, powodując ból nosa, wstrząsał naszym żołądkiem i przyćmiewał pole widzenia. Z rury wydechowej buchał czarny cuchnący dym, wypełniający nam gardło smakiem przywodzącym na myśl odór wyczuwalny na podjeździe pod garażem. Zdolny przeniknąć nawet przez najgrubsze szkło smród wysysał wilgoć z naszych ust.

Światła w korytarzu przygasły. Na moment zawładnęła mną panika. Spojrzałem na własny cień, ale się nie obracał. Potem zerknąłem na Danę i zobaczyłem, że unosi rękę ku sufitowi, przyciągając z przewodów zygzakowate strumienie elektryczności. Gdy kształtowała ją w palcach, światła przygasły. Motocykl ruszył prosto na nią z ogłuszającym warkotem. Cisnęła energią w napastnika, ale ten uchylił się w ostatniej chwili i rozdziwił na mgnienie oka. Jeden nadal mknął wprost na zakłęcie Dany, drugi zaś ominął ją i znalazł się po przeciwnej stronie. Oba obrazy zamigotały, gdy Blackjack robił użytek ze swej magii, przenosząc się z punktu A do C bez przejeżdżania przez B.

Motocyklista przed Daną zniknął.

Ten drugi, kilka stóp za nią, natychmiast zmaterializował się w pełni. Przednie koło jego pojazdu nadal było wymierzone prosto w Danę, ale ostrzegłem ją krzykiem i wysłałem w tamtą stronę falę powietrza, która była za słaba, by przewrócić coś tak ciężkiego i szybkiego, jak motocykl Blackjacksa, ale wystarczyła, by odepchnąć kobietę na bok i przednie koło ją minęło. Motocykl walnął w drzwi ze sklejki, które rozszarpały się, nawet go nie spowalniając. Podbiegłem do Dany, złapałem ją za rękę i pociągnąłem za sobą, przebiegając przez najbliższe drzwi. Na końcu korytarza znajdowały się kręte schody, wijące się wzdłuż jednego z rogów budynku. Na dole widziałem teatr oraz jasne światła skrzyżowania, tłum widzów wychodzących po przedstawieniu, autobusy wlokące się ciasnymi uliczkami oraz taksówki podjeżdżające po pasażerów na wąskich przeznaczonych dla autobusów pasmach New Oxford Street przy akompaniamencie gniewnego trąbienia pozostałych uczestników ruchu.

Chcieliśmy wejść na górę, znaleźć się tam, gdzie był on, ale nie odważyłem się podjąć takiego ryzyka, gdy była ze mną Dana. Nie chciałem, by przebywała w tym samym budynku, co ten człowiek i jego cień, choćby o sekundę dłużej niż było to konieczne. Dlatego ruszyliśmy ciasną klatką schodową na dół. Trzecie piętro, drugie...

...tuż poniżej drugiego piętra nadszedł nagły atak mdłości, chwila dezorientacji. Spojrzeliśmy w dół i zobaczyliśmy, że pod nami jest trzecie piętro. Spróbowaliśmy raz jeszcze, dotarliśmy na drugie, ruszyliśmy dalej w dół i nagle znaleźliśmy się nad trzecim. Wyczuliśmy w tym znajomy smak magii Bakkera, jego niepowtarzalne umiejętności i biegłość. Pod nimi kryły się jednak przygasające światła i ucisk w żołądku.

Spojrzeliśmy na podłogę i zobaczyliśmy, że nasz cień zaczął się wydłużać, mimo że staliśmy w miejscu. Dana również opuściła wzrok i mocno ścisnęła naszą dłoń.

- Nadchodzi - wyszeptała.

Światła w klatce schodowej przygasły i tym razem to nie my byliśmy za to

odpowiedzialni. Zaczęłem kopać w okno. Dana uświadomiła sobie, co próbuję zrobić, i przyłączyła się do mnie, ale szkło brzęczało tylko pod naszymi ciosami, jakby było twardą plastikową płytą. Zakląłem z wściekłości i rozejrzałem się wokół, szukając inspiracji. Dana znalazła ją szybciej. Wbiła paznokcie prawej ręki we wnętrze lewej dłoni, krzywiąc się przy tym z bólu. Szarpała skórę, aż wreszcie popłynęła z niej wąska strużka krwi. Zanurzyła w niej palce i narysowała na szkle dziurkę od klucza. Przez parę chwil obraz był jedynie ciemniejszą plamą na ciemnej szybie, potem z sykiem buchnął z niego dym. Dana zacisnęła prawą pięść i uderzyła ze wszystkich sił w sam środek dziurki od klucza.

Szkło pękło. Kobieta uderzyła znowu. Pęknięcia poszerzały się, sięgały coraz dalej. Cała szyba zaczęła pękać. Wtem z ciemnej tafli wysunęła się ręka i złapała Danę za nadgarstek. W jej skórę wbiły się czarne paznokcie. Kobieta krzyknęła. Szczere przerażenie brzmiące w jej głosie z pewnością było owocem nie wiedziałem ilu miesięcy przeżytych w ciągłym strachu. Złapałem ją za ramiona i pociągnąłem do tyłu. Ręka wysuwała się coraz dalej ze szkła, jej czarna sylwetka zmieniała się w niezdrowo blade ciało. Krew Dany spływała po palcach, które z każdą chwilą stawały się coraz bardziej realne.

Z gniewnym warknięciem rzuciliśmy się do ataku na materializujące się ciało Głodu. Za naszymi palcami ciągnęły się iskry, a paznokcie zostawiły na jego skórze trzy równoległe ślady, sączące czarną posoką. Dłoń ściskająca rękę Dany zadrżała spazmatycznie. Kobieta znowu pisnęła trwożnie, odsuwając się i potrząsając głową w ślepych przerażeniu. Strach stłumił w niej wszystkie pozostałe instynkty. Potem, z ciemnej szyby wyłoniła się głowa. Pochylała się, otwierając już szeroko usta. Zęby w nich błyszcząły, a język oblizywał sine wargi, sięgając po krew Dany. Oczy, nos i skóra również materializowały się stopniowo.

Czekałem, aż uszy staną się realne. Choć zapewne trwało to tylko parę chwil, dla mnie ciągnęły się one bez końca. Potem osłoniłem dłońmi uszy Dany, uniosłem nogę i kopnąłem bosą piętą metalowe poręcz.

Metal zrobił *baaaaaannnnggg*.

Głód wzdrygnął się trwożnie.

Bał się nas.

Uśmiechnęliśmy się szeroko i znowu kopnęliśmy poręcz.

Metal odpowiedział przeciągłym, dźwięcznym, głuchym *baaaaaaaannnnggggaaaann ggggaannnnggg...*

To Bakker nauczył mnie tego czaru i wiedział, do czego on doprowadzi. A ponieważ Głód był w ostatecznym rozrachunku jego cieniem, on również to wiedział. Nim zdążyłem kopnąć poręcz po raz trzeci, zaczął się wycofywać, kryć z powrotem w mroku. Światła wokół

nas pojaśniały. Na wszelki wypadek kopnąłem metalową poręcz po raz trzeci, wkładając w to wszystkie swe siły. Miałem nadzieję, że mu się odechce.

Drzenie ogarnęło całą klatkę schodową z brzmieniem przypominającym dźwięk wibrującego, pustego w środku metalu. Wypełniało jednak nie tylko jedną długą poręcz, lecz również całą resztę klatki. Wszystkie metalowe części dźwięczały. Dźwięk karmił się sobą samym, jedna wibracja powodowała następną i tak dalej. Magicznie wzmocniony brzęk wypełniał przestrzeń hałasem tak przeraźliwym, że pęknięcia w szybie powiększały się same, instalacja świetlna pobrzękiwała, z wykładanych plastikami ścian sypał się kurz, a czarna guma pokrywająca wierzch poręczy zaczęła się odkształcać pod wpływem napięcia. Wydawało się, że wstrząsy ogarnęły cały świat. Na ulicy zabrzmiały samochodowe alarmy, woda w niebieskim basenie trzech brzydkich fontann pluskała o brzegi, a jedna z nich trysnęła resztką pozostałej w rurach wody w turystę, który złapał się latarni, gdy wibracja sięgnęła ulicy.

Głód rozwarł na moment palce, jego twarz wykrzywiła się z bólu. Potem zniknął, wycofując się w głąb szyby. Dana złapała zakrwawionymi dłońmi za moje ręce, zakrywając jej uszy. Zaciskała powieki, a jej twarz zastygła w wyrazie cierpienia i niepewności. W uszach mi strzelało, a z nosa popłynęła gorąca krew. Z pewnością nie mogliśmy sobie pozwolić na jej dalszą utratę. Ruszyłem chwiejnym krokiem na górę, ciągnąc Danę za sobą, otworzyłem kopniakiem najbliższe drzwi i - nieświadomy tego, na którym piętrze się znajdujemy i jakie zakłęcie nas więzi - zwałem się razem z nią na dywan, zatrzaskując drzwi za nami.

Echa wybrzmiały powoli. Usiadłem. W uszach nadal mi dzwoniło. Dana podźwignęła się i na próbę przesunęła kilka razy dłońmi obok uszu. Potem spojrzała na mnie.

- Tego mnie nie uczyłeś - odezwała się drżącym głosem.

- Mieliśmy fart - odparłem. - To mogły być lite poręcze.

- W tym budynku?

Głos Dany sprawiał wrażenie dobiegającego z daleka i wydawał się też nieco za niski, jakbym słyszał ją przez warstwę wody. Otarłem krew z nosa i potrząsnąłem głową, licząc na to, że to wystarczy, by stłumić szum w uszach.

- Masz trochę racji - przyznałem. - Gdzie jesteście?

Wstała chwiejnie i mnie również pomogła się podnieść.

- Wszystko wygląda tu dla mnie tak samo - poskarżyła się. - Jestem przekonana, że już dawno powinniśmy dotrzeć na parter.

- Dobre staromodne zakłęcia służące oszołomianiu, zbijaniu z tropu i ogłupianiu -

jęknąłem. - Zaczynamy tracić cierpliwość do tej zabawy.

- To jest zabawa?

- Dla niego tak - odpowiedzieliśmy, uznając, że nie musimy dodawać, dla kogo.

- Słyszałeś to? - zapytała.

Przechyliliśmy głowę, niepewni, czy ból w uszach słabnie, czy też po prostu już się do niego przyzwyczailiśmy. Być może coś...

- Motocykl - wyjaśniła Dana.

- Tym razem naprawdę straciliśmy cierpliwość - oznajmiliśmy.

Drzwi na końcu korytarza otworzyły się raptownie. Motocykl ciągnął za sobą ogień. Dana skoczyła w najbliższe drzwi. Podążyłem za nią. To była damska toaleta, miejsce, gdzie ani ja, ani my nigdy dotąd nie byliśmy. Jego zwyczajny wygląd nas rozczerował.

Dana zatrzasnęła za nami drzwi i, gdy motocykl przejeżdżał obok, przycisnęła do nich wielki, metalowy kubeł. Dźwięk silnika umilkł zbyt nagle, by Blackjack mógł zjechać na dół. W jednej chwili zapadła niepokojąca cisza.

Dana popatrzyła na mnie, a ja na nią. Wzniosła oczy ku sufitowi, podeszła do szeregu metalowych kranów i odkręciła wszystkie po kolei, zatykając odpływy i zanurzając ręce w wypełniających się umywalkach. Jęknąłem, uświadomiwszy sobie, co próbuje zrobić. Nie miałem lepszego pomysłu, więc podniosłem opartą o drzwi pokrywę kubła i walnąłem nią w długie lustro wiszące nad zlewami. Następnie ostrożnie wyjąłem kawałek szkła z poprzesztywanej licznymi szczelinami tafli lustra i zacisnąłem na nim pięść, aż wbił mi się w skórę i popłynęła krew. Dana uniosła ręce nad ostatnią umywalką, pozwalając, by woda po nich spływała.

- Miałaś rację - oznajmiła z szerokim uśmiechem. - Jednak jest z ciebie jakiś pożytek.

Zaczęła poruszać rękami w powietrzu, wykonując delikatne, przywołujące gesty. Lejąca się z kranów woda nie spływała już do zlewów, lecz unosiła się ku Danie, krążyła wokół niej niczym przezroczyste jedwabne chustki, otaczała jej kończyny, nie dotykając skóry. Krany cały czas były otwarte i wyglądało to, jakby kobietę łączyły ze zlewami płynne łożyska, z każdą chwilą coraz grubsze sznury płynącej wody, nieustannie krążącej wokół niej. Woda nie przestawała napływać, wzmacniając zakłęcie. Słyszałem o czarnoksiężnikach, którzy potrafili za pomocą takich zaklęć opróżnić cały rezerwuuar. Dopóki ktoś fizycznie nie zakręci kurka, nie było powodu, by czar utracił moc.

A Dana świetnie sobie radziła z jego rzucaniem. Zakłęcie ją opływało, tknęła je, pozwalając, by woda tańczyła wokół niej, łącząc się w coraz grubsze, roziskrzzone, półprzezroczyste sznury. Wiedziała, że wygląda to pięknie, i pod pewnymi względami

właśnie owo poczucie elegancji było źródłem skuteczności jej poczynań. Zawsze mówiła, że widok stojącej wody ją uspokaja. Widząc, z jaką swobodą panuje nad czarem, przez chwilę myślałem, że może jednak wszystko skończy się dobrze.

Uniosłem pięść z kawałkiem szkła ku lustru i zacząłem rzucać własną wersję tego samego zaklęcia. Szczeliny odchodzące od punktu, gdzie stłukłem szkło pokrywą, stawały się coraz dłuższe, sięgały ku granicom lustra wciąż się rozgałęziającymi strumieniami przypominającymi strużki wody spływające po nierównej, wyschniętej glebie. Całość rozpadła się w jednej chwili. Odpryski nie spadły jednak na podłogę, lecz unosiły się w powietrzu na mój rozkaz. Czułem każdy z nich, tak samo jak czuję skórę na swych plecach, ich smak wypełniał mi usta niczym ostry, metaliczny dotyk na czubku języka, a kiedy się poruszyłem, zrobiły to samo, otaczając mnie jak zwierciadlany koc. Każdy odłamek lśnił blaskiem moich oczu

naszych oczu

jaskrawoniebieskim

minęła krótka chwila, nim sobie przypomnieliśmy, że nasze oczy mają teraz ten kolor, a tysiące tysięcy kawałków jaskrawego błękitu patrzą na nas

pięknego błękitu

potem zwróciłem się ku drzwiom, boleśnie świadomy milczącej pustki na zewnątrz.

- Dobra - powiedziałem do Dany. - Czarnoksiężstwo.

Otworzyłem drzwi kopniakiem, przede wszystkim dla efektu.

Na korytarzu było pusto. Widziałem tylko płonący ślad opon, kończący się równie nagle, jak się zaczął. Dana skinęła i ciągnący się za nią cienki przewód wody, nadal czerpiący życie z odkręconych kranów w łazience, przemknął po płomieniach, gasząc wszystkie. Posuwałem się naprzód ostrożnie, nie chcąc skaleczyć kobiety. Trzymałem się od niej na dystans, dopóki wokół mnie trwał lśniący srebrzystym blaskiem taniec odłamków szkła. Dana szła powoli za mną, ciągnąc za sobą wodne pepowiny, przypominające ogony latawca.

Minęliśmy kolejny gabinet. Potem pokój pocztowy wypełniony pustymi workami i torbami, małą kuchnię, stołówkę o oknach zasłoniętych żaluzjami. Nasze cienie cały czas przestrzegały praw fizyki, obracając się zgodnie z kierunkiem padającego światła. Kolejny gabinet. A potem schody.

- Możemy złamać jego czar? - zapytała. - Możemy się stąd wydostać?

- Jasne - odpowiedziałem. - Ale na motocyklu byłoby łatwiej.

Na dole rozległy się krzyki. Z góry dobiegły odgłosy walki.

- Strzały? - zdziwiła się Dana.

- Ehe - potwierdziłem. - Moi przyjaciele są pozbawieni wyobraźni. Chodź.

- Nie moglibyśmy ich odszukać?

- Jasne - odparłem. - Były uczeń Bakkerera i jego aktualna uczennica spotkają się z rozjuszonym tłumem, przybyłym tu po to, by zniszczyć Wieżę, przeklętych czarnoksiężników i wszystko, co stworzyli. To byłoby bardzo radosne spotkanie.

- Nie musisz ze mnie drwić.

- Przepraszam.

Ruszyliśmy w dół, powoli, stopień za stopniem. Minęliśmy zakręt schodów, zobaczyliśmy przed sobą drzwi na drugie piętro, poczuliśmy ucisk w brzuchu i się zatrzymaliśmy.

Przesunęliśmy głowę w bok, pochylając się lekko. Potem stanęliśmy na palcach i w tej samej chwili dopadły nas mdłości.

- Jest tutaj - wyszeptaliśmy, przymykając powieki, by móc łatwiej namierzyć źródło naszego niepokoju. - Dokładnie tutaj.

Rozejrzeliśmy się wokół. Ściany były tu gładkie, a na podłodze nie leżał dywan. Unieśliśmy wzrok. Sufit składał się z plastikowych płyt wprawionych w beton. Dana cisnęła w środkową garścią wody pod wysokim ciśnieniem. Płytkę zachwiała się, odpadła i zleciała na podłogę. Pochyliłem się, by ją podnieść, unosząc na chwilę szklaną zasłonę nad głowę. Na odwrotnej stronie pisma ktoś starannie, cienkimi liniami narysowanymi czarnym tuszem, przedstawił klatkę schodową, pełną zakrętów o niezwykłych kątach i dziwnych wymiarach, w jakiś niewytłumaczalny sposób zapętłającą się i zawsze wracającą do punktu wyjścia. Dotknąłem rysunku koniuszkiem palca. Gorąca magia parzyła. Cofnęliśmy pośpiesznie rękę, słysząc przez chwilę

ogniu Matthew!

Wypuściliśmy płytkę, a potem skrzywiliśmy się i skierowaliśmy na nią garść potłuczonego szkła, w jednej chwili drąc cienki plastik na strzępy.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Dana.

- Dziecinne zabawy - warknęliśmy, głośniej niż było to naszym zamiarem. - Nie mamy cierpliwości do tych igraszek ze światłem!

Pochwyciłem garść szkła, cisnąłem ją z powrotem do szalonego wiru krążącego nad moją głową i ruszyłem w dół. Tym razem drugie piętro pozostało drugim, a pierwsze okazało się pierwszym. Drzwi na parterze były zamknięte, ale Dana wysunęła się na chwilę z wodnego płaszcza i pogłaskała je, szepcząc łagodne inkantacje do zamków. Wreszcie zasuwę przesunęły się z niechętnym stukiem i drzwi się otworzyły.

Za nimi był hol o wysokim suficie, pełen osobliwych nisz i niezwykłych kształtów. Widziałem też trochę zaniedbanych roślin doniczkowych, wyświechtany, czerwony dywan oraz porzucone biurko recepcyjne. Dalej znajdowało się dwoje wielkich czarnych drzwi ze szkła.

Przed nimi siedział motocyklista. Obok niego czekał smok, jego długi zakręcony ogon spoczywał za plecami Blackjacka.

Nie sposób go było pomylić z żadnym innym stworzeniem. Ogon składał się z tablic z nazwami ulic zmienionymi przez miejscowe rady, szpony były nóżkami znaków drogowych powyginanymi przez uderzające w nie samochody, grzbiet pokrywały odblaskowe sygnalizatory z autostrad, brzuch tworzyły tablice ograniczenia prędkości, zad pokrywały zaś trójkątne, fluoryzujące znaki ostrzegawcze z napisami „NIEBEZPIECZEŃSTWO!” albo „UWAGA - DZIECI PRZECHODZĄCE PRZEZ DROGĘ!”, powgniatane i odkształcone, by dopasować je do krzywizn ciała. W przeciwieństwie do śmieciucha długie na co najmniej piętnaście stóp stworzenie było całkowicie pokryte metalem. Nie znajdę tu odsłoniętego tekturowego podbrzusza ani bijącego serca z recyklingowych opakowań. Smok nie tyle mrugnął, ile powłoka jego oczu - poobtłukiwanych soczewek ze zniszczonych kamer policyjnych - zaślniła, gdy poruszył leciutko głowę, łapiąc w nie biały blask lamp wiszących u sufitu niczym meduzy.

Jeśli nawet twarz motocyklisty miała jakiś wyraz, zasłaniał ją hełm, smok zaś leżał spokojnie i jego wygięty metalowy pysk, połączony w całość żółtymi, odblaskowymi opaskami sygnalizacyjnymi noszonymi przez rowerzystów, nie wyrażał absolutnie nic.

- Nie wspominałeś o smokach - mruknęła Dana kącikiem ust. Rozsądnie zamarła w bezruchu, gdy przyglądaliśmy się stworzeniu i maleńkiej na jego tle sylwetce motocyklisty.

- Nie gadaj, coś musiałem napomknąć.

- Jestem pewna, że bym to zapamiętała.

Przyjrzałem się uważniej bestii. W jej sylwetce było coś znajomego.

- Nie przypuszczam, byś kiedyś mieszkała w londyńskim City? - zapytałem.

- Tamtejszy czynsz mi nie odpowiada - przyznała. - Czy to będzie miało znaczenie?

- Niewykluczone. - Przenieśliśmy spojrzenie na motocyklistę i odchrząknęliśmy. - Bakker nadal nas potrzebuje - oznajmiliśmy podniesionym głosem. - Ciebie nadal nas pragnie.

Blackjack uniósł rękę i powoli zdjął hełm. Twarz miał czerwoną, pokrytą pęcherzami, na gardle i podbródku zrobiło mu się mnóstwo ropnych krost, a na czole silnie uwydatniały się zakażone naczynia krwionośne.

- Wiem - odparł słabym, ochrypłym głosem, patrząc na mnie. - Tak mi powiedział.

Światła zadrzały i przygasły. Smok poruszył się lekko.

- Pod względem prawnym londyńskie City jest historyczną anomalią - wyszeptałem do Dany, tak cicho, że nikt inny nie mógł mnie usłyszeć. - Od stuleci jego status nie zmieniał się prawie w ogóle. Burmistrz ma prawo zabronić wstępu do City nawet suwerenowi. Co prawda, od dawna żaden tego nie próbował.

- Jeśli to nie ma znaczenia, sama przywiążę cię z powrotem do stołu w tamtym cholernym pokoju - odparła śpiewnym, przerażonym głosem.

Cienie rozciągnęły się i wygięły u naszych stóp.

- Symbolem londyńskiego City - dodałem, mówiąc tak cicho i spokojnie, jak tylko mogłem - jest smok trzymający krzyż świętego Jerzego. A jego dewiza...

...przed smokiem pojawiła się plama gęstniejącej ciemności, skupiła się w punkt, wypaczyła, uniosła nad podłogę...

...brzmi *Domine dirige nos*.

- Niezłe - pisnęła Dana. - Łatwo zapada w pamięć.

Uformowała się głowa, pierś, ramiona i twarz.

- Ja się zajmę smokiem - mruknąłem.

Głód wyłonił się z cieni i stanął przed smokiem. Jego obecność najwyraźniej nie przeszkadzała bestii. Rozciągnął się, spowity w ciemność. Zauważyłem, że Blackjack wzdrzgnął się na jego widok, ale poza tym nie ruszył się z miejsca. Głód zerknął na niego jak wąż, którego uwagę przyciągnął ruch, a potem się uśmiechnął, odsłaniając zepsute zęby.

- Masz jady we krwi? - wyszeptał.

Motocyklista odwrócił wzrok. Nasunęła mi się myśl, że jego twarz nie wyraża gniewu, lecz wstyd.

Głód zwrócił się ku mnie, nie przestając się uśmiechać. Potem przeniósł swą uwagę na Danę.

- Zawsze wiedziałem, że zdradzisz mnie dla niego - wyszeptał głosem niosącym się daleko jak syk węża. - Miałem nadzieję, że ból wywołany myślą, że ból wywołany świadomością, że mu się sprzeniewierzyłaś, wystarczy, by zabić jego serce i pozwolić im całkowicie przejąć kontrolę, ale tak się nie stało. Jak małe dziecko, uciekłaś w bezpieczne miejsce.

Dana nie odpowiedziała.

Spojrzenie pustych czarnych oczu Głodu zatrzymało się na mojej twarzy.

- Zabiłeś kiedyś smoka, czarnoksiężniku?

- Ostatnio mi się nie zdarzyło - przyznałem.

Siedzące za plecami Głodu stworzenie wysunęło szpony.

- To jest bestia tego co zapomniane i zlekceważone - oznajmił cień. - Wzywa się ją za pomocą zniszczonych znaków drogowych, zakłóceń porządku i niewykonanych poleceń. Umożliwia to fakt, że wielką część tego, co się na nią składa, zawsze po prostu się ignoruje.

Pogłaskał smoka po metalowym boku, jego paznokcie zgrzytnęły o zardzewiałą tablicę, która ongiś sygnalizowała ulicę jednokierunkową.

- Mali ludzie zawsze są przekonani, że wiedzą wszystko najlepiej. Zapominają o przeszłości, zapominają o zasadach i o pokorze, która im przystoi z uwagi na ich małość. Dlatego smok się gniewa.

Oblizalem wyschnięte wargi i zaryzykowałem spojrzenie w pęknięte soczewki oczu bestii. Skierowały się na mnie z błyskiem.

- Miałem nadzieję, że Dana cię uwolni - wyjaśnił Głód. - Czy to cię zaskakuje?

- Chciałeś tego?

Głos kobiety był ledwie słyszalnym tchnieniem unoszącym się w powietrzu.

- Spodziewaliśmy się, że pozwolisz jej nam pomóc - odpowiedzieliśmy zimno.

- A po co miałbym to zrobić? - zapytał, wyraźnie zadowolony z siebie.

- Żeby skłonić nas do walki o szansę ucieczki. Żeby zmusić mnie do walki w jej obronie.

- Żeby twoją krew ogarnął niebieski ogień! - zawołał ze śmiechem, klaszcząc w dłonie jak zachwycone dziecko. - Kiedy jesteś czarnoksiężnikiem, twoja krew nie ma dla mnie wartości. Piłem taką już nieraz i nie różniła się smakiem od krwi innych martwych starców i wątłych staruszek. Ledwie pokrywa dno mojego żołądka, jej dotyk w gardle jest letni! Kiedy jesteś aniołami, twoja krew płonie tak jasno, że... że... - W jego głosie pojawiła się nuta skomlenia. Skulił się jak naburmuszone dziecko. - Głodny. - To słowo zabrzmiało jak ciche grzechotanie zębów. - Tak bardzo głodny.

- Możemy cię pokonać - oznajmiliśmy ze spokojem.

- Nigdy nie zabiłeś smoka - wyjaśnił Głód. W jego oczach pojawił się jasny błysk.

- Życie jest pełne... no cóż, życia - odparłem z uśmiechem.

Ponieważ mieliśmy pod ręką ścianę szkła, cisnęliśmy ją w stronę Głodu i Blackjacka. Głód w mgnieniu oka rozpuścił się w cieniach, motocyklista zaś rzucił się na podłogę. Szkło rozprysło się na pancerzu smoka. Z jego nozdrzy popłynął dźwięczny odgłos hartowanego metalu. Bestia wstała i otrząsnęła się z ogłuszającym brzękiem. Złapałem Danę za rękę.

- Ty się zajmij motocyklistą - wyszczałem.

Otworzyła usta, chcąc się sprzeciwić, ale spojrzała nam w oczy i zmieniła zdanie.

Skinęła głową, odwróciła się i cisnęła w Blackjacka kulą wody wielkości ludzkiej głowy, pokrywając nią nos i usta próbującego się podnieść z ziemi mężczyzny. Ja skupiłem uwagę na smoku.

Bestia wspięła się na tylne łapy. Szczątki znaku ostrzegającego przed - progiem zwalniającym na jej udach wygięły się, wgnieciona tablica nakazująca sprzątać po psach pękła z głośnym hukiem. Lampy pospadały z sufitu, rozbijając się na podłodze wokół smoka. Hałas stłukł też okno holu i obalił Danę na podłogę. Przykucnęliśmy, gotowi skoczyć i zaatakować. Bez zastanowienia wbiłem paznokcie w skórę dłoni, tak głęboko, że popłynęła krew. Zanurzyłem dwa palce w kałuży zbierającego się tam płynu i namalowałem na podłodze przed sobą prosty krzyż. Drugi, mniejszy, umieściłem w jego lewym dolnym rogu. Smok ruszył ku mnie z zaskakującą swobodą i gracją. Nawet nie będzie potrzebował szponów. Jeden cios szyi wystarczy, by połamać wszystkie kości w moim ciele.

Usłyszałem zgrzyt metalu i zauważyłem, że Blackjack wygramolił się spod szczątków motocykla. Machnął trzymanym w ręce łańcuchem, próbując trafić Danę w twarz, ta uchyliła się jednak i cisnęła w jego stronę wysokimi wirami wody. Płyn spryskał mu twarz, a następnie zwałił z nóg i odrzucił do tyłu jak morska fala podczas sztormu. Witki zakłęcia, owijające się wokół Dany i biegnące do klatki schodowej, nadal łączyły się z odkręconymi kranami kilka pięter nad nami.

Tymczasem smok zdążył już unieść łapę. Jej podstawę, gotową zmiażdżyć mi głowę, tworzył poczerniały znak „STOP”, na którym jakiś dowcipniś wypisał wielkimi zielonymi literami „GRAFFICIARZOM”. Instynktownie opadłem na jedno kolano, unosząc ręce nad głowę, osłaniając ją przed metalową śmiercią.

- Panie, prowadź nas! - krzyknąłem na chwilę przed tym, nim zgasły światła.

Łapa zatrzymała się, wisząc kilka cali nad moją głową, tak szeroka, że przesłaniała mi cały sufit.

Słyszałem kaszel i spluwanie Blackjacka, próbującego usunąć płyn z płuc, oraz plusk wody. To Dana przygotowywała kolejny atak.

- *Domine dirige nos!* - powtórzyłem wykrzykując słowa. - Panie, prowadź nas! Panie, prowadź nas!

Łapa odsunęła się na bok. Para soczewek spojrzała na nas z góry.

- Jesteś smokiem, który strzegł londyńskiego City - szeptaliśmy gorączkowo. - Poznajemy cię, pamiętamy cię, jesteś smokiem wyobrażonym na bramach dawnych murów miejskich, symbolem starej części miasta. Twoja dewiza to *Domine dirige nos*: Panie, prowadź nas, znamy cię...

Z wnętrza potwora dobiegł głuchy łoskot, przypominający odległy odgłos jadącego pociągu.

- Nie! - zawołał Głód, wyłaniając się z cieni. - Ja cię przywołałem. Słuchaj mnie!

- Panie, prowadź nas - wyszeptałem znowu. - Znamy cię. Panie, prowadź nas. „Londyńskie City zachowa swe tradycyjne przywileje i wolności, tak na lądzie, jak i na wodzie. Ponadto ogłaszamy...”.

- Ja cię wezwałem! - wrzasnął Głód. - Jesteś mój! Przywołałem cię z miasta i będziesz...

- „...że zgodnie z prawami przyznanymi obywatelom Londynu i ich dziedzicom, mogą wyznaczyć na szeryfa dowolnie wybranego spośród siebie i na sędziego dowolnie wybranego spośród siebie, by bronili interesów korony i strzegli porządku. Nikt inny nie będzie sędzią londyńskich mieszczan...”

- To są niebieskie elektryczne anioły, one nie znają tych praw! - darł się Głód.

- Jesteś smokiem londyńskiego City - wyszeptałem. - Słuchaj mnie! Pochodzę z tego miasta, znam jego prawa i wiem, co nadaje mu życie. *Domine dirige nos*, znam twoją historię, wiem, w jaki sposób cień zdołał cię wezwać. Nie musisz go słuchać. Znam historię. Wiem, co to obowiązek, pokora, prawa, czas...

- Nie!

Krzyk nie dobiegał z cieni. Rozejrzałem się wokół i zobaczyłem, że Głód się przemieścił. Stał teraz za Daną, obejmując czarnym ramieniem jej gardło, a pazury wciskał w powieki; Oczy mu płonęły.

- Zatrzymaj się, czarnoksiężniku - mruknął. - Zatrzymaj się, Matthew - dodał innym głosem, nie w pełni należącym do niego.

Zamarłem w bezruchu. Smok zwinął się w kłębek, przyglądając się nam pustymi oczami.

- Znasz Magna Carta, znasz miejskie prawa, może nawet potrafisz odesłać miejskiego smoka. - Głos wydobywający się z jego ust nie był głosem Głodu. - Ale jeśli posuniesz się dalej, zabiję ją!

Blackjack klęczał. Z jego ust i nosa lał się płyn. Wyczarowane przez Danę spirale wody przerodziły się w kałuże na podłodze. Kobieta zaciskała powieki, charcząc cicho. Głód przyciskał ją do swej zimnej jak lód skóry.

- Zachowałem ją przy życiu z myślą o takiej sytuacji - wyszeptał. - Tak samo jak swoją siostrę. Zachowałem ją przy życiu.

Ruszyłem ku niemu, ale wbił mocniej palce w jej twarz, aż popłynęła krew.

- Gdzie jest teraz ogień, Matthew? - zapytał z uśmiechem.

- Nie mogłeś wiedzieć, że wrócę!

- Ale nigdy nie znalazłem ciała - odparł. - A anioły uwielbiały z tobą rozmawiać. Stań się mną i bądź wolny, powtarzały, a ty zawsze pragnąłeś być wolny, Matthew. Zawsze marzyłeś o zamienieniu się w niebieski, tańczący ogień i pędzeniu po niebie, o staniu się łoskotem na wietrze, tańcem w obłokach. Któż cielesna istota nie pragnęłaby czegoś takiego? Szansy lotu, wolności, zapomnienia o marnych, wymyślonych prawach ludzkości, o bólu, o strachu, czuciu, starzeniu się i umieraniu. Anioły zawsze cię kochały, ponieważ ty je kochałeś i pragnąłeś, by ich słowa były prawdą. Zawsze pragnąłeś stać się ogniem, światłem i życiem, a teraz, gdy już nimi jesteś... nie chcesz się podzielić. Dlatego zachowałem ją przy życiu. Kto wie, może czarnoksiężnik panuje nad aniołami w wystarczającym stopniu, by nie pozwolić jej umrzeć?

- Robercie... - zacząłem.

- Jestem Głodem! - wrzasnął. - Nie wiążą mnie prawa cielesnych istot! Jestem głodny! Kiedy płoniesz, masz w sobie tak wiele życia... dostanę to życie!

Smok poruszył ogonem, skrobiąc nim o podłogę.

- Nie możemy... - zatkaliśmy. - Proszę... ja...

- Który? Który z was nie może? Który z was nie może znieść myśli o jej śmierci?

- Jesteśmy... - wyjąkaliśmy.

- ...prawie... - zacząłem.

- ...tym samym.

- Proszę - powiedzieliśmy.

- Proszę - dodałem.

Głód uśmiechnął się szeroko.

- Zrozumiem takie sprawy, gdy znowu będę żywy - oznajmił i uniósł ku twarzy Dany pięść wyposażoną w czarne pazury.

Krzyknęliśmy.

Krwawy krzyż wewnątrz krzyża wyrysowany na podłodze u naszych stóp stanął w płomieniach. Intensywnie niebieski ogień sypał iskrami, wijącymi się samorzutnie na podłodze.

A ponieważ nie wiedzieliśmy, co zrobić, nie potrafiliśmy znieść

nie tego

moje uczucia

takie uczucia

nie tego
ponieważ nie potrafiliśmy zrozumieć
tego uczucia
zbyt wiele
ponieważ nie mogliśmy
nie mogłem
zakrzyknęliśmy

- *Domine dirige nos!* **Domine dirige nos!**

Smok z połamanych i zlekceważonych znaków był w ostatecznym rozrachunku miejskim stworzeniem, przywołano go z samego miasta, a jako miejski smok, pan bram miasta, bardzo lubił prowadzić i budzić posłuch. Miał też własne zasady, które ponoć mogły powstrzymać nawet króla albo królową przed wkroczeniem w obręb miejskich murów, jeśli wyglądało na to, że londyńczycy ich tam nie chcą. Głód sam zdradził mi klucz: czas, prawo, pokora, świadomość, że w oczach miasta jesteśmy niczym, a smok jest panem.

Nie wahając się ani chwili, bestia uderzyła od niechcienia ogonem, ścinając głowę Głodu ostrym jak brzytwa brzegiem złamanego znaku drogowego.

Cień rozpląnął się w nicość. Drobne nitki ciemności umknęły do kątów sali i zniknęły w półmroku.

Spojrzeliliśmy na smoka, a on popatrzył na nas. Błękitny ogień naszej krwi zgasił powoli, przechodząc w matową czerwień. Potem, bez żadnego dźwięku, bestia zaczęła się rozpadać. Łuski z odblaskowego plastiku odpadały od skóry z białymi, żółtymi albo czerwonymi błyskami. Ornamenty takie jak znak ograniczający prędkość do trzydziestu mil, resztki tablicy ostrzegającej przed dziećmi wychodzącymi ze szkoły, fragmenty afisza witającego na osiedlu mieszkaniowym, odprysk szyldu urzędu pocztowego, poobtlukiwany niebieski kawałek tablicy pamiątkowej, znak ostrzegający przed światłami ulicznymi - wszystko to sypało się ze smoka jak nasiona z dmuchawca, gdy podtrzymujące go zakłęcie zanikało stopniowo.

Na koniec na podłogę spadł z głuchym łoskotem mały, zaokrąglony kamyk. Potoczył się do naszych stóp i podnieśliśmy go. Powierzchnię miał gładką i ciepłą. Wydawał się dziwny w dotyku. Na jednej ze stron wypisano

tego dnia w 167

jca miejski

ku upamiętnieniu

Domine dirig

To było wszystko.

- Matthew?

Odwróciłem się i spojrzałem na Danę, która osunęła się na podłogę we wciąż rosnącej kałuży własnej krwi.

* * *

Wbiliśmy sobie paznokcie w dłoń, by wytoczyć krew. Włożyliśmy w nią całą swą siłę, żar i ciepło, aż zapłonęła tak jasno, że na ściany padła niebieska poświata. Potem zaczęliśmy ją wcierać w rany kobiety, ale nie odezwała się ani nie poruszyła.

Wzywaliśmy krzykiem pomocy, potrząsaliśmy ciałem. Tuliliśmy własne ciepło do jej zimnej skóry, wciskaliśmy ręce tak głęboko do ran na jej piersi i szyi, jak tylko mogliśmy, ale jej krew po prostu spływała nam po palcach, mieszając się z naszą, aż w końcu nie mogliśmy ich odróżnić od siebie i nasz ogień przygasł w tym roztworze.

Nie mogłem

nie Danę

nie mogłem

zatem my musieliśmy to zrobić. Wzięliśmy ją w ramiona i każdy jej staw wydawał się nam złamany, wszystkie kończyny tak masywne, że zdumiewaliśmy się, jak mogła nimi poruszać, nawet palce robiły wrażenie straszliwie ciężkich, gdy spleliśmy je z naszymi, a ponieważ wiedziałem i nie potrafiłem sobie z tym poradzić, zaczęliśmy krzyczeć.

Nie milkliśmy, aż wreszcie rozbite szkło znowu zatańczyło z naszym głosem, aż ukryte pod podłogą przewody wynurzyły się na powierzchnię niczym bluszcz wyrastający z ziemi, owijając się wokół wszystkich poręczy i wnikając we wszystkie ściany, aż fundamenty się wypaczyły, a sufit zatrzęsł, aż elektryczność otoczyła nas gwałtownym tornadem, aż rury gazowe zapłonęły w osłonach, a z wodociągów strzeliły pod sufit gejzery, tworząc wokół nas krąg szybko zamieniającej się w gorącą parę wody. Krzyczeliśmy, aż gaśnice popękały, plastik się zwęglił, a najcieńsze przewody zaczęły się topić, kapiąc metalem. Aż nasz głos przestał być głosem człowieka, przerodził się w łoskot ruchu ulicznego, pisk hamulców, grzechot silników, dudnienie podziemnego wiatru i

stań się nami

Aż nasze włosy zatańczyły od elektrycznego płomienia, a oddech przerodził się w czarny węgiel, buchający z naszych nozdrzy i unoszący się w powietrzu przed nami, aż nasze palce nabrały metalicznego połysku, upodabniając się do scyzoryków, a serce zabiło jak szalone w rytm *babachbabachbabach* pociągu pędzącego po starych torach schowanych

głęboko pod ziemią, aż szczury skryły się w rynsztokach, gołębie uleciały pod niebo i wszędzie wokół rozdzwoniły się wszystkie telefony.

Gdybyśmy tylko potrafili to zrobić, ucieklibyśmy z powrotem do nich.

Zapomnielibyśmy o tej chwili, pożegnali się z człowieczeństwem. Jeśli tak właśnie wyglądało, nie chcieliśmy go. Zrobiłbym to bez zastanowienia, gdybym tylko potrafił, ale przepaliliśmy wszystkie pobliskie telefony, a nawet światła na ulicach, siedzieliśmy więc tam dalej, kołysząc ciało Dany Mikedy, i szeptaliśmy do niej puste słowa, jakie ludzie mówią trupom, zapewnialiśmy, że wszystko będzie dobrze, zupełnie jak matka pocieszająca płaczące dziecko.

* * *

Stopniowo dotarło do nas charczenie Blackjacka. Unieśliśmy wzrok. Na nodze miał wielką otwartą ranę, a jedna z jego rąk zwisała dziwnie, ale jeszcze żył, choć zapewne nie miało to potrwać długo. Pod podartą na strzępy kurtką dostrzegłem zakażone żyły. Wywłókł spod wraku motocykla torbę, wyjął z niej pistolet i wycelował w nas. Coś poczuliśmy...

...ale niewiele.

Mówienie sprawiało mu trudność, ale przecież nigdzie się nie wybieraliśmy.

- Wiedziałeś... - zaczął. Wypluł z ust krew i kawałek zęba, a potem spróbował od nowa. - Wiedziałeś... że to ja jestem zdrajcą.

Nie odpowiedzieliśmy.

- Wykorzystałeś mnie! - wychrypiął. - Wykorzystałeś mnie, żeby znaleźć Bakkera i ją. Wiedziałeś, że cię zdradzę, wiedziałeś, że muszą cię wziąć żywcem. Inni cię śledzili... poszli za tobą... doprowadziłeś ich tutaj, żeby mogli zniszczyć Wieżę.

Nadal milczeliśmy. Nie przychodziło nam do głowy nic, co chcielibyśmy powiedzieć.

- Wykorzystałeś mnie - powtórzył raz jeszcze, kiwając głową szybko i gorączkowo. - Szanowałem to, czarnoksiężniku. Szanowałem. - Odbezpieczył pistolet. - Umieram - oznajmił.

Milczałem.

- Klątwa krwi. Złamałem złożoną przysięgę. Wiedziałem, że tak się stanie. Kiedy ją składałem, wiedziałem, że umrę. Trzeba było to zrobić. Trzeba... trzeba pozostawać w ruchu... trzeba... odnaleźć prędkość... wielką... to musi być realne. Trzeba żyć na krawędzi, wiedzieć, jak życie się skończy, żeby móc się nim cieszyć. Byłem bardzo szybki... no wiesz, człowiek musi się czymś wyróżniać? Żeby wiedzieć, że żyje? Cały pierdolony klan mówił... że musimy walczyć z Wieżą. Musimy zachować jedność. Współpracować z innymi,

powtarzać te same pierdolone głupoty, słuchać ich pierdolonych rozkazów... trzeba krwawić, płonąć i ginąć, by postąpić słusznie, bo tego się od nas oczekuje. Trzeba postępować słusznie. Tak właśnie robią normalni faceci. Ale ja nigdy nie stanę się normalnym facetem. Nigdy nie stanę się taki, jak mi każą. Kiedy cień zabił przywódcę klanu... uwolnił nas. Rozumiesz, Matthew? Chaos? Szybkość? Rozumiesz, co to znaczy być wolnym? Chodzi o to... o to... żeby... nikt mi nie mówił, kim mam być. Nikt.

Milczeliśmy.

Ponownie w nas wycelował.

- Chcesz usłyszeć resztę?

Zastanowiliśmy się nad tym i potrzęsaliśmy głową.

Zaczął naciskać spust.

Rozległ się strzał. Potem drugi. Huk odbijał się echem od zalanych wodą ścian zdewastowanej sali. Blackjack zatoczył się do przodu, strawione klątwą ciało ledwie było w stanie podtrzymać ten ruch. Potem osunął się w pokrywającą podłogę kałużę.

- Psychopatyczna suka potrafi strzelać, co? - odezwała się stojąca na schodach Vera.

Usłyszeliśmy trzask karabinu i zbliżające się ku nam kroki. Unieśliśmy wzrok. Oda patrzyła na nas. Za nią stała Vera, a dalej z tyłu kilkunastu Białych śmierdzących różnymi rodzajami niszczycielskiej magii.

- Wyglądasz okropnie - stwierdziła Oda. - Pomóc ci się podnieść?

Zastanowiliśmy się nad tym i skinęliśmy głową. Potem ujeliśmy jej wyciągniętą rękę i pozwoliliśmy, by podniosła nas na nogi, ułożywszy przedtem ostrożnie ciało Dany Mikedy na podłodze za nami.

* * *

Na każdym piętrze roilo się od Białych. Vera mówiła, że tuż pod wieżowcem stracili sygnał z nadajnika umieszczonego w moim bucie, ale nietrudno było się domyślić, gdzie mogę się znajdować. Dodała też, że nie potrafili zrozumieć, dlaczego ciągle wracają na to samo piętro, bez względu na to, ile razy próbowali wejść na górę, ale mnóstwo strzałów i odrobina magii mogły rozwiązać nie takie problemy.

Zgodziła się, że wyglądamy okropnie.

W jej ustach zabrzmiało to prawie jak komplement.

Dojechaliśmy windą na dziesiąte piętro, gdzie odmówiła posłuszeństwa. Na dwunastym znaleźliśmy kilkunastu kolejnych Białych oraz mnóstwo ciał, na siedemnastym grupę zwierzołaków, na dwudziestym trzecim garstkę czarowników, a na dwudziestym

siódmym Oda przywitała ludzi z Zakonu. Mieli twarze z kamienia i więcej broni niż kiedykolwiek jej widzieliśmy.

Na trzydziestym piątym, najwyższym, Oda wcisnęła nam broń do ręki.

- Nie wiem, czy potrafię... - zacząłem.

- Dotarliśmy już bardzo daleko, barany - warknęła stojąca za nami Vera.

Po chwili zastanowienia Oda spojrzała nam prosto w oczy.

- Przyszedłeś tu dla zemsty - oznajmiła. - A teraz masz do niej prawdziwy powód.

- Ja... chciałem... to...

Nie potrafiłem jej tego wytłumaczyć.

- Bakker jest tu sam - oznajmiła po kolejnej chwili zastanowienia. - Nikt nie przybędzie mu z odsieczą. Ani Amiltech, ani Lee, ani Simmons. Załatwiłeś ich wszystkich, żeby do niego dotrzeć. Nawet cień zniknął...

- Jeszcze nie - przerwałem jej. - Nie do końca.

- ...jeśli nie możesz tego zakończyć - podjęła bardziej stanowczym tonem - może powinieneś pozwolić, by one to zrobiły.

Wbiliśmy w nią zaskoczone spojrzenie.

- Odo - odezwaliśmy się.

- Słucham?

- My też nie jesteśmy pewni, czy potrafimy to zrobić.

- To wszystko, co ci zostało.

Wzięliśmy broń, zostawiliśmy Białych w klatce schodowej i ruszyliśmy sami na spotkanie z panem Bakkerem.

* * *

Jest takie czasopismo, wydawane nieregularnie w Wielkiej Brytanii i niekiedy rozprowadzane w Stanach Zjednoczonych, Australii, Afryce Południowej i wśród znających angielski specjalistów gdzie indziej. Pełen wyobraźni wydawca nadał mu nazwę „Urban Magic”. Studenci czasem czytają to pismo, jeśli czują się znudzeni i zniechęceni, w nadziei, że znajdą tam użyteczne wskazówki dotyczące seksu; pustogłowe damy zainteresowane ogrodnictwem niekiedy poszukują w nich metod wróżenia z własnej ręki; nieprzyjemni mężczyźni wykazujący niezdrowe zainteresowanie króliczą krwią również od czasu do czasu do niego zagląдают, w nadziei, że wyczytają między wierszami informacje o jakimś spisku. Wszystkich tych czytelników z reguły spotyka rozczarowanie. Mimo niekiedy krzykliwych okładek, mających na celu skłonienie tego typu nabywców do wydania 1,60 funta, wnętrze

czasopisma nie jest zbyt fascynujące - eseje o rozmaitych zastosowaniach promieni ultrafioletowych w zakłęciach wiążących; badania skuteczności różnych typów farby drogowej w kręgach wezwania, zaopatrzone w okrutnie drobiazgowy przypisy, a z reguły również adres internetowy prowadzący do notatek zawierających dodatkowe dowody; rozważania nad tym, co może łączyć falowo-cząsteczkową teorię światła z manipulacją czystymi mocami żywiołów i tak dalej. Pismo jest przeznaczone dla profesjonalnych magów miejskich, i to raczej zaawansowanych. Zacząłem je czytać, gdy miałem dwadzieścia parę lat, sporo czasu po wydaniu pierwszego numeru, i pożyczyłem stare numery z miejscowej biblioteki, bo mój nauczyciel kazał mi to zrobić. Nie mogąc znaleźć tych najrzadszych, zapisałem się do British Library i sprawdziłem tamtejsze archiwa. Po długich poszukiwaniach udało mi się znaleźć artykuł - w swoim czasie bardzo dobrze przyjęty - zatytułowany „Zmieniające się pojęcie magii”. Mój nauczyciel napisał go do jednego z wczesnych numerów. Przeczytałem artykuł, zrobiłem notatki i złożyłem zadowolający raport, minęło jednak sporo czasu, nim się zorientowałem, co w treści artykułu tak mnie gryzło.

Napisano w nim, że magia to życie.

Mówiąc krótko, to powinno stać się dla mnie ostrzeżeniem.

* * *

Na końcu korytarza znajdowało się dwoje dwuskrzydłowych drzwi. Przed nimi stało biurko recepcyjne. Drzwi były zamknięte. Kopaliśmy w nie tak długo, aż się otworzyły. Zostało nam za mało sił, byśmy mogli sobie pozwolić na subtelność. Potem weszliśmy do znajdującego się za drzwiami pomieszczenia.

Panował tam półmrok. Światła zgaszono, ale zza okien napływało wystarczająco wiele ulicznego blasku, odbijającego się od pomarańczowych chmur. Na pokrywający podłogę dywan padały długie, zachodzące na siebie cienie. Za oknami, ze wszystkich stron poza tą, z której przyszedłem, rozpościerało się miasto. Chaotyczny kobierzec pomarańczowych, białych i różowawych gwiazd spoczywających na czarnym podłożu ciągnął się tak daleko, jak okiem sięgnąć. Ich blask odbijał się w wodach Tamizy. Żółte migacze samochodów, łuna ich reflektorów widoczna tam, gdzie ulice kierowały się w stronę wieżowca, słaby błysk lamp w sypialniach, gaszonych przed położeniem się spać, jaskrawe neony palące się nad restauracjami, klubami i barami.

Wyglądało to pięknie. Nie sposób było temu zaprzeczyć. Po prostu niezwykle pięknie.

Przed oknem skierowanym na południe, ku wysoko ulokowanym czerwonym światłom Crystal Palace oraz odległej ciemności North Downs, gdzie niebo traciło

pomarańczową barwę, siedział pan Robert Bakker, zwrócony plecami do drzwi.

Zamarł w bezruchu, spoczywając na swym wózku inwalidzkim, pochylił głowę, oddychał powoli i miarowo. Z jego rąk sterczały przewody kroplówki. Z jednej strony zawieszono pojemnik z jakimś przezroczystym płynem, którego natury nie potrafiłem odgadnąć. Z drugiej strony do jego żył spływała czerwona krew. Potrafiłem odgadnąć czyja. Poczuliśmy ciężar trzymanego w dłoni pistoletu i żar lepkiej od potu dłoni. Zauważyliśmy, że w świetle księżyca, od czasu do czasu wyglądającego zza chmur, Bakker rzuca bardzo solidny czarny cień.

- Panie Bakker? - odezwałem się.

Poruszył się lekko na wózku.

- Matthew? - zapytał odległym, dezorientowanym głosem.

Podeszliśmy bliżej.

- Panie Bakker? - powtórzyliśmy głośniejsz.

- Matthew, czy to ty?

Obszedłem wózek wkoło i stanąłem obok swego dawnego nauczyciela. Uniósł wzrok ze zdziwioną miną.

- Przyszedłeś zobaczyć widok? - zapytał.

Skinąłem głową i przez chwilę wyglądałem przez okno.

- Jest bardzo ładny - stwierdziłem wreszcie.

- Jeden z najpiękniejszych. Kazałem opróżnić całe piętro, żeby móc łatwiej go podziwiać. - Ściągnął brwi. - Jak się tu dostałeś? Cieszę się, że cię widzę, ale...

- Porwano mnie, oszołomiono narkotykami, związano i zamknięto w piwnicy, trzydzieści kilka pięter poniżej - odpowiedziałem serdecznym tonem. - Potem wytoczono ze mnie wielkie ilości krwi, zapewne po to, by przeprowadzać na niej eksperymenty. Później moi przyjaciele, którzy trafili tu za mną, wiedząc, że mnie porwano, i zdając sobie sprawę, jaki los mi grozi, zaatakowali budynek i udało mi się uciec.

Zastanawiał się przez chwilę nad tymi słowami.

- Przyznaję, że nie to spodziewałem się usłyszeć - stwierdził wreszcie.

- A chce pan usłyszeć resztę?

- Tak - zgodził się. - Chcę.

Do tego czasu zdążył już zauważyć pistolet w mojej ręce i krew na ubraniu oraz skórze. Choć mówił spokojnie, w jego głosie pojawiło się napięcie.

- Pański cień żyje.

- Słucham?

- Pański cień żyje - powtórzyliśmy, starając się nie podnosić głosu. - Już od kilku lat. Zabił Patela, Pensleya, Dhawana, Akute, Foster, Awana...

- Matthew, dobrze się czujesz?

- ...Koshdela, Khaya, Danę i mnie, by wymienić tylko niektórych. On to pan. Nie sposób temu zaprzeczyć. I nie można go zabić, dopóki pan żyje.

Zacisnął palce na poręczach wózka.

- Czy... wierzysz, że to prawda?

- Tak.

- Jak to Danę?

Spojrzałem mu w oczy i zauważyłem, że się wzdrygnął.

- Zabił ją. Schwycił ją i kiedy powiedziałem *Domine dirige nos...*

- Błogosławieństwo londyńskiego City?

- Tak, to, którego mnie pan nauczył. Przywołanie wszystkich jego strażników i duchów. I wtedy ją zabił. Nie mogłem tego znieść, więc po prostu... my... tak czy inaczej, zabił ją. On pragnie życia. Prawdziwego życia. Jest głodny. Tak bardzo głodny życia, że nie go nigdy nie nasyci. Nic nie sprawia mu przyjemności, nie rozumie zachwyty, uczuć ani bólu, ale stara się je pojąć. Karmi się krwią i ogniem innych, zabija ludzi po to, by patrzeć, jak umierają, fascynują go śmierć, pożeranie i życie. On to pan, a pan to on. Obawiam się, że tak to wygląda. Nie mam innego wyjścia.

- Matthew... - zaczął.

- Cień ożył, gdy miał pan wylew. Był pan dobrym człowiekiem i bardzo zdolnym czarnoksiężnikiem. Zawsze zachwycało pana życie, dostrzegał pan jego piękno. Na tym właśnie polega czarnoksiężstwo. Na umiejętności dostrzegania czegoś cudownego i magicznego tam, gdzie inni widzą tylko zwykłe, nudne nic. To kwestia punktu widzenia. Pan mnie tego nauczył. A potem zaczął pan umierać i nie potrafił tego zaakceptować. Nie potrafił pan pogodzić utraty swych zdolności, talentów, sił i życia z tym, jak żył pan do tej pory. Był pan zdrowym człowiekiem prowadzącym aktywny tryb życia i nagle został pan uwięziony w zdychającym ciele. Ale nadal miał pan skrupuły. Moralna część pańskiego mózgu mówiła: „No cóż, takie jest życie i tak dalej, i tak dalej, lepiej wykorzystać je jak najlepiej i nie robić żadnych głupstw”. Ale była też ta druga część, część, którą wszyscy mają, ta, która reaguje na myśl o śmierci krzykiem, walką i kopniakami, która boi się jej panicznie, nie potrafi, nie chce, się z nią pogodzić. Która pragnie żyć za wszelką cenę. Która nie potrafi znaleźć w tym życiu niczego, co nie prowadziłoby do śmierci, nic, czego nie dałoby się zniszczyć albo co nie musiałyby się skończyć. Z pewnością widzi pan, do czego to prowadzi.

- Mylisz się - odpowiedział po prostu.

- Dlatego że jest pan czarnoksiężnikiem - ciągnąłem, całkowicie wyprany z wszelkich emocji. - Dlatego że ma pan szczególny punkt widzenia na życie. To właśnie sprawiło, że ta druga część ożyła. Przez pewien czas mogła być nieszkodliwa, ale potem jej myśli zaczęły wnikać do pańskich, jej sny zaraziły pańskie i zaczął się pan zastanawiać: „Hej, przekonajmy się, czy mam szansę uratować życie. To nie powinno nikomu sprawić kłopotów. Od czego zacząć?”. I wtedy przypominał pan sobie o niebieskich elektrycznych aniołach i pomyślał: „To tylko nadmiarowe życie, czekające, aż ktoś zrobi z niego użytek. Zastanawiam się, czy zechciałyby odstąpić mi część swojej mocy”? Ale po drodze zapomniał pan o zasadach. Zapomniał pan, że anioły są wolne od wszelkich ograniczeń i praw materialnego świata, że są nie tylko życiem, lecz również mocą. Głodna część pańskiego mózgu mogła myśleć: „Stanę się niebieskim ogniem tańczącym na niebie”, ale z pewnością nie mówił pan tego na głos. Mógł pan ukraść moc elektrycznych aniołów i stać się bogiem pozbawionym ciała, formy, uczuć i substancji, niepodlegającym ludzkim prawom. Pokonał pan już połowę tej drogi, bo, jak ustaliliśmy, pański cień działa samodzielnie. Dlatego poprosił pan swego ucznia o pomoc. Ale ja odmówiłem. Zapewne nie wyjaśniłem wówczas swych powodów zbyt dokładnie, ale odpowiedź brzmiała „nie” i była to słuszna odpowiedź. I to trochę pana wkurzyło.

- Matthew, nie... - spróbował znowu.

- Niech pan pozwoli mi skończyć - warknąłem. - Tym razem muszę wszystko wytłumaczyć jasno. Trochę się pan wkurzył i, czy pan tego chciał, czy nie, jakaś część pana osobowości oznajmiła: „Ten mały skurwysyn mnie zdradził! Anioły zawsze do niego mówiły. Dlaczego nie chcą rozmawiać ze mną? Co za zasraniec!” albo coś w tym rodzaju i po chwili ze zdziwieniem przekonałem się, że rozszarpuje mnie na strzępy stwór, który ma pańską twarz, ale z całą pewnością nie jest żywy, a tylko głodny. Bardzo, bardzo głodny.

Odbezpieczyliśmy pistolet i wycelowaliśmy w Bakkera, wsuwając palec w otwór spustu.

- Naszym zdaniem, są dwie sprawy, które powinniśmy panu wyjaśnić. Po pierwsze, dlaczego nie chcieliśmy z panem rozmawiać, gdy próbował pan nas usłyszeć w telefonach. Krótka odpowiedź brzmi tak: jest pan niezwykle zdolnym czarnoksiężnikiem, wielkim mistrzem swej sztuki, dostrzega pan magię wszędzie wokół siebie. Powiedział pan jednak „Magia to życie”, a to nie jest do końca prawda. Sądzi pan, że badania nad magią, próby jej wytłumaczenia, pozwalają lepiej zrozumieć życie. Niestety, nawet ja zdołałem się zorientować, że niezupełnie tak jest. My rozumiemy to świetnie. Magia nie jest życiem. Życie jest magią. Nawet jego nudne, monotonne, bolesne, zimne i okrutne chwile, nawet zwykłe,

nieświadome odruchy, bicie serca, wypełniające się powietrzem płuca, żołądek trawiący pokarm, nawet nieciekawe, nużące czynności, jak chodzenie, zginanie kolan i patrzenie za pomocą oczu, wszystko to jest magia. To one ją tworzą. Jeśli pan to zrozumie, zbliży się pan do pojęcia, co czyni nas tym, czym jesteśmy. Myślę, że wyjaśnia to również drugi punkt: dlaczego nie pomogłem panu wezwać aniołów. Wszystko w skrócie sprowadza się do tego: człowieka we wszystkim widzącego narzędzie, siłę, którą można manipulować, a nie po prostu coś, co istnieje niezależnie od niego, nie powinno się zwalniać z ograniczeń nałożonych na jego rodzaj. Czy coś pominąłem?

Zastanawiał się przez chwilę nad moimi słowami.

- Nie sądzę - odparł wreszcie z uśmiechem.
- Nie robi pan wrażenia szczególnie zdziwionego.
- Wiedziałem, że musisz wierzyć w coś w tym rodzaju.
- Wiadomość o śmierci Dany również zbytnio pana nie zaskoczyła.

Nie odpowiedział.

- Dlaczego utrzymywał ją pan przy życiu?

Tym razem zastanawiał się dłużej.

- Wątpię, by odpowiedź ci się spodobała - odparł wreszcie. - I naprawdę warto trzymać się życia wszystkimi dostępnymi środkami.

Zauważyłem nadchodzącą przemianę mgnienie oka przed tym, nim się dokonała. Zdradził go ruch nadgarstka. Uniosłem pistolet, odruchowo celując w głowę, ale on rozpostarł już palce. Ściana powietrza uderzyła we mnie, uniosła mnie w górę i odrzuciła do tyłu, a gdy padłem na podłogę, wykręciła mi nadgarstek. Z rozgrzanej do czerwoności lufy buchał dym. Odrzuciłem broń na bok i wstałem, poruszając palcami w powietrzu, by pochwycić garść magii tego miejsca. Otoczyłem się pomarańczowym światłem odbijającym się od chmur jak chroniącym przed zimnem kocem, pozwalając, by jego słaby blask ogrzał mi skórę. Bakker nie wstał z wózka, siedział częściowo odwrócony ode mnie. Gdy jednak przygotowywałem zaklęcie, uniósł rękę, wyciągnął igły przekazujące do jego ciała krew i inne płyny, a potem odrzucił je i wstał bardzo ostrożnie. Nogi się pod nim uginały, ale chwycił się poręczy wózka i zdołał się podnieść. Wyprostował się i spojrzał na nas, stojąc na własnych nogach bez żadnego oparcia. Twarz miał białą, oczy puste, a zęby próchnicze. Gdy się poruszał, ciągnął za sobą smugi ciemności i nie rzucał cienia.

- Tu jesteś - odezwaliśmy się.
- I jesteśmy tacy głodni! - odparł z uśmiechem Głód/Bakker.
- Nie gadaj, naprawdę?

Otworzył usta i buchnęła z nich ciemność, jakby połknął rój czarnej, błyskawicznie się mnożącej szarańczy. Powietrze wypełniło brzęczenie. Ciemność wnikała we wszystkie kąty, blokując światło księżyca. Jej dotyk był lodowaty, ale otoczyliśmy się szczelniej neonowym kocem i przymknęliśmy powieki, czekając, aż przywykniemy do chłodu, jak po wyjściu z ciepłego domu w wietrzny zimowy dzień. Nie widzieliśmy nic poza własnymi dłońmi, podświetlonymi neonowym blaskiem. Okna, ścianę, a nawet podłogę przesłonił niemalże płynny mrok, kłębiący się wokół nas, gdy poruszaliśmy rękami w powietrzu.

Usłyszeliśmy bardzo cichy trzask elektryczności. Nie chcąc zaufać przypadkowi, unieśliśmy ręce, by pochwycić zrodzoną z sieci błyskawicę, która wypadła z ciemności z blaskiem oślepiającego białego ognia. Złapaliśmy ją w palce i cisnęliśmy w dół, nim zdążyła choćby przypalić nam rękawy. Z podłogi pod naszymi stopami wyrastał drut kolczasty, owijający się nam wokół kostek. Podpaliliśmy gaz w rurze biegnącej w suficie i rozlaliśmy wokół siebie płynny ogień. Druty się stopiły, buchając śmierzdzącymi płomieniami, które umknęły w otaczającą nas ciemność. Na moment wyłonił się z niej skrawek białej skóry, ale zaraz mrok pochłonął go z powrotem.

Głód splunął nam w twarz gorącymi popiołami; rozdarliśmy rury wodociągowe w podłodze i odparliśmy atak padającym do góry deszczem. Stłukł okno, pozwalając, by do środka wpadł powiew targający naszymi ubraniami, a potem cisnął w nas ostrymi odłamkami szkła. Zamieniliśmy wpadający do pokoju wiatr w tornado i, stojąc w jego spokojnym oku, złapaliśmy kolejno wszystkie fragmenty i natychmiast obróciliśmy je w piasek; wyrwał spod naszych stóp stalowy szkielet budynku, pręty o wyszczerbionych końcach wynurzyły się z podłogi tam, gdzie staliśmy, ale my po prostu uskoczyliśmy na bok, klucząc między tańczącymi kawałkami żelastwa. Wyszarpnął przewody z dziury w suficie i owinął je wokół naszych nadgarstków oraz gardła, dusząc nas i unosząc nad podłogę, ale pompowaliśmy w nie prąd, aż się stopiły i przepaliły. Potem opadliśmy w skłębioną ciemność, lądując na kolanach.

Zorientowaliśmy się, że przygotowuje kolejne zakłęcie, poczuliśmy poruszenie jego magii w powietrzu. Tym razem uderzyliśmy pierwsi. Przetworzyliśmy ciepło naszej skóry w gorejące sodowym blaskiem światło otulające nas niczym koc, a potem włożyliśmy w nie dotknięcie naszego oddechu i bicie serca, tak że z każdą chwilą płonęło coraz jaśniej. Wypalało ciemność jak słońce nad Morzem Śródziemnym, płonęło na naszej skórze niczym korona, sprawiało, że włosy stawały nam dęba, przypalało podłogę i sufit, a my wkładaliśmy w nie coraz więcej i więcej, wypełniając je sobą, aż wreszcie płomienie nabrały niebieskiego odcienia. Nasze stopy nie dotykały już podłogi. Rozpostarliśmy ręce jak anioł, gotowi objąć

każdego wroga, który się do nas zbliży, otworzyliśmy usta, by wypuścić z nich brzęczącą niebieską szarańczę wypełniającą nam brzuch, gorące błękitne iskry tańczące jak żywe światło staczały się z naszego języka na podobieństwo lśniącego lodowatym blaskiem morza, które wżerało się w ciemność, skupiając się w przyprawiających o zawrót głowy hordach niczym ogniki, zwane ongiś przez magów błędnymi. Jarzyliśmy się blaskiem

tak bardzo zimnym

ponieważ mogliśmy to robić, aż wreszcie nasza skóra stała się biała od pokrywającego ją lodu, kości zdrząły z zimna, stopy uniosły się jeszcze wyżej, a wir naszego oddechu zatańczył wokół nas. Niebieski, elektryczny ogień stłukł wszystkie pozostałe okna, wybił w dachu dziury, wpuszczające do środka światło księżyca, wypalił w podłodze głębokie czarne ślady i stopił ściany, pochłaniając wszelkie ślady ciepła, gniewu, bólu i strachu we mnie

we mnie!

w nas, pożarł wszelkie uczucia w nas

we mnie!!

i poprzez ten ogień zobaczyliśmy, że cień chwieje się, usiłując się utrzymać na nogach, podczas gdy płomienie pochłaniają jego ciało, palą włosy, rozpraszają ciemność płaszczą, pożerają palce i nos, aż wreszcie spłynęła po nim czarna krew, ale nawet wtedy, gdy zaczęła płonąć i wrzeć, jego skórę pokryły pęcherze i buchnęła z niej para, krzyczał i krzyczał, i

stał się na chwilę

kiedy krzyczał

po prostu wątłym, starym

Kolana się pod nim ugięły.

Nogi się załamały.

Krew miał jaskrawoczerwoną, a jego cień był maleńkim punkcikiem pod nogami.

Wybuchliśmy śmiechem

ponieważ byliśmy tak bardzo jaśni i potężni, że nikt nie mógł nad nami zapanować, ponieważ byliśmy

byłem

niepowstrzymani, nieposkromieni, tak bardzo żywi, że mogliśmy płonąć przez całą wieczność, życie, światło, ogień i

śmiać się z jego krzyków

nasza skóra pękała i wyłaniał się spod niej niebieski ogień

gorzał w naszych ustach, oczach i pod paznokciami.

ponieważ

byłem

byliśmy

błękitne światło wylewało się spod naszego ubrania, wypływało z naszych płuc z każdym oddechem i było go tak wiele, że nie mogliśmy go wciągnąć z powrotem

ponieważ byłem...

ponieważ

my jestem

tak wiele mocy... byliśmy światłem, byliśmy ogniem, byliśmy życiem, byliśmy wiatrem pełznącym pod ziemią, byliśmy tańczącym niebem, byliśmy gorejącym niebieskim ogniem i

byliśmy aniołami!

...

i wtedy wypowiedział moje imię.

Z zaskoczeniem uświadomiliśmy sobie, że nadal je pamiętam. Krzyczeliśmy, kopaliśmy i opieraliśmy się, gdy zmuszałem nas do oddychania, krzyczeliśmy, tłukliśmy pięściami i rozdzieraliśmy własną skórę, starając się wyrwać z niej światło, byśmy mogli rozpuścić swe ciało i przerodzić się w świetlistą kometę przesywającą niebo, gdy kazałem nam zamknąć oczy, by osłonić je przed gorejącym niebieskim blaskiem kocem przesłaniającym nasze pole widzenia, tłukliśmy pięściami, gryźliśmy i szarpaliśmy, gdy opuściłem nasze ręce i zacisnąłem pięści, krzyczeliśmy

MYŚMY SĄ ŚWIATŁO, MYŚMY SĄ ŻYCIE, MYŚMY SĄ OGIEŃ

STAŃ SIĘ NAMI I BĄDŹ WOLNY

MYŚMY SĄ

MYŚMY SĄ...!

- Matthew?

Jego głos był słaby i stary, wąty i umierający.

- MYŚMY SĄ... MYŚMY SĄ... MYŚMY SĄAAAAA...

Ze szczelin w mojej skórze zamiast światła popłynęła krew, wsiąkająca w ubranie. Byłem tak bardzo mały i słaby w środku nas i rzekliśmy

myśmyyyy saaaaaa...

ale ja jestem

stań się nami...

Osunęliśmy się na kolana. Ból, tak wiele bólu.

możemy uczynić cię wolnymi

od tak wielkiego bólu

stań się nami... płoniemy na niebie przez całą wieczność

tak bardzo słaby

uwolnimy cię

wewnątrz nie zostało nic oprócz lodu

stań się nami i bądź wolny...

Potrząsnąłem głową.

- Nie dzisiaj - odpowiedziałem. - Jeszcze nie!

spod naszych palców wypełził przygasający ślad ognia.

- Tak jasny, tak bardzo jasny... - wyszeptaliśmy, ścigając go palcami, gdy zniknął w podłodze. - Tak bardzo piękny...

- Matthew?

Uniosłem wzrok.

Tylko ja.

Leżał niezgrabnie na boku, otoczony rosnącą kałużą własnej krwi. Głowę miał zwróconą ku oknu. Zakasłał, ślina mieszała się przy jego ustach z krwią. Poczłgałem się ku niemu na rękach i kolanach, a potem klęknąłem obok.

- Przykro mi, panie Bakker.

Uśmiechnął się.

- Z jakiego... powodu? - wychrypiał.

- To skomplikowane.

- Wszystko zawsze jest skomplikowane. Jesteś kiepskim czarnoksiężnikiem, Matthew Swift.

Wzruszyłem ramionami. Nawet ten gest był straszliwie bolesny.

- Mogło być gorzej - odparłem.

Zacisnął palce na moim nadgarstku. Zauważyłem, że choć miał twarz Bakкера, jego paznokcie nadal pozostały długie i czarne.

- Śmierć - wyszeptał.

Spojrzałem w jego załzawione oczy.

- Śmierć - powtórzył, wbijając długie czarne paznokcie głębiej w moją skórę. - Coś, czego nigdy nie rozumieliśmy w życiu - wyjaśnił.

W tej samej chwili jego skóra przybrała blady odcień, głębszy niż tłumaczyła to utrata krwi.

Wyrwaliśmy rękę i rzuciliśmy się do tyłu w tej samej chwili, gdy sięgnął drugą dłonią ku naszej szyi. Jego paznokcie przecięły skórę tuż przed naszą żyłą szyjną, krew płynąca z jego ran nadal była czarna, a język oblizywał spróchniałe zęby.

- Chcę jej! - wrzasnął. - Chcę jej teraz!

Uniósł głowę nad stare, zdruzgotane ciało, gotowy kąsać żółtymi zębami, złapał mnie za włosy i pociągnął moją głowę ku sobie z siłą, jakiej żaden człowiek nie powinien mieć.

- Chcę jej! - darł się. - Chcę płonąć!

Splotłem palce, wlałem w nie elektryczność, a potem rozpostarłem je i z całej siły uderzyłem go w pierś. A przynajmniej mam wrażenie, że ja to zrobiłem. W owej chwili trudno to było ocenić.

Wstrząs cisnął nim do tyłu, uniósł go nad podłogę. Jego głowa odskoczyła z głośnym trzaskiem kości uderzającej o kość. Wyleciał przez rozbite okno ramionami naprzód. Słyszałem jego cichnący krzyk, a potem uderzenie o ziemię, trzydzieści pięć pięter niżej.

Epilog

Krótki akt życia

*w którym,
choć wszystko się skończyło,
wszystko nadal trwa w zasadzie niezmienione,
wbrew zasadom prawdopodobieństwa*

Najpierw był oddział intensywnej opieki medycznej.

Potem był oddział mniej intensywnej opieki.

Jeszcze później było leczenie ambulatoryjne.

Na koniec znalazłem się na ulicy z wypisem, jednym kompletem ubrania, starym płaszczem, torbą i nową parą butów, mówiąc krótko, z całym swym ziemskim dobytkiem.

Nie miałem nic, co pozwoliło mi dowieść, że żyję, nie miałem też mieszkania ani własnych pieniędzy. Sinclair wręczył mi dziesięć tysięcy funtów w brązowej papierowej torbie i oznajmił, że zatroskani obywatele są wdzięczni za moją pomoc.

W pewnym sensie brak tego wszystkiego pozwalał mi czuć się wolnym.

Przez kilka tygodni mieszkałem z Białymi, żeby odzyskać równowagę. Potem przenieśliem się na wieś, do pary znajomych, wystarczająco bliskich, żeby zgodzili się mnie przyjąć, ale nie na tyle bliskich, by się zorientowali, że przez pewien czas nie żyłem. Spacerowałem po wzgórzach, brodząc po błocie, i po kilku tygodniach - choć okolica nie była znajoma - zacząłem pojmować, jak to możliwe, że na wsi również pojawiają się czarnoksiężnicy, przywołujący bluszcz zamiast drutu kolczastego.

Moje serce należało jednak do miasta i w końcu tam wróciłem.

Od czasu do czasu najmowałem się do dorywczej pracy. Moje umiejętności mogły nie być zbyt użyteczne, ale nadzorowałem kilka egzorcyzmów i pobłogosławiłem parę rozpoczynających działalność firm, wydrapując ostrożnie na ścianach jednego czy dwóch

pomieszczeń budynków *Domine dirige nos*, ot tak, na szczęście.

Kiedy mnie znalazła, wychodziłem z basenu. Odwiedzałem go teraz regularnie, częściowo dlatego, że bardzo lubiliśmy czynność pływania, ale głównie z uwagi na gorący prysznic brany potem. To pomagało zachować czystość. To było w Highbury Fields, chłodnym, pochmurnym wieczorem, gdy słońce skryło się już za horyzontem, ale było jeszcze jasno i na razie nie zapalono latarni. Wyszedłem z budynku i ruszyłem na przystanek autobusowy. Czekala tam na mnie, wynurzyła się bezszelestnie z cienia krzaków, przystawiła mi pistolet do potylicy i złapała mnie za ramię, żebym się nie wzdrygnął od dotyku metalu.

- *Bang* - powiedziała.

- Cześć, Odo - odparłem zdyszczym głosem. - Zastanawialiśmy się, gdzie się podziałas.

- *Bang* - powtórzyła. - Dwa strzały w głowę, a potem trzy w pierś. *Bang, bang, bang.* Tym razem nie będzie powrotu. Upewniłam się, że w pobliżu nie ma budek telefonicznych. Światło zgaśnie, gra skończona, dobranoc, żegnajcie piękne czasy i tak dalej.

- Nie sądziłem, że jesteś kimś, kto lubi się chełpić - odparłem z wyrzutem. - Jeśli masz zamiar to zrobić, zrób to i już.

- Nie boisz się?

- Nie.

- A one?

- Czym byłoby życie, gdyby nie miało końca? - odpowiedzieliśmy.

- To naprawdę bardzo niezdrowe podejście - zauważyła.

- A ja myślałem, że Zakon opiera się na duchowości?

Oda chrząknęła, zdjęła dłoń z mojego ramienia i opuściła pistolet. Odsunęła się ode mnie. Odwróciłem się i przyjrzałem jej z ciekawością. Spojrzała mi spokojnie w oczy.

- Chciałam, żebyś o tym wiedział. W każdej chwili, gdziekolwiek będziesz, cokolwiek zrobisz, mogę cię dopaść. Naprawdę. Jestem aż tak dobra.

- Wierzę ci.

- Świetnie. Pamiętaj o tym, jeśli poczujesz jakieś szatańskie skłonności.

Odwróciła się, podniosła torbę z chodnika i zaczęła się oddalać.

- Zaczekaj! - zawołaliśmy.

Zatrzymała się i spojrzała na nas, unosząc brwi.

- Powiedziano nam, że i tak nas zabijesz - oznajmiliśmy.

- Jestem pewna, że któregoś dnia to zrobię. Kiedy utracisz kontrolę, zaczniesz składać ofiary z dzieciaków albo jeść królicze czaszki dla zabawy, znajdę cię... Ale obecnie... -

Zawahała się, zwracając się lekko ku latarni, jakby szukała w niej natchnienia. Pokręciła głową. - Obecnie nadal jesteś po stronie aniołów.

- Och, cóż za ironia.

- Prawda?

- Przyszło ci to do głowy w tej chwili czy sobie to przygotowałaś?

- Do zobaczenia, Matthew Swift.

- Do zobaczenia, Odo.

Zostawiła nas.

* * *

Za pieniądze Sinclaira kupiłem sobie skrytkę pocztową na poczcie w Mount Pleasant. Resztę wsadziłem do metalowego pudełeczka i zakopałem na cmentarzu Abney Park, bo nie wiedziałem, co właściwie zrobić z całą tą forszą. Kilka dni później, przeglądając egzemplarz katalogu firm, znaleziony na dachu wiaty przystanku autobusowego, znalazłem pod S następującą pozycję:

„Swift, M. (czarnoksiężnik): PO Box 134B, Mount Pleasant, Rosebery Avenue, London, EC1R 2JA”.

Ponieważ nie zostawiłem tam katalogu, doszedłem do wniosku, że to kolejny przejaw działania tajemnych mocy i cisnąłem grubą książkę o żółtych kartkach z powrotem na dach. Przewiesiłem torbę przez ramię, wyprostowałem nogi i poklepałem się po kieszeniach, by sprawdzić, czy czegoś nie zgubiłem. Potem ruszyłem przed siebie, nie wiedząc, dokąd idę, ani jak mam zamiar tam trafić. W oddali słyszałem warkot autobusów, pisk hamulców skuterów, brzęk rowerowych dzwoneczków, łopot skrzydeł gołębi, tupot szczurów, krzyki dzieci, mamrotanie starych bezdomnych kobiet, przeklinanie młodych mężczyzn, głosy flirtujących dziewczyn, stukot zamykanych okien, szum wody w rurach, krople skapujące z kranów, szumy telewizorów, dzwienienie pieców i dzwonienie telefonów. Owe odgłosy otaczały mnie ze wszystkich stron, o każdej godzinie każdego dnia, zawsze i bez końca - nieskończoność dźwięków, widoków, zapachów, życia, światła, zachwytu, spokojny, nieustanny, prozaiczny magiczny zgiełk wypełniający każdy róg każdej ulicy obietnicą przygód, świata za dużego dla śmiertelników, nieśmiertelnych oraz istot zajmujących pośrednią pozycję.

Szliśmy wciąż przed siebie.

Cokolwiek nas czekało, dobrego czy złego, cudownie będzie tego doświadczyć.